

JIM BUTCHER

ŻUŻLOWE KASZTELE

WIATROGON AERONAUTY

WIATROGON AERONAUTY

Podniebne Kasztele
Księga pierwsza

Jim Butcher

Przełożył Michał Jakuszewski

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2016

PROLOG

Kasztel Albion, Kondygnacja Poranka, Dom Lancasterów

- Gwendolyn Margaret Elizabeth Lancaster - odezwała się matka stanowczym, pełnym irytacji tonem - masz natychmiast skończyć z tym nonsensem.

- Ależ mammo - odparła Gwendolyn z roztargnieniem w głosie. — Dyskutowaliśmy o tym już wiele razy. - Przyjrzała się rękawicy, którą miała na lewej dłoni, i obróciła lekko nadgarstek. - Zacisk numer trzy jest za ciasny, Sarah. Kryształ wpija mi się w skórę dłoni.

-Już się robi, panno Gwen. - Służąca pochyliła się nad paskiem rękawicy, spoglądając na niego nad szklami okularów, po czym wykonała kilka szybkich, zręcznych ruchów. — Tak lepiej? — zapytała.

Gwendolyn powtórzyła poprzedni ruch.

- Znakomicie - zapewniła z uśmiechem. - Dziękuję, Sarah.

- Nie ma sprawy, panno Gwen.

Już chciała się uśmiechnąć, ale spojrzała na matkę Gwendolyn i przybrała minę wyrażającą należyty szacunek.

- Nie było żadnych dyskusji - oznajmiła matka, krzyżując ramiona. -Dyskusja implikuje wymianę poglądów, a ty po prostu udawałaś, że nie ma mnie w pokoju, kiedy poruszałam ten temat.

Gwendolyn odwróciła się ku niej ze słodkim uśmiechem.

- Mammo, jeśli chcesz, możemy o tym porozmawiać znowu, ale ja nie zmienię zdania. Nie pójdę do Pensji dla Panien lady Hadshaw.

- Bardzo bym się ucieszyła, gdybyś rozpoczęła studia w Akademii Inżynierii Eterycznej razem z...

- Och! — zawołała dziewczyna, wznosząc oczy ku niebu. — Pracowałam z tymi systemami w testowni, odkąd nauczyłam się chodzić. Z pewnością oszaleję, jeśli będę musiała znosić jeszcze dwa lata kursów wstępnych.

Macka pokręciła głową.

- Gwendolyn, z pewnością nie wierzysz, że...

- Dość już tego - przerwała jej córka. - Wstąpię do Gwardii Kasztelana. Złożę przysięgę. Spędzę rok w służbie. — Odwróciła się, przejrzała się w długim lustrze, poprawiła nieco spódnice i wygładziła klapy krótkiego bolerka. - No wiesz, córki innych Wielkich Domów też składają przysięgi. Nie potrafię pojąć, co masz przeciwko temu.

- Inne Domy to nie Lancasterowie — odparła matka z nagłym chłodem w głosie. — Inne Domy nie władają najważniejszą kondygnacją w Radzie. Na innych Domach nie spoczywa największa odpowiedzialność w całym Kasztelu Albion.

— Mammo. - Gwendolyn westchnęła. - Mówisz tak, jakby ludzie żyjący na niższych poziomach kasztelu byli mniej warci od nas. Zresztą wszystkie te wielkie kadzie i kryształy właściwie nie potrzebują naszego nadzoru.

-Jesteś młoda - odparowała matka. — Nie uświadamiasz sobie, jak wielu ludzi potrzebuje tych kryształów, i to nie tylko ci z Kondygnacji Poranka czy z Floty, nie wiesz również, jak wiele starannych planów i zdolności przewidywania wymaga wyprodukowanie jednego kryształu. To proces trwający...

— Pokolenia — przerwała jej Gwendolyn. — Widzę, że uważasz mnie za niedostatecznie oświeconą, ale chciałabym ci uświadomić, że powtarzając te pełne pedanterii frazesy, raczej nie poprawisz sytuacji, a w związku z tym najlepiej dla wszystkich będzie, jeśli sobie to darujesz.

— Gwendolyn — odrzekła matka, mrużąc powieki. - Masz za dziesięć sekund wrócić do swoich pokojów. W przeciwnym razie przysięgam na Boga w Niebiosach, że zleję cię na kwaśne jabłko.

Ach. Zatem doszło już do tego. Gwendolyn stłumiła impuls dzieciennego strachu, a potem znacznie bardziej racjonalnego gniewu, i zmusiła się do spokojnego i rozsądnego rozważenia sytuacji.

Ten wybuch gniewu był tak szokujący, że Sarah zamarła w bezruchu. W pełni zdawała sobie sprawę, że podobnej demonstracji emocji u jednej z najważniejszych dam Kondygnacji Poranka raczej nie powinna oglądać służba. Matka zapomniała się w swym gniewie, a Sarah nie mogła się teraz odważyć po prostu wyjść z pokoju. Jak biedna dziewczyna miała zareagować?

- Sarah - odezwała się Gwendolyn. — Mam wrażenie, że kucharka wspominała, iż nadal dokuczają jej bóle pleców. Bardzo bym się ucieszyła, gdybyś jej pomogła dziś rano. Miałabyś coś przeciw temu, żeby zanieść ojcu śniadanie i oszczędzić jej wspinaczki po schodach?

- Z pewnością nie, lady Gwendolyn.

Sarah dygnęła krótko i obdarzyła Gwendolyn uśmiechem wyrażającym wdzięczność zmieszaną z przeprosinami. Potem wyszła, szybko i spokojnie.

Gwendolyn nie przestawała się uśmiechać aż do chwili, gdy służąca opuściła pokój. Potem odwróciła się i spojrzała na matkę z lekko zasępioną miną.

-To nie było zbyt rozsądne zachowanie.

-Nie próbuj zmieniać tematu - obruszyła się matka. - Zdejmij natychmiast tę śmieszoną rękawicę albo staw czoło konsekwencjom.

Gwendolyn uniosła jedną brew.

- Zdajesz sobie sprawę, że mam broń, prawda?

W ciemnych oczach matki zapłonął ogień.

- Nie ośmieliłabyś się!

- Myślę, że nie powinnam zostać zmuszona do ostateczności - odparła Gwendolyn — Ale bicie pociąga mnie jeszcze mniej, niż perspektywa spędzenia całego życia w tym nudnym mauzoleum albo w innym, podobnym do niego. Śmiem twierdzić, że w służbie powinnam przynajmniej znaleźć coś interesującego. - Uniosła podbródek i przymrużyła powieki. - Nie prowokuj mnie, mamó.

- Okropne dziecko — poskarżyła się matka. - Bierście ją!

Gwendolyn uświadomiła sobie nagle, że zarówno groźba, jak i gniew matki były udawane. Miały tylko odwrócić jej uwagę i pozwolić, by dwóch domowych zbrojnych podeszło do niej niepostrzeżenie od tyłu. Przesunęła się szybko w bok i poczuła, że silne dłonie złapały ją za lewe ramię. Gdyby się nie poruszyła, drugi mężczyzna w tej samej chwili złapałby ją za drugie, co znacznie ograniczyłoby jej opcje.

Chwyciła napastnika za nadgarstek i obróciła się, wspierając ten ruch całym swym ciężarem. W ten sposób zakłóciła równowagę zbrojnego i jednocześnie zmniejszyła siłę uścisku. Nie zatrzymując się, przeszła z gładkiego obrotu w rzut przez biodro. Mężczyzna zwałił się na podłogę, prosto pod nogi towarzysza. Próbuąc się podnieść, zbił go z nóg. Gdy drugi przeciwnik próbował się podnieść, dziewczyna uniosła nieco spódnicę i wykopnęła mu rękę, którą się podpierał. Zbrojny zwałił się na leżącego kompana, stękając z zaskoczenia.

- Bardzo mi przykro. Nie bierzcie tego do siebie — rzekła Gwendolyn i ze spokojem wymierzyła mu mocnego kopniaka w głowę. Zbrojny stęknął raz jeszcze, a potem oklapł bezwładnie.

- Esterbrook! - zawołała nagle matka.

Dziewczyna odwróciła się od dwóch powalonych przeciwników i zobaczyła, że do pokoju wszedł Esterbrook, kapitan zbrojnych Domu Lancasterów - szczupły, groźnie wyglądający mężczyzna o skórze wyschniętej i ogorzałej po latach narażania się na bezlitosne promienie słońca, jak u wszystkich aeronautów i żołnierzy piechoty powietrznej. Miał na sobie czarny garnitur i płaszcz, uszyte w takim samym stylu jak mundur Piechoty Powietrznej Floty. Sam kiedyś służył w tej formacji i nosił u pasa krótki, masywny, powleczone miedzią miecz, używany przez jej żołnierzy. Rękawica, którą miał na lewej

dłoni, była uszyta z miękkiej wytartej skóry, ale miedziana siatka na jego przedramieniu i nadgarstku błyszczała tak samo, jak na nowszym modelu noszonym przez Gwendolyn.

Dziewczyna skupiła pośpiesznie myśli, odsunęła się od leżących na podłodze mężczyzn i uniosła lewą rękę, demonstrując Esterbrookowi kryształ, który miała na wewnętrznej powierzchni lewej dłoni. Namierzyła cel, posiwała głowę kapitana, umieszczając go pośrodku kształtu litery V, utworzonego przez jej pierwszy i drugi palec. W tej samej chwili jej koncentracja obudziła kryształ. Trysnęło z niego zimne białe światło, które zmieniło charakter wszystkich cieni w pokoju. Jej matka zamrugała i przymrużyła powieki, oślepiona nagłym blaskiem.

- Dzień dobry, kapitanie Esterbrook - przywitała go Gwendolyn ze spokojem w głosie. - Świetnie zdaję sobie sprawę, że strój, który nosisz, jest obszyty eterycznym jedwabiem. Uważam za swój obowiązek ostrzec cię, że celuję w głowę. Proszę, nie rób nic, co zmusiłoby mnie do wykorzystania zdobytych przeze mnie umiejętności w tak tragiczny i marnotrawny sposób.

Esterbrook popatrzył na nią zza przyciemnionych szkielek. Potem uniosł bardzo powoli prawą rękę, zdjął okulary i zamrugał kilkakrotnie, oślepiony eterycznym blaskiem broni, z której celowała do niego Gwendolyn. Jego oczy miały niesamowity, złotozielony odcień, a kocie źrenice zmieniły się w pionowe kreski.

- To było szybkie - zauważył.

Dziewczyna poczuła, że uśmiecha się półgębkiem.

- Miałam znakomitego nauczyciela, kapitanie.

Na twarzy Esterbrooka pojawił się blady cień ironicznego uśmieszku. Kapitan pochylił lekko głowę.

- Kto w kasztelu zgodził się nauczyć cię Drogi?

- Kuzyn Benedict, oczywiście - odparła.

- Ha! - zawołał Esterbrook. - Ciągle czułem od niego zapach perfum. Myślałem, że znalazł sobie kobietę.

W gardle matki zrodziło się nieartykułowane mruknięcie niesmaku, ledwie słyszalne przez zaciśnięte wargi.

-Wyraźnie zabroniłam ci utrzymywania z nim bliższych kontaktów, Gwendolyn.

-To prawda, mamó — zgodziła się dziewczyna. — Kapitanie, proszę, bądź tak uprzejmy i odłóż broń.

Esterbrook gapił się na nią jeszcze przez chwilę. Bruzdy okalające jego oczy pogłębiły się nagle.

Pokłonił się płytko Gwendolyn, opuścił prawą rękę i rozpiął pas. Miecz upadł na podłogę.

- Co ty wyprawiasz? — obruszyła się matka.

-Pani - odparł uprzejmym tonem Esterbrook. - Panna Gwen ma śmiertcionośną broń i świetnie potrafi się nią posługiwać.

- Nie robi tego - zapewniła matka. - Nie skrzywdzi ciebie. Ani własnej rodziny.

Gwendolyn poczuła nagłą frustrację. Matka oczywiście miała rację. To byłoby niewyobrażalne.

Niemniej nie miała zamiaru przez całe życie być zamknięta w Rezydencji Lancasterów i opuszczać ją jedynie na nieustanne, bezsensowne, regularne i śmiertelnie nudne bale, kolacje, koncerty albo lekcje. Nie pozwoli, by matka sprawdziła jej blef.

Przesunęła bardzo lekko rękę i uwolniła promienną energię eteru z kryształu dotykającego wewnętrznej powierzchni jej dłoni.

Nastąpił gwałtowny rozbłysk. Impuls przeszył powietrze z głośnym świstem. Zaraz po nim rozległ się ogłuszający huk, przypominający uderzenie gromu. Marmurowy posąg stojący na stoliku tuż za Esterbrookiem eksplodował, sypiąc na wszystkie strony odłamkami. Stukot odbijających się fragmentów dało się słyszeć jeszcze kilka sekund po wybuchu.

Matka gapiła się na to z rozdziawionymi ustami. Jej twarz pobladła, a połowę ciała pokrył drobny marmurowy pył. Taki sam pył osypał również Esterbrooka, ale mężczyzna nie ruszył się z miejsca, a jego twarz nie zmieniła wyrazu.

- A teraz reszta, kapitanie - odezwała się Gwendolyn.

- Panno Gwen - odparł Esterbrook i ponownie pochylił głowę. Poruszając się bardzo powoli i trzymając lewą rękę sztywno u boku, rozpiął pasy rękawicy, która upadła na podłogę.

- Dziękuję, kapitanie. A teraz odsuń się, proszę.

Esterbrook spojrział na matkę Gwen, rozpostarł ramiona w bezgłośnym, bezradnym geście i cofnął się o kilka kroków, oddalając się od broni.

- Nie - warknęła matka. - Nie. - Postąpiła trzy kroki ku nieprawdopodobnie kosztownym drzwiom, wykonanym z drewna pochodzącego ze śmiercionośnej, spowitej mgłą powierzchni i wyposażonym w mosiężne okucia. Obróciła klucz, by je zamknąć, a potem wyciągnęła go z dziurki i wróciła na miejsce, unosząc podbródek z oburzenia. — Masz mnie słuchać, dziecko.

- Doprawdy, mam - odparła Gwendolyn. — Jak tak dalej pójdzie, zrujnują nas wydatki na nowe dekoracje.

Rękawica zawyła po raz drugi i część drzwi zamieniła się w drzazgi oraz powykęcany metal. Reszta wypadła z mosiężnych zawiasów i poleciała w głąb korytarza, odbijając się od podłogi, zanim na nią spadła.

Gwendolyn uniosła rękę w ten sposób, że kryształ znalazł się na wysokości jej twarzy, i ruszyła spokojnie w stronę wyjścia. Zbrojni leżący na podłodze za jej plecami zaczęli się podnosić z jękiem. Poczuli nagłą ulgę - Nie chciała zrobić im poważnej krzywdy, a Benedict ostrzegał ją, że w przypadku ciosów w głowę nigdy nic nie wiadomo.

- Nie - wydyszała matka, gdy dziewczyna przechodziła obok niej. - Gwendolyn, nie. Nie możesz. Nie zdajesz sobie sprawy, jakie okropności mogą cię spotkać.

Oddychała bardzo szybko i...

Miłosierni Budowniczo!

Matka płakała.

Dziewczyna się zawahała. Stanęła.

- Gwendolyn - wyszeptała matka. - Proszę. Jesteś moim jedynym dzieckiem.

- Zatem ktoś inny mógłby bronić w służbie honoru Lancasterów?

Dziewczyna przyjrzała się twarzy matki. Łzy zostawiły wyraźne ślady w cienkiej warstwie pyłu.

- Proszę, nie odchodź.

Gwendolyn się zawahała. Rzecz jasna miała ambicje i rezerwę, jak przystało Lancasterom, ale — podobnie jak matka - miała też serce. Łzy były czymś bezprecedensowym. Do tej pory tylko raz widziała, by jej matka się rozplakała, a i to ze śmiechu.

Może powinna była... lepiej się zastanowić nad tym, jak podejść do decyzji o zaciągnięciu się. Nie było już jednak czasu na dyskusje. Dziś rano miała złożyć przysięgę.

Spojrzała matce w oczy, starając się, by jej głos zabrzmiał jak najłagodniej. Nie będzie płakała. Po prostu nie będzie. Nawet jeśli zbierało się jej na płacz.

- Bardzo cię kocham - rzekła cicho.

Lady Lancaster śledziła wzrokiem oddalającą się córkę. Oczy miała pełne łez. Zaczekała, aż wielkie frontowe drzwi rezydencji zamkną się głośno, nim wreszcie spojrziała na Esterbrooka.

- Dobrze się czujesz, kapitanie?

- Dobrze, choć przyznaję, że jestem nieco zaskoczony - odparł. - Chłopaki?

Jeden ze strażników dotknął policzka i skrzywił się mocno.

- Lady Gwen jest bolesna - mruknął.

- Nie okazaliście przeciwnikowi należnego szacunku - skwitował Esterbrook z rozbawieniem w głosie. - Idźcie na śniadanie. Potem poćwiczymy rzuty na matę.

Obaj mężczyźni oddalili się z zawstydzonymi minami. Kapitan przyglądał się im z wyraźnym

zadowoleniem. Nagle mrugnął znacząco do lady Lancaster.

- Pani... ty płaczesz?

- Pewnie, że tak - odparła z dumą w głosie. - Widziałeś to? Skutecznie przeciwstawiła się waszej trójce.

- A nawet czwórce - poprawił ją delikatnie kapitan.

- Gwendolyn nigdy nie miała problemu ze sprzeciwianiem się mnie - odparła z przekąsem lady Lancaster.

Esterbrook chrząknął.

- Nadal nie rozumiem, po co ci była potrzebna ta dramatyczna scena.

- Znam własną córkę i wiem doskonale, że jeśli chcę mieć absolutną pewność, że coś zrobi, muszę jej tego zabronić.

- To mi przypomina kogoś innego, kto również uparł się, że wstąpi do służby, pani - rzekł Esterbrook.
- Kto to mógł...

- Byłam wtedy bardzo młoda i krnąbrna, o czym dobrze wiesz. Ale z pewnością nie opuściłam domu w ten sposób.

- W rzeczy samej - zgodził się kapitan. - O ile dobrze sobie przypominam, zniszczyłaś po drodze troje drzwi, nie tylko jedno.

Lady Lancaster spojrzała na niego, pociągając nosem.

- Doprawdy, Esterbrook. Jestem prawie pewna, że przesadzasz.

- I chyba z sześć posągów.

- To były tylko niegustowne kopie.

- I dziesięć stóp kamiennego muru.

- Matka stała w drzwiach. Jak inaczej mogłabym wyjść?

- Tak, pani — odparł z powagą Esterbrook. — Dziękuję, że wyprowadziłaś mnie z błędu. Teraz widzę, że nie ma porównania.

- Byłam pewna, że się ze mną zgodzisz. Jesteś rozsądnym człowiekiem.

- Tak, pani. Ale... - Kapitan zmarszczył brwi. — Rozumiem, że chciałaś ją skłonić do wstąpienia do służby, ale chyba nie bardzo wiem dlaczego.

Lady Lancaster przez chwilę przyglądała się mu w zamyśleniu. Esterbrook był lojalnym żołnierzem i bezcennym domownikiem. Przez całe życie pozostawał jej sojusznikiem i przyjacielem... ale kocie oczy genetycznych wojowników z reguły skupiały się na najbliższym otoczeniu. Nie wątpiła, że gdyby wydała taki rozkaz, kapitan mógłby zamknąć oczy i podać jej dokładne położenie wszystkich znajdujących się w pokoju przedmiotów. Nie miałyby jednak pojęcia, gdzie stały przed ostatnią zmianą dekoracji, ani gdzie powinno się je umieścić teraz, gdy centralny posąg został zniszczony. Genetyczni wojownicy najlepiej radzili sobie z terażniejszością, podczas gdy ona - podobnie jak inni Lancasterowie przed nią - musiała zaprzętać sobie głowę daleką przeszłością oraz bliską przyszłością.

- W kasztelach zaczyna się poruszenie - odparła cicho. - Pojawiają się znaki i omeny. Co najmniej czterech aeronautów Floty melduje, że widziało Archaniola. Wszyscy przysięgają, że to nie był sen ani pijackie zwidy. Kasztel Aurora wycofał ambasadora z Kasztelu Albion, a między naszymi flotami doszło już do pierwszych potyczek. Na dolnych kondygnacjach narastają niepokoje i...

Esterbrook przechylił głowę.

- Pani?

- Krysztaly zachowują się... dziwnie.

Kapitan uniósł brwi z niedowierzaniem.

Lady Lancaster pokręciła głową.

- Nie umiem inaczej tego ująć. Pracowałam przy nich od wczesnego dzieciństwa i... coś jest nie w porządku. - Zwróciła się z westchnieniem ku zniszczonym drzwiom. - Idą mroczne czasy, stary

przyjacielu. Walka, jakiej nie widziano od strzaskania świata. Moje dziecko musi zobaczyć to na własne oczy, poznać tych, którzy przeciwstawią się katastrofie, uświadomić sobie, jaka jest stawka. Ten cel osiągnie tylko w służbie.

- Walka — mruknął Esterbrook. — Ona już jest nieodłączną towarzyszką lady Gwen.

Lady Lancaster zerknęła na zniszczone drzwi i na nadal unoszący się w powietrzu pył.

-Tak - przyznała cicho. - Boże w Niebiosach, Archaniołowie, Miłosierni Budowniczo, błagam, zaopiekujcie się moim dzieckiem.

ROZDZIAŁ 1

Statek Handlowy Albionu *Drapieżca*

Kapitan Grimm zdjął teleskop z prawego okularu masywnych gogli. Aurorański sterowiec był małą plamką, ledwie widoczną na tle gęstych chmur na dole. Unoszącemu się wysoko w aerosferze *Drapieżcy* osłonę zapewniał intensywny blask słońca. W mezosferze, warstwie gęstych chmur i mgły leżącej między nimi a nieprzyjacielem, szalał sztorm, ale mieli jeszcze szansę doścignąć wrogą jednostkę, zanim burza zakłóci działanie systemów statku.

Grimm skinął stanowczo głową.

- Damy się ponieść prądom. Na stanowiska. Wysunąć działa. Rozwinąć sieć, z góry, z dołu i po obu burtach. Tarcza na pełnej mocy. Kurs na aurorańską jednostkę.

— Sygnał „na stanowiska”! — ryknął porucznik Creedy. Rozległy się trzy szybkie uderzenia w dzwonek pokładowy, powtarzane raz po raz z narastającą głośnością. — Przygotować działa! - Rozkaz poniósł się echem po całym *Drapieżcy*. Artylerzyści popędzili do swoich wieżyczek. — Sieć ze wszystkich stron! - Noszący gogle, ogorzali od słońca mężczyźni odziani w skórzane stroje aeronautów, skoczyli na maszty i reje, potwierdzając krzykiem, że zrozumieli rozkaz. Creedy złapał za koniec tuby głosowej i zawołał:

— Maszynownia!

— Maszynownia, tak jest!—odpowiedział mu głos o blaszanym brzmieniu.

— Pełna moc do tarczy, panie Journeyman.

— Pełna moc do tarczy, tak jest! Ale powiedz kapitanowi, żeby ich załatwił, zanim zdążą jej dotknąć. Burza jest za blisko. Jeśli źle wyliczy czas, zostaniemy nadzy.

— Pamiętaj o dyscyplinie, panie Journeyman — odparł ostro Creedy.

- Pamiętam, ty idioto - warknął mechanik. - Nie ucz mnie mojej roboty, ty zarozumiały marynarzyku.

- Daj spokój, pierwszy - rzekł bardzo cicho Grimm. Uśmiechnął się, usłyszawszy odpowiedź tamtego, ale tylko lekko. Eteryiczny mechanik był po prostu zbyt wartościowy, by można go było zastąpić, i Journeyman świetnie o tym wiedział.

Wyższy, młodszy mężczyzna skrzywił się i skrzyżował ramiona na piersi.

- Powinien być przykładem dla innych ludzi w maszynowni, kapitanie.

Grimm wzruszył ramionami.

- Ale nie będzie, poruczniku. Nie da się wycisnąć krwi z kamienia. -Spokojnie splótł dłonie za plecami. - A poza tym może mieć rację.

Creedy przeszył go ostrym spojrzeniem.

- Kapitanie?

- To będzie bardzo ryzykowne - odparł Grimm.

Creedy przyjrzał się z uwagą aurorańskiemu sterowcowi i przełknął ślinę. To była jednostka klasy „Cortez”, wielki kupiecki statek, znacznie masywniejszy od *Drapieżcy*. Miał potężniejsze działa i grubszą tarczę. Choć budowane przez konkurencyjny kasztel sterówce klasy „Cortez” oficjalnie były statkami handlowymi, a nie okrętami wojennymi, to były dobrze uzbrojone i zdarzało się, że miały na pokładzie całą kompanię aurorańskiej piechoty powietrznej. Grimm był przekonany, że właśnie ten sterowiec odpowiada za niedawne straty zadane handlowej flocie Albionu.

- Przygotować się do abordażu, sir? - zapytał Creedy.

Grimm uniósł brwi.

- Nie brak nam śmiałości i odwagi, poruczniku, ale nie jesteśmy szaleńcami. Zostawimy to komandorowi Rookowi i jego przyjaciółom z Floty. *Drapieżca* to prywatna jednostka.

- Tak jest. Chyba lepiej będzie, jeśli zwiejemy stąd jak najszybciej.

- Przeoramy ich sieć, zepchniemy ich w dół, rzucimy boję i pozwolimy Rookowi zadbać o resztę — potwierdził Grimm. - Jeśli wydamy się w artyleryjski pojedynek, burza może nas dogonić i uszkodzić naszą tarczę.

- Ich tarczę również — zauważył Creedy. We Flocie oczekiwano, że dobry pierwszy oficer będzie grał rolę adwokata diabła, krytykującego plany kapitana. Grimm uważał ten zwyczaj za nieco irytujący. Gdyby nie to, że był winien przysługę siostrze Creedy'ego...

- Mają więcej dział od nas i do tego potężniejszych - odparł. - A także większą wyporność. Jeśli zawisniemy nieosłonięci naprzeciwko „Corteza”, nawet najgorszy z aurorańskich kapitanów bardzo szybko strąci nas na powierzchnię.

Creedy zadrżał.

- Tak jest, sir.

Grimm poklepał młodszego mężczyznę po ramieniu i uśmiechnął się do niego przelotnie.

- Spokojnie. Gdy Flota karze młodych oficerów tak surowo, robi to po to, by się upewnić, że po powrocie do służby nie popełnią już podobnego błędu. Przywróca ci pozycję. Gdyby nie zamierzali tego zrobić, po prostu by cię zwolnili. Wkrótce zamienisz *Drapieżcę* na porządnie opancerzony okręt.

- *Drapieżca* to dobry statek, kapitanie — zapewnił Creedy. — Po prostu trochę zbyt... delikatny, jak na mój gust.

Stanowczo mniej delikatny, niż ci się zdaje, pomyślał Grimm.

- Bez obaw, pierwszy. Nawet jeśli nie wrócimy do domu z przyzem, nagroda za uszkodzenie nieprzyjacielskiego statku i zostawienie go na pastwę Rooka będzie miłym dodatkiem do naszych zarobków. Co najmniej sto koron na głowę.

Creedy skrzywił się z niezadowoleniem.

- A Rook zgarnie setki tysięcy koron za przyz. I zapewni swojemu Domowi kilka nowych miejsc w Radzie.

Grimm zamknął oczy i uniósł lekko podbródek, gdy jego ludzie rozwijali niemal przezroczystą sieć z eterycznego jedwabiu. Nie musiał patrzeć, by wiedzieć, w jaki sposób sieć się zmieni, gdy przekaźniki mocy wypełnią ją elektrycznością. Poruszy się wtedy i uniesie, jakby nic nie ważyła. Sieć wychwytywała niewidzialne prądy energii eterycznej płynące przez aerosferę. Półprzezroczyste pasma jedwabiu otaczały statek ze wszystkich stron w odległości około dwustu stóp na podobieństwo wielkiej pajęczyny, przechwytywały moc niewidocznych eterycznych prądów płynących po niebie. *Drapieżca* ruszył naprzód. Smukły statek szybko nabierał prędkości. Wiatr się wzmaczał, zimny i suchy. Rzadkim powietrzem wstrząsnął odległy huk gromu.

Myśl, że komandor Hamilton Rook może zdobyć w kasztelu jeszcze większe wpływy, nie niepokoiła zbytnio Grimma. Nieszczególnie przejmował się polityką. Prostacy z różnych kaszteli mogli gryźć się między sobą, jeśli to im odpowiadało. Dopóki miał *Drapieżcę*, nie potrzebował niczego więcej.

Kettle, mężczyzna stojący za drążkami sterowymi kilka stóp wyżej za Grimmem i Creedy'm, zagwizdał krótko. Kapitan odwrócił się, unosząc brwi.

- Panie Kettle?

Posiwiął aeronauta wskazał podbródkiem w dół, na nadchodzącą burzę.

- Kapitanie, może powinienes zejść bardziej stromo niż zwykle. Przyciąganie szybciej doprowadzi nas do celu, a jeśli starcie nie pójdzie po naszej myśli, będziemy mogli przemknąć obok nich i zniknąć w chmurach.

- Nie zapominaj się, aeronauto - warknął Creedy. - Jeśli masz jakąś sugestię, możesz ją przekazać kapitanowi za moim pośrednictwem. Tak mówi regulamin Floty.

- Pierwszy, to nie jest okręt Floty - rzekł mu cicho Grimm. - To jest mój statek. Daj mi się zastanowić.

Propozycja pana Kettle'a miała sens. Zwiększona prędkość ułatwiłaby zadanie artylerzystom, ale ich statek był w dobrym stanie i nie powinien potrzebować cudownej celności, by wyłączyć z akcji nieprzyjacielską jednostkę przy ataku z zaskoczenia. Co więcej, rozpoczną walkę kilka chwil wcześniej, przed nadejściem burzy. Jeśli tarcza *Drapieżcy* pozostanie nietknięta, ich szanse będą wyglądały znacznie lepiej.

Creedy, który nie bladł nawet podczas najgwałtowniejszej burzy, zrobił się lekko zielony, usłyszawszy, co jego kapitan sądzi o regulaminie Floty. Obejrzał się jednak przez ramię na Kettle'a i dzielnie ponowił próbę wykonania tego, co uważał za swój obowiązek.

- Strome nurkowanie wydaje się niepotrzebne, sir. Najprawdopodobniej nawet nas nie zauważą, dopóki nie otworzymy ognia.

- Jesteśmy daleko od domu, pierwszy. Wolałbym nie polegać na prawdopodobieństwie. - Grimm skinął głową do pilota. - Zrobimy to po twojemu, panie Kettle. Przekaż artylerzystom, że mają przestawić działa.

-Tak jest.

Grimm przechylił głowę, zastanawiając się nad nasilającym się wiatrem.

- Panie Creedy, każ ludziom stawiać żagle.

Pierwszy oficer zamrugał ze zdziwienia.

- Kapitanie?

Grimm nie miał mu za złe tej reakcji. W dzisiejszych czasach niewiele sterowców posługiwało się żaglami. Gdy statek wypadł z aerofery albo znalazł się w obszarze ciszy, gdzie prądy eteryczne były za słabe, chętniej korzystano z napędzanych parą śmigieł albo nowoczesnych, podobnych do śrub turbin. Żagle miały jednak pewne zalety. Nie potrzebowały ciężkich, zajmujących wiele miejsca maszyn parowych i w porównaniu z nimi były też prawie bezgłośne.

To dziwne, jak często w życiu rozsądniej jest być cicho, pomyślał Grimm.

- Na razie niech będą zrefowane, ale chcę, żeby były gotowe.

- Tak jest - odparł Creedy z entuzjazmem jeszcze mniejszym niż przed chwilą. Przekazał jednak wiernie rozkazy.

Potem nie pozostało im właściwie już nic poza czekaniem, aż *Drapieżca* zajmie pozycję przed zejściem w dół. W skład standardowego wyposażenia bojowego wchodziła uprząż z licznymi punktami mocującymi. Lina bezpieczeństwa miała sześć do dziewięciu stóp długości, była spleciona z rzemieni, i na obu końcach miała zaciski. Gdy zabrzmiał sygnał „na stanowiska”, każdy był zobowiązany mieć przy sobie trzy takie liny. Grimm i Creedy przypięli po dwie do poprzeczek albo pierścieni, które w tym właśnie celu rozmieszczono na całym pokładzie sterowca.

Gdy już zaciągnęli mocno liny, kapitan zatrzymał się na chwilę, by poprawić mundur. Jako dowódca statku handlowego właściwie nie musiał go nosić, ale załoga zamówiła dla niego uniform po ich pierwszym, bardzo udanym ataku korsarskim. Wyglądał tak samo jak mundur Floty, tyle że skóra nie była granatowa ze złotą obwódką, lecz czarna z krwawoczerwoną. Końce rękawów długiego płaszcza zdobiły dwa szerokie pasy symbolizujące rangę kapitana sterowca. Srebrne guziki w kształcie czaszek były, zdaniem Grimma, lekką przesadą, musiał jednak przyznać, że nadają płaszczeni odpowiednio piracki wygląd.

Na koniec, jak zwykle, zaciągnął rzemień kapelusza, by umocować go bezpiecznie. Aeronauci uważali, że jeśli podczas nurkowania przed walką kapitanowi spadnie nakrycie głowy, przynosi to pecha, a on widział w swoim czasie zbyt wiele dziwnych rzeczy, by mógł być całkowicie wolny od przesądów.

Potrzebowali trochę czasu, by pokonać wielomilowy dystans dzielący *Drapieżcę* od aurorańskiego statku. Napięcie rosło z każdą chwilą, unosiło się w zimnym powietrzu, uwidaczniało się w sztywności pleców artylerzystów i aeronautów. Pojedynki sterowców były najbardziej niszczycielską postacią przemocy znaną człowiekowi i wszyscy na pokładzie o tym wiedzieli.

Grimm jak zawsze grał przypisaną mu rolę. Niepokój i strach można było tolerować. W końcu w tej sytuacji były one jedyną rozsądną reakcją. Strach był jednak chorobą, która często się szerzyła, paraliżując załogi i prowadząc do zniszczenia, którego wizja była jego źródłem. Kapitan nie mógł sobie pozwolić na takie luksusy. Ludzie musieli mieć pewność - nie tylko nadzieję, lecz absolutną pewność - że ich dowódca wie, co robi. Musieli wiedzieć, że kapitan jest niezwyciężony, nieomylny i klęska się go nie ima. Ta pewna, niezachwiana wiedza miała dla załogi kluczowe znaczenie. Pozwalała ludziom lekceważyć strach i skupiać się na obowiązkach, jak ich nauczono.

Ludzie zachowujący się tak, jak nauczono ich podczas szkolenia, nawet pośród piekielnej furii bitwy powietrznej, byli niezbędnym warunkiem zwycięstwa. Taka załoga ponosiła znacznie mniej strat w zabitych i rannych. Grimm wolałby rzucić się w dół z brzusznych masztów *Drapieżcy*, niż stracić na próżno choć jedną kroplę krwi załogi. Dlatego robił, co tylko mógł, by walczyli jak najdzielniej i jak najskuteczniej.

Czyli nie robił nic.

Stał spokojnie na pokładzie. Jego liny bezpieczeństwa były napięte, a dłonie splótł za plecami. Wpatrywał się przed siebie, absolutnie niczego po sobie nie okazując. Od czasu do czasu czuł omiatające go spojrzenia, ale stał bez ruchu, emanując spokojem i pewnością siebie.

Creedy próbował naśladować kapitana, lecz tylko z ograniczonym powodzeniem. Ścisnął jedną z poręczek tak mocno, że knykcie mu zbieleły, i zbyt mocno wydychał powietrze przez rozwarte nozdrza.

- Pierwszy, może włożyłbyś rękawiczki? — zasugerował cicho Grimm. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Creedy spojrzał na swe dłonie i natychmiast puścił poręcz. Pogrzebał w kieszeniach, szukając rękawiczek, i włożył je pośpiesznie.

Grimm nie mógł mieć pretensji do młodego oficera. To będzie dla niego pierwsza bitwa na pokładzie *Drapieżcy*, który był cywilnym statkiem.

Zbudowano go prawie wyłącznie z drewna, nie miał stalowych płyt powleczonych mosiądzem i miedzią, jakimi mogły się pochwalić okręty wojenne. Jeśli nieprzyjacielskie impulsy przebiją tarczę, każdy z nich spowoduje straszliwe uszkodzenia statku i straty w ludziach. Szczęśliwy strzał mógł nawet zniszczyć kryształ rdzenia, powodując eksplozję, która rozrzuci sterowiec i jego załogę na przestrzeni wielu mil.

Obawy Creedy'ego miały swe korzenie w wieloletniej służbie na okrętach Floty Kasztelu Albion. Wszystko, co wiedział, mówiło mu, że zmierza ku bitwie mogącej się skończyć zagładą obu przeciwników, a Grimm podejmuje straszliwe ryzyko.

Nie było jego winą, że nigdy dotąd nie walczył na *Drapieżcy*.

Nadszedł czas. Statek znalazł się w odpowiedniej pozycji, nieco więcej niż milę nad aurorańską jednostką.

- Sygnał do manewrów! - zawołał Grimm.

Pokładowy dzwon zaczął wybijać szybkie staccato, ostrzegając wszystkich, by zapięli liny bezpieczeństwa, nim zacznie się bitwa.

Kapitan poczuł, że jego usta rozciągają się w uśmiechu godnym wilka. Zaciśnął jeszcze mocniej rzemyk kapelusza przed rozpoczęciem nurkowania, a potem spojrzał w bok i skinął lekko głową.

— Panie Kettle, schodzimy w dół.

ROZDZIAŁ 2

SHA Drapieźca

Grimm stanął pewniej na nogach w chwili, gdy Journeyman odciął dopływ mocy do układu amortyzacji kryształu wznoszącego i *Drapieźca* runął z nieba niczym kamień.

Atak nurkujący był manewrem stosowanym przez małe jednostki. Sam upadek nie powodował poważnych szkód bez względu na rozmiary statku, ale nagła utrata prędkości pod jego koniec mogła przeciążyć drewniane elementy. Większe jednostki, wyposażone w znacznie cięższy pancerz, były bardziej narażone na tego typu naprężenia. Duży sterowiec musiał wytracać prędkość znacznie wolniej i w rezultacie często opadał tak nisko, że potem nie był w stanie szybko wrócić na wysokość przeciwnika. Naprawdę skuteczny atak nurkujący wymagał szybkiego, gwałtownego wytracenia prędkości i Grimm słyszał opowieści o pancernikach i drednotach, które próbowały tego manewru, a gdy starały się zbyt szybko wyhamować, ich kryształy wznoszące wyrwały się gwałtownie i spadały na powierzchnię. Rozsądni kapitanowie nigdy nie próbowali tego manewru na niczym większym od lekkiego krążownika, jednakże dla stosunkowo małego sterowca o rozmiarach niszczyciela, takiego jak *Drapieźca*, atak nurkujący pozostawał zasadniczym elementem doktryny.

Kettle mocno zaciskał dłonie na drążkach sterowych, zachowując stabilność statku dzięki płatom manewrowym zamontowanym na kadłubie i ogonie. Sieć eteryczna nadal ciągnęła *Drapieźcę* naprzód, ale teraz kierowała go również w dół, ku aurorańskiemu sterowcowi położonemu niemal dokładnie naprzeciwko stojącego wysoko na niebie słońca.

Wraz ze wzrostem prędkości pokład coraz gwałtowniej podskakiwał. Belki skrzypiały pod wpływem naprężeń. Sterowiec pochylał się coraz bardziej. Tylko liny bezpieczeństwa przytwierdzone do uprząży chroniły Grimma przed upadkiem. Po raz kolejny ucieszył się, że jest człowiekiem tylko średniego wzrostu. Biedny drągal Creedy próbował imitować stoicką postawę kapitana, ale nagłe wstrząsy pokładu miały jego głową na wszystkie strony.

Auroranin rósł z każdą chwilą. Dźwięki produkowane przez przeciążone belki *Drapieźcy* stawały się coraz głośniejsze i przybierały wyższą tonację. Każdy sterowiec brzmiał inaczej podczas nurkowania, choć nikt nie wiedział, dlaczego tak jest. Gdy Grimm był midszypmenem, służył na niszczycielu o nazwie *Cętka*, który opadając na ofiarę, zawodził niczym potępiona dusza. Inne statki piszczały jak gigantyczne gwizdki parowe, jeszcze inne wydawały z siebie rytmiczny łoskot, jakby ktoś bił w ogromny bęben. Grimm służył kiedyś na lekkim krążowniku *Wściekły*, który dosłownie warczał ogłuszająco, opadając na przeciwnika.

Żaden z nich nie dorównywał jednak jego statkowi.

Drapieźca śpiewał, ruszając do boju.

Świst szybkiego wiatru i nasilające się skrzypienie zlały się nagle w jedną, harmonijną melodię. Liny, reje i maszty drżały w tym samym rytmie, produkując własne nuty, pozostające w harmonii z pozostałymi. Tonacja wznosiła się wraz ze wzrostem prędkości, a muzyka z każdą chwilą stawała się coraz głośniejsza, aż wreszcie osiągała crescendo czystej, niesamowitej, nieludzkiej furii. Grimm czuł potężniejącą wokół muzykę, czuł, że sterowiec wyteża siły, pragnąc wykonać zadanie. Jego umysł z najdrobniejszymi szczegółami wyczuwał wszystkie liny, wszystkie płamy na pokładzie statku czy na skórzanych kombinezonach aeronautów. Czuł ruch mknącego naprzód i w dół sterowca, podmuch

towarzyszający jego pędowi oraz narastające przerażenie załogi. Jeden z ludzi krzyknął - ktoś zawsze musiał być pierwszy - i po chwili wszyscy przyłączyli się do pieśni *Drapieżcy*, mieszając swe bojowe okrzyki z głosem sterowca. Statek ich nie zawiedzie. Grimm był tego pewien, czuł to, tak samo jak blask słońca na twarzy czy wiatr targający jego włosami.

Wyczuwał też, że ich prędkość, kurs oraz pozycja są absolutnie bezbłędne.

-Teraz! - ryknął, unosząc ręce w szybkim, nagłym geście.

Kettle przesunął przepustnicę wysokości od zera do normalnej pozycji neutralnej wyporności i pociągnął mocno za drążki sterowe. Grimm tego nie widział, ale wiedział, co się dzieje. W maszynowni zobaczono wskaźnik przepustnicy i Journeyman oraz jego pomocnicy przekazywali już moc z kryształu rdzeniowego z powrotem do kryształu wznoszenia. Sterowiec zaczął zwalniać z gwałtownym jękiem.

W tej samej chwili *Drapieżca* obrócił się wokół długiej osi i przechylił na lewą burzę, kierując działa po tej stronie na aurorański statek. Nawet widziany przez ciemne szkła gogli rozbłysk siedmiu eterycznych dział był tak jasny, że Grimm skrzywił się boleśnie i odwrócił wzrok. Impulsy pomknęły z hukiem ku Auroranom.

Każde działło było szkieletem z miedzi i mosiądzu otaczającym lufę z powleczonej miedzią stali. Dokładnie w połowie długości lufy na miedzianych drutach zawieszono zestaw kryształów bojowych. Uaktywniona broń działała w taki sam sposób jak zwyczajna rękawica, tyle że na znacznie większą skalę. Potem impuls wzmacniano energią kryształu artyleryjskiego, co razem składało się na czyste zniszczenie.

Impuls wystrzelony z działa uwalniał po uderzeniu w cel wielką ilość energii. Tylko jeden wystrzał z któregoś z dział *Drapieżcy* mógłby spalić większą część nieopancerzonego statku, jeśli tylko trafi w odpowiedni punkt. Przeciwno aurorańskiemu sterowcowi zwróciło teraz swą furię siedem takich dział. Wszystkie były wymierzone w szczyty masztów, na których wspierała się sieć eteryczna otaczająca nieprzyjacielski statek. Grimm przyglądał się uważnie, czekając na rezultaty pierwszej salwy.

Teoretycznie impulsy lekkich dział *Drapieżcy* mogły mieć skuteczny zasięg do prawie dwóch mil. W praktyce jednak potrzeba było nieruchomego pokładu, nieruchomego celu, dobrze wyszkolonych artylerzystów oraz sporej dawki szczęścia, by trafić coś z odległości przekraczającej pół mili, być może trochę większej, jeśli użyli cięższego działa pościgowego - jedyne dział średniego kalibru, w jakie był wyposażony *Drapieżca*. Obrona lekkiego sterowca opierała się na jego szybkości i zwrotności. Takie jednostki rzadko posuwały się naprzód stałym kursem podczas bitwy. Tego typu wykalkulowana wymiana ognia była odpowiednia dla cięższych okrętów, zdolnych wytrzymać wiele trafień i wyposażonych w działa dziesięć razy potężniejsze od dział *Drapieżcy*.

Wszyscy artylerzyści Grimma byli doświadczonymi aeronautami służącymi niegdyś we Flocie i w niczym nie ustępowali załogom okrętów pozostających w czynnej służbie. Choć *Drapieżca* był szybki, cel dzieliło od niego zaledwie dwieście jardów, a artylerzyści dokładne wiedzieli, pod jakim kątem Kettle pochylił sterowiec.

Żadna jednostka nie zdołałaby się uchylić przed salwą burtową z takiej odległości. Ledwie można było zobaczyć rozbłysk dział napastnika. Wszystko po prostu działo się zbyt szybko. Błysk, ślad gorejącej komety ciągnącej za sobą ogon z iskier, a potem uderzenie w cel i wszystko to niemal w tej samej chwili.

Ani jedno działło nie chybiło.

I ani jeden strzał nie dotarł do celu.

Jakieś dwadzieścia jardów od nieprzyjacielskiego sterowca rozjarzyła się ściana szmaragdowego blasku. Impulsy uderzyły w aurorańską tarczę.

Tarcza była polem energetycznym generowanym przez rdzeń mocy pokładowego kryształu. Gdy uderzał w nią impuls wystrzelony z działa, zaczynała świecić niby mglista sferyczna chmura poprzesywana błyskawicami. Pochłaniała nadchodzące impulsy i rozpraszała je bezpiecznie, zanim zdążyły uderzyć w statek. Tarcze były wielkim obciążeniem dla rdzenia, szybko wyczerpywały jego zasoby energii. Nie sposób było latać z całą czas włączoną tarczą.

Grimm otworzył szeroko oczy. Czas się nagle dla niego zatrzymał.

Impulsy z dział *Drapieżcy* wdarły się głęboko w nieprzyjacielską tarczę, docierając niemal do kadłuba Auranina, ale nie wyrządziły żadnych szkód.

Nieprzyjaciel miał włączoną tarczę.

To znaczyło, że widział nadlatującego *Drapieżcę*.

A to znaczyło, że ich obserwował.

To z kolei znaczyło, że chciał, by go zauważono. Unosił się leniwie na powolnym prądzie tuż nad mezosferą jak idealny cel i był gotowy odpowiedzieć ogniem na ogień.

W tej samej chwili, gdy przez jego głowę przemknęły te myśli, Grimm zauważył, że Auranin wypuścił sygnałne flary - jakby ogłuszający huk dział nie zdążył już ostrzec jego sojuszników.

Creedy krzyknął z wściekłości. Najwyraźniej doszedł do takich samych wniosków jak Grimm. Zapewne sądził też, że to będzie jego śmiertelny okrzyk. W końcu nieopancerzony sterowiec wielkości *Drapieżcy* z pewnością nie oprze się pełnej salwie Auranina.

Po chwili nieprzyjaciel otworzył ogień.

Pokład niemal zniknął w rozbłysku tarczy *Drapieżcy*, Auranin miał na jednej burcie dwanaście dział, a nawet jeśli pojedynczo były nieco mniej potężne od siedmiu dział albiońskiego sterowca, różnica była ledwie zauważalna. Nieprzyjacielskie impulsy rozświetliły tarczę *Drapieżcy*, upodabniając ją do gęstej mgły. Blask zniknął tak szybko, że ledwie można było go zauważyć.

Ale tarcza nie pękła. Powstrzymała atak zaledwie kilkanaście stóp od kadłuba. Nad pokładem uniósł się intensywny zapach ozonu.

Krzyk Creedy'ego ucichł, przechodząc w zdławiony, wyrażający szok charkot.

Grimm będzie mógł śmiać się z tego później - pod warunkiem, że przeżyje kilka następnych chwil. Na razie musiał wykonać manewr, a potem umknąć z pułapki.

- Kettle! — ryknął kapitan, wykonując jednocześnie gesty obiema rękami - zejść niżej i schowaj nas we mgle!

- Tak jest, sir! — odpowiedział doświadczony pilot. Stał pewniej na nogach i pociągnął mocno za drążki sterowe. Zaciskał zęby, a mięśnie szyi uwydatniły mu się z wysiłku.

Drapieżca opadł na Auranina z prawej strony. Teraz, gdy znaleźli się poniżej nieprzyjaciela, Kettle ponownie obrócił statek, kierując działa prawej burty ku dolnej części kadłuba oraz brzuszemu olinowaniu aurorańskiego sterowca.

Działa *Drapieżcy* raz jeszcze głośno wyraziły swą furję. Tym razem jednak wyglądało to inaczej. Podporucznik Hammond, dowodzący artylerią na prawej burcie, zauważył nieprzyjacielską tarczę i w ciągu kilku sekund między tym zdumiewającym odkryciem a otwarciem ognia zdążył zmienić rozkazy. Działa *Drapieżcy* wystrzeliły kolejno, jedno po drugim - a wszystkie celowały dokładnie w śródkręcie.

Ostrzał sekwencyjny był od dawna stosowaną metodą przebijania nieprzyjacielskiej tarczy, wymagał jednak wielkich umiejętności. Pierwszy strzał rozbijał zewnętrzną warstwę, tworząc w niej zagłębienie. Drugi wbijał się głębiej. Potem przychodziła kolej na trzeci, czwarty i tak dalej.

Szósty impuls przypalił kadłub nieprzyjacielskiego sterowca, zostawiając na nim czarne ślady.

Siódmy eksplodował w samym środku jego dolnej powierzchni.

Rozległ się huk uwolnionej energii. Towarzyszył mu piekielnie jasny rozbłysk. Fragment kadłuba o średnicy dobrych trzydziestu stóp po prostu zniknął, zmieniając się w chmurę sadzy i śmiercionośnych odłamków. Odpryski pomknęły niczym włócznie do wnętrza sterowca, niesione podmuchem. Pożar ogarnął fragmenty kadłuba otaczające otwór i szalał w odsłoniętych wnętrznościach aurorańskiego statku. Połamane maszty brzuszne odpadły od kadłuba i zaplątały się w olinowanie, a także w migotliwe, ledwie widoczne nici brzusznej sieci. Nagły wstrząs oraz zniknięcie sieci zakłóciły równowagę sterowca, przesuwając jego środek ciężkości. Statek przechylił się mocno na lewą burtę. Wybuch rozbił też jeden z dwóch brzusznych stabilizatorów, i gdy statek się zakołysał, zaczął też myszkować.

Creedy, Kettle i wszyscy obecni na pokładzie członkowie załogi zakrzyknęli głośno i triumfalnie. Choć z pewnością nie zadali nieprzyjacielowi śmiertelnego ciosu, na pewien czas okaleczyli go poważnie. Aurorański sterowiec nadal jednak pozostawał groźny. Miał więcej dział od nich, krwawił, ale krył się za nietkniętą w przeważającej części tarczą. Niemniej w pojedynku między dwoma statkami przewaga należała teraz do *Drapieżcy*.

Grimm nie patrzył już na nieprzyjacielski statek. Auroraninem wstrząsały kolejne eksplozje. Migotliwe rozbłyski eterycznej energii odnalazły gdzieś czynne kryształy — zapewne w rękawicach przechowywanych w zbrojowni. Kapitan skierował jednak teleskop w drugą stronę. Jego wzmocniony soczewkami wzrok wypatrywał na otaczającym niebie wezwanej przez nieprzyjaciela odsieczy.

Z mgieł mezosfery wyłonił się drugi sterowiec. Z jego drzewc i olinowania spływały mroczne obłoki, zsuwające się też z opancerzonych burt, które zaśniły nagle w jasnych promieniach słońca. Na grzbietowych i brzusznych masztach dumnie powiewały bandery Armady Kasztelu Aurora - dwa niebieskie pasy na białym polu i pięć szkarłatnych gwiazd rozsianych między nimi. Na dziobie napisano złotymi literami OAA *Itasca*.

Na ten widok w kości Grimma wniknął chłód. *Itasca* była legendarnym okrętem. Pozostawała w służbie od z górą pięciuset lat. Auroranie uważali ją za nagrodę przyznawaną doświadczonym kapitanom zbliżającym się do stopnia admirałskiego. Grimm nie przypominał sobie w tej chwili nazwiska jej aktualnego dowódcy, z pewnością jednak zaliczał się on do najlepszych w Armadzie.

Co gorsza, *Itasca* była krążownikiem liniowym, okrętem skonstruowanym z myślą o polowaniu na jednostki takie jak *Drapieżca* i rozbijaniu ich na chmury lśniących odłamków. Mogła z łatwością wytrzymać ostrzał mniejszego statku, a jej działa - mniej więcej czterokrotnie potężniejsze od dział *Drapieżcy* i niemalże dorównujące uzbrojeniu pancernika - potrzebowały tylko jednej salwy, by przebić ich tarczę i zniszczyć cały sterowiec razem z załogą. Co więcej, pancierz i tarcza *Itaski* pozwalały jej prowadzić ostrzał z odległości, jakiej *Drapieżca* nigdy nie mógłby dorównać. Jeszcze gorszy był fakt, że pancerny okręt miał wiele rdzeni mocy i był w stanie transportować, rozwijać oraz zaopatrywać w energię sieć znacznie dłuższą od sieci *Drapieżcy*. Mimo większej masy nieprzyjaciela, Grimm może nie zdołać mu umknąć, nim potężne działa krążownika liniowego położą przedwczesny kres wyścigowi.

Jedynym, co im sprzyjało, był ślepy fart - aurorański okręt wyłonił się z mgły prawie dwa tysiące jardów od nich. Grimm zauważył jednak, że gdyby *Drapieżca* zaatakował pod standardowym kątem zamiast spróbować śmielszego manewru zaproponowanego przez Kettle'a, od dział *Itaski* dzieliłoby ich zaledwie sto jardów. Nieprzyjacielski kapitan — kimkolwiek mógł być - trafnie wybrał pozycję. W końcu albioński korsarz mógł opaść na kupiecki statek pod dowolnym kątem, a on nie mógł wiedzieć, z której strony nadejdzie atak. Mimo to zdołał przewidzieć zachowanie Grimma. Na tego typu uśmiech fortuny sprytni kapitanowie potrafili zapracować własnymi siłami.

- Kettle! - warknął Grimm. - Nurkuj!

Pilot posłuchał go natychmiast. Sięgnął ku przepustnicy, mrugając z zaskoczenia, ale potem spojrzął za plecy kapitana i zobaczył *Itaskę*. Okręt obracał się już, kierując ku nim swe potężne działa.

Drapieżca opadł gwałtownie. Nie było czasu na ostrzeżenie przed manewrem i wielu członków załogi dało się zaskoczyć. Grimm zauważył, że podporucznik Hammond uniósł się nagle nad pokład, połączony z nim tylko jedną liną bezpieczeństwa. Oficer z pewnością biegał wzdłuż linii swych artylerzystów, pośpiesznie wydając im instrukcje mające umożliwić powtórzenie manewru z ogniem sekwencyjnym. Kapitan podziękował Bogu w Niebiosach, że Hammond pomimo pośpiechu pamiętał o zapięciu choć jednej liny.

Przez moment Grimm sądził, że udało się umknąć przed starciem z *Itascą*, ale w tej samej chwili, gdy *Drapieżca* dotarł do najwyższej warstwy chmur, Auroranin otworzył ogień.

Statek Grimma stanowił stosunkowo mały cel. Masą ledwie przerastał niszczyciela. Do tego poruszał się szybko i oddalał od przeciwnika pod kątem. Przy tak dużej odległości artylerzyści musieliby się

wykazać piekielną biegięcią, żeby trafić w cel, zwłaszcza że ich oczy przywykły do półmroku mgły, a przed chwilą wyłonili się nagle w rozświetloną blaskiem słońca aerosferę.

Ktoś na *Itasce* umiał naprawdę dużo. Albo miał szczęście.

Impuls z ciężkiego działa aurorańskiego okrętu wybił dziurę w tarczy *Drapieżcy* równie łatwo jak kamień ciśnięty w pajęczynę, a potem eksplodował na szczycie tylnego masztu grzbietowego. Tylko ostry kąt, pod którym nurkował albioński sterowiec, uratował go przed zniszczeniem. Wybuch całkowicie oderwał grzbietowe maszty i chciwie pochłonął sieć po tej stronie, tworząc pajęczynę ognia. Odłamki drewna posypały się na wszystkie strony. Grimm słyszał krzyki ludzi, gdy chmura śmiercionośnych pocisków posypała się na załogi dział po prawej burcie. Jeden z odłamków uderzył w główny kryształ dział numer trzy. Rozbłysło białozielone światło. Eksplozja zabiła załogę dział i zostawiła w burcie statku dziurę szeroką na dobre dwanaście stóp. Przy sąsiednim dziale artylerzysta nazwiskiem Aricson krzyknął rozpaczliwie, gdy fragment kadłuba, do którego były przytwierdzone jego liny bezpieczeństwa, odpadł od statku i poleciał w dół, pociągając go za sobą. Jeszcze przez chwilę było słychać jego przeraźliwy wrzask. Potem aeronautę i jego głos pochłonęła mgła. Po chwili skłębione morze chmur w całości połknęło *Drapieżcę*.

- Manewry unikania! - rozkazał Grimm. Odległy huk dział *Itaski* nie milknął. Kapitan słyszał też gniewny syk przeszywających mgłę impulsów. Tylko dzięki fartowi udało im się przeżyć jedno trafienie w maszt, a teraz trzydzieści dział ostrzeliwało mgłę, wypełniając ją upiornym blaskiem. Grimm wiedział, że nieprzyjacielski okręt przechylił się na prawą burtę, by dać swym artylerzystom szansę ostrzeliwania ich przewidywanej trasy. Jeśli któremuś z nich znowu się poszczęści, *Drapieżca* nie wróci do Kasztelu Albion.

Kettle gwałtownie poruszał dźwigniami sterowymi. Ze wszystkich stron otaczała ich zimna mgła. Statek mknął slalomem w dół mezofery, podczas gdy Grimm, nie pozwalając sobie na wstrzymanie oddechu, czekał na impuls, który zniszczy *Drapieżcę* z całą załogą. Sterowiec cały czas wypełniał mgłę nieustępliwym śpiewem o tonacji zmieniającej się przy każdej korekcie kursu. Ow dźwięk ciągnął się za nimi niczym drwiący śmiech.

Grimm zaciskał pięści i zgrzytał zębami. W zasadzie nie miał nic przeciwko takiemu zachowaniu swego statku, lecz czasami wolałby, by *Drapieżca* umiał myśleć, a nie tylko drwić z nieprzyjaciela. Nic jednak nie mógł na co poradzić. Musiał po prostu wierzyć w to, że mgły mezofery stłumią dźwięk i utrudnią lokalizację jego źródła, co uniemożliwi artylerzystom *Itaski* namierzenie celu.

Czekał tak długo, jak tylko się odważył, prawie minutę.

- W górę! — zawołał wreszcie.

Kettle przekazał sygnał do maszynowni i mknący szaleńczo w dół statek zaczął zwalniać. Po kilku uderzeniach serca wyrównał lot. Wszyscy na pokładzie czekali bezgłośnie, podczas gdy Kettle próbował nadać stateczność uszkodzonemu sterowcowi.

Po chwili Grimm wypuścił powoli powietrze z płuc i pochylił głowę. Potem uniósł ze znużeniem rękę i zdjął gogle. Zimne wilgotne powietrze lepiło mu się do skóry wokół oczu.

- Nie ścigają nas - wydyszał z ulgą Creedy i również zdjął gogle.

- Pewnie, że nie. *Itasca* jest na to zdecydowanie za duża - odparł kapitan. Jego głos zabrzmiał słabo i ochryple. Czuł się tak, jakby zamiast szyi i barków miał sztaby mosiądzu. - Taki potwór nie może nurkować z szybkością *Drapieżcy*. Zresztą żaden aurorański kapitan nie próbowałby nas szukać w tej mgle. Bałby się ośmieszenia. Wyścig dwóch ślepców ma w sobie mało godności.

Pierwszy oficer prychnął przez nos.

- Kontrola obrażeń - rozkazał cicho Grimm, odpinając liny ratunkowe. - Dopilnuj, żeby doktor Bagen miał wszystko, czego potrzebuje, żeby pomóc rannym. Sprawdź stan. Będę w swojej kajucie.

Creedy skinął głową i rozejrzał się powoli.

-Sir?

Grimm się zatrzymał.

-Tarcza *Drapieżcy...* jest bardzo potężna, jak na tak mały statek.

Młody oficer właściwie nie zadał pytania, ale i tak zawisło ono w powietrzu. Grimm nie lubił wykręcania się od odpowiedzi. To utrudniało życie. Choć porucznik sprawiał wrażenie porządnego człowieka, nie był gotowy zaufać mu aż tak bardzo. Jeszcze nie.

— Proszę zająć się statkiem, panie Creedy - odparł, obrzucając pierwszego oficera pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

Creedy stanął na baczność i oddał mu honory z godną Akademii precyzją.

-Tak jest, kapitanie.

Grimm odwrócił się i ruszył do swej kajuty. Zamknął za sobą drzwi i usiadł na koi. Bitwa się skończyła.

Dłonie zaczęły mu się trząść. Wkrótce dołączyły do nich ramiona, a potem brzuch. Mężczyzna podciągnął kolana do piersi i siedział przez chwilę bezgłośnie, drżąc z przerażenia i ekscytacji, których nie pozwolił sobie odczuwać podczas bitwy.

W jego głowie niosły się echem krzyki Aricsona. Zamknął oczy. Fioletowa plama eksplozji działa numer trzy wypalona na jego siatkówce unosiła się w ciemności.

Głupota. Był głupi. Wydierał Auroranom wielkie zyski i było nieuniknione, że prędzej czy później postanowią coś w tej sprawie zrobić. Jakiś idiota mógłby powiedzieć, że fakt, iż wysłali przeciwko niemu *Itaskę*, był prawdziwym komplementem. Tenże idiota nie musiałby jednak przekazywać rodzinom zabitych kondolencji oraz wypłacać pośmiertnych odpraw. Grimm wiedział, że jego decyzje były słuszne, biorąc pod uwagę to, co wiedział w danej chwili. Niemniej niektórzy z jego ludzi zginęli z tego powodu.

Stracili życie dlatego, że on wydał rozkazy, a oni je wykonali. Wszyscy zdawali sobie sprawę z ryzyka. Każdy z nich służył kiedyś we Flocie. Wszystko mogło się zakończyć znacznie gorzej, ale to zbytnio nie pocieszy świeżo upieczonych wdów czekających w kasztelu.

Drżał, pełen żalu, i obiecywał ceniom poległych, że nie popełni drugi raz tego samego błędu.

Był kapitanem.

Gdy przyszedł Creedy z meldunkiem o stratach. Grimm wziął się już w garść.

- Kapitanie - odezwał się z szacunkiem młody oficer. - Uważam, że twoje osiągnięcia nie spotkały się w domu z należytych uznaniem.

- Doprawdy?

- Tak, kapitanie - zapewnił Creedy. W jego głosie zabrzmiał kontrolowany podziw. - No wie pan, Auroranie wysłali *Itascę*, żeby złapać w pułapkę jeden korsarski sterowiec... jeśli się nad tym zastanowić, to prawdziwy komplement, kapitanie.

Grimm westchnął.

- Kapitan Castillo to jeden z ich najlepszych dowódców - ciągnął Creedy. - Jego atak był prawie bezbłędny, ale wymknąłeś mu się z garści między palcami. Gdybyś był kapitanem Floty, zasłużyłbyś na nagrodę za...

Twarz Creedy ego poczerwieniała. Młody oficer umilkł.

- Człowieka mogą spotkać gorsze rzeczy niż wywalenie z Floty, pierwszy - rzekł cicho Grimm. - Najpierw straty, a potem raport o uszkodzeniach. Czy jest bardzo źle?

- Nie najlepiej - przyznał Creedy. - Pięciu zabitych i sześciu rannych. Głównie odłamki i wstrząśnienie mózgu u jednego aeronauty z maszynowni, który zbyt szybko odłączył drugą linę.

Grimm skinął głową.

- A statek?

- Z grzbietowych masztów zostały tylko kikuty. Musielibyśmy dotrzeć do statkowni, żeby zastąpić je nowymi. Byliśmy też zmuszeni zrzucić olinowanie, co znaczy, że straciliśmy większą część grzbietowej

sieci. W pokładzie działowym jest dziura po dziale numer trzy To również da się naprawić tylko w statkowni. Straciliśmy też dwie liny w układzie amortyzacji kryształu wznoszącego.

Grimm wciągnął powoli powietrze w płuca. Układ amortyzacji był centralną strukturą statku, zbudowaną wokół głównego kryształu wznoszącego. Wspierał się na nim cały ciężar sterowca, rozkładający się między linami układu. Było ich osiem, a do utrzymania ciężaru całego statku powinny wystarczyć dwie... ale im więcej ich pękało, tym bardziej prawdopodobne było, że z pozostałymi stanie się to samo, zwłaszcza podczas manewrów na wysokiej prędkości. Strata liny czasami się zdarzała, ale nie wolno było traktować jej lekko.

- Mam wrażenie, że najlepsze zachowałeś na koniec, pierwszy — stwierdził Grimm.

Creedy skrzywił się boleśnie.

- Pierwszy mechanik Journeyman mówi, że w głównym kryształcie wznoszącym pojawiły się pęknięcia.

Grimm ledwie zdołał się powstrzymać przed siarczystym przekleństwem. Zamknął oczy.

- To drugie nurkowanie, tak szybko po pierwszym.

- Tak brzmi jego teoria, sir. Odciał dopływ mocy do kryształu wznoszącego i skierował ją do kryształów stabilizujących, żebyśmy mogli zachować wyporność.

Grimm uśmiechnął się blado i otworzył oczy. Nie zdobyli nagrody za przyz ani żadnych łupów. Kryształy stabilizujące, pomagające poprawiać położenie sterowca, były drogie, a wykorzystywanie ich do unoszenia statku szybko je zużywało. Niemniej zakup nowych wchodził w skład standardowych kosztów operacji. Z dużymi kryształami, wystarczająco potężnymi, by utrzymać statek w powietrzu, sprawy miały się inaczej. Były znacznie rzadsze i piekielnie drogie. Tylko rdzeń statku kosztował więcej, zakładając, że zdołałby go dostać. Skąd weźmie na to pieniądze?

- Rozumiem - rzekł Grimm. - Pewnie będziemy musieli je zastąpić. Może Flota szepnie słówko Lancasterom.

- Tak, sir - odparł Creedy z uśmiechem, w którym wyczuwało się raczej fałsz niż zgodę.

- No cóż, wygląda na to, że musimy wracać do domu — stwierdził Grimm. - Trochę wcześniej niż planowaliśmy, ale nic nie szkodzi.

- Czy mam wyznaczyć kurs na Kasztel Albion sir?

- Jesteśmy we mgle, pierwszy - przypomniał mu Grimm. - Nie możemy ustalić położenia, dopóki nie wrócimy na otwarte niebo. Gdzie z pewnością nadal szuka nas *Itasca*.

Przez portal do kabiny dotarł niski, jękliwy dźwięk. Po kilku sekundach jego tonacja zaczęła się wznosić, aż wreszcie przeszedł w coś w rodzaju wypalonego gwizdu, po czym ucichł.

Creedy wlepił wzrok w portal, oblizując wargi.

- Kapitanie, czy to...?

- Paszcza mgieł - potwierdził cicho Grimm.

- Hmm, czy ona nie jest groźna dla statku, sir?

- Może nas połknąć w całości - zgodził się kapitan. - Ale o tej porze roku zwykle nie są agresywne.

- Zwykle?

Grimm wzruszył ramionami.

- Jeśli postanowi nas pożreć, nic na to nie poradzimy, pierwszy. Nasze pukawki mogą ją co najwyżej rozjuszyć.

- Rzeczywiście są aż takie wielkie?

Grimm poczuł, że się uśmiecha.

- Tak. Aż takie wielkie. - Wciągnął powietrze w płuca, a potem wypuścił je powoli. - I przyciąga je sieć podłączona do mocy.

Creedy ponownie spojrział na portal.

- W takim razie może powinniśmy odciać dopływ mocy i zwinąć sieć, sir.

- Myślę, że to byłoby bardzo rozsądne, pierwszy - odparł Grimm. - Spodziewam się jednak, że Journeyman odłączył moc, gdy tylko wyszliśmy z lotu nurkowego. Rozwińcie żagle. Przez całą noc będziemy lecieli z wiatrem, a jutro wyjdziemy z mgły. Miejmy nadzieję, że *Itasca* nie będzie tam na nas czekała.

Creedy skinął głową. Kajutę po raz kolejny wypełnił niezwykle, przeciągły zew paszczy mgieł.

- Sir? Co możemy zrobić w sprawie bestii?

-Tylko jedno, pierwszy - odparł Grimm. - Siedzieć naprawdę bardzo cicho. - Skinął głową, kładąc Creedy'emu odejść. - Rozwińcie żagle - powiedział mu na pożegnanie. - Im szybciej zaczniemy się ruszać, tym prędzej wrócimy do Kasztelu Albion.

ROZDZIAŁ 3

Wieża Albion, Kondygnacja Poranka, Kadziownia Tagwynnów

Bridget ukryła się w słabo oświetlonych kryptach kadziowni, schowana w mrocznym kącie, z którego usunięto starą popękaną kadź. Wcisnęła plecy w ścianę, a kolana podciągnęła do piersi. Rzecz jasna było jej zimno. Tutaj zawsze panował chłód. Jednakże zauważała ów fakt dopiero wtedy, gdy się nad tym zastanowiła. Spędziła w tym pomieszczeniu zbyt wielką część życia, by mogło jej to naprawdę przeszkadzać.

— Bridget? — dobiegł ją od wejścia niski głos ojca. — Bridget, jesteś tu? Już czas.

Wcisnęła się jeszcze głębiej w róg. Głos odbijał się od niezliczonych szeregów kadzi, niosąc się po całej komorze. Dziewczyna wsparła głowę o zimną ścianę z żuźlowego kamienia. Uspokoiła ją jej solidność. Zamknęła oczy.

To był jej dom.

Nie chciała go opuszczać.

Znowu rozległ się głos ojca, niski i łagodny.

- Daję ci jeszcze parę chwil, dziecko. Ale potem wyjdź, proszę.

Nie odpowiedziała. Ojciec westchnął cicho. Po chwili drzwi komory się zamknęły i została sam na sam z cichym bulgotem kadzi oraz delikatnym blaskiem kilku kryształów luminowych nabytych z drugiej ręki.

To było niesprawiedliwe. Czuła się szczęśliwa, robiąc to, czym trudziła się od wczesnego dzieciństwa. To było porządne, użyteczne zajęcie. W końcu kadzie ojca produkowały najlepsze mięso w całej Kondygnacji Poranka. Gdyby nikt się nimi nie zajmował, ludzie musieliby głodować. A przynajmniej jeść gorsze mięso. Była dumna ze swoich umiejętności. Osobiście wolałaby głodować - a nawet umrzeć z głodu, gdyby okazało się to konieczne - niż jeść to gumowate paskudztwo, które produkowała Kadziownia Camdenów.

To było śmieszne. Jej rodzina nie zaliczała się do Wielkich Domów, chyba że w nudnym, formalnym sensie. Do licha, Bridget i jej ojciec byli ostatnimi żyjącymi potomkami rodu Tagwynnów i z pewnością nie kupowali sobie co tydzień nowych ubrań z eterycznego jedwabiu. W ogóle ich nie kupowali. Nie żyli lepiej niż przeciętni mieszkańcy Kondygnacji Poranka. Nie prosiła się o to, by mieć za przodka jakiegoś przesadnie ambitnego, krwiożerczego admirała, bez względu na to, jak wielką rolę odegrał w historii kasztelu. Ani jej, ani jej ojcu nie przysługiwały żadne specjalne przywileje.

Czemu więc miałyby się przejmować jakimś obowiązkiem wypływającym z przestarzałej, absurdalnie sztywnej tradycji?

Wyczuła w sobie mały płomień oburzenia i spróbowała go rozniecić, zrobić z niego coś większego i pełnego determinacji, ale on skurczył się i znowu zgasł. Poczowała się... mała z tego powodu.

Mogła sobie wmawiać różne rzeczy, ale znała prawdziwy powód, dla którego nie chciała spędzić roku w służbie kasztelana.

Rozległ się szelest, a potem bardzo cichy stukot. Uniosła wzrok i zobaczyła, że jedna z jej ulubionych istot zeskoczyła ze szczytu sąsiedniej kadzi, wylądowała niemal bezgłośnie kilka stóp od jej nóg i usiadła, kierując na nią wielkie zielone oczy.

- Dzień dobry, Rowl - rzekła dziewczyna głosem, który w jej własnych uszach zabrzmiał piskliwie, zwłaszcza w porównaniu z basem ojca.

Ciemnorudy kot zamruczał na przywitanie i podszedł bliżej. Bez zbędnych wstępów wskoczył na kolana Bridget, zatoczył władczy krąg i usiadł, nie przestając mrużyć gardłowo.

Bridget uśmiechnęła się i zaczęła drapać go delikatnie u nasady uszu. Mruczenie nasiliło się jeszcze, a oczy Rowla zmieniły się w wąskie zielone szparki.

- Nie chcę tego - odezwała się. - To niesprawiedliwe. Zresztą i tak na nic się tam nie przydam. Nie znam niczego poza kadziownią.

Rowl nie przestawał mrużyć.

- Nawet nie mamy rękawicy ani miecza, chyba żeby liczyć noże rzeźnicze. I nie mamy też pieniędzy, żeby je kupić. A nawet gdybyśmy mieli, w ogóle nie umiem się nimi posługiwać. Co miałabym robić w Gwardii Kasztelana?

Kot miał już dość drapania po uszach. Przeciągnął się i położył na grzbiecie. Gdy nie zaczęła go drapać natychmiast, trącił delikatnie jej dłoń miękką łapką. Bridget zajęła się jego piersią i brzuchem. Rozwalił się bezwstydnie, ciesząc się uwagą, jaką mu poświęcano.

-Ale... wiesz, jaki jest ojciec. Bardzo skrupulatnie przestrzega swych zobowiązań. Jeśli da słowo, zawsze go dotrzymuje. A jeśli postawi sobie jakiś cel, nie zadowala się samym jego osiągnięciem. Musi być najlepszy. Albo przynajmniej się starać. Odsłużył swój rok. Mówi, że to ważne, żebym ja również to zrobiła. - Westchnęła. - Ale to cały rok. Nie będę mogła się z nim widywać. Ani... ani z sąsiadami i innymi ludźmi z naszego korytarza.

Pochyliła głowę, czując, że jej twarz wykrzywia się w grymasie czystej rozpacz. Objęła Rowla, przytuliła go do siebie i zaczęła się lekko kołysać w przód i w tył.

- Małamyszko, gniesz mi futro - wyszeptał po paru chwilach kot.

Bridget poderwała się nagle z poczuciem winy. Usiadła prosto i rozluźniła uścisk.

- Och, nie chciałam. Wybacz mi, proszę.

Kot odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Wydawało się, że zastanawia się przez chwilę.

- Wybaczam - rzekł wreszcie.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. - Kot poruszył kilka razy ogonem. — Wierny Słowu chce, żebyś opuściła jego terytorium?

- Nie chodzi o to, że chce - odparła dziewczyna. — Jest przekonany, że to ważne, bym to zrobiła.

Rowl przechylił głowę.

- Zatem to obowiązek - stwierdził.

- On tak uważa.

- W takim razie nie ma się nad czym zastanawiać — skwitował koc. -Masz obowiązki względem ojca. A on ma obowiązki wobec swego wodza- Jeśli zgodził się wypożyczyć mu jednego ze swych wojowników, wojownik musi go posłuchać.

- Ale ja nie jestem wojowniczką - sprzeciwiła się Bridget.

Rowl przyglądał się jej przez chwilę. Potem przesunął głowę ku przodowi i potarł wąsatym pyszczkiem twarz dziewczyny.

-Jest wiele różnych rodzajów wojny, Małamyszko.

- A co to miało znaczyć? - zapytała Bridget.

- Jesteś młoda — wyjaśnił kot. — I mniej mądra od tych, którzy są starzy. Jestem mądrzejszy od ciebie i mówię ci, że powinnaś to zrobić. To oczywiste. Powinnaś ufać tym, którzy mają głowy mądrzejsze od twojej.

- Wcale nie jesteś ode mnie starszy - sprzeciwiła się.

-Jestem kotem - odparł Rowl pełnym samozadowolenia tonem. — To znaczy, że lepiej

wykorzystywałem swój czas.

- Och, jesteś okropny - zachnęła się Bridget.

-Tak. Jestem kotem. - Rowl wstał i zeskoczył na podłogę. Potem odwrócił się i spojrzał na dziewczynę, owijając ogon wokół łap — Dlaczego chcesz zhańbić i upokorzyć Wiernego Słowu? Czy pragniesz zmienić jego imię?

- Nie. Z pewnością nie - zapewniła Bridget. - Po prostu nie jestem taka jak on.

- Nie jesteś - zgodził się Rowl. — Dlatego musisz dorosnąć.

- Nie jestem już dzieckiem.

Kot rozejrzył się wkoło z zamyśloną miną i znowu spojrzał na nią.

- Zamiast spełnić obowiązek, ukrywasz się w najciemniejszym zakamarku najciemniejszego pomieszczenia w swym domu. To bardzo mądre. Bardzo dojrzałe.

Bridget łypnęła na niego ze złością i skrzyżowała ręce na brzuchu... ale nic nie powiedziała. Zachowywała się jak dziecko. Rowl miał rację. Z reguły ją miał, ale dlaczego musiał tak się tym przechwalać?

- Boisz się - stwierdził kot. - Boisz się opuścić terytorium, które znasz.

Dziewczyna poczuła, że oczy znowu wypełniają jej łzy. Skinęła głową.

- Dlaczego? - zapytał Rowl. - Jakie masz powody?

- Nie wiem - wyszeptała.

Kot siedział spokojnie, wlepiając w nią przenikliwe spojrzenie zielonych oczu.

Przygryzła wargę.

- Nie chcę być sama — wyszeptała.

-Ach - mruknął Rowl.

Potem odwrócił się i zniknął w głębokich cieniach wypełniających salę Bridget poczuła się jeszcze mniejsza, bardziej zmarznięta i samotna niż poprzednio.

Otarła oczy rękawem i przełknęła ślinę, by opanować ucisk w gardle. Potem wstała. Przez długą chwilę wspierała jeszcze dłoń o chłodną ścianę, próbując sobie wyobrazić, że znajome wrażenie wnika w nią i daje jej siłę. Rowl miał rację, na swój irytująco zarozumiały sposób. Jej rodzina miała obowiązki. Być może z Domu Tagwynnów nie zostało zbyt wiele, ale nadal byli dobrym Domem. Po wszystkim, co ojciec dla niej zrobił, po całej miłości, którą jej okazał po śmierci matki, była mu winna coś więcej. Nie przyniesie mu wstydu, nawet gdyby tylko on sam uważał, że ma się czego wstydzić.

To tylko rok. Tylko jeden... długi... niezwykły... samotny... przerażający rok.

Podeszła powoli do drzwi.

Gdy ojciec je otworzył, spojrzała na niego. Franklyn Tagwynn był potężnie zbudowanym człowiekiem o barach niemal dorównujących szerokością drzwiom. Ramiona miał grubsze od ud wielu mężczyzn, a mięśnie przechodzące w grubą kolumnę szyi przypominały kamienne płyty. Miał na sobie biały fartuch oraz pas z narzędziami do krojenia używanymi przez kadziowników. Jego rozczochrane włosy miały barwę nagiego żelaza, a oczy wypełniały znużenie i troska.

Spróbowała się do niego uśmiechnąć. Zasłużył na to.

Uśmiech, którym się jej odwdzieczył, również był znużony. Wiedziała, że nie udało się jej go nabrać. Nic nie powiedział. Uściskał ją tylko delikatnie. Objęła go i przytuliła się do jego ciepłego ciała.

- Moja odważna dziewczynka - rzekł. - Moja Bridget. Matka byłaby z ciebie dumna.

- Nie jestem odważna - sprzeciwiła się. - Bardzo się boję.

- Wiem - zapewnił.

- Nie będę tam nikogo znała.

-Jestem pewien, że szybko znajdziesz przyjaciół. Ja znalazłem.

Westchnęła krótko ze znużeniem.

- No jasne. W końcu znalazłam ich już w Domach bardzo wielu.

- Bridget - powiedział z tonem łagodnego wyrzutu. - Wiem, że nigdy naprawdę nie próbowałaś.
- Pewnie, że nie. Wszystko to zarozumiałe, zepsute, egocentryczne bachory.

Zachichotał, ocierając się ustami o jej policzek. Zabrzmiało to jak cichy basowy łoskot.

-Tak, wiem, że odniosłaś takie wrażenie. Ale rzadko się zdarza, by dzieciom w twoim wieku spadała na głowę tak wielka odpowiedzialność. Zwłaszcza dzieciom z Domów. Musiałaś dorosnąć bardzo szybko... — Dotknął policzkiem jej włosów. — Sam ledwie potrafię w to uwierzyć. Siedemnaście lat minęło w jednej chwili.

- Tato - rzekła cicho.

- Wiem, że nie polubiłaś zbyt wielu innych dzieci z Domów, ale nie wszystkie są złe. A większość dorośnie. Z czasem. Przekonasz się. - Odsunął się, trzymając ją na odległość wyciągniętego ramienia. - Jest jeszcze coś, o czym muszę z tobą porozmawiać. Jeszcze jeden obowiązek, którym muszę cię obciążyć.

Skinęła głową.

- Oczywiście, ojcze.

Uśmiechnął się i wsparł czułym gestem potężną dłoń na jej głowie.

- Chcę, żebyś się kimś zaopiekowała — rzekł.

Przechyliła głowę i zamrugła.

- Słucham?

Za plecami ojca do pomieszczenia weszły dwa koty. Pierwszy był bardzo dużym burym kocurem, muskularną bestią o futrze gładkim, lecz naznaczonym licznymi bliznami, oraz przyciętych uszach. Drugim był Rowl. Rudy kot usiadł za burym, nieco z boku od niego. Wąsy drżały mu z wesołości.

- Wódz klanu Maul doszedł do wniosku, że czas już, by kasztelan uznał jego plemię za obywateli Kondygnacji Poranka - zaczął z powagą jej ojciec. - W jego pojęciu z pewnością oznacza to, że jego ród będzie równy innym Wielkim Domom. W zamian uznaje obowiązek oddania jednego z członków rodziny na służbę kasztelana. Zaproponowałem Rowlowi, że będziesz jego przewodniczką i pomożesz mu nauczyć się zwyczajów wojowników kasztelana.

Bridget mrugała przez chwilę ze zdumienia. Potem na jej twarzy pojawił się bardzo szeroki uśmiech.

- Zaczekaj... czy chcesz powiedzieć, że Rowl będzie mi towarzyszył?

- Nie — zaprzeczył kot. - To ty będziesz mi towarzyszyła. To znacznie ważniejsze.

Wódz Maul spojrzał na Rowla z czymś, co mogło być lekką dezaprobatą. Młodszy kot mrugnął powoli jeden raz. Bridget miała wrażenie, że jest nieznośnie zadowolony z siebie.

-To ważny obowiązek - ciągnął jej ojciec z błyskiem wesołości w oczach. - Wiem też, że wymaga od ciebie sporego poświęcenia. Czy jesteś gotowa się go podjąć w imię dobrych stosunków Domu Tagwynnów z wodzem i jego klanem?

Bridget zwróciła się w stronę Rowla i rozpostarła ramiona. Rudy kot podszedł bliżej i skoczył w nie. Potem znowu potarł pyszczkiem jej twarz i usadowił się wygodnie. Był miękki jak ulubiony koc Bridget, a jego mruczenie przypominało jej ledwie pamiętane kołysanki matki.

— W porządku - rzekła dziewczyna, wtulając policzek w kocie futerko. — Jeśli muszę to zrobić dla Domu Tagwynnów, jakoś sobie poradzę.

ROZDZIAŁ 4

Kasztel Albion, Kondygnacja Poranka

Dwa następne tygodnie były dla Gwen prawdziwym koszmarem.

- Naprawdę nie widzę sensu tego wszystkiego — wy dyszała. Nogi ją bolały. Stopy ją bolały. Jej płuca płonęły. Nie miała pojęcia, po co cały czas biegają po rezydencji kasztelana. Co gorsza, ćwiczenia z każdym dniem trwały coraz dłużej.

- To dobrze ci zrobi — odparł kuzyn Benedict. Był wysokim, szczupłym mężczyzną, niespełna dwa lata starszym od Gwen. Jego krótko ostrzyżone włosy tworzyły miękką jasnobrązową gęstwę. Miał na sobie ćwiczebny mundur, taki sam jak noszony przez Gwen, ale biegł u jej boku z całkowitą swobodą, z pozoru nie wkładając w to żadnego wysiłku.

Nie słyszało się go też w jego głosie. Nawet najmniejszego. Paskudny, odrażający gbur o kocich oczach.

- Tobie jest łatwo - odburknęła - Już to robiłeś.

- Przez ostatnie dwa lata — zgodził się Benedict.

-I nie męczysz się w tym śmiesznym ubraniu.

- Jestem ubrany tak samo jak ty - zauważył jej kuzyn.

-Tak, ale ty jesteś do tego przyzwyczajony. Au, spodnie, jak możesz w nich biegać?

- Śmiem twierdzić, że lepiej, niż biegałbym w spódnicy. Myślałem, że polubisz bieganie, Gwen. Osobiście uważam, że to dodaje animuszu.

- Animuszu? - oburzyła się dziewczyna. - Benedykcie Michaelu Sorellin-Lancaster, możesz mnie osobiście pocałować w...

- Jak sobie życzysz, kuzynko - odparł z uśmiechem Benedict. — Muszę przyznać, że prezentujesz się coraz lepiej.

Gwen ze wszystkich sił zmuszała się do biegu i brakowało jej energii, by potraktować komplement z należytą podejrzliwością.

-Słucham?

Wysoki młodzieniec uśmiechnął się kpiąco.

- W pierwszych dniach ledwie byłaś w stanie się skarżyć. A teraz masz coś do powiedzenia przez cały czas trwania ćwiczeń.

Gwen przeszła starszego kuzyna spojrzeniem ostrym jak brzytwa. Z jej ust wyrwało się nieartykułowane warknięcie. Nie zdążyła zrobić nic więcej, bo zza rogu wyłoniła się grupa ćwiczących gwardzistów, pokonujących ostatni odcinek przed dziedzińcem. Ludzie na targowisku odprowadzali ich wzrokiem. Gwen wiele razy widziała to ćwiczenie i zdawała sobie sprawę, że po zaciągnięciu się również będzie zmuszona w nim uczestniczyć, nikt jej jednak nie powiedział, że to takie męczące.

- Kompania, stój! - ryknął siwowłosy kapitan Cavallo> gdy dotarli na miejsce. — Rozejść się!

Odziani w szare stroje gwardziści zatrzymali się. Choć rekruci zaczęli bieg w równej formacji, ustawieni w cztery rzędy, nie utrzymali jej długo i na podłogę z żuźłowego kamienia osunął się chaotyczny, zdyszany tłum. Identyczne, workowate bluzy i spodnie, w których ćwiczyli, były mokre od potu.

Weterani zatrzymali się z pełnym spokojem. Oddychali miarowo i stali pewnie na nogach, spoglądając z uśmiechem na rekrutów albo rozmawiając cicho. Gwen nie lubiła, gdy ktokolwiek się na nią gapił, a muskularny blondwłosy Reginald Astor irytował ją szczególnie. Uważał się za przystojnego i rzeczywiście był przystojny, a do tego irytująco pewny siebie. Zawsze gapił się na nią, gdy była niedbale ubrana, spocona i mundur lepił się do jej ciała w całkowicie nieelegancki sposób. Uniosła wzrok i zauważyła, że Reginald znowu się jej przygląda z bezczelnym uśmiechem na twarzy. Łypnęła na niego ze złością.

— Pewnie nie wspominałeś Reggiemu, że bardzo nie lubię, jak się tak na mnie gapi? - zapytała Benedicta.

-Wtedy zrobiłby się jeszcze bezczelniejszy - odparł z uśmiechem jej kuzyn.

— Cóż za bezużyteczna uciążliwość — poskarżyła się Gwen. — W dodatku do tej bezużytecznej uciążliwości, którą już musimy znosić.

— Czy moja bezradna kuzynka potrzebuje pomocy?

Gwen zmarszczyła brwi. Oferta wydała się jej kusząca, a nie powinno tak być. W normalnej sytuacji nie obawiała się osobiście wytargać za uszy jakiegoś bezwstydnie namolnego głąba. Teraz jednak miała wrażenie, że byłoby... prościej, gdyby kuzyn zrobił to za nią.

Może to przez zmęczenie spowodowane całym tym bieganiem oraz lekcjami. Cavallo każdego popołudnia poświęcał kilka godzin na uczenie rekrutów o innych kondygnacjach, ich prawach i wzajemnych stosunkach. Choć nauczyciele Gwen dawno już zapoznali ją z tymi kwestiami, najwyraźniej pominęli wiele zagadnień, a przynajmniej nie zadali sobie trudu, by uświadomić Gwen konsekwencje wszystkich tych suchych faktów. Dlatego jąkała się jak idiotka, gdy skonfrontowano ją z nimi podczas lekcji.

Była przyzwyczajona do tego, że radzi sobie świetnie ze wszystkim, czego tylko spróbuje. Okazało się jednak, że nie jest znakomitą biegaczką ani specjalistką od wewnątrzkaasztelowej polityki. Nie potrafiła też w pełni przyswoić sobie porannych lekcji dociekania. Nigdy dotąd nie zetknęła się z tym tematem. Co prawda nieźle sobie radziła w sali ćwiczeń, przynajmniej jeśli chodziło o korzystanie z rękawicy, ale z szermierką szło jej równie kiepsko jak zawsze i obawiała się, że gdy za kilka tygodni wszyscy zaczną szkolenie z ostrą bronią, ona nadal będzie się męczyła z drewnianym mieczem ćwiczebnym.

Niekompetencja zaskakująco łatwo pozbawiała ją pewności siebie. Była też nader irytująca.

Czy dlatego nie chciała sama się uporać z Reginaldem? Czy bała się, że nie poradzi sobie z zadaniem wyperswadowania mu takiego zachowania? Poczucie nieadekwatności ostatnio dokuczało jej bardzo często. Co będzie, jeśli to przejdzie jej w nawyk?

Nonsens, powiedziała sobie stanowczo. Będzie musiała stawić czoło wielu różnym wyzwaniom, jeśli ma pozostać w Gwardii - a musi w niej pozostać. Nie mogła zaakceptować żadnego innego rozwiązania, ponieważ oznaczałoby to, że musi wrócić do domu i przyznać rację matce.

A tego nie potrafiłaby znieść z całą pewnością.

- Zajmę się nim - odparła stanowczo. - Ale dziękuję za propozycję, kuzynie.

Benedict skinął głową, jakby od początku spodziewał się usłyszeć taką odpowiedź.

- Czy mogę ci poradzić, żebyś zaczęła na chwilę prywatności? Młoda kobieta konfrontująca publicznie równego sobie mężczyznę to jedno, a rekrutka atakująca weterana Gwardii to coś całkiem innego.

- Wezmę to pod uwagę - zapewniła.

Zauważyła, że Benedict tylko z najwyższym wysiłkiem nie skrzywił się boleśnie. Nie próbował też jednak jej powstrzymywać.

- Jak sobie życzysz.

Usiadła na chwilę. Dyszała ciężko, a mięśnie nóg i stopy bolały ją paskudnie. Ale to przejdzie. Już

teraz czuła się lepiej niż po całej przespanej nocy przed dwoma tygodniami. Musiała przyznać, że te ćwiczenia są użyteczne. Każdy z poziomów kasztelu był ogromny, a ten, kto nauczył się utrzymywać szybkie tempo całymi godzinami, nie będzie miał trudności z prześcignięciem nieprzyjaciela albo dogonieniem przestępcy. Była przekonana, że złodzieje nie trenują codziennie biegania. Nie mieli kogoś takiego jak Cavallo, kto dostarczałby im motywacji, a gdyby potrafili sami się motywować, raczej nie zostaliby przestępcami, czyż nie tak?

Gdy Gwen znowu uniosła wzrok, większość rekrutów i weteranów przeniosła się już na otoczony murem dziedziniec pałacu kasztelana. Na zewnątrz pozostał tylko Reginald z garstką koleżków, a także Gwen i jedna z najwyższych kobiet, jakie w życiu widziała. Dziewczyna zawsze zachowywała się spokojnie. Miała jasne włosy, długie i gęste, bary szerokie jak u wielu mężczyzn, masywne nadgarstki, i silne dłonie oraz przedramiona. Nazywała się... a niech to. Gwen nie przypominała sobie, by dziewczyna komukolwiek się przedstawiała. Właściwie to nie przypominała sobie, by w ogóle się odzywała, chyba że po to, by odpowiedzieć na pytanie zadane przez instruktora podczas lekcji. Inni rekruci nazywali ją kociarą.

Kot, o którego chodziło, pojawił się nagle na dziedzińcu i podbiegł do potężnie zbudowanej dziewczyny. Miał rude futro i mógłby uchodzić za ładnego, gdyby nie był taki brudny. Koty mieszkały w korytarzach technicznych, przewodach wentylacyjnych i innych nieprzyjemnych, wilgotnych i pełnych szkodników miejscach kasztelu.

Każdy mieszkaniec kondygnacji widywał je od czasu do czasu, ale rzadko utrzymywały kontakty z ludźmi. Niekiedy grupa kotów adoptowała jakąś rodzinę, niektóre firmy dawały im też jedzenie w zamian za eksterminację szkodników. To było korzystniejsze rozwiązanie, ponieważ ci, którzy odmawiali płacenia kotom, mogli się przekonać, że nocą zapasy z ich magazynów ulotniły się bez śladu. Gwen wiedziała też, że niektórzy wynajmują koty do opieki i czuwania nad małymi dziećmi, niemniej zawsze były to umowy oparte na interesowności. Nigdy nie słyszała o kocie, który okazywałby ludziom sympatię.

Gibkie stworzenie wskoczyło na kolana kociary i obróciło się kilka razy, ocierając o nią. Potem trąciło nosem jej policzek i z zaciekawieniem powęszyło przepocony mundur. Dziewczyna zaczęła głaskać z roztargnieniem kota. Zwierzę położyło się wygodnie, ciesząc się poświęcaną mu uwagą.

- Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego ten szkodnik biega swobodnie po rezydencji - odezwał się jeden z towarzyszy Reginalda.

-To nienaturalne — zgodził się młody Astor. Skrzyżował ramiona na piersi, spoglądając z zaciekawieniem na kociarę. - Zastanawiam się, co mogło skłonić rozsądną osobę do zaopiekowania się takim paskudztwem.

Kociara spojrzała nagle na Reginalda. Potężnie zbudowany młodzieniec uśmiechnął się szeroko.

-I co ty na to, droga Bridget? Jakie korzyści czerpiesz z bliskości tego zwierzaka?

Kociara - tak jest, nazywała się Bridget... - przyglądała mu się przez kilka sekund. Jej twarz była pozbawioną wyrazu maską.

- Nie zrozumiałbyś tego - odrzekła wreszcie.

Szlachetnie urodzeni młodzieńcy parsknęli śmiechem.

- Naprawdę? — zapytał Reginald. — A dlaczego?

Bridget przez chwilę marszczyła brwi w zamyśleniu, starannie dobierając słowa. Potem skinęła głową do siebie.

- Dlatego, że jesteś dupkiem, sir - oznajmiła ze spokojem.

Młody szlachcic nie mógłby być bardziej zdziwiony, gdyby kociara nagle go spoliczkowała. Kilka razy z rzędu bezgłośnie otwierał i zamykał usta.

- Słucham? — zapytał wreszcie.

- Wybacz. - Bridget wstała, nadal trzymając kota w ramionach, i podniosła nieco głos, wyraźnie wypowiadając wszystkie słowa. - Dlatego. Że. Jesteś. Dupkiem. - Uśmiechnęła się lekko. - Sir.

Gwen poczuła że jej brwi unoszą się aż do granicy włosów.

- Nie... nie możesz do mnie mówić w taki sposób — oburzył się Reginald.

Bridget i kot popatrzyli na niego z całkowitym spokojem.

- Najwyraźniej mogę, sir.

W oczach młodego szlachcica rozbłysnął gniew.

- W ogóle nie powinno cię tu być - warknął. - Twój Dom umarł przed wieloma dziesięcioleciami.

Ty i twój ojciec jesteście tylko ostatnimi skrawkami mięsa czepiającymi się gnijącej kości.

Coś nagle się poruszyło.

Gwen nie potrafiła określić, co właściwie się stało, ale powietrze raptownie zgęstniało. Twarz Bridget nadal nic nie wyrażała. Dziewczyna nie przymrużyła oczu ani nie odsłoniła zębów. Nic nie powiedziała. Nie poruszyła ani jednym mięśniem. Tylko wpatrywała się w Reginalda.

To był kot, uświadomiła sobie Gwen. Oczy zwierzęcia nagle zrobiły się większe, a koniuszek długiego ogona poruszał się w lewo i w prawo w bezgłośnym rytmie. Kot wpatrywał się w młodego szlachcica, jakby miał zamiar skoczyć mu do gardła.

- Co powiedziałaś o moim ojcu? - odezwała się wreszcie Bridget głosem bliskim szeptu.

Gwen wstała pośpiesznie. Reginald był doświadczonym pojedyńkowiczem i choć większość podobnych konfrontacji kończyła się tylko drobnymi obrażeniami, zdarzało się, że jeden z uczestników — albo i obaj — tracił życie, gdy emocje rozpalały się do czerwoności, a nagle poczuła się pewna, że chmura złowrogiego milczenia, jaka otoczyła kociarę, wyraża czysty gniew.

Zniewaga, którą przed chwilą wygłosił Reginald, była wystarczającym powodem do wyzwania, a choć była pewna, że ten dupek nie pragnął sprowokować podobnej reakcji, mógł się z nią spotkać, jeśli Bridget rzeczywiście była tak wściekła, jak podejrzewała Gwen. Reggie mógł być głąbem, ale bardzo dobrze sobie radził zarówno z mieczem, jak i z rękawicą, natomiast Bridget była w szermierce prawie tak samo kiepska jak Gwen, a rękawicą władała wręcz tragicznie. Pojedynek nie mógłby się skończyć dla niej dobrze.

- Przepraszam - powiedziała i podeszła do Bridget, jakby nic się nie wydarzyło.

Muskularna dziewczyna i kot spojrzeli na nią jednocześnie.

A niech to, ależ jest wysoka. Co najmniej stopę wyższa niż Gwen.

- Nie przedstawiono nas sobie - rzekła uprzejmie. - Jestem Gwendolyn Lancaster.

Dziewczyna zasępiła się lekko.

- Bridget Tagwynn.

- Z Domu admirała Tagwynna? — zapytała Gwen, unosząc brwi.

Kąciaki ust Bridget poruszyły się, być może z irytacji.

- Zgadza się.

- To cudownie — stwierdziła Gwen z ostrą nutą w głosie. - To był największy dowódca Floty w całej historii Kasztelu Albion. W gruncie rzeczy, gdyby nie jego talent i odwaga, kasztel mógłby już nie istnieć. Pochodzisz z jednego z najwspanialszych rodów w całej naszej historii.

Bridget znowu zmarszczyła brwi, a potem pochyliła niezgrabnie głowę.

- Dziękuję.

- Pochodzi z zapomnianych kart historii Albionu - odezwał się Reginald opryskliwym tonem. — Co jej rodzina ostatnio zrobiła dla kasztelu? Nic. Jej Dom hoduje mięso, jak zwykli prostacy.

Bridget ponownie spojrzała na Reginalda.

- Mówisz, jakby to była obelga, sir.

- Co to miało znaczyć? - warknął mody szlachcic.

-To, że wolę być zwykłą prostytutką niż dupkiem z Domu Astorów, sir.

Twarz Reginalda poczerwieniała gwałtownie.

- Śmiesz ciskać obelgi prosto w twarz mojego Domu?

- Nie widzę tu twarzy - odparła Bridget, unosząc brwi. - Tylko dupę.

-Ty wstrętna, mała prostaczko - warknął Reginald. - Wydaje ci się, że jeśli wpuszczono cię do rezydencji kasztelana i pozwolono zaciągnąć się do Gwardii, to znaczy, że zasłużyłaś na ten zaszczyt? Ze wolno ci czekać i pluć na lepszych od siebie?

- Nie jestem pewna - odparła Bridget. - Odpowiem ci, kiedy spotkam kogoś lepszego od siebie.

W oczach młodzieńca pojawił się błysk. Reginald oderwał gniewnie od pasa jedną z rękawic i cisnął ją z całej siły prosto w twarz dziewczyny.

Bridget nie ruszyła się z miejsca - ale Gwen to zrobiła. Złapała rękawicę w locie i spojrzała na młodego szlachcica.

- Reggie, nie.

- Słyszałaś, co powiedziała ta cholerna kuchta! - warknął młody szlachcic. - Słyszałaś, co powiedziała o moim Domu?

- Słyszałam też, co ty powiedziałeś - odparła Gwen. - To ty zacząłeś ten spór, Reginaldzie Astor.

- Nie mieszaj się w to, Gwendolyn. Żądam satysfakcji! - Przeszył Bridget wściekłym spojrzeniem. - Chyba że sławetna odwaga Domu Tagwynnów zwiędła razem z ich rodem.

Bridget zasępiła się jeszcze bardziej. Otworzyła lekko usta i spojrzała z ukosa na Gwen.

- Panno Lancaster... czy ten mężczyzna przed chwilą wyzwał mnie na pojedynek?

- Trudno go nazwać mężczyzną — odparła Gwen i spojrzała jej prosto w oczy. - Ale tak. To właśnie zrobił.

- Banda szaleńców - wydyszała Bridget. - Czy muszę przyjąć wyzwanie?

- Jeśli tego nie zrobisz, może cię pozwać - odparła Gwen. - W takim przypadku Rada może ukarać Dom Tagwynnów grzywną.

- Może? - zapytał Reginald. - Na pewno to zrobi. Mogę zagwarantować, że Wielkie Domy surowo osądzą taką demonstrację braku szacunku wobec jednego z najważniejszych Domów Albionu.

- Czy to prawda? - zapytała Bridget, ponownie spoglądając na Gwen.

- Z sądami nigdy nic nie wiadomo. Ale... tak, to prawdopodobne.

- Ale ja nie znieważylam Astorów. Tylko jego.

- Obawiam się, że jest dziedzicem Domu - odparła Gwen. - Rada może uznać, że wychodzi na jedno.

Bridget zamknęła na chwilę oczy.

- Kiedy wreszcie się nauczę trzymać język za zębami? - mruknęła pod nosem.

- Nie musisz tego robić - pocieszyła ją Gwen.

- I tak ledwie trzymamy się na powierzchni. Jeśli... jeśli wymierzą nam grzywnę, ojciec może być zmuszony sprzedać kadziownię.

Reginald ryknął ochryłym śmiechem.

- Właśnie dlatego małe pozbawione znaczenia domy powinny okazywać więcej szacunku tym, którzy stoją wyżej. Trzeba było pomyśleć o tym, zanim się odezwałaś.

Pazury kota poskrobały rękaw koszuli Bridget. Dziewczyna położyła rękę na grzbiecie zwierzęcia, jakby próbowała je powstrzymać.

- Przepróż—warknął Reginald. — Natychmiast. A o wszystkim zapomnę.

Bridget znowu zastanawiała się przez chwilę, zanim się odezwała. Potem rozprostowała ramiona i spojrzała na Reginalda.

-Nie ma mowy. - Zerknęła na niższą dziewczynę. - Jak to się robi? Czy będziemy walczyć teraz?

Gwen zamrugła.

- Czy... naprawdę zamierzasz przyjąć wyzwanie?

Bridget skinęła krótko głową. Kot poparł ją cichym wściekłym pomrukiem.

-To nie może odbyć się tutaj — odparła z westchnieniem Gwen. — Będziesz potrzebowała

sekundanta, kogoś, kto zgodzi się ci towarzyszyć, pomoże przygotować się do pojedynku i wyznaczyć jego termin. A także arbitra, który będzie czuwał nad jego przebiegiem.

-To... dziwnie dużo komplikacji jak na coś tak dziecinnego - zdziwiła się Bridget.

-Wszystko to ma poważne powody — zapewniła Gwen.

- Rozumiem. Jak mam przyjąć jego wyzwanie?

Gwen bez słowa podała jej rękawicę.

- Aha - odparła Bridget i wzięła ją.

Reginald skinął krótko głową i wskazał na jednego z towarzyszących mu szlachciców.

- Barnabus będzie moim sekundantem. Niech twój sekundant się z nim skontaktuje. Do zobaczenia.

Odwrócił się na pięcie i pomaszerował do pałacu, zabierając ze sobą swą świtę.

Obie dziewczyny odprowadzały ich wzrokiem.

- Nie prosiłam o twoją pomoc - odezwała się po chwili Bridget.

- Słucham?

- Nie potrzebowałam jej. Nie musiałaś się wtrącać i pogarszać sprawy.

- Pogarszać? - zdumiała się Gwen. - W jaki sposób ją pogorszyłam?

- Nie prosiłam o twoją pomoc. Odkąd się wtrąciłaś, w grę zaczęła wchodzić jego idiotyczna duma.

Był zmuszony bronić honoru Domu Astorów, by nie okazać słabości przed jedną z Lancasterów. - Bridget pokręciła głową. - Gdyby cię tu nie było, wystarczyłoby, żebym przestała mówić. Wtedy nie mógłby mi nic zrobić.

- Chciałam ci pomóc.

Bridget wzniosła oczy ku niebu.

- Dlaczego wszyscy ludzie z Wielkich Domów uważają, że tylko oni mogą rozwiązać problemy, które za cholerę nie powinny ich obchodzić? Czy nigdy nie przychodzi wam do głowy, że możemy nie chcieć waszej ingerencji?

Gwen skrzyżowała ramiona na piersiach i skrzywiła się. Nie...

Faktycznie o tym nie pomyślała, prawda? Nawet przez jedną sekundę. I oczywiście słowa Bridget zabolęły Reggiego bardziej, ponieważ pragnął Gwen i nie chciał, by upokorzono go w jej obecności. Wmieszała się, próbując lać oliwę na wzburzone wody, ale w rezultacie tylko ją podpaliła.

Wyglądało też na to, że ktoś zostanie poparzony z tego powodu. Nie mogła tego tak zostawić. W końcu sama się przyczyniła do tej sytuacji. Nie zniósłaby, gdyby ktoś ucierpiał z powodu jej głupoty — no cóż, chyba żeby to był Reggie, pod warunkiem, że obrażenia nie byłyby zbyt poważne. Gdyby jednak coś się stało Bridget, poczułaby się okropnie z tego powodu.

- Może i masz rację - przyznała cicho. - Ale to już nie ma znaczenia.

— Niby czemu, do licha?

- Czy masz choć najbłedsze pojęcie, czego potrzeba do formalnego pojedynku?

- Pary durniów.

Gwen uśmiechnęła się blado.

- I czego jeszcze?

Bridget wycofała się w siebie. Zgarbiła się lekko, jakby próbowała ukryć swój wzrost. Popatrzyła na kota, głaszcząc jego futro.

- Poza tym... nie, nie ma pojęcia.

- A Reginald ma — zauważyła cicho Gwen. — Może i nie chcesz mojej pomocy, panno Tagwynn, ale w tej chwili z pewnością jej potrzebujesz.

ROZDZIAŁ 5

Kasztel Albion, Kondygnacja Poranka

Bridget popatrzyła bez przekonania na mężczyznę.

- Nie jestem pewna, sir.

Benedict Sorellin-Lancaster stał naprzeciwko dziewczyny, przyglądając się jej w półmroku, który tylko z pewną wyrozumiałością można było nazwać wczesnym porankiem, na targowisku w Kondygnacji Poranka nieopodal placu ćwiczebnego Gwardii Kasztelana. Był wysokim mężczyzną, dorównującym wzrostem jej ojcu, ale szczupłym z powodu młodego wieku i naturalnej predyspozycji. Uśmiechnął się do niej w sposób, który zapewne miał wyglądać uspokajająco, ale odsłaniał nieco za duży fragment jego większych niż przeciętne kłów.

- Na tym właśnie polega problem - skwitował. - Nie jesteś pewna, a trzeba, żebyś była. Chodź. Musimy poddać ocenie twoją siłę fizyczną. Zapewniam, że nie zrobisz mi krzywdy, panno Tagwynn.

- To wydaje się... niewłaściwe - odparła, marszcząc brwi. Pewnie, że nie zrobi mu krzywdy. Ale nawet gdyby miała taki zamiar, złote oczy o pionowych źrenicach świadczyły, że Benedict jest genetycznym wojownikiem i odziedziczył krew oraz siłę lwów — Czy jesteś pewien, że Gwardia to aprobuje?

- Zazwyczaj walki wręcz uczy się dopiero po zakończeniu wstępnego kursu, ale żadne przepisy nie mówią, że musisz czekać tak długo. Pod warunkiem, że robisz to w wolnym czasie, a nie w tym, który należy do Gwardii.

- Rozumiem - odparła Bridget. - To brzmi rozsądnie. Jak mam cię zaatakować?

Twarz Benedicta nadal miała poważny wyraz, ale w jego oczach pojawił się nagły błysk.

Bridget poczuła dziwny ucisk w żołądku. Opuściła wzrok.

- Wszystko jedno - odparł. - Po prostu spróbuj mnie załatwić.

Zasepiła się, ale skinęła głową.

- Rozumiem. - Zbliżyła się do niego o kilka kroków. - Przepraszam.

- Nie musisz mnie przeproszać - skarcił ją Benedict. - Reggiego nie będziesz przeproszała podczas pojedynku...

Bridget pochyliła się, lekko poirytowana jego tonem, wsparła bark o brzuch Benedicta i uniosła go. Nie ważył wiele więcej niż płat czerwonego mięsa z ich wielkich kadzi. Przez chwilę trzymała mężczyznę w górze, a potem płynnym ruchem przerzuciła go przez plecy i cisnęła na powierzchnię z żuźlowego kamienia za swymi plecami.

- Przepraszam - powtórzyła. - Czy... możesz to zaakceptować?

- Uch - mruknął Benedict. Jego złote oczy lśniły w półmroku. - Jesteś... naprawdę silna, panno Tagwynn.

- Muszę pracować na życie - odparła Bridget i niemal natychmiast pożałowała tych słów. Nie chciała go obrazić, sugerując, że on nie potrzebuje tego robić, ale dumny potomek jednego z Wielkich Domów Albionu mógłby uznać jej słowa za zniewagę.

W oczach Benedicta nie dostrzegła jednak gniewu. Na jego twarzy powoli wykwitał pełen zachwyty uśmiech.

- Och, Wytyczający Drogę - wydyszał. Jego głos przeszedł w radosny śmiech.

Bridget spodobało się brzmienie tego śmiechu. Poczwała, że jej usta również rozciągają się w lekkim uśmiešku.

- Słucham, sir?

- Powinniśmy sprzedawać bilety na ten pojedynek - odparł. - Reggie mógłby ćwiczyć przez całe życie, a i tak nie zrobiłby czegoś takiego.

- Przepraszam? — powtórzyła Bridget. — O co chodzi?

- O pojedynek - wyjaśnił młodzieniec. - To on cię wyzwiał. To znaczy, że masz prawo wyboru miejsca i broni.

- To świetnie — odparła. - Ale nadal nie rozumiem, w czym rzecz.

Benedict wstał, nie przestając się uśmiechać.

- Nie wybierzesz żadnej broni. Zdecydujesz się na walkę wręcz.

Bridget przechyliła głowę.

- Nie sędzę, by w takim przypadku szanse niepotrzebnych obrażeń albo nawet śmierci były mniejsze. Co więcej, nie umiem walczyć w ten sposób.

-Ale ja umiem. Podstawy łatwo jest opanować. A siły z pewnością ci nie brakuje.

Bridget zmarszczyła brwi.

- Ale Reggie zapewne ma znacznie więcej wprawy ode mnie. A choć jestem dość silna jak na kobietę, z pewnością nie mogę być wiele silniejsza od niego. Czy to nie znaczy, że nie będzie mu zbyt trudno mnie pokonać?

-To zależy od tego, jaką drogę wybierzesz - stwierdził Benedict.

Dziewczyna poczuła, że jej czoło marszczy się jeszcze bardziej.

- Jaką drogę... chyba nie próbujesz mnie nawrócić na swoją religię, sir? Mam nadzieję, że nie. To byłoby krępujące.

Znowu roześmiał się swobodnie.

- Ci, którzy wyznają Drogę, nie czują potrzeby nawracania innych. Ludzie nie nawracają się na Drogę. Po prostu uświadamiają sobie, że szli po niej już od pewnego czasu.

- Boże w Niebiosach, znowu ta sama przemowa - zabrzmiał trzeci głos.

Z półmroku wynurzyła się Gwendolyn Lancaster, odziana w szary ćwiczebny strój Gwardii. Bridget miała trudności z pogodzeniem absolutnej pewności siebie, demonstrowanej przez szlachciankę, z jej wyjątkowo drobną budową. Była przekonana, że nawet bez szkolenia mogłaby rozbić pannę Lancaster na drobne kawałeczki jak ceramiczną lalkę.

- Droga kuzynko — odezwał się Benedict głosem jeszcze miłszym niż przedtem. - Wyglądasz dziś... bardzo gwenowsko.

Gwendolyn uniosła jedną ciemną brew, usłyszawszy te słowa.

- Dlaczego leżysz na podłodze? - zapytała.

- Bo ona mnie na nią rzuciła - wyjaśnił z zadowoleniem młodzieniec.

Gwendolyn zmarszczyła brwi, a potem je uniosła.

- Naprawdę? - Przeniosła spojrzenie na Bridget. - Nie wygląda na genetyczną wojowniczkę.

- Bo nią nie jest - odparł Benedict. - Ale pracuje w kadziowni. Nie sędzę, bym ważył wiele więcej niż płat czerwonego mięsa. Nieprawdaż, panno Bridget?

- Bardzo niewiele, sir.

Gwen przymrużyła powieki.

- Chyba nie zamierzasz...

- Jeśli chodzi o Reggiego? - zapytał młody szlachcic. - Z całą pewnością zamierzam. To idealne rozwiązanie.

- Przestańcie oboje - zażądała Bridget, tracąc w końcu cierpliwość. - Natychmiast. Czuję się tak, jakbyście oboje przeczytali książkę, której ja nie znam, i ciągle o niej rozmawiali. To bardzo

nieuprzejmie.

- Przepraszam - rzekła Gwen. - Jak rozumiem, nie wychowano cię od dziecka w atmosferze podstępów i forteli jak Benny ego i mnie.

Bridget zamrugała. Szlachetnie urodzona dziewczyna powiedziała to zupełnie otwarcie. To wydawało się naprawdę bardzo bezpośrednie, lecz zarazem... dziwnie uspokajające. Gwendolyn Lancaster mogła mieć pewne wady, ale przynajmniej nie była skłonna do zarozumiałości i oszukiwania samej siebie, jak wiele innych dzieci z Wielkich Domów.

- Nie chciałabym rzucać takich oskarżeń na wasze rodziny - odparła uprzejmie. - Ale... faktycznie, chyba nie wychowano.

Z mroku wyłonił się Rowł, cichy jak zawsze. Jak zawsze też nie tłumaczył się z tego, gdzie się podziewał. Bridget ugięła lekko jedno kolano, niemal bez zastanowienia, i kot wykorzystał je jako szczebel, który pozwolił mu wskoczyć prosto w jej ramiona, a potem przemieścić się na bark. Trącił lekko pyszczkiem policzek dziewczyny, która przechyliła ku niemu głowę.

- Słuchaj uważnie, Małamyszko - mruknął Rowł niemal niesłyszalnym głosem. - Wyszukałem wieści o tych dwojgu. Są niebezpieczni.

Bridget zerknęła na kota i skinęła leciutko głową, by mu przekazać, że rozumie. Jeśli kot nazywał kogoś „niebezpiecznym”, mogło to oznaczać wiele różnych rzeczy, z reguły jednak należało to uznać za swego rodzaju komplement. Osobiście uważała tych dwoje szlachetnie urodzonych za zaabsorbowanych sobą i przepelnionych arogancją, z której istnienia ledwie zdawali sobie sprawę, już dawno jednak nauczyła się, że kocich opinii nigdy nie powinno się lekceważyć.

- Przepraszam, panno Lancaster - rzekła więc do Gwen. - Co mówiłaś? Gwendolyn przechyliła głowę, wlepiając w kota spojrzenie błyszczących oczu.

-To, że jeśli potrafisz choć w przybliżeniu dorównać Reggiemu siłą fizyczną, możesz go zmusić do pojedynku, którego nie będzie w stanie wygrać.

- Właściwie nie obchodzi mnie kto wygra - przyznała Bridget. - Chcę tylko, żeby ten nonsens się skończył i nikt nie stracił życia z jego powodu.

Gwendolyn zamrugała i nagle obdarzyła Bridget uśmiechem ciepłym i promiennym jak wschód słońca oglądany przez astronautę.

- Masz zupełnie nieproduktywne podejście do bezsensownych pojedynków toczonych w imię dumy. Wiedziałaś o tym?

-I całe szczęście - skwitowała Bridget.

- Rzecz w tym - odezwał się Benedict, wstając swobodnie - że jeśli potrafisz stawić mu poważny opór, nie będzie mógł wyjść z pojedynku jako zwycięzca. Jeśli pokona cię w walce wręcz, to zapewne tylko z wielkim trudem, a wtedy uznają go za brutala i sadystę. A jeśli ty go pokonasz, już na zawsze zostanie Astorem, którego pobiła...

Młody szlachcic umilkł i uśmiechnął się do niej lekko.

- Prostaczka z kadziowni — dokończyła Bridget i również się uśmiechnęła. -To byłoby... naprawdę okrutne wobec niego.

- Czyż nie tak? — zapytała rozpromieniona Gwen.

-Ale nie zrobię tego - oznajmiła Bridget.

- Dlaczego, na niebiosa? — zdumiała się Gwendolyn. - W pełni na to zasłużył.

- Być może — przyznała Bridget. — Ale jeśli go upokorzę, to może go skłonić do odegrania się w jakiś pośredni sposób, jeśli nie na mnie, to na moim ojcu. Mój ojciec jest dobrym człowiekiem. Nie pozwolę, żeby z mojego powodu spotkało go coś nieprzyjemnego. - Spojrzała na Benedicta. -Czy istnieje jakaś broń, dzięki której mógłby wygrać, nie zabijając mnie ani nie wychodząc na durnia?

- Na całym świecie nie ma żadnej broni, narzędzia ani mechanizmu, który mógłby spowodować, że Reggie nie wyjdzie na durnia - odparła jadowitym tonem Gwen.

- Nie zależy mi na zwycięstwie - oznajmiła Bridget. - Ani na tym, żeby źle wypadł. Chcę po prostu żyć dalej, jakbym nigdy nie zamieniła z nim ani słowa.

- Miałaś rację, kuzynko - stwierdził Benedict, kiwając powoli głową. - Ona rzeczywiście ma nieproduktywne podejście do pojedynkowania się z powodu dumy.

Oboje znowu wymienili przeciągłe spojrzenia. Bridget raz jeszcze poczuła się tak, jakby nie czytała czegoś, co pozwoliłoby jej zrozumieć, o co chodzi.

- Zjemy coś? — zasugerowała nagle Gwendolyn. — Oboje zjawiliście się tu bardzo wcześnie, więc na pewno nie byliście na śniadaniu. Lekcja dociekania zaczyna się za pół godziny. Potem biegamy, a tego lepiej nie robić o pustym żołądku. Ty również, panie kocie - dodała, spoglądając na Rowla. - Ja stawiam.

- Prawdłowo określa swe priorytety - odezwał się kot. - Powiedz jej, co lubię najbardziej.

- Rowl - skarciła go Bridget. - Nie tak się odpowiada na takie propozycje.

Uniosła wzrok i zobaczyła, że dwoje Lancasterów gapi się na nią.

- Mówisz po kociemu - zdumiał się Benedict. - No wiesz, słyszałem, jak niektórzy chwalili się, że to potrafią, ale... a niech mnie, brzmiałaś zupełnie jak prawdziwy kot.

- Nawet się nie domyśla, jaki masz okropny akcent - zauważył Rowl.

Bridget spojrzała z niesmakiem na kota.

- Pewnie, że mówię - odparła. - Czy... w Domu Lancasterów nie mieszkają żadne koty?

- Z pewnością nie mieszkają - odparła Gwendolyn. - Matka nigdy by na to nie pozwoliła.

- Właściwie to mieszkają - przerwał gładko kuzynce Benedict. - Służący mają umowę z kilkoma kotami, które tępią szkodniki. Ale, o ile mi wiadomo, to stary kontrakt, i żaden z nich nigdy nie komunikował się z kotem bezpośrednio.

Gwendolyn zrobiła zdziwioną minę.

- Jak to możliwe, że ty o tym wiesz, a ja nie?

- Po prostu nikt ci o niczym nie mówi, kuzynko - wyjaśnił Benedict. - Zapewne dlatego, że spędzasz bardzo wiele czasu w towarzystwie lady Lancaster i często zdarza ci się coś powiedzieć, zanim się zastanowisz.

Gwendolyn przechyliła głowę na bok, jakby przyznawała mu rację. Potem powiedziała:

- W takim razie obawiam się, że byłam nieuprzejma. Nie przedstawiłam się twojemu towarzyszowi, ani nie poprosiłam, żeby przedstawił się mnie.

Bridget przez chwilę przyglądała się z uwagą arystokratce, czekając, aż w jej oczach pojawi się błysk drwiny, jak stałoby się w przypadku Reggiego. Nie zobaczyła jednak niczego w tym rodzaju. Gwen sprawiała wrażenie szczerzej. Władczej i przesadnie przejmującej się protokołem, ale szczerzej.

- O co właściwie prosi, Małamyszko? - zapytał Rowl, pochylając się do przodu i wlepiając spojrzenie w Gwendolyn.

- O wymianę imion — wyjaśniła po kociemu Bridget. — Ludzkich, nie kocich. Uważa, że obraziła cię, nie prosząc o to wcześniej.

Rowl zeszywniał z oburzenia.

- A zrobiła to?

- Zapewne nie celowo - zapewniła Bridget. - Nie była pewna, co sądzić o kocie, który pojawił się wśród ludzi. Myślę, że szczerze chce okazać ci uprzejmość.

Kot poruszył ogonem.

- A co powiedziałyby o niej Wierny Słowu?

Bridget uśmiechnęła się lekko. Dobrze wiedziała, jak jej ojciec potraktowałby pannę Lancaster.

- Zaprosiłby ją na herbatę i okazałby jej wszelką możliwą uprzejmość.

Rowl skinął krótko głową bardzo ludzkim gestem.

- W takim razie ja również będę dla niej uprzejmy. Powiedz jej, jak się nazywam. Dodaj, że jeszcze

nie zasłużyła na kocie imię, ale śniadanie to dobry początek.

- Panno Lancaster, to jest Rowl z plemienia Cichych Łapek, kocię Maula, wodza klanu - oznajmiła Bridget, spoglądając na Gwen.

- Księżę swojego domu, tak samo, jak ty jesteś księżniczką swojego, kuzynko - dodał Benedict.

Gwendolyn zdobyła się na to, by nie okazać niedowierzania. Obrzuciła Benedicta całkowicie nieprzeniknionym spojrzeniem. Młodzieniec uśmiechnął się tylko. Bridget zauważyła, że ma bardzo miły uśmiech. Gwendolyn spojrzała z powagą na kota.

- Sir Rowlu, witaj w... ludzkiej części Kondygnacji Poranka. Z wielką chęcią kupię ci śniadanie, jeśli tylko mi na to pozwolisz.

Rowl natychmiast usadowił się wygodnie w ramionach Bridget. Jego gardłowe mruczenie nie wymagało tłumaczenia.

- Bardzo dobry początek — wyszeptał.

-Tak, panno Lancaster - potwierdziła wysoka dziewczyna. - To będzie w porządku.

ROZDZIAŁ 6

Kasztel Albion, Kondygnacja Poranka

Rowl przyglądał się, jak Małamyszka i jej ludzcy towarzysze głupio się zachowują. Zastanawiał się, ile czasu minie, zanim będzie musiała go prosić, by wszystko naprawił.

Po raz kolejny spali krócej niż wszyscy pozostali ludzie z Gwardii Kasztelana, i po raz kolejny człowiek Gwendolyn i jej półduszowy kuzyn chyba sądzili, że przygotowują Małamyszkę do jakiegoś rodzaju walki, co było śmieszne. Najlepszym przygotowaniem do walki była walka. Każde kocię to wiedziało.

W tej chwili Benedict kazał Małejmyszce ćwiczyć padanie, co było równie śmieszne. Padania się nie ćwiczyło. Po prostu spadało się na nogi. Jednakże Małamyszka raz po raz przewracała się na plecy, czasami sama, a w innych przypadkach przy pomocy Gwendolyn albo Benedicta.

Z początku Rowl podejrzliwie patrzył na te poczynania, obawiając się, że Gwendolyn wykorzysta je jako pretekst do wyeliminowania rywalki, albo Benedict spróbuje zdobyć prawa do parzenia się z Małamyszką. W ciągu kilku ostatnich dni okazało się jednak, że wszystko to jest bardziej bezsensowne niż podstępne, więc Rowl pozwolił im dalej się wygłupiać.

Nie podobało mu się jednak, że Małamyszka marnuje tak wiele czasu - i traci tak wiele snu - na coś równie głupiego. Wyłumaczyłby im to, gdyby tylko go zapytali.

Benedict znowu zaczął demonstrować Małejmyszce, jak obalić go na ziemię. Po co uczyć się robić to w tak powolny i oczywisty sposób, w dodatku z wyraźną pomocą zaatakowanego? Czy Małamyszka wierzyła, że prawdziwy nieprzyjaciel również będzie jej pomagał?

Rowl wyczuł futrem na boku oraz wąsami nagłą zmianę w powietrzu. Zwrócił leniwie ucho w tamtym kierunku. Rozległ się cichy szelest, całkowicie niesłyszalny dla nikogo, kto nie był kotem, zwłaszcza że ludzie robili mnóstwo zagłuszającego go hałasu. Z mroku wyłoniła się Mirl.

- Rowl - odezwała się czarna kotka.

Mała, ale szybka i inteligentna Mirl była jedną z Wąsów Maula, jego szpiegów i myśliwych. Wokół jej wielkich ciemnych źrenic widać było tylko wąskie pasemko zieleni. Jedyne słaby blask oczu pozwalał ją zobaczyć w ciemności.

- Mirl - odpowiedział leniwie kocur.

Podeszła do jego boku i usiadła, spoglądając na ludzi.

- Co oni robią? - zapytała.

- Chcą nauczyć Małamyszkę walczyć — wyjaśnił Rowl.

Przyjrzała się im uważniej.

- Rozumiem. Czy już zaczęli?

- Tak chyba sądzą - odparł Rowl. - Jakież wieści od mojego ojca?

- Przesyła pozdrowienia i mówi, że masz wykonać swój obowiązek albo przytnie ci uszy.

Kocur poruszył ogonem i ziewnął.

- Wiem, co mam zrobić. Czy to wszystko?

Mirl poruszyła z rozbawieniem uszami, ale jej ton spoważniał.

- Mówi, że Wybiegający Myślą potwierdził meldunki zwiadowców Cichych Łapek.

Rowl spojrział na kotkę.

- Chodzi o nowych intruzów w szybach wentylacyjnych?

Mirl mruknęła na znak potwierdzenia.

- To samo mówią Widmowe Ogony, Szybkie Pazury i kilkanaście innych plemion. W innych kondygnacjach koty również znikają bez śladu. Nikt nie widział, co je załatwiło.

W piersi Rowla zabrzmiał pomruk irytacji.

- To mi wygląda na tchórzostwo.

- Dla mnie to wygląda na spryt - sprzeciwiła się Mirl.

- To również. Zatem mamy wojnę?

- Jeszcze nie - odparła kotka. - Maul mówi, że najpierw musimy się dowiedzieć, z kim ją toczymy.

- A co o tym sądzi Wybiegający Myślą?

- Wybiegający Myślą... nie jest pewien.

Rowl przeszył kotkę ostrym spojrzeniem. Nic jednak nie powiedział. Nerwowo poruszał ogonem na boki. Wybiegający Myślą nie był kotem, ale był sprytny, mądry i honorowy. Jeśli nawet on nie wiedział, co obecnie zagrażało Cichym Łapkom i innym plemionom w ich rodzinnych tunelach, musiało to być coś naprawdę niezwykłego. Albo coś nowego.

- Proszę, przekazaj mojemu ojcu, że doradzam bezzwłoczne wypowiedzenie wojny - rzekł Rowl. - Bez ograniczeń. Natychmiastowa agresja posłuży nam lepiej niż nadmierna ostrożność. Wytropmy wrogów i zniszczmy ich, zanim będą mieli szansę się zagnieździć.

- Przekażę mu twoje słowa - odparła Mirl, poruszając niedbale wąsami. — Ale on ich nie posłucha.

Rowl zlekceważył tę ostatnią uwagę, na co w pełni zasługiwała.

Mirl skierowała spojrzenie na miotających się po placu ludzi.

- Widziałam już kiedyś coś takiego - stwierdziła.

- Tę naukę walki? - zapytał Rowl z niedowierzaniem w głosie.

- W Świątyni Drogi w Kondygnacji Ładowiska - wyjaśniła Mirl.

- Co robiłaś tak daleko w dole? - zdziwił się Rowl.

- Wykonywałam obowiązki Wąsa - odparła wyniośle kotka. - Tam robili coś podobnego, tyle że było ich więcej i mieli inne ubrania.

- I czy też wyglądali tak głupio?

Mirl przechyliła głowę w zamyśleniu.

- Wielu z nich tak. Ale niektórzy wyglądali mniej głupio.

- W jakim sensie?

- Lepiej się poruszali. Nie tak dobrze jak koty, oczywiście.

- Oczywiście - zgodził się Rowl.

- Ale byli znacznie mniej niezgrabni niż większość ludzi. - Przyczesała sobie łapą futro na uchu. — Być może to jednak skutkuje. - Oboje spojrzeli na Małąmyszkę, która upadła szczególnie gwałtownie. - Z czasem.

- Ludzie są powolni - zastanawiał się Rowl. - Myślisz, że to rzeczywiście może coś dać?

- Nie musi być aż tak bardzo mniej niezgrabna, żeby być lepszą od innych ludzi - zauważyła Mirl. - Z kim ma walczyć?

- Z młodym mężczyzną. Skierował bolesne słowa pod adresem Wiernego Słowu, a ona w odpowiedzi dała mu po uszach swoimi słowami. Teraz zamierzają walczyć.

- Zamierzają? - zdumiała się Mirl. - Dlaczego po prostu nie zaskoczy go we śnie?

Rowl ziewnął.

- Nie mam pojęcia. Ale on na pewno nie zaskoczy jej we śnie. Jeśli spróbuje, wydrapię mu oczy.

- Bardzo rozsądnie - pochwaliła go Mirl. - Ale człowiek nie jest łatwym łupem. Nawet dla

potężnego Rowla.

- Prawdziwy Wąż nie powinien robić tyle hałasu.

Mirl wstała i pochyliła głowę w imitacji ludzkiego gestu.

-Tak, potężny Rowlu.

Spróbował trzepnąć ją w nos (choć nie wyciągnął pazurów), ale ona uchyliła się z leniwą gracją. W jej oczach zatańczyły wesołe iskierki. Oddaliła się, poruszając drwiąco ogonem.

- Wiesz co? Rzeczywiście jesteś bez mała tak przystojny, jak ci się zdaje.

-A ty jesteś stanowczo za szybka i za sprytna - odparł ze spokojem Rowl. - Uważaj na siebie w tunelach. Nie chciałbym, żebyś zaginęła.

- Nie popełnij głupiego błędu i nie daj się zabić, broniąc swojego człowieka - odpowiedziała.

- Czy wkrótce się zobaczymy?

- Być może - odparła Mirl. - Zależy, w jakim będę nastroju.

Zniknęła w mroku, z którego przyszła.

Rowl odprowadzał nieznośną kotkę spojrzeniem. Wpatrywał się w ciemność jeszcze przez pewien czas, poruszając z namysłem ogonem. Była nie-subordynowana, ale bystra. I piękna. Z całą pewnością nie była też nudna.

Być może ułoży dla niej pieśń.

Nauka „walki” wreszcie się skończyła i mogli się zająć tym, co naprawdę ważne. Rowl zajął swoje miejsce w ramionach Małejmyszki i razem ruszyli na śniadanie.

Targowisko było morzem straganów i małych budynków, ulokowanym w samym środku kondygnacji, wokół rezydencji władcy kasztelu. Mniej więcej jedną czwartą straganów zbudowano z kasztelowego kamienia sprowadzonego tu przez kogoś, kogo ludzie zwali Budowniczymi. Resztę w zasadzie wzniesiono z cegieł. Otwory drzwi i okien były teraz pozasłaniane rozpiętą na framugach skórą. Niektóre bogatsze sklepy używały drewna, które pochodziło z porośniętej dżunglą powierzchni i trzeba je było z wysiłkiem transportować dwie mile w górę.

Małamyszka zaniósła go do najlepiej pachnącego straganu - jednego z nielicznych, które były zajęte już o tak wczesnej porze. Człowiek Benedict najwyraźniej osobiście znał jego właścicieli, jako że co rano witali go, zwracając się do niego po imieniu. Powodem zapewne był dręczący go ciągle głód. Ciało półduszonego płonęło gorzej od ludzkiego — prawie tak samo gorąco jak ciało kota - i musiał jeść częściej niż inni ludzie. Benedict zamówił posiłki dla wszystkich i zapłacił za nie metalowymi krążkami, które ludzi cenili tak wysoko.

Gdy przyrządzono posiłek, ludzie ruszyli z nim do pobliskiego stolika. Rowl zajął miejsce obok Małejmyszki, która położyła przed nim ciepły knedel z mięsem. Rowl rozdarł go pazurami, a potem zaczekał, aż obłoczki pary się rozproszą. Choćby jedzenie było najsmaczniejsze, oparzenie się w język pozbawiało godności, i nie miał zamiaru powtarzać tego doświadczenia.

- Co myślisz o naszym szkoleniu, Rowl? - zapytał uprzejmie Benedict, pożarłszy w całości jeden ze swych knedli.

Kocur zerknął na Małamyszkę. W jego opinii nie zdecydowała jeszcze, czy obdarzyć tych dwoje ludzi swą lojalnością, ale z pewnością uważała człowieka Benedicta za potencjalnego partnera. Postąpiłby nieuprzejmie, gdyby zaszkodził jej szansom przedłużenia gatunku.

-Wydaje mi się bolesne - odpowiedział. Przetłumaczyła to na ludzki język, uśmiechając się z ironią.

- Może takie być - przyznał Benedict. - Ale w prawdziwej walce musimy zachować sprawność, nawet jeśli odniesiemy rany. Odrobina bólu teraz może uratować życie później.

- Poderżnięcie Reggiemu gardła, kiedy będzie spał, byłoby równie skuteczne - skwitował Rowl, spoglądając na Małamyszkę, która wzniosła oczy ku niebu, tłumacząc te słowa. Gwendolyn zakrzuszyła się kęsem.

Rowl spokojnie odgryzł parę kawałków z chłodnego końca swego knedla.

-Jest raczej bezpośredni, co? — zdołała wykrztusić po paru chwilach Gwendolyn.

- Nawet nie masz pojęcia - odparła Małamyszka.

- Istnieje pewien powód, by zdecydować się na mniej... rozstrzygające rozwiązanie - odezwał się Benedict, zwracając się bezpośrednio do Rowla. - Reggie jest członkiem wielkiej i potężnej rodziny. Człowiek, który będzie jego sekundantem, również jest Astorem, choć pochodzi z bocznej gałęzi rodu. Jeśli Reggie dozna trwałych obrażeń, sekundant zawiadomi o tym Astorów, którzy mogą szukać zemsty.

- Spodziewałbym się, że z radością uwolnią się od głupca - odparł Rowl.

Gwendolyn ponownie prychnęła, gdy Małamyszka przetłumaczyła te słowa.

- Do pewnego stopnia tak jest — przyznał Benedict. — Ale jeśli będą tolerowali krzywdę wyrządzoną członkowi ich Domu, inni mogą to uznać za oznakę słabości.

-Ach - odparł Rowl. - To przynajmniej ma odrobinę sensu. - Zastanowił się poważnie nad sytuacją. - Ale Małamyszka nie ma wielkiego Domu, który by ją pomścił, jeśli Reggie wyrządzi jej trwałą krzywdę.

Gdy Benedict usłyszał tłumaczenie tych słów, na jego twarzy pojawiła się skrepowana mina.

-Jest w tym trochę prawdy Ale nikt w kondygnacji nie ma interesu w tym, by pojedynki kończyły się śmiercią. Gdyby do tego doszło, można będzie wyrzucić naciski na Dom Astorów.

-Jeśli zabije Małamyszkę, to czy Dom Lancasterów wypowie wojnę Astorom?

Benedict i Gwendolyn wymienili przeciągłe spojrzenia.

- Nie sądzę.

- W takim razie te wasze naciski to łapa bez pazurów — skwitował kot. -Nie ma mowy, by go powstrzymały.

Gwendolyn pochyliła się nagle nad blatem, wpatrując się w Rowla. -Panie Rowlu, jeśli coś w tym rodzaju stanie się panie Tagwynn, osobiście wyzwę Reggiego na pojedynek na rękawice i wypalę w nim dziurę tak wielką, że kot będzie mógł swobodnie przez nią przeskoczyć. Masz na to moje słowo.

- Nie tylko przegrałam już pojedynek, ale w dodatku mnie zabito -wyszeptała Małamyszka - Po co marnujemy śniadanie na trupa?

- Postąpiłaś naprawdę głupio, pakując się w tę kabałę - odparł kocur z sympatią w głosie. - Teraz musisz pozwolić, by głowy mądrzejsze od twojej pomogły ci się z niej wyplatać. Obiecuję, że gdy tylko się upewnię, że nie pójdziesz nieświadomie na śmierć, pozwolę ci przegrać walkę na własną rękę.

Małamyszka łypnęła na niego ze złością.

- Co on powiedział? - zapytał ją Benedict, przenosząc spojrzenie z jednego na drugie.

- Że chce się wykapać - odparła z wyraźną nutą groźby.

- Doprawdy, Małamyszko — odezwał się Rowl. - Musisz wreszcie wyrosnąć z tych dziecinnych napadów złości.

- Okropnie mnie wkurzasz - warknęła z poczerwieniałą twarzą.

- Gniewasz się na mnie, bo wiesz, że mam rację - oznajmił Rowl tonem, jakiego powinien używać ten, kto jest w stu procentach pewien, że to jego oponent się myli.

Z półmroku dobiegł odgłos kroków. Rowl obejrzał się za siebie i zobaczył, że zbliża się człowiek będący jednym z towarzyszy Reggiego. Nie ruszył się, ale oparł łapy w dogodnym miejscu, gotowy skoczyć nieprzyjacielowi do oczu, gdyby spróbował ich zaatakować.

Po kilku sekundach ludzie Rowla również zauważyli przybysza. Mężczyzna zatrzymał się przy stoliku, unosząc podbródek.

- Benedikcie. Gwen. Panno Tagwynn.

Rowl przymrużył gniewnie oczy.

- Dzień dobry, Barnabusie - odparła zimnym tonem Gwendolyn. -Zamierzasz go poprzeć, prawda?

Człowiek Barnabus wzruszył obojętnie ramionami.

-Wyzwanie rzucono i przyjęto w zgodzie z zasadami, Gwen. On nie zamierza się cofnąć.

- Ale to jeszcze nie znaczy, że ty musisz być jego sekundantem.

- Jest z mojej krwi - odparł po prostu Barnabus. - Poza tym, jeśli się nie zgodzę, zastąpi mnie jakiś narwaniec.

_ On ma rację, Gwen - stwierdził Benedict, kiwając głową. - Przykro mi, że cię w to wplątano, Barney.

Barnabus ponownie wzruszył ramionami.

- Panno Tagwynn, czy mogę zapytać, kto będzie twoim sekundantem? - Ja - odpowiedzieli jednocześnie ludzie Benedict i Gwendolyn.

W tej samej chwili Rowl wydał z siebie najgwałtowniejszy i najbardziej ochrypły okrzyk bojowy, na jaki było go stać, a potem skoczył człowiekowi Barnabusowi do oczu.

Ten dał się całkowicie zaskoczyć. Uniósł rozpaczliwie ręce i zatoczył się do tyłu. Kocur wylądował całym ciężarem na jego piersi i obalił go na podłogę z kasztelowego kamienia. Człowiek upadł jeszcze bardziej niezgrabnie niż Małamyszka. Wstrząs wybił mu powietrze z płuc. Przez krótką chwilę był całkowicie oszołomiony.

Podobnie jak wszyscy obecni.

Rowl usiadł spokojnie na piersi człowieka Barnabusa i pochylił się nad jego twarzą.

- Jestem Rowl, kocię Maula, pana i władcy Cichych Łapek, i ja będę jej sekundantem.

Małamyszka przetłumaczyła to zdumionym, urywanym głosem. Człowiek Barnabus wlepił w Rowla spojrzenie szeroko otwartych oczu. Potem zaczął przenosić wzrok między nim a Małamyszką, słuchając jej słów.

- Chyba nie mówisz poważnie - wykrztusił wreszcie.

Rowl trzepnął go w nos, wysuwając pazury na tyle, by utoczyć kilka kropli krwi. To da mu nauczkę.

- Posłuchaj uważnie, człowieku - warknął. - Małamyszka zmierzy się z Reggie w walce wręcz. Za siedem dni, w blasku południa na targowisku.

Barnabus gapił się jeszcze przez chwilę na kocura, słuchając tłumaczenia jego słów.

- Benedykcie - odezwał się po chwili. - Reggie wybrał idiotyczną chwilą by dać wyraz swemu upodobaniu do pojedynków, ale to już przesada. Kot sekundantem? Co ludzie pomyślą?

Benedict wyduł wargi w zamyśleniu.

- Jeśli chodzi o mnie, zapewne pomyślałbym, że Reggie to jeden z najgorszych łajdaków w Wielkich Domach, skoro postanowił sterroryzować kogoś takiego, jak panna Tagwynn. Ale zapominasz o najważniejszym czynniku, Barney.

- A co jest najważniejszym czynnikiem? - zapytał Barnabus.

- On - odparł Benedict, wskazując na Rowla.

Kocur poruszył gniewnie ogonem, ani na moment nie odrywając spojrzenia od oczu Barnabusa. Wpatrywał się w nie jeszcze przez chwilę, po czym wstał i spokojnie wrócił do swego śniadania.

- Czy tego właśnie chce Maul? - zapytała po kocie Małamyszka.

- Oczywiście - odparł Rowl. Jego głos był pełen samozadowolenia, ale przecież było ono w pełni uzasadnione. Człowiek Barnabus był całkowicie zdany na jego łaskę.

- Nic z tego nie rozumiem - poskarżył się sekundant Reggiego, gapiąc się na kota.

- Nie wątpię w to, sir - odparła Małamyszka. — Ale zrozumiesz. Za tydzień.

ROZDZIAŁ 7

Kasztel Albion Kondygnacja Poranka, tunele wentylacyjne

Grimm zmierzał w stronę Rezydencji Kasztelana. Jego buty uderzały o kamienną powierzchnię z ostrym, wyraźnym stukiem. Cały czas musiał sobie powtarzać, że zamordowanie towarzyszącego mu idioty w nagłym akcie radosnej przemocy byłoby w skrajnie złym guście.

- Być może jego czas w końcu nadszedł - stwierdził komandor Hamilton Rook.

Był wysokim mężczyzną o królewskim wyglądzie, zakładając, że ktokolwiek chciałby mieć króla, którego nos wygląda jak dziób jastrzębia słonecznego. Na czarnych włosach nie było ani śladu siwizny. Grimm był przekonany, że komandor je sobie farbuje. Twarz i dłonie miał ogorzałe od czasu spędzonego na pokładzie statku - krążownika liniowego *Chwalebny*, dorównującego rozmiarami *Itasce*, choć z pewnością niemogącego się z nią mierzyć. Komandor był kulturalnym, wykształconym i bardzo uprzejmym człowiekiem, a do tego kompletnym dupkiem. Jego mundur miał regulaminowy granatowy kolor, był ozdobiony stanowczo przesadną ilością złotych sznurów oraz filigranu. Na końcach obu rękawów widniały trzy złote pasy.

- Co powiedziałaś, mój drogi Francisie?

Grimm zerknął na niego z boku.

-Jak zwykle, proszę cię, żebyś nie mówił do mnie Francis.

- Aha. Zatem wolisz drugie imię? Madison?

Grimm poczuł, że palce jego prawej dłoni zacisnęły się i rozluźniły.

- Komandorze, świetnie wiesz, że wolę „Grimm”.

- To trochę sztywniackie - stwierdził tamten z dezaprobatą. - Równie dobrze mógłbym cię cały czas zwać „kapitanem”, jakbyś nadal miał prawdziwy patent.

W skrajnie złym guście, pomyślał Grimm. Skandalicznie złym. Tak złym, że przeszedłby do historii. Nawet jeśli radość byłaby wielka.

- Miałem nadzieję, że niedawne sukcesy sprawią, że poczujesz się pewniej - ciągnął Rook. - Ale ty nie odpowiedziałeś na moje pytanie. To bardzo szczodra oferta.

Grimm skręcił w boczny korytarz, oddalając się od intensywnego ruchu, panującego rankiem w Kondygnacji Poranka.

- Masz na myśli propozycję, żebym sprzedał mój statek na złom za jedną czwartą wartości? Myślałem, że to był nieudany dowcip.

- Nie bądź takim romantykiem - skarcił go Rook. - *Drapieżca* był dobrym statkiem, ale jako okręt wojenny jest przestarzały, a jako jednostka handlowa za mały. Za sumę, którą ci oferuję, mógłbyś kupić statek handlowy, który pozwoliłby ci zdobyć majątek. Pomyśl o swych potomkach.

Grimm uśmiechnął się blado.

- Oczywiście fakt, że kryształ rdzeniowy *Drapieżcy* wylądowałby w magazynach twojego Domu jest pozbawiony znaczenia.

Kryształy o rozmiarach i gęstości wystarczająco dużej, by służyć jako rdzeń mocy statku, hodowało się przez dziesięciolecia, a nawet stulecia. Dlatego nie były po prostu drogim. Były bezcenne. W Kasztelu Albion cała produkcja kryształów była obecnie zarezerwowana dla Floty, co pozostawiało tylko niezmienną liczbę tych, które pozostawały w rękach prywatnych właścicieli. A większość z nich nie

rozstałaby się z nimi za żadną cenę. W ciągu dwóch ostatnich stuleci Wielkie Domy konsekwentnie gromadziły wszystkie kryształy rdzeniowe. Rzecz jasna, można je było kupić w innych kasztelach, ale - o ile Grimm wiedział - nikt na świecie nie potrafił dorównać jakością kryształom produkowanym przez Lancasterów.

- Rzecz jasna, że to znacznie podniosłoby prestiż naszego Domu-przyznał Rook. - Niemniej oferta jest uczciwa.

- Nie - odparł Grimm.

- Proszę bardzo - odparł Rook coraz bardziej nerwowym tonem. - Podwajam cenę.

- Podwójne nie.

Wysoki mężczyzna zagroził drogę kapitanowi i ze złością spojrzął na niego z góry.

- Posłuchaj, Francis. Chcę dostać ten kryształ. Widziałem raport o uszkodzeniach przedstawiony przez twojego mechanika. Miałeś szczęście, że udało ci się wrócić do kasztelu.

- Czyżby?

- Potrzebujesz zupełnie nowych przekładników mocy, nowego głównego kryształu wznoszącego, i co najmniej trzech nowych kryształów stabilizujących. Widziałem stan twojego konta. Nie ma mowy, żebyś mógł sobie na to wszystko pozwolić.

- *Drapieżca* jest uszkodzony, ale nie jest wrakiem - oznajmił stanowczo Grimm.

- Uszkodzony - powtórzył Rook z drwiną w głosie. - Ledwie może przesuwać się na uwięzi w górę i w dół kasztelu. To już nie jest sterowiec tylko zwykły wiatrogon.

Grimm nagle zwrócił się w stronę komandora, zaciskając pięści.

Rook najwyraźniej nie zauważył tego szczegółu.

- Składam ci uczciwą i przyjazną propozycję, Francis. Nie zmuszaj mnie, bym uciekł się do innych metod.

Grimm stał przez chwilę bez ruchu, wpatrując się w uśmiechniętego szyderczo Rooka.

- A cóż to mogłyby być za metody? - zapytał cicho.

- Jeśli okaże się to konieczne, mogę się zwrócić do sądu - odparł Rook. - Zameldować o niebezpiecznej niedbałości, z jaką kierowałeś statkiem. Podać liczbę poniesionych przez ciebie strat w ludziach. Wspomnieć o skargach i oskarżeniach o przestępczą działalność, przekazanych Flocie przez inne kasztele.

Grimm zazgrzytał zębami.

- Naraziłem się na te oskarżenia, działając na rzecz Floty, i świetnie o tym wiesz.

- Ale z pewnością otrzymam rozkaz zaprzeczenia wszystkiemu - odparł komandor, uśmiechając się szerzej. - Doprawdy, Francis. Czy rzeczywiście wierzysz, że Flota naraziłaby się na publiczne upokorzenie, by bronić zhańbionego wyrzutka, takiego jak ty? — Uśmiech zniknął z jego twarzy. — Dostanę ten kryształ, Grimm.

Kapitan skinął z namysłem głową. A potem, szybko i bez najmniejszych zahamowań uderzył komandora Hamiltona Rooka w twarz.

Odgłos ciosu poniósł się echem po pustym korytarzu. Rook zatoczył się do tyłu, oszołomiony raczej samym faktem uderzenia niż jego siłą. Wlepił w Grimma szeroko otwarte oczy.

- *Drapieżca* nie jest własnością — oznajmił kapitan z całkowitym spokojem. - Nie jest czymś, co posiadam. To mój dom. Jego załoga to nie moi pracownicy tylko rodzina. Jeśli jeszcze raz zagroziysz, że odbierzesz mi dom i pozbawisz moją rodzinę źródła utrzymania, mogę zabić cię na miejscu, komandorze.

W oczach Rooka zapłonął ogień. Komandor wyprostował się na swą pełną, imponującą wysokość.

- Ty arogancki robaku - warknął. - Wydaje ci się, że możesz mnie spoliczkować i nie zapłacić za to?

W odpowiedzi Grimm zbliżył się o krok i uderzył go ponownie. Rook spróbował się uchylić, ale dłoń kapitana była dla niego za szybka. Odgłos ciosu ponownie odbił się echem od ścian korytarza.

- Będę to robił tyle razy, ile tylko zechcę, sir - poinformował go Grimm nadal spokojnym tonem. —

Pozwój mnie do sądu. Pozwól, bym opowiedział sędziom i publiczności, co dokładnie skłoniło mnie do spoliczkowania cię. Spotka cię jawne upokorzenie. Jeśli będziesz chciał zachować choć cień reputacji, nie będziesz miał innego wyboru, jak wyzwać mnie na pojedynek. A jako wyzwany będę się domagał Protokołu Śmierci.

Rook odsunął nieco głowę od Grimma, jakby zajrzał do szafki po ser i zamiast niego znalazł łuskopełzacza.

- Nie ośmieliłbyś się. Nawet gdybyś wygrał, moja rodzina by cię zniszczyła.

- Zmieniłbym banderę na Kasztel Olimpia — odparł Grimm. - Przyjęliby mnie z wielką chęcią.

Niechby tylko Rookowie spróbowali swoich gier z kapitanem olimpijskiego statku. Myślisz, że twój trup jest tego wart, Hamiltonie?

Rook zacisnął pięści.

- To zdrada.

- Dla oficera Floty, tak - przyznał Grimm, odsłaniając zęby. - Ale nie dla zhańbionego wyrzutka, takiego jak ja.

- Jesteś nędznym zerem — warknął Rook. — Powinienem...

Grimm postąpił krok naprzód, nie przestając patrzeć komandorowi w oczy. Rook cofnął się przed nim.

- Co powinieneś zrobić, komandorze? Rozpowszechniać kalumnie za moimi plecami? Wyzwać mnie na pojedynek? Brak ci odwagi, by spojrzeć człowiekowi w oczy, kiedy go zabijasz. To kolejna rzecz, o której obaj wiemy.

Rozwścieczony komandor zacisnął zęby.

- Nie zapomnę o tym, Grimm.

Kapitan skinął głową.

-Tak jest, Hamiltonie. To jedna z twoich rozlicznych wad. Zapominasz o przysługach, ale pamiętasz zniewagi.

-W rzeczy samej. Mój Dom ma długą pamięć, a nasz wzrok sięga szeroko.

Grimm poczuł, że nagły przypływ gniewu grozi mu utratą panowania nad sobą. Wziął się jednak w garść, wyrażając furię jedynie brzmieniem głosu.

- Wasz wzrok sięga szeroko? Zatem tak to nazywacie? Dowiedz się jednego: jeśli cokolwiek stanie się któremuś z moich ludzi albo ich rodzinom... cokolwiek, choćby to nawet był drobiazg... uznam, że to ty jesteś odpowiedzialny i przed upływem godziny oskarżę cię przed Admiralicją oraz Radą. A gdy dojdzie do pojedynku zabiję cię i zrzucę twoje ciało ze szczytu kasztelu. Niekoniecznie w tej kolejności. Czy wyraziłem się jasno, komandorze?

Rook przełknął ślinę i znowu cofnął się o pół kroku.

-Trzymaj się z dala od mojego domu - zażądał Grimm, wskazując na niego palcem. - I od mojej rodziny. Życzę miłego dnia, sir.

Kapitan *Drapieżcy* odwrócił się dziarsko na pięcie i pomaszerował w stronę pałacu.

Nie minęły dwie minuty, gdy usłyszał spokojny, rozbawiony głos dobiegający z mroku bocznego nieoświetlonego korytarza.

- Co się z tobą stało, Mad? Czyżbyś nauczył się dyskrecji? Pamiętam czasy, gdy chwyciłbyś tego zarozumiałego głąba za gardło w samo południe pośrodku targowiska.

Grimm prychnął pogardliwie, nie zwalniając kroku.

- Nie mam czasu przerzucać się z tobą słówkami, Bayard.

Niski szczupły mężczyzna wyłonił się z cieni i ruszył naprzód u boku Grimma. Alexander Bayard miał na sobie mundur komandora, bardzo podobny do noszonego przez Rooka, choć nie aż tak bogato zdobiony. A także znacznie bardziej wytarty. Bayard lubił spędzać czas na pokładzie swego flagowego

okrętu, ciężkiego krążownika *Waleczny*, podczas gdy Rook ukrywał się przed żywiołami, gdy tylko mógł.

- To prawda - przyznał ze swobodą niższy mężczyzna i zaczął stawiać dłuższe kroki, żeby nie zostać z tyłu. - Słyszałem o tym. Twój statek ledwie się utrzymuje w powietrzu, a ty nie masz pieniędzy, żeby go naprawić. Dlatego jestem pewien, że pragniesz jak najszybciej opuścić port.

- Nie zmuszaj mnie, żebym cię wyzwiał na pojedynek - warknął Grimm.

- A czemu by nie? - zapytał Bayard, zmieniając krok na bardziej zawadiacki. Miał ciemne błyszczące oczy, a jego włosy przybrały wspaniałe srebrny kolor na wiele dziesięcioleci przed czasem. - Obaj wiemy, że byś przegrał.

Grimm prychnął pogardliwie.

- Jesteś prawdziwym specem od przemocy, mój sztywnokarki przyjacielu - ciągnął Bayard. - Ale nie masz lodu w duszy i ani kropli gadziej krwi w żyłach. Potrzeba kalkulacji, żeby zwyciężyć w pojedynku z gadem, a ty zawsze byłeś niecierpliwy.

Grimm poczuł, że się uśmiecha.

- Przed chwilą nazwałeś siebie gadem, komandorze.

- Bo to prawda - stwierdził Bayard. - Jestem żmiją, która wszystko potrafi wykorzystać na swoją korzyść. - Jego uśmiech zbladł nieco - Obawiam się, że właśnie dlatego ja noszę mundur, a ty nie.

- Nie było sensu, żeby obu nas wywalili - odparł Grimm. - Wiesz, że nie mam do ciebie żalu, Alex.

- Nie musisz. Wystarczy, że sam mam żal do siebie. A jeśli chodzi o Rooka... - Bayard zadrżał. -

Gdyby rzeczywiście doszło do pojedynku, mam nadzieję, że zrobisz mnie sekundantem.

- Wydaje mi się mało prawdopodobne, bym był aż tak zdesperowany - odparł Grimm. - Ale jeśli nikt inny się nie zgodzi, rozważę twoją kandydaturę.

- Znakomicie. Tylko zawiadom mnie z przynajmniej jednodniowym wyprzedzeniem, dobra?

Kochanka nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym zniecka gdzieś sobie poszedł.

Grimm parsknął ochrypłym śmiechem.

- Żadne z was nie jest związane z kimś innym, spotykacie się wyłącznie ze sobą od ilu... jedenastu lat?

- Trzynastu — odparł Bayard z samozadowoleniem w głosie.

- Boże w Niebiosach. A ty nadal upierasz się przy fikcji, że ona jest tylko twoją kochanką. Dlaczego?

Twarz Bayarda rozciągnęła się w chłopięcym uśmiechu.

- Dlatego, że skandal jest znacznie przyjemniejszy niż przyzwoitość, przyjacielu. Takie sprawy dodają życiu smaku.

- Jesteś degeneratem — skwitował Grimm, ale on również uśmiechnął się szeroko. Gniew i frustracja pozostałe po spotkaniu z Rookiem rozproszyły się szybko. — Co słyhać u Abigail?

- Ma różowe policzki, błysk w oczach i czuje się szczęśliwa, przyjacielu. Pozdrawia cię.

- Przekaż jej ode mnie wyrazy najserdeczniejszego uszanowania - rzekł Grimm i przechylił głowę, spoglądając na komandora. - Dziękuję, Alex.

- Rook nadużyłby cierpliwości nawet Archanioła — odparł Bayard, pochylając głowę. - Masz przyjaciół, Grimm. Nie marnuj czasu na przejmowanie się tym durniem.

- Nie uznałbym czasu poświęconego na dokopanie mu za zmarnowany.

Z ust Bayarda popłynął dźwięczny ciepły śmiech.

- Śmiem twierdzić, że wielu by się z tobą zgodziło.

Dotarli do słabo oświetlonego odcinka rzadko używanego tunelu, gdzie kryształowe luminowe rozmieszczono w większej odległości od siebie. Grimm położył dłoń na ścianie, by kierować swymi stawianymi niemal na oślep krokami.

- Nie wierzę, że natrafiłeś na mnie przypadkowo akurat w chwili, gdy potrzebowałem pocieszenia. Śledziłeś mnie.

- Oczywiście.

- Po co?
- Uważam, że powinieneś porozmawiać z kasztelanem.
- Właśnie do niego idę — zauważył Grimm.
- Ach, prawda - oparł Bayard. - Ale, rozumiesz, w rezydencji go nie ma. Polecił mi, żebym cię przyprowadził.

Komandor stanął nagle jak wryty. Bayard niemal natychmiast podążył za jego przykładem. Tunel wypełniały ciche dźwięki - echa ich kroków i głosów, odległy szum powietrza poruszającego się w przewodach wentylacyjnych kasztelu oraz ich własne oddechy.

Grimm nie był potem pewien, jaki cichy dźwięk czy poruszenie w mroku pozwoliło im wykryć zasadzkę. Instykt po prostu ostrzegł go, że niebezpieczeństwo jest blisko, i kapitan wyciągnął miecz z płynnym szelestem obitej miedzią stali. W równym stopniu poczuł, co usłyszał, że stojący obok Bayard zrobił to samo. Potem coś, jakieś stworzenie, wrzasnęło w ciemności, i w pierś Grimma uderzyła kula armatnia gorącego, wyjącego bólu.

ROZDZIAŁ 8

Kasztel Albion, Kondygnacja Poranka, tunele wentylacyjne

Nie miał czasu zareagować ani dość miejsca, by ciąć mieczem, choć był krótki i prosty. Zwalił się na ziemię pod straszliwym bolesnym ciężarem i uderzył w napastnika ramieniem, odpychając coś, co warczało, pluło i zadawało krwawiące rany zębami oraz pazurami. Stworzenie - mające w przybliżeniu wielkość sporego dziecka - skoczyło w górę i uciekło.

- Grimm!

- Nic mi nie jest! - warknął kapitan, wstając pośpiesznie. Zerwał z siebie kurtkę i szybko owinał nią lewą rękę. — Koty?

- Nie sądzę. Żaden kot nigdy nie wydał z siebie takiego dźwięku.

Wycie dobiegło ich znowu, z obu stron tunelu.

- Jest więcej niż jeden — zauważył Grimm.

- Stańmy plecami do siebie - zaproponował Bayard.

Kapitan poczuł, że muskularne barki drugiego mężczyzny wciskają się w jego plecy na połowie ich wysokości.

- Powiniennem sobie wybierać wyższych przyjaciół - wydyszał Grimm.

- Trzymaj język za zębami, stary druhu, bo inaczej odrąbię ci kostki.

W mroku znowu coś się poruszyło i stworzenie ponownie skoczyło na Grimma. Tym razem jednak zasłonił się owiniętym w skórzaną kurtkę ramieniem. Poczuł wbijające się w nie pazury i zęby.

Zakrzyknął głośno i odwrócił się w lewo, z całej siły uderzając napastnikiem o kamienny mur kasztelu.

Potem pchnął trzymany w prawej ręce krótkim mieczem i poczuł, że broń wbiła się głęboko.

Korytarzem poniósł się kwilący wrzask, nieprzypominający niczego, co Grimm kiedykolwiek słyszał.

- Ha! — krzyknął w tej samej chwili Bayard.

Gdzieś za plecami Grimma rozległo się warknięcie.

Kapitan nie miał jednak w tej chwili czasu dla przyjaciela. Stworzenie miało się jak szalone. Jego pazury docierały do ramienia mężczyzny nawet przez grubą kurtkę. Grimm walił mieczem tak szybko i brutalnie, jak tylko potrafił, modląc się o to, by dobrze ocenił w mroku długość oręza i sam nie zranił się w rękę. Widział tylko niewyraźny zarys szarpiącego się przeciwnika, czuł jednak gorącą krew wypływającą z ran zadanych przez jego miecz.

Stwór wrzasnął raz jeszcze, a potem nagle zniknął. Z obu stron korytarza dobiegały krzyki, które jednak cichły już w oddali. Kapitan instynktownie odszukał Bayarda i upewnił się, że jeszcze przez kilka następnych chwil będą się opierać o siebie plecami. Obaj dyszeli ciężko. Zranione ramię Grimma wypełniał pulsujący ból, palący i bardzo nieprzyjemny.

- Tchorze - wysapał po chwili Bayard, gdy stało się jasne, że atak się skończył. - Cholerne tchórzliwe stwory.

- W rzeczy samej - zgodził się Grimm. - Czy nie powinniśmy stąd zwiewać?

- Niewątpliwie - zgodził się komandor. - Ale zaczekaj chwilę. Mam tu gdzieś światło.

Kapitan czekał niecierpliwie, podczas gdy jego przyjaciel szeleścił ubraniem.

- Ach! - zawołał wreszcie Bayard. - W kamizelce. O mało bym zapomniał.

Po chwili pojawił się słaby bladoniebieski blask. Komandor wydobył z jednej ze swych kieszeni kryształ luminowy wielkości paznokcia i uniósł go wysoko.

Tunel nie wyglądał ładnie. Podłogę pokrywały plamy krwi, która w bladym świetle wydawała się czarna. Więcej ich było obok Grimma niż obok Bayarda. Komandor nie ucierpiał prawie wcale, ale klinga jego miecza miała ciemną barwę aż do połowy długości.

- Boże w Niebiosach, wyglądasz okropnie - stwierdził Bayard, unosząc brwi. - Więcej krwi niż człowieka. — Przeniósł spojrzenie na wielkie plamy na ścianie za plecami kapitana. - Daję słowo, stary druhu, powinieneś być zostać rzeźnikiem.

- Próbowałem - odparł Grimm. - Ale nie poradziłem sobie. Musiałem się zadowolić karierą we Flocie.

-Gorycz ci nie przystoi, przyjacielu. — Bayard omiótł spojrzeniem ciemnych oczu korytarz. - Jak twoja ręka?

- Boli - przyznał Grimm. — Lepiej, żebym nie zdejmował z niej kurtki, dopóki nie dotrzemy gdzieś, gdzie będzie można znaleźć bandaż.

- W takim razie idźmy powoli. Byłoby śmiesznie zobaczyć, jak biegiesz, aż się wykrwawisz, ale obawiam się, że Abigail byłaby na mnie zła. Mogłaby potem odtrącać moje awanse przez wiele godzin. A może nawet dni.

- Do tego nie możemy dopuścić - zgodził się Grimm. Strzepnął z klingi tyle krwi, ile tylko mógł, a potem skrzywił się i wytarł broń o część nogawki, która nie była jeszcze nią nasiąknięta, i wsunął oręż do pochwy.

W tej samej chwili Bayard skończył wycierać swoją broń chusteczką i zaoferował ją przyjacielowi.

- Mogłeś mi powiedzieć - warknął Grimm.

-To ubranie i tak już jest do niczego.

Kapitan mruknął coś pod nosem. Otworzył usta, chcąc powiedzieć coś więcej, ale Bayard nagle przechylił się w bok i zaczął się przewracać.

Nie, pomyślał Grimm, to nie tak. Bayard stał sobie spokojnie. Jego przyjaciel się nie przewrócił. To on leżał na ziemi. Niejasno wyczuwał chłód podłogi z kasztelowego kamienia, dotykającej jego policzka. Komandor poruszał ustami, ale jego słowa wydawały się straszliwie dalekie, jakby rozbrzmiewały w odległości kilkuset jardów w tunelu. Grimm nie był w stanie ich zrozumieć. Spróbował wesprzeć się na rękę i wstać, ale jego kończyny nie chciały się poruszać.

- A niech to — mruknął. — To bardzo niedogodne.

Bayard pochylił się nad przyjacielem i przyjrzał się uważnie jego twarzy. Ostatnie, co zapamiętał Grimm, było wrażenie, że komandor zarzuca go sobie na szczupłe, lecz muskularne plecy.

Grimm otworzył oczy. Znajdował się w ciepłym mrocznym pokoju. Sufit zrobiono tu z utwardzanej gliny, jednego z najpospolitszych materiałów budowlanych w skromniejszych domostwach w Kasztelu Albion. Nie pomalowano go na biało, lecz ozdobiono barwnym i dość dziwacznym malowidłem, sprawiającym wrażenie stworzonego przez wyjątkowo entuzjastyczne dziecko. Nie potrafił dopatrzeć się w nim zbyt wiele sensu. Przedstawiono tam - z pozoru bezładnie - sterowce, słońce, jakieś dziwne rośliny, tylko częściowo przypominające drzewa, oraz księżyc, który był stanowczo za duży w porównaniu z umieszczonym naprzeciwko niego słońcem. Uwidoczniono też na nim rozmaite dziwne stworzenia. Grimm nie znał żadnego z nich, choć podobizny niektórych mógł widzieć w co bardziej fantastycznych ilustrowanych książkach dla dzieci.

Pomieszczenie oświetlały niezliczone dziesiątki maleńkich, prawie martwych kryształów luminowych, zamkniętych w słojach z przejrzystego szkła. Ich blask był mgławicowy, uwidaczniał wszystko wyraźnie, lecz jednocześnie sprawiał wrażenie, że dobiega znikąd. Pomieszczenie było małe i skromnie urządzone - widziało się w nim uczniowskie biurko oraz niewielka szafka, do granic

możliwości wypchana książkami. Kapitan leżał na łóżku ze splecionych lin, na których spoczywał cienki materac. Nakryto go stertą koców tak wielką, że obawiał się, że prędzej się pod nimi udusi, niż ogrzeje.

Spróbował zrzucić je z siebie, ale przekonał się, że lewą rękę ma przywiązaną do piersi. Obie górne kończyny spowijała mu irracjonalnie gruba w jego opinii warstwa bandaży. Nie były białe. Zrobiono je z bardzo różnych rodzajów materiału we wszystkich wyobraźalnych kolorach. Jeden z pasów ozdobiły małe różowe serduszka, umieszczone na przemian z jaskrawożółtymi słoneczkami.

Usiadł, krzywiąc się z bólu, który przeszył mu rękę. Najwyraźniej miał też na górnej części ciała wiele innych ran, które również zabandażowano, posmarowawszy je uprzednio jakąś odkażającą maścią o ostrym zapachu. Nie pamiętał, kiedy odniósł te mniejsze rany, ale podczas walki nie było to niczym niezwykłym. Usta wypełniał mu obrzydliwy posmak, a w gardle paliło go z pragnienia. Na tacy ustawionej na stoliku przy łóżku stały dzbanek i kubek. Trzy razy z rzędu napełniał naczynie wodą i wypijał wszystko, nim wreszcie poczuł się trochę lepiej.

Ktoś zapukał do drzwi, a potem je otworzył. Grimm uniósł wzrok i zobaczył, że do pokoju weszła młoda kobieta. Była ubrana... nie tyle nieporządnie, pomyślał, co chaotycznie. Miała na sobie szarą koszulę z eterycznego jedwabiu, łątaną w kilku miejscach i najwyraźniej uszytą dla mężczyzny ważącego blisko dwieście funtów więcej od niej. Choć koszula była wystarczająco długa, by zastąpić suknię, kobieta wdziała pod nią zielone spódnice z szeleszczącej tkaniny, sięgające podłogi. Gdy podeszła bliżej, zauważył, że zamiast butów ma pończochy — na jednej nodze zieloną w białe groszki, a na drugiej pomarańczową w fioletowe paski. Nosiła też fartuch, ale był on zrobiony ze skóry i przypalony w kilku miejscach - strój pasujący raczej do kuźni niż do kuchni. Włosy ufarbowała sobie w karmazynowo-białe paski i związała w warkocz, co nadało im wygląd miętowego lizaka. Jedna soczewka jej okularów była różowa, druga zaś zielona, a rondo za dużego cylindra, który miała na głowie, ugięło się od złożonych kart papieru. Z jej naszyjnika zwisała szklana fiołka pełna niemal całkowicie zużytych kryształów iluminacyjnych. W rękach trzymała nakrytą pokrywką tacę.

- Ojej - powiedziała, zatrzymując się. — Ocknął się. I co teraz? To było niespodziewane. - Przechyliła głowę, przyglądając się Grimmowi najpierw przez jedną, a potem przez drugą soczewkę okularów. - Widzisz? Czuje się dobrze. Nie jest szalony. Tyle, że jest. Ja wiem to najlepiej. - Postawiła tacę na stoliku pod ścianą. - Czy powinniśmy mu powiedzieć, że to bardzo niestosowne, by dżentelmen nie miał na sobie koszuli, gdy w pokoju jest młoda dama? - wyszeptała. - Nie chodzi o to, że widok mi się nie podoba, bo on jest naprawdę męski, ale chyba powinno się powiedzieć coś takiego.

Grimm spojrział na siebie, sięgnął po kołdrę i osłonił się nią.

- Ach, wybacz, proszę, młoda damo. Chyba gdzieś zgubiłem koszulę.

- Myśli, że jestem damą. - Uśmiechnęła się radośnie do niego. - To bardzo niezwykle, w moim doświadczeniu.

Grimm pośpiesznie szukał w swym umyśle jakichś słów odpowiednich w takiej sytuacji, ale nie znalazł ich zbyt wiele.

- Nie jesteś przyzwyczajona do tego, że nazywają cię damą?

- Do myślenia - odparła młoda kobieta. - Proszę, masz tu trochę świeżej zupy. Nie jest zbyt smaczna, ale i tak powinieneś ją zjeść, bo jadowi smakuje jeszcze mniej.

Grimm uniósł brwi.

- Jadowi?

Młoda kobieta zwróciła się ku niemu i omal nie położyła mu dłoni na czole.

- Ojej. Czyżby znowu miał gorączkę? Nie, nie. Całe szczęście. Może po prostu jest trochę głupawy. Biedaczysko.

Nim zdążyła się odwrócić, Grimm złapał ją na nadgarstek.

Oddech młodej kobiety - nie, zdecydował kapitan, oddech dziewczyny — uwiązał jej nagle w gardle. Potem całe jej ciało zrobiło się sztywne i zdołała zaczerpnąć tchu.

— Ojej. Mam nadzieję, że nie zechce zrobić mi krzywdy. Jest w tym bardzo dobry. Potrzeba było mnóstwa czasu, by wytrzeć całą tę krew.

— Dziecko — odezwał się cicho Grimm. - Spójrz na mnie.

Zamarła nagle.

- Och, nie wolno mi tego robić.

- Spójrz na mnie, dziewczyno — powtórzył kapitan łagodnym, spokojnym tonem. - Nikt cię nie skrzywdzi.

Obrzuciła go bardzo szybkim spojrzeniem. Tylko przelotnie zdołał dojrzeć jej oczy nad oprawkami okularów. Jedno było szare i spokojne, a drugie miało odcień jasnozielonego jabłka. Dziewczyna zadrżała i oklapła. Jej nadgarstek zwiotczał w jego uścisku.

- Och - wydyszała. — To takie smutne.

— Do kogo mówisz, dziecko?

— On nie wie, że z wami rozmawiam — stwierdziła dziewczyna, dotykając palcami wolnej ręki buteleczki z kryształami zwisającej u jej szyi. - Jak może mnie słyszeć, kiedy nie rozumie czegoś tak prostego?

-Ach. - Grimm puścił jej nadgarstek, bardzo powoli i ostrożnie, jakby trzymał kruche ciało ptaka. - Jesteś eteryczką. Wybacz, dziecko. Nie wiedziałem.

- Myśli, że jestem mistrzynią - stwierdziła dziewczyna, pochylając głowę i rumieniąc się. - Jak może być taki bystry i jednocześnie taki głupi? To musi okropnie boleć. Ale może lepiej by było, gdybyśmy nic nie mówili. On chyba chce dobrze, biedaczysko. Jest też świadomy, zdolny do ruchu i myśli jasno. Powinniśmy powiedzieć mistrzowi, że chyba wyżyje.

Dziewczyna wybiegła z pokoju, kiwając do siebie głową. Jej cichy monolog unosił się jeszcze przez chwilę w powietrzu.

Grimm pokręcił głową. Kimkolwiek była dziewczyna, z pewnością terminowała już przez długi czas, pomimo młodego wyglądu. Wszyscy eterycy byli dziwni i z biegiem lat stawali się coraz dziwniejsi. Niektórzy byli przy tym znacznie dziwniejsi od pozostałych. Dziewczyna nie ustępowała pod tym względem żadnemu z eteryków, których poznał.

Podszedł do tacy i zdjął z niej pokrywkę. Znalazł pod spodem miskę zupy oraz kilka podpłomyków, a także łyżkę, którą można by uznać za skromną, gdyby nie wykonano jej z czarnego, błyszczącego drewna. Spróbował zupy, przygotowując się na gorycz typową dla większości lekarstw. Smak okazał się jednak całkiem przyjemny, choć zaskakująco mdły.

Przyniósł sobie taboret, usiadł za stołem i pochłoniął całą zupę, a także podpłomyki, które popił dwiema szklankami wody. Kiedy skończył, czuł się już prawie jak człowiek. Zauważył prosty szlafrok, który najwyraźniej zostawiono tu dla niego, i - posługując się tylko jedną ręką - zdołał wsunąć się w niego i zawiązać wokół pasa.

Gdy skończył, usłyszał głośnie walenie do drzwi.

- Ech - odezwał się męski głos. - Niech to szlag. - Zamek zazgrzytał kilka razy. Mężczyzna westchnął niecierpliwie. - Folly.

- On nie chciał urazić waszych uczuć - wyjaśniła przeproszającym tonem dziewczyna. - Po prostu jest dla was zbyt genialny.

Drzwi się otworzyły i dziewczyna odsunęła się pośpiesznie, nie patrząc Grimmowi w oczy.

Do środka wszedł mężczyzna przyciskający zmiętoszoną chusteczkę do najwyraźniej krwawiącego nosa. Był chuderlawy, ale miał wydatny brzuszek, a jego kończyny robiły wrażenie nieproporcjonalnych, prawie jak u pająka. Siwe włosy tworzyły brudny wiecheć, a twarz porastała mu rzadka biała szczecina. Jego garnitur spokojnej brązowoszarej barwy wyszedł z mody dobre dwadzieścia lat temu, a wielkie miękkie pantofle zrobiono ze skóry jakiegoś stworzenia o futrze w zielono-czarne pasy. Mężczyzna był za stary, by być w średnim wieku, ale za młody, by zwać go starym. Jego oczy miały intensywnie niebieski

odcien, jaki Grimm widywał tylko na jesiennym niebie wysoko nad chmurami. Wspierał się na drewnianej lasce zakończonej czymś, co mogło być kryształem bojowym napędzającym lekkie działo okrętu, wielkim jak zaciśnięta pięść mężczyzny.

- Ach! - zawołał. - Aha! Kapitanie Grimm, witaj, witaj, tak miło, że mogę z tobą porozmawiać, kiedy nie jesteś w malignie. - Zerknął z ukosa na dziewczynę. - Nie jest w malignie, prawda? - wymamrotał kąciakiem ust.

Pokręciła głową. Otworzyła szeroko oczy, ale nie odrywała wzroku od podłogi.

- Nie jest, mistrzu.

Podszedł do tacy i zdjął z niej pokrywkę. Znalazł pod spodem miskę zupy oraz kilka podpłomyków, a także łyżkę, którą można by uznać za skromną, gdyby nie wykonano jej z czarnego, błyszczącego drewna. Spróbował zupy, przygotowując się na gorycz typową dla większości lekarstw.

Smak okazał się jednak całkiem przyjemny, choć zaskakująco mdły.

Przyniósł sobie taboret, usiadł za stołem i pochłonął całą zupę, a także podpłomyki, które popił dwiema szklankami wody. Kiedy skończył, czuł się już prawie jak człowiek. Zauważył prosty szlafrok, który najwyraźniej zostawiono tu dla niego, i - posługując się tylko jedną ręką - zdołał wsunąć się w niego i zawiązać wokół pasa.

Grimm nie był pewien, jak ma uprzejmie odpowiedzieć na podobne przywitanie. Zadowolił się ukłonem, zginając się lekko w pasie.

- Nie mieliśmy okazji się spotkać. Obawiam się, że nie wiem, jak się nazywasz.

- Spotkaliśmy się jutro - zapewnił starszy mężczyzna. - I wcale się nie obawiasz, a to ostatnie może być kwestią dyskusji. Co o tym myślisz, Folly?

Dziewczyna przygryzła wargę i dotknęła fiolki z kryształami.

- Nie zdaje sobie sprawy, że kapitan Grimm może się czuć skrępowany z powodu nieznamości imienia.

- Nieprawda! - oznajmił z przekonaniem eteryk. — Śmiem twierdzić, że zna własne imię, a także co najmniej jedno z twoich. Miał już wiele sekund na zapisanie tej wiedzy w pamięci. Chyba że nadal jest w malignie, rzecz jasna. - Odwrócił się w stronę Grimma. - Masz pewność, że jesteś przy zdrowych zmysłach, kapitanie?

- Chwilami nie do końca — przyznał Grimm.

W głębi oczu eteryka pojawiło się nagle coś bardzo młodego i psotnego. Jego twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

- Ach! Ach! Skromny człowiek! A może tak zakłamanym, że sprawia wrażenie prawdomównego, albo tak prawdomównym, że wydaje się całkowicie zakłamanym. Teraz rozumiem, dlaczego Bayard jest o tobie tak dobrego zdania, kapitanie. - Mężczyzna dotknął koniuszkiem laski podłogi z dala od siebie i uklonił się elegancko z gracją tancerza. — Jestem Efferus Effrenus Ferus, do usług. A to jest Folly.

- Folly — powtórzyła dziewczyna i dygnęła, zwrócona ku przeciwległemu kątowi pomieszczenia.

- Swetry - rzekł jej z powagą Ferus. - Swetry, moja droga. I dwie pary skarpetek, w tym jedne wełniane. Aha, i znajdź mi męski kapelusz rozmiaru nie większego niż szóstka, a potem wymocz go w occie.

Dziewczyna ponownie dygnęła i wybiegła z pokoju.

- To słodkie dziecko - stwierdził Ferus z radosnym uśmiechem. - I zawsze pamięta wszystko bezbłędnie. A teraz, kapitanie. - Ponownie zwrócił się w stronę Grimma. - Ty masz pytania, a ja odpowiedzi. Sprawdźmy, czy pasują do siebie.

- Proszę bardzo - zgodził się Grimm. - Najwyraźniej jestem twoim gościem. Czy powinienem ci podziękować za udzielenie pomocy?

Ferus opuścił ramiona z wyraźnym rozczarowaniem.

- Zatem nie pasują. Miałem zamiar powiedzieć „truskawki”. - Zaciśnął usta i pokręcił głową. - Nie

jesteś zbyt dobry w tej grze, kapitanie.

- Jak rozumiem, znaczy to, że rzeczywiście mi pomogłeś.

Ferus machnął ręką.

- Śmiem twierdzić, że Bayard zrobił więcej ode mnie. Ale, wzięwszy pod uwagę... tak jest, byłem zmuszony skorzystać ze swych umiejętności, by ci pomóc.

- Umiejętności?

Eteryk skinął głową.

-W tej chwili jestem lekarzem znającym lek na chorobę, która nie przytrafia się niemal nikomu.

Gdybyś zapytał mnie o to dwadzieścia lat temu, odpowiedziałbym, że to bardzo kiepska długoterminowa inwestycja z niewielką nadzieją na zyski. Ale jest tak, jak jest.

Grimm poczuł, że się uśmiecha.

- W rzeczy samej. Jest tak, jak jest. Dziękuję za pomoc.

Ferus rozpromienił się i zastukał laską o podłogę.

- Właśnie, właśnie. Stworzenie, które próbowało cię zjeść, pozostawiło w twojej krwi wiele niebezpiecznych struktur. To było nieuprzejme, kapitanie. Bardzo nieuprzejme i niesprawiedliwe.

- Jad? - zapytał Grimm.

Ferus machnął ręką w obie strony.

- Tak. Właściwie to nie, nawet nie w przybliżeniu, ale na potrzeby tej rozmowy, tak.

Grimm zmarszczył brwi.

- Hmm, czy grozi mi jakieś niebezpieczeństwo?

-Jesteś już trupem, człowieku!

- Naprawdę?

- Tak. Właściwie to nie, nawet nie w przybliżeniu, ale na potrzeby tej rozmowy, tak. - Ferus wskazał głową na jego ramię. - Odwróciłeś moją uwagę. Powinienem sprawdzić twoją ranę, by się upewnić, czy zrobiłem wszystko dokładnie. Masz coś przeciwko temu?

- Nie - odparł Grimm. — Chyba nie mam.

-To znakomicie - ucieszył się Ferus. Potem odwrócił się i wyszedł, zatraskując za sobą drzwi.

Kapitan stał przez chwilę bez ruchu, marszcząc brwi. Wreszcie pokręcił głową i zaczął siadać z powrotem.

— A fe! - zawołał z korytarza Ferus. - Stój, człowieku! Jak mam cokolwiek zrobić, kiedy ty sobie tańczysz po całym pokoju?

Grimm zamarł w bezruchu.

— Hmm, czy tak jest lepiej?

— Wyglądasz dość niezgrabnie w takiej pochylonej pozycji. Czy przypadkiem nie czujesz poruszenia w kiszkiach?

— Nie czuję - odparł z westchnieniem Grimm.

— Postaraj się z tym powstrzymać, dopóki nie skończę.

— Hmm, panie Ferus, czy mógłbym zapytać, w jaki właściwie sposób mnie badasz? Z pewnością nie widzisz stamtąd mojej rany?

— Nieprawda! - zawołał Ferus. - Nie widzę stąd prawie nic innego! No dobra, gotowe. Muszę wyznać, że znam się na swojej robocie.

Kroki zbliżyły się do drzwi, a potem zatrzymały ostrożnie w odległości jakiejś stopy.

Klamka ponownie zagrzecotała, a potem umilkła.

— A niech to - mruknął Ferus. — Czemu to cholerstwo ze mnie drwi?

Grimm podszedł do drzwi i otworzył je.

Ferus westchnął przeciągle.

— Dziękuję, młody człowieku, dziękuję. Gdybym był w twoim wieku, z pewnością szybko

opanovałbym tę sztuczkę, ale, rozumiesz, z czasem umysł kosztuje.

— Doprawdy, nie mógłbym zrobić mniej — odparł kapitan.

— Mylisz się! - zawołał Ferus. - Mógłbyś zrobić mniej, gdybyś nie zrobił nic. A niech to, mam nadzieję, że jesteś bystrzejszy, niż się wydaje. Doprawdy nie możemy tracić czasu na twoją edukację, kapitanie.

— Rzeczywiście? - zdziwił się Grimm. - A to dlaczego?

W Ferusie zaszła nagle zmiana.

Jego ożywiony przedtem głos stał się cichy i spokojny, a kręgosłup i barki przeobraziły się nagle, emanując całkowitą pewnością siebie i siłą, pozostającą w sprzeczności z jego skromną posturą.

Najbardziej jednak zmieniły się oczy. Widoczny w nich błysk oczyścił się, wydestylował w stłumiony ogień, który napotkał spojrzenie Grimma bez oczekiwań ani słabości.

Kapitan nagle uświadomił sobie, że ma przed sobą bardzo niebezpiecznego człowieka.

- Dlatego, że dotarliśmy do końca, Francisie Madisonie Grimm -oznajmił mistrz Ferus.

- Do końca czego?

- Początku, oczywiście - odparł eteryk. - Do końca początku.

ROZDZIAŁ 9

Kasztel Albion, Kondygnacja Poranka

-Nie potrafię uwierzyć, że się na to zgodziłeś - oznajmiła Benedictowi Gwendolyn, starając się, by jej głos zachował miłe i neutralne brzmienie.

Kuzyn spojrział na nią i odsunął się o pół kroku. Oboje zmierzali ku miejscu, gdzie miał się odbyć pojedynek.

- Och, doprawdy - ciągnęła dziewczyna, tym razem wyraźnie okazując irytację. — Po prostu żartujesz sobie ze mnie.

- Rowł nalegał bardzo stanowczo — odparł młodzieniec, rozciągając usta w leciutkim uśmiešku.

- Rowł jest kotem, Benedikcie.

- Próboweś kiedyś powstrzymać kota przed zrobieniem czegoś, na co miał ochotę?

- Z pewnością nie. W Domu Lancasterów nie ma kotów.

Parsknął ostrym śmiechem.

- Znowu to samo.

Gwendolyn poczuła, że jej twarz czerwieni się lekko.

- Nigdy żadnego tam nie widziałam - kontynuowała, jakby w ogóle jej nie przerywał. — Rzecz w tym, Benny, że jeśli przez całe życie myślałam, że to niewiele więcej niż bystre zwierzęta, możesz być pewien, że sporo innych ludzi jest tego samego zdania.

- I?

- I wieści się rozeszły. Wszyscy w kondygnacji będą dziś oglądać ten pojedynek. Po raz pierwszy od pokolenia Dom Tagwynnów przyciągnął uwagę Wielkich Domów. Potrafisz sobie wyobrazić, co ich przedstawiciele sobie pomyślą o Bridget i jej ojcu, kiedy dziewczyna przyjdzie na pojedynek z cholernym kotem jako sekundantem?

- Potrafię — zapewnił Benedict z doprowadzającym do szału spokojem. - Wyobrażam to sobie bardzo dobrze.

- Co to miało znaczyć? — zapytała Gwen.

- Doprawdy, kuzynko, wiem, że jesteś jeszcze rekrutką, ale nie mogę ci tłumaczyć wszystkiego. Widziałeś to samo co ja. Odebrałaś takie samo wykształcenie. Masz bardzo bystry umysł, pod warunkiem, że potrafisz zapanować nad swym temperamentem. Zrób z niego użytek.

Łypnęła na niego ze złością.

- Zrobiłam to. I umysł powiedział mi, że dobre imię Tagwynnów jest dziś zagrożone. A ponieważ do tej sytuacji doszło z mojej winy, nie możemy dopuścić, by ucierpieli z powodu błędu, który popełniłam.

-Tak — zgodził się Benedict. — Wszystko to prawda. A teraz zrób następny krok. Jakie będą konsekwencje dzisiejszych wydarzeń?

Gwen zacisnęła na moment usta, zanim odpowiedziała.

- Jeśli Bridget przegra, Tagwynnowie staną się pośmiewiskiem i mogą paść ofiarą ekonomicznego ataku. W najlepszym razie ich dochody mogą ucierpieć. Jest też prawdopodobne, że któryś z bardziej żarłocznych Domów mających udziały w tym rynku znajdzie sposób, żeby wykupić ich kadziownię albo zmusić ich do jej zamknięcia.

- To prawda - zgodził się Benedict. - A jeśli Bridget wygra?

- Wtedy sytuacja będzie znacznie gorsza — odparła Gwen. - Jeśli pokona Reggiego, ściągnie na siebie gniew jednego z Wielkich Domów. W takim przypadku „mogą ucierpieć” zmieni się w „ucierpią”, a „prawdopodobne” w „nieuniknione”.

Benedict pokiwał głową.

- Dom Tagwynnów, Dom Astorów, tak jest, wykonałaś potrzebne obliczenia. - Przerwał na chwilę.

- Przynajmniej w dwóch trzecich.

-Jak to w dwóch trzecich?

- Uwzględniłaś Tagwynnów. - Uniósł palec wskazujący. -I pomyślałaś o Astorach. — Wyprostował wielki palec. — Ale co z kotami? — dodał, kierując kciuk w bok.

Gwen sapnęła z niecierpliwością... lecz nagle znieruchomiała.

- Czy w Domu Lancasterów naprawdę są koty? - zapytała. — A ja po prostu nigdy ich nie widziałam?

Benedict rozpostarł dłonie, jakby chciał powiedzieć, że to oczywiste.

- Ale... to zapewne nie znaczy, że one mnie nie widziały.

- Ach - rzekł jej kuzyn. - Wreszcie ci świta.

Dziewczyna zastanawiała się nad tymi słowami przez kilka następnych kroków.

- Czy rzeczywiście są aż tak inteligentne? Wiem, że to sprytnie zwierzaki, ale...

- Często jest bardzo użyteczne, by inni uważali cię za mniej inteligentnego niż w rzeczywistości - odparł Benedict z rozbawieniem w głosie. -Zwłaszcza jeśli ci inni są mniej inteligentni od ciebie.

Gwen zamrugwała.

- A niech to...

- Muszę przyznać, że zanim poznałem Rowla, nie zastanawiałem się nad tym zbyt głęboko - ciągnął Benedict. - To tylko teoria, kuzynko, ale brzmi przekonująco.

- Tak... rzeczywiście przekonująco - wyjąkała Gwen. — Nigdy nie słyszałaś z przenikliwej znajomości polityki, Benny. Większość ludzi w naszym Domu uważa cię za zdystansowanego, niezainteresowanego obserwatora, a nie za gracza.

Jej kuzyn zrobił zbolałą minę.

- I wolałbym, żeby nie zmieniali zdania, jeśli łaska. Polityka jest domeną łajdaków, tyranów i głupców. Obserwuję ją jedynie dlatego, że nie chcę się stać jej ofiarą.

Gwen prychnęła lekceważąco.

- Nic ci nie grozi od nikogo poza mną - zapewniła.

- Ojej.

Nagle zaburczało mu w żołądku.

- Jesteś głodny? - zapytała z uśmiechem Gwen.

- Już dziś jadłem - odparł.

- Jesteś genetycznym wojownikiem, Benny - przypomniała mu stanowczo Gwen. - Twoje ciało potrzebuje więcej paliwa. Nie ma w tym nic złego.

Zacisnął wargi, a w jego kocich oczach pojawił się nieobecny wyraz.

Gwen westchnęła w duchu. Wiedziała, że Benny jest bardzo niezadowolony z faktu, że urodził się inny, i bardzo stara się ukryć te różnice. Wiedziała, że podczas ćwiczeń nigdy nie porusza się tak szybko i gwałtownie, jakby mógł. Nosił też ze sobą kryształowy luminowy i korzystał z nich w ciemniejszych częściach kondygnacji, choć dzięki kocim oczom w ogóle ich nie potrzebował. Żywił się w sali jadalnej Gwardii, zgodnie ze ściśle określonym harmonogramem, i pochłaniał takie same porcje co wszyscy rekruci, pomimo faktu, że mógłby naprawdę umrzeć z głodu na diecie, która zwykłym ludziom wystarczyłaby z nawiązką.

Benny to cudowny, słodki, kochany idiota, pomyślała.

-Zjemy coś przed pojedynkiem - oznajmiła stanowczo. - Chodź ze mną.

- Gwen - sprzeciwił się.

-Jestem głodna - skłamała bez zająknięcia. - Chyba nie byłbyś tak nieuprzejmy, by pozwolić, by dama jadła sama? Chodź ze mną.

Benedict skrzywił się z niezadowoleniem.

- Nie mam przy sobie pieniędzy.

- Ja mam mnóstwo - odparła radośnie dziewczyna. - Chodźmy.

- Doprawdy, Gwendolyn — wymamrotał. - Po prostu nie potrafisz pojąć aluzji.

- Och, potrafię to znakomicie, kuzynie — zapewniła wyniośle. - Po prostu w tej chwili

postanowiłam jej nie pojąć. Weźmiemy te knedle, które tak lubisz?

Benedictowi ponownie zaburczało w żołądku. Tym razem głośniej.

- Oszukujesz - oskarżył ją.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odparła Gwen z wyrazem twarzy, który lubiła uważać za swój bardzo stanowczy uśmiech, ten, przy którym zaciskała szczęki. - A. Teraz. Chodź - wycedziła przez zęby.

Kuzyn łąpał na nią spode łba jeszcze przez chwilę.

- Będiesz nalegała, prawda? - zapytał wreszcie z westchnieniem.

- Jestem damą z Domu Lancasterów, Benny. A ty jesteś dżentelmenem z Domu Sorellin-Lancasterów. Nie powinnam być zmuszona do nalegania - odparła z uśmiechem. Stanowczym.

Benedict wzniosł oczy ku niebu, wydobyl z kieszeni białą chusteczkę i pomachał nią z powagą.

- Poddaję się.

- Słuszna decyzja - stwierdziła Gwen, uśmiechając się promiennie.

Mały stragan, w którym siwowłose małżeństwo nazwiskiem Beech przysądzało gorące jedzenie na zamówienie, znajdował się w pewnym oddaleniu od właściwego targowiska, poza nieustannym wirem handlu i ruchu pieszego. Tyły innych straganów tworzyły małą wnękę w kształcie litery C, w której ustawiono kilka prostych stołów i krzeseł, tworząc wrażenie zamkniętej przestrzeni.

Gwen podeszła do wnęki, ale nikogo tam nie było.

- Halo! - zawołała. - Chcielibyśmy coś zjeść.

- Nie jesteśmy jeszcze gotowi - dobiegł głos z wnętrza budki.

-To się przygotujcie - odrzyknęła Gwen. W jej głosie pobrzmiwał wesoły ton rozkazu. - Z chęcią wam dobrze zapłacę za fatygę.

Z budki dobiegło westchnienie. Potem z umieszczonej za nią spiżarni wyszedł podstarzały mężczyzna o brwiach niemal dorównujących szerokością jego nadgarstkom. Pan Beech uniósł brwi i spojrzał na Gwen.

- Panna Lancaster? To nie jest twoja zwykła godzina. Co tu robisz?

- Zapewniam ci wystarczający zysk na dziś - odparła Gwen, upuszczając sakiewkę na ladę. Rozległ się zachęcający brzęk. Ani dźwięk monet, ani widok jej uśmiechu nawet w najmniejszym stopniu nie zniechęciły właściciela. - Muszę dostać twojego knedla jeszcze przed południem.

- Nie ma sprawy, panno Lancaster, już się robi. A dla młodego dżentelmena?

- Dla niego dwa - oznajmiła zdecydowanym tonem.

- Kuzynko - sprzeciwił się Benedict. Był to jednak bardzo wąty protest, dodatkowo osłabiony kolejnym burczeniem w brzuchu.

- Proszę bardzo, panno Lancaster - zgodził się pan Beech, po czym zwrócił się ku piecowi kuchennemu, na którym czekała już patelnia z olejem, i wyjął z szafki chłodzącej kilka kiełbas.

Z zaplecza wyszła pani Beech z siwymi włosami związanymi chustką, i z wigorem zaczęła przygotowywać ciasto. Rozsypała na desce trochę mąki, rzuciła na nią kawał ciasta i zaczęła je ugniatać, szybko oraz wprawnie.

- Nie zamierzam słuchać żadnych sprzeciwów, Benedikcie - oznajmiła Gwen z cierpkim

uśmiechem. - A już z pewnością nie spodziewam się usłyszeć żadnych odgłosów płynących z twojego brzucha przez najbliższą godzinę albo i dwie. Szczerze mówiąc, narzekanie i burczenie w brzuchu nie przystoi Lancasterom.

Benedict znowu wznosił spojrzenie w górę, ale kąciaki jego ust poruszyły się lekko.

- Na szczęście dla mnie, nie podlegam tak wielu ograniczeniom jak wy, biedni Lancasterowie czystej krwi. Domieszka krwi Sorellinów poszerza moje horyzonty mentalne, emocjonalne i artystyczne.

- Coś mówiłeś? - zapytała Gwen, przystawiając rękę do ucha i podnosząc nieco głos. - Jestem pewna, że nie usłyszałam cię dokładnie z powodu dźwięków produkowanych przez twój brzuch. Mogłabym niemal pomyśleć, że próbowałeś kwestionować całkowitą i niezaprzeczalną wyższość Domu Lancasterów.

Benedict uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Idź się pobawić swoimi kryształami i pozwól reszcie ludzi zająć się prawdziwą pracą, dobra?

- Wstydź się, sir - odezwał się pan Beech, spoglądając na niego spod krzaczastych brwi. W jego oczach lśniły iskierki wesołości. - Jak możesz tak mówić o rodzinie panny Gwen?

Gwen uśmiechnęła się triumfalnie do kuzyna.

- Widzisz? Lancasterowie mają poparcie ludu.

- Opowiadasz się po jej stronie tylko dlatego, że to ona płaci - stwierdził ze śmiechem Benedict.

- Młody pan jest mądry - zauważyła pani Beech.

- To prawda — zgodził się starszy, gdy Gwen odliczyła hojny stosik monet i włożyła je w jego dłoń.

- Bardzo dziękuję wam obojgu - rzekła, radośnie pokazując język Benedictowi.

Do niszy wszedł mężczyzna w średnim wieku, wyglądający na mola książkowego.

- ...nie rozumiem, jak to miałyby zadziałać - mruczał.

Jego ubranie, choć wysokiej jakości, było wymięte i rozchełstane, a fioletowa kamizelka w zestawieniu ze zwykłym, brązowym tweedem płaszcza i spodni stanowiła zniewagę dla wrażliwości całego pokolenia. Włosy miał kasztanowe i stanowczo za długie, usiane pasemkami siwizny, a dłonie delikatne i długopalce. Zapisywał coś w dzienniku piórem wyposażonym w świecący kryształ i mamrotał do siebie pod nosem.

- Dzień dobry, panie i pani Beech - powiedział, nie unosząc wzroku. Ziewnął, zasłaniając usta dłonią, i pisał dalej. — Podwójna porcja tego, co u ciebie najlepsze, i kawa, jeśli łaska. Dobra i czarna.

Pióro przesunęło się po stronicy, stawiając na niej serię jakichś znaków, których Gwen nie rozpoznawała.

- Dzień dobry, Addy - przywitała przybysza ciepło pani Beech. - Znowu bezsenna noc?

- Obawiam się, że to przekleństwo osób o naukowych skłonnościach - odparł mężczyzna. - Całe mile rozmaitych sposobów patrzenia na te same stare bezużyteczne fakty.

Mówiąc, ani na moment nie przestawał pisać, i wpadł na Gwen, zahaczając ją krawędzią dziennika.

- Och, przepraszam pana.

- Pana? - zapytała dziewczyna kpiącym tonem.

- Słucham? - zapytał Addy, kończąc linijkę zakrętasem i zaczynając następną.

Gwen odchrząknęła, wyraźnie okazując, że domaga się, by uniósł wzrok.

- Gadaj, człowieku - zażądał Addy. - Jeśli masz coś do powiedzenia, powiedz to! Nie mam czasu na takie zabawy!

Gwen przymrużyła powieki. Jej oczy nabrały stalowego wyrazu. Jak śmiał być tak nieuprzejmy wobec damy? A już zwłaszcza damy z Domu Lancasterów?

- Kuzynko - odezwał się pośpiesznie Benedict, kładąc dłoń na jej ramieniu, ale strząsnęła ją.

- Chwileczkę, kuzynie - rzekła. — Stanęłam przed nieprzyjemnym dylematem.

-Ale...

- Benedikcie - przerwała mu swym najśłodszy, najłagodniejszy tonem, więc młodzieniec tylko skrzywił się i cofnął o mały krok.

Addy, jeśli rzeczywiście tak miał na imię, bez przerwy pisał, niemalże całkowicie ignorując dziewczynę. Skandal!

- Hmm? - zapytał z roztargnieniem w głosie. - Dylematem?

- Nie wiem czy poprzestać na skarceniu cię za podobną nieuprzejmość, czy też uznać ją za zniewagę i zażądać satysfakcji, do czego mam prawo?

Addy zamrugał kilka razy i wreszcie spojrzął na Gwen.

- No proszę. Doprawdy? Satysfakcji? — Pod jego słowami buzowała wesołość, jakby tylko z najwyższym wysiłkiem powstrzymywał śmiech. - Zastanawiasz się nad wyzwaniem mnie na pojedynek?

- Najpierw muszę poznać twoje nazwisko, sir - warknęła dziewczyna.

- A czy ono ma jakieś znaczenie? - zapytał Addy.

- Pewnie, że ma - oznajmiła Gwen. - Chciałabym się dowiedzieć, który Dom jest aż tak niedbały, że pozwolił jednemu ze swoich synów wałęsać się po Kondygnacji Poranka, nie nauczywszy go choćby takich manier, jakie Bóg dał kozom.

- W gruncie rzeczy kozy to całkiem miłe i rozsądne stworzenia - stwierdził delikatnym tonem Addy.

- I bardzo rzadko wdają się w pojedynki. A już z pewnością nie po nieprzespanej nocy. - Westchnął. -

Czy moje nazwisko powinno mieć znaczenie?

- Słucham? - zdziwiła się Gwen.

- Czy powinno mieć znaczenie? Czyż sam nie odpowiadam za swoje czyny? Dlaczego miałyby być ważne, czy należą do niskiego, czy wysokiego Domu? Czy moje zachowanie jest bardziej obraźliwe, jeśli jestem zwykłym obywatelem, niż w przypadku, gdybym był arystokratą?

Gwen uważnie mu się przyjrzała. Jego pytania brzmiały tak dziwnie, że równie dobrze mógłby je zadać w obcym języku.

- Oczywiście, że powinno się liczyć - odparła po chwili. - Sądząc po ubraniu, nie wyglądasz na nisko urodzonego, ale gdybyś nim był, nie mogłabym cię skarcić za brak dobrego wychowania, jeśli nie miałeś okazji odebrać edukacji w podobnych sprawach.

Addy przechylił nagle głowę. W jego ciemnych oczach pojawił się błysk. - Twoim zdaniem powinienem być traktowany surowiej, gdybym należał do arystokracji?

- Oczywiście - potwierdziła Gwen tonem sugerującym, że uważa rozmówcę za idiotę. - Protokół obowiązujący przy kontaktach między członkami Domów jest standardem okazywania należnego szacunku równym sobie, zapobiegającym wendetom i wojnom domowym. Masz obowiązek zachowywać się stosownie, sir. Od tych, którym wiele dano, powinno się wiele wymagać - Z całą pewnością w takim przypadku oczekiwałabym od ciebie więcej.

Na twarzy Addy'ego powoli wykwitał uśmiech.

~To bardzo interesujące. - Przeniósł wzrok z Gwen na dwoje sprzedawców. - Jak długo?

Pan Beech wyciągnął już kosz z miedzianego drutu z rozgrzanego oleju i układał knedle na czworokątnych płóciennych serwetkach.

- Chwileczkę.

Addy skinął mu głową i zwrócił się ku Benedictowi.

- No dobra - rzekł. - Czy zechciałbyś mnie przedstawić swojej kuzynce? Chyba ją polubiłem.

Gwen uniosła wysoko brwi.

- Słucham?

Benedict zaczerpnął głęboko tchu, spoglądając na Gwen z sympatią połączoną z irytacją.

- Kuzynko - odezwał się. - Naprawdę powinnaś się nauczyć od czasu do czasu trzymać język za zębami. Wtedy nie najadałabyś się wstydu tak często. - Poprawił płaszcz i ukłonił się uprzejmie. — Gwendolyn Margaret Elizabeth Lancaster, córko lorda Ministra i lady Lancaster, mam...wyjątkową

przyjemność... przedstawić ci Jego Wysokość Addisona Orsona Magnusa Jeremiaha Albiona, pierwszego obywatela i kasztelana Albionu.

Gwen gapiła się przez chwilę na kuzyna, porażona szokiem.

Jej żołądek całkowicie odłączył się od innych narządów wewnętrznych, podchodząc do gardła.

Powoli przesunęła spojrzenie na uśmiechającego się miło kasztelana. Potem jej twarz nagle zrobiła się bardzo, bardzo gorąca.

- Panno Lancaster — rzekł kasztelan, kłaniając się płytko z bardzo zadowoloną miną. — Poznanie cię było dla mnie naprawdę wyjątkową przyjemnością.

Przerażona Gwen nie przestawała się w niego wpatrywać.

- Nie... nie wyglądasz... jak na portrecie, sir.

- Kiedy go malowano, byłem młodszy i znacznie bardziej gniewny-wyjaśnił. - Nie mam do ciebie nawet najmniejszej pretensji, panno Lancaster. Gdy ostatnio brałem udział w publicznej uroczystości, byłaś chyba jeszcze małym dzieckiem. Nie ma powodu uważać, że powinnaś mnie rozpoznać.

- Ja... nie... s... sir... - wyjąkała dziewczyna. Czuła, że ręce jej drżą, choć mogła się pocieszać myślą, że to skutek niezliczonych godzin ćwiczenia protokołu, które wytrawiły poprawne sposoby zachowania w jej włóknach nerwowych.

Ujął gładko jej rękę i pochylił się nad nią.

- Młoda damo, jesteś równie piękna jak twoja matka, kiedy była w tym wieku. Ach, śniadanie! Albo obiad. Powiedzmy obiadośniadanie - skwitował kasztelan, gdy Beechowie przynieśli na tacy świeże gorące knedle oraz szklanki schłodzonego soku. - Zechcecie oboje do mnie dołączyć?

-Hmm... musimy...

Obrzuciła kuzyna pełnym desperacji spojrzeniem.

Benedict poświęcił chwilę na to, by uśmiechnąć się do niej. A także na to, by napawać się jej miną, uświadomiła sobie. Cieszył się tą sytuacją w wyraźnie sadystyczny sposób.

- Bylibyśmy zachwyceni, panie - odparł.

- Znakomicie! — ucieszył się kasztelan. - Te stoliki będą chyba w sam raz. - Wziął w ręce tacę, zręcznie zostawiając po drodze na ladzie pieniądze za swoje knedle. Uśmiechnął się uprzejmie do Gwen i wskazał głową we właściwym kierunku. - Panie przodem?

Zaczerpnęła głęboko tchu.

- Jestem totalną idiotką — rzekła Benedictowi i ruszyła ku stolikom.

Kasztelan uniósł brwi, spoglądając na niego.

- To po gwenowsku znaczy „przepraszam” - usłyszała za swymi plecami głos kuzyna. — Ty pierwszy, panie.

Zabrali się do jedzenia w krępującym milczeniu, które wkrótce zmieniło się na pełne uznania.

- Daję słowo, to bardzo dobre - wydyszał Benedict.

Wyraźnie próbował się hamować, ale równie łatwo można było zauważyć, że ma trudności z robieniem czegokolwiek poza próbami wepchnięcia sobie całego knedla do ust za jednym zamachem. Jego posiłek zniknął bardzo szybko.

Gwen przed chwilą okazała niewyobrażalną beczelność monarsze Kasztelu Albion. Miała wrażenie, że zawsze odtąd, gdy będzie jadła śniadanie, powróci wspomnienie tego poranka. Ledwie tknęła własnego knedla.

- Żeby dostać coś równie dobrego w rezydencji, musiałbym czekać godzinami - przyznał kasztelan.

- Beechowie przenieśli się do Kondygnacji Poranka z Kondygnacji Lądowiska dziesięć lat temu.

Zaproponowałem im posadę w rezydencji, ale woleli radzić sobie sami. To mi się podoba.

Benedict pokiwał głową, ale nie przestał żuć.

- Zatem, panie Sorellin — ciągnął kasztelan. - Jestem zaskoczony, że wróciłeś w tym roku po tym, co wydarzyło się ostatniej wiosny.

Młodzieniec wzruszył ramionami.

- Prawie nie mam blizn.

- A szkoda - odparł kasztelan z błyskiem w oczach. - Słyszałem, że młode damy wręcz mdleją na ich widok.

Gwen uniosła brwi.

- Ben? O czym on mówi?

Jej kuzyn nagle zrobił zażenowaną minę. Nie spuszczał oczu z posiłku,

- Benedict służył przez rok w Gwardii - wyjaśnił kasztelan. - Wysłałem go z małym oddziałem do Kondygnacji Podniesionej, żeby wytropił zaginiony transport kryształów bojowych. Złodzieje nie mieli ochoty oddać łupu.

- Brałeś udział w bitwie? - zapytała Gwen, otwierając szeroko oczy.

- To nie była prawdziwa bitwa - odpowiedział pośpiesznie jej kuzyn. - Tylko potyczka o przebicie się przez drzwi kryjówki. Właściwie nie warto o niej wspominać.

- Potyczka, w której jeden z gwardzistów został poważnie ranny-wtrącił kasztelan — Twój kuzyn zabił dwóch przestępców, którzy okładali innego z jego towarzyszy pałkami. A potem przedarł się przez sześciu kolejnych, choć ze wszystkich sił bronili drzwi wejściowych. Jeden z nich pchnął go mieczem w ramię.

- To nie była poważna rana — zapewnił Benedict z rumieńcem na twarzy.

- Uratował życie wielu ludziom — ciągnął kasztelan - w tym również swym własnym towarzyszom oraz większości złodziei, nie wspominając już o chaosie, jaki mogłyby wywołać te kryształy, gdyby wyciekły na czarny rynek. — Mrugnął, spoglądając na Gwen. - Otrzymał Order Kasztelu. Myślałem, że znasz tę historię.

- O ile mi wiadomo, nikomu nie wspomniał o tym ani słowem - odparła, przesywając kuzyna intensywnym spojrzeniem. - Pierwszy raz słyszę o całej tej sprawie. Powiedziałaś mi, że skaleczyłeś się w ramię w walce treningowej, Benny.

Benedict pochylił głowę i zajął się drugim knedlem. Pierwszego pochłonął nieprzyzwoicie szybko, mimo że próbował się hamować.

Kasztelan uśmiechnął się szeroko.

- Panno Lancaster... czy mogę ci mówić Gwen?

- Oczywiście, Wasza Wysokość.

- Znakomicie. Ale ty też nie możesz się do mnie zwracać „Wasza Wy sokość”. „Addison” będzie w sam raz.

- Wasza Wysokość... - zaczęła z wahaniem.

Kasztelan machnął ręką.

- Znam protokół. Ale stworzono go dwieście lat temu, gdy Gregor Silny zjednoczył wszystkie kondygnacje i stworzył Radę. Kiedy jeszcze miał władzę wykonawczą i armię, którą mógł ją wesprzeć.

- Wasza... Addison - wyjąkała Gwen. - Nadal jesteś kasztelanem.

Parsknął śmiechem.

- W swoim czasie monarchia była złem koniecznym, panno Lancaster. Teraz jednak stałem się właściwie przestarzały i raczej się z tego cieszę. Twój ojciec i Rada kierują sprawami kasztelu dzięki konsensusowi, a wszystkie kondygnacje są reprezentowane na sposób, który niekiedy zbliża się do sprawiedliwego. Jedyne siły zbrojne, jakich potrzebujemy wewnątrz kasztelu, to Gwardia, a i ona na ogół kieruje tylko akcjami humanitarnymi. Niczym nie rządę, panno Lancaster. Mój ojciec i dziadek również niczym nie rządzą. Po prostu staram się pomagać swym poddanym, gdy tego potrzebują.

- Jesteś kasztelanem, panie - nie ustępowała Gwen. - Wszyscy szlachetnie urodzeni otaczają cię szacunkiem.

- Miłosierni Budowniczości, jesteś naprawdę bardzo młoda - zauważył, uśmiechając się z ironią.

— Tylko zaczekaj, aż wydam jakąś proklamację, która zaszkodzi stanowi ich kont. Podejrzewam, że wtedy otoczą mnie uzbrojonym w pałki tłumem. — Pokręcił głową. - To prawda, że tradycja wymaga, by szlachetnie urodzona młodzież zgłaszała się na ochotnika do służby w Gwardii. To symbol statusu, ale pod wieloma względami zupełnie arbitralny. Gdybym posunął się za daleko, jakaś inna instytucja mogłaby nagle zastąpić Gwardię jako prestiżowa postać służby społeczeństwu.

- Nie wszyscy tak sądzą, panie - powiedział cicho Benedict. — Nie wszyscy uważamy cię za relikw przesłości.

- Nie Lancasterowie - dodała Gwen.

- Być może - przyznał z namysłem kasztelan. - Tak czy inaczej, Gwen, interesuje mnie, dlaczego postanowiłaś wstąpić do Gwardii.

- Jestem jedynym dzieckiem mojego ojca - odpowiedziała.

- I w związku z tym mogłaś zostać zwolniona z tego obowiązku bez uszczerbku na honorze dla ciebie i twojej rodziny. Nikt nie pomyślałby o tobie źle, gdybyś uchyliła się od tej służby.

Gwen uniosła lekko podbródek.

— Ja bym pomyślała, panie.

Kasztelan przyglądał się jej przez chwilę, siedząc nieruchomo na krześle.

— Nie okażę ci żadnych specjalnych względów, panno Lancaster, bez względu na to, jak ważna jesteś dla Domu twojego ojca - oznajmił wreszcie. - Będą ci przydzielane zadania, podobnie jak wszystkim rekrutom. Niektóre z nich mogą się okazać niebezpieczne. Wolę nie myśleć o tym, jak wielu młodych mężczyzn i kobiet zginęło bądź zostało rannych podczas wykonywania moich rozkazów. Rozumiesz?

— Tak jest, Wasza Wysokość.

Zjadł kilka ostatnich kawałków knedla, marszcząc czoło w zamyśleniu. Potem zwrócił się do Benedicta.

— To samo dotyczy ciebie, panie Sorellin. Wybieram ludzi, którzy najlepiej się nadają do wykonania danego zadania, na podstawie ich umiejętności. Już raz ucierpiałeś w mojej służbie i to może wydarzyć się znowu.

— Tak jest, Wasza Wysokość — odparł Benedict tonem takim, jakby kasztelan przed chwilą mu powiedział, że woda jest mokra.

Addison skinął głową.

— Będziemy mieli w tym roku czterdziestu nowych rekrutów - stwierdził. - I drugie tyle wracających do służby weteranów. Zobaczę się z wami obojgiem na początku cyklu szkolenia, żeby odebrać wasze przysięgi i podpisać kontrakty.

— Oczywiście — potwierdziła Gwen. — Wasza Wysokość...

— Panno Lancaster — przerwał jej z wyrzutem kasztelan.

— Addison - poprawiła się. - Wasza Wysokość... - dodała.

— Słucham? — odparł z wesołością widoczną głównie w jego oczach.

— Gdybym przedtem wiedziała, kim jesteś...

— Miałabyś pełne prawo zareagować tak samo, panno Lancaster - oznajmił stanowczo. - Wybacz mi, proszę, to zachowanie. Bardzo rzadko mam okazję być nieuprzejmy dla zabawy, a obawiam się, że moje poczucie humoru jest przygnębiająco niewyszukane. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Gwen poczuła, że jej policzki znowu się rumienia.

— Oczywiście, panie.

Nagle zabrzmiał głuchy, niski ton dzwonu, dobiegający ze środka publicznej części kondygnacji, z jakiegoś miejsca w pobliżu targowiska.

Benedict napiął mięśnie. Potem jednym kęsem przełknął pozostałą połowę drugiego knedla. Gwen odruchowo podsunęła mu swój i ten również pożarł, najwyraźniej instynktownie i bez zastanowienia.

- Aha - odezwał się kasztelan. — Chyba czytałem w obwieszczeniach, że ma się dziś odbyć pojedynek. Słyszałem, że sytuacja może się zrobić naprawdę nieprzyjemna dla tych, którzy w nim uczestniczą. Może wiesz coś na ten temat, panno Lancaster?

Jego głos brzmiał spokojnie, nawet żartobliwie, ale pod powierzchnią tych słów kryła się stal.

- Podejrzewam, że świetnie znasz odpowiedź na to pytanie, Wasza Wysokość.

Odsłonił przelotnie zęby.

- W takim razie, jak sądzę, zamierzasz doprowadzić tę sprawę do końca.

- Oboje zamierzamy - odezwał się cicho Benedict.

Kasztelan skinął głową.

- Wiele osób przygląda się temu, co dzisiaj zrobisz, panno Lancaster. Między innymi ja.

Gwen przełknęła ślinę. Potężny dzwon uderzył jeszcze kilka razy, a potem umilkł.

Kasztelan spojrział w kierunku źródła dźwięku i skinął głową, wyraźnie nakazując im odejść.

-Tagwynnowie to dobrzy ludzie, a Dom Lancasterów zawsze otaczałem szacunkiem, panno Lancaster.

Mam nadzieję, że dzisiejsze wydarzenia nie zmienią mojej opinii.

Gwen potrafiła rozpoznać ton rozkazu, kiedy go usłyszała. Serce nagle zabiło jej nieco szybciej. To już nie było zwykłe zamieszanie wywołane jej brakiem rozsądku. W sprawę wtrącił się kasztelan, a to mogło mieć konsekwencje dla całego jej Domu.

- Tak jest, Wasza Wysokość - zapewniła, czując suchość w gardle. -Z całą pewnością nie zmienią.

ROZDZIAŁ 10

Kasztel Albion, Kondygnacja Poranka

Bridget była przekonana, że dopadną ją mdłości i zwymiotuje na oczach całej kondygnacji.

- Małamyszko - odezwał się cicho, ale stanowczo Rowl, którego niosła w ramionach. - Wyprostuj plecy. Unieś brodę. Nie okazuj strachu. Nie dawaj nic nieprzyjacielowi.

- To bardzo dobra rada, panienko - poparł go arbiter pojedynku, przemawiając tym samym tonem, ale w ludzkim języku.

Był wysokim, szczupłym mężczyzną, a nitki siwizny w jego włosach ostro kontrastowały z całkowicie czarnym strojem. Czekali w publicznej części targowiska w Kondygnacji Poranka, nieopodal platformy pojedynkowej. Posiwały genetyczny wojownik przed chwilą przestał bić w dzwony.

- Mówisz po kociemu, panie...? - Bridget się zaczerwieniła. - Wybacz, nie znam twojego nazwiska.

- Esterbrook, panno Tagwynn - odparł z płytkim uprzejmym ukłonem. - Nie mówię w tym języku zbyt dobrze, ale całkiem nieźle go rozumiem. Jak wszyscy mądrzy ludzie.

- Lubię go — odezwał się Rowl.

Uśmiechnęła się blado i spróbowała podążyć za radą kota.

- Błagam o wybaczenie, jeśli zrobię coś nie tak, panie Esterbrook. - Obawiam się, że mam bardzo niewiele doświadczenia w takich sprawach.

- Mądrzy ludzie go nie mają - skwitował ze spokojem Esterbrook, raz jeszcze uśmiechając się do niej. - Wszystko to jest bardzo proste, panno Tagwynn.

- Nie jestem pewna, jaką rolę gra arbiter w pojedynku, w którym nie używa się broni.

- Moja rola pozostaje taka sama — wyjaśnił Esterbrook. - Nasz urząd jest obsadzony przez garstkę starych żołnierzy. Każdy z nas odpowiada za inny dzień tygodnia. Moim zadaniem jest zrobić wszystko, co tylko możliwe, by się upewnić, że nikt nie straci życia. Podjąć próbę rozstrzygnięcia sporu, zanim dojdzie do przelewu krwi, a potem dopilnować, by przestrzegano protokołu pojedynkowego i by nikt z zewnątrz się nie wtrącił.

- A kto mógłby się wtrącić? - zapytała z zaszępioną nagle miną.

- Na przykład jego sekundant. — Spojrzał na Rowla. - Albo twój.

Kot poruszył pogardliwie uszami i odwrócił wzrok.

- A co... jeśli ktoś nie będzie przestrzegał zasad?

- Powstrzymam go — zapewnił Esterbrook. - Mój urząd daje mi prawo podjęcia wszelkich niezbędnych kroków, aż do odebrania komuś życia, gdyby okazało się to konieczne.

Bridget zamrugała.

- Ojej.

- Pojedynki to poważna sprawa, panienko — rzekł cicho Esterbrook. — I nie powinno się ich toczyć bez powodu. Nawet jeśli dzisiejsze aroganckie bachory są innego zdania.

- W ogóle nie powinno być pojedynków - stwierdziła Bridget.

Esterbrook zastanawiał się przez chwilę. Wreszcie pokręcił głową.

- One... mają swój cel, pod warunkiem, że przestrzega się ściśle określonych zasad i śmierć nie zdarza się zbyt często. Są pewne dobre strony w możliwości bezpośredniej konfrontacji z tym, kto cię

skrzywdził. Dzięki temu pyskate łobuzy muszą okazywać choć odrobinę uprzejmości i trzymać język za zębami.

- Hmm - odparła Bridget, czerwieniąc się lekko. Sama zaliczała się do pyskatej łobuzów i teraz ucierpiała z powodu tej szczególnej cechy prawa obowiązującego w kondygnacji. - Nie jestem pewna, czy się z tobą zgadzam. W końcu jesteśmy cywilizowanym społeczeństwem, tak?

Esterbrook uniósł brwi.

- A odkąd to, panno Tagwynn? Jesteśmy demokracją.

-To właśnie chciałam powiedzieć. Wyrzekliśmy się przemocy jako metody sprawowania władzy.

-Przemoc jest sercem demokracji, panno Tagwynn - odparł Esterbrook. - Żeby zdecydować, czy coś zrobimy, musimy policzyć wszystkich, którzy są za i którzy są przeciw, a potem postąpić zgodnie z życzeniem większości. Toczmy symboliczną bitwę, o której wyniku rozstrzygają proste liczby. To oszczędza nam czasu i całej masy kłopotów z liczeniem prawdziwych ciał, ale byłoby błędem uważać całą sprawę za coś innego niż zrytualizowaną przemoc. A co kilka lat, jeśli ten, kogo wybraliśmy, nie spełnił naszych oczekiwań, usuwamy go z urzędu, poddajemy symbolicznej dekapitacji, i zastępujemy kimś innym. Ponownie obywa się bez prawdziwego bólu i rozlewu krwi, niemniej odprawiamy rytuał przemocy. W gruncie rzeczy to bardzo praktyczna metoda.

- Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób — przyznała zaskoczona Bridget.

- To jedna z nielicznych rzeczy, które u was szanujemy — odezwał się Rowl. - Choć oczywiście koty robią to lepiej.

- Bardzo możliwe — zgodził się Esterbrook. - Ach. Idzie lekarz. I twój szacowny przeciwnik, jak widzę.

Bridget rozejrzała się wkoło. Z całego targowiska schodzili się wezwani przez dzwon ludzie. Dziesiątki ludzi. Po chwili była pewna, że dziesiątki zmieniły się w setki. Poczwała w gardle gwałtowną suchość, która dołączyła do ucisku w żołądku i łomotania serca.

Strach był naprawdę dotkliwy. Pragnęła się jak najszybciej od niego uwolnić.

Niski mężczyzna o srebrnych włosach niosący w ręce lekarską walizkę i odziany w prosty, praktyczny garnitur, podszedł do Esterbrooka i uścisnął jego dłoń. Arbiter przedstawił go Bridget, ale ona już po kilku sekundach zapomniała jego nazwisko. Tłum nie przestawał narastać. W południe, w dzień roboczy? Czy ci ludzie nie mają nic lepszego do roboty? Bridget przyglądała się tłumowi z zasępioną miną, powstrzymując się przed drapaniem kota po uszach. Rowl uznałby takie zachowanie w miejscu publicznym za pozbawione godności.

Z tłumy wyłonił się nagle Reginald Astor. Towarzyszył mu nie tylko sekundant, lecz również pięciu innych młodych mężczyzn zbliżonych do niego wiekiem i rangą. Tworzyli zwartą grupę. Reggie kroczył dumnie na jej czele.

Bridget wyczuła podświadomie, że stojący u jej boku pan Esterbrook napiął nerwowo mięśnie. Przemknęło jej przez myśl, że prawie taką samą reakcją wykrywa u nagle rozgniewanego kota.

- Panie arbitrze — odezwał się Reggie, pozdrawiając genetycznego wojownika przesadnym ukłonem. - Chyba już pora zacząć?

Esterbrook przymrużył kocie oczy, ale pochylił z szacunkiem głowę. -W rzeczy samej jestem arbitrem. Nazywam się Elias Ester...

- Szczegół - przerwał mu Reggie, wlepiając spojrzenie w Bridget. - To jest ta mała prostaczka ze swoim małym ścierwojadem.

Tylko idiota mógłby nie wiedzieć, że koty uważają to słowo za śmiertelną zniewagę. Rowl zerwał się ze swego miejsca na ramionach Bridget, gotowy rzucić się do ataku. Tylko z najwyższym wysiłkiem zdołała powstrzymać rozwścieczonego kocura.

Reggie dodatkowo dowiódł własnej głupoty, wybuchając głośnym śmiechem, choć jego sekundant miał przynajmniej tyle rozsądku, by cofnąć się o krok.

- Ojej! - zwołał radośnie. — Kotek się na mnie pogniwał? W końcu nie wystąpiłem do sądu z wnioskiem o nakaz utopienia tego wrednego paskudztwa.

- Rowl - syknęła po kociemu Bridget. - Uspokój się.

- Słyszałem go — warknął kot.

- Policzmy się z nim we właściwy sposób - obiecała. — Najpierw moja kolej.

Rowl prychnął z frustracji i wrócił na miejsce, choć jego ciało nadal drżało z napięcia.

- Panie Esterbrook - odezwała się Bridget, przenosząc spojrzenie z kota na arbitra - Jestem gotowa zaczynać.

Genetyczny wojownik skinął głową.

- Zgodnie z prawem kasztelu muszę najpierw poprosić was oboje, byście rozstrzygnęli swój spór w jakiś mniej niebezpieczny i niszczycielski sposób. Z każdym pojedynkiem, nawet najstarszym nadzorowanym, zawsze łączy się ryzyko śmierci bądź kalectwa. Panie Astor, pytam, czy zechcesz wycofać swe wyzwanie, by uniknąć niebezpieczeństw wiążących się z konfrontacją?

- Znieważyła honor mojego Domu - oznajmił wyniośle Reggie. - Przeprosi mnie albo domagam się satysfakcji tu i teraz.

Esterbrook spojrzał na Bridget.

- Panno Tagwynn, czy jesteś gotowa wygłosić podobne przeprosiny?

- Powiedzmy to jasno, panie Esterbrook - odparła Bridget. - Nigdy nie obraziłam Domu Astorów. Reginalda również nie. Po prostu opisałam go trafnymi słowami. Jeśli prawda go obraża, to już nie mój problem.

W tłumie rozległy się ciche chichoty,

- Tak czy inaczej - ciągnęła dziewczyna. - Nie wycofam swoich słów. Prawda nie zmienia się w fałsz tylko dlatego, że jej istnienie obraża latorośl Wielkiego Domu.

Esterbrook skinął krótko głową. W jego oczach pojawił się błysk.

- Niech będzie zaprotokołowane, że żadne z przeciwników nie widzi możliwości pokojowego rozwiązania konfliktu. W związku z tym zaczynamy pojedynek. Panie Astor, czy twój sekundant jest obecny?

- Tak, oczywiście — potwierdził Reggie, wzywając skinieniem swego kuzyna Barnabusa do wystąpienia naprzód.

- Panno Tagwynn, czy twój sekundant jest obecny?

- Jestem - potwierdził Rowl po kociemu.

Esterbrook skinął z powagą głową.

W tłumie znowu poniosły się szept, w których mieszały się tony wesołości, niesmaku, zdziwienia, ekscytacji oraz innych uczuć, których Bridget nie potrafiła w pełni rozpoznać.

- Kwestia porządkowa! - zawołał Reggie donośnym głosem niosącym się po całym tłumie. - To pogwałcenie protokołu pojedynekowego. Panna Tagwynn przybyła bez sekundanta.

Esterbrook obrzucił go pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

- Czyżby?

- Prawo mówi - kontynuował Reggie — że sekundant uczestnika pojedynku musi być obywatelem kondygnacji niepozostającym w konflikcie z prawem. - Uśmiechnął się szyderczo do Rowla. - A ponieważ nie widzę tu takiej osoby, muszę dojść do wniosku, że panna Tagwynn nie ma sekundanta. Domagam się, by postawiono ją w stan oskarżenia za złamanie prawa kasztelu i ukarano jej Dom należną grzywną.

Bridget poczuła nagły ucisk w żołądku. To zdarzało się jej rzadko, tylko w chwilach, gdy ktoś zapragnął ukarać jej Dom, który pod innymi wzgł' dami nie był narażony na atak, ale grzywny wymierzane za pogwałcenie praw kasztelu często bywały skandalicznie wysokie. Nawet najniższa z nich dosłownie zrujnowałaby jej ojca.

- Panie Astor — odparł Esterbrook. Ku zdziwieniu Bridget jego głos brzmiał donośnie. — Jeśli chodzi o popieranie litery i ducha prawa, twój wybiórczy zapal i poświęcenie z pewnością zasługują na uznanie. — Sięgnął pod płaszcz i wydobyl stamtąd złożoną kartę. - Mam tu pisemne oświadczenie, potwierdzone notarialnie przez sędziego Helenę Solomon. Stwierdza się w nim, że niejaki Rowl, dziedzic Domu Cichych Łapek, poprzysiągł wraz z całym Domem wierność Jego Wysokości Addisonowi Orsonowi Magnusowi Jeremiahowi Albionowi, pierwszemu obywatelowi i kasztelanowi Kasztelu Albion. Co więcej, oświadczenie stwierdza również, że Rowl mieszka w Kasztelu Albion i nie jest obciążony żadnymi grzywami ani nie postawiono mu zarzutów. W związku z tym trzeba go uznać za szanowanego obywatela kondygnacji.

- Co? - zawołał Reggie. - Jakiego Domu?

Esterbrook z lekkimi oporami pokazał mu dokument.

Reggie wyrwał go z rąk arbitra i zaczął czytać. Jego policzki zrobiły się jaskrawoczerwone. W tłumie ponownie rozległy się szepty.

Spojrzenie Bridget zatrzymało się na niezbyt przystojnym pękатым mężczyźnie stojącym w pierwszym szeregu gapiów. W przeciwieństwie do innych nie rozmawiał z nikim. Miał w sobie coś znajomego, co przypominało jej czasy szkoły podstawowej, ale nie potrafiła zlokalizować tego wspomnienia. Siwiejące włosy miał rozczochrane, a jego garnitur wyszedł z mody przed wielu laty. Z pewnością nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby nie fakt, że jako jedyny wśród obecnych przyjął oświadczenie Esterbrooka z pełnym spokojem i obojętnością. W jego napotkanym spojrzeniu dostrzegła iskierkę wesołości. Mężczyzna mrugnął znacząco.

Bridget zdziwiła się. To było dość śmiałe z jego strony, kimkolwiek by mógł być. Może jednym ze współników ojca, kimś, kogo poznała, gdy była znacznie młodsza? Była pewna, że w takim przypadku zapamiętałaby go.

I dlaczego gapiła się na tego mężczyznę, gdy przed chwilą była świadkiem jednego z najważniejszych precedensów w niedawnej historii Kasztelu Albion? Koty uznano za obywateli kondygnacji. Najwyraźniej ze wszystkimi prawami i - co znacznie ważniejsze — obowiązkami, które z tego wynikały. Koty i ludzie już dawno zawarli porozumienie, ale było ono całkowicie nieoficjalne i gdy któraś ze stron je złamała, niekoniecznie musiało to prowadzić do dramatycznych konsekwencji. Jednakże Esterbrook w jednej chwili całkowicie zmienił równowagę swą proklamacją i to wcale nie musiało się okazać korzystne dla wszystkich zainteresowanych.

-To nie jest... - zaprotestował Reggie. - Koty nie są uprawnione...

- Prawo mówi, że są - przerwał mu ze spokojem Esterbrook. - Czy pragniesz złożyć jeszcze jakieś skargi, zanim zaczniemy? A może zmieniłeś zdanie i zgodzisz się po prostu zejść z tego bezowocnego kursu?

Reggie przymrużył powieki, spoglądając na Bridget i Rowla.

- Drwisz ze szlachetnej tradycji, zwierzoludzie.

Kocie oczy Esterbrooka przerodziły się w wąskie szczeliny. W głębi jego piersi zrodził się cichy warkot.

- Po prostu wykonuję obowiązki, jakie nakłada na mnie mój urząd, panie Astor. Jeśli z jakiegoś powodu budzi to twoje niezadowolenie, to już nie mój problem.

Kumple Reggiego usłyszeli ten warkot i otoczyli go ciasnym kręgiem.

W tej samej chwili za plecami Bridget rozległy się kroki. Z tłumy wyłonili się Gwendolyn Lancaster i Benedict Sorellin. Oboje mieli na sobie cywilne ubrania - Gwen perłowszare spódnice, kamizelkę i zakiet, a Benedict prosty czarny garnitur o dość ponurym wyglądzie. Bridget zauważyła, że oboje mają rękawice. Ich lewe przedramiona spowijały klatki wykonane z grubego, miedzianego drutu.

- Czyżbyśmy się spóźnili? - zapytała Gwendolyn.

Bridget nie potrafiła zrozumieć, w jaki sposób ta mała sztywniacka arystokratka zdołała wypełnić

swój z pozoru bezmyślny ton tak wielką dozą arogancji i pewności siebie.

- Mam nadzieję, że nie ominął nas pokaz odwagi i uprzejmości, jakim z pewnością będzie to małe wydarzenie. Ojej, Reggie, zjawileś się. Z sześcioro towarzyszami. - Odsłoniła w uśmiechu oślepiająco białe zęby i policzyła ich, poruszając dłonią w z pozoru nieświadomym geście. - Raz, dwa, trzy, cztery pięć, sześć.

Bridget zauważyła, że Gwendolyn policzyła ich lewą dłonią, na której miała rękawicę. Miedziana klatka lśniła w blasku południa.

- Myślałem, że do pojedynku potrzeba tylko dwóch osób - odezwał się Benedict głosem przepojonym przesadnym zdziwieniem.

- W rzeczy samej - zgodziła się Gwendolyn. - Reggie mu chyba coś się pomieszało.

- Pomogę rozwiązać ten problem — zaproponował Benedict. Jego zachowanie zmieniło się nagle, zniknęła fałszywa poza dramatyzmu. Po prostu gapił się na grupkę mężczyzn z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu. - Chodźcie, chłopaki. Wasza piątka i ja zostawimy tę sprawę Reggie mu i jego sekundantowi. Postawię wam wszystkim kolejkę i będziecie mogli zdecydować, którą walkę wolicie oglądać.

- Którą walkę? — zdziwiła się Gwen. — Nie rozumiem.

- Mają wybór. Mogą oglądać, jak Reggie walczy z Bridget, albo jak ja walczę z nimi. Jedna z tych walk potrwa znacznie krócej od drugiej.

- Sorellin - odezwał się Esterbrook. — Nie pozwolę tu na żadne bijatyki.

- Panie Esterbrook — odparł Benedict. - To nie będzie bijatyka.

Arbiter zastanawiał się przez chwilę nad jego słowami. Wreszcie skinął głową.

- W takim razie zgoda.

Bridget pomyślała z pewną dozą satysfakcji, że kumple Reggiego mają raczej niespokojne miny. Próbowali okazać arogancję, ale fakt, że wszyscy nieświadomie odsunęli się nieco od Benedicta, mówił bardzo wiele.

- Nie ośmielisz się mi grozić, Sorellin - warknął Reggie.

Benedict zamrugał kilkakrotnie.

- Reggie, mój stary druhu, za nic w świecie nie chciałbym zakłócać twoich planów na dzisiaj.

Doskonale wiesz, co o tobie sędzę. Z mojego powodu włos ci z głowy nie spadnie.

- Ale z mojego może - oświadczyła radośnie Gwen. - Mam nową, piękną rękawicę i jeszcze na nikim jej nie wypróbowałam.

Esterbrook odchrząknął.

- A niech to, nie celowałabym w ciebie, tylko obok ciebie — zapewniła go. - Reggie, pozwól, że wyrażę się całkowicie jasno. Chciałeś tego pojedynku i dostaniesz go. Twój sekundant i twoi towarzysze mogą się mu przyglądać, tak samo jak wszyscy. Nie będzie żadnego zamieszania, żadnych prób odwrócenia uwagi, żadnych tajemniczych przedmiotów rzuconych z tłumu. Tylko ty sam na platformie. — Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Czy to jasne?

- Panno Lancaster - odezwał się z powagą Esterbrook. - Jestem przekonany, że ten młody człowiek nie zamierza zhańbić dziś Domu Astorów żadnymi podobnymi czynami.

- Chyba że... - wtrąciła Bridget. — Chyba że się mnie boi.

- No właśnie - dodała Gwen, spoglądając na nią z bliskim w oczach.

- Dość już tego - warknął Reggie - Arbitrze, daj znak. - Odwrócił się, spoglądając na swych kompanów. - Idźcie z Lancasterami. Dopilnujcie, żeby nie próbowali przeszkadzać w pojedynku.

Gwen zwróciła się w stronę Bridget i skinęła stanowczo głową.

- Jeśli nadarzy się okazja, zmusz go do płaczu. To zawsze podoba się widzom.

Z ust Bridget wyrwał się krótki śmiech. Ucisk w żołądku złagodniał.

- Pamiętaj o oddychaniu - poradził jej Benedict. — Oddychaj. Pozwól, żeby to on popełnił

pierwszy błąd. Uwierz mi, możesz być pewna, że Reggie to zrobi.

Uściskała krótko bark dziewczyny i uśmiechnął się do niej.

Potem jej przyjaciele podeszli do bandy stronników Reggiego i wszyscy oddalili się razem.

Uśmiechali się uprzejmie do siebie, ale kroczyli tak, jakby się spodziewali, że przeciwnicy rzucą się na nich, gdy tylko zapomną o ostrożności.

Esterbrook rozglądał się jeszcze przez chwilę po tłumie. Wreszcie pokręcił głową i mruknął pod nosem coś o tym, że Wielkie Domy uwielbiają urządzać przedstawienia, i zwrócił się w stronę Bridget.

- Panno Tagwynn — rzekł. — Jako wyzwana masz prawo zdecydować, kto pierwszy zajmie miejsce na platformie.

- Proszę bardzo - odparła. — A gdzie będzie stał Rowl?

- Na ziemi obok platformy. Tylko obaj sekundanci i ja możemy się znajdować bliżej niż dziesięć stóp od niej. Tak mówią zasady.

- Nie będę stamtąd nic widział - poskarżył się Rowl. - Powinniście natychmiast zmienić tę zasadę.

Esterbrook chrząknął i zaczął się zastanawiać. Potem odwrócił się i podniósł jeden z wielkich dzwonów wprawionych w ciężkie metalowe ramy. Dzwon ważył jak nic ze trzysta funtów, ale szczupły mężczyzna przeniósł go jak krzesło w salonie na miejsce położone przy najbliższym rogu platformy.

- Proszę bardzo, panie kocie - rzekł. - Stąd będziesz widział. Może być?

Rowl przyjrzał się z powagą dzwonowi, a potem wskoczył na niego spokojnie. Pokręcił się chwilę na jego szczycie, aż wreszcie usiadł.

- Wystarczy - stwierdził. — Ale z trudem.

- Znakomicie - ucieszył się Esterbrook. - Panno Tagwynn?

- Wejść pierwsza - odparła. - Skończmy z tym wreszcie.

- Jak sobie życzysz, panno Tagwynn - zgodził się arbiter.

Po chwili Bridget znalazła się na platformie. Spojrzała z góry na tłum gapiów, którzy przybyli tu, by obejrzeć pojedynek. Nigdy w życiu nie widziała tylu ludzi zgromadzonych w jednym miejscu. W żadnym wypadku nie mogła sobie pozwolić na myślenie o tym, jak wiele spojrzeń kieruje się na nią. Wtedy zaczęłaby krzyżeć. Dlatego wzięła sobie do serca słowa Benedicta i zaczęła oddychać powoli i miarowo, skupiając się na otoczeniu oraz na przeciwniku.

Reggie wdrapał się na platformę i stanął w jej przeciwległym rogu. Jego sekundant zajął pozycję na ziemi za jego plecami. Gdy jej przeciwnik się wyprostował, tłum zakrzyknął radośnie i zaczął bić brawo, skandować oraz gwizdać. Hałas był donośny i przerażający jak łoskot gromu docierający niekiedy do Kondygnacji Poranka podczas najgwałtowniejszych wiosennych burz.

- Małamyszko — dobiegł ją z tyłu głos Rowla - Pamiętaj, kim jesteś. To stworzenie chce ci to odebrać. Nie pozwól mu na to.

Odwróciła się, zerknęła na kota i skinęła krótko głową. Potem znowu zwróciła się ku Reggieemu.

Esterbrook wskoczył swobodnie na platformę i stanął pośrodku. W prawej ręce trzymał czerwoną chusteczkę. Symbolika koloru tkaniny nie umknęła uwagi Bridget. Barwa krwi. To było miejsce krwi, bólu i śmierci. Wszystkie one mogły ją spotkać w kilku następnych chwilach.

Skup się. Musisz się skupić. Oddychała miarowo, odłączając stopniowo wszystkie wrażenia poza sobą samą, platformą, Reggieem i chusteczką.

Esterbrook ponownie opisał warunki pojedynku na użytek publiczności, wyjaśniając, że Bridget wybrała walkę wręcz. Reggie uśmiechał się do niej szyderczo. Miało to wyrażać zarozumiałą pewność siebie... ale odnosiła wrażenie, że w jego oczach kryje się coś mroczniejszego i paskudniejszego. Uświadomiła sobie, że młody arystokrata jej nienawidzi, choć może nawet nie zdawać sobie z tego sprawy. A przynajmniej nienawidził czegoś, co w obecnej chwili przybrało postać Bridget.

Reggie ćwiczył ten sposób walki. Wiedział, jak to się robi. W ostatnich dniach ona również ćwiczyła, ale umiała bardzo niewiele.

„Zwycięstwa nie zapewnią zasób twoich umiejętności, ale ich jakość” zapewniał ją w ostatnich dniach Benedict.

Miała nadzieję, że to prawda.

Esterbrook uniósł chusteczkę. Za chwilę ją upuści. Kiedy tkanina dotknie powierzchni platformy, zacznie się pojedynek.

Oddychaj. Skup się, Skoncentruj się. Oddychaj.

Arbiter puścił chusteczkę.

Powietrze przeszył niski krzyk, niecierpliwy i ogłuszający.

Tłum zamarł. Zdezorientowana Bridget rozejrzała się wkoło i zobaczyła, że Reggie stoi bez ruchu, patrząc w górę. Usta miał szeroko rozdziawione. Na twarzy Esterbrooka na moment pojawił się wyraz niedowierzania. Potem, gdy wycie nie milkło, wznosząc się i opadając, niedowierzanie ustąpiło miejsca śmiertelnej powadze.

Łoskot, głośniejszy nawet niż wiosenne burze, wstrząsnął kamiennymi murami Kasztelu Albion.

Z jakiegoś powodu jej spojrzenie powędrowało ku stojącemu w tłumie mężczyźnie, który mrugnął do niej wcześniej. Na jego twarzy nie widziała zdziwienia ani strachu. Wpatrywał się w półprzezroczysty sufit Kondygnacji Poranka z zimnym jak stal gniewem. Odwrócił się nagle, gdy wszyscy nadal rozglądali się niepewnie wkoło, i ruszył przez skłębiony tłum. Szedł naprzód szybko i na wprost przed siebie, jakby wysiłkiem woli zmuszał mieszkańców Kondygnacji Poranka do zejścia mu z drogi i poszukania sobie jakiegoś innego miejsca.

Bridget nagle znalazła się obok Esterbrooka, choć nie przypominała sobie, by do niego podchodziła.

- Co to za dźwięk? - zapytała, przekrzykując hałas. - Co się dzieje?

- Alarm powietrzny! - zawołał w odpowiedzi Esterbrook. - Pierwszy od dwudziestu lat. Musisz poszukać schronu, panno Tagwynn. Kasztel Albion zaatakowano!

ROZDZIAŁ 11

Kasztel Albion, statkownia Floty

- Creedy! - zawołał Grimm, posuwając się naprzód przez spowity mgłą trap prowadzący z cumowiska w statkowni Floty, ulokowanej na szczycie Kasztelu Albion, na pokład *Drapieżcy*. - Jesteś ze mną?

- Kapitan na pokładzie! - dobiegł z ładowni głos Kettle'a. - Pan Creedy na pokład!

- Do mojej kabiny — warknął Grimm z grymasem niezadowolenia i ruszył w tamtą stronę.

- Tak jest, sir — odparł Kettle. - Kapitanie, twój strój... - dodał ze zdumieniem w głosie. - Sir, zostałeś ranny.

Grimm przyjrzał się z westchnieniem ubraniu, które pożyczył od Ferusa. Ściśle mówiąc, nie był to garnitur, lecz zestaw elementów z dwóch albo trzech w miarę do siebie podobnych garniturów, z których żaden nie był szczególnie wysokiej jakości. Zranione ramię miał na temblaku.

- Tak. Coś wylało z przewodów wentylacyjnych w bocznych tunelach i próbowało mnie zjeść. To moja wina. Nie trzeba było chodzić na skróty.

- Niech to szlag - warknął wyraźnie rozgniewany Kettle. — Czy Kondygnacja Poranka nie zatrudnia już tępicielei szkodników?

- Nie odniosłem trwałych obrażeń - zapewnił Grimm, mrugając znacząco. - Wiesz, ilu ludzi wyszło na przepustki?

- Tylko ćwierć załogi jest na pokładzie — odpowiedział Kettle. — Chłopaki poszli obejrzyć jakiś pojedynek, który miał się dziś odbyć na targowisku. Podobno para szlachetnie urodzonych bachorów ma się okładać gołymi pięściami. Założyli się z grupą skurczybyków z *Chwalebneho*.

- Mam nadzieję, że wygrają - odparł Grimm. - Forsa bardzo im się przyda po tym, co *Itasca* zrobiła z naszym kontem bankowym.

- Bez obaw, sir - uspokoił go Kettle. - Chłopaki sobie poradzą. - Skończył składać długą sieć z eterycznego jedwabiu, którą rozplątywał, zabezpieczył ją kawałkami rzemienia, a potem wsadził do jednego ze schowków u podstawy omasztowania, pomimo faktu, że na górnym pokładzie sterowca nadal brakowało masztów i rej. - Pozwól, że otworzę drzwi, sir.

- Dziękuję - mruknął kapitan. - Kettle otworzył drzwi do jego kabiny i Grimm wszedł do środka. Odwrócił się jeszcze, by podać aeronaucie pochwę z mieczem. - Czy mógłbyś to wyczyścić? Jedną ręką dość trudno jest sobie z tym poradzić.

- Tak jest, kapitanie.

Kettle przyjął broń i zamknął za sobą drzwi kabiny.

Grimm usiadł na krześle. Nadal dokuczał mu ból w ramieniu, choć Ferus zapewnił, że rana dobrze się goi. Folly dała mu słoiczek z maścią o ostrym zapachu. Miał nią smarować ranę przy każdej zmianie bandaża. W tej sprawie również będzie musiał prosić o pomoc. Pan Bagen, lekarz z *Drapieżcy*, z pewnością uzna to za uciążliwy obowiązek i będzie się bez końca uskarżał na głupotę nieostrożnych kapitanów.

Creedy zapukał do drzwi i Grimm kazał mu wejść. Wysoki młody oficer musiał pochylić głowę, żeby nie wyrznąć nią o sufit.

- Siadaj, siadaj - rzekł mu kapitan. - Kiedy tak tu stoisz, wyglądasz, jakbyś chciał mnie za coś

przeprosić.

Creedy uśmiechnął się blado i usiadł na ławie ustawionej pod ścianą kabiny, naprzeciwko koi.

- Kettle mówi, że jesteś ranny, sir.

- Jakiś cholerny stwór wylażł z przewodów wentylacyjnych - odpowiedział Grimm. - Zdarzały się gorsze ataki.

- Miałeś pecha - stwierdził Creedy. - Ostatnio przytrafia się on nam bardzo często, nieprawdaż?

- To pewnie zależy, jak na to patrzeć - odparł Grimm. - Mieliśmy sporo szczęścia, że przetrwaliśmy starcie ze statkiem klasy „Cortez”, a potem z *Itascą*. Udało się nam dotrzeć do domu.

- To prawda, sir — przyznał Creedy. Przygryzł wargę. — Nie wróciłeś na noc. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że dałem ludziom przepustki?

- Gdybyś tego nie zrobił, powiesiliby cię na rei i sami je sobie wzięli - odparł Grimm. -

Pozostawienie jednej czwartej załogi na pokładzie było słuszną decyzją.

Creedy skinął głową z lekką ulgą na twarzy.

-To dobrze. - Zerknął na Grimma. — Kapitanie... nie chciałbym sobie pozwalać na zbyt wiele, ale...

- Mów. Pytaj. A przy okazji nalej nam obu.

Creedy wyraźnie się ucieszył z tego, że ma jakiś rozkaz do wykonania, kiedy będzie mówił, co myśli.

Wyciągnął butelkę i szklaneczki z miejsca, gdzie zawsze stały.

- Kapitanie, ukończyłem rejestr uszkodzeń.

- Czy szacunki Journeymana były trafne?

- Bezbłędne, sir — przyznał z pewną niechęcią Creedy. - Skurczybyk jest niesubordynowany, ale zna się na swojej robocie.

-To prawda — zgodził się Grimm, przyjmując z rąk Creedy'ego szklaneczkę.

- Kapitanie - podjął pierwszy oficer. - Straty są poważne.

- Jestem tego świadomy — odparł Grimm.

- Obawiam się, że... w czasach takich jak dzisiejsze w Wielkich Domach mogą znaleźć się ludzie gotowi wywierać na ciebie naciski, by zmusić cię do sprzedaży *Drapieżcy*.

- Doprawdy? - zapytał Grimm. - No cóż, przypuszczam, że mają prawo składać oferty.

- Obawiam się, że mogą być bardziej agresywni, sir - odparł Creedy.

- Jeśli posuną się za daleko, będę ich walił po pysku i obrzucał groźbami, dopóki nie przestaną - skwitował Grimm.

Creedy omal nie zakrztusił się alkoholem, który przed chwilą wypił. Zdołał jakoś go przełknąć, a potem zachichotał.

- Siostra mówiła mi, że masz osobliwe poczucie humoru, sir.

- Pewnie to prawda — zgodził się Grimm.

- Ale... żarty na bok, kapitanie. Co zamierzasz zrobić z *Drapieżcą*? No wiesz, nie jestem pewien, czy uda ci się dostać pożyczkę. Nie w dzisiejszych czasach. Jeśli nie chcesz sprzedać statku i nie możesz go naprawić... to w takim razie co?

Grimm przyglądał się przez chwilę młodemu oficerowi. Creedy wydawał się niemal boleśnie szczerzy, a Grimm zawsze miał dobrą opinię o jego rodzinie, ale... Rook otrzymał raport o uszkodzeniach *Drapieżcy* znacznie szybciej, niżby należało, i był on dokładniejszy, niż spodziewał się tego kapitan statku.

Ktoś się wygadał i choć Grimm nie miał powodów, by podejrzewać, że był to akt złej woli, a także, że winnym był Creedy, zapewne lepiej było zachować ostrożność.

- Pozwól, że ja się będę o to martwił, pierwszy. Otwiera się przede mną kilka możliwości i z pewnością zamierzam sprawdzić wszystkie. Na razie trzymajmy się planów remontu sformułowanych przez Journeymana. Dopilnowałem, by wypłacono pośmiertną odprawę rodzinom zabitych, jeszcze przed moją, hmm, przygodą w tunelach wentylacyjnych. To, co nam zostało, wystarczy na nowe omasztowanie i

sieć, a także na zastąpienie grodzi i działa numer trzy. Tym właśnie się zajmiesz. Ja zdobędę nowe kryształy, których potrzebujemy.

- Hmm, sir, pomyślałem sobie, że moglibyśmy się zająć przewozem towarów.

- Towarów? Na statku w takim stanie?

- Nie musimy go przeciążać, sir - dodał pośpiesznie Creedy. - Ale... krótki rejs mógłby nam zapewnić skromne, lecz szybkie zyski.

- Krótki rejs... - Grimm zmarszczył brwi. — Masz na myśli Kondygnację Lądowiska, prawda?

- Między górą i dołem zawsze przewozi się wiele towarów, sir - zauważył Creedy.

- Na barkach. Promami — odparł cicho Grimm. — Albo w wiatrogonach. *Drapieżca* jest

sterowcem, pierwszy.

- Z całym szacunkiem, kapitanie - odparł Creedy, opuszczając wzrok. - Nie jest. Nie w tej chwili. I nie będzie nim, dopóki nie zdobędziesz środków na remont.

- Zastanowię się nad tym. - Grimm zdołał nie warknąć, wypowiadając te słowa. - Dziękuję, że zwróciłeś moją uwagę na tę możliwość.

- Kapitanie - ciągnął Creedy - może minąć kilka lat, nim zdobędziemy potrzebne środki w ten sposób, ale przynajmniej to będzie uczciwa praca. Nie ma w niej wstydu.

- Radości też nie ma - odparł Grimm. - Ani dla mnie, ani dla załogi, ani dla *Drapieżcy*. Nie możesz wymagać od kota, żeby zmienił maść, tylko dlatego, że uważasz, że tak będzie dla niego lepiej.

Porucznik zamrugął.

- Nie... nie rozumiem.

- Statek to coś więcej niż drewno, kryształy i eteryczny jedwab, Byronie - wyjaśnił Grimm. - Tępe liczykropy zawsze twierdziły, że to nonsens, ale aeronauci wiedzą lepiej. Sterowce nie są tylko wehikułami, a ludzie, którzy traktują je, jakby były czymś więcej, otrzymują od nich więcej w zamian.

- W akademii uczyli nas, że nigdy nie udowodniono...

- Ja też ukończyłem akademię - przerwał mu Grimm. - Ona jest miejscem, w którym wiedza się zaczyna, ale to jeszcze nie znaczy, że się tam kończy. Jesteś dobrym oficerem i z czasem to zrozumiesz.

- Skoro tak mówisz, kapitanie - odparł niepewnie Creedy.

- Mówię - zapewnił Grimm. - Ale na razie, czemu nie mielibyśmy się zastanowić nad sposobami...

Przerwał nagle. Rozległ się bardzo cichy dźwięk, niepokojąco znajomy. Słyszał go już kiedyś.

Po chwili go zidentyfikował. Wysokie brzęczenie przypominające odgłos eteroosy, unoszącej się swobodnie na wietrze eteru, ale donośniejsze, głębsze i niższe.

To był odległy zew bojowy aurorańskiego niszczyciela - *Ciervo*, o ile dobrze sobie przypominał.

Ale to by znaczyło...

Zerwał się na nogi, otworzył drzwi kabiny i wypadł na pokład.

- Na stanowiska! - ryczał. - Na stanowiska!

Creedy wybiegł za nim, obrzucił go krótkim, zdumionym spojrzeniem, a potem zaczął bić w dzwon.

Grimm dopadł do tuby głosowej i zawołał:

- Journeyman! Podnieś pijaną dupę z tego krzesła, które przede mną ukrywasz, i uruchom główny kryształ! Zabierz nas z tego cumowiska i wznieś tarczę!

Journeyman nie odpowiedział, ale już po paru sekundach deski pokładu wypełniła drżąca wibracja. Główny kryształ *Drapieżcy* obudził się do życia. Po niespełna minucie statek zaczął się wznosić z jękami sprzeciwu sfatygowanych desek.

- Kettle, cumy! - ryknął Grimm, ale nie musiał tego robić.

Kettle złapał już za topór i przecinał grube liny łączące *Drapieżcę* z cumowiskiem, by przywrócić wolność zranionemu statkowi.

Tymczasem okrzyk bojowy *Ciervo* z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy. Okręty Floty cumujące w statkowni również wzywały załogi na stanowiska. Dzwony alarmowe biły jak szalone.

Gdzieś w Kondygnacji Poranka, tuż poniżej statkowni, zawyła syrena alarmu powietrznego. A potem nieprzyjaciel uderzył.

Ciervo — Grimm był już pewien, że to on - wyłonił się z mgły nad nimi, nurkując z przeraźliwym wrzaskiem. Sterowiec opadał stromo. Z jego dział uderzył huk gromu i oślepiający blask, uderzając w cumujące w statkowni sterowce oraz w nią samą. Wybuchy ciskały ludźmi i sprzętem na boki, jakby byli liśćmi herbaty mieszanej łyżeczką w filiżance.

Za pierwszym nieprzyjacielskim sterowcem zmierzało tym samym kursem sześć następnych.

Z drugiej strony statkowni nadciągał ogień, zmierzający ku *Drapieżcy* falą piekielnego zniszczenia. Na oczach Grimma *Rycerski*, ciężki krążownik trzy razy większy od jego statku, zniknął w chmurze ognia i blasku przy akompaniamencie rozpaczliwych krzyków okrętu i jego załogi. Inne jednostki również ucierpiały, choć na cięższych okrętach, nawet jeśli nie miały aktywnych tarcz, lekkie działa nieprzyjacielskich niszczycieli spowodowały tylko niewielkie uszkodzenia. Ostrzał zniszczył jednak kupiecki statek o nazwie *Złota Rączka*, cumujący zaledwie sto jardów od *Drapieżcy*. Kolejny statek handlowy, *Nadwyżka*, eksplodował po chwili znacznie bliżej. Odłamki drewna i kawałki metalu - a także znacznie gorsze rzeczy - przeleciały obok Grimma śmiertcionośną chmurą - niektóre z nich tak blisko, że słyszał ich świst.

Grimm zaparł się mocno na nogach, czując, że jego statek ciężko się unosi z cumowiska. Odchylił głowę, zastanawiając się, czy wyczuł niebezpieczeństwo wystarczająco szybko, by uniemożliwić aurorańskiej eskadrze dokończenie tego, co zaczęła *Itasca*.

Ogień z ostatniego okrętu w kolumnie wystrzelił w *Drapieżcę*...

I rozproszył się w błysk i przeraźliwe gwizdy, uderzywszy we włączoną tarczę. Grimm nie miał ochronnych gogli i światło na moment go oślepiło. Stał całkowicie nieruchomo, jakby całe jego pole widzenia nie zmieniło się w gobelin tańczących kolorów. Przenikliwe wrzaski nurkujących okrętów umilkły nagle, gdy *Drapieżca* spadł z krawędzi kasztelu i zniknął w mgłach na dole.

Grimm mrugał przez pewien czas, aż wreszcie odzyskał zdolność widzenia. Potem spojrzał na zamglone niebo otaczające statkownię i zobaczył to, co obawiał się ujrzeć.

- Wyślij na ląd oddział mający sprowadzić ludzi na pokład - rozkazał ze spokojem Creedy emu. — Powiedz Journeymanowi, że pełni obowiązki zbrojmistrza. Niech wyda załozdze rękawice, broń ręczną oraz tuniki.

Oszołomiony Creedy gapił się tylko na Grimma. Jego spojrzenie wędrowało po statkowni, w której rozgorzały już dziesiątki pożarów, pochłaniając kosztowne drewniane konstrukcje, którymi uzupełniono oryginalną budowlę z kasztelowego kamienia. Ludzie ginęli, krzycząc.

- Creedy! — warknął Grimm.

- Sir?

Kapitan powtórzył rozkazy.

- Tak jest, sir.

Porucznik zabrał się do roboty. Grimm pomyślał, że gdy jego zastępca otrzyma już zadanie, zawsze radzi z nim sobie świetnie. Po chwili Creedy wysłał Kettle'a na ląd z uzbrojonym oddziałem i polecił Journeymanowi, by rozdał broń pozostałym na pokładzie ludziom, a także przygotował więcej dla tych, którzy wrócą z Kettle'em.

- Nie rozumiem, kapitanie - odezwał się później. - Po co kazałeś uzbroić ludzi?

Grimm wskazał na unoszący się w powietrzu fragment. Nagły powiew -atmosferyczny albo eteryczny - skierował go w dół, w stronę pokładu *Drapieżcy*. To był prostokątny kawałek eterycznego jedwabiu. Gdy opadł na pokład, kapitan uniósł go i pokazał swojemu zastępcy. Jedwab kołysał się i falował na eterycznych wirach otaczających statkownię, poruszając się jak na wietrze, ale wolniej i z większym wdziękiem.

- Czy to... - zaczął Creedy.

- Eteryeczny żagiel z łodzi abordażowej - potwierdził Grimm. Prostokątów eterycznego jedwabiu dorównujących wielkością flagom używano do napędzania parolotni i kierowania jej lotem. Jeśli eteryczne prądy były silne, a parolotnia w dobrym stanie, przy odrobinie szczęścia kierujący nią człowiek mógł wznosić się, opadać i zmieniać kurs. We Flocie wykorzystywano je do ataków abordażowych. Żołnierze piechoty powietrznej wyskakiwali ze sterowca i opadali na nieprzyjacielską jednostkę.

Grimm uniósł kilka zerwanych sznurów połączonych z eterycznym jedwabiem.

- Chyba zerwały się, kiedy żagiel się otworzył - stwierdził. - Biedny skurczybyk, który posługiwał się tym żagle, spada teraz na powierzchnię. Auroranie zawsze oszczędzali na sprzęcie dla swojej piechoty powietrznej.

Creedy wreszcie zrozumiał i wlepił wzrok w bladą mgłę nad nimi. Słońce było tylko bladym kręgiem. W niektóre dni ze szczytu Kasztelu Albion można było zobaczyć błękitne niebo. Dzisiaj jednak utrzymywała się typowa tu mgła, ograniczająca widoczność do najwyżej kilkuset jardów.

- Myślisz, że zbliża się nieprzyjacielska piechota powietrzna?

- To nie jest pełny atak Armady - stwierdził Grimm. — Baterie kasztelu dały się zaskoczyć tym atakiem nurkującym, ale możesz być pewien, że już są gotowe do akcji. Gdyby Auroranie planowali atak na pełną skalę, ich pancerniki pokryłyby baterie statkowni ogniem, gdy tylko ich okręty zakończyły przelot.

- Zatem uważasz, że to tylko akcja nękająca? - zapytał Creedy.

Grimm zmarszczył brwi, spoglądając na statkownię. Okręty Floty nie zareagowały tak szybko jak *Drapieżca* i jego załoga, ale opuszczały już statkownię i zbierały się dwieście stóp nad szczytem kasztelu, skupiając siły. Albiońska Flota Obrony Terytorialnej składała się z korpusu dwudziestu pancerników klasy „Ruk”. Te lewiatany stukrotnie przewyższały masą *Drapieżcę* i w związku z tym były powolne i ociężałe. Towarzyszyła im zastępa lżejszych jednostek - około pięćdziesięciu krążowników i niszczycieli o różnym tonażu. Wszystkie wezwały już swych ludzi na stanowiska i opuściły statkownię.

Grimm obserwował, jak Flota budzi się do życia, podejrzewał jednak, że jej akcja okaże się daremna. Wskazał podbródkiem na mgłę unoszącą się nad nimi.

- Trudno nie podziwiać Auroran za to, że udało im się przeprowadzić atak w takiej mgle, ale ich niszczyciele nie są w stanie oprzeć się Flocie Obrony Terytorialnej ani bateriom kasztelu. Zniszczyli bądź uszkodzili kilka lżejszych okrętów, ale nie mogą liczyć na to, że zadadzą poważne straty naszej Flocie.

- Myślisz, że ten atak miał odwrócić naszą uwagę — stwierdził Creedy.

-W przeciwnym razie, jaki w nim sens? — Grimm ponownie wskazał głową w górę. - Podejrzewam, że gdzieś tam jest transportowiec, mający dokonać desantu.

- Miłosierni Budowniczości — mruknął Creedy, nagle rozumiejąc. -Wiedzieli, że Flota się zmobilizuje. Nie pozostawili jej wyboru.

- W rzeczy samej - zgodził się kapitan. - Jeśli Auroranie zdołają wysadzić w kasztelu oddział żołnierzy, jeden Bóg w Niebiosach wie, jakie straty mogą spowodować. A w tej chwili wszyscy żołnierze piechoty powietrznej służący we Flocie Obrony Terytorialnej są na swoich okrętach. W powietrzu. Tam, gdzie nie mogą bronić kasztelu.

- Musimy zawiadomić Flotę — stwierdził Creedy.

- Ja jestem wygnańcem, a ciebie zawieszono w obowiązkach oficera, Byronie - odparł cicho Grimm. — Mam tylko teorię i kawałek starego eterycznego jedwabiu. Nawet gdybyśmy zdołali dotrzeć do admirała Watsona, to czy sądzisz, że zechciałby nas wysłuchać?

Na twarzy Creedy'ego malowały się ból i frustracja. Skinął powoli głową z namysłem w oczach.

- Mamy dobrą załogę, ale to nie są zawodowi żołnierze - stwierdził po chwili. - A pułk aurorańskiej piechoty powietrznej miałby nad nami trzykrotną przewagę liczebną. Rozszarpią nas na strzępy... to znaczy, nie mamy szans ich pokonać.

- Nie musimy ich pokonać - odparł Grimm. - Wystarczy, że ich spowolnimy. Umysł Bayarda jest wykoślawiony, ale funkcjonuje bardzo dobrze. Nie będzie potrzebował wiele czasu, żeby się zorientować, co się dzieje.
- Tak, kapitanie - odparł cicho Creedy. - Co zatem mamy zrobić?
- Zbierzemy załogę, rozdamy wszystkim broń i ruszymy bronić kasztelu, panie Creedy - odparł Grimm. - Przygotujcie się do odparcia abordażu.

ROZDZIAŁ 12

Kasztel Albion, Kondygnacja Poranka

- Ruszajmy do schronu - rzucił Benedict, zwracając się w stronę Gwen. Syreny nie przestawały wyć.

- Chyba najlepiej do Domu Lancasterów.

Jego kuzynka rozejrzała się. Na targowisku szerzyła się panika.

- Nie jestem... to prawda, że nasz Dom podobno jest jakimś elementem nośnym, ale...

Bridget zeskoczyła z platformy pojedynkowej i złapała w locie Rowla, który skoczył jej w ramiona. Kot bardzo szeroko otwierał oczy i kręcił głową na boki, próbując śledzić wszystkie te szalone ruchy.

- Ojciec - odezwała się Bridget. - Muszę iść do ojca.

- Zaczekaj!

Gwen złapała za nadgarstek Benedicta, który odwracał się już, żeby odejść. Coś w jej jaźni głośno domagało się uwagi, a ona potrzebowała chwili, by jej myśli mogły się skryzalizować.

Młodzieniec popatrzył na nią, unosząc brwi, ale zaczekał.

Nagle rozległ się potworny huk, brzmiący jak uderzenie pioruna, pełne bólu i gniewu. Fragment półprzezroczystego sufitu Kondygnacji Poranka rozjarzył się blaskiem jaśniejszym niż spowite mgłą słońce w samo południe. Podłoga pod ich stopami zadrżała, a z wysokiego sufitu posypały się tumany pyłu. Po krótkiej chwili nastąpił drugi wstrząs, a po nim trzeci. Kasztelowy kamień Albionu zadzwięczał od tych ciosów niczym tytaniczny dzwon.

Pył wypełnił powietrze dławiającą chmurą. Hałas nasilił się jeszcze bardziej. Kawałki muru, którymi w przeszłości łątano nie do końca niezniszczalny kasztelowy kamień, spadały na podłogę. Niektóre z nich były większe od człowieka.

Gwen zauważyła je, po czym stanęła wyprostowana. Odłamki będą spadały tam, gdzie zechcą. Paniczna ucieczka równie dobrze mogłaby zaprowadzić ją pod następny, jak i uratować. Ojciec zawsze jej powtarzał, że właśnie w chwilach, gdy panika staje się najbardziej kuszącą opcją, trzeba myśleć jasno. Dlatego Gwendolyn Lancaster stała spokojnie, choć z sufitu sypały się na nią kamienie.

Po chwili przemówiła, powoli i stanowczo, uświadamiając sobie prawdziwość wypowiedzianych słów.

- Jesteśmy żołnierzami z Gwardii Kasztelana. Nie uciekamy przed kłopotami. Biegniemy ku nim. Powinniśmy się stawić na posterunek.

Bridget szeroko otworzyła oczy. Na jej wyrazistej twarzy odmalował: się strach, potem rezygnacja, a wreszcie irytacja.

- A niech to. Dlaczego o tym zapomniałam?

Benedict rozciągnął w uśmiechu zaciśnięte usta.

- Do licha. Miałem nadzieję, że uda mi się zamknąć was obie w jakimś solidnym schronieniu, ale... masz rację, oczywiście. Tak właśnie powinniśmy postąpić.

- Benny, nie utrudniaj nam życia - odparła Gwen. - Dokąd idziemy? Kasztelem wstrząsnął kolejny grom. Z góry znowu posypały się kamienie. W pobliżu rozległy się krzyki, wysokie i przeraźliwe. Gwen nie była pewna, czy krzyczał mężczyzna, kobieta, czy dziecko.

- Tam - odparł młodzieniec, wskazując głową w kierunku źródła dźwięku.

- Naszym priorytetowym obowiązkiem jest ochrona zagrożonych obywateli i pomoc im. Chodźcie

za mną.

Troje ludzi i Rowl ruszyło naprzód przez tłum spanikowanych mieszkańców. Wysoki i szczupły Benedict szedł przodem. W powietrzu nadal unosiły się chmury pyłu.

Wtem, zaledwie kilka jardów od nich, na podłogę runęła kaskada skruszonych kamieni. Gwen nie uwierzyłaby, że tak bardzo głośny może być huk ich upadku. Całe odpryski posypały się na wszystkie strony. Jeden z nich boleśnie uderzył ją w biodro. Zauważyła, że Bridget się wzdrygnęła, a na jej prawym policzku pojawiła się kropelka krwi.

Przebiegli może z pięćdziesiąt kroków w kierunku, z którego nadbiegały coraz głośniejsze krzyki, aż wreszcie ujrzeli przed sobą wielką stertę gruzu. Ktoś był uwięziony pod wielkim kamieniem. Część pyłu zmieniła się już w szkarłatne błoto. Ofiara z pewnością cierpiała straszliwie.

- Benedykcie, podnieś kamień - poleciła Gwen. - Bridget, pomóż mi go wyciągnąć.

- Chwileczkę - sprzeciwił się młodzieniec. — Jeśli krwawi, gruz może tamować wypływ krwi.

Musimy być przygotowani do natychmiastowego zatrzymania krwotoku, gdy już go wyciągniemy.

Potrzebujemy tkaniny na bandaż.

Gwen skinęła krótko głową, natychmiast sięgnęła do rąbka swej zewnętrznej spódnicy i zaczęła drzeć ją na pasy.

- Bridget - odezwała się.

Wysoka dziewczyna uklękła i zaczęła jej pomagać. Benedict tymczasem przykucnął przy przygniecionym mężczyźnie. Z jego ust wyrwało się krótkie przekleństwo.

- To jest Barnabus Astor.

- A to pech - stwierdziła Gwen, nie przestając oddzierać pasów tkaniny. - Gdyby na świecie była sprawiedliwość, to Reggie by tam teraz leżał.

Gwen i Bridget zdążyły już podrzeć zewnętrzną spódnicę na pasy tkaniny i zwinięte tampony. Gdy skończyły, Benedict skinął głową.

- Bridget, wyciągnij go, kiedy uniosę kamień. Tylko nie zwlekaj.

- Nie będę zwlekała — zapewniła z powagą dziewczyna.

Młodzieniec zwrócił się w stronę głazu, dorównującemu rozmiarami małej trumnie, wsunął palce pod jego krawędź i pociągnął z całej siły, jaką mógł wydobyć ze swego szczupłego ciała. Przez krótką chwilę nic się nie działo. Uwydatnione mięśnie pleców i barków Benedicta drżały z wysiłku. Potem jednak rozległ się zgrzyt i gład przesunął się nieco. Z ust biednego Barnabusa wyrwał się kolejny krzyk bólu. Po chwili Bridget wyciągnęła go spod kamienia.

Gwen zauważyła krew, stanowczo zbyt wiele krwi. Jeszcze przed kilkoma tygodniami nie miałyby pojęcia, co w tej sprawie zrobić, ale pierwszy, długi dzień ich szkolenia był poświęcony nauce udzielania pierwszej pomocy w przypadku takich obrażeń. Owinęła krwawiącą ranę na nodze Barnabusa kilkoma kawałkami bandaża, a potem zacisnęła je i związała mocno. Ranny raz jeszcze jęknął z bólu.

-To wystarczy, żebyśmy mogli go zanieść w bezpieczne miejsce -stwierdził zdyszany Benedict. - Bridget, ja go podniosę. Zarzuć sobie jego zranioną nogę na ramię. Powinna być wysoko uniesiona, tak?

- Oczywiście.

Grom uderzył raz jeszcze. Nieopodal posypały się kolejne kamienie. Z góry dobiegł niski, głuchy dźwięk. Twarz Benedicta pobieliała.

- Szybko!

Ku wielkiemu zaniepokojeniu Gwen kamienie wokół nich spadały coraz szybciej.

- Musimy opuścić atrium! Tutaj jest boczny tunel!

- Szybko! - zawołał Benedict i popędził na wprost biegnąc, a na wprost szurając nogami, ku mniejszemu tunelowi, który mógł im zapewnić względne bezpieczeństwo.

Gdy tylko skryli się w chłodnym półmroku, kaszel jęknął po raz kolejny. Fragment muru wielkości przeciętnego domu runął na podłogę tuż za nimi. Hałas był ogłuszający. Pył wypełnił wszystko dławiącym

całunem.

- Dalej! - wydyszała Gwen.

Ruszyli w głąb tunelu. Półmrok szybko zmieniał się w całkowitą ciemność. Wreszcie dotarli do zakrętu. Powietrze nagle znowu zrobiło się czyste, łagodny powiew rozpraszał pył. Zatrzymali się nagle.

- Światło? - zapytał Benedict, kaszląc.

Gwen dotknęła palcami prawej dłoni małych kryształów, które miała w kolczykach, i aktem woli obudziła je do życia, jeden po drugim, tak samo, jak strzelałaby z rękawicy. Światło maleńkich kryształków nie było szczególnie jasne, ale w kontraście z wypełniającą korytarz ciemnością mogło oślepić.

Benedict położył rannego na ziemi i przyjrzał się jego obrażeniom.

- A niech to - rzekł cicho. - Barney, przyjacielu, obawiam się, że przeciekasz w kilku miejscach.

- Normalnie zdarza mi się to tylko po naprawdę wielkim pijaństwie — wydyszał z wysiłkiem Barnabus przez zaciśnięte zęby.

- Wsadzimy ci parę korków, zanim zdołamy donieść cię do lekarza. Bridget zwróciła się w stronę Gwen i zaczęła drzeć na pasy jej drugą spódnicę. Tymczasem Benedict przyjrzał się bandażowi zavianzanemu przez jego kuzynkę. Najwyraźniej uznał, że wszystko w porządku, bo gdy Bridget wręczyła mu nowe pasy, zajął się innymi ranami. Spódnicy Gwen nie wystarczyło na wszystkie rany Barnabusa. Nogi dziewczyny od zimnego powietrza kondygnacji dzieliła już tylko jedna cienka warstwa tkaniny.

- Dawaj - odezwał się Benedict. - Potrzebuję więcej bandażu.

- Nie sądzę - sprzeciwiła się Gwen. - Benny, ściągaj koszulę. Teraz ją porwiemy.

Kuzyn spojrzał na nią z ukosa, ale zauważył ostatnią warstwę jej spódnicy i chrząknął ze zrozumieniem. Ściągnął marynarkę, kamizelkę i koszulę jednym płynnym ruchem, po czym oddał Bridget tę ostatnią.

Gwen czasami zapominała, że jej kuzyn - jak wszyscy genetyczni wojownicy - jest wyjątkowo muskularnym, atletycznie zbudowanym mężczyzną. Wyglądał imponująco. Bridget na widok jego nagiego torsu zareagowała szokiem tak wielkim, że koszula wypadła jej z rąk, jakby nagle utraciła w nich czucie.

- Ojej - odezwała się. - A niech to.

Gwen uniosła brwi, rozciągając usta w uśmiechu. A więc tak to wyglądało? No cóż, Bóg w Niebiosach wiedział, że Benedictowi przyda się odrobina uczucia. Wśród arystokratycznych rodzin genetycznych wojowników uważano za... przynoszących wstyd, nadających się na zbrojnych albo ochroniarzy, lecz z pewnością nie na pełnoprawnych członków Domu.

Gwen trąciła drugą dziewczynę łokciem. Bridget otrząsnęła się i wróciła do darcia bandażu. Główne atrium kondygnacji nadal wypełniało wycie syren.

- Trzymaj się, Barney - powiedział Benedict, nie przerywając pracy. - Wiem, że to boli, ale postaramy się, by twoja dusza nie straciła kontaktu z ciałem.

Barnabus wydał z siebie ciche bolesne stęknienie. Oczy miał zamknięte.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego to się dzieje — stwierdziła Bridget. - Kasztel zaatakowały sterówce? Czyje?

- Najprawdopodobniej aurorańskie — odpowiedziała Gwen.

- Ale dlaczego mieliby zrobić coś takiego?

- Głównie z powodów ekonomicznych.

- Słucham?

- Rząd Kasztelu Aurora jest chciwy, skorumpowany i niewydolny - odpowiedziała Gwen. - Podatki są dość wysokie. Każda kondygnacja rywalizuje z sąsiadami o dotacje i przywileje, a sam proces rządzenia z reguły jest zaniedbywany. To utrudnia działalność przedsiębiorcom i uniemożliwia wzrost gospodarczy, podczas gdy liczba ludności rośnie. Dlatego mniej więcej raz na pokolenie Auroranie stają się agresywni. Ich Armada podbija placówki, a w przeszłości nawet całe kasztele, i plądruje ich

bogactwa, by umożliwić przetrwanie ich własnego kasztelu. Przy okazji ginie też wielu Auroran, co łagodzi nacisk populacyjny.

- Są gotowi wywołać wojnę... dla pieniędzy? - zapytała Bridget ze zdumieniem.

Gwen prychnęła lekceważąco.

- Nigdy nie powiedzą tego głośno. Zawsze potrafią znaleźć albo wymyślić jakiś powód. Ale w ostatecznym rozrachunku to tylko piraci z oficjalnymi papierami. Napięcia między ich Armadą a naszą Flotą narastały już od jakiegoś roku. Głównie chodziło o ataki na albiońskie sterowce kupieckie. Oraz drobne potyczki z okrętami Floty.

- Nie spodziewałem się, że zaatakują tak szybko — dodał Benedict. - Chyba nikt się nie spodziewał.

Z ciemności, tuż za małym kręgiem światła rzucanego przez kolczyki Gwen dobiegł cichy, lecz groźnie brzmiący głos kota.

Zaniepokojona Bridget spojrzała na wprost.

- Rowł mówi, że ktoś się zbliża.

- Dzięki Bogu w Niebiosach — stwierdziła Gwen, spoglądając w tamtą stronę. - Może to Gwardia.

Halo! Kto idzie? - zawołała.

Po kilku chwilach na granicy jej kręgu światła zatrzymało się ośmiu mężczyzn w mundurach Gwardii Kasztelana. Dwaj z nich dźwigali nosze, na których spoczywał zakryty kocami ranny. Inny, noszący kryształowe bojowe będące insygniami młodszego oficera, dotknął czoła palcami.

- Witaj - rzekł.

- Witaj, poruczniku — odparła Gwen. Nie poznawała go, ale w tym nie było nic niezwykłego.

Gwardia miała w kasztelu kilka placówek i służyły w niej prawie dwa tysiące ludzi. — Bardzo się cieszę, że cię widzę. Mamy rannego cywila. Czy możecie nam pomóc?

— Przykro mi - odparł mężczyzna. - Mamy inne obowiązki do wykonania.

— Gwendolyn - odezwał się Benedict.

Gwen zerknęła na kuzyna. Nigdy nie zwracał się do niej pełnym imieniem. Czekał na jej spojrzenie.

Twarz miał spokojną, ale oczy skupione.

— Porucznik z pewnością żałuje, że ma pilniejsze obowiązki. To cud, że przystąpił do akcji tak szybko po niespodziewanym ataku.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Benedict poruszył lewym nadgarstkiem, zataczając powolny krąg rękawicą. Z zimnym szokiem uświadomiła sobie, co chciał jej powiedzieć.

Do ataku doszło przed paroma chwilami. Ich czworo było jego świadkami, widziało go na własne oczy, a mimo to ledwie zdążyli uciec do tuneli i pośpiesznie zabandażować biednego Barneya Astora. A teraz mieli przed sobą pełną drużynę Gwardii, uzbrojoną, zorganizowaną i niosącą rannego na noszach. Zauważyła też, że wszyscy mają wielkie plecaki polowe.

Nikt nie mógłby zorganizować czegoś takiego w parę chwil, nie w sytuacji, gdy całą kondygnacją zawładnęły panika i zamieszanie. Chyba żeby wiedział, kiedy nadejdzie atak.

A któż mógłby to wiedzieć lepiej niż nieprzyjaciel? Nieprzyjaciel przebrany w mundury Gwardii, działający potajemnie - nieprzyjaciel, który nie miałby żadnych skrupułów przed zabiciem każdego, kto mógłby zdemaskować jego przebranie.

Na przykład kogoś takiego jak ona.

Serce Gwen zaczęło bić tak mocno, że była przekonana, że je słyszy.

Benedict skinął leciutko głową, zamknął oczy i odwrócił się plecami do rannego.

Zamknął oczy. Wiedziała, że zrobił to celowo, ale dlaczego?

Ach. To oczywiste.

Gwen zwróciła się ku fałszywym gwardzistom, uniosła lewą rękę i wystrzeliła cały ładunek rękawicy prosto w twarz oficera z odległości niespełna pięciu stóp.

ROZDZIAŁ 13

Kasztel Albion, Kondygnacja Poranka, tunele wentylacyjne

Rozbłysk na moment oślepił wszystkich. Gdy strzelało się z rękawicy, światło było tak jasne, że można było zobaczyć kości ręki przez ciało, które nagle robiło się półprzezroczyste. Impuls wypełnił tunel przenikliwymi echem, uderzając w twarz oficera z siłą świetlistego młota. Bezwładne ciało mężczyzny padło na ziemię, jakby uderzono go potężną maczugą.

Potem Gwen nakazała zgasnąć kryształkom w swych kolczykach. W tunelu zapanowała nieprzenikniona ciemność.

Nie widziała nic poza oślepiającym wirem barw - a jej własne oczy były przynajmniej częściowo osłonięte przed rozbłyskiem rękawicy. Fałszywi gwardziści, którzy widzieli kryształ bez żadnej osłony, z pewnością byli w gorszym stanie. Nikt nie mógłby nic zobaczyć po tak nagłym przejściu między blaskiem a ciemnością.

Nikt, kto nie był genetycznym wojownikiem.

Gwen padła na podłogę. Z mroku dobiegł dźwięk, jakiego nigdy dotąd nie słyszała, warknięcie nieodróżnialne od ryku wielkiego polującego kota. Potem usłyszała szybki tupot butów uderzających w kamienne podłoże, wydech i ostry krzyk bólu. Następnie rozległy się kolejne kroki, głos krzyczący coś po aurorańsku, kolejne krzyki. Wreszcie rozbłysła rękawica, wypalając na jej siatkówkach obraz - dwóch mężczyzn leżało już na ziemi, a Benedict walczył z trzecim, którego rękawica wystrzeliła w chwili, gdy genetyczny wojownik, walczący gołymi rękami, zdołał ją skierować ku czwartemu przeciwnikowi.

Nagły rozbłysk dał Gwen tylko chwilę na to, by się zorientować, gdzie stoi jej kuzyn, i jeszcze krótszą na to, by działać. Skierowała rękawicę w miejsce położone daleko od Benedicta i wystrzeliła kolejny impuls, licząc na to, że trafi któregoś z przebranych nieprzyjaciół. Nie miała pojęcia, czy udało się jej kogoś zranić, wiedziała jednak, że lepiej przesunąć się w inne miejsce, na wypadek, gdyby któremuś z Auroran wpadł do głowy taki sam pomysł. Przetoczyła się w lewo, uderzając dość boleśnie lewym barkiem o zimny kamienny mur.

Z ciemności dobiegały odgłosy kolejnych gwałtownych ruchów, szuranie nogami, ciosy, a wreszcie krótkie, ostre westchnienie.

Bridget. Boże w Niebiosach, Gwen pod wpływem nagłego zagrożenia zapomniała o ich towarzysze. - Stać, Albiończycy! - zawołał ktoś z silnym akcentem. - Albo dziewczyna zginie.

Znowu załśniło światło, tym razem zapalone przez jednego z intruzów, który trzymał w ręce kryształ iluminacyjny. Na ziemi leżało czterech ludzi, całkowicie nieruchomych. Gwen zamrugała, starając się przyzwyczaić oczy do nowego światła, i ujrzała, że Benedict trzyma piątego za gardło, niemal całkowicie unosząc go nad powierzchnię. Buty Auroranina ledwie dotykały podłogi. Dłonie i nagą pierś jej kuzyna zbryzgały plamy krwi.

Najeźdźcy dźwigający nosze wypuścili je z rąk. Pod kocami nie było rannego, lecz skórzane torby, z których sterczały lonty. Na szkoleniu mówiono im bardzo niewiele o materiałach wybuchowych, ale Gwen potrafiła rozpoznać gotowe do odpalenia ładunki.

Zaledwie kilka stóp na prawo od niej jeden z napastników stał za plecami Bridget. Jedną ręką trzymał dziewczynę za gardło, a drugą wykręcał jej rękę za plecami. Mundur miał świeżo przypalony na ramieniu, co sugerowało, że strzał Gwen jednak był celny.

Szeroko otwarte oczy Bridget wypełniała furia. Jej szyja wykrzywiła się pod kątem sugerującym, że dziewczyna cierpi. Trzymający ją żołnierz wpatrywał się w Benedicta, blask kryształu odbijał się w jego kocich oczach.

- Puść go - warknął nieprzyjacielski genetyczny wojownik.

Kuzyn Gwen obnażył ze złością zęby, ale puścił Auroranina, który osunął się na podłogę bezwładnie jak płat mięsa z kadziowni. Z jego ust wyrwał się cichy jęk. Gwen zdążyła zauważyć, że pozostali napastnicy rozciągnęli szyk, a dwaj stojący najbliżej uklękli, by dać towarzyszom wolną linię strzału. Wszyscy unosili gotowe do użycia rękawice, a niektórzy celowali w Gwen. Ona, niestety, nie mierzyła w nich, i miała wrażenie, że jeśli poruszy lewą ręką, nawet nie zdąży zauważyć, kiedy wystrzela.

-Trzej ludzie w trzy sekundy - rzekł do Benedicta Auroranin cichym, pozbawionym wyrazu głosem. - Nie najgorzej. Ale załatwiłbym cię, gdyby tej małej nie poszczęściło się z drugim strzałem.

Benedict uniósł lewą rękę. W kryształ jego rękawicy tliło się światło. Auroranin uśmiechnął się bardzo lekko i przesunął nieco Bridget, by zapewniała mu lepszą osłonę.

- Jak bardzo pewien jesteś swojej celności, Albionczyku? Jeśli wystrzelisz, moi ludzie zabiją ciebie i tę małą. A potem ja załatwię tę drugą dziewczynę i ruszymy w dalszą drogę.

- Zastrzel go, Benedykcie - wychrypiała Bridget. - On śmierdzi. Wolałabym...

Auroranin poruszył palcami i słowa dziewczyny umilkły nagle.

- Mężczyźni rozmawiają — wyszeptał, przysuwając usta do jej ucha.

- Jeśli opuszczę broń, i tak ją zabijesz - stwierdził Benedict. - Czemu nie miałbym przynajmniej zabrać cię z nami?

- Masz moje słowo - odparł Auroranin. - Ty musisz zginąć. Tak to już jest. Ale resztę możesz ocalić. Zwiążemy ich i zostawimy bez szkody.

Benedict przez chwilę wpatrywał się bez słowa w drugiego genetycznego wojownika.

- Podaj mi swoje nazwisko — zażądał po chwili.

Mężczyzna skinął głową.

- Diego Ciriaco, starszy sierżant, Pierwszy Pułk Aurorańskiej Piechoty Powietrznej.

- Benedict Sorellin, Gwardia Kasztelana - odparł kuzyn Gwen.

- Benedykcie Sorellin, masz moje słowo.

- Zapamiętaj moje nazwisko - rzekł Benedict i opuścił rękawicę z dziwnie spokojnym wyrazem twarzy.

- Zapamiętam - zapewnił Auroranin. - Strzelajcie na mój rozkaz -rzekł towarzyszom.

Gwen uświadomiła sobie raptem, że choć jej rękawica nie jest wycelowana w żadnego z uzbrojonych przeciwników, jest wymierzona w coś całkiem innego.

- Nie zrobicie tego - oznajmiła. Jej głos nagle stał się zimny, dziewczyna ze wszystkich sił starała się imitować władczy, pełen furii ton matki, który słyszała tylko w wyjątkowych okazjach. - Jeśli ktokolwiek wystrzeli do kogoś z nas albo wyrządzi mu inną krzywdę, przysięgam na Boga w Niebiosach, że wypuszczę całą energię rękawicy w wasze ładunki wybuchowe. To nie będzie koniec, jakiego pragnęłam, ale nastąpi szybko, a jeśli zginę, broniąc Albionu przed aurorańskimi najeźdźcami, nie oddam życia na darmo. Czy może pan powiedzieć to samo o sobie, panie Ciriaco?

Na moment zapadła całkowita, krystaliczna cisza.

Wreszcie Ciriaco syknął cicho.

- Nie strzelać - warknął.

Benedict odsłonił zęby w bezlitosnym uśmiechu.

-W takim razie, sierżancie, może ja powinienem zaproponować także, byś się poddał. Moje warunki będą znacznie lepsze od tych, jakie mi oferowałeś. Wypuście tę młodą damę i odłóżcie broń, a zostaniecie uznani za jeńców wojennych.

Ciriaco prychnął pogardliwie.

- A potem wasi panowie poddadzą nas torturom, żeby wydobyć z nas informacje? Wolę już wybuch.
- W takim razie mamy impas.

Ciriaco chrząknął na znak zgody.

-To prawda. Ale równowaga z czasem się zmieni. Ktoś się tu zjawi.

- Sierzancie — odezwała się Gwen. — Zapewniam, że nie będę miała żadnych skrupułów przed wysadzeniem dowolnie wielkiej liczby twoich rodaków, którzy okazały się aż tak fatalnie wychowani, że spróbują nam przeszkodzić.

Genetyczny wojownik spojrział na nią. Twarz miał pozbawioną wszelkiego wyrazu.

- Ale z drugiej strony, jeśli pojawi się więcej twoich ziomków, twoja groźba utraci część mocy. Ilu ich jesteś gotowa poświęcić, żeby nas zabić?

- Nawet remis będzie korzystniejszy dla mnie - odparła. — Dopóki was tu trzymamy, nie możecie wykonać zadania, które wam zlecono. Nie macie wygrywających kart.

Odsłonił zęby.

- Na razie. Jak ci się zdaje, ile czasu minie, nim twoi rodacy wrócą do równowagi na tyle, że będą mogli wysłać uzbrojone patrole do bocznych tuneli? Godziny? Cały dzień? - Wskazał głową na nieprzytomnego Barnabusa Astora. - Jak długo wytrzyma wasz ranny? Wiem, kiedy mam się spodziewać naszych ludzi. I wiem, że będą uzbrojeni. Wcale się nie zdziwię, jeśli za chwilę ukryty w tunelu długozrelbowiec załatwi cię, zanim zdążysz się zorientować. Czas pracuje dla mnie, panienko, nie dla ciebie.

Gwen poczuła zimny ucisk w żołądku.

- Poddajcie się - zażądał Ciriaco twardym głosem. - Uratujcie, kogo możecie. - Spojrział na Benedicta. - Z pewnością to rozumiesz. Przekonaj ją.

- O ile sobie przypominam — wyjaśnił Benedict przeproszającym tonem - nikt nigdy nie zdołał przekonać mojej kuzynki do niczego. Absolutnie niczego.

Twarz Auroranina przybrała złowrogi wyraz.

- Nie ma tu dla was drogi do zwycięstwa.

Odsłoniła zęby w gniewnym grymasie.

- Zatem poczekamy i zobaczymy — odparła z niejaką dozą krwiożerczej satysfakcji.

ROZDZIAŁ 14

Kasztel Albion, Kondygnacja Poranka

Grimm nie znosił walki toczonej z bliska.

Na pokładzie sterowca bitwa była jak przyptyw, burza, siła natury. Ludzie ginęli, tak jest - to było straszne i wspomnienie o nich zawsze go prześladowało - ale śmierć zadawały im moce tak potężne, że trudno było sobie wyobrazić, że kierują nimi ludzie. Z reguły nie widziało się twarzy wrogów, a tylko ich okręt wiszący na niebie niczym model. Nierzadko wydawał się wręcz piękny i spokojny.

Rzecz jasna, była to iluzja. Rzeczywistością były ból i śmierć.

Niemniej bitwa sterowców była czymś odległym. Izolowanym. Klinicznym. Dowódca stawiał swój umysł i umiejętności, a także serca załogi, przeciwko drugiemu kapitanowi, który robił to samo. Widział obrażenia zadawane jego okrętowi, ale rzadko miał szansę ujrzeć z bliska przerażający obraz strat, które sam zadał nieprzyjacielowi. A co najważniejsze, dobry dowódca mógł podejmować decyzje, które przyniosą mu zwycięstwo i ocalą życie załogi. Sterowiec poruszał się na jego rozkazy niczym ogromna, pojedyncza żywa istota.

Walka z bliska była zupełnie innym światem.

Kettle po paru chwilach wrócił z większością załogi. Pan Journeyman czekał już z gotową do wydania bronią oraz tunikami podszytymi eterycznym jedwabiem. Tuniki były stare, jedwab zebrano w najlepszym razie przed pokoleniem. Mogły zapewnić osłonę co najwyżej przed odbitym impulsem z umiarkowanej odległości, ale Grimm nie był w stanie zdobyć dla swych ludzi nic doskonalszego, a nawet taki pancerz był znacznie lepszy niż żaden.

— Jesteśmy gotowi, kapitanie — oznajmił Creedy. Wysoki młodzieniec również uzbroił się w miecz i rękawicę. — Dokąd mamy iść?

- Tam, gdzie jesteśmy potrzebni - odparł Grimm. - Rozsądek podpowiada, że...

Przerwał, gdy Kettle podszedł do niego z mieczem w pochwie zawieszanej u pendentu. Potrzeba było trochę starań, by zapiąć pas na piersi Grimma tak, by temblak się w niego nie wplątywał i kapitan mógł swobodnie wyciągnąć miecz zdrową, prawą ręką.

- Kapitanie, chyba nie zamierzasz... - zaczął Creedy.

- Pierwszy, nie wyślę załogi tam, gdzie sam nie jestem gotów pójść - oświadczył Grimm. - Dziękuję, panie Kettle.

- Kapitanie, a rękawica? - zapytał marynarz.

Grimm poruszył z westchnieniem ręką unieruchomioną na temblaku.

- Obawiam się, że z takim czymś trudno by mi było celować.

- Kapitanie, jesteś ranny - nie ustępował Creedy. - Nie powinieneś walczyć.

- Nonsens — odparł Grimm.

Porucznik zazgrzytał zębami, a potem spojrzał na Kettle'a.

- Panie Kettle?

- Sir? - odpowiedział marynarz. Grimm zauważył, że w tym słowie zabrzmiała lekka nuta sceptycyzmu.

- Ponieważ nasz drogi kapitan jest zdeterminowany narazić się na niepotrzebne niebezpieczeństwo, zlecam ci zadanie czuwania nad nim. Dopóki nie będzie po wszystkim, masz się od niego nie oddalać ani

na krok. Czy to jasne?

Kettle uspokoił się wyraźnie. Na krótki moment na jego twarzy pojawiło się coś przypominającego uśmiech.

- Jak kryształ, sir.

-Też coś - burknął Grimm. - No wiesz, mógłbym ci rozkazać, żebyś go nie słuchał.

- O co chodzi, sir? - zapytał marynarz przesadnie donośnym głosem. -Nie dosłyszałem. Rozumiesz, te wszystkie wybuchy osłabiły mi słuch.

Grimm spojrzał na niego. Kettle uśmiechał się przepraszająco, ale nadal demonstrował głuchotę. Creedy zasępił się z upartą miną. Grimm rozejrzał się wkoło i zauważył, że inni członkowie załogi przyglądają się ich rozmowie.

-No dobra — ustąpił z westchnieniem. Przeszył obu mężczyzn poirytowanym spojrzeniem, ale właściwie nie wkładał w to serca. — Jak już mówiłem, rozsądek podpowiada, że napastnicy nie wylądują na części dachu kasztelu, którą zajmuje statkownia. Tam jest kontyngent piechoty powietrznej, baterie dział, okręty i ich załogi. Gdyby planowali otwarty atak na statkownię, już by to zrobili.

- Zatem gdzie? - zapytał Creedy. — Myślisz, że celem jest Lądowisko?

To było celne pytanie. Przedsiębiorczy mieszkańcy Kondygnacji Lądowiska poświęcili całe pokolenie na wywiercenie dziury w kasztelowym kamieniu zewnętrznego muru, po czym zbudowali z drewna własny port dla sterowców, przylepiony do zewnętrznej ściany gmachu. Przedtem istniały tylko dwa wejścia do Kasztelu Albion — na dachu i u podstawy - teraz zaś pojawiło się trzecie. Czas transportu rozmaitych towarów przez liczne kondygnacje Kasztelu Albion można było skrócić o połowę, a rzemieślnicy i kupcy szybko skorzystali z tej szansy. Obecnie Lądowisko niemalże dorównywało bogactwem Porankowi.

- Być może — stwierdził Grimm. — Ale nawet tam musieliby stoczyć poważną bitwę, żeby dostać się do środka. Myślę, że wybiorą inną drogę.

-Tunele wentylacyjne?

- W rzeczy samej. Wprowadzą do nich tylu swoich żołnierzy, ilu tylko zdołają, a potem spróbują osłabić Albion od środka.

Kettle zagwizdał przez zęby.

- Wloty tych tuneli mają tylko jakieś cztery stopy średnicy i są usytuowane na zewnętrznym murze kasztelu. Nie ma tam żadnych półek ani nic w tym rodzaju, kapitanie. To piekielnie trudny cel dla żołnierza piechoty powietrznej na paralołtni.

Grimm ruszył w stronę trapu.

- Panie Kettle, pracowitość i determinacja mogą zmienić trudne zadania w rutynowe. Możemy przyjąć założenie, że z przewodów wentylacyjnych przejdą do bocznych tuneli, a stamtąd ruszą ku swoim celom. W Kondygnacji Poranka znajduje się sporo obiektów, które mogą zaatakować, niewykluczone też, że skierują się do statkowni. Naszym zadaniem jest uniemożliwienie im opuszczenia bocznych korytarzy. Nie musimy wytropić wszystkich. Śmiem twierdzić, że nasza piechota powietrzna zajmie się tym z radością, gdy tylko wróci do kasztelu.

Grimm obejrzał się przez ramię i zobaczył, że załoga podąża za nim. Niektórzy ludzie ciągle jeszcze przytracali miecze i rękawice.

Kettle zdołał ich odnaleźć zaskakująco szybko - osiemdziesięciu siedmiu ludzi, brakowało tylko dziewięciu. Najwyraźniej wszyscy byli razem i to całkiem niedaleko. Zakładali się o wynik pojedynku.

Ilu z nich będzie nadal żyło, gdy zajdzie słońce? - zadał sobie pytanie.

- Panie Creedy, przekaż, proszę, rozkazy oficerom. Upewnij się, czy wszyscy rozumieją, na czym polega nasz cel, i zdają sobie sprawę, że zamierzam go zrealizować bez względu na niebezpieczeństwo dla nich albo dla mnie. Mają przekazać tę wiadomość ludziom ze swoich drużyn.

-Tak jest, kapitanie - odparł Creedy, po czym natychmiast się odwrócił, by przekazać rozkazy

pierwszemu z podążających za nimi ludzi.

- Panie Journeyman? - zawołał Grimm, nie odwracając się.

- Słucham, kapitanie?

-Ty zostaniesz na pokładzie.

Odpowiedzią był jadowity, pełen niedowierzania epitet.

- Jak rozumiem, użyłeś sformułowania „zarozumiały marynarzyk” - zareagował Grimm. — Jeśli jesteś zbyt wartościowy, by okazywać należny szacunek i uprzejmość mojemu pierwszemu oficerowi, z pewnością jesteś też zbyt wartościowy, by narażać cię na niebezpieczeństwo w otwartej bitwie z Auroranami, Journeyman. Tak to już jest.

Kolejne przekleństwa mechanika milkły w oddali, gdy Grimm ruszył truchtem naprzód.

Jego ludzie podążali za nim.

Zbiegli po spiralnej rampie prowadzącej ze statkowni na Kondygnację Poranka, przebijając się przez zdezorientowany tłum zmierzający w przeciwnym kierunku. Wszędzie panował chaos.

Aurorańskie niszczyciele nie zbombardowały samej Kondygnacji Poranka, ale kasztelowy kamień przeniósł w dół tyle energii, że znaczna część murowanych łat wprawionych w dach kasztelu spadła na podłogę. Słychać było krzyki, a w powietrzu unosiła się woń dymu. Wyglądało to przerażająco. O ile gdzieś krył się nieprzyjaciel, można będzie stawić mu opór, ale jeśli dym wypełni kondygnację bądź jej tunele, wszyscy jego ludzie mogą zginąć, zanim zdążą wydobyć miecze albo wystrzelić z rękawic.

Gwardziści kasztelana biegali we wszystkie strony, ratując ludzi uwięzionych pod gruzem bądź opatrując rany. Trudzili się gorliwie, lecz ich wysiłkom brakowało organizacji. Przemieszczali się w małych grupkach, po trzech albo czterech, bez żadnych widocznych oznak koordynacji. O ile Grimm potrafił to określić, nikt nie próbował uspokajać mieszkańców ani kierować ruchem na ulicach atrium.

- Sir! - zwołał nagle Creedy, wyciągając rękę.

Grimm przeniósł spojrzenie na przeciwległy koniec kondygnacji. Jasne iskry białego blasku widoczne na tle ściany kasztelu zmieniały widoczne przed nimi budynki w czarne zarysy.

-Wymiana ognia - stwierdził Grimm. - Masz dobre oczy, pierwszy. Czy przywitamy naszych gości?

Nie czekając na odpowiedź, ruszył naprzód stosunkowo powolnym, lecz miarowym biegiem. Ręka bolała go paskudnie, ale na to nic nie mógł poradzić. Kondygnacja Poranka zajmowała cały przekrój kasztelu. Jej większa część znajdowała się wewnątrz wysokiego na dwieście stóp atrium, a odległość między ścianami ogromnego walca, jakim był Kasztel Albion, wynosiła blisko dwie mile. Musieli się śpieszyć, lecz jednocześnie po przybyciu na miejsce oddychać na tyle swobodnie, by być w stanie celować i sprawnie władać mieczami.

Bieg przypominał jakiś przerażający sen. Większość budynków nie sprawiała wrażenia zbytnio uszkodzonych, ale od czasu do czasu natykali się na domy rozbite przez spadający z góry gruz. Ranni leżeli na podłodze z kasztelowego kamienia albo krążyli oszołomieni po ulicach. Grimm zacisnął zęby, by oprzeć się pokusie udzielenia pomocy małemu dziecku ze złamaną ręką. Biedny dzieciak cierpiał, ale nie groziło mu bezpośrednio niebezpieczeństwo - co mogło jednak się zmienić, jeśli najeźdźcom uda się podpalić większą część kondygnacji, wysadzić kadziownię albo wodne ogrody, wymordować wszystkich członków Rady - choć w tym ostatnim przypadku Grimm nie był przekonany, czy byłaby to taka wielka strata -bądź też popełnić jakieś inne podobne czyny, które mogli zaplanować.

Biegli przez jakiś kwadrans — co podczas każdej bitwy równało się wieczności. Grimm był przekonany, że gdy dotrą na miejsce wskazane przez Creedy ego, będzie już po wszystkim. Okazało się jednak, że się mylił. Zbliżając się, słyszeli przeraźliwe wycie strzałów z rękawic.

Zdyszany kapitan zatrzymał się tuż za rogiem wielkiego domu, jednego z pradawnych gmachów pozostawionych przez Budowniczych. Kasztelowy kamień jego murów gładko przechodził w podłogę kondygnacji. Odgłos strzałów dobiegał z jego drugiej strony.

- Stern — odezwał się, dokładając wysiłków, by jego głos zabrzmiał spokojnie i pewnie. — Rzuć okiem, co się tam dzieje. Ale wracaj natychmiast. Żadnego zwlekania.

-Tak jest, kapitanie — potwierdził smukły ciemnowłosy mężczyzna zdecydowanie młodszy od większości członków załogi *Drapieżcy*.

Stern był skromnym midszypmenem podczas rejsu, który położył kres karierze Grimma, po czym (wbrew wyraźnemu życzeniu kapitana) porzucił służbę we Flocie i przeniósł się w ślad za nim na *Drapieżcę*. Choć osiągnął już wiek dojrzały, nadal był drobny i szczupły, a w razie potrzeby potrafił się poruszać równie szybko i bezgłośnie jak genetyczny wojownik.

Creedy dyszał ciężko. Twarz miał czerwoną.

- Kapitanie? - wysapał. - Czy jesteśmy tam, gdzie mi się zdaje?

-To kadziownia — potwierdził Grimm. — Przyszli po kryształ.

- Boże w Niebiosach. Jeśli Auroranie je zniszczą...

- Flota będzie musiała walczyć bez rezerw kryształów i dodatkowych okrętów - dokończył Grimm.

Co znaczyło mniej więcej to samo, co „przegrać wojnę”.

Stern wrócił pośpiesznie do grupy.

- Kadziownia jest zbudowana z kasztelowego kamienia - zameldował. - Nie wedrą się do środka, rozwalając mur. Domownicy Lancasterów nadal bronią wejścia, ale jest ich za mało, by mogli długo wytrzymać.

- A nieprzyjaciel? — zapytał Grimm.

- Kapitanie - odparł Stern z niepokojem w głosie. - To Gwardia Kasztelana.

- Nonsens - uspokoił go natychmiast Grimm. - To zapewne Auroranie przebrani w fałszywe mundury. Ilu ich jest?

- Naliczyłem dwa tuziny. Ale wszyscy zajęli pozycje i strzelają z ukrycia.

Creedy otworzył szeroko oczy.

-Słucham? Jeśli chcą zniszczyć kadziownię, powinni szturmować drzwi. Mam rację? Z każdą minutą narażają się na większe niebezpieczeństwo kontrataku. Dlaczego zwlekają?

- Hmm - mruknął Grimm i przymrużył powieki, zastanawiając się nad tą kwestią. - Dlaczego zwlekają? - Poczul, że jego wargi się rozciągają, odsłaniając zęby w uśmiechu. - Doprawdy, dlaczego? Dlatego, że na coś czekają. Być może na posiłki. Stern, gdzie zajęli pozycje?

- Między kadziownią a domem jest mały ogród otoczony murem, kapitanie. Ogień z rękawic nieźle już nadgryzł mur, ale i tak wykorzystują go jako osłonę.

Grimm skinął krótko głową.

- Creedy, weź dwie drużyny i zajdź ich od flanki po drugiej stronie. Ja wezmę resztę i zaatakuję od tej. Dopilnuję, by nieprzyjaciel był zbyt zajęty, żeby mógł was zauważyć. Pośpieszcie się.

Porucznik skinął głową, wskazał na dwóch innych oficerów i gestem nakazał im podążyć za sobą. Ruszył biegiem, a dwie drużyny podążyły za nim.

Grimm zwrócił się ku reszcie załogi.

- Te chłopaki są lepsze od nas w tego typu walce, ale nas jest zdecydowanie więcej. Zachowujmy się tak, jak podczas abordażu. Agresja, agresja, agresja, i wszyscy trzymamy się w kupie. Niech Bóg w Niebiosach będzie z wami!

Poprowadził swoją załogę wokół domu, by pojawić się na polu bitwy z przeciwnej strony niż grupa Creedy'ego. Gdy porucznik dotrze na miejsce, on i jego ludzie znajdą się za linią Auroran i będą mieli przed sobą nieprzyjaciela osaczonego pod kamiennym murem. W ten sposób będą mogli zadać najeźdźcom potężny cios.

Rzecz jasna znaczyło to również, że Auroranie będą mieli bardzo silną pozycję obronną przeciwko atakowi Grimma, ale na to nic nie można było poradzić. Powietrze wypełniało wycie strzałów z rękawic, szybkie jak błyskawice rozbłyśki światła tworzyły gęstą, śmiercionośną tarczę energii.

Kapitan wyciągnął miecz i uniósł go nad głowę.

- Albion! — zawołał.

Jego ludzie złapali za broń.

- Albion! - powtórzyli pełnym furii rykiem.

Grimm wypadł zza ostatniego rogu budynku i popędził ku pozycjom Auroran. Za nim biegło siedemdziesięciu wrzeszczących aeronautów.

ROZDZIAŁ 15

Kasztel Albion, Kondygnacja Poranka, Kadziownia Lancasterów

Dwie sekundy.

Grimm i jego załoga mieli całe dwie sekundy zaskoczenia i zamieszania, by uderzyć na wroga. To bardzo długi czas, jeśli mierzyć go w jednostkach życia i śmierci. Zdążyli pokonać może z połowę dzielącej ich od nieprzyjaciela odległości, nim Auroranie zorientowali się, co się dzieje i zaczęli strzelać do atakującego przeciwnika — głównie z rękawic, ale kilku miało też długie strzelby. Ludzie Grimma ostrzeliwali się w biegu. Ich ogień był straszliwie niecelny, ale wszystko, od czego Auroranie wzdrygali się albo chowali za murem, było użyteczne. Potem cały świat przesłoniły Grimmowi straszliwy hałas, oślepiające światło oraz dotyk kasztelowego kamienia pod stopami. Pędził naprzód, unosząc wysoko miecz.

Jeszcze dwie sekundy.

Gdy dobiegły końca, dwudziestu jego ludzi leżało na podłodze. Większość krzyczała przeraźliwie, ale inni byli straszliwie nieruchomi. Część oberwała też w tuniki z eterycznego jedwabiu, ale choć zachwiali się na nogach, nie przestali biec.

Grimm zdążył zauważyć impuls, który go trafił, wstrząsając jego żebrami. Zwolnił na chwilę, spoglądając w dół, ale garnitur, który pożyczył mu stary eteryk, był najwyraźniej wzmocniony eterycznym jedwabiem najwyższej jakości. Impuls był dla Grimma czymś przypominającym mocne uderzenie pięścią - nieprzyjemny, ale z pewnością nie śmiertelnie groźny. Choć wypalił i wyszarpał dziurę w zewnętrznej tkaninie marynarki, jedwab pod spodem pozostał nienaruszony.

Po chwili Grimm dotarł do ogrodu otoczonego pełnym nowych dziur murem. Mur był raczej dekoracyjny niż użytkowy. Sięgał mu tylko do wysokości żołądka, pomijając luki, w których impulsy z rękawic obniżyły go do jakichś dwóch stóp. Grimm oparł stopę na jednej z takich luk i przeskoczył nad szeregim obrońców, robiąc miejsce dla tych, którzy podążali za nim.

Zobaczył przed sobą pobladłą twarz i ciął szybko mieczem, czując, że ostrze wbija się w ciało. Nagle ujrzał błysk stali. Pochylił się, unikając ciosu jednego z zakrzywionych mieczy używanych przez Aurorańską Piechotę Powietrzną, jednocześnie parując cios drugiego.

Kettle również przeskoczył mur, zahaczając po drodze wielkim butem w zęby broniącego przejścia Auroranina. Pilot wylądował na ziemi, wyciągając za siebie lewą rękę, i strzelił z rękawicy prosto w głowę drugiego nieprzyjaciela.

Potem była tylko gwałtowna szamotanina, odruchy i przerażenie. Błysk scali i zawodzenie impulsów. Jego załoga starała się przeprowadzić jak najwięcej ludzi na drugą stronę muru, by przewaga liczebna rozstrzygnęła o wyniku starcia.

Aurorańska Piechota Powietrzna miała jednak inne plany.

To byli twardzi mężczyźni, zawodowcy, którzy perfekcyjnie opanowali krwawą sztukę wojny. Zdawali sobie sprawę, czym grozi utrata muru i otoczenie przez liczniejszego nieprzyjaciela. Walczyli zawiąście i nieustępliwie. Grimm poczuł, że Auroranie spychają do tyłu jego i Kettle'a. Reszta jego ludzi nadal próbowała się przedrzeć przez mur, ale aurorańscy długostrzelbowcy oraz miecze nieprzyjacielskiej piechoty powietrznej eliminowały ich skutecznie i bezlitośnie.

Grimm poczuł, że bieg bitwy się odwraca. Wyczuwał narastającą determinację Auroran, którzy

uświadomili sobie, że są lepiej wyszkoleni od przeciwnika. Pomyślał, że za kilka sekund atak zostanie odparty i po tej stronie muru zostanie tylko on i pan Kettle, bezbronni wobec nieprzyjacielskich rękawic.

W tej samej chwili zjawił się oddział Creedy'ego.

Jego ludzie nie krzyczeli. Biegli niemal bezgłośnie, ogień rękawic oraz krzyki rannych zagłuszały ich kroki. Wszyscy zajęli pozycję pod przeciwnym murem ogrodu, wykazując się niezwykłą dyscypliną. Creedy świetnie wszystko zorganizował. Dopilnował, by wszyscy stanęli pod murem, unieśli rękawice i wycelowali, zanim wydał rozkaz otwarcia ognia.

Auroranie całkowicie skupieni na odpieraniu ataku Grimma niczego nie podejrzewali aż do chwili, gdy pierwsza salwa ludzi Creedy'ego powaliła niemal połowę z nich. Grimm rzucił się do ataku i wbił miecz w pierś oficera, którego jedwab pochłonął impuls wystrzelony z rękawicy. W tej samej chwili Kettle sparował szaleńczy atak innego nieprzyjaciela.

- Albion! - ryknął.

Kolejni aeronauci powtórzyli jego okrzyk i rzucili się do ataku z powleczonymi miedzią mieczami w rękach. Przeskakiwali przez niski mur albo przedzierali się przez luki, zalewając przewagą liczebną oszołomionego nieprzyjaciela. Reszta Auroran przetrwała nie dłużej niż dwie sekundy.

- Creedy! - zawołał wkrótce potem Grimm. - Raport.

- Jedenastu zabitych - odparł porucznik poważnym, przygnębionym głosem. - Plus dwóch kolejnych, którzy długo nie pociągną. Mamy też siedemnastu rannych wymagających hospitalizacji i drugie tyle rannych chodzących. Tych ostatnich wysłałem z powrotem na *Drapieżcę* i kazałem im przekazać doktorowi Bagenowi, że ma natychmiast tu przyjść.

Grimm chrząknął.

- A Auroranie?

- Trzech żyje. Mogą nie wylizać się z ran.

- Każ Bagenowi zająć się nimi, gdy tylko upora się z naszymi chłopakami. Myślę, że nasze władze chciałyby z nimi pogadać, tak?

- Z pewnością, sir - zgodził się Creedy. - Kazałem kilku starszym, rozsądniejszym ludziom ich pilnować.

- Dobra decyzja - pochwalił go Grimm. - Wyślij kogoś do kadziowni, by zapewnił obrońców, że nie mamy zamiaru ich zamordować.

- Pomyślałem sobie, że w środku mogą być wystraszeni ludzie z gotowymi do strzału rękawicami, więc sam tam poszedłem, sir - odparł Creedy.

Grimm poczuł, że jego usta poruszyły się nagle w uśmiechu.

- Widzę, że cię nie rozwalili - zauważył.

- Nie rozwalili, sir - potwierdził z powagą Creedy. - To uzbrojeni domownicy Lancasterów, sir, byli żołnierze piechoty powietrznej, bardzo zdyscyplinowani. Zostali na posterunkach, a ich dowódca poszedł zadbać o bezpieczeństwo Domu.

Spoza ogrodu, z miejsca, gdzie leżeli ranni, dobiegały ciche jęki i krzyki bólu. Siedzący na ławce w ogrodzie Grimm uniósł ze znużeniem wzrok. Był tu mały, pluskający strumyk oraz sadzawka, wokół której rośnię kilka karłowatych drzew i bujne zielone paprocie. Byłoby tu bardzo pięknie, gdyby nie krew i trupy. Zabici jak zwykle śmierdzieli padliną i ekskrementami. Wydawało się poniżające, że ludzkie szczątki są tak obrzydliwe, ale tak to już było. Grimm starał się ignorować smród i nieruchome ciała.

Bitwy zawsze miały nieprzyjemne konsekwencje. Wstał ciężko, wyprostował się, odchrząknął i rozejrzał po niedalekiej okolicy.

— Świetna robota, panie Creedy. Podczas bitwy i później. Znałem ludzi, którzy nie potrafili się zachować nawet w połowie tak dobrze, gdy po raz pierwszy byli zmuszeni walczyć z bliska.

Creedy zawahał się zawstydzony, zanim odpowiedział. We Flocie kapitanowie nie mówili takich rzeczy swoim młodszym oficerom.

— Sir - odrzekł wreszcie, wpatrując się w jakieś nieokreślone miejsce, które dziwnym trafem również było niezbyt oddalone.

- Tak, mnie to również się nie podoba — przyznał Grimm. — Ale ponieważ nie mogę zgłosić cię do medalu za odwagę ani do pochwały za nadzwyczajną kompetencję na polu walki, musimy się tym zadowolić.

-T... tak jest, sir.

Grimm skinął głową.

- Gdy będziemy mieli chwilę czasu, postawię ci kolejkę i nie będziemy już więcej o tym rozmawiać.

- Myślę... - Creedy pokiwał głową. — Myślę, że to będzie dobre rozwiązanie, kapitanie Grimm.

— Znakomicie. W takim razie sprawa załatwiona. Gdy tylko Bagen się zjawi, zbierz ludzi i przygotuj się do wymarszu. W kondygnacji jest jeszcze mnóstwo Auroran i musimy być gotowi.

- Zdobyliśmy cztery zdadne do użytku długie strzelby, sir. Czy mam je wydać ludziom?

Grimm skinął krótko głową.

— Świetny pomysł. Daj jedną panu Sternowi. To znakomity strzelec. Niech zbierze drużynę, która dostanie pozostałe.

— Tak jest, sir - odparł Creedy i oddalił się, by wykonać rozkaz.

- Kapitanie - odezwał się Kettle, który do tej pory stał, milczący i dyskretny, w odległości długiego kroku od niego. W jego głosie pobrzmiwało ostrzeżenie.

Grimm spojrzał w jego kierunku i zobaczył wysokiego mężczyznę, który zmierzał ku nim. Nieznajomy miał na sobie czarny garnitur, bardzo przypominający krojem mundur piechoty powietrznej. Był uzbrojony w miecz i rękawicę, a jego krótko ostrzyżonych włosów dotknęła już siwizna. Nim jeszcze Grimm zobaczył jego oczy, szczupła sylwetka i gracia ruchów nieznajomego powiedziały mu, że ma do czynienia z genetycznym wojownikiem.

- Kapitan Grimm, jak sądzę - rzekł mężczyzna.

-Tak. A twoje nazwisko, jeśli można zapytać?

Genetyczny wojownik wyciągnął rękę. Grimm ją uścisnął.

- Esterbrook - przedstawił się. - Dowódca zbrojnych Domu Lancasterów. Dziękuję za twą interwencję, kapitanie. Czterech na jednego to nie jest korzystny stosunek sił.

-Auroranie najwyraźniej tak sądzili - odparł Grimm - Zdołaliście w sześciu powstrzymać dwie pełne drużyny zawodowej piechoty powietrznej. To imponujące.

-Tylko przez krótką chwilę — zaprotestował Esterbrook. - Gdybyś się spóźnił, musiałbyś użyć słów takich jak „tragiczne” i być może „szlachetne poświęcenie”. Ponownie dziękuję.

Grimm uśmiechnął się do Esterbrooka.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - zapytał.

-Lord i lady Lancaster przebywają w rezydencji i byli świadkami znacznej części wydarzeń. Prosim, bym przekazał ci ich podziękowania oraz kondolencje z powodu poniesionych strat, a także poinformował cię, że przygotowują już miejsce dla rannych. Możesz być pewien, że twoi ludzie otrzymają najlepszą możliwą opiekę.

Grimm poczuł, że nagle ustąpił ucisk w brzuchu, z którego przedtem nawet nie zdawał sobie sprawy.

- Proszę przekazać rodzinie Lancasterów moje najserdeczniejsze podziękowania.

- Zrobię to — zapewnił Esterbrook i skinął krótko głową. Potem rozejrzał się wkoło i znowu skierował wzrok na Grimma. — Czy rozmawiam z Francisem Madisonem Grimmem? Kapitanem *Niebezpiecznego*?

Grimm poczuł, że mięśnie jego ramion napięły się nagle.

- Byłym pełniącym obowiązki kapitana, sir. Tak, to ja.

~ Słyszałem, że Admiralicja złamała twój miecz. Za tchórzostwo.

Z ust Kettle'a wyrwało się warknięcie.

Esterbrook uniósł wzrok, spoglądając na pilota. Potem znowu zwrócił się ku Grimmowi, wyraźnie czekając na odpowiedź.

-To prawda - przyznał kapitan.

- Ale poprowadziłeś atak na umocnione pozycje piechoty powietrznej. Z jedną ręką na temblaku - zauważył Esterbrook, odsłaniając zęby.

- To było konieczne - odparł Grimm. - Wszyscy służymy, sir. Ale niektórym z nas przypada w udziale więcej chwały niż innym.

Genetyczny wojownik zastanawiał się przez chwilę nad różnymi implikacjami słów Grimma.

- W porządku - rzekł wreszcie. - Admiralicja znowu ma głowę w tylnej części ciała.

Kapitan uniósł brwi, ale nie skomentował tego ani słowem. Za jego plecami Creedy wydał krzykiem rozkaz i ocalali aeronauci zaczęli się zbierać. Pojawił się Bagen, a także dwóch innych mężczyzn zachowujących się z pewnością siebie oraz skupieniem charakterystycznymi dla lekarzy w czasie kryzysu. Ludzie Grimma otrzymali opiekę. Poczuł, że ucisk w jego piersi zelżał, jakby nagle pękły krępujące ją ciasno rzemienie.

- Przygotowujecie się do wymarszu? - zapytał Esterbrook, spoglądając na gromadzących się ludzi.

- Nie wierzę, by kryształowa kadziownia była jedynym celem nieprzyjaciela - odparł Grimm. - Nie sądzę też, by ludzie, których przed chwilą pokonaliśmy, działali sami. Sprawiali wrażenie, że czekają na posiłki.

Esterbrook skinął głową.

- Też tak pomyślałem. Zaproponowałbym, że wyślę z wami kilku ludzi, ale...

- Kadziownię może zaatakować kolejny oddział, a ty masz obowiązki wobec Domu Lancasterów - przerwał mu Grimm. - Albion nie może stracić kadziowni. Zostawię tu drużynę, żeby was wspierała, dopóki nie zjawi się piechota powietrzna albo prawdziwi gwardziści.

Esterbrook skinął krótko głową.

- Jestem ci wdzięczny, kapitanie. Ja również mam rannych. Dokąd teraz zmierzacie?

- Mam zamiar sprawdzić obwód atrium i...

Nagle, bez ostrzeżenia, mur ogrodu przeskoczył rudy kocur. Zwierzę natychmiast popędziło ku nim. Kettle zakrzyknął z zaskoczenia, odruchowo sięgającą dłonią po miecz. Kot podbiegł do Esterbrooka i zatrzymał się tuż przed nim, wydając z siebie przeciągły, gardłowy dźwięk przypominający odgłosy żucia.

Genetyczny wojownik spojrzał na zwierzę, unosząc rękę.

- Chwileczkę, chwileczkę, mów wolniej.

Kot skakał w przód i w tył na sztywnych łapach, jakby ledwie mógł się powstrzymać przed ponownym zerwaniem się do biegu. Strumień podekscytowanych kocich dźwięków nie milkł ani na chwilę.

- Czy to zwierzę oszalało, sir? - zapytał Kettle.

- Nie sądzę - odparł Grimm. - Panie Esterbrook, rozumiesz, co mówi?

-Tylko trochę znam koci - przyznał genetyczny wojownik. - Rozumiem „niebezpieczeństwo” i „pomoc”. - Pokręcił głową. - Jakie niebezpieczeństwo? Kto potrzebuje pomocy?

- Chwileczkę - wtrącił Kettle. - Wiem, że to zmyślne zwierzaki, ale... czy chcecie zasugerować, że one naprawdę umieją mówić?

Kocur zakręcił dwa szalone kręgi, a potem podbiegł do trupa aurorańskiego żołnierza ubranego w skradziony mundur. Zatrzymał się, żeby mieć pewność, że wszyscy go widzą, a potem demonstracyjnie uderzył łapą w pierś zabitego, sycząc głośno.

-Jest ich więcej? - zapytał Esterbrook. - Takich jak ten?

Kot wydał z siebie kolejny dźwięk. Grimm mógłby przysiąc, że to przesadne potwierdzenie.

- Miłosierni Budowniczości - wydyszał Kettle. - Czy ten facet nie żartuje?
- Mój bosman na *Niebezpiecznym* miał kota - odparł Grimm. - Małego potworka nie wolno było lekceważyć. - Spojrzał na Esterbrooka. - Znasz to stworzenie?
- Tak - potwierdził Esterbrook. - Nazywa się Rowl.
- W takim razie chyba już wiem, dokąd teraz pójdziemy - stwierdził ze spokojem Grimm.

Rowl odwrócił się nagle i spojrzał na niego ze skupieniem w szeroko otwartych oczach. Potem wydał z siebie kolejny gniewny odgłos i popędził w stronę muru otaczającego ogród. Wskoczył na jego szczyt i zatrzymał się, oglądając się za siebie.

- Panie Creedy! - zawołał Grim. - Ruszamy.
- Tak jest, sir! - odparł porucznik. - A dokąd, kapitanie?

Rowl zeskoczył z muru i popędził w mrok. Po trzydziestu jardach zatrzymał się i znowu spojrzał za siebie.

Grimm i Kettle ruszyli naprzód.

- Szybki marsz, panie Creedy. Idziemy za kotem.

ROZDZIAŁ 16

Kasztel Albion, Kondygnacja Poranka, przewody wentylacyjne

Bridget nigdy właściwie nie zastanawiała się zbytnio nad tym, jakby to było, gdyby dostała się do niewoli i nieprzyjaciel dosłownie trzymał ją za gardło, grożąc wyciśnięciem z niej życia. Była jednak pewna, że nigdy nie przyszło-by jej do głowy, iż to doświadczenie okaże się przede wszystkim nudne.

W pierwszej chwili zawładnęły nią niepewność i strach, ale podczas przeciągającej się sytuacji patowej, do której doszło później, czuła się w coraz większym stopniu znieważona i upokorzona. Okazała się okropnie głupia. Pozwoliła, by nieprzyjaciel wziął ją do niewoli i wykorzystał przeciwko jej kasztelowi. I to na oczach Benedicta.

Aurorański genetyczny wojownik, Ciriaco, przyciskał ją mocno do piersi. Jedną ręką obejmował Bridget w talii, a drugą zaciskał na jej gardle. Miała nadzieję, że zdoła go zaskoczyć i rzucić nim na podłogę, ale gdy tylko spróbowała się poruszyć, zaciskał mocniej rękę, całkowicie odcinając Bridget dopływ powietrza.

Po kilku minutach pełnego napięcia milczenia dziewczyna odwróciła nieco głowę, by widzieć choć część twarzy Auroranina.

- Chciałabym ci powiedzieć, że trzymasz mnie w bardzo niewygodnej pozycji - oznajmiła. - Za chwilę złapią mnie kurcze w plecach, a wtedy nie będę w stanie pozostać nieruchoma.

- Jestem pewien, że będą cię oplakiwać - odparł Auroranin, wzmacniając na chwilę uścisk na jej gardle.

Benedict, który nie spuszczał z niego wzroku, wydał z siebie ciche, całkowicie nieludzkie warknięcie.

- Ostrożnie, chłopcze — wycedził Ciriaco. — Jeśli stracisz teraz panowanie nad sobą, to nie skończy się dobrze dla nikogo z nas.

- Mówię poważnie - ciągnęła Bridget. - Zaczną się kurcze, a potem spazmy. Zabijesz mnie z tego powodu, a wtedy moi przyjaciele z pewnością cię zaatakują i sytuacja się pogorszy.

- Można by nawet powiedzieć, że pogorszy się eksplozywnie - odezwała się Gwen, która nadal leżała na podłodze, celując z rękawicy w leżące na noszach ładunki.

Auroranin uśmiechnął się na te słowa.

- Do licha, lubię odważne kobiety. Ale doświadczenie nauczyło mnie, że jeśli jeńcy próbują coś zrobić, to znaczy, że chcą uciec albo mnie zabić. Dlatego nie wolno ustępować nawet o cal.

-Jest jeszcze jedna opcja, której nie uwzględniłeś — zauważyła Bridget.

- A mianowicie?

- Zabierzcie mnie ze sobą, zostawcie tu ładunki i odejdźcie.

- Nonsens - sprzeciwiła się Gwen.

- Panno Lancaster - odpowiedziała Bridget z wyraźną irytacją i przy tym dość głośno. - Czy mogłabyś wreszcie przestać mi pomagać? Jedyne rozwiązanie, jakie masz do zaproponowania, nieuchronnie prowadzi do śmierci wszystkich w tym tunelu. Czemu nie pozwolisz mi znaleźć czegoś mniej morderczego?

Ciriaco zachichotał niemal melodyjnie. Bridget poczuła jego oddech na kręgosłupie.

- Słucham? Dlaczego miałbym zrobić coś takiego?
- Dlatego, że to pozwala rozwiązać kryzys i zminimalizować starty.
- Potrzebuję tych ładunków.

-Nie dostaniesz ich - oznajmiła bez ogródek Bridget. - W niemal wszystkich możliwych scenariuszach materiały wybuchowe są dla ciebie stracone. Jeśli zjawią się nasze posiłki, nie dostaniesz ich. Jeśli przybędą wasi ludzie, nie dostaniesz nic, chyba że komuś uda się bezbłędny strzał, zanim moja towarzyszka się zorientuje co się dzieje. Jeśli nikt się nie zjawi, nie dostaniesz ich. Jeśli złapią mnie kurcze w plecach i wydarzenia potoczą się zgodnie z oczekiwaniami, nie dostaniesz ich.

Auroranin mruknął złowieszczo.

-Wyobraź sobie jednak, że się wycofacie, zabierając mnie ze sobą. Groźba dla mojego życia powstrzyma moich przyjaciół przed otworzeniem do was ognia. Nie będą was też ścigać. Jeśli zostawicie tu ładunki, nie będą mieli innego wyboru, jak zostać tu i ich pilnować, żebyście nie mogli ich wykorzystać w swoich planach.

-Jeśli stracę ładunki, to jaka w tym korzyść dla mnie?

- Ocalisz życie - odparła Bridget. - I twoi ludzie również. Uciekniecie do tuneli i będziecie mogli walczyć dalej.

Ciriaco mruknął na znak zrozumienia.

- A co ty z tego będziesz miała?

-Nie uda się wam wysadzić tego, co planowaliście zniszczyć - odpowiedziała. - I dwoje moich przyjaciół ocali życie.

- Ale co ty będziesz z tego miała? - warknął.

- Zapewne zgwałcicie mnie i zamordujecie - odparła. - Ale ponieważ nie mam na to żadnego wpływu, nie ma sensu się nad tym zastanawiać. Wszystko to jest dla mnie nowe, sierzancie, ale mam wrażenie, że stanie w miejscu i czekanie na to, że jakiś żołnierz, który może się zjawić albo nie, podkradnie się do nas niepostrzeżenie i trafi w odpowiedni cel już za pierwszym strzałem, to strategia o bardzo małym prawdopodobieństwie sukcesu, zwłaszcza że każda jego pomyłka albo błędna decyzja spowodowałaby, że wszyscy zginą w wybuchu. Natomiast moja propozycja gwarantuje, że odejdziecie stąd żywi i w przyszłości będziecie mogli wynegocjować lepsze warunki poddania się albo nawet uciec z Albionu.

Jeden z pozostałych żołnierzy najwyraźniej znał albioński, ponieważ przeniósł wzrok z Bridget na Ciriaca i powiedział coś z napięciem w głosie. Genetyczny wojownik warknął w odpowiedzi, krótko i gwałtownie.

- Proszę bardzo, przedyskutujcie to - zgodziła się Bridget. - Im więcej będziemy rozmawiać, tym większa szansa, że znajdziemy jakieś rozwiązanie.

A także większa szansa, że Rowl znajdzie własne, pomyślała Bridget. Miała nadzieję, że kot okaże się zbyt rozsądny, by spróbować samotnego ataku z zaskoczenia.

- Sierzancie, z pewnością rozumiesz, że...

Ciriaco ponownie zacisnął palce, odcinając jej dopływ powietrza.

- Naprawdę lubicie brzmienie własnego głosu, co? Muszę pomyśleć. - Nie ujęła tego dobrze - odezwał się Benedict cichym, twardym głosem. - Ale ma rację. Na czymkolwiek mogło polegać wasze zadanie, macie już niewielkie szanse wykonania go zgodnie z planem. A im dłużej tu siedzimy, tym większa szansa, że nam wszystkim wydarzy się coś złego.

- Coś mi mówi, że nie będziesz tu siedział spokojnie, podczas gdy ja odejdę z dziewczyną.

- To zależy - odparł Benedict.

- Od czego?

- Od tego, co się z nią stanie. Jeśli będziecie ją traktowali z szacunkiem i wypuścicie ją bez szkody,

to wszyscy tu jesteście żołnierzami.

- A jeśli tego nie zrobię?

Benedict umilkł na chwilę.

- To będzie sprawa osobista - odrzekł wreszcie.

Bridget, która podczas tej rozmowy nie była w stanie oddychać, zacisnęła palce na przedramieniu Auroranina, jakby próbowała zastosować jeden z chwytów, których uczył ją Benedict.

- Hmm? — mruknął Ciriaco. — Ach, tak — dodał po chwili.

Rozluźnił palce i dziewczyna mogła zaczerpnąć oddechu. Ten ruch przesunął w minimalnym stopniu jej środek ciężkości.

Ciriaco jęknął z bólu, tak cicho, że Bridget myślała przez chwilę, że to tylko wytwór jej wyobraźni.

Zamarła w bezruchu, zastanawiając się nad tym. Tak jest, impuls z rękawicy zranił Auroranina w bark. Nadal czuła smród zwęglonej tkaniny i czegoś, co mogło być przypalonym ciałem. Rana była na tyle bolesna, że Ciriaco bał się rzucić Benedictowi wyzwanie w otwartej walce. W gruncie rzeczy, gdy już się nad tym zastanowiła, uświadomiła sobie, że Auroranin wcale nie unieruchomił jej zbyt skutecznie. Kilka tygodni szkolenia nie czyniło jej mistrzynią, zdawała sobie jednak sprawę, że byłoby mu znacznie łatwiej, gdyby trzymał ją prawą ręką, uwalniając tę, na której miał rękawicę. On jednak otaczał ją w talii lewą ręką i to szczególnie mocno.

Dlaczego? Najwyraźniej nie mógł inaczej. Być może w ogóle nie był w stanie unieść ręki. To by tłumaczyło, dlaczego nie pozwalał jej na zmianę pozycji. Lewą rękę mógł mieć zdecydowanie słabszą, niż starał się przekonać dziewczynę, a Bridget była wysoka, i gdyby się wyprostowała, ucisk na jej gardle mógłby osłabnąć. Co prawda palce jego prawej dłoni miażdżyły jej tchawicę z siłą imadła i z pewnością mógłby ją nimi zabić - albo przekonać, by nie poddawała próbie siły jego lewej ręki.

Uświadomiła sobie, że jednak może mieć szansę ucieczki. Wszystko zależało od determinacji Auroranina. Czy był naprawdę zdecydowany ją zabić?

- Albionczyku - odezwał się Ciriaco - niech ci się nie zdaje, że boję się twoich gróźb.

- Jeśli się nie boisz, wypuść dziewczynę - zasugerował Benedict.

- Jestem nieustraszony, ale nie głupi - odparł z ironią Ciriaco. - A choć rozsądnie byłoby zaakceptować jej propozycję, tego również nie zrobię.

- A to dlaczego? - zapytała Bridget, ponownie zwracając ku niemu głowę.

- Dlatego, że jestem wiernym synem Aurory - oświadczył Ciriaco. - I mam obowiązek do wykonania. Zrobię to albo zginę. Młoda damo - dodał łagodniejszym tonem — jakkolwiek to się skończy, wiedz, że gdybyśmy cię zabrali, osobiście wyprułbym flaki każdemu, kto odważyłby się cię dotknąć. A gdybyś musiała umrzeć, zadbałbym, by stało się to szybko i czysto.

- Krótko mówiąc, nie jesteś gwałcicielem, ale jesteś mordercą.

- Celnie to ujęłaś.

W jego głosie zabrzmiała czysta szczerść. To znaczyło, że lepiej będzie zostawić próbę wykorzystania słabości jego lewej ręki na chwilę, gdy już nie zostanie żadne inne wyjście, nawet jeśli plecy znowu zaczęły ją boleć i obawiała się, że szybko zbliża się kres jej wytrzymałości.

Obie grupy pograżyły się na chwilę w nerwowym, wyczerpującym milczeniu. Potem w mrocznym korytarzu poniósł się echem niesamowity głos kota.

- Małamyszko, nadchodzi pomoc - odezwał się Rowl.

Ciriaco naprężył nagle mięśnie i spojrzał w obie strony korytarza, jakby wypatrywał źródła głosu, ale nawet bystry wzrok genetycznego wojownika nie mógł wnikać zbyt głęboko w ciemność z małego dobrze oświetlonego obszaru.

- To może być wasza ostatnia szansa, sierzancie - ostrzegła go Bridget. - Wycofajcie się.

Z piersi Ciriaca wydobyło się warknięcie.

- Koty to małe wredne szkodniki, ale ich również się nie boję.

Kilku innych Auroran zaczęło coś mówić w swym ojczystym języku. Szybka i zwięzła wymiana słów zakończył Ciriaco, wypowiadając warkliwym tonem tę samą frazę, co przed chwilą. Nagle otworzył szeroko oczy i wydał kolejny rozkaz. Auroranie popatrzyli na siebie nawzajem, ale unieśli przed siebie rękawice i zaczęli się wycofywać w tę samą stronę, z której przyszli.

- Zostań ze mną - rzekł cicho Ciriaco. - Albiończyku, podejdź do swej małej przyjaciółki.

Wycofujemy się.

Benedict przymrużył powieki, lecz nagle rozszerzył nozdrza i skinął głową, jakby coś zrozumiał. Przesunął się o kilka kroków i stanął obok Gwen.

- Pamiętaj o naszej pierwszej lekcji - powiedział, spoglądając na Bridget.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

Ucząc ją, bardzo często powtarzał, że najpierw trzeba się nauczyć upadać.

Oczywiście... to wcale nie była pierwsza lekcja, prawda?

To zakrawało na samobójstwo, ale... być może Benedict lepiej od niej znał się na tych sprawach.

Choć serce biło jej szybko z przerażenia, Bridget zaczęła działać. Wsparła się mocno na nogach i zacisnęła dłonie na prawym przedramieniu Ciriaca. Potem pochyliła się z całej siły, zupełnie jak wtedy, gdy przerzucała przez ramię wielki połec wołowiny.

Doszło do różnych wydarzeń, bardzo szybko, jednego po drugim.

Najpierw na jej szyi zacisnęło się coś, co przypominało płonąca obręcz. Ciriaco nie był nowicjuszem w walce i zamiast dać się rzucić przez ramię, zrobił szybko parę kroków, okrążył Bridget i w rezultacie zdołała jedynie unieść go kilka cali nad podłogę.

Gdy tylko poczuła, że jego ciężar przenosi się na jej nogi, przesunęła się do tyłu z maksymalnym impetem i uderzyła rannym ramieniem Ciriaca o ścianę z kasztelowego kamienia, przyciskając go do niej swoim ciałem. Zaskoczony mężczyzna warknął z bólu. Śmiercionośny ucisk na jej gardle zelżał.

Skwiercząca lanca eterycznej energii przeszła pole widzenia Bridget, trafiając jednego z aurorańskich żołnierzy prosto w głowę. Mężczyzna runął na ziemię i znieruchomiał. Pół uderzenia serca później nadeszły trzy kolejne impulsy. A choć dwa były niecelne, trzeci trafił drugiego z nieprzyjaciół w udo. Noga załamała się pod nim i mężczyzna padł na podłogę.

Choć Bridget wyęczała mięśnie jak tylko mogła, nie miała szans w konfrontacji z kamienną siłą genetycznego wojownika. Obie jej ręce nie wystarczyły, by obezwładnić jedną jego kończynę.

Dlatego nie przestawała tłuc jego rannym barkiem o ścianę, i skupiła siłę obu swych rąk na jednym z jego palców, odciągając go brutalnie do tyłu.

Ciriaco zaklął z wściekłością. Bridget nagle przeszła powietrze i uderzyła o przeciwległą ścianę tunelu. To było naprawdę zdumiewające doświadczenie, zwłaszcza jego nagły koniec. Jej ręce i nogi przestały funkcjonować prawidłowo. Odbiła się od ściany i poczuła, że spada. Nie była w stanie oddychać.

Wylądowała na podłodze. Oba kryształy wykorzystywane przez Auroran jako źródła światła, zgasły nagle. Zapadła ciemność, mącona jedynie oślepiającymi rozbłyskami eterycznego blasku.

Bridget z jakichś powodów czuła się dobrze na chłodnej podłodze i nie miała nic przeciwko temu, by na niej pozostać. Irytujące rozbłyski wreszcie się skończyły i po chwili poczuła nos Rowla, muskający jej policzek. Poruszyła z wysiłkiem ręką, by go upewnić, że wszystko z nią w porządku.

Nagle usłyszała głosy. W tunelu zapaliło się światło. Pojawili się liczni mężczyźni o ogorzałych twarzach, mający na sobie sfatygowane stroje i dziwne ciężkie tuniki. Wszyscy mieli miecze i rękawice, pomijając tylko czterech, którzy nieśli długie strzelby o błyszczących, miedzianych zwojach. Ich przegrzane lufy buchały parą. Najwyraźniej cała woda w małych zbiorniczkach się wygotowała.

Bridget wypatrzyła w środku grupy mężczyznę, w którym natychmiast rozpoznała ich dowódcę. Był przeciętnego wzrostu, miał na sobie połatany, składający się z niedobraných elementów garnitur, a jedna z jego rąk spoczywała na temblaku, ale na marynarce miał ślady po ogniu rękawic, a krew, która go

zbrzydła, nie wyglądała na jego własną. Poruszał się z niezachwianą świadomością celu i niczym niezmaconym skupieniem. Otaczający go ludzie bezgłośnie okazywali mu szacunek, jakiego nie można wyrazić słowami.

- Świetny strzał, panie Stern - rzekł, rozejrzawszy się szybko wokół. Niski szczupły mężczyzna trzymający w rękach długą strzelbę dotknął palcami wyimaginowanej czapki.

-To Baker strzelił najlepiej, sir. Trafił w nogę. Mamy jeńca, z którym będziemy mogli pogadać,

- Dobra robota. Zajmij się nim.

-Tak jest, kapitanie.

Dowódca odwrócił się i podszedł do Bridget.

Rowl natychmiast usiadł na jej piersi, przymrużył oczy i warknął cicho na zbliżającego się człowieka.

-Wybacz - rzekł do kota mężczyzna - ale chciałeś, żebym jej pomógł, tak?

Rowl jeszcze bardziej przymrużył oczy.

- Możesz wstać, młoda damo? - zapytał dowódca, wyciągając rękę do dziewczyny.

Bridget szepnęła uspokajająco do Rowla, ujęła dłoń mężczyzny i podniosła się powoli, biorąc kota pod drugą rękę.

-Tak. Dziękuję za ratunek.

Mówienie sprawiało jej ból.

Dowódca pochylił uprzejmie głowę.

- Nazywam się Grimm. - Spojrzał na wysokiego i przystojnego młodzieńca, który pomagał wstać Gwen. - Panie Creedy, wyznacz ludzi, którzy zajmą się tymi ładunkami.

-Tak jest, kapitanie - odparł młodszy mężczyzna.

Wtem Bridget zakręciło się lekko w głowie.

Benedict znalazł się u jej boku, i ujął ją jedną ręką za łokieć, by dopomóc w zachowaniu równowagi.

- Co się stało z Auroranami? - zapytała dziewczyna.

- Skorzystali z twojej rady. Tyle że cię nie porwali, z czego z pewnością bardzo się cieszę.

- Chciałam go podnieść i rzucić, jak mi kazałeś - oznajmiła. - Ale nie udało się. Przykro mi.

Benedict uniósł brwi.

- A więc tak mnie zrozumiałaś... nie, nie. Gdy tylko Rowl wrócił, domyśliłem się, że zbliżają się kapitan Grimm i jego ludzie. Uświadomiłem sobie, że zaraz zagrozi ci ogień krzyżowy. Dlatego chciałem, żebyś upadła.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Och... Spoglądając wstecz, to wydaje się oczywiste, jeśli tak to ujmujesz.

Benedict uniósł delikatnie podbródek dziewczyny, obejmując go dwoma palcami, i przyjrzał się jej szyi.

- Muszę przyznać, że tego z pewnością się nie spodziewałem - rzekł, dotykając delikatnie jej gardła koniuszkami palców.

- Au - poskarżyła się ze spokojem.

- Musisz to pokazać lekarzowi — stwierdził Benedict z niepokojeni w głosie.

Przykucnięta przy Barnabusie Gwen uniosła wzrok.

- On również potrzebuje lekarza — oznajmiła. — Chyba jest nieprzytomny - Wstała i podeszła do Grimma. — Kapitanie, czy mógłbyś nam przydzielić jakichś ludzi, którzy pomogliby naszym rannym?

- Oczywiście, młoda damo — zapewnił Grimm, pochylając lekko głowę. - Każę ich zanieść do Domu Lancasterów, gdzie otrzymali opiekę moi ludzie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Gwen uniosła nagle brwi.

- Może być - zgodziła się.

- Panie Creedy - odezwał się Grimm. - Weź ze sobą drużynę i odprowadź cywili w bezpieczne miejsce, a jeńców i materiały wybuchowe przekaz komuś odpowiedniemu. Ja nadal będę patrolował

teren. Spotkamy się w Domu Lancasterów. Panie Stern, proszę zająć pozycję na przedzie.

Większość aeronautów i ich kapitan zniknęli równie szybko, jak się zjawili.

Wysoki młody mężczyzna pokierował załadowaniem materiałów wybuchowych z powrotem na nosze, po czym wyznaczył ludzi, którzy mieli je nieść, i upewnił się, że aurorański jeniec nie wykrwawi się na śmierć ani nie ucieknie. Na koniec zwrócił się ku nim.

- Chodźcie ze mną, jeśli łaska. Nie powinniśmy zwlekać tu zbyt długo, dopóki się nie upewnimy że nie ma tu więcej nieprzyjaciół.

Bridget nadal czuła się nieco zdezorientowana.

- Benedykcie - odezwała się. - Wybacz, ale... nie rozumiem. Czy walka już się skończyła?

Zachmurzył się.

- Nie - odparł cicho. - Obawiam się, że dopiero się zaczęła.

ROZDZIAŁ 17

Kasztel Albion, Kondygnacja Poranka, dom mistrza Ferusa

Folly siedziała na łóżku na stryszku nad biblioteką swego mistrza. Zalewał ją zimny pot. Serce biło jej mocno, oddychała ciężko. Przez chwilę milczała, pogrążona w otępieniu. Przerazenie wypełniało powietrze wokół niej kwaśnymi miazmatami. Rzecz jasna nie mogłaby wykryć tego nosem, choćby miała nie wiadomo jak dobry węch, zawsze jednak odnosiła wrażenie, że w jakiś sposób wyczuwa ten smród.

- Nauczycielu! - zawołała. — Chyba znowu miałam sen.

- Złapałaś go? — odkrzyknął jej mistrz. — Jeśli nie, powiedziałbym, że to raczej sen miał ciebie.

Folly usiadła i rozejrzała się po stryszku. Spore stosy słoików wypełnionych mało używanymi kryształami luminowymi — nie potrafiła zrozumieć, dlaczego kryształy niereagujące już na wolę przeciętnego człowieka nazywa się „wypalonymi” - wypełniały pomieszczenie delikatną akwamarynową poświatą. Odwróciła się, by sprawdzić pułapkę na sny.

Między dwoma stosami słoików znajdowała się sieć w kształcie leja, utkana z pojedynczych nici eterycznego jedwabiu. Folly sprawdziła sieć i małą klatkę eteryczną u wąskiego końca leja, zbudowaną z neutralnego kryształu otoczonego miedzianym drutem.

Pomyślała, że szczęśliwie się złożyło, że została uczennicą eteryka, ponieważ świetnie się nadawała na pająka naprawczego. W sieciowym leju były dziesiątki luźno zwisających nici. Niektóre oddzieliły się nawet całkowicie, a ich luźne końce odsuwały się od jej palców, gdy próbowała je musnąć. Lej zrobił się asymetryczny, jego kręgi nie zamykały się w równe) spirali, a w kilku miejscach — gdzie nie zaplotła porządnym węzłów i nie użyła kleju we właściwy sposób - pojawiły się wręcz wyraźne wypukłości.

Pomyślała jednak, że to wcale nie musi znaczyć, że jej sieć jest zła, zwłaszcza jak na kogoś, kto nie otrzymał szansy nauki dawanej każdemu pająkowi.

Mały kryształ zamknięty w klatce eterycznej lśnił posępny blaskiem o barwie płomienia.

- Chyba jestem niezłym pająkiem samoukiem - zawołała do Ferusa.

- Zawsze miałem nadzieję, że na takiego wyrośniesz - odparł jej mistrz. Jego krzesło ze zgrzytem przesunęło się po podłodze. Usłyszała kroki na drabinie prowadzącej na stryszek. Szczebel zatrzeszczał pod jego ciężarem, gdy Ferus wszedł na górę i przyjrzał się jej pułapce.

- Na Budowniczych, Folly! Jest z ciebie cudowna mała łapaczka komarów!

Uśmiechnęła się i podskoczyła lekko, słysząc te słowa. Sięgnęła po klatkę. Małe ustrojstwo pośpiesznie odsunęło się od jej wyciągniętej ręki. Kryształ szarpał się w miedzianej klatce, bzycał i wibrował jak rozgniewana osa. Folly zamrugała kilkakrotnie i cofnęła palce, przypominając sobie nieprzyjemne relacje łączące niektóre pająki z pewnymi osami.

- Ach! - Ferus zachichotał. - Ach, udało ci się. Tak też myślałem!

- Przed chwilą ci to powiedziałam, nauczycielu - zauważyła Folly.

- Nie chodziło mi o ciebie - odparł Ferus z irytacją w głosie. - Mówiłem o Nieprzyjacielu.

Folly przechyliła głowę, przyglądając się miedzianej klateczce.

- Zatem istnieje Nieprzyjaciel?

- Boże w Niebiosach, tak - zapewnił Ferus. - Jestem pewien, że ci o tym mówiłem. Wyraźnie to

sobie przypominam.

- Może to było jutro, nauczycielu.

- Niewykluczone - przyznał Ferus. - Ale, tak jest, Nieprzyjaciel przez duże „N”.

- Jeśli ktoś już musi mieć Nieprzyjaciela, dobrze by było, żeby ten Nieprzyjaciel zasługiwał na szacunek. A co z tym snem? Czy to wiadomość, którą wysłał?

- Podejrzewam, że to raczej coś, co Folly odebrała — odparł Ferus. — Podaj go nam. Przyjrzymy się mu.

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę nad tym problemem, po czym przesunęła rękę pod miedzianą klatką i uniosła ją po drugiej stronie.

Kryształ znowu zaczął bzyczyć, odsuwając się od niej. Zapędziła go aż na koniec stryszku i Ferus zręcznie złapał go w locie.

- Znakomicie - rzekł stary eteryk pełnym zadowolenia tonem, po czym pochylił się nad kryształem. - Sprawdzimy, co wypełnia twoje myśli, hę?

Jej oczy rozbłysły na chwilę. Potem staruszek ucichł, wpatrując się w kryształ.

Folly wstała z łóżka i zdjęła nocne ubranie, po czym włożyła takie, jakie wydawało się jej odpowiednie na dziś: czerwoną pończochę, szarą pończochę w niebieskie ciapki, prostą sukienkę z żółtej bawełny oraz tuzin jaskrawych chustek, które owiązała sobie jedna nad drugą wokół obu ramion, zaciągając węzły zębami. Następnie włożyła pas na pistolety, pomijając niegodną zaufania broń, a kabury wypełniła małymi woreczkami z siatki, pełnymi małych, ledwie świecących kryształów eterycznych. Nie były przyzwyczajone, by nosić je w ten sposób, ale pomyślała sobie, że to będzie dla nich dobrą nauką. Uzupełniła jeszcze strój kilkoma dalszymi chustkami, które owiązała wokół szyi, oraz jedną długą, robioną na drutach, którą włożyła na głowę. Była bardzo ciepła, ale Folly pomyślała, że będzie odpowiednia na dziś. Gdy już skończyła się ubierać, poczuła się znacznie lepiej.

Ledwie zdążyła włożyć ubranie, usiąść i zacząć mówić „dzień dobry” wszystkim swoim kryształkom, gdy jej mistrz wydał z siebie przeciągłe westchnienie i odstawił eteryczną klatkę z jej ponurym krystalicznym sercem. Wyglądał okropnie. Twarz miał poszarzałą, a oczy zapadnięte.

- Nauczycielu? - zapytała Folly. Podeszła do skraju stryszku, przykucnęła obok Ferusa i wyciągnęła rękę, dotykając jego czoła. Było gorące. - Co zobaczyłeś?

- To zaiste wiadomość - stwierdził. - Nie sen i nie eteryczne echo, dziewczyno. Jestem o tym przekonany.

Folly zamrugała.

- Wiadomość? Wysłana przez eter? Czy to w ogóle możliwe?

-Jeszcze przed chwilą odpowiedziałbym ci, że nie - odparł. Jego oczy nadal wpatrywały się w dal. - Najwyraźniej jednak ktoś nauczył się to robić, choć nie ulega też wątpliwości, że nie miał pojęcia, że ktoś może go podsłuchać.

- Myślisz, że podsłuchiwałam przez sen? Mam nadzieję, że to nie miała być ocena mojego charakteru, nauczycielu.

- Nie miała - zapewnił powoli. Często tak mówił, gdy jego umysł był całkowicie skupiony na jakimś zadaniu — Nie, dziecko. Koszmary, które cię ostatnio nawiedzają... słyszałaś szept... jak długo? Od dwóch tygodni?

- Mniej więcej - potwierdziła Folly. - Ale, nauczycielu, jak to możliwe, że ja je słyszałam, a ty nie?

- Bardzo celne pytanie. Zastanowię się nad tym problemem. - Zaczerpnął powoli tchu. - Swoją drogą, od jakiejś godziny jesteśmy w stanie wojny. Nie sądziłem, by warto było budzić cię z tego powodu.

-W takim przypadku mogłaby mi umknąć ta... eteryczna wiadomość - odparła z powagą Folly. - Dziwnie byłoby mieć Nieprzyjaciela, kiedy nie mamy wojny.

- Nie wyciągaj przedwczesnych wniosków - ostrzegł ją mistrz.

-W takim razie chciałabym ci zadać parę pytań, jeśli nie masz nic przeciw temu.

- To rzadko mi się zdarza.

- Mówisz, że to była wiadomość. Kto był jej adresatem?

- No właśnie, Folly. Hmm. - Ferus potarł podbródek. - Niemal z pewnością drugi eteryk.

- A czy w Kondygnacji Poranka jest ktoś taki?

Ferus pokręcił głową.

- Nie... i to już od bardzo wielu lat. Najbliższy chyba będzie Bernard Fezzig z Kondygnacji Pocieszenia. Ale, no wiesz, on jest kompletnie szalony.

Dziewczyna ostrożnie poprawiła jeden z setek słoików ze zużyтыми kryształami, który z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu wysunął się nieco z linii prostej.

- Biedaczysko.

-To zdarza się najlepszym spośród nas. - Ferus ruszył na dół po drabinie, podrzucając w dłoni uwięzioną eteryczną wiadomość. Folly zauważyła, że dziś rano zapomniał włożyć ubranie, pomijając parę grubych czarnych skarpetek oraz szlafmycę. - Intuicja coś mi podszeptuje.

- Ale czy trafnie?

- Potrzebujemy tego grymaśnego kapitana.

- Kapitana Grimma?

- Nie poprawiaj mnie. To był świadomy wybór estetyczny. Ale, tak jest, tego człowieka, który miał zakażoną rękę.

- A po co go potrzebujemy?

- Sprawiał wrażenie kompetentnego. I uprzejmego. Bardzo rzadko spotyka się kogoś, kto jest uprzejmy z właściwych powodów. — Przerwał. - Czy tu jest zimno?

- Musisz wdziąć ciepłą szatę, nauczycielu - zasugerowała nieśmiało Folly.

- Ach, tak, wiedziałem, że o czymś zapomniałem, dziecko. Dziękuję.

Jej mistrz wybrał sobie szlafrok — na podłodze biblioteki leżało ich kilkanaście, zrzuconych w ciągu ostatnich tygodni w chwilach roztargnienia -i włożył go na lewą stronę. Był bardzo zajęty myśleniem. Folly potrafiła to odczytać z zarysu jego żuchwy. W takim stanie ducha całe szczęście, że trafił rękami w otwory rękawów.

Folly dotknęła kolejno wszystkich słoików z kryształkami i zeszła ostrożnie na dół. W połowie drogi przez pomieszczenie usłyszała ostry, donośny łoskot dobiegający z korytarza wejściowego.

Ferus zwrócił gwałtownie głowę w tamtą stronę. Jego błyszczące, rozgorączkowane oczy spoglądały szaleńczo to w tę, to w tamtą. Uniósł lewą rękę, wskazując palcem.

- Folly pod ścianę - rozkazał gładkim jak jedwab głosem. - Trzymaj się nisko.

Posłuchała go pośpiesznie. Kiedy mistrz tak szybko przeglądał tak wiele przyszłości i przemawiał tym głosem, tylko głupiec mógłby się mu sprzeciwić. Przykucnęła, trzymając stopy pod sobą, na wypadek, gdyby musiała zerwać się do biegu, i sięgnęła do kabur, by pogłaskać uspokajająco kryształki na wypadek, gdyby się wystraszyły.

Ferus skinął głową i tym razem uniósł prawą rękę. Kryształ na końcu jego laski zadzwieczał cicho, gdy eteryk wysłał ze swych palców impuls energii. Przynajmniej uniósł się z gracją w powietrze i przepląnął do jego ręki.

W tej samej chwili drzwi biblioteki otworzyły się z trzaskiem i do pomieszczenia wpadło trzech mężczyzn w mundurach przypominających te, które nosiła Gwardia Kasztelana. Mieli też ze sobą przeróżny żołnierski ekwipunek, łącznie z rękawicami i mieczami. Jeden z nich trzymał w rękach topór, którym przed chwilą rozwalił piękne drewniane drzwi. Dwaj pozostali szybko ruszyli naprzód, unosząc świecące jasno rękawice. Wystrzelili z nich w odstępie sekundy raz za razem i bibliotekę wypełnił blask impulsów energii, mających rozerwać staruszkę na strzępy.

Folly skrzywiła się, czując coś, co zapewne było litością dla biednych głupców.

Ferus po prostu uniósł laskę. Kryształ na jej końcu pochłonął śmiertelne impulsy eterycznej energii, jak gąbka pochłania wodę. Staruszek wysunął laskę do przodu i kryształ wyssał całą energię z obu rękawic w jednym ciągłym impulsie.

Rękawice nie były przystosowane do tego typu nieprzerwanego wypływu energii i bardzo szybko zaczęły się przegrzewać. Miedziane druty oplatające przedramię użytkownika, które służyły jako klatka dla kryształów bojowych, zaczęły się tlić, a wkrótce potem rozżarzyły się do czerwoności. Obaj mężczyźni padli na podłogę, krzycząc żałośnie. Szarpali się z rzemieniami i sprzączkami, próbując je rozpiąć, ale tylko poparzyli sobie koniuszki palców prawych rąk.

Trzeci mężczyzna spojrział na dwóch towarzyszy i wykazał się odrobiną inteligencji. Zdjął szybko rękawicę i cisnął ją na podłogę. Potem jednak zmarnował cały wysiłek swego mózgu, wyciągając powleczone miedzią miecz i ruszając w stronę Ferusa. Miecz dzierżył w jednej ręce, a topór w drugiej.

Zniecierpliwiony eteryk pokręcił głową, uniósł laskę i wystrzelił migotliwy impuls gorącego blasku, który przemknął przez pomieszczenie krętą, nieprzewidywalną trasą, okrążając kolumnę, przemykając pod stołem i przełaząc przez kilka stert książek, nim wreszcie uderzył w ciężką, powleczone miedzią głownię topora. Napastnik pisnął z bólu i wypuścił broń. Potem spojrział na eteryka, wybałuszając szeroko oczy.

- Jesteś tu intruzem - rzekł mu spokojnie Ferus. - Zwiewaj, dopóki możesz.

Mężczyzna oblizwał wargi i obejrzał się za siebie. Jego ranni towarzysze zdołali ściągnąć rękawice z rąk i wydobyli krótkie, proste miecze. Ponownie spojrział na starego mistrza, obnażając zęby.

- Nie rób tego — ostrzegł go Ferus łagodniejszym tonem. - Proszę. Na tej drodze czeka cię zbyt wiele bólu.

Dwaj pozostali napastnicy wstali z podłogi. Trzeci zaczerpnął głęboko tchu.

- Folly - rozkazał jej mistrz. - Zamknij oczy.

Dziewczyna posłuchała go natychmiast.

Napastnik wydał z siebie gardłowy krzyk. Potem nastąpiła seria syczących odgłosów oraz chór wrzasków.

A później krzyki bólu.

I cisza.

I smród spalonego mięsa.

Folly przełknęła ślinę i wstała powoli. Otworzyła jedno oko, a potem drugie. W końcu mistrz nie mówił, że ma je trzymać zamknięte już zawsze.

Nie ucierpiał nawet w najmniejszym stopniu. Stał w tym samym miejscu, co przedtem, pochylając głowę. Kryształ jego laski znowu pociemniał. Ferus wspierał ją o podłogę, jakby instrument zrobił się nagle za ciężki, by go utrzymać.

Dziewczyna nie patrzyła na to, co zostało po intruzach przebranych za gwardzistów. To było niepokojące, a ona była już u kresu swych możliwości jako pająka. Nie potrzebowała dalszych złych snów. Bardzo uważała, żeby się nie rozpłakać, choć miała na to wielką ochotę. Mistrz cierpiał, gdy widział jej łzy, a ona wolałaby spłonąć, niż sprawić mu ból. Doznał go już tak wiele. Podeszła ku niemu i dotknęła delikatnie jego ramienia.

- Wszystko w porządku, nauczycielu?

Jego zapadnięte, znużone oczy przez długie uderzenia serca wpatrywały się w spalonych już-nie-ludzi, walających się na podłodze biblioteki.

- Czego się dzisiaj nauczyliśmy, Folly?

- Że nie powinno się używać eterycznych broni przeciwko eterykowi?

- Choć twoje słowa są w pełni prawdziwe, spodziewałem się usłyszeć inne spostrzeżenie.

- Hmm - mruknęła Folly. - Ktoś przysłał tu tych ludzi z rozkazem zabicia ciebie - odparła po chwili zastanowienia.

- Dobrze. Mów dalej.

- Musieli wiedzieć, gdzie mieszkasz. W związku z tym za atak odpowiedzialny jest ktoś, kto cię zna, albo przynajmniej o tobie słyszał.

- Zgadza się - potwierdził mistrz. - Przyznaję, że nie złapałem nawet najmniejszego skrawka tej przyszłości — dodał, mamrocząc z niepokojem-

Folly zasepiła się nagle i zmarszczyła nos. Wiedziała, że nie wyczuwa tego węchem, ale umysł informował ją o wypełniającym jej nos odorze.

Wokół Efferusa Effrenusa Ferusa, mistrza sztuki eterycznej, unosił się strach.

-Wiesz - stwierdziła dziewczyna. - Wiesz, kto ich przysłał.

—Tak sędzę.

- Kto to jest, nauczycielu?

- Dawna przyjaciółka. Przyjaciółka nieżyjąca od dziesięciu lat.

Folly zastanawiała się przez chwilę nad tymi słowami.

-To nie wydaje się prawdopodobne - stwierdziła wreszcie.

- Och, masz rację - potwierdził jej mistrz. - To całkowite szaleństwo. Niemniej to prawda.

- Nauczycielu, nie rozumiem.

- Nie ma powodu się śpieszyć - odparł bardzo cicho. - Wkrótce zrozumiesz.

Folly pochyliła lekko głowę.

- Nauczycielu?

- Słucham?

-I co teraz zrobimy?

- Przynieś, proszę, mój pojedynekowy strój. A także trzy pióra i młotek tapicerski. Przygotuj moją kolekcję. Aha, i spakuj też torbę.

-Torbę?

-Tak jest. Prowiant, ubrania, książki, takie tam rzeczy. Opuszczamy kondygnację.

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy.

- Słucham? Opuszczamy? A dokąd się udamy?

- Najpierw odwiedzimy kasztelana i przekonamy go, żeby przydzielił nam grymaśnego kapitana - odparł.

- A potem?

W oczach jej mistrza pojawiło się na moment coś mrocznego i twardego- Folly zadrżała na ten widok.

- A potem złożymy wizytę starej przyjaciółce — odparł cicho.

ROZDZIAŁ 18

Kasztel Albion, Kondygnacja Poranka, Rezydencja Kasztelana

Dwanaście godzin po zakończeniu walk Grimm pragnął jedynie wykapać się i położyć na swej koi na pokładzie *Drapieżcy*. W gruncie rzeczy, pożądał tego rozpaczliwie. Był tak zmęczony, że zaśnie na tyle głęboko, by nie mogły go dręczyć sny o ludziach poległych w walce. Odwlecze choć o jedną noc wspomnienie twarzy i kończyn, które zmiażdżono, spalono bądź zmasakrowano w pierwszej bitwie wojny, która może się okazać długa i kosztowna.

Zamiast odpocząć musieli jednak z Creedym podążyć za szczupłym podstarzałym dżentelmenem zwanym Vincentem do Rezydencji Kasztelana. Droga wiodła przez salę wejściową, a potem przez korytarz o podłodze i ścianach z wypolerowanego drewna, ozdobiony dziełami sztuki zaliczającymi się do najpiękniejszych w całym Kasztelu Albion. Według napisów wyrytych na mosiężnych plakietkach umieszczonych pod każdym dziełem były tam obrazy z oszałamiającej epoki Nowego Świtu, dwieście lat temu, rzeźby sławnego mistrza z Olimpii, McDaggeta, a także inne dzieła, niekiedy stworzone przez mało znanych artystów, żyjących współcześnie w Kasztelu Albion. Grimm przyznawał, że są piękne. Aprobował gust człowieka odpowiedzialnego za dekorację korytarza.

Vincent zaprowadził ich do pomieszczenia, które wyglądało jak gabinet. Tu również całe umeblowanie wykonano z drewna, a kryształowe zastąpił świecami. Przed wielkim biurkiem ustawiono pięć krzeseł.

Vincent wskazał na nie głową.

- Siadajcie, proszę. Kasztelan wkrótce przyjdzie.
- Oczywiście — zgodził się Grimm.

Obaj z Creedym usiedli, a Vincent wyszedł z gabinetu.

Minęły jakieś dwie, może trzy minuty, nim drzwi w tylnej ścianie gabinetu się otworzyły, i do środka wszedł kasztelan. Był mężczyzną o niezbyt imponującym wzroście, cechujący się - łagodnie rzecz ujmując - budową uczonego. Jednakże oczy lorda Albiona miały bystry i twarde wyraz, a w jego ruchach wyczuwało się celowość i energię. Grimm i Creedy wstali natychmiast, żeby go przywitać.

Albion podszedł do biurka i wyciągnął rękę do Grimma.

- Kapitanie Grimm - rzekł. — Słyszałem nadzwyczajne rzeczy o usługach, jakie wyświadczył pan kasztelowi w chwili niespodziewanego ataku.

- Panie - odparł Grimm, pochylając lekko głowę - to jest mój zastępca, porucznik Creedy.

Creedy wymamrotał coś, czego Grimm nie potrafił zrozumieć, i ucisnął dłoń kasztelana z porażoną szokiem twarzą.

- Wiem, że obaj jesteście bardzo zmęczeni - podjął Albion. - Usiądźcie proszę. Postaram się streszczać w miarę możliwości.

Usiedli, a lord Albion wsparł biodro o krawędź biurka, wlepiając w nich spokojne, oceniające spojrzenie.

- Kapitanie, obawiam się, że popełniłeś dziś poważny błąd.

- Panie? - zdziwił się Grimm.

- Dowiodłeś, że jesteś niezwykle kompetentny - wyjaśnił Albion. - Nie mogę pozwolić, by coś

takiego pozostało niezauważone.

- Nie rozumiem, panie - odparł Grimm, marszcząc brwi.

- Kapitanie, jasność myślenia, jaką wykazałeś się w obliczu bezprecedensowej katastrofy, jest rzadką cechą. Zapewne nie będzie to odpowiednia nagroda za twoje bohaterstwo, obawiam się jednak, że muszę nalegać, byś dalej służył dobru mojego kasztelu.

Grimm milczał przez chwilę. Pragnął zanurzyć się w wannie z gorącą wodą, zmyć z siebie przemoc i strach, owoce wielogodzinnych potyczek z aurorańską piechotą powietrzną. Chciało mu się spać. Czyż jego ludzie nie dali już z siebie wystarczająco wiele?

- Panie - zaczął spokojnym, miarowym głosem - ofiarowałem już w służbie Albionowi wszelkie umiejętności, jakie mogę posiadać. Kasztel wyraźnie mi oznajmił, że nie potrzebuje moich usług.

- Mówisz o incydencie z *Niebezpiecznym*, tak jest. Wiem, co się wydarzyło. Czy może raczej zarówno znam relację z tego, co się wydarzyło, jak i wiem, jak wyglądało to naprawdę. Nie musiałeś bez oporu zaakceptować wydalenia ze służby, kapitanie. Ale zrobiłeś to.

- Uznałem że tak będzie najlepiej dla Floty, panie.

- Moim zdaniem, to dyskusyjne - odparł lord Albion. - Niemniej twoje poświęcenie z pewnością było dobre dla Floty, nawet jeśli nie dla ciebie osobiście.

- Nie zaciągnąłem się po to, by służyć sobie, panie.

- Jak wszyscy najlepsi - zauważył Albion z bladym uśmiechem. - Ale twoje poprzednie trudności nie mają znaczenia, kapitanie. Rada kasztelu właśnie w tej chwili głosuje nad wnioskiem o ogłoszeniu stanu wojny z Kasztelom Aurora. Potrzebujemy wszystkich zdolnych dowódców.

- Wątpię, by Flota zechciała mnie przyjąć w jakimkolwiek charakterze, panie. - Głos Grimma miał twardość diamentu, choć wcale nie było to jego zamiarem. - Nikt nie chce współpracować z człowiekiem uznanym za tchórza.

- Ja chcę — oznajmił Albion. — Nie mówię o przywróceniu cię do służby we Flocie, kapitanie. Osobiście potrzebuję twoich usług.

Grimm uniósł brwi.

-Panie... jeśli chodzi o to, co uczyniłem dzisiaj, każdy kompetentny, profesjonalny dowódca zrobiłby na moim miejscu to samo. To jeszcze nie znaczy, że zasługuję na pozycję w twojej służbie.

- Kapitanie, być może decydowanie o tym, kto zasługuje na pozycję w służbie kasztelana, lepiej byłoby zostawić samemu kasztelanowi - zasugerował lord Albion. W jego oczach rozbłyły iskierki cichej wesołości.

Grimm przesunął się nerwowo na krześle.

- Panie... nie jestem dyplomatą, więc, jeśli pozwolisz, po prostu powiem, co myślę. Z góry błagam o wybaczenie, jeśli uznasz moje słowa za nieuprzejme albo pozbawione szacunku.

Creedy otworzył szerzej oczy, ale nadal milczał jak kamień.

- Proszę bardzo, kapitanie, mów - zgodził się Albion, unosząc brwi.

- Nie podoba mi się tutaj. Gdy tylko spędzę w tym starym, nudnym mauzoleum więcej niż kilka tygodni, czuję się, jakbym nie mógł oddychać. Nie rozumiem, jak możecie siedzieć tu przez cały czas. Jestem aeronautą, panie, żyłem na sterowcu, odkąd sięgam pamięcią. Moje miejsce jest na niebie. Na pokładzie mojego statku. Tylko tam jestem... u siebie. Dziękuję za twoją propozycję, ale nie potrzebuję innej pracy.

- Rozumiem — odparł lord Albion. — Ale przyjąłeś fałszywe założenie. Nie proponuję ci pozycji doradcy w moim sztabie, kapitanie. - Skrzyżował ramiona na piersi i przymrużył lekko powieki. - Potrzebny mi sterowiec dowodzony przez kapitana, któremu mogę zaufać.

Grimm i Creedy wymienili spojrzenia.

- Panie?

- Potrzebny mi statek, który zapewni transport i wsparcie na potrzeby misji, którą zleciłem swojej

Gwardii - ciągnął Albion. - Chcę, by tym statkiem był *Drapieżca*, wraz ze swym kapitanem i załogą.

-A co, jeśli nie zechcemy tego zrobić? - zapytał Grimm.

Creedy zakrztusił się nagle.

- Potrafię być bardzo przekonujący - zapewnił kasztelan.

- Nie masz takich uprawnień - zauważył Grimm.

- To prawda. Ale i tak zamierzam to zrobić.

Być może winne było zmęczenie, ale Grimm poczuł, że zaczyna naprawdę się gniewać.

- Panie — odparł sztywno. — *Drapieżca* nie jest na sprzedaż. Ja nie jestem na sprzedaż.

Lord Albion rozciągnął usta w wilczym uśmiechu.

Wskazał na Grimma palcem wskazującym i pochylił się nieco ku przodowi.

- W tym rzecz, kapitanie. W tym rzecz. Służysz Albionowi jako korsarz już od osiemnastu miesięcy.

To będzie identyczna sytuacja.

-To... bardzo szczodra propozycja, panie - odparł ostrożnie kapitan. -Być może nie poinformowano

cię, w jakim stanie jest obecnie *Drapieżca*. Statek wymaga remontu. Może upłynąć sporo czasu, nim znowu będzie zdolny do lotu. - Być może dziesięciolecia, pomyślał Grimm. — Działa tylko na kryształach stabilizujących.

- Nie jestem aeronautą, kapitanie - odparł kasztelan przepraszającym tonem. - Ani inżynierem aeronautycznym. Co to dokładnie znaczy?

- Może się przemieszczać tylko w górę i w dół - wtrącił Creedy. — A i to bardzo powoli.

- Ach. - Albion rozpromienił się wyraźnie. - Tak się składa, że tego właśnie od niego potrzebuję.

- A co to właściwie znaczy? - zapytał Grimm, mrużąc powieki.

- Wysyłam ekipę do Lądowiska - odparł kasztelan. - Trzeba to zrobić bardzo szybko. Przed świtem, jeśli to tylko możliwe. Jestem pewien, że twój statek poradzi sobie...

Grimm wstał. Gniew w nim narastał. Jego serce biło coraz szybciej i mocniej.

- Panie — niemalże warknął. - Z całym należnym szacunkiem, jest mnóstwo środków transportu zapewniających połączenie z Lądowiskiem. Wyślij swoich ludzi w barce albo w wiatrogonie.

Lord Albion odsunął nieco głowę. Jego brwi uniosły się w wyrazie zaskoczenia.

- Kapitanie, nie jestem pewien, dlaczego ten pomysł tak cię denerwuje.

- Mój statek nie jest barką. I jest cholernie pewne, że nie jest też wiatro-gonem - warknął Grimm. -I

dopóki będę żył, nigdy się nim nie stanie. Ani dla Floty, ani dla cholernej Rady Kasztelu, ani dla ciebie, panie. Dziękuję za propozycję, ale nie mogę ci pomóc. Wybacz proszę, ale muszę się zająć rannymi i zabitymi wśród moich ludzi. Creedy.

Grimm odwrócił się ku wyjściu. Creedy wstał ciężko z krzesła, by podążyć za nim. Jego twarz pobiadła.

Albion westchnął głośno.

- Wielka szkoda, kapitanie — odezwał się, gdy Grimm dotarł do drzwi. -Wolałbym, żebyśmy doszli do porozumienia. Czy może znasz kogoś, kto chciałby kupić nieużywane kryształy wznoszące i stabilizujące dla statku klasy *Drapieżcy*? Mam ich trochę na zbyciu.

Grimm zamarł z dłonią na klamce. Przechylił głowę, a potem odwrócił się powoli i

niepowstrzymanie ku kasztelanowi.

Albion uśmiechnął się jak kot.

- Wykonaj dla mnie to zadanie, a wrócisz do Lądowiska z najlepszymi kryształami z Kadziowni Lancasterów. Powiedziano mi, że twój mechanik mógłby je zainstalować i skalibrować w ciągu tygodnia.

- Zrobiłbyś to dla mnie? — wydyszał Grimm. - W zamian za co?

- Za to zadanie — odparł Albion. — Tylko jedno. Zabierz moich ludzi do Lądowiska. I przywieź ich z powrotem, gdy już wykonają swoją robotę.

-Jedno zadanie - powtórzył Grimm.

- Szczerze mówiąc, kapitanie, mam nadzieję, że dostrzeżesz korzyści płynące z mojej oferty i zechcesz pracować dla mnie na stałe. Jeśli jednak nie będziesz potem chciał mieć więcej ze mną do czynienia, to niech i tak będzie. Zachowaj kryształy i ruszaj w swoją drogę.

- Gdybym tak zrobił, znaczyłoby to, że zmarnowałeś fortunę.

Lord Albion wzruszył ramionami.

-Wolę to uważać za inwestycję w przyszłość, kapitanie Grimm. I co na to powiesz?

Grimm wypuścił powietrze przez nos. Gniew nadal w nim płonął, ale obok niego zaczęło się tlić coś innego.

Nadzieja.

Bezcenne, nieosiągalne kryształy mogące przywrócić życie *Drapieżcy*, czekały na zainstalowanie. Jego sterowiec znowu wzniesie się ponad chmury i pożegluje w oślepiającym blasku słońca. Jego załoga odzyska środki do życia, a *Drapieżca* nie będzie należał do nikogo poza swym kapitanem.

Wolność.

Grimm uświadomił sobie w nagłym szoku, że nic na świecie nie mogłoby go skłonić do odrzucenia takiej propozycji.

- Co na to powiem... — zaczął powoli kapitan Grimm. Potem westchnął. - Powiem, że jest z ciebie podstępny skurczybyk, panie.

- W każdym dniu tygodnia — potwierdził lord Albion, kiwając głową. Spojrzał Grimmowi prosto w oczy. — I nigdy nie odwracam się plecami do swoich ludzi, kapitanie.

Nie dodał „w przeciwieństwie do Floty”, ale te słowa zawisły niewypowiedziane w powietrzu, kiedy umilkł.

Albion uniósł ręce, zwracając dłonie wewnętrznymi powierzchniami ku przodowi, jakby chciał zasygnalizować koniec sporu, a potem obrzucił Grimma szczerym spojrzeniem.

- To proste, kapitanie. Potrzebuję cię. Kasztel cię potrzebuje.

Grimm przez chwilę zaciskał prawą dłoń w pięść. Potem ją rozluźnił.

- Panie Creedy?

- Kapitanie?

- Wracaj na *Drapieżcę*. Zawiadom mechanika Journeymana, że ma zadanie do wykonania.

Przygotujcie się do rejsu do Lądowiska.

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska

Major Renaldo Espira z Aurorańskiej Piechoty Powietrznej szedł spokojnie zatłoczonymi ulicami Kondygnacji Ładowiska. Miał na sobie miejscowe ubranie i niósł skrzynię oznaczoną logo jednej z tutejszych wodnych farm. Choć słyszało się podekscytowane rozmowy i po kondygnacji krążyły liczne plotki, miejscowe władze najwyraźniej nie uświadomiły sobie jeszcze, do jakiego stopnia jego batalion zdołał przeniknąć do Kasztelu Albion. Na ulice nie wysłano jeszcze patroli ani nie ustanowiono posterunków. Nadal mógł stosunkowo swobodnie się poruszać.

Początkowy atak zakończył się sukcesem w takim stopniu, w jakim można było tego oczekiwać po podobnej operacji. Nie otrzymał jeszcze wiadomości od oddziałów, które zaatakowały Kondygnację Poranka, ale jego żołnierze poświęcili całe miesiące na naukę precyzyjnego kierowania parolotniami i w pełni im się to opłaciło. Już w tej chwili ponad czterystu z pięciuset ludzi, którymi dowodził, skontaktowało się ze sobą i zaczęło koncentrować siły. Dotarły do niego meldunki że tylko niespełna dwudziestu żołnierzy nie zdołało dotrzeć do celów, którymi były liczne otwory przewodów wentylacyjnych kasztelu.

Wszystko wskazywało na to, że jeśli nie przeszkodzi mu coś nieoczekiwanego, będzie miał tylu ludzi, że wystarczy ich zawiązką do osiągnięcia wyznaczonych celów. Jeśli uda mu się pomyślnie przeprowadzić najsmielszy atak w historii wszystkich kaszteli, jego przyszłość w Kasztelu Aurora będzie zagwarantowana.

Espira kluczył przez rozgorączkowany tłum wypełniający ulice Ładowiska. Większość kondygnacji we wszystkich kasztelach zmodyfikowała oryginalne konstrukcje Budowniczych, dodając fortyfikacje, nowe budynki, więcej kadziowni czy cokolwiek, czego potrzebowały, ale Ładowisko zrobiło to w stopniu graniczącym z obłędem. Pionową przestrzeń kondygnacji podzielono na pół, tworząc dwa odrębne poziomy, położone jeden nad drugim. Oznaczało to, że wysokie sklepienia normalnych kondygnacji ustąpiły miejsca niskim i przytłaczającym. Espira miał wrażenie, że sufit za chwilę spadnie mu na głowę.

Jakby to nie było wystarczająco szalone, oba poziomy wypełniono gęstą masą murowanych i drewnianych budynków, przewyższającą wszystko, co Espira kiedykolwiek widział. Ulice zmieniły się z szerokich i przestronnych w tak wąskie i ciasne, że najwyżej trzech ludzi mogło nimi iść obok siebie. Domy i sklepy stykały się ze sobą ścianami, a drzwi do nich z konieczności były wąskie. Na ulicach Ładowiska dosłownie nie sposób było przejść dwudziestu kroków, by nie wpaść na innego przechodnia.

To nie była kondygnacja. To było gniazdo szcurków.

Mimo to... prawie wszystkie budynki miały drogie, drewniane drzwi. W niektórych miejscach całe domy zbudowano wyłącznie z drewna - i nie sprawiały też one wrażenia szczególnie luksusowych. Cechowały się solidnością i pozbawioną wyrazu funkcjonalnością, sugerującą, że mieszkają w nich kupcy i rzemieślnicy. A przecież za drewno zużyte na budowę jednej takiej rezydencji można by uzyskać sumę, za którą jeden człowiek miałby co jeść i pić do końca życia.

Tak jest, to były szcury. Chciwe, podstępne, złodziejskie szcury.

Niech się chełpią swoim bogactwem. Wkrótce wszystko się zmieni.

Skradał się wąskimi uliczkami, aż wreszcie skręcił w zaułek między dwoma budynkami i dotarł do

starych, butwiejących, drewnianych drzwi. Zatrzymał się i zapukał w nie - trzy razy powoli, w starannie wymierzonych odstępach, a potem dwa razy szybko. Drzwi otworzyły się natychmiast.

Za drzwiami stał jej ordynans, Sark. Ten człowiek przypominał Espirze polującego pająka. Był genetycznym wojownikiem, wysokim i chudym, o długich, szczupłych kończynach i dłoniach, które wydawały się za duże w porównaniu z resztą ciała. Włosy miał czarne i krótkie, a twarz, głowę, szyję i widoczną część dłoni pokrywało mu coś w rodzaju rzadkiego pajęczego meszku. Sark miał kocie oczy, jak wszyscy jego pobratymcy, jedno zwrócone nieco pod kątem do drugiego, przez co trudno było określić, w którą stronę patrzy.

- Co jest? — zapytał Sark. Jego ton sugerował, że wolałby zabić majora, niż z nim rozmawiać.

Espira nie został najmłodszym majorem w dziejach Aurorańskiej Piechoty Powietrznej dzięki temu, że łatwo dawał się zastraszać twardzielom.

- Czy ona jest? - zapytał Sarka.

- A o co chodzi?

- Mamy pewien problem.

Ordynans skierował wzrok na Espirę, czy może obok niego. Z jego ust wyrwało się warknięcie.

Major uniósł podbródek i przymrużył powieki.

- To wykracza poza zakres twoich obowiązków, Sark. Chyba że masz ochotę tłumaczyć jej, dlaczego nie wpuściłeś człowieka, który chciał ją ostrzec przed groźbą dla jej planów.

Sark zamarł na chwilę w bezruchu, jak każdy pająk wyczuwający, że ofiara się zbliża. Potem wydał z siebie gardłowy dźwięk i odsunął się, zostawiając drzwi otwarte.

Espira wszedł śmiało do środka i wręczył Sarkowi skrzynię z jarzynami, jakby miał do czynienia ze zwykłym służącym. Sark przyjął ciężar, ale przymrużył złowrogo powieki. Espira czuł, że spojrzenie zezowatych oczu ordynansa podąża za nim, gdy ruszył pogrążonym w mroku korytarzem do obitych miedzią drzwi jej komnat.

Zapukał, ale czekał, zamiast wejść do środka. Nie brakowało mu śmiałości, nie był jednak samobójcą.

- Zapraszam, majorze - rozległ się po chwili kobiecy głos.

Espira otworzył drzwi, które poruszały się swobodnie i bezgłośnie na zawiasach, i wszedł do położonego za nimi pomieszczenia. Komnata była luksusowo urządzona, na sposób przypominający salon. W umieszczonych na ścianach kinkietach świeciły luminowe kryształły. W jednym z kątów stała wielka rzeźba przedstawiająca Kasztel Albion. Ze wszystkich stron otaczała ją pusta przestrzeń. Naprzeciwko wieży ustawiono wielką, pełną gracji harfę o wysokości prawie pięciu stóp. W ścianie wyrzeźbiono fontannę. Spływająca z niej z cichym szemraniem woda wpadała do niewielkiej sadzawki wypełnionej pływającymi kwiatami. Pod powierzchnią wody poruszały się ledwie widoczne pełzające kształty.

Kobieta siedziała na jednym z dwóch krzesel ustawionych obok sadzawki. Między nimi znajdował się stolik. Napełniała właśnie dwie filiżanki herbatą. Jej ruchy były spokojne i precyzyjne, w jakiś sposób rytualne. Miała na sobie skromną ciemnoniebieską suknię, dobrze dopasowaną, elegancką i drogą. Nie była ani młoda, ani stara. Jej szczupła, drapieżna twarz wywierała intrygujące wrażenie, a coś w pełnych rezerwy ruchach sugerowało, że pod powierzchnią perfekcyjnego opanowania może się kryć nieokiełznana zmysłowość.

Ale to jej oczy najbardziej niepokoiły Espirę. Miały zimny szary kolor spowijających cały świat mgieł. Mrugała bardzo rzadko. Major przywitał ją należnym, uprzejmym ukłonem. Przez chwilę nie reagowała, a potem wskazała głową na drugie krzesło. Espira usiadł na nim.

- Błagam, byś wybaczyła, że ci przeszkadzam, madame Cavendish. Muszę z tobą porozmawiać.

Zamiast odpowiedzieć, podała mu filiżankę herbaty na pięknym ceramicznym spodku. Rzecz jasna przyjął ją z uśmiechem i pochylił głowę na znak podziękowania.

Madame Sycorax Cavendish była kobietą bardzo ściśle przestrzegającą zasad dobrego wychowania.

O ile Espira wiedział, nikt, kto zachował się przy niej w nieodpowiedni sposób, nigdy nie uszedł z życiem. Dlatego uśmiechnął się, zaczekał, aż sama weźmie do ręki filiżankę, i pociągnął łyk jednocześnie z nią.

Zauważył, że to jej ulubiona herbata - olimpijska miętowa, posłodzona perfekcyjnie dobraną ilością miodu. Najwyraźniej jego wizyta nie była dla niej zaskoczeniem. Nikt nie mógł jej zawiadomić, że zamierza ją odwiedzić, ale skądś o tym wiedziała, niech to szlag.

Jej pozbawione wyrazu oczy przyglądały mu się ze spokojem znad brzegu filiżanki.

Espira stłumił dreszcz.

- Renaldo - odezwała się. Jej głos brzmiał nadzwyczajnie. Był aksamitny, ciepły i delikatny. Taki głos mógłby przynosić ulgę znużonym rekonwalescentom albo łagodnie zwabiać aeronautów ku zgubie na powierzchni. - Wiesz, że zawsze się cieszę z twoich odwiedzin. Czy mogę ci w czymś pomóc?

Nie będzie zadowolona z wiadomości, którą jej przynosi, ale na to nie można było nic poradzić.

- Odkryto naszą placówkę dowodzenia.

Nieznacznie zmrużyła powieki zimnych oczu.

- Naprawdę?

- Obawiam się, że tępicieł szkodników natknął się na nią podczas wykonywania swych obowiązków - odparł Espira neutralnym tonem, po prostu podając obiektywne fakty. - Złapano go, nim zdążył uciec i zawiadomić władze o naszej obecności.

- Złapano? - powtórzyła madame Cavendish, unosząc brwi.

Espira zaciskał przez chwilę usta, po czym skinął głową.

- Cech Tępicielei Szkodników z Kondygnacji Lądowiska nakazuje im pracować we dwóch, ale on twierdzi, że był sam, bo nie chciał dzielić się zapłatą z żadnym z kolegów.

- Podzielił się tą informacją dobrowolnie?

- Nie zmienił zeznań nawet po energicznym przesłuchaniu - odparł Espira. - Niemniej jesteśmy zbyt blisko osiągnięcia naszego celu, by miał nam przeszkodzić jakiś drobny przypadek. Musimy się upewnić.

- Rozumiem. - Wypiła z zamyśloną miną kolejny łyżeczek herbaty. - Chcecie, bym sprawdziła, czy mówi prawdę.

- Krótko mówiąc - zgodził się Espira. - Ostrożność nigdy nie zawadzi.

- Można by powiedzieć - wyszeptała aksamitnym głosem - że lepsza zdolność przewidywania zapobiegłaby temu niefortunnemu incydentowi.

Widział, jak ludzie ginęli, po tym, gdy jej słowa przybierały ten szczególny ton. Poświęcił dłuższą chwilę, by starannie zastanowić się nad odpowiedzią.

- Można by też powiedzieć, że to, co mamy za sobą, widzimy lepiej niż to, co leży przed nami. Zawsze mogą się trafić nieprzewidziane problemy. Jednym z najbardziej niezbędnych talentów dowódcy jest umiejętność rozpoznania ich, gdy się pojawiają, i podjęcia niezbędnych kroków.

Madame Cavendish przechyliła głowę, jakby zastanawiała się nad jego słowami.

- Dla żołnierza to zapewne praktyczne podejście — przyznała. - Dlatego poszukałeś pomocy sprzymierzeńca, by poradzić sobie z tym problemem.

- W rzeczy samej, madame. Wiesz, jak wysoko cenię twoje rady i umiejętności.

W jednym z kącików jej ust pojawił się najbledszy cień uśmiechu.

- Majorze, doskonale wiem, co o mnie myślisz. - Przesunęła palce na filiżance i skinęła lekko głową. - Zgoda. Pomogę ci.

- To bardzo miło z twojej strony, madame - odparł Espira, wstając. - Czas ma kluczowe znaczenie, czy więc...

Głos madame Cavendish zabrzmiał jak dwie frazy słodkiej muzyki. Kryształowe luminowe na ścianie zamigotały, przybierając posępny szkarłatny odcień.

- Siadaj. Natychmiast.

Serce Espiry podeszło mu nagle do gardła. Major poczuł w brzuchu coś przypominającego dreszcz czystej paniki. Zatrzymał się, a następnie usiadł z powrotem - szybko i niezgrabnie.

Madame Cavendish rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Jeszcze nie wypiliśmy herbaty — oznajmiła ze spokojem, jakby tłumaczyła to dziecku.

Espira poczuł w ustach nagłą suchość.

- Oczywiście, madame. Wybacz mi proszę mój... entuzjazm.

- Podejrzewam, że większość dobrych żołnierzy dźwiga to samo brzemie - odparła, nie przestając się uśmiechać.

Jeszcze przez kilka minut pili razem herbatę w ogłuszającym milczeniu. Wreszcie madame Cavendish odstawiła filiżankę i spodek.

- Mam nadzieję, że przygotowałeś wszystko, by pozbyć się szczątków, kiedy już skończę?

-Tak.

-To wspaniale. — Wzięła w ręce tackę, na której elegancko ułożono rozmaite smakołyki harmonizujące z wystrojem pokoju i podsunęła mu ją z uśmiechem. - Poczęstuj się ciasteczkiem, majorze. Sama je piekłam.

ROZDZIAŁ 20

Kasztel Albion, Kondygnacja Poranka, Rezydencja Kasztelana

Gwendolyn Lancaster ruszyła pierwsza, gdy podążyli za ordynansem kasztelana w głąb rezydencji. Minęło zaledwie pół doby od chwili aurorańskiego ataku, ale w tym czasie zmieniło się bardzo wiele - między innymi to, że Gwen i Bridget, razem z resztą rekrutów, zmieniły ćwiczebne mundury na funkcjonalną liberię Gwardii Kasztelana - proste, białe koszule oraz ciemnoniebieskie spodnie i kurtki ze złotymi lamówkami.

— Nie mogę się powstrzymać przed myślą, że to wydaje się zbyt pochopne - odezwała się idąca za nią Bridget. - Zaczęła się wojna. Ale czy w związku z tym w jakiś mistyczny sposób wszyscy zdobyliśmy umiejętności potrzebne do służenia w Gwardii?

— Ja bym powiedziała, że to praktyczne rozwiązanie, Bridget - odparła Gwen. - W końcu starliśmy się już z nieprzyjacielem i odnieśliśmy triumf.

- Triumf wydaje się... nieco przesadnym określeniem, jeśli zestawić je z tym, co się naprawdę wydarzyło - odpowiedziała z powątpiewaniem Bridget.

— Przeciwwstawiliśmy się siłą nieprzyjacielowi, pokrzyżowaliśmy jego plany i przeżyliśmy - odpowiedziała Gwen.

- Uratowali nas ci aeronauci.

- Nie potrzebowaliśmy ratunku — sprzeciwiła się Gwen. — Nie od aeronautów, a już z pewnością nie od człowieka wyrzuconego z Floty za tchórzostwo.

- A to ciekawe - wtrącił Benedict. - Co zatem wydarzyło się twoim zdaniem, droga kuzynko?

Gwen pociągnęła nosem.

- Mój plan zakładał konieczność współdziałania z uwagi na przewagę liczebną nieprzyjaciela.

Unieruchomiliśmy go, czekając na nadejście odpowiednio licznych posiłków. My byliśmy kowadłem, a posiłki młotem.

- Czy ona mówi poważnie? - zapytała Bridget Benedicta.

- Słodka Gwen żyje w bardzo szczególnym świecie - odpowiedział genetyczny wojownik z powagą, a nawet sympatią. - Najwyraźniej tylko w niewielkim stopniu przypomina on miejsce, w którym bytują zwykli śmiertelnicy, tacy jak my.

Gwen odwróciła się i przyjrzała kuzynowi przez przymrużone powieki.

- A w którym dokładnie punkcie mój opis nie zgadza się z prawdą? Wysoki młodzieniec zmarszczył brwi.

- W tym, w którym starasz się zasugerować, że wszystko to był starannie skonstruowany plan, a nie desperacka improwizacja — odparł po chwili, wzruszając ramionami.

- Pewnie, że to była desperacka improwizacja - warknęła Gwen. - Zaatakowali nas z zasadzki.

-Ale... - zaczęła Bridget. - Gwen... walka zaczęła się w chwili, gdy wystrzeliłaś z rękawicy prosto w twarz tego oficera.

-To nie moja wina, że ich zasadzka nie okazała się skuteczniejsza — burknęła Gwen. - Gdyby spisali się lepiej, albo gdybym nie zrobiła tego, co zrobiłam, nikogo z nas by tu teraz nie było. - Umilkła na kilka kroków. - Tak czy inaczej zachowaliśmy jasność myślenia w chwili gwałtownej paniki i ocaliliśmy życie

biednemu Barneyowi. Jak sędzę, tak właśnie powinni się zachować wyszkoleni gwardziści.

- To z pewnością prawda - przyznał Benedict z nutą aprobaty. - Muszę też dodać, kuzynko, że nigdy nie widziałem, byś się wzdrygnęła w obliczu niebezpieczeństwa, ale nigdy nie wiadomo, jak się człowiek zachowa w prawdziwej walce. Przerosłaś moje oczekiwania. Masz nerwy ze stali.

- Dziękuję, kuzynie — odparła dziewczyna spokojniejszym tonem.

Nie spojrziała za siebie. Jej myśli nadal wypełniał rozbłysk rękawicy.

Aurorański oficer dał się całkowicie zaskoczyć. Na jego twarzy malowało się zdziwienie, jakby nie rozumiał ostatniego wypowiedzianego przez nią zdania i chciał, żeby je powtórzyła. Dopiero znacznie później uświadomiła sobie, że był bardzo młody. W swej panice i strachu o Barneya, pośród pyłu i krwi, widziała tylko człowieka w mundurze. Z czasem dotarło do niej, że był niewiele starszy od niej, co najwyżej w wieku Benedicta.

Młody oficer, być może nowego elitarnego zaciągu Aurorańskiej Piechoty Powietrznej, wyznaczony na dowódcę małego oddziału wykonującego nieskomplikowaną, lecz ważną misję wsparcia. Miał dostarczyć materiały wybuchowe oddziałowi atakującemu cel o kluczowym znaczeniu. W oczach tych, którzy zaplanowali całą akcję, z pewnością był to idealny przydział dla młodego obiecującego oficera. Proste zadanie, zapewne nie-wymagające uczestnictwa w bezpośredniej walce. Inteligentny dowódca mógł być w takiej misji znacznie bardziej przydatny od znającego smak walki weterana, zwłaszcza jeśli miał do pomocy doświadczony podoficera, takiego jak Ciriaco. Z pewnością jakiś dowódca uznał, że taka właśnie misja otworzy nowej wschodzącej gwiazdzie drogę do kariery.

A Gwendolyn zakończyła jego życie szybko i pewnie, jak ciemna noc pochłaniająca spadające gwiazdy.

Chciała odczuwać wyrzuty sumienia z tego powodu, żałować tego, co uczyniła. Miała wrażenie, że tak właśnie powinien zareagować przyzwoity człowiek. Gdy jednak poszukała w sobie podobnych odczuć, nie znalazła niczego poza ulgą z powodu faktu, że ona i jej towarzysze ocaleli.

Niemniej nie mogła zapomnieć jego twarzy.

Impuls zmienił oblicze oficera w krwawą masę. Rzecz jasna musiała strzelić mu w twarz. Nie była w stanie odgadnąć, czy pod fałszywym mundurem nie nosi eterycznego jedwabiu. Ciągle widziała jego twarz w tym krótkim, śmiertelnym rozbłysku, i wkładała mu w usta słowa harmonizujące z jego miną. „Przepraszam, młoda damo? Czy mogłabyś to powtórzyć? Co robisz, do licha?”.

I co by mu wtedy odpowiedziała? „Zamieniam w trupa czyjeś ukochane dziecko, sir”.

Nic od tego czasu nie jadła.

Ordynans lorda Albiona dotarł do końca bogato ozdobionego korytarza i zapukał do drzwi. Usłyszawszy odpowiedź, otworzył je przed Gwen i jej towarzyszami, skłonił się lekko i zaprosił ich skinieniem do środka.

Znaleźli się w pokoju umeblowanym i udekorowanym jak mały prywatny gabinet. W rzeczywistości jednak był on czymś znacznie więcej. Och, z pewnością biurko i światła - zarówno kryształowe luminowe jak i świece -kojarzyły się z gabinetem, podobnie jak regały zapchane znacznie większą liczbą woluminów, niżby należało. Jednakże tytuły niektórych ksiąg zadawały kłam temu wrażeniu. *Dzieje Albionu* autorstwa Daggeta i Deena widywało się dość często, ale komplet dzieł Montclaira'a, zakazanych przed dwoma stuleciami z powodu rozpowszechniania skandalicznych plotek o pierwszym kasztelanie Albionu, to było coś całkiem innego. Jeden dość gruby wolumin nosił tytuł *Sposoby wykonywania egzekucji przez wieki*. Ustawiono go z elegancką równowagą między nonszalancją a dostępnością dokładnie na poziomie oczu każdego, kto wchodził do pokoju. Jak na groźbę, ta była niemal podprogowa. Być może właśnie dlatego książkę ustawiono w tym miejscu.

W gablocie za biurkiem znajdowały się repliki wszystkich okrętów Eterycznej Floty Albionu, od potężnego pancernika *Nieustraszony*, dorównującego wielkością Rowlowi, aż po niszczyciel

Energiczny, nie większy niż mały palec Gwen. Kilka miejsc w gablocie niedawno opróżniono. Świadczył o tym brak kurzu na podstawkach modeli. Może były to okręty zniszczone przez aurorański atak?

Naprzeciwko gabloty, po drugiej stronie biurka, fragment ściany pokrywały najrozmaitsze mapy, od wielkich płacht obejmujących cały znany świat, aż po starożytne kopie schematów Kasztelu Albion. Gwen widziała już podobne mapy w gabinecie ojca. Nieustannie je aktualizowano. Pokazywały z wielką dokładnością zarówno szczegóły geografii, jak i prądy eteryczne. Z takich właśnie map korzystała Flota. Kapitanowie trzymali je w tajnych skrytkach i mieli rozkaz je zniszczyć, gdyby zanosilo się na to, że okręt może wpaść w ręce nieprzyjaciela.

Pomyślała, że jak na monarchę utrzymującego, że bieg historii uczynił go przestarzałym, lord Albion dość dokładnie śledzi wydarzenia.

To nie był gabinet.

Pomieszczenie *de facto* pełniło funkcję sali tronowej.

Znajdowało się w nim dwóch ludzi. Pierwszym z nich był, rzecz jasna, sam kasztelan. Siedział za biurkiem i wyglądał na równie sympatycznego i niegroźnego jak wtedy, gdy Gwen spotkała go po raz pierwszy. Drugim był wyrzucony z Floty oficer, kapitan Grimm. Stał w kącie przy modelach, opierając się plecami o ścianę. Jego ręka nadal spoczywała na temblaku. Miał na sobie to samo ubranie, co podczas starcia w tunelach, choć niewykluczone, że na płaszczu pojawiło się trochę nowych plam krwi. Kiedy weszli, lord Albion wstał z uśmiechem.

- Ach, bohaterowie rozpaczliwej chwili. Gdyby tamtej grupie udało się dostarczyć towarzyszący te materiały wybuchowe, Albion poniósłby straszliwą, niepowetowaną stratę w postaci zniszczenia naszej największej kryształowej kadziowni. Usiądźcie proszę.

Obie dziewczyny dygnęły, choć Bridget nie opanowała jeszcze w pełni tej sztuki. Benedict wykonał wprawny ukłon. Potem nowo przybyli usiedli na trzech z pięciu krzeseł ustawionych przed biurkiem kasztelana. Rowł wskoczył na kolana Bridget.

- W czym może ci służyć Gwardia, panie? — zapytał Benedict.

- Możesz zacząć od dania sobie spokoju z tytułami — odparł Albion. -Przynajmniej, kiedy jesteśmy tutaj. Wiem, że jestem kasztelanem, i oczywiście wy również o tym wiecie. To wystarczy. W ten sposób zaoszczędzimy na czasie.

- W porządku - zgodził się Benedict, lecz nagle zmarszczył brwi. -W takim razie, w czym może ci służyć Gwardia?

- Zaczekajmy chwilę — zaproponował kasztelan. — Spodziewam się jeszcze dwóch osób.

Nie minęło pół minuty, gdy kłamka zagrzechotała. Potem rozległo się kilka słabych stuknięć i jakiś mężczyzna westchnął głośno.

- Pioruny i przekleństwa na te cholerne ustrojstwa. Folly?

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł wiekowy mężczyzna o dość osobliwym wyglądzie. Miał na sobie garnitur barwy butelkowej zieleni, który zapewne pasował na niego przed kilkoma dziesięcioleciami. Tkanina lśniła dziwnie, jakby...

Gwen uniosła brwi. Boże w Niebiosach, ten człowiek nie nosił garnituru z jedwabną podszewką. Jego strój uszyto w całości z eterycznego jedwabiu. Musiał się składać z wielu warstw kosztownego materiału.

Za mężczyzną do środka wsunęła się dziewczyna wyglądająca na służącą albo uczennicę. Miała na sobie zestaw ubrań z drugiej ręki, dobranych w bardzo osobliwy sposób, a jej oczy wywierały niepokojące wrażenie. Jedno miało barwę szaroniebieską, a drugie płomiennie zielonożółtą. W jednej ręce trzymała słoik wypełniony czymś, co wyglądało na zwykłe zużyte kryształy luminowe. Ścisnęła go czule, jakby był niemowlęciem. Drugą sięgała do tyłu, ciągnąc za sobą parę dziecinnych wózków, ustawionych jeden za drugim. Oba wypełniono przelewającą się przez brzegi masą rozmaitych przypadkowych przedmiotów.

- Addisonie! - zawołał staruszek, wpadając do środka. Zatrzymał się i popatrzył wzrokiem krótkowidza na stojącego w kącie Grimma. - Ach! -zawołał. - Jego właśnie chciałem spotkać! Potrzebuję tego człowieka.

Lord Albion uniósł brwi.

-Tak - potwierdził, przeciągając nieco to słowo. - Dlatego tu jest.

-To piekielnie sprytnie z twojej strony, Addisonie - ucieszył się staruszek. - Jak udało ci się dokonać tej sztuki?

- Wspominałeś mi o nim wczoraj, mistrzu Ferusie - wyjaśnił kasztelan z cierpliwością w głosie. - I poradziłeś mi, żebym zapewnił dla nas jego usługi.

Stary mężczyzna odsunął nagle głowę do tyłu.

- Naprawdę? Jesteś tego pewien?

- Całkowicie - zapewnił Albion. - Nie ma znowu tak wielu doświadczonych, niezależnych kapitanów z uszkodzonymi sterowcami, którzy zgodziliby się zabrać cię do Lądowiska.

- Nadzwyczajne - mruknął Ferus. - Jesteś pewien, że to ten właściwy?

- Tak. Mistrzu Ferusie, to jest kapitan Grimm. Kapitanie, mam wrażenie, że spotkałeś już mistrza Ferusa?

- W rzeczy samej - potwierdził usunięty z Floty oficer.

- Ha! - zawołał Ferus. - Aha, kapitanie, czy nie powiedziałem ci, że dzisiaj się spotkamy?

- O ile sobie przypominam, powiedziałaś.

- Tak też myślałem. - Stary człowiek pokiwał głową. - Zatem wszystko w porządku. Czy możemy już ruszać?

Albion odchrząknął.

-Mistrzu Ferusie. Czy mógłbyś nam zdradzić, do czego potrzebujesz statku naszego dobrego kapitana?

- Żeby znaleźć Nieprzyjaciela, rzecz jasna - odparł Ferus. - Wszyscy mamy kłopoty.

- Aha - mruknął Albion bez zbytniego entuzjazmu. — A czy mógłbyś mi powiedzieć coś więcej?

Ferus zastanowił się nad tym pytaniem.

- Klamki to przykład wyjątkowo skomplikowanej technologii.

Albion tylko z najwyższym wysiłkiem zdołał powstrzymać westchnienie.

- Uważasz, że Lądowisko jest zagrożone?

- Pewnie, że tak. Podobnie jak my wszyscy.

-To bardzo możliwe - wtrącił cicho Grimm. - Pomijając Poranek, Kondygnacja Lądowiska jest największym ośrodkiem handlu w całym kasztelu. Jeśli Auroranie mają więcej środków wybuchowych i użyją ich przeciwko statkowni, mogą spowodować chaos. Nie jestem ekonomistą, ale bardzo znacząca część międzykondygnacyjnego handlu w Kasztelu Albion przechodzi w którymś punkcie przez Lądowisko.

- Siedemdziesiąt pięć procent - odpowiedział mu kasztelan.

- Boże w Niebiosach! - zawołał Grimm. — Aż tyle?

-Wszystkie kondygnacje pobierają myto za przejście przez ich odcinek spiral transportowych - wyjaśnił Albion, kiwając głową. — Transport barkami albo wiatrogonami jest tańszy, szybszy i bardziej bezpieczny. Omijając niektóre albo i wszystkie bariery celne, kupiec może niekiedy nawet podwoić swą marżę.

- A gdyby nieprzyjaciel zniszczył statkownię w Lądowisku? Jak wielkie straty zadałoby to kasztelowi?

- Niezmierzone - przyznał Albion. - W końcu statkownię by odbudowano, ale w krótkim terminie gospodarka mogłaby zostać w znacznym stopniu sparaliżowana, a nasza zdolność prowadzenia wojny spadłaby drastycznie.

- Wybacz, pa... ach, chciałam powiedzieć „wybacz” - poprawiła się Gwen, próbując okazać

kasztelanowi należy szacunek bez korzystania z jakichkolwiek tytułów. To było trudne i krępujące, jakby próbowała śpiewać z pełnymi ustami. - Nie rozumiem tego. Jeśli Auroranie chcieli zniszczyć statkownię w Ładowisku, czemu po prostu nie użyli swoich okrętów?

- Zapewne dlatego - zaczął Grimm — że jedynymi jednostkami wystarczająco szybkimi i cichymi, by ominąć nasze patrole, są niszczyciele. Ich uzbrojenie jest groźne, ale stosunkowo lekkie. Potrzebowałyby wiele czasu, by rozbić statkownię na drobne kawałeczki, a artyleria Ładowiska i nasza Flota z pewnością by im w tym przeszkodziły. Żeby dokonać czegoś takiego, potrzebne są ciężkie opancerzone okręty. Ich większe działa szybciej zniszczyłyby cel, a pancierz i grube tarcze pozwoliłyby im wytrzymać ostrzał.

Bridget zmarszczyła brwi.

- Myślałam, że wszystkich Auroran, którzy wtargnęli do kasztelu, pokonano i wzięto do niewoli.
- Gdybyż tylko tak było - odparł cicho Albion. - Okrętom, które zaatakowały statkownię w Kondygnacji Poranka, udało się wymknąć naszej Flocie, ale komandor Bayard na *Walecznym* zbliżył się do nieprzyjacielskiej formacji na tyle, że zdołał potwierdzić obecność aurorańskiego transportowca.
- Nie wiem, co to oznacza — przyznała Bridget.
- Aurorańskie transportowce mogą przewieźć cały batalion ich piechoty powietrznej — wyjaśnił cicho Benedict. - Około pięciuset ludzi.
- A ilu udało się wyeliminować? - zapytała Gwen.
- Czterdziestu dziewięciu - odpowiedział Albion. - Tych, którzy brali udział w ataku na kadziownię Lancasterów, oraz kilku takich, którzy próbowali wlecieć na parolotniach do wylotów przewodów wentylacyjnych, ale chybili. Ich ciała znaleziono na powierzchni.

Gwen wyobraziła sobie ludzi na rozbitych, splątanych parolotniach, którzy spadali z krzykiem na odległą o blisko dwie mile ziemię, z każdą chwilą mknąc coraz szybciej przez mgłę. Spróbowała powstrzymać drżenie.

- Rozumiem.

- Ale ja chyba nie bardzo - poskarżył się Benedict. - Na czym ma polegać nasza rola?

Albion rozpostarł dłonie.

- Obawiam się, że tylko wy mi zostaliście.

- Panie? - zdziwiła się Gwen. - A niech to. Przepraszam. Wybacz mi, proszę.

Lord Albion wstał i zdjął ze ściany dwie wielkie mapy, odsłaniając plan całego kasztelu.

- Kasztel Albion - oznajmił. - Dziesięć tysięcy stóp wysokości, dwie mile średnicy. Dwieście pięćdziesiąt kondygnacji, z czego dwieście trzydzieści sześć zamieszkałych. Gdzieś tam ukrywa się czterystu pięćdziesięciu uzbrojonych po zęby żołnierzy nieprzyjacielskiej piechoty powietrznej. Pamiętasz, ilu mamy gwardzistów w czynnej służbie, panno Lancaster?

- Niewiele ponad trzy tysiące.

Albion skinął głową.

- Panie Sorellin, a czy pamiętasz, ilu żołnierzy piechoty powietrznej służy we Flocie Obrony Terytorialnej?

- Pełen pułk - odparł Benedict. - Około tysiąca pięciuset - dodał, zerkając na Gwen.

- W rzeczy samej — potwierdził Albion. — Cztery i pół tysiąca ludzi do obrony dwustu trzydziestu sześciu potencjalnych celów. Byłem zmuszony rozmieścić ich po całym kasztelu.

- Ale dlaczego? — zdziwiła się Bridget. — Czy nie rozsądniej byłoby rzucić wszystkich do walki z Auroranami? Wydaje mi się, że cztery i pół tysiąca ludzi powinno sobie poradzić z pięciuset wrogami.

- Nadal nie wiem, gdzie ukrywają się Auroranie. Dopóki się tego nie dowiemy, nasza przewaga liczebna nie będzie miała znaczenia - wyjaśnił Albion. - Co ważniejsze, istnieją nieprzyjaciele znacznie groźniejsi niż zwykli żołnierze, choćby nawet najlepiej wyszkoleni. Po całym kasztelu krążą pogłoski, a razem z nimi szerzy się strach. Strach zabija. W pierwszej kolejności trzeba utrzymać porządek, a to

znaczy, że obywatele Albionu muszą być pewni, że ktoś ich broni.

- A my mamy bronić Kondygnacji Ładowiska? — domyśliła się Gwen.

-W pewnym sensie - odparł lord Albion. — Auroranie doskonale wiedzieli, pod jakim kątem zaatakować statkownię Kondygnacji Poranka, by zminimalizować skuteczność naszej artylerii. Wprowadzili do kasztelu swoich żołnierzy, i najwyraźniej znali rozkład tuneli i kanałów wentylacyjnych na tyle dobrze, że nadal mogą się w nich ukrywać. Wiedzieli też, gdzie znaleźć Kadziownię Lancasterów, a ich mundury niemal niczym nie różniły się od naszych.

Gwen zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

- Żadna z tych rzeczy sama w sobie nie wydaje się szczególnie istotna... ale jeśli połączyć wszystkie razem..

Lord Albion uśmiechnął się do dziewczyny, wyraźnie czekając na jej odpowiedź.

- Kryje się za tym czyjaś ręka - konkludowała Gwen. - Kogoś, kto zna kasztel. - Zamrugała. - Kogoś, kto tu mieszka.

- Celujący - pochwalił ją lord Albion. - Wśród nas jest zdrajca. Być może nawet służy w mojej gwardii.

Rowl spojrział na Bridget i wydał z siebie koci dźwięk.

- Dlatego wysyłasz kocięta, żeby wykonały robotę łowców - przetłumaczyła dziewczyna.

Albion spojrział na kota i skinął głową.

- Istotnie. Muszę zlecić to zadanie komuś, komu mogę zaufać. Gdy planowano tę operację, żaden z rekrutów nie zgłosił się jeszcze do służby, a jej charakter sugeruje, że nieprzyjaciel świetnie zna zasady działania zarówno Gwardii, jak i Floty.

- A co ze mną? — zapytał Benedict.

Albion machnął od niechcienia dłonią.

- Och, daj spokój. Ty nie jesteś zdrajcą, Sorellin.

Gwen miała wrażenie, że jej kuzyn nie jest pewien, czy powinien poczuć ulgę, czy uznać to za zniewagę. Zdołał jednak skinąć głową kasztelanowi.

- Dlatego wysyłasz nas? - zapytała Bridget. - Hmm, ale co właściwie mamy zrobić? Martwię się o to tylko dlatego, że łatwiej będzie nam wykonać twoje rozkazy, jeśli najpierw je usłyszymy.

W kącikach oczu lorda Albiona pojawiły się zmarszczki uśmiechu.

- Wysłałem małe grupki rekrutów do różnych kondygnacji, zlecając im rozmaite misje. Was wysłałem do Ładowiska z mistrzem Ferusem, byście pomogli mu w dochodzeniach.

- Aha. - Gwen skinęła głową. - Jeśli mogę być taka śmiała, czego właściwie będziesz tam szukał, mistrzu Ferusie?

- Najwyraźniej możesz - odparł starzec. - Jestem pewien, że rozpoznam to, kiedy to zauważę.

Tym razem Albion się uśmiechnął.

-Ładowisko ma najwięcej mieszkańców ze wszystkich kondygnacji w kasztelu. Odwiedza je również najwięcej ludzi z zewnątrz. To centrum wymiany informacji i czarnorynkowego handlu. Jeśli możemy się czegoś dowiedzieć o naszych gościach albo o żmii, która się wśród nas ukrywa, to z pewnością właśnie tam.

- Hmm - mruknął Ferus mniej pewnym siebie tonem. - Istotnie Z pewnością będę również szukał informacji.

Albion wskazał palcem na Benedicta.

-Jedynym twoim zadaniem podczas tej operacji jest dbanie o bezpieczeństwo mistrza Ferusa. On ma kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa Kasztelu Albion. Masz nie odstępować go nawet o krok. I bronić go. Cokolwiek się wydarzy, mistrz Ferus musi wrócić do nas bezpiecznie. Zrozumiano?

- Tak jest - odparł Benedict, z powagą kiwając głową.

Albion przeniósł spojrzenie na Bridget.

- Ciebie i pana Rowla wysyłam tam dlatego, że jeśli w Kondygnacji Poranka doszło do jakichś kłopotów, miejscowe koty z pewnością będą o tym wiedziały. One rzadko są skłonne do współpracy z ludźmi, ale jestem przekonany, że dla ciebie zrobią wyjątek. Masz być łączniczką między nimi a panem Ferusem.

- Z tym sobie poradzę — zapewniła Bridget.

-A co ze mną? - zapytała Gwen. Była pewna, że w jej głosie nie zabrzmiała niecierpliwość, ale oczy lorda Albiona znowu przybrały wesoły wyraz.

- Panno Lancaster, zauważyłem twoje talenty, a także niewątpliwą, hmm, determinację, z jaką zwykłaś podążać raz wyznaczonym szlakiem, bez względu na to, czy prowadzi on w sensownym kierunku, i w związku z tym zlecam ci zadanie torowania drogi.

- Słucham?

-Twoim obowiązkiem będzie usuwanie przeszkód stojących na drodze dochodzenia prowadzonego przez mistrza Ferusa. Ono musi zostać przeprowadzone. Masz omijać, przewycięzać albo niszczyć wszelkie bariery, jakie mogą się pojawić.

Gwen poczuła, że marszczy brwi.

- Nie jestem pewna, czy umiem to zrobić.

- Nie jestem pewien, czy umiesz robić cokolwiek innego - zażartował Benedict.

Kopnęła go szybko w kostkę bokiem stopy.

- Kapitan Grimm - ciągnął kasztelan, jakby tego nie zauważył - dostarczy was do Lądowiska i wraz ze swoją załogą będzie gotowy służyć wam pomocą, gdyby zaistniała taka potrzeba. - Przyjrzał się kolejno wszystkim trojgu. - Rozumiecie na czym polega wasza misja? Są jakieś pytania?

- Hmm - odezwała się niepewnie Bridget. - Co właściwie mamy zrobić? Och, rozumiem, że naszym zadaniem jest pomóc mistrzowi Ferusowi - dodała pośpiesznie - ale w czym właściwie będziemy mu pomagać?

Kasztelan spojrział na nią z powagą.

- Rozumiesz, co znaczy fraza „bezpieczeństwo operacji”, panno Tagwynn?

-Nie.

- Chodzi o to, że nie wszyscy muszą znać wszystkie informacje - wyjaśnił. - Dzięki temu, jeśli będzie wśród was zdrajca, albo nieprzyjaciel weźmie was do niewoli i podda przesłuchaniu, i tak nie dowie się wszystkiego. Nie możecie przypadkiem wygadać tajemnic, których nie znacie, i nie da się też wydobyć ich z was za pomocą tortur.

- Ojej - odrzekła Bridget, otwierając szeroko oczy.

- Zostawiam mistrzowi Ferusowi decyzję o tym, ile każde z was musi wiedzieć, by odpowiednio wykonać swą misję - ciągnął kasztelan. - Udzieli wam takich informacji, jakie uzna za stosowne. Do tej chwili macie po prostu wykonywać swoje obowiązki. Jasne?

- To brzmi całkiem prosto — stwierdziła Gwen.

- Często tak bywa z tym, co najważniejsze - zauważył lord Albion. -Spakujcie się szybko. Wyruszacie w drogę przed upływem godziny.

ROZDZIAŁ 21

Kasztel Albion, Statkownia Floty

Bridget trzymała Rowla przed sobą w splecionych ramionach, idąc w górę spiralną rampą prowadzącą z Kondygnacji Poranka do statkowni położonej na dachu kasztelu. Starła się oddychać spokojnie.

- Doprawdy - odezwał się Rowl. — Co cię tak niepokoi, Małamyszko?
- Nigdy... - Bridget się zająknęła. - Właściwie nigdy jeszcze nie byłam... na zewnątrz.
- Jest też wiele innych rzeczy, których nigdy jeszcze nie robiłaś - zauważył kot. - Nie ma sensu bać się ich wszystkich.

Obejrzała się za siebie. Benedict towarzyszył mistrzowi Ferusowi, ani na moment nie oddalając się od niego na więcej niż dwa kroki. Dźwigał własny plecak oraz gigantyczną torbę podróżną, najwyraźniej przeznaczoną dla staruszka i jego uczniacy, ale nie poświęcał im nawet najmniejszej uwagi. Cały czas obserwował otoczenie, choć nie opuścili jeszcze Kondygnacji Poranka.

- Nie boję się - zapewniła Bridget. - Po prostu... rozważam możliwości.
- Takie jak upadek na ziemię? - zapytał Rowl.

Dziewczyna przełknęła ślinę.

-Tak.

- Albo to, że jakiś ogromny potwór może wypaść z mgły i cię pożreć?
- Jestem pewna, że artyleria kasztelu potrafi odeprzeć paszcze mgieł.
- Albo że postradasz zmysły od światła słonecznego?

Palce Bridget natychmiast powędrowały do szyi, na której miała zawieszony gogle z ochronnymi soczewkami.

- Rowl, mój przyjacielu, czasami bywasz naprawdę nadzwyczajnym potworem.
- We wszystkim jestem nadzwyczajny - odparł kot, poruszając pogardliwie ogonem.
- Umiesz rozmawiać z kotami, panno Tagwynn? - zapytał idący obok mężczyzna. Kapitan Grimm, nadal mający rękę na temblaku, wyglądał, jakby w każdej chwili mógł zemdleć ze zmęczenia, lecz jego głos brzmiał spokojnie i uprzejmie, a oczy były czujne.

- Nie bezbłędnie - przyznała Bridget. - Choć, szczerze mówiąc, myślę, że większość z nich rozumie każde nasze słowo. Poza tymi, których nie chcą zrozumieć, oczywiście.

Kapitan zerknął z uśmiechem na Rowla.

- Nieładnie tak mówić o bohaterze.

Kot znowu poruszył ogonem. Na jego pyszczku pojawił się wyraz nieznośnego samozadowolenia.

Bridget uśmiechnęła się i potarła nos o jego futrzastą głowę.

- Faktycznie jest bohaterem. Ale również tyranem.

Kot spojrzał na nią i ziewnął.

Grimm parsknął krótkim, chrapliwym śmiechem.

- Tak, tak. Kot, który mieszkał na *Niebezpiecznym*, był taki sam. Nie lubił słuchać rozkazów, ale mieliśmy szczęście, że nam towarzyszył.

-Ten człowiek wygląda na inteligentniejszego niż większość innych, Małamyszko - odezwał się Rowl,

spoglądając na Grimma. - Postanowiłem, że może z nami zostać.

- To bardzo praktyczne rozwiązanie, biorąc pod uwagę, że to jego statek ma nas zabrać na dół - odparła z przekąsem Bridget.

Grimm najwyraźniej domyślił się z kontekstu, co powiedział kot, pochylił bowiem lekko głowę w jego stronę.

- Do usług, sir. Ach, wystawiono wartowników. Bardzo dobrze.

Ich grupka dotarła na szczyt rampy prowadzącej do statkowni. Wejście zamknięto masywną metalową kratą opuszczaną z góry. Straż pełniło przy niej co najmniej dwudziestu żołnierzy piechoty powietrznej. Gwendolyn Lancaster najwyraźniej poważnie potraktowała swoje zadanie, ponieważ podeszła już do wartowników i zaczęła rozmawiać cicho ze starszym sierżantem, pokazując mu upoważnienie podpisane przez kasztelana. Żołnierz nie wyglądał na zadowolonego. Gwen zmarszczyła brwi, wsparła zaciśniętą pięść na biodrze i powiedziała mu coś z wyraźnie cierpką miną.

Ogorzała twarz sierżanta poczerwieniała jeszcze bardziej, warknął coś jednak i skinął szybko ręką. Jeden z jego ludzi podszedł do kraty i zaczął ciągnąć za podnoszącą ją linę, otwierając przed nimi drogę do statkowni.

Z zewnętrznego świata w dół rampy spłynęło światło, niemal dorównujące jasnością impulsowi z rękawicy. Towarzyszył mu powiew. Powietrze było zimniejsze od tego, do którego Bridget przywykła w kondygnacji. Niosło ze sobą dziwne zapachy - drewno, świeże i spalone, metal, a także coś innego, coś ostrego i świeżego. Serce dziewczyny zabiło gwałtownie.

Kapitan Grimm powiedział coś do niej, ale nie była pewna co. Wyszli po rampie w intensywnie pachnące powietrze i oślepiający blask.

Było tu jasno, boleśnie jasno, jakby nagle uświadomiła sobie prawdę, która nie spodobała się jej nawet w najmniejszym stopniu. Musiała zamknąć oczy, gdy zimne powietrze uderzyło ją w twarz. Poraził ją szok. Nigdy w życiu nie zaznała podobnego wrażenia.

Potem przypomniała sobie w nagłym ataku paniki, że bardzo niebezpiecznie jest wystawiać oczy na nieosłonięte światło. Poszukała na oślep ręką gogli, które miała na szyi. Było to trudne, bo miała tylko jedną wolną rękę, ale w końcu zdołała unieść je do twarzy i przytrzymać drżącymi palcami.

Ciemne soczewki osłabiły blask i Bridget nagle odzyskała zdolność widzenia.

I przez jakiś czas tego żałowała.

W statkowni były budynki i sterowce, a także pełno ludzi, ale wszystko to miało zdecydowanie drugorzędne znaczenie. Bridget uniosła wzrok i poczuła, że zaraz może runąć na ziemię z czystej dezorientacji.

Nie było sufitu.

Nie było sufitu!

Patrzyła coraz wyżej, wyżej i wyżej, ale nad jej głową po prostu nie było nic. Nic poza jasną, zwiewną zasłoną mgły, ciągnącą się w nieskończoność ze wszystkich stron. Bridget nabrała irracjonalnego przekonania, że balansuje nad przepaścią i jeden fałszywy krok może cisnąć ją w pustkę. Przeniosła szybko spojrzenie na podłogę, walcząc z nagłym, przemożnym pragnieniem, by upaść na brzuch i uczepić się ze wszystkich sił solidnej podłogi z kasztelowego kamienia.

- Spokojnie - usłyszała głos kapitana Grimma. - Niektórzy za pierwszym razem przeżywają szok, panno Tagwynn.

- Przepraszam - zdołała wykrztusić. - Nie chciałam robić sceny. Z reguły jestem spokojna.

- Radzisz sobie lepiej niż ja w tej sytuacji - odparł Grimm. - Ja zwróciłem śniadanie i przez całe dni nie byłem w stanie spojrzeć w górę.

- I co zrobiłeś?

- Próbowałem tak długo, aż mi się udało - odparł. - Z czasem robi się lepiej. Nie czuj się winna z tego powodu. To minie.

- Moim zdaniem to bardzo interesujące — oznajmił Rowł tonem pełnym spokoju i samozadowolenia.

Bridget stłumiła coś, co mogło się przerodzić w śmiech albo łkanie. Sama nie była pewna, w co. Nadal dokuczały jej mdłości i zawroty głowy, ale nie ulegało wątpliwości, że ten problem nie rozwiąże się sam. Niebo nigdzie sobie nie pójdzie. Zaczerpnęła głęboko tchu i zmusiła się do uniesienia wzroku.

Ujrzała gorejącą kulę, otoczoną mgłą. Słońce. Nigdy dotąd nie widziała go w ten sposób, gdy jego promienie nie były przefiltrowane i rozproszone przez półprzezroczyste sekcje kasztelowego kamienia otaczającego kondygnację. Świeciło silniej niż jakiegokolwiek kryształ czy świeca, które w życiu widziała.

-To... - wydyszała. - To jest piękne.

Grimm uniósł wzrok, a potem się uśmiechnął.

- Widok jest dziś dość marny — sprzeciwił się. - Zaczekaj, aż zobaczysz, jak naprawdę wygląda niebo.

- Chcesz powiedzieć, tam na górze? - zapytała Bridget, unosząc palec. Odwróciła się i zobaczyła, że kapitan Grimm spogląda w górę z pogodnym uśmiechem.

-Tam na górze — potwierdził. - Pod głębokim, błękitnym niebem. Jeśli uważasz, że słońce jest piękne, zaczekaj, aż zobaczysz je bez całej tej mgły. I księżyc. I gwiazdy. Nie ma nic piękniejszego niż gwiazdy na czystym niebie, panno Tagwynn.

- Ale czy to bezpieczne? - zapytała Bridget. — Widzieć takie rzeczy? Myślałam, że ludzie, którzy je oglądają, wpadają w obłąd.

- Och, za dnia będziesz potrzebowała gogli, to prawda — przyznał Grimm. - Sterowce unoszą się na prądach eteru, a z nimi światło słoneczne dziwnie oddziałuje. Jeśli nie chroni się przed nimi oczu, umysł może cierpieć.

Bridget zerknęła na mistrza Ferusa.

- Czy to... czy dlatego ten człowiek lorda Albiona jest... tak dziwny?

- Jest eterykiem, panno Tagwynn - wyjaśnił Grimm. - Większość z nas prądy eteryczne po prostu opływają, jak woda w strumieniu opływa kamienie. Ale niektórych eteryczna energia nie omija, lecz przepływa prosto przez nich. - Pokręcił głową. - Takim jak ja czy ty gogle wystarczają, panienko, ale dla kogoś takiego jak mistrz Ferus nie ma ochrony.

- Jest szalony? — zapytała cicho Bridget.

- Jego uczennica również, choć w mniejszym stopniu — dodał Grimm. - Pan Ferus jest czwartym eterykiem, którego spotkałem w życiu. Wszyscy byli szaleni. Pytanie tylko, czy to daje się zauważyć.

- Och - odparła Bridget. - Nie chciałabym zwracać ci głowy dalszymi pytaniami, kapitanie. Z pewnością masz obowiązki do wykonania.

Pokręcił głową.

- Proszę bardzo, pytaj. W końcu mam służyć wam wsparciem. Zapewne dzielenie się skromną wiedzą, którą mogę posiadać, wchodzi w zakres tych obowiązków. Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

- Dziękuję. Czy eterycy naprawdę potrafią robić te wszystkie rzeczy, o których mówią opowieści?

- To pewnie zależy od tego, które opowieści znasz.

- Pewnie te same, co wszyscy - przyznała Bridget. - *Historie Burnhama. Finch i Broom.*

Grimm uśmiechnął się lekko i rozpostarł dłonie.

- No cóż, te mogą być nieco przesadzone.

- Ale czy eterycy naprawdę robią takie rzeczy? - nie ustępowała dziewczyna. - Przywołują pioruny słowami mocy. Unoszą się w powietrzu dzięki mistycznym gestom?

- Nie wyobrażaj sobie tego w taki sposób. Pod wieloma względami to po prostu eteryczni inżynierowie.

- Eteryzni inżynierowie nie przywołują piorunów. Ani nie latają.

- Czyżby? — zapytał Grimm. - Potrafią budować eteryczną broń, taką jak rękawice, długie strzelby i działa, prawda? A także sterowce, które wznoszą się ku niebu.

- To prawda - przyznała Bridget. - Ale to... to broń i statki. Pewnie, że to robią. Projektują i budują urządzenia spełniające określone zadania.

- Chodzi mi o to, że eterycy robią podobne rzeczy. Po prostu pomijają kłopotliwy etap pośredni. Bridget poczuła, że się uśmiecha.

- Aha - odparła. - I czy to wszystko, co on potrafi?

Grimm mrugnął do niej znacząco.

- Czy są niebezpieczni? - zapytała.

Kapitan zastanawiał się przez chwilę.

- Każdy człowiek może być niebezpieczny, panno Tagwynn - odpowiedział wreszcie. — Czy to eteryk, czy nie. - Uśmiechnął się do niej, lecz jego twarz zaraz spoważniała. - Ale, mówiąc między nami, sądzę, że ich możliwości są znacznie większe, niż nam się zdaje. Osobiście uważam, że powinniśmy zachować otwarty umysł.

Przeszli przez całą statkownię i wreszcie dotarli do wielkiej rampy załadunkowej, prowadzącej do sterowca.

- Kapitanie Grimm, czy to twój statek? - zapytała Bridget.

- Tak - odparł mężczyzna z dumą w głosie. - To *Drapieżca*, panno Tagwynn. Jak rozumiem, nigdy jeszcze nie byłaś na pokładzie sterowca?

Bridget przytaknęła, unosząc wzrok.

- Nigdy nawet żadnego nie widziałam.

Doszła do wniosku, że *Drapieżca* z pewnością jest imponujący. Wielka, zasadnicza część statku wyglądała jak przekrojony na pół walec o osobliwych zarysach, zawieszony między trzema zaokrąglonymi wieżami, wznoszącymi się na obu końcach sterowca oraz w samym jego środku. Po obu burtach ulokowano skupiska jakiegoś rodzaju prętów, sprawiających wrażenie, że można je rozkładać. Zwisły z nich płachty staromodnego płótna żaglowego. Uświadomiła sobie, że to żagle, które można było rozwijać poziomo, wzdłuż burt statku. Inne maszty złożono pod brzuchem sterowca, który unosił się nad kamiennym podłożem statkowni dzięki masywnym rozporom podtrzymującym ciężar całego statku. Zauważyła też, że na górnym pokładzie wznoszą się dwa kolejne maszty o rozpostartych na boki rejach. Na nich również wisiały zrefowane żagle. Wzdłuż obu masztów ciągnęły się szeregi wielkich metalowych pierścieni, owiniętych wokół zwiniętych płacht eterycznego jedwabiu — sieć eteryczna statku.

Większość sterowców, o których czytała, używała silników parowych jako wspomagającego napędu. Żagle widziało się tylko na statkach należących do bardzo biednych kaszteli albo do złoczyńców, takich jak piraci, przemytnicy i im podobni, którzy woleli żeglować przez niebezpieczne mgły niż pod otwartym niebem.

Na całej powierzchni statku, u podstaw masztów, widziała potężne szpule owinięte sieciami utkanymi z eterycznego jedwabiu, które chwytały prądy eteru, pozwalając sterowcom poruszać się szybciej niż jakikolwiek inny środek transportu na świecie. Bridget nie miała trudności ze zrozumieniem zasady ich działania. Im więcej sieci rozwinięto ze szpuli, tym więcej eterycznej energii była w stanie przechwycić, i tym szybciej mógł poruszać się statek. Rzecz jasna sieć musiała być naładowana elektrycznością, by mogła funkcjonować, a to znaczyło, że osiągi sterowców zależą od siły ich rdzeni mocy.

Statek był też uzbrojony.

Bulwiaste stanowiska dział wyrastały z pokładów, ich miedziane paszcze wysuwały się z kosztownych stanowisk obrotowych, pozwalających artylerzystom strzelać do przodu i do tyłu, a także w górę i w dół. Bridget nie potrafiła ocenić, jak wielkie są działa *Drapieżcy* w porównaniu z innymi, z pewnością jednak wyglądały groźnie.

Bridget zauważyła, że jednego ze stanowisk działowych po prostu brak. Otaczające je deski niedawno przecięto, co sugerowało, że trzeba było usunąć jeszcze więcej drewna, by stworzyć stabilną podstawę, na której zamontuje się nowe działło.

Uświadomiła sobie, że cały sterowiec zrobiono z drewna — tak wielkiej ilości drewna, że przekraczało to jej wyobraźnię. Pamiętała, jak dumny był jej ojciec, gdy mogli sobie pozwolić na zamontowanie w kadziowni kontuaru z polerowanego drewna. Zawsze bardzo dbał o niego. Wydali całotygodniowy dochód na drewno potrzebne na kontuar długości dziesięciu stóp i szerokości trzech.

A Drapieźca był dwanaście razy dłuższy i wysoki jak piętrowy dom.

I wszystko to z drewna.

Po całym statku krążyło wielu ludzi. Mężczyźni wnoszący na pokład po rampie załadunkowej rozmaite skrzynie oraz torby. Zwisający na linach pod spodem kadłuba, szorujący go olejem, mężczyźni na wieżach, wspinający się na maszty i trudzący przy zrefowanych żaglach, szorujący pokład, sprawdzający stanowiska dział i starannie nawijający na szpule drogi eteryczny jedwab.

Na pokładzie znajdowała się cała armia, a każdy z jej członków wykonywał przypisane mu zadanie. I całe szczęście, że było ich tak wielu. Gdyby nie aeronauci, Bridget i jej towarzysze mogliby nie przeżyć konfrontacji w tunelu, bez względu na to, co sobie myślała Gwendolyn.

- Proszę mi wybaczyć, panno Tagwynn - rzekł Grimm. - Mam jeszcze wiele spraw do załatwienia, zanim będziemy mogli wyruszyć.

- Oczywiście, sir.

Skinął głową i skłonił się lekko w pasie.

- Ktoś wkrótce zejdzie na dół, by wam powiedzieć, dokąd macie iść.

Wszedł na rampę, bezbłędnie omijając kilku ludzi dźwigających różne ciężary.

Rowl gapił się ze skupieniem na statek. Jego oczy śledziły każdy ruch, a uszy kierowały się z drżeniem ku przodowi.

- Małamyszko — rzekł. — To wygląda interesująco.

- Mam nadzieję, że nie nazbyt interesująco - odparła Bridget. — No wiesz, na sterowcach jest niebezpiecznie.

-Niebezpiecznie - powtórzył Rowł ociekającym pogardą tonem. -Chyba dla ludzi.

-Nie bądź głupi. Czają się tu najrozmaitsze zagrożenia. Maszyna, przewody elektryczne, broń. Jeśli wyruszysz na eksplorację, możesz się natknąć na coś, co zrobi ci krzywdę.

- W przeciwnym razie trudno by było to nazwać eksploracją - skwitował Rowł. - Ale skoro tak bardzo się martwisz i wiem, że nie przestaniesz o tym mówić, bez względu na to, jak głupio to brzmi, będę się trzymał blisko ciebie. Oczywiście, po to, by dopilnować, że sama nie nadziejesz się na żadne z tych licznych niebezpieczeństw.

- Dziękuję - odparła Bridget.

- Ale te wysokie... statkowe drzewa stojące na szczycie.

- Nazywamy je masztami - poinformowała go Bridget. Koci język miał swoje wady.

- Statkowe drzewa - powtórzył uparcie Rowł. - One mnie interesują. Wdrapię się na nie.

-Aż na sam szczyt? - zapytała dziewczyna. Zakreśliło się jej lekko w głowie już na samą myśl o widoku ze szczytu masztów. - To wydaje się zbędne.

Kot odwrócił głowę i popatrzył na nią ze spokojem.

- Czasami zapominam, że jesteś tylko człowiekiem - stwierdził. Poruszył lekceważąco uszami i znowu spojrzął na maszty. — Kot by to zrozumiał.

- Dopóki by nie spadł - odpowiedziała.

Rowł wydał z siebie warkliwy dźwięk. Nietrudno było zrozumieć, że wyrażał on niezadowolenie. Bridget nie mogła powstrzymać uśmiechu. Mały potwór był tak zarozumiały, że po prostu musiała podrażnić się z nim od czasu do czasu.

Uściskała go delikatnie i potarła nosem futro na jego głowie.

Warknął ponownie, lecz już znacznie mniej przekonująco.

Nagle pojawiła się przed nimi jakaś sylwetka. Bridget uniosła wzrok i zobaczyła stojącą obok uczennicę eteryka. Dziewczyna o oczach dziwnej barwy unosiła wzrok, Bridget zauważyła jednak, że nie kieruje go na żaden szczegół, który przyciągnął jej własną uwagę. Wpatrywała się intensywnie w gładkie deski burt *Drapieżcy*. Bridget odniosła lekko niepokojące wrażenie, że uczennica eteryka patrzy na wskroś przez drewno.

- Ojej - odezwała się dziewczyna, pochylając głowę na tyle, że było oczywiste, że mówi do słoika ze zużyтыми luminowymi kryształami, który nadal trzymała pod pachą. — Widziałyście kiedyś taki?

- Słucham, panienko? - zapytała uprzejmie Bridget.

- Och, znowu do mnie mówią—poskarżyła się dziewczyna. - Dlaczego ludzie zawsze muszą do mnie mówić, gdy tylko wyjdę z domu?

Bridget stropiła się, usłyszawszy tę odpowiedź. Jak powinno się postąpić w takiej sytuacji? Wydawało się nie do pomyślenia, żeby stały obok siebie, oglądając coś tak wspaniałego, i przynajmniej nie spróbowały nawiązać uprzejmej rozmowy.

- Hmm... obawiam się, że nie wiem, jak masz na imię, a najwyraźniej mamy ze sobą współpracować. Ja jestem Bridget Tagwynn, a to jest Rowl.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

- To są Bridget Tagwynn i Rowl — oznajmiła słoikowi. — Mamy ze sobą współpracować.

Bridget zmarszczyła brwi. Odpowiedz dziewczyny nie była, ścisłee mówiąc, nieuprzejma. Po prostu tak dalece niepowiązana z sytuacją, że zasady etykiety nie miały tu zastosowania.

- Przepraszam, czy mogłabyś mi powiedzieć, jak masz na imię?

Dziewczyna westchnęła.

- Chce poznać moje imię, ale ja po prostu zupełnie sobie nie radzę z przedstawianiem się. Może powinnam sobie wytatuować „Folly” na czole, żeby ludzie mogli to przeczytać.

- Folly - powtórzyła Bridget. - Miło mi cię poznać, Folly.

- Jest naprawdę słodka - oznajmiła słoikowi dziewczyna. - Jestem pewna, że ma dobre intencje.

- Dziewczyna chyba ma za dużo rzeczy w głowie - skwitował Rowl.

- Och, kot ma rację - odparła Folly. - Wszystkie rzeczy, o których zapomniałam i te, o których nie zapomniałam. Ciągle zapominam, które powinnam schować pod zakurzoną brezentem.

Bridget znowu zmarszczyła brwi. Przed opuszczeniem kadziowni mogłaby policzyć na palcach jednej ręki wszystkie znane sobie osoby rozumiejące koci język. Zerknęła na Rowla. Kot wpatrywał się w nieskończoną dal, nie okazując nawet najmniejszej reakcji. Bridget знаła go wystarczająco dobrze, by zdać sobie sprawę, że nie jest zaskoczony.

Benedict i Gwendolyn wreszcie ich dogonili. Młody mężczyzna trzymał się blisko wyraźnie oszołomionego mistrza Ferusa.

- ...po prostu powiedzieć - ciągnął Benedict - że być może udałoby ci się skłonić wartownika do współpracy bez straszenia go aresztowaniem za utrudnianie dochodzenia.

Gwendolyn zmarszczyła czoło.

- Uważasz, że powinnam mu zagrozić oskarżeniem o zdradę? Za to grozi kara śmierci.

Benedict obrzucił kuzynkę udręczonym spojrzeniem.

-Gwen, nie... nie umiem... w żaden sposób... - Pokręcił głową, rozdziawiając na chwilę usta...

Gwen uśmiechnęła się bledziutko. Jej oczy rozblęły.

Benedict z westchnieniem zamknął usta.

- Masz rację. Nie będę ci już więcej mówił, jak masz wykonywać swoją robotę, kuzynko.

- Dziękuję - ucieszyła się Gwen.

Bridget uśmiechnęła się półgębkiem, słysząc ich rozmowę. Nawet Rowl sprawiał wrażenie

rozbawionego.

Po niespełna minucie bardzo wysoki młody mężczyzna o ciemnych włosach i wydatnej żuchwie zszedł dziarsko z pokładu i ruszył w ich stronę. Miał na sobie skórzany strój aeronauty, a z szyi zwisały mu gogle. Zatrzymał się przed nimi i uklonił uprzejmie.

- Panie i panowie, jestem Byron Creedy, pierwszy oficer *Drapieżcy*. Mistrz Ferusie, kapitan Grimm prosił mnie, bym wprowadził ciebie i towarzyszących ci ludzi na pokład, gdy tylko będzie to dla ciebie dogodne.

Stary eteryk zamrugał i uniósł wzrok, wyrwany z zamyślenia. Obejrzał młodzieńca od stóp do głów, a potem skinął głową.

— Najdogodniej byłoby wczoraj. Ale wystarczy natychmiast.

Creedy uniósł brwi, usłyszawszy tę odpowiedź, ale pochylił głowę w ukłonie.

- W takim razie, ruszajcie, proszę, za mną - rzekł. - Witajcie na *Drapieżcy*.

ROZDZIAŁ 22

SHA Drapieżca

Gwendolyn Lancaster rozglądała się po pokładzie *Drapieżcy* ze sceptycyzmem, który uważała za w pełni uzasadniony. Wyglądało na to, że na rozkaz kasztelana wpadła w towarzystwo złoczyńców.

Och, z pewnością wykazali się odwagą w bitwie. Musiała też przyznać, że być może uratowali jej życie. A nawet prawdopodobnie. Zadała jednak kilka pytań spotkanym członkom załogi i dowiedziała się, że kapitan Grimm i jego ludzie najpierw pośpieszyli z pomocą Kadziowni Lancasterów. Mógł to być przypadek, ale ojciec Gwen raczej nie wierzył w takie rzeczy.

Kryształy produkowane przez kadziownię należącą do jej rodziny były dosłownie najbardziej wartościowym zasobem na całym świecie, najdroższym elementem wyposażenia dostępnym na rynku. Graniczyłoby z cudem, gdyby kapitan rozpaczliwie potrzebujący nowych kryształów zupełnie przypadkowo znalazł się w pobliżu kadziowni. Równie mało prawdopodobne wydawało się, by przypadkiem uratował dziedziczkę Domu Lancasterów.

Mogła przyznać, że człowiek myślący taktycznie mógłby przewidzieć, że Kadziownia Lancasterów będzie jednym z głównych celów ataku, ale jeśli Grimm zdołał się tego domyślić w chaosie bitwy, znaczyłoby to, że dorównuje umiejętnościami taktycznymi samemu admirałowi Tagwynnowi, a Gwen raczej wątpiła, by Flota postanowiła wyrzucić tak zdolnego oficera. Rzecz jasna, zbiegi okoliczności się zdarzały i to mógł być jeden z nich. Jeśli jednak tak nie było, znaczyło to, że kapitan Grimm znał ruchy i plany nieprzyjaciela.

Niewykluczone, że wyrządzała odważnemu i zdolnemu człowiekowi Poważną krzywdę, ale determinację w obronie kadziowni wysała z mlekiem matki i od owego czasu bez chwili przerwy wbijano jej to do głowy.

Ich kadziownia jako jedyna w całym kasztelu było zdolna produkować kryształ rdzenia. Dlatego po prostu musieli podejmować wszelkie możliwe środki ostrożności. Nie mieli innego wyjścia. Choć przyznawała z żalem, że Grimm mógł zasługiwać na lepsze traktowanie z jej strony, obowiązek nakazywał jej obserwować go ze spokojną uwagą.

Wchodziła po schodach na mostek sterowca - stożkową wieżę ulokowaną na jego przednim końcu. Z tyłu jej dachu znajdowało się małe podwyższenie, na którym umieszczono sterowe uchwyty statku. Stojący na nim pilot będzie miał najlepszy ze wszystkich ludzi na pokładzie widok na wszystko, co rozciąga się przed statkiem. Podobnym widokiem będą się mogli cieszyć kapitan i jego zastępca, stojący na pokładzie przed pilotem. Gwen nie wątpiła, że podczas bitwy dobry widok na otoczenie sterowca ma kluczowe znaczenie.

W tej chwili nie było tu jednak nic szczególnie ciekawego do oglądania. Mgła zgęstniała, gdy tylko *Drapieżca* odbił od pirsu i statek unosił się obecnie w mlecznej otchłani. Słońce było tylko bladą plamą widoczną w górze. Po lewej stronie - czy „burcie” - sterowca znajdował się matowocarny mur Kasztelu Albion. Do długiej liny biegnącej w dół przytwierdzono dwie grube cumy niepozwalające, by niesiony przez wiatr sterowiec oddalił się od wieży. Natomiast dwie długie tyczki sterczące z boku nie pozwalały, by wiatr zepchnął statek na mur. Wyruszyli w drogę już przed kwadransem i czarny kamień kasztelu przesuwał się powoli w górę przed ich oczami, w miarę jak statek zanurzał się coraz głębiej we mgłę,

zmierzając ku statkowni w Kondygnacji Lądowiska.

Pilot, wyglądający na twardziela mężczyzna nazwiskiem Kettle, pierwszy zauważył Gwen i odchrząknął głośno.

Kapitan Grimm i porucznik Creedy zerknęli na Kettle'a, a potem na dziewczynę. Następnie wymienili spojrzenia i porucznik podszedł do niej z uprzejmym uśmiechem.

— Panno Lancaster, czym mogę pani służyć?

Gwen poprawiła granatową kurtkę mundurową.

— Chciałabym zadać panu kilka pytań, sir. Czy to będzie możliwe?

— Z pewnością, panno Lancaster.

Skinęła głową.

- Czy jesteś tym samym Byronem Creedym, który przedtem służył na krążowniku liniowym

Chwalebny?

Przyjazna dotąd twarz Creedy ego utraciła nagle wszelki wyraz.

- Istotnie, panno Lancaster. Miałem ten zaszczyt.

-I czy komisja personalna Floty zawiesiła cię w obowiązkach za zachowanie niegodne oficera i dżentelmena?

Mięsień w kąciку ust młodego oficera poruszył się nerwowo. Creedy skinął głową, krótko i sztywno.

- Rozumiem — rzekła Gwen. — Może się okazać, że sukces naszej misji, a także nasze życie, będzie zależało od ciebie, poruczniku. Dlatego muszę się dowiedzieć, jakiego rodzaju człowiekiem jesteś i czy będziesz skłonny pośpieszyć nam z pomocą, gdy o to poproszę.

- Panno Lancaster - zaczął Creedy nadzwyczaj uprzejmym i starannym tonem - o ile mi wiadomo, kapitan i załoga *Drapieżcy* pośpieszyli wam z pomocą, nawet gdy o to nie prosiliście. Tak przynajmniej odebrałem sytuację, na którą natknęliśmy się w tunelu.

-Wybacz, sir - ciągnęła Gwen - ale mamy mało czasu i obawiam się, że muszę mówić wprost. Skreślono cię karnie z listy aktywnych oficerów Floty. Twojego kapitana wyrzucono z niej całkowicie. Wielu członków waszej załogi ma podobne plamy w życiorysie. To prawdziwa kolekcja zhańbionych ludzi.

- Być może wolałabyś odbyć resztę podróży do Lądowiska bez narażania się na nasze hańbiące towarzystwo? - zasugerował Creedy, unosząc hardo podbródek.

- Byronie - ostrzegł go Grimm łagodnie, lecz stanowczo.

Creedy obejrzał się przez ramię, głośno sapnął i znowu zwrócił twarz ku Gwen.

- Panno Lancaster, na twoim miejscu uważałbym, co mówię o kapitanie w obecności jego oficerów i załogi, wliczając w to mnie - oznajmił cichym, stanowczym głosem. - Nikt z nas nie lubi słuchać, jak go znieważają, i jeśli to zrobisz, nikogo nie będzie obchodziło, kim są twoi rodzice. Czy wyraziłem się jasno?

- Czy powiedziałaś coś, co nie jest prawdą? — zapytała Gwen, unosząc brwi.

- Nie - przyznał. - Ale nie powiedziałaś też nic, co byłoby całą prawdą. Świat nie kończy się na tym, co komisja personalna ma do powiedzenia o oficerze albo aeronaucie. Uważaj. Co. Mówisz.

Uklonił się sztywno i opuścił dumnym krokiem mostek. Jego buty uderzały głośno o pokład, a potem o schody.

Gdy Gwen odwróciła się ku dziobowi statku, zauważyła, że Grimm stoi dwie stopy od niej. Zbliżył się zupełnie bezgłośnie. Gwen tylko najwyższym wysiłkiem woli zdołała się nie wzdrygnąć, gdy ujrzała go tuż przed sobą.

Musiała przyznać, że jest dość atrakcyjnym mężczyzną, choć z pewnością nie można go było nazwać pięknym. Miał dość wydatne czoło, nadające mu lekko zwierzęcy wygląd, jednakże błysk inteligencji widoczny w ciemnych oczach zadawał kłam temu wrażeniu. Kości policzkowe miał szerokie i ostro zarysowane, kontrastujące z masywną żuchwą, usta zaś wąskie, choć Gwen nie potrafiła określić, czy to

naturalna cecha, czy po prostu mocno je zaciskał. Nie zaliczał się do wysokich, ale był muskularny. Sprawiał wrażenie mężczyzny zdolnego do wielu godzin ciężkiej, niestrudzonej pracy. Dłonie miał duże, silne i kanciaste, a choć wyrzucono go z Floty, zachował sztywną postawę typową dla jej oficerów.

Gwen pomyślała, że to krew na jego ubraniu budzi jej niepokój. Nie przebrał się jeszcze po bitwie, nie zmienił nawet temblaka, na którym spoczywała jego ręka.

- Kapitanie Grimm - rzekła ze spokojem.

- Panno Lancaster, dlaczego prowokujesz mojego pierwszego oficera? - zainteresował się.

- Dlatego, że nauczyłam się, że ludzie zawsze reagują szczerzej, gdy są zmęczeni. Chciałam go wypytać, zanim będzie miał czas się przespać.

Zastanawiał się przez chwilę nad jej słowami. Wreszcie skinął głową.

- Jak rozumiem, rozmawiasz teraz ze mną z tego samego powodu? Uśmiechnęła się półgębkiem.

- Coś w tym rodzaju.

Kapitan chrząknął.

- Jesteś stanowczo zbyt młoda, by być tak bezlitosna.

- Niania zawsze mówiła mi to samo. Kilku instruktorów również. Twoi ludzie nadal są dobrego zdania o tobie, kapitanie. Nawet po bitwie. To niezwykle.

- Czyżby?

Wzruszyła ramionami.

- We Flocie jest wielu kapitanów, których ich własni ludzie znienawidziliby, gdyby ponieśli w bitwie takie straty, jak twoja załoga.

- We Flocie jest wielu kapitanów, którzy są idiotami - zauważył. - Twoi ludzie nie wyglądają na zdeprymowanych.

- Ta bitwa była konieczna - odparł Grimm. — Rozumieją to. Ja nie zabiłem ich towarzyszy. Auroranie to zrobili. To również rozumieją.

- Niemniej to niezwykle - upierała się Gwen. - Rozpytywałam się o ciebie, kapitanie Grimm. Tobie również chciałabym zadać kilka pytań.

- W to akurat nie wątpię. Proszę, mów.

Skinęła głową.

- Co możesz mi opowiedzieć o incydencie na *Niebezpiecznym*?

Mina Grimma nadal wyrażała całkowite znużenie.

- Na ten temat nie mam nic do powiedzenia.

- Tak właśnie wszyscy uważają — stwierdziła Gwen, kiwając głową. - Wyniki dochodzenia, które się potem odbyło, utajniono. Nawet wpływy ojca nie pozwoliły mi do nich dotrzeć.

- Co było, minęło - skwitował kapitan. - Lepiej do tego nie wracać.

- Tak najwyraźniej sądzi Admiralicja - przyznała Gwen. - Kapitan Floty zmarł podczas rejsu, a pierwszego oficera pobito tak mocno, że zapadł w śpiączkę. Trzech młodych podporuczników doprowadziło bezpiecznie do domu statek z całą załogą przez pełne piratów niebo. Ściśle mówiąc, byli to podporucznicy Grimm, Bayard i Rook.

Grimm przyglądał się jej obojętnie w milczeniu.

- Po dziś dzień nikt nie jest pewien, co się wydarzyło na *Niebezpiecznym* - ciągnęła - ale okręt wrócił do domu z poważnymi stratami, a gdy pył opadł, podporuczników Rooka i Bayarda awansowano, a podporucznika Grimma zwolniono ze służby za tchórzostwo w obliczu wroga.

- Dość dobrze znam tę opowieść — oznajmił z ironią.

- Ona mnie poważnie niepokoi - stwierdziła Gwen. - Czy jesteś tchórzem, kapitanie?

Grimm przez kilka chwil przyglądał się jej spod przymrużonych powiek.

- Gdy zachodzi taka potrzeba, panienko — odparł. - Gdy zachodzi taka potrzeba.

Gwen przechyliła głowę.

- Nie jestem pewna, co sądzić o tej odpowiedzi, kapitanie.
- To dobrze - skwitował. - Panie Kettle, wyślij po mnie kwadrans przed przybyciem na miejsce.
- Tak jest, kapitanie — odpowiedział lakonicznie pilot.

Grimm uklonił się krótko dziewczynie.

- Do zobaczenia, panno Lancaster - powiedział, po czym odwrócił się i zszedł znużonym krokiem na pokład.

Gwen odprowadzała go wzrokiem, aż dotarł do środkowej wieży i skrył się w swej kabynie. Nie wyglądał jej na złoczyńcę. Ani na tchórza. Zmarszczyła brwi w zamyśleniu. Po chwili poczuła na sobie ciężar spojrzenia pilota. Zerknęła na niego.

- Wierzysz w to, co powiedzieli o nim na sądzie wojennym? - zapytała.

Kettle chrząknął. Przez chwilę wpatrywał się przed siebie i Gwen pomyślała, że po prostu odmówi odpowiedzi. Zwróciła się ku schodom.

- Panno Lancaster? - usłyszała za sobą.

Zatrzymała się.

- Słucham?

- Nie znałem go, kiedy służył we Flocie, ale... - Kettle powoli zaczerpnął tchu, jakby układał w myślach odpowiedź. Potem skinął głową i spojrzał na dziewczynę ze skupieniem na twarzy. - Panno Lancaster, kamień kasztelowy jest ciężki. Ogień jest gorący. A nasz kapitan spełnia swój obowiązek. Bez względu na to, ile go to kosztuje. Rozumiesz?

Przyglądała się nieogolonej twarzy pilota przez czas potrzebny, by wziąć długi oddech. Potem skinęła głową.

- Chyba zaczynam rozumieć. Dziękuję, panie Kettle.

- Nie ma za co, panno Lancaster.

- Ile czasu upłynie, zanim dotrzemy do Lądowiska?

- Jeszcze godzina lotu. Potem musimy poczekać w kolejce do cumowania. To pewnie potrwa kilka godzin. Uderzymy w dzwon, gdy już będzie po wszystkim.

- Dziękuję - odparła Gwen i odwróciła się, zostawiając pilota jego obowiązkom.

To bardzo ciekawe.

Ojciec zawsze jej mówił, że człowieka powinno się osądzać po jego sojusznikach i po jego wrogach. Kapitan Grimm, pomimo statusu wyrzutka, najwyraźniej miał sporo rzeczywiście godnych zaufania sojuszników. Jednym z nich był sam lord Albion. A pomimo tego, co go spotkało, jego duma nie umarła. Jeśli to, co powiedział Kettle, było prawdą, Grimm był niezwykłym człowiekiem. Być może nawet takim, który potrafił dorównać sławnym taktykom z przeszłości, tym, którzy sami sprawiali, że przypadki się zdarzają, zamiast pozwalać, by przytrafiały się one im.

Być może uratował kadziownię, rodzinę Gwen oraz ją samą, ponieważ uważał to za swój obowiązek.

A może nie.

Czas pokaże.

ROZDZIAŁ 23

SHA *Drapieżca*

Sny Grimma nie zaliczały się do przyjemnych. Zakończył je gwałtowny hałas, który po chwili przeszedł w odgłos pukania do drzwi jego kabiny. Nim zdążył się zorientować, że się obudził, jego nogi stały już na deskach. Usiadł zanim zdążył wymamrotać:

— Proszę.

Drzwi się otworzyły i Stern wsadził głowę do środka.

— Błagam o wybaczenie, kapitanie.

Grimm machnął lekceważąco ręką.

— Jesteśmy już na miejscu, panie Stern?

— Nadal czekamy na stanowisko do cumowania — odparł młody żylasty mężczyzna. - Ale masz gościa z Floty, kapitanie.

Grimm przeszył go ostrym spojrzeniem, a potem skinął krótko głową.

— Już idę.

— Tak jest, kapitanie — odparł Stern i zamknął za sobą drzwi.

Gość z Floty? Teraz? Przynajmniej przed zaśnięciem Grimm zdążył się umyć w misce. Teraz wstał, wdział czyste ubranie, najlepsze, jakie mógł znaleźć, i z wysiłkiem założył na zranione ramię nowy temblak. Kilkakrotnie przyczesał grzebieniem rozczochrane włosy, a potem przejrzał się ze skwaszoną miną w małym lustrze. Parodniowy zarost wykluczał możliwość, by mógł się zaprezentować w sposób godny oficera.

Ale przecież nie był już oficerem Floty, nieprawdaż?

Potrząsnął głową, próbując uwolnić ją od porażającego zmęczenia, które wniknęło mu aż do szpiku gości. Nie udało się, ale i tak wyszedł z kabiny.

— Kapitan na pokładzie! — krzyknął Stern, gdy tylko drzwi się otworzyły.

Grimm wyszedł na pokład i zobaczył, że wszyscy widoczni członkowie załogi przerwali swe czynności, zwrócili się ku niemu i pozdrowili go bezbłędnym, regulaminowym salutem. Zdołał powstrzymać uśmiech.

- Panie Stern - mruknął pod nosem. — Dlaczego załoga zawraca sobie głowę regulaminowym zachowaniem tylko wtedy, gdy na pokładzie jest oficer Floty w czynnej służbie?

- Dlatego, że lubimy przypominać tym nadętym skurczybykom, że na tym statku ty dowodzisz. Bez względu na to, co sądzi o tobie Flota.

- Aha - mruknął Grimm. — Spocznij - dodał, podnosząc nieco głos.

Załoga zasalutowała z precyzją godną placu apelowego i wróciła do swych zadań. Niski mężczyzna w eleganckim mundurze komandora przeszedł dziarsko po trapie łączącym *Drapieżcę* z szalupą Floty, unoszącą się obok statku Grimma. Mężczyzna zeskoczył na pokład i pokręcił głową z całkowitym zdumieniem.

- Proszę o pozwolenie wejścia na pokład, kapitanie.

- Bayard — odezwał się Grimm, podchodząc i wyciągając rękę do gościa.

- Mad - odpowiedział komandor, ściskając jego dłoń. - Dobry Boże w Niebiosach, człowieku,

wiedziałem, że *Drapieżca* jest uszkodzony, ale... czyżbyś znowu rozmawiał z nieznajomymi?

- Tylko krótko. Z kapitanem Castillo z *Itaski* - odparł Grimm. - Oddaliłem się, zanim rozmowa mogła posunąć się dalej. Co tu robisz, Alex?

- Słyszeliśmy, że znowu zostałeś ranny, bawiąc się w bohatera podczas ataku. Abigail nalegała, żebym ci się przyjrzał.

Grimm wskazał na swoją rękę.

- Obawiam się, że wieść gminna nadal działa tak samo jak zwykle. Byłem już ranny, zanim się zaczęło.

- Pamiętam - przyznał Bayard. - Zatem odparłeś atak Aurorańskiej Piechoty Powietrznej... jedną ręką.

- Większą część roboty wykonała moja załoga.

- Oczywiście - odparł Bayard z cichym westchnieniem. - A ty stałeś obok i udzielałeś im rad.

- Mówisz, jakbyś mnie znał.

Komandor odsłonił zęby w nagłym uśmiechu.

- I nie odniosłeś żadnych dalszych obrażeń? Być może z rąk bezlitośnie skrytykowanego członka załogi?

- Skończyło się na kilku draśnięciach i siniakach. Nic mi nie jest.

- To bardzo uspokoi Abigail - zapewnił go Bayard. - A teraz, co z tą brandy?

- Jaką brandy?

- Tą znakomitą, którą poczęstujesz mnie w swojej kabinie, oczywiście - odparł Bayard. Jego głos brzmiał radośnie, ale oczy miały poważny wyraz.

- Rozumiem - rzekł Grimm, kiwając głową. - Jeśli w ten sposób szybciej się od ciebie uwolnię, ta inwestycja zapewne mi się opłaci. Tędy, komandorze.

- A niektórzy mówią, że kapitanom handlowych sterowców brak uprzejmości - stwierdził Bayard, wyszczerzając zęby w uśmiechu.

Gdy już znaleźli się w kabinie, Grimm zamknął za nimi drzwi i spojrzał na starego przyjaciela.

- No dobra. A teraz powiedz, o co naprawdę chodzi.

Bayard zatoczył półokrąg palcami prawej dłoni, a potem spojrzał na nie, marszcząc brwi w wyrazie zaskoczenia.

- To dziwne. Nie widzę nic do picia.

Grimm zachnął się i podszedł do szafki, by zaraz wrócić z dwiema szklaneczkami brandy. Jedną podał przyjacielowi. Bayard wziął ją w rękę i uniósł.

- Za nieobecnych przyjaciół - powiedział jak zawsze, kiedy pili razem.

- Za nieobecnych przyjaciół - powtórzył Grimm i obaj pociągnęli po łyku.

- Rada Kasztelu oficjalnie ogłosiła stan wojny z Kasztem Aurora. - poinformował go Bayard.

Grimm zmarszczył brwi.

- To pewnie było nieuniknione.

- Nieuniknione i nieprzyjemne - potwierdził komandor. - Wysłaliśmy już wiadomość do okrętów Pierwszej i Drugiej Floty, by przywołać je do domu. Admiralicja w swej mądrości zdecydowała, że będziemy utrzymywali szyk obronny, dopóki nie zgromadzimy w jednym miejscu wszystkich swoich okrętów.

Grimm poczuł, że brwi mu się unoszą. Sercem wojny powietrznej były nagłe ataki przeważającymi siłami, Dowódca, który oddał inicjatywę nieprzyjacielowi, mógł zostać zniszczony przez zaskakującą ofensywę w czasie i miejscu wybranym przez drugą stronę, nim jeszcze zdąży dać sygnał do kontrataku.

- Słucham?

Bayard klapnął na jego wąską sofę.

- Trafnie to ująłeś. Obawiam się, że ten atak paskudnie wstrząsnął naszym starym Watsonem.

- Dlaczego?

- Dlatego, że miał na celu manipulowanie nim i pod tym względem odniósł pełen sukces. Auroranie kierowali Watsonem, jakby był marionetką na sznurkach. Gdyby jakiś biedny dureń akurat przypadkiem nie przechodził obok Kadziowni Lancasterów...

Bayard wznosił toast.

Kapitan spojrział w górę.

- ...reakcja Watsona mogłaby pozbawić Albion najcenniejszego z jego zasobów. — Komandor przełknął kolejny łyk brandy. — Dlatego teraz zachowuje maksymalną ostrożność, by nie wpaść w kolejną pułapkę.

- A co, jeśli tym razem próbują go skłonić do trzymania się jednego miejsca i zebrania w nim wszystkich naszych okrętów? - zapytał Grimm.

- No właśnie. - Bayard westchnął. - Wszystkie jednostki Pierwszej Floty krążą w tej chwili po wielkim kręgu wokół kasztelu, wypatrując kłopotów. Wygląda to jak jakaś cholerna wielka karuzela. Kilku z nas próbowało przekonać go do innego kursu, ale znasz starego Watsona.

- Jest bardzo zdolnym taktykiem obronnym - sprzeciwił się Grimm.

- Zgadza się - odparł Bayard. - Kłopot w tym, że jest nieudolnym strategiem obronnym. Powinniśmy wysłać okręty do ataku, uderzyć w Au-roran ze wszystkich sił na ich niebie terytorialnym, zmusić ich do przyjęcia defensywnej taktyki. Cholerny dureń wręcz zachęca ich do przejęcia inicjatywy.

- A co to ma wspólnego ze mną? - zapytał Grimm, spoglądając z zasepioną miną na swój trunek. Bayard łypnął na niego ze złością.

- Nie opowiadaj głupstw, Mad. Jesteś człowiekiem Floty. Tak samo jak ja.

- Flota jest innego zdania.

- Mamy wojnę - przypomniał mu przyjaciel. - Potrzebujemy wszystkich zdolnych kapitanów, jakich możemy znaleźć. Chcę, żebyś wrócił.

- Nie mogę. Wywalili mnie.

- Jesteś dowódcą z dużym doświadczeniem bojowym - sprzeciwił się Bayard. - I zyskałeś spory szacunek za obronę Kadziowni Lancasterów. Premier Albionu na własne oczy widział z okna swego gabinetu, jak broniłeś jego domu, jego ludzi i źródła jego dochodów. Jeśli zaoferujesz swe usługi Flocie, myślę, że spotkasz się z przychylnymi wiatrami, a tak się składa, że w mojej eskadrze jest nieobsadzone miejsce dla kapitana.

Grimm uniósł nagle wzrok.

- Chodzi o *Walecznego* - wyjaśnił po prostu Bayard. - Potrzebny mi kapitan okręgu flagowego.

Grimm poczuł nagle ukłucie w piersi - odezwało się coś, o czym całkowicie zapomniał w ciągu minionego dziesięciolecia, głos znacznie młodszego i mniej doświadczonego Francisa Madisona Grimma zdeterminowanego zdobyć pozycję kapitana okrętu. Nie był pewien, czy bardziej przypomina to eksplozję fajerwerków w jego sercu, czy też zawroty głowy towarzyszące spadaniu po pijanemu ze schodów.

- Chyba oszalałeś. Nigdy nie dowodziłem okrętem Floty.

- Tak jest, dowodziłeś - odparł Bayard twardszym nagle tonem.

- Nie oficjalnie - warknął Grimm. - Nie na papierze. A żaden oficer, choćby nie wiadomo jak popularny i faworyzowany, nigdy nie dostał na początek ciężkiego krążownika.

- Zasady są po to, by je łamać. - upierał się Bayard. - Wyrządzili ci krzywdę. Nie rozumiem, co złego może być w zadośćuczynieniu jej.

- Pracuję teraz dla kasztelana - sprzeciwił się Grimm.

- Wiem o tym. Ale to jest twoja szansa, Mad. Możesz wszystko naprawić. Chodź ze mną do Dowództwa Floty i oznajmij, że chcesz wrócić na służbę.

Grimm przymrużył powieki.

- Chcesz, żebym to ja do nich przyszedł. Żebym zjawił się z kapeluszem w dłoniach i powiedział,

przyjmijcie mnie z powrotem, szlachetni panowie, bardzo was proszę.

- Mamy wojnę, Mad - powtórzył Bayard, pochylając się ku niemu. - Ona jest ważniejsza ode mnie. Ważniejsza od Hamiltona Rooka i jego rodziny. A nawet od twojej zranionej dumy. Jesteś nam potrzebny.

- W takim razie czekam na zawiadomienie na piśmie, że oczyszczono mnie z zarzutów i przywrócono mi stopień oficerski.

Twarz Bayarda wykrzywiła się w grymasie wściekłości.

- Do licha, Mad. Masz odpowiedzialność. Masz obowiązek.

- W tym przynajmniej się nie mylisz. Ale moje obowiązki wobec Floty skończyły się wiele lat temu.

Teraz jestem odpowiedzialny za inne sprawy.

Komandor po prostu gapił się na niego. Ze wszystkich porów jego skóry emanował gniew. Grimm patrzył mu w oczy bez wrogości, ale nie zamierzał też ustępować.

Po chwili Bayard oklapł. Wydał z siebie pełen niesmaku odgłos i dokończył brandy jednym łykiem.

- Niech szlag trafi twoją dumę.

Grimm również dopił trunek. Gdy poczuł, jak pali mu gardło, zaczął się niemal obawiać, że brandy może zapłonąć od pożaru gorejącego mu w piersi.

- Alex... to, o co mnie prosisz... nie zrobię tego. Nie mogę. Po prostu nie mogę.

Zapadła cisza.

- Abigail mówiła, że tak będzie — odezwał się wreszcie Bayard. — Ale musiałem spróbować.

- Jestem ci wdzięczny - zapewnił Grimm. — Naprawdę.

Bayard wzruszył jednym ramieniem, odstawił szklaneczkę i wstał.

- Chciałem cię też ostrzec, że twojego pierwszego oficera przywrócą do czynnej służby. Zwołują wszystkich ludzi zawieszonych w obowiązkach oraz rezerwistów ze statków handlowych.

- Pewnie należało się tego spodziewać. - stwierdził Grimm, wstając razem z przyjacielem.

- W jakim jest stanie? — zapytał Bayard.

- Da sobie radę — zapewnił stanowczo Grimm. - Kiedy?

- Najpóźniej za tydzień.

- Znajdę kogoś na jego miejsce - odparł Grimm i obaj ruszyli ku drzwiom. - Proszę, pozdrów ode mnie Abigail.

- Musisz niedługo zjeść z nami obiad - dodał Bayard. - O ile wojna pozwoli - dodał, krzywiąc się nagle.

- Miło by było.

- Czy ta... umowa, którą zawarłeś z kasztelanem, okaże się trwała - zapytał komandor.

- Może tak, a może nie.

- W takim razie rezerwuję sobie prawo powrotu do tematu.

- Moja odpowiedź się nie zmieni.

- Zapewne masz rację. - Bayard uniósł wzrok i nagle przechylił głowę nieco na bok. - Kapitanie, co tam jest na szczycie twojego fokmasztu?

Grimm również uniósł wzrok, podążając za spojrzeniem komandora, i zobaczył na tle rozświetlonej blaskiem mgły małą, wyraźnie się rysującą sylwetkę.

- Najwyraźniej to kot - odparł.

ROZDZIAŁ 24

Kasztel Albion, Kondygnacja Lądowiska

Rowl doszedł do wniosku, że widok ze szczytu pierwszego z dwóch statkowych drzew nie jest aż tak ekscytujący, jak się tego spodziewał. Och, widział cały statek bardzo wyraźnie, choć, jeśli dobrze rozumiał znaczenie jego nazwy - jakby statki potrzebowały nazw! - uważał, że dowódca powinien przynajmniej podziękować kotom jako oczywistemu źródłu inspiracji. Być może uda się osiągnąć w tej sprawie porozumienie. Z pewnością nawet najgłupszy ludzie zrozumieją, że jeśli nadali czemuś nazwę odnoszącą się do kotów, trzeba omówić kwestię rekompensaty.

Sam statek okazał się interesujący. Gdy już Małamyszkę bezpiecznie ulokowano w małym pokoiku i dano jej kubek z ciepłym napojem, który miał okropny smak, ale ona zawsze uparcie chciała go pić, Rowl wyruszył na eksplorację. Na *Drapieżcy* było mnóstwo korytarzy i pokojów, a także stworzeń, które należało dogonić i złapać. Ale zapewne nie zjeść, chyba żeby był naprawdę głodny. Nie wątpił, że delikatne uczucia Małejmyszki bardzo by ucierpiały, gdyby odmówił jej przyjemności dzielenia się z nim jej mięsem.

Na takiej konstrukcji z pewnością było miejsce dla kota, pod warunkiem, że nie będzie mu przeszkadzało towarzystwo.

Gdy już zbadał całą jednostkę, wdrapał się na statkowe drzewo, ale z góry nie było widać nic ciekawego poza kręcącymi się po statku ludźmi, a szczerze mówiąc, musiałyby minąć długi i nudny dzień, nim zrobili coś zasługującego na więcej niż przelotną uwagę. Do *Drapieżcy* zbliżył się mniejszy statek, być może również noszący nazwę zainspirowaną przez lud Rowla, i na pokład wszedł człowiek znacznie mniej niezgrabny niż większość jego pobratymców. Mały mężczyzna pomimo niewielkich rozmiarów poruszał się z pewnością siebie prawdziwego wojownika. Miał też bardzo duży i piękny kapelusz.

Takie kapelusze często nosili ludzie, którzy uważali się za ważnych. W pierwszych paru chwilach mogło się to wydawać urocze, ale potem stawało się nużące.

Gość zatrzymał się przed wejściem na statek, jakby czekał, aż zostanie wpuszczony na terytorium należące do kogoś innego. Tak właśnie powinno się postępować. Rowl zaczynał akceptować człowieka Grimma, który do tej pory nie wykazał się całkowitą niekompetencją w żadnej z dziedzin swego życia. Jeśli Grimm zasłużył sobie na tak znaczny szacunek nawet wśród ludzi z bardzo dużymi kapeluszami, mógł się okazać wartościowym pomocnikiem, a nawet ludzie mieli wystarczająco wiele rozumu, by pojąć, że wartościowa pomoc jest zdobyczą, którą bardzo trudno doścignąć.

Rowl słyszał rozmowę między Grimmem a gościem. Wydawało się, że to kwestia jakiegoś niepojętego ludzkiego szaleństwa, kot rozumiał jednak gniew i podniesione głosy, oznaczające, że może dojść do przelewu krwi. Jednakże, jak często zdarzało się tym kapryśnym stworzeniom — nie doszło do prawdziwej walki i gość oddalił się, najwyraźniej pokonany.

Wkrótce potem doszło do jakiegoś zamieszania, w którym uczestniczyli wysoki zastępca dowódcy oraz człowiek poruszający kilkoma długimi wajchami z kolorowymi szmatkami na końcach. Najwyraźniej wymieniali jakieś sygnały, ponieważ, poruszywszy flagami, ludzie gapili się przez pewien czas na jakiś punkt położony na dole. To, co zobaczyli, zapewne ich usatysfakcjonowało, ponieważ statek, do tej

chwili wiszący nieruchomo, opadł wreszcie na drewnianą platformę, która wyglądała niemal identycznie jak ta, którą niedawno opuścili, pomijając tylko drobne szczegóły.

Rowl poczuł się rozczarowany. Zadał sobie sporo trudu i spędził chyba połowę życia, nudząc się na szczycie statkowego drzewa, a w nagrodę otrzymał tak niewiele, gdy chodziło o ekscytujące zmiany otoczenia. Tak to już jednak było, gdy miało się do czynienia z ludźmi. Będzie czekał cierpliwie, aż skończą z tymi głupotami. W końcu czyż nie był kotem?

Zszedł ze statkowego drzewa. Było to zdecydowanie mniej przyjemne niż wspinanie się na nie. Do takich czynności lepiej się nadawali ludzie ze swymi pajęczymi palcami. Będzie musiał dopilnować, by następnym razem mieć na podorędziu kogoś, kto zniesie go na dół z należnym szacunkiem. Być może będzie to okazja, by poddać próbie człowieka Benedicta. Z pewnością nie był godny zostania partnerem Małamyszki, ale być może odpowiednie przewodnictwo uczyni go adekwatnym.

Rowl dotarł do pokoiku, w którym Małamyszka i jej towarzysze pili swoją śmierdzącą wodę. Podskoczył do klamki i wisiał na niej wystarczająco długo, żeby drzwi się otworzyły. Potem wszedł do środka i zamknął je za sobą, naciskając na nie barkiem.

Człowiek Gwendolyn zamrugła kilka razy.

- Kiedy stąd wyszedł, do licha? - zapytała. - I jak to zrobił?

Małamyszka skinęła do niego głową.

- To kot, panno Lancaster - wyjaśniła. - Zadawanie takich pytań jest pozbawione sensu.

Rowl wskoczył jej na kolana i potarł pyszczkiem policzek. Lubił Małamyszkę. Była zdecydowanie mniej głupia od innych ludzi.

- Statek ląduje - poinformował ją. - Powinniśmy natychmiast pójść zobaczyć tę nową kondygnację.

Czekał, aż Małamyszka powtórzy to, co powiedział, innym ludziom. Doprawdy. Czasami dochodził do wniosku, że ludzie celowo udają głupich. Co było takiego trudnego w zrozumieniu cywilizowanej i bezbłędnie wyartykułowanej mowy? Ojciec często mu powtarzał, że ludzie rzeczywiście są tak głupi i bezradni, na jakich wyglądają - a przynajmniej życie będzie prostsze, jeśli przyjmie się takie założenie. Jednakże Rowl nadal nie był do końca o tym przekonany.

Po chwili nad pokładem poniósł się ostry, nieprzyjemny ton metalu uderzającego o metal. To był jeden z tych ludzkich dźwięków z pewnością stworzonych wyłącznie po to, by irytować koty.

Odgłos najwyraźniej podekscytował ludzi. Małamyszka i jej towarzysze wstali i zaczęli się kręcić bez celu, jak mieli to w zwyczaju ludzie. Ich pobratymcy kierujący statkiem postępowali podobnie, i po bezcelowej zwłoce, pozwalającej ludziom zebrać wszystkie swoje zabawki i pamiątki, Rowl mógł wreszcie zająć należne miejsce w ramionach Małamyszki i poprowadzić ich we właściwym kierunku. Zeszli ze statku na drewnianą platformę sterczącą ze ściany kasztelu. Sprawiała wrażenie, jakby po prostu wisiała w powietrzu. Musiał przyznać, że ludzie mają smykałkę do budowania ciekawych miejsc, które koty mogły potem eksplorować. Szli po skrzypiących deskach, a ich kroki niosły się echem.

- Małamyszko - odezwał się Rowl. - Jeśli ludzka platforma się załamie, to czy nie spadniemy na powierzchnię?

Poczuł, że jej serce zabiło szybciej, a dłonie, którymi dotykała jego futra, zrobiły się nieco bardziej wilgotne.

- Nonsens. Jestem pewna, że nic takiego się nie stanie.

Przyśpieszyła jednak kroku.

Małamyszka i jej towarzysze dołączyli do sporego stada ludzi, którzy stali spokojnie, nie robiąc nic ciekawego ani zyskownego. Czekali tak bez końca, tylko od czasu do czasu posuwając się o krok naprzód. Nic dziwnego, że wódz ich klanu musiał w końcu błagać ojca Rowla o przewodnictwo i wsparcie Cichych Łapek.

Wreszcie przepchnęli się przez stosunkowo niewielki otwór w murze kasztelu, razem z całą kolumną zachowujących się równie spokojnie ludzi, a potem zmarnowali jeszcze więcej czasu na rozmowę z

uzbrojonymi ludźmi, którzy nawet nie byli na tyle ważni, by mieć wielkie kapelusze. Dopiero po wypełnieniu tych wszystkich niezrozumiałych ludzkich rytuałów, pozwolono im wejść do Kondygnacji Ładowiska.

Rowl powtarzał sobie, że koty cechują się niewyczerpaną cierpliwością i z pewnością nie padnie ofiarą eksplozji, jeśli natychmiast nie zeskoczy z ramion Małejmyszki i nie zacznie eksplorować terenu. To jednak nie znaczyło, że nie mógłby tego zrobić, gdyby zechciał, ponieważ koty same były własnymi panami. Doszedł jednak do wniosku, że jego cierpliwość należy właściwie uznać za legendarną. Małamyszka miała szczęście, bo w przeciwnym razie Rowl rozwiązałby już ten problem, tajemnicę, czy co tam właściwie to było, podczas gdy ona nadal tłoczyłaby się w kolejce, by móc porozmawiać z uzbrojonymi ludźmi strzegącymi wejścia do Kondygnacji Poranka, pozbawiając ją w ten sposób chwały, jaką dałby jej sukces.

Jeśli jednak się nam tym zastanowić, to on był najważniejszym członkiem całej grupy, i wszelka chwała należała się przede wszystkim jemu.

Doszedł do wniosku, że na razie będzie tolerował tę sytuację. Jeśli jednak ludzie wyrwą się spod kontroli, może być zmuszony podjąć jakieś kroki. Któż mógłby mieć o to do niego pretensję? Nawet jego ojciec przyznałby, że trudno jest zapanować nad pięcioma ludźmi jednocześnie. Było powszechnie znanym faktem, że gdy ludzie skupiają się w stada, zachowują się jeszcze głupiej niż zwykle.

Kondygnacja Ładowiska była fascynująca. Przede wszystkim sufit znajdował się tu o połowę niżej niż w innych kondygnacjach, które widział Rowl. I tak był znacznie wyżej niż głowa Małejmyszki, ale większa ciasnota przypominała kotu kanały i przewody wentylacyjne, tradycyjnie będące terytorium jego plemienia. Tu jednak roilo się od ludzi. Całe ich setki przechodziły w jedną i w drugą stronę przez otwór w murze kasztelu. W równo ustawionych pod ścianami straganach stały dziesiątki ludzi sprzedających pamiątki i błyskotki (Rowl wiedział, że są one absolutnie niezbędne dla przedstawicieli tego gatunku). A przecież nawet nie byli na targowisku.

W powietrzu unosiło się tak wiele głosów, że nie dało się rozróżnić poszczególnych rozmów. Wszystkie zlewały się w jednolity szmer, przypominający nieco szum powietrza przechodzącego przez węzeł przewodów wentylacyjnych. Pełno też było zapachów - tych odrażających, zawsze towarzyszących ludziom, smakowitych woni rozmaitych potraw, a także innych, absolutnie fascynujących, których nie potrafił zidentyfikować.

- Ojej - odezwała się człowiek Gwendolyn. - Widzieliście kiedyś taki tłum?
- To byłoby idealne miejsce do przemycenia nieprzyjacielskiego agenta do kasztelu — zgodził się człowiek Benedict.

Człowiek Folly najwyraźniej się czegoś przestraszyła, choć Rowl nie widział, by zagrażało jej jakieś niebezpieczeństwo. Serce biło jej bardzo szybko i cuchnęła napięciem nerwowym. Cały czas wlepiła spojrzenie w podłogę i trzymała się blisko najstarszego mężczyzny w grupie, mistrza Ferusa. Starszy człowiek miał oczy niemal całkowicie zamknięte, jakby chciał, by obserwatorzy myśleli, że śpi, ale Rowl widział, że porusza nimi na niemal koci sposób, obserwując wszystko równie uważnie jak on.

- Mistrzu Ferusie? - odezwała się człowiek Gwendolyn. - Dokąd teraz pójdziemy?
- Hmm? - zapytał Ferus. - O co chodzi?
- Być może o kwaterę? - zasugerowała Małamyszka.
- Ach, znakomicie. - Zerknął na człowieka Benedicta. - Młodzińcze, znasz tu jakąś przyzwoitą gospodę?

- Jestem przekonany, że w kondygnacji można ich znaleźć całe mnóstwo, ale podczas pobytu tutaj zawsze zatrzymywałem się w Domu Gwardii - odparł ludzki samiec Benedict przepraszającym tonem. - Wiem, że powinno nam się udać wynająć gońca, który nam w tym pomoże.

Człowiek Gwendolyn zmarszczyła brwi.

- Czy my również nie powinniśmy tam się zatrzymać? W końcu to oficjalne dochodzenie

prowadzone na rozkaz kasztelana.

-Nie możemy uczynić go oficjalnym i nie możemy zatrzymać się w Domu Gwardii - sprzeciwiła się Małamyszka. - Co, jeśli wśród gwardzistów jest zdrajca, a my zjawimy się tam i ogłosimy swoje intencje? Równie dobrze moglibyśmy dąć w trąby wszędzie, dokąd się udamy.

- Masz rację - zgodził się mistrz Ferus. - Masz rację. W takim razie potrzebny nam będzie goniec.

Człowiek Gwendolyn najwyraźniej uznała to za rozkaz. Skinęła głową i oddaliła się, przepychając się przez tłum. Rowl czekał z nieskończoną cierpliwością. Było tu wiele ciekawego dla wzroku i węchu. Jeden z ludzkich sprzedawców miał mnóstwo maleńkich stworzeń, trzymany w niewielkich klatkach. Niektóre z nich miały skrzydła, inne łuski, a jeszcze inne futro. Rowl zdołał połączyć wszystkie zapachy z ich właścicielami i przyjrzał się uważniej stworzeniom. Potem delikatne poruszenie i zmiana kierunku płynącego z przewodów wentylacyjnych powietrza obwieściły nadejście popołudnia. Słońce zaczęło ogrzewać kasztel z przeciwnej strony i powietrze przynosiło ze sobą rozkoszną, smakowitą woń pieczonego mięsa.

Rowl przesunął gwałtownie głowę w bok, by sprawdzić, skąd nadbiega woń, i zauważył, że człowiek Benedict okazał się na tyle bystry, by również ją poczuć, i teraz okazywał zainteresowanie. W jego ludzkim żołądku rozległo się głośnie burczenie.

Człowiek Gwendolyn wkrótce wróciła w towarzystwie chuderlawego ludzkiego kocięcia. Włosy małego człowieka były potargane, twarz brudna, a ubranie obdarte. Rowl, któremu wszyscy ludzie zawsze wydawali się nużąco podobni do siebie, miał trudności z ustaleniem płci tego gońca.

-To jest Grady- oznajmiła człowiek Gwendolyn. - Uprzejmie zgodził się zaprowadzić nas do gospody.

- Tak, tak - potwierdził mały człowiek. — Chodźcie ze mną, panie i panowie, a zaraz dostaniecie wygodny nocleg i gorący posiłek.

- Dobrze, dobrze - zgodził się najstarszy człowiek. - Ruszajmy.

- Tak jest! - odparł goniec. — Za mną.

Podążyli za małym człowiekiem, opuszczając prowadzącą do statkowni galerię przez boczny tunel. Goniec wydobył kryształ luminowy średniej wielkości i uczynił całą grupę ślepa na wszystko, co działo się dalej niż kilka stóp od nich. Ludzie naprawdę nie dbali o innych. W końcu Rowl do tej pory widział świetnie. To raczej nie jego wina, że ludzie nie dostrzegali różnicy między zwykłym półmrokiem a prawdziwą ciemnością.

Była w tym ironia, ponieważ sami z pewnością mieli ciemność w głowach.

Przeszli krótki odcinek bocznym tunelem, po czym wyszli na długą prostą ulicę. Ludzkie budynki tłoczyły się przy niej z obu stron, w wielu przypadkach sięgając aż do sufitu. Jednakże różniły się od siebie wysokością i ich dachy tworzyły wyszczerbioną linię, przywodzącą na myśl połamane zęby. Ulica była słabo oświetlona i było na niej zdecydowanie mniej ludzi niż w pobliżu statkowni.

Rowlowi wydało się to... nielogiczne. Gdy goniec prowadził Małamysz-kę i jej towarzyszy ciemną ulicą, kot poczuł na futrze dotknięcie bliskiego niebezpieczeństwa. Poczuł, że na przemian napręża i rozluźnia mięśnie. Nie potrafił wskazać konkretnego zagrożenia, ale...

Małamyszka—zawsze wystarczająco rozsądna, by prosić kota o przewodnictwo - niemal natychmiast zauważyła jego zachowanie. Napięła mięśnie i zaczęła rozglądać się wkoło, wypatrując zagrożenia - tak samo jak Rowl.

Wtem kot usłyszał za nimi ciche kroki. Postawił uszy, kierując je w tamtą stronę.

- Małamyszko - odezwał się cicho. - Ktoś na nas poluje. Za nami.

Spojrzała na niego, ale nie odwróciła głowy, by spojrzeć przez ramię na ścigających. Bardzo dobrze. Taki gest powiedziałby łowcom, że zwierzyna ich wyczuła. Małamyszka była bardzo bystra - jak na człowieka, oczywiście.

- Benedikcie - rzekła półgłosem - Rowl myśli, że ktoś nas śledzi.

Człowiek Benedict przyjrzał się jej z uwagą, ale nie zadawał żadnych pytań. Rowl zauważył, że nozdrza Benedicta się rozszerzyły i on również zaczął się rozglądać wkoło, choć nie patrzył za siebie.

- Cholera - mruknął po chwili. Postąpił krok naprzód, doganiając Mistrza Ferusa, i klepnął w ramię człowieka Gwendolyn. — Kuzynko, obawiam się, że nas oznakowano.

Gwendolyn zmarszczyła brwi.

- Oznakowano? - Przyjrzała się sobie. - Czy ktoś poplamił czymś moje ubranie?

Ludzki samiec Benedict wypuścił powietrze przez zęby.

- Oznakowano jako zwierzynę, kuzynko. Ktoś nas śledzi.

-Kto?

- Zapewne bandyci - odparł ludzki samiec Benedict. - W Kondygnacji Lądowiska działa kilka gangów.

Człowiek Gwendolyn przymrużyła powieki.

- Rozumiem. A kto dokładnie nas oznakował?

- Po lewej - odparł Benedict. - Jakieś dziesięć stóp za nami, ciemnobrązowy płaszcz, czarne włosy, około dwudziestu lat. Siedzi nas, obserwując nasze odbicia w szybach, kiedy je mijamy. Jest też drugi, po prawej. Ten w kapeluszu ze spuszczonej rondem.

- Widzę ich - odpowiedziała. - Jak się zwykle postępuje w podobnych przypadkach?

- Unika się ich.

-To już nam się nie udało - odparła z irytacją człowiek Gwendolyn. - Co teraz?

- Skąd mam wiedzieć, kuzynko? - burknął człowiek Benedict. - Nigdy jeszcze nie oznakowali mnie bandyci.

Po chwili zastanowienia skinęła głową.

- Rozumiem.

Nagle, nie wahając się dłużej niż chwila potrzebna, by postawić jeden krok, człowiek Gwendolyn odwróciła się, uniosła rękawicę i wystrzeliła.

Niemal niewidzialny impuls energii i ciepła przeszył powietrze z głośnym wyciem i uderzył w ścianę frontową budynku, niespełna dwie stopy od głowy podążającego za nimi bandyty. Rowl pochylił głowę, by osłonić oczy przed blaskiem. Odpryski kamienia ze ściany budynku posypały się na ulicę.

Bandyta (podobnie jak kilkunastu innych ludzi, którzy przypadkowo znaleźli się w pobliżu) krzyknął panicznie i odskoczył do tyłu, gapiąc się na dymiący ślad wypalony w kamieniu. Stracił równowagę i padł na tyłek. Wszyscy na ulicy zamarli w bezruchu, gapiąc się na małego człowieka Gwendolyn.

Dziewczyna podeszła do niego. W jej dłoni nadal płonął kryształ rękawicy.

- Hej, ty - odezwała się, unosząc głos tak, by słyszano ją na całej ulicy, i wskazała palcem prawej ręki na oszołomionego zbira.

Ten tylko gapił się na nią.

-Zwiewaj do domu - rzekła mu. - Natychmiast. I powiedz swoim panom, że nie jesteśmy zwierzyną.

Jej głos jeszcze przez kilka sekund odbijał się echem od kamiennych fasad budynków.

Usta bandyty zadrżały nerwowo parę razy. Skinął spazmatycznie głową, podźwignął się na nogi i czmychnął, znikając im z oczu.

Rowl skierował spojrzenie na człowieka Gwendolyn. Był pod wrażeniem. Tak właśnie powinno się postępować z kandydatami na drapieźników. Jej instynkt i reakcja w zasadzie świadczyły o kompetencji.

- Na Wytyczającego Droge - warknął pod nosem człowiek Benedict. -Kuzynko, przed chwilą wystrzeliłaś z rękawicy na zatłoczonej ulicy.

-I dzięki temu nie napadły nas zbiry - odparła Gwendolyn. - Nic się nikomu nie stało. Doprawdy, kuzynie, nie mamy czasu na takie bzdury. - Postąpiła krok naprzód i uklękła, by spojrzeć prosto w oczy małemu człowiekowi, który wskazał im drogę w to miejsce. - Grady? - zapytała słodkim tonem. - Dlaczego przyprowadziłaś nas tam, gdzie mieliśmy paść ofiarą ataku?

- Nie zrobiłem tego! - zawołał mały człowiek. Jego twarz zrobiła się zupełnie biała. — Nie zrobiłem! Nigdy bym tego nie zrobił!
- To znaczy, że czystym przypadkiem wprowadziłeś nas do zaułka pełnego ludzi gotowych nas napaść? Spodziewasz się, że w to uwierzę?
- Mały człowiek przełknął ślinę.
- Znam też inną gospodę. Tuż przy galerii, na otwartej przestrzeni. Jeśli chcecie, mogę was tam zaprowadzić.
- Oszukasz mnie raz, wstyd dla ciebie — odparła Gwendolyn. — Oszukasz mnie dwa razy, mogę wpakować ci impuls po prostu dla zasady.
- Mały człowiek tylko się na nią gapił.
- Sio! - zawołała Gwendolyn i tupnęła.
- Grady odwrócił się i zwiął.
- Jesteś pewna, że nie chcesz mu strzelić pod nogi, kiedy będzie uciekał? - zapytał Benedict z ironią w głosie.
- Nie bądź uciążliwy, Benny - odparła Gwendolyn. - Jeśli nie możemy ufać jednemu gońcowi, to znaczy, że nie możemy ufać żadnemu z nich. Nie ma gwarancji, że następnym razem zamiast zwykłych złodziei nie będą na nas czekali aurorańscy agenci. Przedstaw mi opcje.
- Benedict marszczył przez chwilę brwi w zamyśleniu, aż wreszcie wzruszył ramionami.
- Znam jedno miejsce, w którym na pewno znajdziemy przynajmniej uczciwych przewodników.
- Znakomicie - ucieszyła się Gwendolyn. - No to ruszajmy.
- Tędy - wskazał Benedict i ruszyli w drogę. Odwrócił się i spojrzał na Rowla. - Dziękuję. Kot ziewnął. Czuł się mocno zadowolony z siebie. W końcu uratował swoich ludzi przed bandytami.
- Zawsze możesz na mnie liczyć — zapewnił.

ROZDZIAŁ 25

Klasztor Drogi, Kondygnacja Lądowiska

Bridget ostrożnie posuwała się naprzód zatłoczonymi ulicami Kondygnacji Lądowiska. Starła się zwracać uwagę na wszelkie możliwe zagrożenia, ale i tak czuła się jak dziecko, które ktoś wysłał do sklepu, nie mówiąc mu, co ma kupić. Jak mogło wyglądać niebezpieczeństwo? Jeśli okaże się otwarte i oczywiste, każdy potrafi je zauważyć, ale nie miała pojęcia, jak rozpoznać zasadzkę, zanim się zacznie. Nie widziała żadnego człowieka w obszernej czarnej pelerynie, nikt nie poruszał też nawoskowanymi wąsami, jak zawsze robiły czarne charaktery w teatrze. Podejrzewała jednak, że prawdziwe łotry z reguły nie są na tyle uprzejme, by się przedstawić i otwarcie ogłosić swoje intencje. W końcu to między innymi czyniło ich łotrami.

Cały czas spoglądała jednym okiem na Rowla. Nigdy nie powiedziała by tego małemu tyranowi na głos, ale zapewne potrafił rozpoznawać niebezpieczeństwa znacznie lepiej od niej. I tak, odkąd ostrzegł ich przed bandytami, już był nieznośnie zadowolony z siebie w znacznie większym stopniu niż zazwyczaj. Gdyby powiedziała mu coś takiego, nigdy nie pozwoliłby jej o tym zapomnieć.

Rowl, ze swojej strony, nieustannie rozglądał się wkoło, węszył, i kierował uszy to w tę, to w tamtą stronę, rejestrując wszystkie widoki i dźwięki tej wypełnionej szaleńczą aktywnością kondygnacji.

Tłoczny labirynt straganów i kontuarów otaczający port sterowców stanowił jedynie przedsmak właściwej kondygnacji. W tym jednym kwadransie działało więcej sklepów niż w całej Kondygnacji Poranka! Co więcej, mieszkańcy podzielili swą pionową przestrzeń na pół i nad głowami mieli jeszcze drugi, zapewne równie ruchliwy poziom.

Długie odcinki tłocznej ulicy poświęcono poszczególnym rzemiosłom albo rodzajom działalności. Była tu ulica druciarzy i kowali, gdzie w gorącym powietrzu niósł się odgłos metalu uderzającego o metal, a także cała ulica papierników. Smród towarzyszący ich pracy był tak przerażający, że Rowl schował nos pod pachę Bridget i trzymał go tam, dopóki nie zostawili tego miejsca za sobą. Potem była ulica kadziowni, a za nią ulica garbarzy i farbiarzy. Absolutnie wszyscy gdzieś się śpieszyli, a gdy mijali ich wolniej posuwającą się naprzód grupę, mruclili pod nosem i łypali na nich ze złością.

Ludzie na ulicach byli też oszałamiająco różnorodni. Bridget zawsze uważała, że Kondygnacja Poranka jest najbardziej kosmopolityczna w całym kasztelu i stanowi niekwestionowane centrum albiońskiej kultury, ale choć widok zagranicznych gości nie był tam czymś niezwykłym, po prostu nie było porównania z Lądowiskiem.

W ciągu zaledwie dziesięciu minut zauważyła na ulicach Lądowiska pół tuzina różnych rodzajów cudzoziemców. Najpierw wypatrzyła grupę rumianych Olimpijczyków w ich tradycyjnych, zielono-złoty strojach. Większość z nich nosiła godło swego kasztelu — wieniec laurowy — wyszyte na piersiach albo zdobiące wisiorki czy pierścienie. Najwyżej pięć kroków dalej dwie kobiety o złotobrazowej cerze świadczące, że są Nefezjankami, spacerowały sobie w długich obszernych spódnicach składających się z sześciu warstw o różnych kolorach, przeświecających przez rozcięcia. Za nimi szedł wysoki genetyczny wojownik o niemal czarnej skórze i niebieskich jak lód oczach Atlantydy, odziany w indygowy płaszcz kapitana sterowca. Wkrótce potem zauważyła oddział drobnych, szczupłych

mężczyzn i kobiet o znużonym wyglądzie i twarzach ozdobionych rytualnymi spiralnymi bliznami Pikan.

- Pierwszy raz jesteś poza Kondygnacją Poranka, Panno Tagwynn? -zapytał Benedict.

Zawstydzona nagle Bridget oderwała spojrzenie od Pikan.

- Czy to aż tak łatwo zauważyć?

- To w pełni zrozumiałe - zapewnił. - W końcu jakieś siedemdziesiąt procent mieszkańców Kasztelu Albion nigdy nie opuszcza swych rodzinnych kondygnacji.

- Mam wrażenie, że to zmniejsza ryzyko zostania ofiarą bandytów - zauważyła.

- Och, z pewnością - przyznał z uśmiechem Benedict. - Tego typu przestępcy nigdy nie atakują miejscowych. Zbyt łatwo byłoby ich rozpoznać. Ich hersztowie nigdy by do tego nie dopuścili.

- Hersztowie? - zdziwiła się Bridget. - Myślałam, że oni... są jak stada szczurów żyjących w przewodach wentylacyjnych.

- Z pewnością nie - zaprzeczył Benedict. - To byłoby zbyt chaotyczne, a w związku z tym łatwe do wyeliminowania. Wszystkie ich poczynania muszą być skoordynowane i starannie zorganizowane.

- Zorganizowane napady rabunkowe?

- Tak jest - potwierdził Benedict. - A także inne rzeczy. Przemysł, handel niebezpiecznymi substancjami, bronią, lekarstwami i żywym towarem. - Jego oczy pociemniały nieco. - A wszystko to ściśle kontrolowane przez cechy.

- Cechy? - powtórzyła Bridget. - Takie jak Cech Kadziowników?

- Nie sądzę, by zbyt przypominały Cech Kadziowników z Kondygnacji Poranka - odparł Benedict. - Tutaj wszystkie cechy konkurują ze sobą, a większość z nich para się nielegalną działalnością takiego czy innego rodzaju. Niektóre są gorsze od innych, ale jeśli w Kondygnacji Lądowiska rozwalą komuś głowę, to z reguły dlatego, że któryś cech uznał to za konieczne.

- Organizowanie działalności ludzi, którzy robią takie rzeczy, musi być bardzo trudne - zauważyła Bridget.

- W rzeczy samej.

- Czy nie byłoby prościej... zająć się uczciwą pracą?

Benedict odsłonił zęby.

- Zapewne tak. Ale zawsze znajdą się tacy, którzy dojdą do wniosku, że łatwiej, a także przyjemniej, będzie wziąć sobie siłą to, co pragną mieć, zamiast na to zapracować. Z pewnością gwarantuje im to więcej wolnego czasu.

- Nie rozumiem tego - przyznała Bridget. - Dlaczego pozwala się istnieć cechom, które zachowują się w ten sposób?

- Z wielu różnych powodów — odparł Benedict. — Jeśli wprowadzi się jakieś prawo, ktoś próbuje je złamać. Taka już jest ludzka natura. Cechy mają swój kodeks postępowania i przestrzegają go. To czyni je nieco łatwiejszymi do zaakceptowania niż niezorganizowana działalność przestępcza. Są tym znanym diabłem. — Wydął wargi. — I są też bardzo potężne.

- Z pewnością nie potężniejsze od Gwardii?

-Ale bardziej skupione od niej - odparł Benedict. - I trudniejsze do zlokalizowania. Rzecz jasna nie krępują ich zasady kasztelowego prawa. Co więcej, kontrolują też wiele rodzajów legalnej działalności i za ich pośrednictwem wpływają na politykę kondygnacji. Mają na swe usługi strach, szacunek, pieniądze i zawodową biegłość. To połączenie sprawia, że konflikt z nimi byłby trudny i niebezpieczny.

Bridget zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad tymi słowami.

-W takim razie... wybacz, jeśli błędnie to rozumiem, ale czy Gwendolyn przed chwilą nie wydała publicznie rozkazu tym potężnym i niebezpiecznym ludziom?

- Tak - przyznał ze spokojem Benedict. - To właśnie zrobiła.

- Ojej - jęknęła Bridget. - To chyba nie jest... idealna sytuacja.

Młody mężczyzna wzruszył ramionami. Jego kocie oczy ani na moment nie przestawały obserwować

ulicy, którą szli.

- Być może. Ale z drugiej strony taka demonstracja siły może wzbudzić ich szacunek. Ludzie tego rodzaju z reguły unikają nieopłacalnych akcji, takich jak atakowanie ofiar, które mogą zrobić im krzywdę. A Lancasterowie z pewnością są w stanie tego dokonać.

Skęcili w ostatnią zatłoczoną ulicę i Bridget zauważyła, że mięśnie Benedicta rozluźniły się w jednej chwili, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Co się przed chwilą wydarzyło? - zapytała.

- Dotarliśmy na bezpieczne terytorium - wyjaśnił mężczyzna. - Jesteśmy już blisko. Cechy nie zapuszczają się do tej części kondygnacji.

- A to dlaczego?

- Dlatego, że nauczono je, że to się nie opłaca.

Przeszli przez ostatni odcinek pełnej budynków ulicy i nagle znaleźli się na otwartej przestrzeni. Sufit kondygnacji znajdował się tu na standardowej wysokości — pięćdziesiąt stóp nad ich głowami. Domy nagle się kończyły, a wraz z nimi masywny pokład dzielący Ładowisko na dwa poziomy, połączone ze sobą kilkoma szerokimi biegami drewnianych schodów - jakby ktoś po prostu zapomniał kontynuować przebudowę oryginalnej przestrzeni kondygnacji poza punkt, który przed chwilą minęli.

Mieli przed sobą solidny mur wysoki na dziesięć stóp. Wprawiono weń masywną bramę z powleczonych brązem kłód. Przed nią siedział mężczyzna w osobliwej szacie szafranowej barwy. Materiał zwisał luźno na jego ramionach, ale na przedramionach był mocno przewiązany. Błądą głowę mężczyzny ogolono na łyso, oczy miał zamknięte, a nogi skrzyżowane. Otwarte dłonie wspierał lekko na kolanach. Na podłodze przy jego prawej ręce spoczywał prosty pręt z powleczonego miedzią metalu, długi na jakieś trzy stopy.

- Och - odezwała się Bridget. - Czy to mnich Drogi?

Rowl ożywił się nagle w jej ramionach, spoglądając na mężczyznę. Uszy kota skierowały się ku przodowi, a jego ogon drżał z interesowania.

- Nie mógłbym tego zrobić - odezwał się nagle eteryk. - Sir Benedikcie, czy zechciałbyś?

- Oczywiście, mistrzu Ferusie — zgodził się młodzieniec. - To jest brat Vincent - oznajmił, podnosząc nieco głos. - Przydzielono mu obowiązki odźwiernego, bo ma okropny charakter pisma.

Brat Vincent uśmiechnął się, nie otwierając oczu.

- Sir Benedikcie, przybywasz udzielać nauk, czy je odbierać?

- Przekonajmy się, bracie - odparł Benedict.

Brat Vincent uśmiechnął się, nadal nie otwierając oczu.

Benedict odpiął pas z mieczem i zdjął rękawicę. Następnie podał je Bridget.

- Masz coś przeciwko temu? — zapytał.

- Z pewnością nie - zapewniła, nieco zaskoczona. Trzymanie jednocześnie Rowla i broni Benedicta wymagało odrobiny żonglerki, ale jakoś sobie poradziła.

- Dziękuję, panno Bridget - powiedział Benedict. Potem odwrócił się i ruszył w stronę brata Vincenta, cicho jak kot.

- Co tu właściwie się dzieje? - zapytała Gwendolyn mistrza Ferusa.

- Tradycja - odpowiedział eteryk, gapiąc się na Benedicta z błyskiem fascynacji w oczach.

- A co to właściwie znaczy? - zapytała Gwendolyn z zaszępiłą miną.

- Czy tradycja nie wymaga, żeby Lancasterowie wiedzieli coś o tradycji? - zapytał zgryźliwie mistrz Ferus.

Folly dygnęła płytko nie bardzo wiadomo przed kim.

- Mnisi bardzo poważnie traktują obowiązek strzeżenia świątyni - oznajmiła swemu słojuowi kryształów. - Nikomu nie pozwolą ot, tak sobie wejść do świątyni. Trzeba najpierw im udowodnić, że szczerze się tego pragnie.

Gwendolyn uniosła jedną, delikatną brew.

-A jak to się...?

Bezgłośnie jak sama ciemność Benedict skoczył na brata Vincenta.

- Och - rzekła jego kuzynka. - Rozumiem.

Bridget nigdy dotąd nie widziała, by jej towarzysz poruszał się aż tak szybko, ale mnich jakimś cudem zdążył się zerwać na nogi. Zaczęła się seria ciosów i zasłon tak błyskawiczna, że serce dziewczyny opuściło kilka uderzeń. Byli tak szybcy, że ledwie mogła zauważyć, co robią. Myśl, by mogła przewidzieć, co się stanie za chwilę, wydawała się absurdalna. W porównaniu z tym jej znajomość sztuki walki wręcz wyglądała jak kamyk zestawiony z całym kasztelem.

Wtem wydarzyło się coś straszliwie skomplikowanego i szybkiego jak błyskawica. Twarz Benedicta została wciśnięta w czarną podłogę z kasztelowego kamienia, a brat Vincent wykręcał jedną rękę genetycznego wojownika za jego plecami pod wyjątkowo niewygodnym kątem. Mnich naciskał jedną stopą plecy przeciwnika, aż wreszcie Benedict skrzywił się i dwukrotnie uderzył dłonią w podłogę.

Brat Vincent puścił rękę młodszego mężczyzny, który leżał jeszcze przez chwilę na podłodze, zanim zebrał siły i wstał. Poruszył kilka razy barkiem, krzywiąc się z bólu.

- Co to było? - zapytał.

- Wygląda na to, że jednak przybyłeś odbierać nauki, młody rycerzu - stwierdził brat Vincent.

- Właściwie byłem tego pewien już jakieś pięć minut temu. Nigdy nie pokazałeś mi tej kombinacji.

- Naprawdę? - zapytał z uśmiechem brat Vincent. - Ojej. Cóż za przeoczenie. Ale jestem pewien, że nie zapomniałem o niczym innym.

- Z pewnością o niczym nie zapomniałeś, bracie - odparł z przekąsem Benedict. - Po prostu chcesz, żebym częściej cię odwiedzał.

Brat Vincent uśmiechnął się i uściśnął dłonią bark Benedicta.

- Potrzeba było sporo czasu, by zmiękczyć twoją czaszkę na tyle, by mogły się do niej przedostać nowe myśli. Cieszę się, że cię widzę, synu.

Benedict uśmiechnął się i obaj mężczyźni wymienili ukłony.

- Bracie, przybywamy do świątyni z prośbą o pomoc.

W ciemnych oczach Vincenta pojawił się wyraz zakłopotania.

- Wiesz, że nie mieszamy się do polityki, bracie Benedykcie.

- I nie prosiłbym was o to — odparł młodszy mężczyzna. — Czy mógłbyś nam zaoferować filiżankę herbaty i chwilę rozmowy?

Brat Vincent przyglądał się przez chwilę twarzy Benedicta, nim skierował spojrzenie na jego towarzyszy Bridget poczuła się nieco skrępowana, gdy jego wzrok padł na nią. Czuła się, jakby mnich wyczytał w niej znacznie więcej niż miał do tego prawo. Najdłużej jednak przyglądał się mistrzowi Fergusowi.

- Zatem pogłoski mówią prawdę - rzekł wreszcie z westchnieniem. - Znowu wojna.

- A ściany mają uszy - dodał Benedict.

- Oczywiście, oczywiście - zgodził się Vincent. - Znajdę kogoś, kto zastąpi mnie na posterunku.

Wprowadź swych towarzyszy do środka.

Benedict kiwnął głową i skinął dłonią na pozostałych. Bridget podeszła bliżej, by oddać mu broń.

- To było zdumiewające.

- To było typowe - odparł z uśmiechem młody mężczyzna. - Zdumiewające byłoby, gdybym go pokonał.

- Jak go poznałeś?

- Był moim mentorem, kiedy zjawiłem się tu po raz pierwszy. Zastanawiałem się wtedy, czy nie zostać mnichem.

Gwendolyn lekko pociągnęła nosem.

- To śmieszne, Benny. W szafranowym wyglądałbyś okropnie.
- W tym kolorze nie jest mi zbyt do twarzy - przyznał Benedict, z powagą kiwając głową.
- Wtedy najczęściej nosił fioletowy - oznajmił radośnie Vincent.
- Fioletowy? - zdziwiła się Bridget.
- Chodzi mu o siniaki - wyjaśnił z uśmiechem Benedict. - Byłem uczniem, który niekiedy miał

trudności ze słuchaniem.

- Nauczyciel zawsze znajdzie inne ścieżki - skwitował Vincent. - Panie i panowie, wejdźcie proszę. Witajcie w Świątyni Drogi.

ROZDZIAŁ 26

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska, klasztor Drogi

Gwendolyn przyglądała się, jak Bridget oddaje broń jej kuzynowi. Starła się powstrzymać kpiący uśmiezek. Do licha, stała równie blisko jak dziewczyna z kotem, a do tego miała wolne ręce, lecz on instynktownie zwrócił się ku niej.

Benedict wielokrotnie jasno tłumaczył kuzynce, że nie zamierza obciążać się żoną. Powiedział nawet coś bliskiego nieuprzejmości jej matce, gdy podczas balu dwa lata temu próbowała mu wciskać o jedną potencjalną partnerkę za dużo.

Nie można jednak powiedzieć, by młode kobiety nie okazywały mu zainteresowania. Rzecz jasna żadna z najwyżej postawionych dam nie wzięłaby pod uwagę związku z młodym genetycznym wojownikiem, nawet gdyby był pełnoprawnym członkiem Domu Lancasterów. Chyba żeby był dziedzicem, pomyślała. Jednakże kobiety z mniej ważnych Domów z pewnością mogłyby poprawić swą pozycję dzięki związkowi z Benedictem.

Zawsze można też było znaleźć Osoby Pewnego Rodzaju, które z radością zgodziłyby się na schadzkę z genetycznym wojownikiem tylko dla dreszczyku wywołanego tak skandalicznym zachowaniem. Benedict oczywiście był przystojnym młodzieńcem i wiele młodych (lub w miarę młodych) wdów ubiegało się o jego względy, odkąd osiągnął pełnoletność. On jednak ignorował je wszystkie, okazując im spokojną uprzejmą rezerwę.

Teraz rozmawiał cicho z Bridget i mnichem Drogi. Gwendolyn bardzo się cieszyła z rozwoju sytuacji. Znała wysoką dziewczynę wystarczająco dobrze, by mieć pewność, że nie pragnie ona jej kuzyna dla jego pozycji finansowej czy innej. Choć Bridget brakowało obycia w towarzystwie, takich rzeczy można się nauczyć. Odwaga i uczciwość były ważniejsze, a tych cech miała aż w nadmiarze. Co więcej, nazwisko Tagwynn nadal zachowało swoją wagę w niektórych częściach kondygnacji, i matkę dałoby się przekonać do pobłogosławienia takiego związku.

Oczywiście, Benedict na pewno wszystko schrzani, jeśli będzie musiał radzić sobie sam. Na szczęście miał kogoś, kto mu pomoże - gdy chwila będzie odpowiednia, naturalnie.

Gwendolyn uśmiechnęła się z satysfakcją i razem z resztą grupy ruszyła do świątyni w ślad za mnichem.

Była całkowicie nieprzygotowana na to, co ujrzała w środku. Spodziewała się prostego wystroju i rzeczywiście taki był - w ekstremalnym stopniu. Niemniej mnisi przetworzyli dziedziniec położony za masywną bramą świątyni w ogród tak bujny i gęsty, że nawet rezydencja jej rodziny nie mogłaby wytrzymać z nim porównania.

Każdą wolną stopę kwadratową terenu pokrywały murowane wazony, wypełnione czarną glebą z wysiłkiem dostarczoną z powierzchni. Nad każdym wazonem unosiła się sieć jedwabnych nici obwieszonych małymi kryształami luminowymi, lśniącymi jak tysiąc gwiazd. Cały dziedziniec był skąpany w ich jasnym srebrzystym blasku. Pod tymi świetlistymi sieciami rosły drzewa owocowe, winna latorośl, całe rzędy warzyw i zbóż, a także kwiaty, małe drzewka, paprocie i liściaste krzewy, których nie potrafiła zidentyfikować. Jadalne rośliny rosące w brudnej glebie powierzchni, nie w porządnym wodnym ogrodzie zaopatrzone w pełen substancji odżywczych kadziowy piasek. Już sama ta myśl

przyprawiała ją o mdłości. Jaki był w tym cel?

Smród wypełniający to miejsce był wręcz porażający. Unosiły się tu najrozmaitsze zapachy, ostre i gryzące, słodkie i zgniłe, a nade wszystko przepełnione życiem. Nawet samo powietrze było inne - gęste i przesycone wilgocią. Ogród wypełniało oszalałe życie, równie dzikie jak śmiertcionośne zielone piekło pokrywające powierzchnię świata. Jej serce zabiło szybciej pod wpływem nagłego irracjonalnego strachu, zrodzonego z czystego instynktu.

Racjonalny umysł powtarzał Gwendolyn, że nie grozi jej tu żadne niebezpieczeństwo. Między roślinami krążyło wielu odzianych w szafranowe szaty mnichów zajętych przycinaniem i pielęgnowaniem roślin oraz wrywaniem chwastów. W powietrzu krążyły jakieś owady, często w żółto-czarne pasy. Pszczoły? Ojej, nigdy dotąd nie słyszała, by komuś udało się przeszczepić kolonię tych owadów do Kasztelu Albion. O ile wiedziała, tylko Pikanie potrafili utrzymać przy życiu funkcjonalne ule, co dawało im niemal całkowity monopol na miód, będący kamieniem węgielnym ich gospodarki.

No cóż, jeśli w tym ogrodzie potrafiły przeżyć stworzenia tak delikatne jak pszczoły, z pewnością nie mogło się w nim kryć nic niebezpiecznego, nawet jeśli wyglądał koszmarnie. Zaczerpnęła tchu, wzięła się w garść i ruszyła naprzód, podążając za kuzynem i bratem Vincentem.

Co najmniej dwieście stóp dziwnego ogrodu dzieliło bramę od właściwego budynku świątyni. Miał on trzy piętra wysokości i stanowił przykład znakomitej roboty murarskiej. Kwadratowy gmach wydawał się tak solidny i niezmienny, że można by niemal pomyśleć, że wznieśli go z kasztelowego kamienia sami Budowniczy. Pomimo znacznej wysokości robił wrażenie przysadzistego i potężnego, zdeterminowanego stawić opór samej myśli o ataku, nie wspominając już o czynie, który mógłby się z niej zrodzić. Przed głównym wejściem stało dwóch kolejnych mnichów uzbrojonych tak samo jak brat Vincent. Obaj przyglądali się ze stoickim spokojem, jak grupa Gwendolyn wchodzi do środka za przewodnikiem.

Dziewczyna spodziewała się, że w środku świątynia będzie wyglądała mniej więcej tak samo jak na zewnątrz, ale ku jej zaskoczeniu gmach wypełniał ciepły blask, a na ścianach wisiały obrazy oraz proporce z napisami w piśmie drogistów. Niektóre z obrazów były znakomicie namalowane, nawet jeśli przedstawiały święte osoby Drogi. Na swój sposób dorównywały tym, które widzieli w Rezydencji Kasztelana.

Posadzkę ułożono z kamiennych bloków i pomalowano na ciemnozielony kolor, pomijając tylko brązowy szlak, wijący się wzdłuż korytarza. Przeszło już nim tak wielu ludzi, że farba pośrodku zeszała całkowicie i nawet sam leżący pod spodem kamień się wytarł. Gwen, podobnie jak inni, odruchowo ruszyła korytarzem wzdłuż zagłębienia. Podeszwy jej stóp znajdowały się dobry cal poniżej właściwego poziomu podłogi.

- Do jadalni? - zapytał Benedict.

- Tak by było najprościej — odparł brat Vincent. Potem mnich obejrzał się przez ramię i uśmiechnął do Gwen. - Wyglądasz na zaskoczoną, panno Lancaster.

- Tu jest... naprawdę bardzo pięknie - odpowiedziała niespodziewanie dla samej siebie. - W środku świątynia wygląda zupełnie inaczej niż i zewnątrz.

- Czyż nie jest tak samo ze wszystkim? - zapytał brat Vincent, uśmiechając się lekko.

- Zaczyna się - mruknął pod nosem Benedict.

Gwen uniosła brwi, spoglądając na kuzyna. Potem znowu zwróciła się do brata Vincenta.

- Czy nie byłoby szybciej, gdybyśmy szli prosto przed siebie, zamiast tak ciągle kluczyć? - zapytała.

- To raczej nie jest rozsądne.

Mnich uśmiechnął się szerzej.

- A czy ktoś ci tego zabronił? - zapytał.

- Hmm, nie.

- Zatem czemu nie idziesz w sposób, który uważasz za rozsądny?

Gwen uniosła brwi.

- Hmm... wygląda na to, że wszyscy tu tak chodzą.
- Czy zatem zwyczajnie nie chciałaś urazić naszej wrażliwości?
- Nie. Nie do końca - odparła Gwen. - Po prostu to wydawało się... odpowiednie.

Brat Vincent skinął głową.

- A dlaczego?
- Dlatego, że... popatrz na tę drogę. Kamienie są wytarte tam, gdzie przechodzili nią inni.
- Uważasz, że powinnaś kroczyć tą ścieżką, ponieważ bardzo wielu ludzi kroczyło nią przed tobą?

Gwen zerknęła na Benedicta, ale kuzyn tylko gapił się na nią bez słowa, najwyraźniej zainteresowany jej odpowiedzią.

- Nie, z pewnością nie. Ale z drugiej strony tak, w pewnym sensie. Właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

- Niewielu ludzi to robi.

Brat Vincent pochylił głowę i dalej prowadził ich korytarzem. Gwen wyczytała z mowy jego ciała, że jest nauczycielem, który właśnie zakończył lekcję.

Jej plecy zeszywniały nieco.

- Bracie Vincencie - rzekła tonem, któremu starała się nadać brzmienie umiarkowane, lecz jednocześnie twarde jak żelazo. - Czy próbujesz nawrócić mnie na Drogę?

Nie widziała jego twarzy, ale zauważyła, że policzki rozciągnęły mu się w uśmiechu.

- W pustce nie ma różnicy między wschodem a zachodem - odparł,

Gwen zmarszczyła lekko brwi.

- Znam wszystkie te słowa, ale nie mam pojęcia, co znaczą, jeśli połączyć je razem.
- Być może dlatego, że nie chcesz ich usłyszeć - odparł mnich, kiwając głową.

Gwen westchnęła z irytacją.

- Benedykcje?

Jej kuzyn odwrócił się z uśmiechem i cofnął o kilka kroków.

- On już taki jest, kuzynko. Ja też nie mam pojęcia, co chciał powiedzieć. Zawsze zmierzał tą drogą.

Mnich bardzo uważał, żeby się nie odwrócić. Gwen nagle odniosła wrażenie, że może się z niej śmiać. Pociągnęła nosem, uniosła stanowczo podbródek i ruszyła prosto przed siebie. Niech szlag trafi obyczaje drogistów.

Już po kilku sekundach potknęła się na nierównej powierzchni i omal się nie przewróciła. Potem opuściła podbródek na tyle, by móc patrzeć pod nogi.

-Wybacz, bracie - odezwał się po chwili mistrz Ferus. - Czy... czy mógłbyś nam pokazać wasz księgozbiór, jeśli to nie byłoby dla ciebie zbyt kłopotliwe? Moja uczennica nigdy go nie widziała.

Twarz brata Vincenta rozpromieniła się nagle, jakby eteryk zaproponował, że przyrzadzi mu wyśmienity posiłek.

- Oczywiście, mistrzu. W końcu i tak leży po drodze.
- Znakomicie - odparł mistrz Ferus z radosnym uśmiechem. - Uważaj, Folly.
- Tak jest, mistrzu - odparła uczennica.

- Księgozbiór? - zapytała Gwen. - Jaki księgozbiór?

W oczach Vincenta pojawił się błysk. Mnich zatrzymał się przed wielkimi masywnymi drzwiami i otworzył je lekkim ruchem ręki. Ogromne skrzydła otworzyły się bezgłośnie i gładko, odsłaniając gigantyczną salę za nimi.

- Panie i panowie - rzekł Vincent cichym, dźwięcznym głosem. - Wielka Biblioteka Kasztelu Albion.

Gwen otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

Wielka Biblioteka w pełni zasługiwała na swoją nazwę. Zajmowała co najmniej trzy czwarte całej świątyni. Jej wnętrze wypełniały stoły i półki. Na każdym calu ich powierzchni ustawiono książki

najrozmaitszych rozmiarów, kształtów i kolorów. Księgozbiór był znacznie większy od tego w akademii, który składał się z prawie trzech tysięcy woluminów, ale nie zajmował nawet jednej dziesiątej objętości samego tylko parteru tej biblioteki. A były tu jeszcze trzy wyżej położone piętra, wypełnione półkami ustawionymi pod zewnętrznymi ścianami. Do każdego z nich można było dotrzeć przez balkony oraz liczne schody. Na górnych piętrach krążyło wielu mnichów odkurzających półki i ustawiających równo książki. Gwen była pewna, że jest tu więcej tomów, niż widziała ich przez całe życie.

Kilkunastu mnichów w szafranowych szatach siedziało za stołami, przepisując ręcznie książki. Młodszy nowicjusze przynosili im papier, sypali piasek na stronice, by wysuszyć nadal wilgotny inkaust i wykonywali też wiele innych działań pomocniczych. W powietrzu unosiły się dźwięki łagodnej muzyki; dwóch mnichów grało na drewnianych fletach elegancko spletające się ze sobą melodie.

Gwen gapiła się na to przez kilka sekund, aż wreszcie uświadomiła sobie, że próbuje oszacować wartość tych wszystkich książek, wyłącznie na podstawie materiałów, które zużyto do ich wyprodukowania. Sama produkcja papieru potrzebnego na każdy wolumin pochłaniała więcej drewna, niż sugerowałaby to jego objętość. Dom Lancasterów posiadał bibliotekę składającą się z kilkuset ksiąg, a przecież zaliczał się do najbogatszych Domów w całym Kasztelu Albion. Akademia Kondygnacji Poranka posiadała blisko tysiąc woluminów zgromadzonych w ciągu dwóch stuleci. Niektóre z nich były dość stare i cenne. Ale tutaj...

Wielka Biblioteka nie mogłaby chyba być cenniejsza, w czysto materialnym sensie tego słowa, gdyby jej ściany i podłogi wyłożono złotem.

Podejrzewała jednak, że to samo można by powiedzieć o całej Kondygnacji Ładowiska. Zbudowali tu całe domy z drewna, w swym szalonym wyścigu o przestrzeń. Już przedtem wiedziała, że miejscowa gospodarka kwitnie, nie miała pojęcia, że obroty handlowe wyprzedzają tutaj znacznie samą Kondygnację Poranka. Na wszystkie te budynki zużyto mnóstwo drewna i przy jego obróbce z pewnością powstawały góry trocin. Być może to właśnie było źródło papieru potrzebnego do produkcji książek. To nieco obniżyłoby cenę, ale i tak wszystkie te woluminy były warte prawdziwą fortunę. A przecież należały do grupy mężczyzn i kobiet słynących z patologicznego unikania nadmiernych zysków i materialnych korzyści.

Tłumaczyło to też, dlaczego mnisi tak stanowczo zniechęcają obcych do odwiedzania świątyni. Kadziownie jej rodziny również nie były otwarte dla publiczności.

- Och - wydyszała głośno Folly. Dziwnie ubrana dziewczyna gapiła się na bibliotekę z szeroko otwartymi oczami. - Och, czy to...?

- Och, tak - potwierdził mistrz Ferus.

-W naszej... w naszej bibliotece nigdy tego nie czułam, mistrzu.

-Czego nie czułaś? - zapytał Ferus. Jego głos brzmiał łagodnie, ale Gwen zauważyła w oczach ostry wyraz.

Folly milczała przez chwilę.

- Nie jestem pewna — odpowiedziała wreszcie.

- Zastanów się - zasugerował Ferus, po czym zwrócił się w stronę brata Vincenta. - Czy mogłaby zostać tutaj, w ciszy, podczas gdy będziemy pili herbatę, bracie? Masz moje słowo, że nie obrazi was w żaden sposób.

Brat Vincent zgiął się wpół w ukłonie. Potem odsunął się i powiedział coś do jednego z nowicjuszy. Następnie wrócił do grupy.

- Młoda damo, proszę, nie dotykaj woluminów, nie zapytawszy najpierw któregoś z członków naszego zakonu.

Folly napięła mięśnie, gdy mnich do niej przemówił. Przytuliła do podbródka słoik z kryształkami.

- Och, odezwał się do mnie. Czy powinnam mu powiedzieć, że rozumiem? Nie, oczywiście, że nie. Teraz już o tym wie, bo zapytałam was o to.

- W porządku - stwierdził mistrz Ferus z zadowolonym uśmiechem. -I co z tą herbatą?

Brat Vincent przez chwilę przyglądał się z namysłem uczennicy eteryka.

-Tędy - rzekł wreszcie, uśmiechając się do mistrza Ferusa.

Mnich zaprowadził ich do skromnej jadalni. Wokół niskich okrągłych stołów z powleczonego miedzią żelaza, ułożono twarde poduszki zastępujące krzesła. Gwen nie była pewna, czy takie... nowomodne siedziska nie pozbawią jej godności. Zdołała jednak usiąść na poduszce z możliwym do przyjęcia wdziękiem. Po paru chwilach wszyscy popijali już z filiżanek znakomitą gorącą herbatę, posłodzoną skandalicznie wielką ilością miodu. Kot nie był usatysfakcjonowany, dopóki Bridget nie nalała mu łyżeczką dwa razy więcej miodu niż podano pozostałym.

Gdy już wszyscy wypili (albo wychłęptali) herbatę, brat Vincent skinął głową i spojrzał na Benedicta, który siedział po jego prawej stronie.

- Proszę bardzo. Słucham.

Benedict przedstawił kolejno wszystkich i zdał krótką relację z wydarzeń minionych dni, a także zdradził cel ich wizyty w Kondygnacji Ładowiska.

- Krótko mówiąc - stwierdził - potrzebujemy kwatery wolnej od niepożądanego obecności cechów. Miałem nadzieję, że wędrowca da się przekonać, by pozwolił nam zatrzymać się tutaj, bracie. To najbezpieczniejsze miejsce, jakie moglibyśmy znaleźć.

- Wędrowca? - powtórzyła Gwen.

-To tytuł najważniejszego brata albo siostry w świątyni — wyjaśnił z uśmiechem brat Vincent. Potem spojrzał na Benedicta i pokręcił łysą głową. - Przykro mi, synu. Prawa naszego zakonu jasno stanowią, że świątynie Drogi nie opowiadają się po żadnej ze stron w dysputach politycznych.

- Ale to jest wasz dom — sprzeciwiła się Gwen. - Jeśli Auroranie podbiją Albion, podbiją również was.

- Świątynia Drogi w Kasztelu Aurora działa bez żadnych przeszkód -odparł łagodnie brat Vincent. - Bardzo byśmy żałowali ofiar w ludziach, które z pewnością pochłonęłyby podobny podbój. Pomogliśmyby rannym i pogrążonym w żałobie na wszelkie możliwe sposoby. Urządzilibyśmy pokojowe protesty przeciwko wszelkim okrucieństwom popełnionym przez którąkolwiek ze stron i pogodzilibyśmy się z konsekwencjami takiego protestu. Ale nie jesteśmy tu żołnierzami ani wojownikami, panno Lancaster. To nie jest nasza ścieżka.

- Nie przypominam sobie, bym was prosiła, żebyście za mnie walczyli -odpowiedziała ze spokojem Gwendolyn. - Niedawno się przekonałam, że mam do tego smykałkę.

- Gdybyśmy pozwolili wam użyć świątyni jako bazy waszej misji, wywołałoby to wrażenie, że opowiadamy się po stronie kasztelana. Głęboko szanujemy jego władzę i jego umiarkowanie, ale celem naszej świątyni jest służba całej ludzkości, a nie tylko mieszkańcom jednego kasztelu.

Benedict uśmiechnął się bez zbytej wesołości.

- Taką właśnie odpowiedź spodziewałem się od ciebie usłyszeć, bracie. A czy mógłbyś zasugerować, gdzie możemy znaleźć w miarę bezpieczne miejsce? Minęło już trochę czasu, odkąd ostatnio tu byłem, a nawet wtedy nie znałem kondygnacji tak dobrze, jak zakon.

Brat Vincent pociągnął długi i powolny łyk herbaty, mrużąc oczy w zamyśleniu.

-Jeśli szukacie w tej kondygnacji naprawdę honorowego oberżysty, mam nadzieję, że przywieźliście ze sobą znaczne środki finansowe. - Odwzajemnił uśmiešek Benedicta. - Wszystkiemu są winne pieniądze. Na pewnych ludzi działają naprawdę bardzo dziwnie.

- Niewątpliwie niektórzy są lepsi od innych — sprzeciwił się Benedict.

- Niektórzy z pewnością sprawiają takie wrażenie - przyznał Vincent. -Ale czy pozory odpowiadają rzeczywistości, to już całkiem inna sprawa. Często słyszałem, jak mawiano, że każdy w Kondygnacji Ładowiska ma swoją cenę. Zwłaszcza gdy chodzi o lojalność.

Gwendolyn opuściła filiżankę.

- Nie potrzebujemy honorowego oberżysty, Benny — oznajmiła.

Kuzyn spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Naprawdę?

- Z całą pewnością. Potrzebujemy takiego, który uczciwie sprzedaje swoją lojalność. - Spojrzała na brata Vincenta. — Czy jest tu jakiś oberżysta, który pozostaje przekupiony, gdy już raz weźmie pieniądze?

- Oberżysta najemnik? - zapytał mnich, unosząc brwi.

- To będzie najszybszy sposób, a nam się śpieszy - wyjaśniła Gwen.

Vincent zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Nawet udzielenie wam tak mało istotnej rady mogłoby naruszyć neutralność, którą nasz zakon tak usilnie stara się zachować.

- A co, jeśli nie pytamy brata Vincenta? - zapytała Gwen. - Jeśli prosimy o radę Vincenta, dawnego nauczyciela mojego kuzyna?

- To sofistyka - sprzeciwił się mnich. — I do tego kiepska.

-Po prostu rozmawiamy sobie przy herbacie — oznajmiła stanowczo Gwendolyn. - Kasztelan nie napisał żadnego pisma z prośbą o pomoc.

Brat Vincent wyduł wargi.

- Muszę bardzo starannie rozważyć skutki, jakie może to spowodować dla naszego zakonu oraz innych wyznawców Drogi.

-A kiedy będziesz tym zajęty, może rozważysz też, jakie skutki spowoduje twoja obojętność dla wyznawców Drogi mieszkających w Kasztelu Albion, a także dla wszystkich ich sąsiadów? Z pewnością oni również zaliczają się do ludzkości, której pragniesz służyć?

Brat Vincent zmarszczył czoło.

- Nie pojmujesz aluzji zbyt dobrze, nieprawdaż, panno Lancaster?

- Być może po prostu wolę ich nie słyszeć - odparła Gwen słodko jak miód.

W oczach mnicha zatańczyło coś podejrzanie przypominającego rodzającą się wesołość.

Gwendolyn uśmiechnęła się do niego radośnie.

ROZDZIAŁ 27

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska, gospoda „Pod Czarnym Koniem”

Po drodze ze świątyni do gospody wskazanej przez brata Vincenta Bridget szła tuż za Benedictem, który nieustannie obserwował ulice przed nimi. Właściwie nie powinna z nim rozmawiać. Jego obowiązkiem było wypatrywanie niebezpieczeństw i ochrona mistrza Ferusa przed wszelkimi atakami. Jak mógł to robić, kiedy ciągle zawracała mu głowę?

- I co odkryłaś, Folly? - zapytał uczennicę mistrz Ferus.

Dziwnie ubrana dziewczyna zastanawiała się przez jakieś pół minuty.

- Zamrożone dusze - odpowiedziała wreszcie.

- Ach! - Ferus uniósł palec. — Całkiem blisko. Dobrze się spisałaś, dziecko.

Folly rozpromieniła się i przytuliła do piersi słoń z kryształami.

- Ale dlaczego w naszym gabinecie nigdy nie czułam niczego w tym rodzaju?

- To przede wszystkim kwestia gęstości — wyjaśnił Ferus. — Potrzeba więcej niż kilku drzew, żeby zobaczyć las.

Folly zmarszczyła brwi na te słowa.

- To było tak, jakby... rozmawiały ze sobą nawzajem?

- Myślę, że to nie jest nic aż tak skomplikowanego - odparł eteryk. - Niemniej z pewnością istnieje między nimi jakaś więź.

Bridget odchrząknęła.

- Przepraszam, mistrzu Ferusie? - rzekła.

Eteryk i jego uczennica skierowali na nią spojrzenia.

- Tak? - zapytał.

- Nie chciałabym przeszkadzać, ale... o czym rozmawiacie?

- O książkach, moja droga - odpowiedział Ferus. - O książkach.

- Książki nie mają dusz, mistrzu - powiedziała zdziwiona Bridget.

- Ale ich autorzy je mają - wyjaśnił eteryk. - Kiedy piszą słowa, zostawiają za sobą fragmenty dusz, resztki i plamy swej zasadniczej natury. - Pociągnął nosem. - Szczerze mówiąc, to okropny bałagan, ale kiedy się zbierze wystarczająco wiele skrawków, można z nich złożyć coś przypominającego całość.

- Wierzysz, że biblioteka ma duszę? - zapytała ostrożnie Bridget.

- Nie „wierzę” w to, młoda damo - odparł dość sztywno Ferus. - Ja to wiem.

- Rozumiem - rzekła Bridget. - Dziękuję, że odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Nie ma za co.

Szli dalej przed siebie, podążając za Benedictem, aż wreszcie dotarli do gospody położonej na ruchliwej części ulicy dochodzącej do galerii, nieopodal statkowni. Na wiszącym nad wejściem szyldzie widniała—jak często w takich przypadkach - podobizna fantastycznego zwierzęcia, żyjącego ponoć w zamierzchłych czasach. Bridget wiedziała, że w większości gospód w Kondygnacji Poranka widuje się podobne ozdoby. Umieszczone pod spodem litery oznajmiały, że w budynku mieści się gospoda „Pod Czarnym Koniem”.

Weszli do środka i znaleźli to samo, co znajdowało się w innych podobnych miejscach - salę, w

której podawano jedzenie i picie, krótko mówiąc, mały pub albo restaurację. Sufit był tu naprawdę bardzo nisko. Benedict musiał pochylać nieco głowę, by nie wyrznąć nią o ciężkie belki stropowe podtrzymujące podłogi na piętrze. Powietrze było gęste od dymu. Niektórzy spośród tłoczących się przy stołach mężczyzn i kobiet palili fajki wypełnione jakąś dymiącą substancją. Właściwie było to sprzeczne z zasadami ustanowionymi przez Miłosiernych Budowniczych w Wielkim Podręczniku. Najwyraźniej uważali oni palenie za ciężki grzech.

Z drugiej strony Kondygnacja Ładowiska nie słynęła jednak ze zbytniej pobożności. W końcu tu właśnie znajdowała się Świątynia Drogi, a Bogu w Niebiosach poświęcono tylko niewielkie kapliczki. Najważniejszym prawem był tu zysk. A gospoda „Pod Czarnym Koniem” sprawiała wrażenie bardzo zyskowej.

W sali tłoczyło się co najmniej sześćdziesiąt osób. Wszystkie stoły były zajęte. Dwie kobiety kluczyły po pomieszczeniu, uwijając się tak szybko, jak tylko mogły przy roznoszeniu potraw i napojów, a także zbieraniu pustych talerzy oraz kubków. Z kuchni dobiegał grzechot naczyń i głosy, donośne, ale pozbawione emocji. Interes kręcił się z maksymalną możliwą szybkością.

- Chwileczkę, chwileczkę, panie i panowie - zawołał mężczyzna o okrągłych policzkach, ubrany w prostą kurtkę z surowego, srebrnobiałego eterycznego jedwabiu. Dopiero wypowiedziawszy te słowa, przyjrzał się gościom uważniej.

Bridget zauważyła, że jego lśniąco, dość blisko osadzone oczy zatrzymały się na znakomicie wykonanych (i drogich) ubraniach Gwendolyn oraz mistrza Ferusa. Potem podszedł do gości, zacierając dłonie, i uśmiechnął się szeroko.

- Jak widzicie, mamy dziś wielki ruch, ale zaraz znajdziemy dla was wolny stół.

Z brzucha Benedicta popłynął dźwięk słyszalny nawet w wypełnionym dźwiękiem głośnych rozmów pomieszczeniu.

- Cudownie - ucieszył się genetyczny wojownik.

- Potrzebujemy też pokojów - wtrąciła Gwendolyn. - Powiedziano nam, że twój lokal spełni nasze wymagania.

Oberżysta potarł kark.

- Ach, młoda damo, rozumiem. Z radością wypełnimy brzuchy strudzonych wędrowców gorącym posiłkiem, ale obawiam się, że wszystkie pokoje są zajęte.

- Przepraszam - odparła z uśmiechem Gwendolyn. — Chyba źle cię usłyszałam.

- No więc, młoda damo - ciągnął oberżysta — czasy są niepewne. Mieliśmy atak, być może będzie wojna i... obawiam się, że nie mamy pokojów do wynajęcia.

- Wszystkie są w tej chwili zajęte? - dopytywała się Gwendolyn. - Co do jednego?

- Przykro mi, ale tak - skłamał oberżysta.

Łatwo to było odgadnąć z wyrazu jego twarzy. Być może, pomyślała Bridget, odmawianie przyjęcia pieniędzy, nie było czymś, co przychodziło z łatwością przedsiębiorcy z Kondygnacji Ładowiska. Ale w takim razie dlaczego po prostu nie wynajmie jej tych pokojów? Ach, to z pewnością miało coś do czynienia z...

- Kto w nich mieszka? — zapytała radośnie Gwen. — Może udałoby mi się jakoś dojść do porozumienia z tą osobą?

- To nie twoja sprawa, młoda damo. Bez obrazy, ale nie zwykłem opowiadać obcym o moich klientach i ich interesach.

- Jestem pewna, że jakieś porozumienie uda się osiągnąć — nie ustępowała Gwendolyn.

- Nie ma pokojów — powtórzył oberżysta, wysuwając w uporze szczękę.

Gwendolyn Lancaster przymrużyła powieki.

Zjedli posiłek w apartamencie, zamiast przepychać się z powrotem do sali na dole. Jedna z kobiet

przyniosła im kilka zastawionych jedzeniem tac. Wszystko było gorące i świeże, najlepsze dania, jakie oferowała gospoda „Pod Czarnym Koniem”. Dostali też srebrne sztucce oraz kilka butelek dość drogiego mglistego wina.

Gdy kobieta już postawiła wszystko na małym stoliku i wyszła, Folly zamknęła drzwi i zasunęła starannie rygiel. Uczennica eteryka sprawiała wrażenie wynędzniałej, jakby od wielu dni nic nie jadła. Zamknąwszy drzwi, natychmiast uciekła do najdalej położonego kąta pokoju i usiadła na podłodze, ostrożnie ściskając swój niewielki słoik z kryształkami.

- Kuzynko - odezwał się Benedict, otwierając pierwszą butelkę mglistego wina - obawiam się, że musisz się jeszcze nauczyć paru rzeczy o targowaniu się o najkorzystniejszą cenę.

- Moim celem nie jest oszczędzanie pieniędzy - odparła Gwen. - Muszę nam oszczędzić czasu.

- To niemożliwe, niemożliwe - sprzeciwił się mistrz Ferus. - Czas to czas. Ledwie możemy go zobaczyć, nie wspominając już o zmienianiu go.

Benedict ze spokojem nalał wina do kieliszków, nie zwracając uwagi na burczenie w brzuchu. Dopiero potem usiadł i zaczął zapełniać sobie talerz. Bridget zauważyła, że jego ruchom brak pośpiechu, ale ścięgną na szyi uwydatniają mu się z wysiłku, jaki wkładał w zachowanie cierpliwości.

- W takim razie nie czasu, tylko kłopotów - ustąpiła Gwen. - To prawda, że zapłaciliśmy pięć razy więcej...

- Dziesięć razy — przerwał jej spokojnie Benedict.

Machnęła ręką.

- Rzecz w tym, że nie straciliśmy mnóstwa godzin na bieganie w tę i we w tę, by znaleźć kolejną gospodę.

- Bardzo celna uwaga, dziecko - zgodził się mistrz Ferus.

- Małamyszko - odezwał się z naciskiem stojący na podłodze Rowl. - Gdzie powinienem usiąść?

Bridget ze spokojem zrobiła trochę miejsca na stole, położyła na małym talerzu odrobinę pieczonego drobiu i uniosła kota na stół, by usiadł przed talerzem. Rowl wydał z siebie gardłowy pomruk zadowolenia i zaczął skubać mięso.

- Co zrobimy teraz, jeśli można zapytać? - odezwała się niepewnie Bridget.

- Zbadamy otoczenie - wyjaśnił mistrz Ferus z ustami pełnymi wołowiny. - Sala na dole świetnie się nadaje do sprawdzenia miejscowych nastrojów i poszukiwania oznak niezwyklej aktywności. Sir Sorellin, może zechciałbyś zrobić użytek ze swych talentów, zejść na dół i trochę posłuchać. Udawaj, że pijesz, ale nie pozwól, by zakręciło ci się w głowie.

Benedict przełknął pośpiesznie kęs i odchrząknął.

- Mistrzu Ferusie, obawiam się, że rozkazy kasztelana nie pozwalają mi na nic w tym rodzaju. Zabroniono mi oddalać się od ciebie nawet na chwilę.

Stary eteryk stropił się.

- Och, zapewne można by je zinterpretować w ten sposób, nieprawdaż?

- Tak - potwierdził Benedict. - Obawiam się, że trzeba je interpretować dosłownie.

- W takim razie pójdę z tobą — zaproponował Ferus. — Będziesz bardziej wiarygodny, jeśli będzie ci towarzyszył ktoś naprawdę pijany. - Pokręcił ze smutkiem głową. - Śmierć jest lekka jak piórko, a obowiązek ciężki niczym kasztel, czyż nie tak?

- To prawda - zgodził się Benedict.

- Panie Ferusie, czy to rozsądne? - zapytała Gwen.

- To przysłowie pochodzi ze starożytnych czasów Budowniczych. Patrząc na to chronologicznie, to mądrość najwyższego rządu.

- Nie chodzi mi o przysłowie - wyjaśniła Gwen. - Co będzie, jeśli się upijesz? Obawiam się, że gdy będziesz wypity, wykonanie misji stanie się dla ciebie trudniejsze.

- Wolę być wypity niż zjedzony, panno Lancaster - stwierdził z powagą Ferus. - Wszyscy powinni

się ze mną zgodzić. W porządku, sprawa rozstrzygnięta.

Gwen ściągnęła brwi.

Eteryk pociągnął powolny łyk i pokiwał głową z roztargnieniem.

- Pan Sorellin i ja stawimy czoło jeszcze kilku butelkom tego znakomitego mglistego wina i zniszczymy je, a przy okazji przekonamy się, co może nam dać bierne podsłuchiwanie. Reszta grupy pójdzie tymczasem z Rowlem i Bridget, by nawiązać kontakt z miejscowymi kotami. Jeśli w Kondygnacji Łądowiska dzieje się coś niezwykłego, one na pewno to zauważą.

Rowl oderwał się na moment od jedzenia, by rzec:

- Moje imię wymienił najpierw, Małamyszko. Ma znakomite wyczucie hierarchii.

Bridget zerknęła na kota, po czym znowu skierowała spojrzenie na starego eteryka.

- Wybacz, mistrzu Ferusie, ale nie jestem pewna, ile czasu zajmie nam nawiązanie kontaktu. Koty nie słyną z szybkiej gościnności wobec obcych.

- Pomogę wam — zapewniła ze spokojem Gwen.

Bridget westchnęła.

- Hmm... obawiam się, że w tym akurat przedsięwzięciu twoja pomoc może się okazać zawadą.

- A to dlaczego? - zdziwiła się Gwen.

Boże w Niebiosach, ona naprawdę nie zdaje sobie sprawy, jak się zachowuje, kiedy upatrzy sobie jakiegoś nieszczęśnika, pomyślała Bridget.

Na głos jednak powiedziała:

- Koty nie reagują przychylnie na... - zawahała się i spojrzała na Benedicta, błagając go bezgłośnie o pomoc.

- Na gwenowskość - odpowiedział Benedict.

Gwen uniosła brwi.

- W jakim sensie użyłeś tego słowa, kuzynie?

- Dosłownie w każdym - odparł Benedict. - Twoje dyplomatyczne wysiłki do tej pory składały się ze sprowokowania pojedynku, zagrożenia całemu oddziałowi piechoty powietrznej oskarżeniem o zdradę, wydania małej fortuny na łapówki i nagłego wystrzału z rękawicy w całkowicie niegroźnej sytuacji.

- Ale... - zaczęła Gwen.

- Dwóch wystrzałów - przerwał jej łagodnym tonem Benedict. Kuzynka zmierzyła go spokojnym spojrzeniem i wzięła sobie kolejny kawałek drobiowego mięsa ze szczególnie gwałtownym uderzeniem widelca.

- Nie chcę cię urazić, Gwen, ale... koty naprawdę nie reagują przychylnie na naciski, jakie lubisz wywierać, zwłaszcza gdy mają do czynienia z...

- Najeźdźcami - mruknął Rowl.

- ...przybyszami - dokończyła, szukając łagodniejszego określenia. Gwen wzniosła oczy ku niebu.

- W porządku. W takim razie nie będę wam przeszkadzać.

- Chodzi tylko o pierwsze spotkanie - dodała pospiesznie Bridget.

- Nie powinnaś iść sama - stwierdziła Gwen z zasępioną miną.

- Nie będzie sama - zapewnił mistrz Ferus. - Pójdzie z nią Folly. Bridget zerknęła na uczennicę eteryka. Dziewczyna potrząsała delikatnie swymi kryształkami, śpiewając im bardzo cichą kołysankę.

- Aha - odparł Benedict, unosząc brwi.

- Bardzo dobrze - ucieszyła się Bridget. - Mniej ludzi znaczy mniej hałasu. Rowl będzie mógł usłyszeć potencjalne zagrożenia, zanim zdążą się zanadto zbliżyć.

Kot zaczął skromnie wylizywać przednią łapę.

- Zatem to również ustaliliśmy - skonkludował mistrz Ferus. - Ruszajcie więc. Szczęśliwych łowów. Sir Benedikcie, chodźmy się upić.

ROZDZIAŁ 28

Kasztel Albion, Statkownia Kondygnacji Lądowiska, SHA *Drapieżca*

Grimm zszedł z pokładu do maszynowni w tej samej chwili, gdy mechanicy bardzo ostrożnie otwierali skrzynie oznaczone godłem Kadziowni Lancasterów.

- Ach! - Journeyman zachichotał radośnie, składając szerokie, pokryte odciskami dłonie.

Tęgiego łysiejącego mechanika zalewał pot, mimo że popołudnie było przyjemnie chłodne. Zaledwie przed półgodziną zacumowali statek i stłumili jego kryształ rdzeniowy. Ciepło nadmierowe wyemitowane przez obwody sterowca nie zdążyło się jeszcze rozproszyć. W tej chwili prąd docierał wyłącznie do kryształów luminowych i do kuchni.

- Nareszcie! Tylko ostrożnie, człowieku. Jeśli uszkodzisz jeden z moich nowych kryształów, zatknę cię na paliku!

Grimm odchrząknął ze spokojem.

Journeyman obejrzał się przez ramię.

- Hmm - mruknął. - To znaczy złożę na ciebie skargę do... do odpowiedniej osoby w łańcuchu dowodzenia, która podejmie decyzję dyscyplinarną wykraczającą poza moje uprawnienia.

- Zawsze powinno się utrzymywać dyscyplinę w swojej sekcji, pierwszy mechaniku - stwierdził z sympatią Grimm. - Nawet na cywilnym statku.

Journeyman zasalutował mu pośpiesznie, a potem prychnął lekceważąco.

- *Drapek* to okręt wojenny, kapitanie. Wszyscy o tym wiemy.

Grimm wzruszył ramionami.

- Gdy zaistnieje taka potrzeba, pierwszy mechaniku. Czy wszystkie nowe części spełniają wymagania?

Journeyman wskazał od niechcienia dłonią na odległy stół roboczy, w ustawionej na nim długiej skrzyni spoczywało osiem zielonobiałych kryształów, ułożonych równo jak jaja w opakowaniu.

- To są kryształy stabilizujące najwyższej jakości. Zupełnie nowe. Jeszcze czuje się zapach roztworu z kadziowni.

Grimm przeszył Journeymana ostrym spojrzeniem. Można było kupić kryształy stabilizujące lepszej lub gorszej jakości, ale nowe nigdy nie trafiały na rynek. Nowe kryształy z reguły były wydajniejsze i wrażliwsze na zmiany natężenia prądu. Z czasem się zużywały. Okręty wyposażone w nowe kryształy stabilizujące miały manewrowość w niewielkim, lecz znaczącym stopniu lepszą niż te, które ich nie miały. Dlatego Flota Eteryzna z zasady zagarniała je tak szybko, jak tylko zostały wyprodukowane.

- Mówisz, że są nowe?

Journeyman uśmiechnął się do kapitana, odsłaniając braki w uzębieniu.

- Mogę na to postawić elegancki jedwabny garnitur, kapitanie.

Grimm powoli pokręcił głową, częściowo w odpowiedzi Journeymanowi, a częściowo dlatego, że zaczął sobie uświadamiać, jak wielki dług zaciągnął. *Drapieżca* byłby zwrotnym sterowcem nawet gdyby kasztelan dał im używane kryształy wznoszące. Z nowymi będzie tańczył najlepiej na całym świecie.

Rozległ się głośny trzask. Wreszcie otworzono ostatnią skrzynię i ekipa mechaników ostrożnie wydobyła z niej ogromny podłużny kryształ, wielki jak wanna. Jego szmaragdową powierzchnię pokrywały fasetki tak drobne, że gdyby nie sporadyczne błyski odbitego światła, można by ją wziąć za

zupełnie gładką. Kryształ wznoszący zostanie podłączony do układu amortyzacji, stanowiącego strukturalny szkielet statku, a podczas lotu cały ciężar *Drapieżcy* wesprze się na jego powierzchni.

- Cudowny - zamruczał Journeyman, podchodząc do kryształu z rozpostartymi szeroko dłońmi. - Ach, mój cudzie. Chodź do mnie. Chodź.

- Może powinienem was zostawić samych? - zasugerował Grimm, unosząc brwi.

Journeyman pociągnął wyniośle nosem, a potem klęknął przed kryształem, przebiegając dłońmi po jego powierzchni. Mruknął coś do siebie, po czym zaczął wyciągać zza pasa rozmaite przyrządy pomiarowe. Założył na nos okulary mechanika i przyjrzał się powierzchni kryształu, nie przestając go dotykać i mamrotać.

Grimm dał mu kilka minut na oględziny, zanim znowu odchrząknął.

- Panie Journeyman?

- To na pewno jakaś pomyłka, kapitanie - mruknął mechanik.

- Jak to, pomyłka? - zapytał Grimm, pochylając się ku niemu.

Journeyman podłączył kilka instrumentów do źródła prądu i dotknął nimi wielkiego kryształu. W miejscach, gdzie to zrobił, pojawiły się spirale promiennego blasku, rozchodzące się przez cały kryształ. Mechanik przyglądał się im chwilę przez swoje okulary, po czym zdjął je z irytacją i powtórzył tę samą czynność, tym razem uważnie obserwując miernik, do którego były podłączone instrumenty.

- Tak. To z całą pewnością pomyłka.

- Coś jest z nim nie tak, pierwszy mechaniku?

- Och, wszystko jest w absolutnym porządku - zapewnił Journeyman. - Jest fabrycznie nowy, a do tego to ich Typ IV. Piekielnie wydajny.

Grimm wiedział, że Journeyman to geniusz, gdy chodzi o technologię eteryczną. Wyłącznie dzięki temu udało im się wrócić do Albionu, mimo że ich kryształ wznoszący przestał funkcjonować niemal całkowicie. Journeyman nastawił kryształy stabilizujące tak, że udźwignęły ciężar znacznie przekraczający ich specyfikacje i przy okazji prawie zupełnie je wypalił. Był cholernie dobrym mechanikiem, choć kapitan wolałby, żeby trochę mniej przypominał genialne dziecko zafascynowane swoimi zabawkami.

- Na czym więc polega pomyłka, pierwszy mechaniku?

Journeyman obejrzał się i przyjrzał z uwagą Grimmowi.

- To kryształ wznoszący krążownika liniowego, kapitanie, albo jestem młodym, zielonym, świeżo zwerbowanym marynarzykiem.

Grimm chrząknął i zmarszczył brwi. Ciężkie okręty potrzebowały wielu potężnych kryształów, by utrzymać wysokość. Te kryształy z reguły były też gęstsze i bardziej skomplikowane, co zwiększało ich energetyczną wydajność. Tego wymagała większa masa potężnych opancerzonych okrętów. Jeśli Journeyman miał rację, ten kryształ mógłby z łatwością utrzymać w powietrzu okręt trzydzieści pięć razy cięższy od *Drapieżcy*. Będą musieli uważać, jak wiele mocy przekażą do kryształu, by nie wyrwała go ona całkowicie z układu amortyzacji. Było całkiem możliwe, że z takim kryształem *Drapieżca* będzie mógł szybciej się wznosić niż opadać.

- Na jaką wysokość będzie mógł nas wznieść, mechaniku?

Journeyman podrapał się w ucho palcem o złamanym paznokciu.

- Siedem, może osiem mil? Z pewnością znacznie wyżej, niż moglibyśmy oddychać bez zbiorników. W praktyce nie będziemy mieli pułapu. A na niższej wysokości jest piekielnie wydajny. W to cudo nie będziemy musieli pompować jednej czwartej mocy z rdzenia, jak robiliśmy to wcześniej.

Jeden z jego ludzi zagwizdał cicho. Grimm w pełni zgadzał się z jego opinią. Kryształ wznoszący pochłaniał największą część budżetu energetycznego statku. Im mniej mocy poświęca na utrzymywanie się w powietrzu, tym więcej będą jej w stanie przeznaczyć na inne cele. Będą mogli wydusić z sieci eterycznej większą prędkość, wzmocnić tarczę i strzelać z dział, aż ich miedziane lufy się stopią.

Kasztelan dał im elementy takiej jakości, że już przedtem wyposażony w nadzwyczajny kryształ rdzeniowy *Drapieżca* stanie się najszybszym okrętem we Flocie Albionu, groźniejszym niż wszystkie inne jednostki jego klasy. Siły ognia dział będzie mu mógł pozazdrościć nawet krążownik.

Nie znaczyło to jednak, że *Drapieżca* będzie w stanie pokonać w bitwie opancerzony okręt, taki jak *Itasca*. Niemniej stanie się znacznie bardziej nieuchwytny i trudniej go będzie strącić trafionym strzałem. A każdy okręt lżejszy od *Itaski* spotka bardzo przykra niespodzianka, jeśli wda się w bitwę z niewielką jednostką Grimma.

- Kocham cię - oznajmił kryształowi wznoszącemu Journeyman. Potem go pocałował i rozpostarł ręce na jego powierzchni, jakby w uścisku. - Kocham cię. Wyjdź za mnie, ty wielka piękna bestio. Chcę mieć z tobą dzieci.

- Pierwszy mechaniku - skarcił go Grimm, ale nie włożył w to serca.

Addison Albion dotrzymał słowa na skalę, którą kapitan ledwie był w stanie ogarnąć. Spróbował obliczyć, ile kosztował kasztelana ten hojny dar, ale uświadomił sobie, że to niemożliwe. Takie kryształy po prostu nie były na sprzedaż. Były bezcenne. Dzięki jednemu z nich jego statek stał się znacznie szybszy, straszliwszy i skuteczniejszy niż przedtem.

Kasztelan wiedział, że Grimm nie ma zamiaru wstąpić do niego na służbę, lecz i tak przysłał mu te kryształy. Jak można było uczciwie spłacić dług, którego wartość była z zasady nie do policzenia? Jak Grimm mógłby odwrócić się plecami do takiego gestu dobrej woli i porzucić służbę po wykonaniu jednej misji? Jeśli nawet istniał na to jakiś sposób, on z pewnością go nie widział.

Kapitan doszedł do wniosku, że lord Albion jest świetnym sędzią ludzkich charakterów.

- Ile czasu potrzebujemy, żeby wszystkie zainstalować, pierwszy mechaniku? - zapytał.

Journeyman oderwał spojrzenie od kryształu i rozejrzał się po sekcji, wyraźnie próbując zebrać myśli.

- Na kryształy stabilizujące wystarczy dzień - zapewnił. - Są standaryzowane i możemy je wymienić względnie szybko. Ale cudowna bestia... — Ponownie potarł dłońmi powierzchnię kryształu wznoszącego. — To może trochę potrwać. Nasz układ amortyzacji zdoła ją unieść, ale będę musiał wprowadzić pewne modyfikacje.

- Jak długo?

- Są jeszcze ujścia mocy — ciągnął Journeyman. - Będziemy musieli zainstalować trochę oporników, żeby zredukować dopływ prądu, bo inaczej przy tych kryształach stabilizujących zaczniemy koziółkować w powietrzu, gdy tylko Kettle spróbuje przechylić statek. Potrzebujemy też nowych przewodów do węzłów sieci, by móc przesyłać do niej więcej prądu.

- Jak długo?

- Nie można też zapominać o klatkach Hasletta. Będę musiał je wykalibrować z powodu zwiększonej wydajności. Klatkę rdzenia też, żebyśmy mogli postawić gęstsza tarczę.

- Pierwszy mechaniku - powtórzył Grimm, z trudem zachowując cierpliwość. - Jak długo?

Journeyman wzruszył ramionami.

- Może z miesiąc?

O ile Grimm znał swego pierwszego mechanika, z pewnością nawet za pół roku nie przestanie on wynajdywać kolejnych sposobów na wymuszenie większej wydajności ze swych kryształów.

- Panie Journeyman, mamy wojnę. Jak długo, jeśli ograniczymy się tylko do tego, co absolutnie konieczne, by utrzymać się w powietrzu?

Twarz Journeymana zmarszczyła się, jakby mechanik poczuł nagle jakiś obrzydliwy smród.

- Kapitanie - sprzeciwił się.

- Ja tu dowodzę - odparł Grimm, nadając swemu głosowi spokojny ton zimnej stali. - Spraw mi przyjemność. Powiedz jak długo.

Pierwszy mechanik podrapał się po karku, mamrocząc coś pod nosem.

- Może z tydzień? - odpowiedział po chwili.

- Każ ludziom pracować na zmiany przez całą dobę - ciągnął Grimm. -A jeśli znajdziesz jakichś miejscowych mechaników należących do cechu, ich również wynajmiemy.

Journeyman gapił się na niego, jakby kapitan przed chwilą zasugerował, by sprzedał własną matkę piratom.

- W mojej maszynowni? Kapitanie!

- Zrób to - odparł Grimm. — To rozkaz.

Mamrotanie pierwszego mechanika przybrało jeszcze na gwałtowności.

- W takim razie kilka dni. Ale w ten sposób dostaniesz najbardziej żalony, prowizoryczny, niedopracowany, rozklekotany, zawodny i skłonny do wypadków sterowiec w całej historii aeronautyki.

- Głęboko wierzę w twoje umiejętności, pierwszy mechaniku - zapewnił Grimm, zwracając się ku wyjściu. — Możesz czerpać z naszych środków w miarę potrzeby. Bierz się roboty.

ROZDZIAŁ 29

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska

Przed zaledwie czterema tygodniami Bridget wiodła spokojne i rozsądne życie. Pracowała z ojcem, zajmowała się klientami i często odwiedzała uboższych sąsiadów, zanosząc im w darze niesprzedane mięso, które trzeba już było zjeść. Co drugi dzień chodziła do szkoły, a od czasu do czasu na targowisko, by kupić rzeczy potrzebne w domu i w firmie. Kilka razy była w amfiteatrze na koncertach muzycznych, a raz na dwa tygodnie chodziła na nabożeństwo do kościoła Boga w Niebiosach.

A teraz wędrowała przez obcą i potencjalnie niebezpieczną kondygnację, mając za towarzystwo tylko kota uważającego się za najważniejszą istotę na świecie oraz chudą jak szczapa dziewczynę, która nieustannie mamrotała pod nosem, prowadząc rozmowę ze słoikiem zużytych kryształów. Co, jeśli się zgubi? Albo natknie na kolejnych bandytów bądź też spotka nieprzyjaciela, zanim zdąży nawiązać kontakt z miejscowymi kotami?

W Kondygnacji Poranka mogła przynajmniej ukryć się za autorytetem implikowanym przez mundur. Teraz miała na sobie tylko zwykłe ubranie. Co prawda szerokie rękawy bluzki niemal całkowicie zakrywały rękawicę na jej lewej ręce, ale nie miała właściwie czasu nauczyć się z niej strzelać tak, by niechcący kogoś zabić, nie wspominając już o umiejętności zrobienia tego celowo. Gdyby doszło do prawdziwej walki, wątpiła, by była w stanie trafić w cel odległy o więcej niż trzy albo cztery stopy. Nie była pewna, czy tak jest lepiej, czy gorzej, niż gdyby w ogóle nie miała broni.

Rowl siedział na jej ramionach, unosząc wysoko głowę w pełnym zarozumiałości geście, jakby przed chwilą podbił tę kondygnację i teraz spoglądał z łaskawością na swe królestwo i poddanych. Ich grupka posuwała się przez jeden z szerszych i bardziej zatłoczonych tuneli pierwszego poziomu kondygnacji. Kot ani na moment nie przestawał poruszać nosem i nastawiać czujnie uszu.

- Doprawdy, Rowl - wyszeptała Bridget. - Czy jesteś pewien, że szukasz miejscowych kotów?
- Nawet najbystrzejsze oczy nie wypatrzą czegoś, czego nie ma, Małamyszko - odparł ze spokojem kot. - Idź dalej. W stronę tych straganów z jedzeniem.
- Niespełna pół godziny temu kupiłam ci knedla z mięsem - sprzeciwiła się Bridget.
- One pachną dla mnie dobrze i chcę lepiej poczuć ich woń - odparł Rowl. - Każdy kot godny tej nazwy byłby tego samego zdania. Może zobaczymy tam jakiegoś.
- A skoro już tam będziemy, może spałaszujesz kolejnego knedla?
- Może spałaszuję.
- Powinam ci kazać nosić pieniądze ze sobą.
- Metalowe krążki - zamruczał z pogardą Rowl. — To ludzkie szaleństwo. Niech ludzie się nim zajmują.

- On ma rację - odezwała się nagle Folly, idąca tak blisko Bridget, że ta obawiała się odwrócić za szybko, by nie uderzyć jej łokciem. - Pieniądze to szaleństwo, złuda-ułuda. Tak naprawdę wcale nie są zrobione z metalu tylko z czasu. Ile wart jest czyjś czas? Jeśli ktoś zdoła przekonać wystarczająco wielu ludzi, że jego czas jest bezcennym zasobem, będzie miał mnóstwo pieniędzy. Dlatego właśnie można marnować czas, za który już nie dostanie się pieniędzy.

- Rozumiem - rzekła Bridget, choć w rzeczywistości wcale nie rozumiała. - Czy zatem tam

pójdziemy?

Folly pochyliła się nad słoikiem.

- Ona rozpieszcza kota — wyszeptała.

-To przywilej, na który nie pozwalam byle komu - odparł z samozadowoleniem Rowl.

Uczenica eteryka stanęła nagle jak wryta i wydała z siebie ostry syk.

Bridget spojrzała na nią. Piesi omal na nią nie wpadali, aż wreszcie zaczęli omijać ją niecierpliwie z obu stron. Druga dziewczyna stała prosto jak strzała, bardzo szeroko otwierając różnobarwne oczy.

- Folly? - zapytała Bridget.

- Jest tutaj - wyszeptała uczenica eteryka. - Patrzy. Powiedziałybyśmy Bridget, gdybyśmy mogły.

Hamowały ruch i niektórzy przechodnie łypali na nie spode łba i mamrotali coś ze złością. Bridget nie miała nic przeciwko spojrzeniom czy cichym przekleństwom, obawiała się jednak, że zakłócenie ruchu może przyciągnąć niepożądaną uwagę do dwóch młodych kobiet. Nie tak powinna wyglądać tajna operacja.

Ujęła towarzyszkę za ramię i stanowczo poprowadziła ją na boczny szlak.

- Folly? - zapytała. - Kto tu jest? Kto patrzy?

- Bridget nic nie wie o gościach grymaśnego kapitana - stwierdziła Folly, spoglądając nerwowo na boki. - Ale oni teraz na nas patrzą.

Bridget zamruwała.

- Goście kapitana Grimma? Mówisz o komandorze?

- Tym z bardzo wielkim kapeluszem - odpowiedział Rowl.

- Ona nic nie rozumie - wyjaśniła słoikowi Folly. - Tamci przyszli przedtem, kiedy mistrz opatrzył ranę grymaśnego kapitana, na dzień przed ich spotkaniem.

- Nie mogę się w tym połapać — rzekła uprzejmie Bridget. - Mistrz Ferus opatrzył ranę kapitana Grimma, nim jeszcze się spotkali?

-Jeśli będzie powtarzała wszystko, co mówię, to zajmie nam znacznie więcej czasu - wyszeptała do słoika Folly. Rozejrzała się wkoło i powoli wypuściła powietrze z płuc. - Myślę, że tutaj. Tak jest, tutaj. Chyba jesteśmy sami.

- Folly, musisz mi pomóc to zrozumieć. Czy mówisz o Auroranach? — zapytała Bridget.

Uczenica eteryka zamruwała kilka razy.

- To celna sugestia - stwierdziła z namysłem w głosie. - Bardzo możliwe. Czuję się okropnie.

Chyba usiądę.

Spoczęła na podłodze, jakby była doszczętnie wyczerpana. Podciągnęła kolana do piersi. Oczy miała zapadnięte. Oparła głowę o ścianę z kasztelowego kamienia.

- Panno Folly, dobrze się czujesz? — zapytała Bridget.

Uczenica eteryka pogłaskała słoik jak matka próbująca ukoić niespokojne dziecko.

- W porządku. Ona nie wie, jak trudno jest słyszeć. Powiedźcie jej, że jesteśmy zmęczone i musimy chwilkę odpocząć.

- Rozumiem - rzekła Bridget.

Przechyliła głowę, przyglądając się z uwagą chudej dziewczynie. Do tej pory uważała Folly za kogoś, kto uległ jakiejś przedwczesnej postaci starczego otępienia, ale... jej odpowiedzi były inteligentne, choć dziwnie sformułowane. Przed chwilą oznajmiła, że powiedziałyby o czymś swej towarzyszce, gdyby mogła, i w ten właśnie sposób to zrobiła.

- Zauważyłam, że mistrz Ferus ma trudności z klamkami - odezwała się Bridget.

- Ona nie wie, że mistrz jest zbyt wielkim geniuszem na takie sprawy - odparła Folly, kiwając głową.

- A ty masz trudności z mówieniem bezpośrednio do innych — dodała triumfalnie Bridget.

- Och, używa oczu i tego, co się za nimi kryje - oznajmiła słoikowi Folly ze znużonym uśmiechem.

- To już drugi taki przypadek w tym tygodniu. Być może powinnam zapisać tę datę.

- To niezwykle - stwierdziła Bridget. - Panno Folly, wybacz, proszę, jeśli powiedziałam coś, co cię obraziło, albo nie zwracałam uwagi, kiedy chciałaś, żebym coś usłyszała. Nie rozumiałam.

Rowl pochylił się w dół i popatrzył na Folly.

- Nigdy nie wydawała mi się śmieszniejsza niż większość ludzi.

Uczennica eteryka uniosła wzrok i uśmiechnęła się promiennie do kota.

- Och, nawet nie wie, że to najmilsza rzecz, jaką ktokolwiek mi powiedział od chwili, gdy mistrz nazwał mnie łapaczką komarów.

- Znowu wracamy do skrajnej dziwaczności — poskarżyła się Bridget. -Ale wezmę na to poprawkę, skoro mamy ze sobą współpracować.

Nagle poczuła, że Rowl dotknął łapą jej policzka. Spojrzała we wskazanym przez niego kierunku.

Boczna uliczka, przy której się zatrzymali, była słabo oświetlona, nawet jak na Kondygnację Lądowiska. Przypominała Bridget tunel, w którym czaili się na nich bandyci. Przez krótką chwilę nie widziała, przed czym ostrzegał ją Rowl, ale w nagłym rozbłysku światła ujrzała parę zielonozłotych oczu gapiących się na nich z cienia, a także szarą, futrzastą sylwetkę kota.

Splotła ręce i Rowl zeskoczył na nie, a potem za ziemię. Po chwili rudy kocur ruszył niespiesznie ku pobratymcowi, usiadł w odległości kilku stóp od niego i zaczął starannie wylizywać łapy.

Obcy kot wyłonił się z półmroku i usiadł nieco bliżej przybysza. Potem on również zajął się toaletą, ignorując go całkowicie.

- Myślicie, że Bridget wie, czy to... kocia dyplomacja? - zapytała słoik Folly.

- Nigdy mi tego nie tłumaczyły, ale myślę, że to raczej walka o dominację. Jestem przekonana, że chodzi o ustalenie, któremu z nich mniej imponuje drugi.

- Zastanawiam się, co się w ten sposób ustala.

- Gorszy kot nigdy nie imponuje lepszemu.

- Aha - rzekła Folly. - Teraz rozumiem, co chciała przez to powiedzieć. Sprawdzają, który z nich jest bardziej dumny.

Bridget skinęła z westchnieniem głową.

- A przynajmniej, który ma większe ego.

- Przez ignorowanie siebie nawzajem - dodała Folly.

-Tak.

Uczennica eteryka spojrzała z zaszępioną miną na słoik.

- Nie wiem wszystkiego o kotach, jak Bridget, ale wydaje mi się, że ta konfrontacja może potrwać długo.

- Często tak się zdarza.

- Zastanawiam się, co można by zrobić, żeby to przyspieszyć - wyznała słoikowi Folly.

- Przyspieszyć dwa koty? - zapytała Bridget, spoglądając z uśmiechem na Rowla. - Nie. Koty nie przybyły do naszej kondygnacji z prośbą o pomoc, panno Folly. To ich zwyczaj. Ich natura. Zaczekamy.

- Najwyraźniej zaczekamy całe trzy godziny - poskarżyła się słoikowi Uczennica alchemika z szerokim ziewnięciem.

- Pracując w kadziowni, człowiek uczy się cierpliwości - odarła Bridget. - Nieważne, jak bardzo chcemy, żeby partia już dojrzała, nie przyspieszymy tego. Z kotami jest tak samo.

Folly pochyliła się całkowicie nad słoikiem.

- Nie sądzę, żeby koty produkowało się w kadziach, ale nie mówmy tego na głos, żeby nie urazić jej uczuć. To by było nieuprzejme.

- Wiesz, co chciałam powiedzieć - odrzekła Bridget. - Ale to było bardzo zabawne.

Druga dziewczyna uśmiechnęła się z wyraźnym zadowoleniem, nadal nie unosząc głowy.

- Niewielu ludzi rozumie moje żarty. Z reguły tylko patrzą na mnie bardzo dziwnie.

- Jestem dziewczyną, która zadaje się z kotami - poinformowała ją Bridget. - Uwierz mi, bardzo dobrze wiem, jakie spojrzenia masz na myśli. - Zerknęła na Rowla, ale oba koty nadal toczyły swą nieruchomą wojnę wzajemnej obojętności. - Zastanawiałam się nad tym, co powiedział przedtem kasztelan. O naturze misji mistrza Ferusa.

- Ma na myśli „tajną misję” - wyjaśniła słoikowi Folly.

- Zdradził ci, co planuje?

Uczennica eteryka przebiegła koniuszkiem palca po zewnętrznej powierzchni słoika. Mógł to być jedynie wytwór wyobraźni, ale Bridget odniosła wrażenie, że małe kryształki rozświetlają się leciutko w miejscach, gdzie Folly dotknęła szkła.

- Bridget nie rozumie mistrza zbyt dobrze. On strzeże swej wiedzy jak bankier własnych pieniędzy.

- Zatem ty również nie wiesz, czego on szuka.

Folly uśmiechnęła się leciutko, cały czas spoglądając w dół.

- Dał mi kilka grosików. Wyglądały przerażająco.

Bridget zmarszczyła brwi.

- Z pewnością nietrudno jest wydedukować, że zamierza wytropić aurorańskich infiltratorów i pokrzyżować ich plany.

- Przypuszczenia Bridget wydają się logiczne - stwierdziła Folly. - Ja również tak sądziłam.

Wysoka dziewczyna skinęła głową.

- Prosimy albiońskie koty o pomoc w powstrzymaniu Auroran. Ale oni ukryli się tak skutecznie, że nadal nie mamy pojęcia, gdzie właściwie ich szukać. To naprawdę niezwykły wyczyn. Przejść przez przewody wentylacyjne połowy kondygnacji kasztelu i nie zostać zauważonym przez ani jednego kota. Muszą robić coś, co zapewnia im bezpieczeństwo. Myślisz, że oni również mogą używać kotów jako zwiadowców, Folly?

Uczennica eteryka pochyliła nieco głowę, usłyszawszy własne imię.

- Nie kotów. Nie kotów — odparła ledwie słyszalnym szeptem.

- Nie kotów - powtórzyła Bridget. - Zatem czegoś innego. Czegoś, czego się boisz.

- To przerażający grosik - wyjaśniła słoikowi Folly. - Jestem trochę szalona, ale nie głupia. Gdyby Bridget wiedziała, bałaby się tak samo jak ja.

Bridget poczuła, że wzdłuż kręgosłupa przebiega jej zimny dreszcz. Pochyliła się ku drugiej dziewczynie.

- Masz na myśli... - zaczęła, również ścisząc głos - ...coś z... - Poczuła w ustach nagłą suchość i przełknęła ślinę. — Coś z powierzchni?

Nie było czymś niesłychanym, by stworzenia z powierzchni zdołały się przedostać do kasztelu. W gruncie rzeczy mniejsze zwierzęta dokonywały tej sztuki całkiem często. W gigantycznym gmachu znajdowały się setki mil tuneli wentylacyjnych, rur i zbiorników z wodą, kanałów odprowadzających nieczystości oraz kompostowni. Tam, gdzie było to możliwe, często instalowano metalowe kraty, ale nieustanny kontakt z zewnętrzną atmosferą niszczył ich pokrycie i w końcu padały ofiarą zgnilizny żelaza.

Koty robiły dla ochrony mieszkańców wszystkich kaszteli znacznie więcej, niż zdawało się ludziom. Polowały na tego typu intruzów i zabijały ich. Co prawda te piękne wredne skurczybyki robiłyby to i tak, i to nie tylko dla jedzenia, lecz również dla samej przyjemności polowania. Większość ludzi uważała, że koty polują głównie na gryzonie i im podobne stworzenia. Rzeczywiście to robiły, ale dzięki współdziałaniu plemię kotów potrafiło wytropić i zabić zwierzyne zdecydowanie większą od nich.

Niekiedy jednak do tuneli wdzierało się coś zbyt wielkiego i niebezpiecznego, by koty mogły sobie z tym poradzić. Dlatego każda kondygnacja zatrudniała tępicielei szkodników, ludzi, którzy zajmowali się polowaniem na podobne drapieżniki oraz konserwacją i naprawą żelaznych krat. To oni tropili koszarne bestie i zabijali je, nim te zaczęły polować na mieszkańców kasztelu.

To jednak były dzikie stworzenia. Jeśli Auroranom udało się wytresować coś żyjącego na powierzchni i wykorzystać to w działaniach wojennych... Wiele opowieści, książek i dramatów opierało się na pomyśle, że jakiś lekkomyślny śmiałek postanowił oswoić stworzenia z powierzchni i podporządkować je swej woli. Wszystkie te fikcyjne postacie zawsze spotkał taki sam los - straszliwa śmierć zadana przez ich niedoszłe sługi. Jednakże z reguły najpierw ginęło wielu niewinnych ludzi.

Dzikich bestii nie można było oswoić. Nie można było nad nimi zapanować. Dlatego właśnie zwano je dzikimi.

- Nie powinno ich tu być. Chcą nas zniszczyć - tłumaczyła słoikowi Folly. Jej oczy wypełniało przerażenie, ale głos brzmiał rzeczowo. - Nas wszystkich. Wszystko im jedno, który kasztel zwiemy domem.

- No cóż - odparła Bridget. - Jeśli Auroranie rzeczywiście igrają z tym ogniem, jest tylko kwestią czasu, gdy się sparzą.

- Kiedyś śnił mi się świat - ciągnęła Folly. Zerknęła przelotnie na twarz towarzyszki, nim znowu opuściła wzrok. - Cały stał w płomieniach.

Bridget poczuła zimny dreszcz na karku. Nie odezwała się ani słowem, tylko spojrzała na Rowla. Czekwała.

ROZDZIAŁ 30

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska, gospoda „Pod Czarnym Koniem”

Gdy stojący za barem mężczyzna przywołał ich gestem, Benedict wziął napoje dla siebie i dla kuzynki, a mistrz Ferus z widocznym entuzjazmem złapał za wielki kufel piwa i natychmiast zaczął go osuszać.

- Ojej — odezwała się Gwen, kręcąc głową. - Jestem przekonana, że dżentelmen nie powinien atakować trunków z taką zawziętością.

Ferus opuścił kufel, otarł z piany górną wargę i uśmiechnął się radośnie.

- Zaiste, nie powinien. Na szczęście jestem całkowicie wolny od wszelkich cech czyniących człowieka dżentelmenem i dlatego nie muszę się tym przejmować. — Machnął pustym kuflem w stronę człowieka stojącego za barem. - Jeszcze jeden, sir Benedykcie! - zażądał.

Genetyczny wojownik, który usiadł dopiero przed chwilą, uśmiechnął się krzywo do staruszka, wstał bez słowa skargi i ponownie wyruszył w podróż do kontuaru i z powrotem. Wrócił z dwoma olbrzymimi kufłami i postawił oba na stoliku przed Ferusem.

Stary eteryk uśmiechnął się radośnie.

- Człowiek, który potrafi planować — pochwalił go. — Zdolność przewidywania. Przede wszystkim zdolność przewidywania. To najważniejsza cecha wybitnej jednostki.

- Po prostu chciałem skosztować własnego, zanim będę musiał znowu wstać - odparł Benedict i demonstracyjnie pociągnął łyk. - Jak twoja herbata, kuzynko?

- Idealnie letnia - oceniła Gwen, ale i tak dodała do niej kapkę miodu, zamieszała ją i upiła łyk. Nawet ledwie ciepła herbata na szczęście pozostawała herbatą, przypomnieniem o normalności pośród wszystkich niezwykłych wydarzeń kilku ostatnich dni. — Mistrzu Ferusie... jedno słowo.

Eteryk odstawił drugi opróżniony kufel, zamaskował kaszlnięciem stosunkowo ciche beknięcie i uśmiechnął się do niej.

- Słucham, dziecko?

- Jak rozumiem, nie pozbawiasz się zdrowego rozsądku ot, tak sobie, bez żadnego powodu.

Ferus przymrużył powieki i obrzucił Benedicta porozumiewawczym spojrzeniem.

- Niewiele umyka jej uwagi, mam rację?

- Masz, wbrew temu, co wszyscy o niej sądzą - zgodził się uprzejmym tonem genetyczny wojownik. — Podejrzewam, że sprawa jej przyjemność wmawianie innym, że jest zbyt zaabsorbowana sobą, by zauważać to, co dzieje się wokół.

- Mam do wyboru albo to, albo pozwolić im wierzyć, że jestem nudna i pustogłowa jak matka - odparła Gwen. — Po prostu nie potrafiłabym upaść tak nisko.

Ferus pokiwał głową z mądrą miną.

- Nie, nie, tylko nie jak twoja matka. Do tego nie moglibyśmy dopuścić. — Pewnie ujął w rękę trzeci kufel i uśmiechnął się szeroko. - Masz rację, panno Lancaster. W moim szaleństwie jest metoda. No cóż, przynajmniej w tym akurat szaleństwie.

Pociągnął długi łyk z trzeciego kufła, ale przynajmniej nie wypił go jednym haustem.

- A na czym ona polega?

- Musisz najpierw uświadomić sobie pewien fakt w kwestii tego, czym się zajmujemy - ciągnął

Ferus. - Inaczej wyda ci się to bezsensowne.

- Czym się zajmujecie? Masz na myśli eteryków?

- W rzeczy samej - potwierdził Ferus z kolejnym uprzejmym beknięciem. - Bardzo wiele z tego, co staramy się osiągnąć, zdarza się... instynktownie, tak chyba należałoby to nazwać. Dotykamy się, których inni nie postrzegają.

- To znaczy eteru?

Ferus machnął zamasyżuje ręką w przesadnym geście.

- To maksymalne uproszczenie monstrualnie skomplikowanego pojęcia, ale tak, to wystarczy.

Wyczuwamy moce eteryczne. Większość ludzi je wyczuwa, do pewnego stopnia, choć rzadko to sobie uświadamiają.

- Nie jestem pewna, czy wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

- Wiesz - zapewnił eteryk. - Na przykład twoja rękawica.

-Tak?

- Co w niej czujesz?

- Nic szczególnego - odparła Gwen. - Kryształ jest trochę chłodny w dotyku, ale tak jest zawsze.

- Ściśle mówiąc, wcale taki nie jest, panno Gwen - odparł Ferus. - Gdybyś znalazła miernik

temperatury i porównała wyniki, przekonałabyś się, że kryształ ma identyczną temperaturę jak twoja skóra.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Zapewniam, że jest chłodny.

- Nie jest — powtórzył Ferus. - Wyczuwasz energię eteryczną przepływającą przez kryształ, ale... twój umysł nie był pewien, co zrobić z tym wrażeniem, kiedy zetknęłaś się z nim po raz pierwszy. Umysł to cudowne miejsce, ale ma jedną rozczarowującą wadę. Zawsze próbuje klasyfikować nowe rzeczy w kontekście tych, które już zna. Gdy twój umysł zetknął się z tym nowym wrażeniem, najwyraźniej uznał, że może po prostu zakwalifikować je jako „zimno” i wrócić do swoich zadań. Nie jesteś bynajmniej wyjątkiem. To jedna z najczęstszych reakcji na pierwszy kontakt z silnym polem energii eterycznej.

-Ja czuję w nim mrowienie — wtrącił Benedict, kiwając głową. - Jak wtedy, gdy zasnę z głową na dłoni, a potem krew napływa do niej z powrotem. Ale nigdy nie słyszałem, żeby ktoś wyjaśniał to w ten sposób.

- Dla mnie to nonsens - sprzeciwiła się Gwen. - Albo coś jest zimne, albo nie.

-Ach! - zawołał Ferus, wskazując na nią palcem. - Interesujesz się filozofią! To wspaniale!

- Wybacz, ale w ogóle nie wspominałam o filozofii.

- Czyżby? - zapytał Ferus. - Przed chwilą słyszałaś, jak sir Benedict potwierdził, że wrażenia, które on odbiera z kryształu, znacząco się różnią od twoich. Przypuszczam, że z upływem lat zaczniesz sobie uświadamiać, że wszechświat bardzo przypomina lustro, panno Lancaster.

- A co to właściwie ma znaczyć?

-To, że wszystko, co postrzegają twoje zmysły, jest odbiciem siebie w znacznie większym stopniu, niż ci się zdaje.

- Bzdura. Jeśli patrzę na niebieski płaszcz, widzę niebieski płaszcz. Fakt, że go widzę, nie zmienia jego koloru.

- Ach - odparł Ferus, unosząc palec. - Ale przypuśćmy, że to, co widzisz jako kolor niebieski, jest tym samym odcieniem, który sir Benedict nazwałby kolorem zielonym.

- Ale to się nie zdarza - sprzeciwiła się Gwen.

- Skąd wiesz? Czy potrafisz patrzeć na świat oczami sir Benedicta? Jeśli tak, bardzo chętnie bym się dowiedział, jak to się robi.

Gwen uniosła brwi.

- Chcesz powiedzieć, że to możliwe, że tam, gdzie ja widzę niebieski, on widzi zielony?

- Bynajmniej - zaprzeczył eteryk. - Widzi niebieski. Ale swój niebieski. Nie twój.

Gwen zmarszczyła czoło. Otworzyła usta, by wygłosić kolejny sprzeciw, ale zastanowiła się jeszcze nad tym i zamknęła je znowu.

- A jeśli on widzi inny kolor, to być może tak samo jest z każdym.

Benedict uśmiechnął się.

- Musisz przyznać, że to z pewnością wyjaśniałoby estetyczne gusta Rodu Astorów.

- Brr - odparła z drzeniem Gwen. - To prawda, oni po prostu nie umieją skoordynować swej garderoby.

- A przecież - podjął Ferus, pociągając kolejny łyk - mówimy o czymś stosunkowo prostym i mało istotnym. O kolorach. Co, jeśli inne fundamentalne aspekty życia również wyglądają inaczej dla każdego z nas? Jeśli inaczej czujemy gorąco i zimno? Przyjemność i ból? Co, jeśli w czyichś oczach grawitacja przyciąga przedmioty w bok, a nie w dół? Jak moglibyśmy to zauważyć, hę? Od dzieciństwa uczymy się nadawać różnym zjawiskom określone nazwy. Niewykluczone, że każde z nas postrzega wszystko na swój własny, zdumiewający sposób, a my nic o tym nie wiemy.

- To wydaje mi się bardzo naciągane - skwitowała Gwen. - Jestem pewna, że Bóg w Niebiosach nie stworzyłby świata i jego mieszkańców w tak nieporządny sposób.

- Ach! - Ferus uśmiechnął się radośnie. - Już uprawiasz filozofię! Wielu bardzo rozsądnych ludzi przed tobą używało tego samego argumentu.

- Oczywiście, najważniejsze pytanie brzmi, czemu, do licha, miałoby to mieć jakiegokolwiek znaczenie — wtrącił Benedict. — W końcu wszyscy mamy wspólny układ odniesienia dla słowa „niebieski”, jeśli więc Gwen powie mi, że coś ma taki kolor, wiem, co ma na myśli, nawet jeśli jej niebieski wygląda jak mój zielony.

- To ma znaczenie dla filozofów - odparł Ferus z przebiegłą miną. - Gdyby wszyscy oni poważnie traktowali pytania takie jak twoje, sir Benedikcie, musieliby poszukać sobie innej pracy, czyż nie tak?

Gwen pociągnęła łyk herbaty, marszcząc brwi.

- Ale... rzecz jasna nie chcę powiedzieć, że zgadzam się z twoją hipotezą, mistrzu Ferusie, ale przyjmijmy na moment, że jest prawdziwa.

- Proszę bardzo — zgodził się eteryk.

- To by oznaczało, że... w rzeczywistości każde z nas żyje we własnym... wszechświecie-kasztelu, tak? Postrzega wszystko na swój szczególny sposób.

- Mów dalej - zachęcił ją Ferus.

- Jeśli tak jest, to wydaje mi się niezwykle, że w ogóle możemy się ze sobą porozumiewać.

Ferus uniósł brwi.

- Szybko się uczysz, panno Lancaster. Bardzo szybko. W rzeczy samej. Gdy nawiązujemy kontakt z innymi śmiertelnikami, dzieje się coś naprawdę niezwykłego. Jeśli będziemy nad tym pracować naprawdę pilnie i nie zniszczymy się sami, być może pewnego dnia uda się nam nawet ujrzeć świat oczami kogoś innego. - Rozpromienił się. - Na razie jednak musimy się zadowolić domysłami. Pokarmem dla myśli.

Osuszył trzeci kufel i skinął dłonią, domagając się następnego.

Benedict odchrząknął.

- Mistrzu Ferusie, obawiam się, że odbiegliśmy bardzo daleko od tematu rozmowy.

- Naprawdę?

- Chodziło o to, dlaczego chcesz się upić - odpowiedział mu uprzejmie kuzyn Gwen.

- Aha! - zawołał eteryk i wręczył pusty kufel Benediccowi. - Czy miałbyś coś przeciwko temu?

- Myślę, że teraz twoja kolej, kuzynko — stwierdził ze spokojem genetyczny wojownik.

Gwen wstała z westchnieniem i przyniosła eterykowi dwa kolejne kufle.

- Cudownie - ucieszył się Ferus i przełknął kolejny łyk. - Każdy umysł inaczej postrzega energię

eteryczną. Dowodzi tego przykład z kryształami rękawic was dwojga. A jeśli ktoś zmienia stan swego umysłu, natura owych spostrzeżeń również ulega zmianie. To pozwala mi postrzegać owe energie w sposób, który normalnie nie byłby dla mnie możliwy.

- Chcesz się upić, żeby inaczej postrzegać energię eteryczną? - zapytała zdziwiona Gwen.
Ferus uniósł kufel.

- Wyobraź sobie, że to gogle zakładane na umysł zamiast na oczy.

Benedict wypił łyk piwa.

- Myślisz, że wtedy uda ci się wyczuć kryształy bojowe Auroran? - zapytał z zamyśloną miną.

Ferus machną ręką.

- Nie, nie, ich jest tu za dużo. To byłoby jak szukanie igły w całej barce załadowanej igłami.

- Myślisz, że gdzieś tu kryje się inny eteryk, tak? - zapytała Gwen, machinalnie obracając w palcach filiżankę. - I uważasz, że jeśli zmienisz stan swojego umysłu, może ci być łatwiej go znaleźć.

Ferus skinął głową, która zakołysała się przy tym nieco.

- Znakomicie. - Odstawił kolejny kufel. Tym razem beknął nieco głośniejsze. - A teraz ekstrapolacja.

Benedict uśmiechnął się nagle.

- Jeśli go wyczujesz, on również będzie mógł wyczuć ciebie. Dlatego zmieniasz stan swego umysłu, by utrudnić mu to zadanie.

- Nieźle, sir, naprawdę nieźle - odparł Ferus, niewyraźnie wymawiając syczące spółgłoski.

Popatrzył na dno kufła. — Choć przyznaję, że już od dłuższego czasu nie zmieniałem stanu swego umysłu tak gruntownie.

- Dlaczego? - zapytała Gwen. - Dlaczego uważasz, że jest tu ktoś podobny do ciebie?

- To skomplikowane - odparł Ferus. - A przynajmniej chyba sobie przypominam, że to

skomplikowane.

- Aurorańska Armada - stwierdził z namysłem Benedict. - Atak nieprzyjaciela był bardzo precyzyjny. Zupełnie jakby mieli jakieś światło przewodnie, pokazujące im, w którym miejscu zanurkować przez mgłę. Czy eteryk potrafiłby dokonać czegoś takiego?

- Śmiem twierdzić, że tak - potwierdził Ferus.

Gwen odstawiła filiżankę.

- A czy... zmieniłeś już stan swojego umysłu w wystarczającym stopniu, by zlokalizować poszukiwaną osobę?

Eteryk popatrzył na nią niepewnie, po czym przeniósł wzrok z powrotem na kufel.

- Najwyraźniej nie. Ale to zapewne tylko kwestia odległości. Jeśli się zbliżymy, będę się mógł lepiej rozeznać.

- Dlatego właśnie chcesz się skontaktować z miejscowymi kotami — domyśliła się Gwen. — One ci powiedzą, gdzie rozpocząć poszukiwania.

- Czas - oznajmił Ferus. - Nie mamy czasu na przeszukanie całości. - Zamknął na chwilę oczy, a Gwen pomyślała, że nagle wydał się o kilka dobrych lat starszy i bardziej znużony. — No wiesz, czasu zawsze jest za mało.

Dziewczyna i jej kuzyn wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Mistrzu?

Ferus pokręcił głową, pociągnął kolejny łyk i znowu odstawił kufel.

- Chyba pora zwolnić tempo.

Gwen skinęła głową, czując lekką ulgę.

- Niczego nie powinno się nadużywać. I co teraz?

- Teraz? - Ferus westchnął, nie otwierając oczu. - Teraz czekamy, oczywiście.

- Czy to rozsądne, mistrzu? - zapytał uprzejmie Benedict. - Mówiłeś, że brakuje nam czasu.

- Czasu zawsze brakuje - przyznał Ferus. - Obawiam się, że w tej chwili nie możemy zrobić nic

więcej. Usiądźcie wygodnie.

Gwen i Benedict ponownie wymienili spojrzenia. Dziewczyna skinęła stanowczo głową.

- W takim razie zamówię porządną, gorącą herbatę.

Kasztel Albion, Statkownia Kondygnacji Lądowiska, SHA *Drapieżca*

Drzwi kabiny Grimma uchyliły się na kilka cali.

- Kapitanie, na pewno zechcesz to zobaczyć — odezwał się Kettle.

Grimm otworzył nagle oczy i w dobrze wyćwiczonym odruchu postawił nogi na podłodze kabiny, zanim zdążył porządnie skupić wzrok. Zapadła noc i ciemność rozpraszało tylko kilka wielkich kryształów luminowych zawieszonych w statkowni. Ich słaby blask przedostawał się do środka przez małe bulaje. Kapitan miał wrażenie, że powieki zwiera mu klej, wiedział jednak, że to tylko zwykłe znużenie. Z pewnością spał tylko jakieś trzy, góra cztery godziny, jeśli jego ciało tak bardzo nie chciało wstać z koi.

- Kapitanie?

Grimm poczuł przypływ irracjonalnej złości na pilota, ale stłumił ją natychmiast. Kettle nie spał wiele dłużej od niego i z pewnością by go nie obudził, gdyby sprawa nie była ważna.

- Słyszałem, panie Kettle. Zaraz przyjdę.

- Tak jest, sir - odparł cicho pilot i zamknął za sobą drzwi.

Grimm znalazł na osłep kryształ luminowy, obudził go do życia, pośpiesznie umył się w letniej wodzie z miski, a potem się ubrał. W kryzysowej chwili kapitanowie nie zjawiali się na miejscu, wyglądając jak niepościelone łóżko. Zawsze byli spokojni, pewni siebie i nieskazitelnie ubrani. Nawet jeśli nieprzyjacielski pancernik miał zaraz uderzyć w jego okręt pełną salwą burtową, kapitan musiał mieć prosto nałożony kapelusz i porządnie zawiązany krawat. W przeciwnym razie podważyłby morale załogi, a to mogłoby zwiększyć liczbę ofiar, i w związku z tym było całkowicie niedopuszczalne.

Z drugiej strony kapitan musiał wiedzieć, że w wielu sytuacjach czas ma kluczowe znaczenie. Na okręcie Floty Grimm miałby osobistego ordynansa, który załatwiałby za niego wiele spraw i oszczędzał mu bardzo dużo czasu, ale *Drapieżca* był prywatną jednostką i nie było go stać na podobne luksusy. W rezultacie musiał poświęcić prawie cztery minuty zamiast trzech, żeby się umyć, ubrać, przypasać miecz, włożyć kapelusz i pojawić się na pokładzie. Ręka na temblaku bolała go okropnie i powinien się też ogolić, ale, zważywszy wszystko razem, mógł z tym poczekać do rana.

- Czas, panie Kettle? — zapytał, wychodząc na pokład.

- Szósty dzwon. Trzecia w nocy, sir.

Grimm podszedł do prawego relingu, spojrzął na zasnuęte mgłą niebo i skrzywił się na widok statku opadającego ku sąsiedniemu miejscu postoju.

Duży uzbrojony statek kupiecki, o jedną trzecią większy od *Drapieżcy*, latał obecnie pod dalijską banderą. Cały jego kadłub pomalowano na przemytniczą czerń, choć na pokładzie widniały wyraźne białe pasy umożliwiające załodze znalezienie drogi po ciemku. Podobnie jak *Drapieżca* statek miał maszty pozwalające na rozwinięcie żagli, gdy korzystanie z sieci było niemożliwe, Grimm wiedział jednak, że jego żagle poszarzały od sztormów i splamił je czarny dym. Na dziobie jaskrawoczerwoną farbą wypisano nazwę *Rekin Mgieł*.

- Widzisz, sir? - warknął Kettle. - Co ona tu robi?

- Jakikolwiek jest powód, możemy bezpiecznie założyć, że nie przyniesie nam nic dobrego - odparł Grimm.

- Mogłoby się okazać, że mamy problem z nowym działem numer trzy - zasugerował złowieszczo Kettle. - Mogłoby wystrzelić zupełnie przypadkowo i strącić tę sukę z nieba. Straszliwy wypadek,

wyrazy szczerogo żalu, wszyscy pójdziemy na pogrzeby.

- No, no, panie Kettle. Wiesz, że nigdy nie zatwierdziłbym czegoś takiego. - Zerknął na bok. - A przynajmniej nie w sytuacji, gdy można by to połączyć z *Drapieżcą* - dodał żartobliwym tonem. Przymrużył powieki, wypatrując na pokładzie *Rekina Mgieł* znajomych twarzy. - Niemniej z pewnością rozumiesz, że celowo wybrała to miejsce. Przygotuj oddział powitalny. Za chwilę tu przyjdzie, żeby się pysznić.

- Mogłoby dojść do straszliwego wypadku z rękawicą - warknął Kettle.

- Doprawdy, panie Kettle — skarcił go Grimm tonem stanowczej reprimendy.

- Oddział powitalny, tak jest, kapitanie - potwierdził Kettle i oddalił się, mamrocząc pod nosem.

Grimm skinął głową i wrócił do kabiny. Wziął kilka butelek lepszych trunków, swoją zastawę, rękawicę oraz trochę co cenniejszych drobiazgów, umieścił to wszystko w swej solidnej szafce i zamknął ją na klucz. Następnie pościelił porządnie koję i nastawił kryształ na maksymalną jasność. Kiedy skończył, usłyszał krzyki dobiegające z pokładu *Rekina Mgieł*. Jego kapitan z pewnością była już w drodze.

Grimm wrócił na pokład i przyjrzał się drugiemu statkowi. Szczupła kobieta w jego wieku, pół stopy od niego wyższa, schodziła już po trapie na pirs.

— Nie — odpowiedziała stanowczo muskularnemu, jednookiemu, przypominającemu małą mężczyźnie, który siedł obok niej. - Bezwzględnie tego zabraniam. Chyba że potrafisz upozorować, że to inny statek padł ofiarą wypadku.

Santos zmełł w ustach przekleństwo, skrzywił się i wsparł ręce na biodrach. Potem łypnął spode łba na swoją kapitan, a następnie na pokład *Drapieżcy*.

Kobieta zauważyła reakcję Santosa i odwróciła się na niskim, masywnym obcasie, by spojrzeć na Grimma. Na jej twarzy pojawił się triumfalny uśmiech. Miała na sobie ciemne spodnie aeronauty, białą bluzkę z szerokimi rękawami oraz kamizelkę ozdobioną pięknie wyhaftowanymi wzorami. Zdjęła kapelusz, a potem ukłoniła się uprzejmie, rozpościerając szeroko ręce.

Grimm skrzywił się wściekle.

Kobieta wyprostowała się i z powrotem włożyła kapelusz.

- Mój drogi, najdroższy, kochany Francisie. Wyglądasz naprawdę zachwycająco.

Grimm skrzyżował ramiona na piersi i nadał łypał na nią ze złością.

Roześmiała się.

- Francis, mam nadzieję, że w zwykły dla siebie ujmująco uprzejmy i przewidywalny sposób przygotowałeś dla mnie oddział powitalny. Wchodzę na pokład. Z twoim pozwoleniem, oczywiście.

- Kettle ciągle mnie prosi, żebym mu pozwolił cię zastrzelić.

- Ale ty nigdy tego nie zrobisz - odparła z uśmiechem. - Nie robi tego Francis Madison Grimm z Floty Eteryecznej Albionu. Nawet jeśli już w niej nie służy.

Grimm uśmiechnął się do niej kwaśno.

- Skończmy już z tym, dobra?

Kobieta uniosła rękę do serca.

- Och, słodki Francisie - rzekła ze smutną miną. - Ranisz mnie swoim brakiem entuzjazmu.

- Z pewnością cię zranię, jeśli spróbujesz zabrać stąd coś, co nie należy do ciebie.

- Wszystko należy do mnie, Francis — skwitowała drwiącym tonem. — Nawet jeśli jeszcze o tym nie wie.

Grimm wskazał od niechcenia głową w stronę trapu *Drapieżcy*. Potem podszedł do niego, ani na moment nie odwracając się plecami do kapitan Ransom.

Kobieta ruszyła ku trapowi szybkimi miarowymi krokami i weszła na niego niczym przybywająca z wizytą monarchini.

- Oddział powitalny — warknął Kettle. - Baczność!

Wszyscy powinniśmy się mieć na baczności, pomyślał Grimm. Sześciu uzbrojonych ludzi, po trzech po obu stronach trapu, wyprostowało się sztywno. Wszyscy trzymali dłonie na rękojeściach mieczy, a kryształ ich gotowych do strzału rękawic lśnił łagodnym blaskiem. Kettle spoglądał na trap, łypiąc na kapitan Ransom najgroźniej, jak tylko potrafił.

- Słodki Kettle — przywitała go. W jej uśmiechu pojawiło się nagle coś drapieżnego. — Czy kolano nadal cię boli, gdy pada deszcz?

- Tak - warknął pilot. - Ale poprawi mi się, kiedy tylko przywalę w nos jakiejś pyskatej, oszukańczej, złodziejskiej, zdrażliwej olimpijskiej su...

- Panie Kettle - przerwał mu twardo Grimm. - Kapitan Ransom jest moim gościem. Na pokładzie mojego statku obowiązują uprzejmość i dyscyplina. Jeśli nie będziesz przestrzegał tych zasad, zerwę z tobą kontrakt. Czy wyrażam się jasno?

Kettle obejrzał się na Grimma z wyraźnym niezadowoleniem. Chrząknął. Potem znowu się odwrócił i przywitał kapitan Ransom regulaminowym salutem.

Kobieta odwzajemniła go dobrodusznie.

- Pozwolenie wejścia na pokład?

- Przyznane - odparł Kettle przez zaciśnięte zęby.

Grimm podszedł bliżej i odchrząknął.

-Warunkowo, kapitan Ransom. Jak sądzę, znasz moje warunki.

Rozpromieniła się i zdjęła rękawicę. Kettle zbliżył się ostrożnie i przyjął od niej broń. Potem kobieta odpięła pas z mieczem i również podała go pilotowi.

- Zadowolony?

- Noże w butach też, jeśli łaska - zażądał Grimm.

Schyliła się i wyciągnęła z cholew dwa wąskie, powleczone miedzią sztylety. Je również oddała Kettle'owi, uśmiechając się bez śladu wstydu czy wyrzutów sumienia.

-Wzięłam je tylko po to, żebyś miał pretekst, by pogapić się na moją dolną część ciała, Francis.

-To bardzo przewidujące z twojej strony — odparł Grimm bez śladu zainteresowania. - A co takiego masz na krzyżu?

Kobieta sięgnęła za siebie. Wszyscy członkowie oddziału powitalnego zagrzechotali mieczami, by mieć pewność, że w razie potrzeby będą je mogli szybko wyciągnąć.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i zaprezentowała małą srebrną manierkę.

- Świetny trunek, który znalazłam w Ethosii. Na pewno będzie ci smakował.

- Więcej już mnie nie nabierzesz! - odparł Grimm. - Nie będziesz tego potrzebowała.

Wzniosła oczy ku niebu i oddała również manierkę.

- Nie waż się wypić ani kropli, Kettle.

- Bez obaw - warknął pilot. - Wiem, gdzie była ta manierka.

Kobieta wyniośle zignorowała jego słowa.

- Coś jeszcze, Francis? - zapytała, unosząc brwi. — Czy ubranie też mam zdjąć?

-To nie będzie konieczne - oznajmił sztywno Grimm.

Mrugnęła do niego znacząco.

- Doceniam uprzejmość, którą zawsze mi się okazuje, gdy odwiedzam drugi najszybszy statek na niebie.

Grimm poczuł przez chwilę całkowicie irracjonalną irytację, usłyszawszy wzmiankę o wyścigu, ale ze sporym wysiłkiem woli powstrzymał się od zaciśnięcia zębów.

- Tak właśnie zachowują się porządni, cywilizowani ludzie, kapitan Ransom, choć podejrzewam, że komuś na twoim poziomie moralnym może się to wydawać niezwykle.

Parsknęła krótkim, ochrypłym śmiechem.

- Powiedziałyby, że zdobyłeś punkt, Francis, gdyby jeszcze choć trochę zależało mi na twojej

opinii. - Ruszyła zuchwale przez pokład. - Nie musisz mi pokazywać drogi do swej kabiny, kapitanie. Jestem pewna, że znajdę ją w tym samym miejscu co zawsze.

Grimm śledził ją wzrokiem. Gdy się oddaliła, pozwolił sobie na powolny wydech. Przymrużył ze złością oczy. Kettle podszedł do niego. Na jego twarzy wyraźnie malowała się nieufność.

- Ta kobieta doprowadza mnie do szaleństwa - rzekł cicho kapitan.

- To czemu się z nią ożeniłeś? - mruknął pilot.

Grimm podążył za nią do swej kabiny i zatrzasnął za nimi drzwi. Następnie oparł się o nie plecami i skrzyżował ramiona na piersi, głównie po to, by móc wesprzeć zranioną lewą rękę na prawej.

- No dobra, Calliope. Czego tym razem będę przez ciebie żałował?

Cisnęła od niechcenia kapelusz na jego biurko i wyciągnęła się na koi z pełną samozadowolenia bezczelnością.

- Może się za tobą stęskniłam? Czy nie mogę po prostu odwiedzić starego przyjaciela?

- Przyjaciela - powtórzył głosem starannie wypranym z wszelkich uczuć. - Empiryczne dowody sugerują, że nie możesz.

Uśmiechnęła się z figlarnym wyrazem na swej kwadratowej twarzy. W jej zielonych oczach pojawiły się błyski. Gdyby ktoś zobaczył namalowany wizerunek Calliope, z pewnością nie oskarżyłby jej o nadzwyczajną urodę, ale na żywo dostrzegało się ją w sposobie trzymania głowy, błysku w oczach i czystej, niezmaconej pewności siebie. Jej nieruchomą podobiznę należałoby uznać za oksymoron. Calliope nigdy nie była nieruchoma. Choć wydawało się, że w tej chwili leży spokojnie, Grimm wyczuwał, że jej umysł pracuje nieustannie - sortuje pomysły, szuka rozwiązań i kataloguje wszystko w otaczającej ją przestrzeni. Jej urodę dostrzegało się wyłącznie w ruchu.

- Zrobiłeś się bardzo cyniczny, odkąd Admiralicja wyrzuciła cię za wykonanie rozkazów, Francis - zauważyła. - To ci nie przystoi.

Grimm gapił się na nią tylko.

Popatrzyła na niego z politowaniem.

- Chyba sobie przypominam, że kiedyś miałeś poczucie humoru. W jakichś zamierzchłych czasach, u zarania dziejów.

- Kiedyś mieliśmy bardzo wiele różnych rzeczy - odparł neutralnym tonem. - Czego chcesz?

- Złożyć ci ofertę. Robota jest łatwa i bardzo zyskowna.

- Jakież to wiarygodne - warknął. - Obawiam się jednak, że nie zamierzam znowu stracić

całorocznych dochodów dla twojej rozrywki.

- Nie chodzi o pieniądze - odparła.

- A odkąd to? - zapytał ze spokojem Grimm.

- W tej chwili idzie mi bardzo dobrze - pochwaliła się Calliope. - Na przykład przed niespełna miesiącem natknęliśmy się na uszkodzony statek handlowy klasy „Cortez”. Miał eskortę w postaci pancernika, ale najwyraźniej okręt oddalił się gdzieś w pogoni za jakąś bandą piratów amatorów, która odważyła się spróbować ataku. Cały brzuch sterowca był nagi jak u noworodka. Zdobyliśmy statek, sprzedaliśmy towar i wzięliśmy okup za załogę. W tej chwili możemy się kąpać w forsie.

Grimm prychnął pogardliwie i otworzył drzwi.

- Chyba dość już usłyszałem. Życzę miłego dnia, kapitan Ransom.

- Nie - sprzeciwiła się z twardszym wyrazem oczu. - Nie usłyszałeś wszystkiego. Wysłuchaj mnie. Daj mi minutę. Jeśli oferta ci się nie spodoba, pójdę sobie.

Grimm wykrzywił usta w zamyśleniu.

- Nie mamy już o czym rozmawiać.

Calliope usiadła, marszcząc brwi, i wlepiła w niego intensywne spojrzenie.

- Mad - rzekła bardzo cicho. - Proszę.

Grimm wpatrywał się w nią przez chwilę. Potem zamknął drzwi.

- Tylko minutę - oznajmił.

- Z powodu pomyłki w zestawieniach przyjąłem dwa zlecenia jednocześnie. Połowę mojej ładowni wypełnia kadziowy piasek wysłany do Olimpji, a drugą połowę lekarstwa przeznaczone dla Kissam. Nie dam rady dostarczyć obu ładunków na czas. Jeśli dostarczysz za mnie transport do Olimpji, podzielę się z tobą pół na pół zyskiem netto.

- Mówiąc teoretycznie, uznałbym, że dziewięćdziesiąt procent brzmi rozsądniej.

- Chcesz dostać dziewięćdziesiąt procent zysku za mój towar? - oburzyła się Calliope.

- Dziesięć procent i ocalona reputacja to znacznie lepiej niż zero i złamany kontrakt — odparł

Grimm. — Mówiąc teoretycznie.

Przymrużyła powieki.

- Nie ma sensu spierać się z tobą na ten temat.

- Nawet najmniejszego. To nie ja potrzebuję pomocy.

Zacisnęła mocno wargi i po chwili skinęła krótko głową.

- Nie dajesz mi wielkiego wyboru.

- W gruncie rzeczy nie daję ci żadnego. Moje usługi nie są w tej chwili dostępne. Ten pancernik, o którym mówiłaś, poważnie uszkodził *Drapieżcę*. Minie wiele dni, nim będziemy mogli wrócić na niebo.

- Słucham? *Drapieżca* jest niezdolny o lotu? - zapytała z zasepioną miną.

- Chwilowo — odparł Grimm.

W jej zielonych oczach pojawił się wyraz wyrachowania. Po chwili Calliope doszła do jakiejś konkluzji.

- W takim razie muszę poszukać pomocy gdzie indziej. Jestem pewna, że ktoś się ucieszy z tej roboty.

Grimm skinął głową i otworzył przed nią drzwi. Kapitan Ransom wyszła z jego kabiny i podeszła do trapu. Kettle ostrożnie zwrócił jej oddane w depozyt przedmioty. Obejrzała się raz jeszcze przez ramię i odeszła tą samą drogą, którą przybyła.

Kettle podszedł do kapitana.

- W jakiej sprawie tym razem skłamała?

Grimm wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien. Najprawdopodobniej we wszystkich. Powiedziała, że ma dla nas łatwą robotę.

Pilot prychnął pogardliwie.

- No właśnie.

- Ale ty jej odmówiłeś? - zapytał Kettle z ostrożnością w głosie.

- Oczywiście.

Pilot rozluźnił się wyraźnie.

- I całe szczęście. Jej widok nigdy nie jest dobrą wiadomością.

Grimm poczuł, że czoło marszczy mu się w zamyśleniu.

- Masz rację. Nie jest.

- Kapitanie?

- *Rekin Mgieł* zjawił się tu akurat w tym czasie, gdy zaatakowano kasztel. I mamy uwierzyć, że to zbieg okoliczności?

Kettle odchrząknął.

- Co sugerujesz?

- Kasztelan wysłał nas do Lądowiska, żebyśmy wykurzyli nieprzyjacielski oddział - odparł Grimm.

- I czystym przypadkiem w statkowni Lądowiska akurat zacumował najszybszy statek na niebie?

Kettle skrzywił się wściekle.

- *Drapieżca* przegrał ten wyścig tylko dlatego, że Santos uszkodził naszą główną klatkę Hasletta.

- Tak czy inaczej, Calliope wygrała - stwierdził Grimm. - Jej przypadły sława i chwała. W tym przypadku przeliczalne na spore pieniądze.

Kettle zasępił się jeszcze bardziej.

- Myślisz, że ma być transportowcem nieprzyjaciela?

- Niepokoi mnie tak wielka liczba zbiegów okoliczności - odparł Grimm. - Każ naszym ludziom cały czas obserwować *Rekina Mgieł* i meldować o wszystkich wydarzeniach, nawet z pozoru najmniej istotnych.

Kettle skinął głową.

-Tak jest, sir.

Grimm przymrużył powieki, ponownie pogrążając się w myślach.

- A potem... przyślij do mojej kabiny panów Journeymana i Sterna.

Grymas niepokoju na twarzy Kettle'a przerodził się w uśmiezek. W jego oczach pojawił się złośliwy błysk.

- Ach. Tak jest, kapitanie. Z wielką radością.

ROZDZIAŁ 32

Kasztel Albion, Kondygnacja Lądowiska, tunele wentylacyjne

Major Espira przyjął miecz z rąk żołnierza aurorańskiej piechoty powietrznej, który stanął przed nim na baczność. Oficer uniósł broń i przez chwilę przyglądał się jej z wielką uwagą.

- Dopuszciasz do tego, by miedź wytarła się w tym miejscu, żołnierzu -warknął wreszcie. Zbliżył klingę na odległość kilku cali do oczu mężczyzny, by mógł wyraźnie zauważyć małą plamkę brązowoczerwonej rdzy. — Już wdała się zgnilizna żelaza. Widzisz to?

-Tak jest.

- Dlaczego pokrywamy żelazo i stal warstwą miedzi, żołnierzu?

Policzki mężczyzny poczerwieniały lekko.

- Żeby zgnilizna żelaza nie zniszczyła broni, majorze.

- Bardzo dobrze. Zatem znasz odpowiedź. A gdy już zgnilizna wgryzie się w stal, ile czasu minie, nim rozszerzy się z jednego punktu i zamieni całość w rdzę?

- Kilka dni, majorze. W przybliżeniu.

Espira skinął głową.

- Ta broń nie zabije tego, kogo będziesz potrzebował zabić, jeśli pęknie przy pierwszym uderzeniu albo złamie się w chwili, gdy będziesz ją wyciągał z pochwy. Nie dbam o to, czy sam zginiesz przez swoją niedbałość, ale gdy nie spełnisz obowiązku, mogą stracić życie twoi towarzysze broni, w tym również ja.

Żołnierz przełknął ślinę, wpatrując się przed siebie. Nie odezwał się ani słowem.

- Słucham? Co masz do powiedzenia, żołnierzu?

- Nic mnie nie usprawiedliwia, majorze.

Espira oddał mu broń gwałtownym ruchem.

- Zgłoś się do zbrojmistrza, usuń całą rdzę i pokryj odsłonięte miejsce łożem. Gdy już się z tym uporasz, wyczyścisz całą zapasową broń w zbrojowni. Co więcej, zrobisz to bezbłędnie, uważając na wszystkie szczegóły. Zrozumiano?

- Tak jest, majorze - odparł żołnierz i zaszalutował.

Espira przesunął groźne spojrzenie wzdłuż szeregu żołnierzy pierwszego plutonu drugiej kompanii.

- Właściwie to wszyscy przygotujcie broń do inspekcji. Jeszcze raz. Wróć za godzinę i każdy z was ma się prezentować jak przystoi żołnierzom Aurorańskiej Piechoty Powietrznej, albo Bóg w Niebiosach mi świadkiem, wysłę was wszystkich na szczyt sznurów.

Twarze z górą dwudziestu twardych zawodowych żołnierzy pobladły w nagłym ataku gwałtownego strachu. Espira znosił przez chwilę ciężar ich milczenia.

- Rozejść się - rozkazał wreszcie.

Wszyscy żołnierze wykonali w prawo zwrot, jak na placu apelowym, mimo że nie wydał im takiego rozkazu, a potem opuścili cicho i sprawnie komorę węzłową, by wrócić tunelem wentylacyjnym do obozowiska.

- To ledwie wyglądało na prawdziwą plamę, majorze — rozległ się niski głos za jego plecami.

Espira odwrócił się i zobaczył, że sierżant Ciriaco stoi zaledwie kilka stóp za nim. Zbliżył się całkowicie bezgłośnie. Genetyczny wojownik zaszalutował mu dziarsko. Espira w odpowiedzi oddał mu

honory z równą precyzją.

- Sierzancie, w swoim czasie pierwszy sierżant, z którym służyłem, nauczył mnie, że niespokojnych ludzi podczas misji należy zająć rutynowymi czynnościami i wzbudzić w nich strach przed gniewem dowódcy, gdyby ich nie wykonali.

Podoficer uspokoił się, rozciągając usta w lekkim uśmiešku.

- Naprawdę? A czy nauczył cię jeszcze czegoś?

- Tylko tego, żebym nigdy nie liczył na jego punktualność - odparł Espira, nie pozwalając sobie na otwarty uśmiech. — Gdzie porucznik Lazaro?

W kocich oczach Ciriaca rozbłysnął skrywany gniew.

- Nie żyje, majorze.

- Jak to się stało? - zapytał Espira, przechylając głowę.

- Zignorował moją radę i błędnie ocenił sytuację - odpowiedział Ciriaco. - Natknęliśmy się na grupę ludzi, których wzięliśmy za cywilów niosących pomoc rannemu. Spróbował blefu, zamiast po prostu ich zastrzelić i ruszyć w dalszą drogę.

- Dlaczego?

- Była wśród nich ładna dziewczyna. Wyglądała jak porcelanowa laleczka. Był młody, majorze.

Espira zmarszczył brwi. Skinął głową. Wśród wyższych warstw Kasztelu Aurora rycerskość otaczano znaczną estymą. Młodzi oficerowie potrzebowali czasu, by się nauczyć, jak rzadko można sobie na nią pozwolić podczas prawdziwej walki, a niestety walka nieraz dawała niedoświadczonym żołnierzom bardzo niewiele czasu na naukę.

- Co się wydarzyło?

- Zorientowali się i laleczka strzeliła mu prosto w twarz z rękawicy z odległości jakichś dwóch stóp.

Espira chrząknął.

- Cholera. Chłopak był obiecujący. Ale przynajmniej to była szybka śmierć. A co z kadziownią?

Sierżant pokręcił głową.

- Czekaliśmy, aż grupa uderzeniowa się z nami spotka, ale się nie zjawiła, a my nie mieliśmy szansy dostarczyć im ładunków. Jakiś oficer rezerwy z Floty, mający stanowczo zbyt wiele inicjatywy, zwołał pospolite ruszenie, poprowadził je do tuneli i powstrzymał nas. Myślę, że wszyscy ludzie z grupy uderzeniowej zginęli, majorze.

- A niech to - zmartwił się Espira. - To był tylko uboczny cel, ale wart ryzyka. Mielibyśmy niezłe piórko do wpięcia w kapelusz, gdyby udało się nam zniszczyć tę ich cholerną kadziownię. - Przechylił głowę, przyglądając się z uwagą podoficerowi. - Postrzelili cię, sierzancie?

- Lekko - odparł Ciriaco. - Przejdzie mi. Ten cholerny dureń Lazaro. Stracił połowę drużyny. - Przymrużył powieki, spoglądając w ślad za plutonem, który oddalił się w głąb korytarza. - Naprawdę wysłałbyś ich na szczyt sznurów, majorze?

-Jedną dwudziestą moich sił? Nie gadaj głupot. W tej chwili potrzebne im coś, czego będą się bać bardziej niż całego kasztelu pełnego rozjuszonych Albiończyków.

Ciriaco rozszerzył nozdrza i wskazał wzrokiem na jeden z pozostałych tuneli odchodzących od węzła.

- I dlatego ona tu jest?

- Uważaj na słowa, sierzancie - ostrzegł wyższego mężczyznę Espira. - Jesteś jednym z najlepszych żołnierzy w całym Kasztelu Aurora, ale wszystkim nam wydano rozkazy.

-Tak jest.

Espira skinął głową, po czym spojrział w głąb mrocznego tunelu, podobnie jak sierżant. W wejściu rysowała się groźna, posępna sylwetka odzianego w czerń ordynansa madame Cavendish, Sarka. W jego zezowatych oczach odbijał się wyraz nieustannego znudzenia. Nikt, kto miał choć pół uncji mózgu w głowie, nie mógłby go wziąć za kogokolwiek innego niż zabójcę.

Espira celowo odwracał własną uwagę od tunelu, nieustannie skupiając się na swoich ludziach - ale teraz, gdy wszystkie głosy umilkły, znowu usłyszał wysokie, żałosne, pozbawione nadziei zawodzenie dobiegające z mroku.

- Ren? - zapytał szeptem Ciriaco.

- Tępicielek szkodników wpadł przypadkiem na bazę - odparł równie cicho Espira. - Złapaliśmy go, ale nie znaleźliśmy jego partnera. Mówi, że był sam. Przyszła tu, żeby zweryfikować jego zeznania.

- Noże? - domyślił się genetyczny wojownik.

Espira pokręcił głową, tłumiąc dreszcz.

- Nie przyniosła nic ze sobą.

- To szalona bestia — stwierdził Ciriaco.

- Ale nasza szalona bestia - przypomniał mu Espira. - Ciesz się, że jest po naszej stronie.

Genetyczny wojownik przymrużył powieki i wpatrzył się intensywnie w Sarka. Po chwili wzruszył sztywno jednym barkiem, jakby sprawiało mu to ból.

- Nie, majorze - odparł. - Chyba nie będę się cieszył.

W tej samej chwili w ciemnym korytarzu rozległy się kroki, mocne i stanowcze. Po chwili z mroku wynurzyła się madame Cavendish. Zatrzymała się u boku Sarka i ordynans wręczył jej mały ręcznik. Dopiero wtedy major zauważył, że paznokcie oraz końce palców kobiety są wilgotne i szkarłatne. Z głębi tunelu dobiegało niemilkące łkanie.

Eterycka spokojnie odrzuciła ręcznik i podeszła do Espiry. Za jej plecami majaczyła sylwetka Sarka.

- Majorze, uśmiechnęło się do nas szczęście - oznajmiła. - Rzeczywiście pracował sam, choć jest przekonany, że za jakieś dwadzieścia cztery godziny zaczną go szukać.

- Czy ciało ma zniknąć?

- Boże w Niebiosach, nie - sprzeciwiła się. - W takim przypadku zaczęłyby się tu schodzić coraz liczniejsze tłumy tępicielek szkodników, poszukujących w tunelach zaginionych towarzyszy. Zabierzcie ciało gdzieś, gdzie znajdą je w ciągu kilku godzin. W takim przypadku poszukiwań nie będzie.

Espira skinął głową, starając się zachować neutralny wyraz twarzy. Spojrzał w ciemność, z której nadal dobiegały pełne rozpaczki okrzyki.

- On jeszcze żyje — zauważył.

- To szczegół techniczny — zbyła go. - Ale nie byłoby dobrze, gdyby znaleziono go z ranami od mieczy albo impulsów z rękawic. - Zastanawiała się chwilę nad tym problemem, aż wreszcie się uśmiechnęła. - Wyślijcie go na szczyt sznurów.

Espira ponownie poczuł ucisk w gardle i w żołądku na myśl, że mógłby to zrobić jakimkolwiek człowiekowi, nie wspominając już o śmiertelnie rannym i pozbawionym nadziei.

- Słucham?

- Nie dłużej niż na minutę albo nie zostanie nic, co można by zidentyfikować - dodała madame Cavendish. Przerwała na chwilę. - Zrozumiałeś, majorze? - podjęła twardszym tonem. - Wiesz, ile trwa minuta?

Espira zazgrzytał zębami.

- Tak jest - odparł jednak.

- Znakomicie. Postaraj się więcej nie przerywać moich przygotowań, mój drogi majorze.

Spodziewam się gości i muszę być gotowa na ich przyjęcie.

Odwróciła się i odeszła spokojnie. Sark przyglądał się im bez słowa, dopóki nie oddaliła się na dobre kilka kroków. Potem podążył za nią.

Ciriaco zaczął czekać, aż Sark zniknie mu z oczu. Potem warknął cicho jak lew.

- Musimy pracować z materiałem, jaki nam dano, sierżancie - oznajmił mu Espira.

Z mroku nadal dobiegało łkanie.

- Ren - odezwał się cicho Ciriaco. - Nie każ mi wysyłać żywego człowieka na szczyt sznurów.

- Z pewnością tego nie zrobię, stary przyjacielu - uspokoił go cicho major. - Złam mu kark. Wyślij na górę trupa. A potem pozbądź się go w taki sposób, jak kazała madame Cavendish.

Espira przez chwilę czuł na sobie spojrzenie Ciriaca. Wreszcie sierżant piechoty powietrznej skinął głową.

- Tak jest.

ROZDZIAŁ 33

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska

Bridget omal nie zasnęła, nim wreszcie po kilku godzinach oba wyraźnie znudzone koty poruszyły raptownie głowami w tę samą stronę i postawiły nagle uszy, jakby coś usłyszały - choć słuch dziewczyny nie wykrywał niczego poza cichymi dźwiękami zwykle słyszanych w kondygnacji o późnej porze.

Oba koty znieruchomiały jeszcze na chwilę, a potem wstały jednocześnie, przeciągnęły się i ziewnęły.

- Folly, obudź się - poleciała drugiej dziewczynie. - Już czas.

Uczennica eteryka, która zasnęła z głową wspartą o ścianę, rozchyliła powieki i rozejrzała się z wyrażającą dezorientację miną.

- Która godzina?

- Psst - uciszyła ją Bridget, wyteżając słuch.

- Adekwatny? - zapytał Rowl drugiego kota.

- Na to wygląda - przyznał tamten.

- Przedstawienia?

- Byłyby wskazane.

Koty odwróciły się jednocześnie, a potem bez pośpiechu podeszły do Bridget i Folly. Żaden ani na cal nie wysuwał się przed drugiego.

Folly przyglądała się im zaspanym wzrokiem.

- Zastanawiam się, który z nich wygrał? - wyszeptała do słoika.

Bridget poczuła, że jej brwi się unoszą.

- Chyba... chyba był remis - odpowiedziała również szeptem. — To bardzo szanowany członek swego plemienia. — Westchnęła. - Mamy pecha. Kiedy bardzo nam się śpieszy, musieliśmy spotkać kogoś, kto potrafił tak długo ignorować Rowla.

- Czy nie powinniśmy wstać? - zapytała się z niepokojem słoika Folly. - Czy jeśli będziemy siedzieli, nie uznają tego za brak szacunku?

- Człowiek, który siedzi, to człowiek, który nie może skoczyć na kota szybciej, niż ten zdoła uciec - wyjaśniła wysoka dziewczyna. - Siedź. Tak jest uprzejmiej.

- Och, Bridget świetnie potrafi to wszystko wyjaśnić - stwierdziła z uśmiechem Folly. - Bardzo się cieszę, że zastanawiałam się na głos.

Rowl podszedł do Bridget i usadowił się wygodnie na jej kolanach.

- Aha - odezwał się nieznajomy kot. — One należą do ciebie. Zastanawiałem się, dlaczego tu czekają.

- Ona należy do mnie - odparł Rowl, unosząc głowę, by otrzeć się o podbródek Bridget. - Ta druga dla mnie pracuje.

- Z tobą - poprawiła go pod nosem Bridget.

Rowl poruszył od niechcienia uchem.

- Na jedno wychodzi. - Zwrócił się do nieznajomego kota. - Jestem Rowl, kocię Maula z Cichych Łapek. To jest Małamyszka. Ta druga jeszcze nie zasłużyła na prawdziwe imię.

- Nazywa się Folly - oznajmiła Małamyszka, wypowiadając po kociemu wszystko poza imieniem

dziewczyny.

- To nie jest prawdziwe imię — zgodził się drugi kot. — Ja jestem Neen, kocię Nauna z Dziewięciu Pazurów.

- Słyszałem o Dziewięciu Pazurach — stwierdził Rowl. — Wydają się całkowicie adekwatne.

- Słyszałem o Cichych Łapkach — odparł Neen. — Nie znajduję w nich nic szczególnie nieodpowiedniego.

- Ludzie z mojej kondygnacji wysłali tu Małamyszkę, żeby zwróciła się do kotów z prośbą o pomoc.

Neen z namysłem poruszył ogonem.

- To wydaje się zbyt inteligentne, jak na ludzi.

- Też tak pomyślałem - przyznał Rowl. - Małamyszko, proś.

Bridget wpatrywała się ze spokojem w Neena, stawiając czoło enigmatycznemu, pewnemu sobie spojrzeniu kota, jak tylko zdołała.

- Jeśli nie sprawi to zbyt wielkiego kłopotu, chciałabym porozmawiać z wodzem waszego klanu.

Neen przechylił głowę, odwzajemniając jej spojrzenie.

- Mówi prawie jak kot.

- Mówi zupełnie jak kot — sprzeciwił się Rowl, unosząc część włosów na grzbiecie. - Małamyszka jest moja i byłbym wdzięczny, gdybyś o tym pamiętała.

Bridget pogłaskała dłonią grzbiet kota w jego ulubiony sposób.

- Wiem, że to niezwykła prośba, Neenie, kocię Nauna, ale sprawa jest bardzo ważna dla kasztelana, lorda Albiona, i bardzo możliwe, że tylko Dziewięć Pazurów potrafi nam pomóc. Błagam o twą wyrozumiałość i zaakceptuj każdą decyzję, jaką podejmiesz.

Neen przez chwilę poruszał ogonem w lewo i w prawo, nim wreszcie wstał.

- Uważam, że decyzja należy do Nauna. Zostańcie tutaj. Naun was przyjmie. Albo nie. Do zobaczenia, Małamyszko Rowla.

Odwrócił się i zniknął w cieniach.

- Ojej, jak nagle - mruknęła Folly.

- Koty nie lubią, żeby je popędzać - wyjaśniła Bridget. - Ale z drugiej strony, gdy już postanowią zacząć, trudno jest je spowolnić. — Musnęła palcami uszy Rowla. — Jak rozumiem, mamy czekać.

- Ty masz - odparł z aprobatą Rowl, zakręcił się w kółko i położył się na jej kolanach. - Mnie już zmęczyła cała ta dyplomacja. Idę spać.

Dziewięć Pazurów kazało im czekać pół godziny.

Potem z mrocznego korytarza wyłoniły się dwa wielkie kocury i usiadły dokładnie na granicy zasięgu wzroku Bridget, by widziała przede wszystkim złotożółty blask ich oczu.

- Folly. - Bridget ostrzegła towarzyszkę, a potem lekko dotknęła grzbietu Rowla. Kot natychmiast uniósł głowę.

- Oczywiście - odezwał się i ziewnął. - Teraz im się śpieszy.

- Można by pomyśleć, że inni w ogóle ich nie obchodzą - zauważyła z przekąsem Bridget.

- Podejrzewam, że nie obchodzą - warknął Rowl. — Ale to ich terytorium. - Musimy im okazać... - Zadrżał. - Szacunek.

Bridget skinęła stanowczo głową.

- Rowl pójdzie pierwszy - powiedziała do Folly. - Ty idź równo ze mną, ramię w ramię, i staraj się nie zatrzymywać wzroku na żadnym kocie dłużej niż na sekundę, góra dwie. To je niepokoi. W porządku?

- Nie obawiaj się - oznajmiła słoikowi Folly. - Jestem tu po to, żeby cię chronić.

- Tak, i bardzo się z tego cieszę - przyznała Bridget. Wstała, gdy tylko Rowl zeskoczył z jej kolan.

A potem wyciągnęła rękę do szczupłej uczennicy eteryka i pomogła jej wstać.

Rowl obejrzał się i popatrzył na nie z enigmatyczną miną, po czym ruszył przed siebie.

Zapuszczali się za dwoma kocurami coraz głębiej w ciemność, która rozszerzyła się nagle, pochłaniając ich. Bridget byłaby tu zupełnie ślepa, gdyby nie Folly i jej słoik zużytych kryształów luminowych. W naczyniu było chyba kilka setek kryształków, emitujących blade echo dawnego blasku. Każdy z nich z osobna świeciłby tak słabo, że można by go zauważyć jedynie kącikiem oka, ale wszystkie razem tworzyły bardzo delikatną mglistą łunę, dzięki której Bridget mogła przynajmniej iść za kotami, nie objając się o ściany ani nie potykając o walające się na podłodze odpadki.

Dwaj wojownicy - nie mogli być nikim innym, zważywszy na ich rozmiary, milczenie oraz aroganckie zachowanie — poprowadzili dziewczyny do tuneli wentylacyjnych po wschodniej stronie kasztelu. Choć Budowniczy nadali Kasztelowi Albion przekrój doskonałego okręgu, każda kondygnacja była kwadratem wpisanym w ten okrąg. Dodatkowe przestrzenie, umieszczone w kierunkach czterech stron świata, były przeznaczone na struktury pomocnicze - zbiorniki z wodą, tunele wentylacyjne, zsypy śmieci i tak dalej. Koty z reguły wolały mieszkać w mniejszych tunelach wentylacyjnych. Bridget ledwie zdołała się wcisnąć w jeden z nich. Czołgała się naprzód z trudem, modląc się o to, by Naun spotkał się z nimi w jakimś większym tunelu albo w węźle.

Minęło zaledwie kilka minut, gdy dotarli do wielkiej komory węzłowej, w której najwyraźniej postanowił się z nimi spotkać klan Dziewięciu Pazurów. Pomieszczenie było obszerne, szerokie na czterdzieści stóp i być może dwukrotnie dłuższe. Wysoki sufit znajdował się poza zasięgiem słabego blasku słoika Folly. Schodziło się tu osiem tuneli wentylacyjnych i ruchome powietrze napływające z oddychającego kasztelu wypełniało komorę nieustannym jęklwym szumem.

Na drugim końcu komory stało kilka drewnianych mebli, między innymi podnózek, krzesło, stołek barowy oraz imponujący stół o blacie pokrytym ciemnymi plamami - ustawione w takiej właśnie kolejności, najwyraźniej jako schody prowadzące na odpowiednik podium.

Około dwudziestu kocich wojowników siedziało na rozmaitych meblach albo na podłodze pod nimi, otaczając wielki stół, na którym spoczywał wielki, potężnie umięśniony, jednolicie czarny kocur o niemal całkowicie zamkniętych oczach. Na stołku barowym, tuż poniżej poziomego stołu, siedział Neen. Minę miał znudzoną, ale poruszał ogonem na boki z ekscytacji.

- Ma własne meble? - zapytał pod nosem Rowl. - To po prostu niewyobrażalne. Po co mu one? Koty nie potrzebują takich rzeczy.

- Dlaczego nagle zrodziło się we mnie podejrzenie, że będę ci musiała kilka kupić? - zapytała Bridget.

- Nie w tym rzecz. - Rowl powęszył. — O takich sprawach porozmawiamy później.

Bridget rozejrzała się ostrożnie po wielkiej komorze, uważając, by nie odsłaniać zębów, kiedy się uśmiecha. Było tu bardzo wiele kotów. W bladym świetle słoika widziała właściwie tylko niewyraźne sylwetki oraz błyski odbijające się w zielonożółtych oczach.

Setki błysków.

- Ojej - wyszeptała Folly - Tu z pewnością jest więcej kotów, niż ich widziałam przez całe życie. Ojej, popatrz, kocięta.

Bridget uniosła raptownie brwi i skierowała wzrok w kierunku wskazanym słoikowi przez uczennicę eteryka. Faktycznie zauważyła sporo par maleńkich oczu. Wiele z nich zmierzało w ich stronę.

Zaciekawione kocięta zbliżały się ukradkiem, wyciągając noski i kierując uszka ku gościom. To było dziwne. Koty nie pokazywały ludziom swych młodych. Nawet Bridget i jej ojciec, utrzymujący bliskie stosunki z Cichymi Łapkami, widzieli w życiu zaledwie kilka.

A teraz Dziewięć Pazurów przyjmowało ich w tej samej wspólnej kolorze, w której dorastały ich kocięta. W gruncie rzeczy...

- To cały klan - wydyszała do Rowla. - Łącznie z kociętami i tak dalej.

Rudy kocur przymrużył powieki. Z jego gardła popłynął cichy dźwięk.

- Niemożliwe. Zbyt wiele tuneli, które trzeba obserwować i bronić przed intruzami.

Bridget zauważyła jednak, że już w chwili, gdy wypowiadał te słowa, przesuwał spojrzeniem po całej komorze, próbując ocenić liczbę gospodarzy.

- Są niespokojne - wyszeptała Folly. — Trzymają się razem dla bezpieczeństwa.

- Koty tak nie postępują - odpowiedziała Bridget, czy może zaczęła odpowiadać, gdyż nagle się powstrzymała. Koty z całą pewnością łączyły się w grupy, by bezpieczniej polować i bronić terytorium. Ale zawsze starały się udawać, że tego nie robią, ponieważ podobny brak niezależności byłby dla nich nie do przyjęcia.

Nawet „zespół” współpracujących ze sobą kotów z reguły był tylko luźną koalicją i rozwiązywał się, gdy tylko przestawał być potrzebny. Seniorzy klanów, tacy jak Maul albo Naun zachowywali swą pozycję dzięki gęstej i skomplikowanej sieci osobistych relacji, budowie ogólnego konsensusu, a w razie konieczności również przez wywieranie bezpośredniego nacisku, gdy było to możliwe, albo użycie siły, kiedy okazywało się to niezbędne. Skłonienie choćby kilku kotów do zgodzenia się w jakiegokolwiek sprawie było niemalże niemożliwe.

A namówienie kilkuset, by zamieszkały razem, porzucając swe indywidualne terytoria na rzecz wspólnej przestrzeni życiowej było...

...niesłychane. Tak mówiło jej wszystko, co wiedziała o kotach. Gdyby ktoś jej o tym opowiedział, nigdy w życiu by mu nie uwierzyła.

Co, na Boga w Niebiosach, działo się w tej kondygnacji?

Rowl szedł spokojnie przez komorę, jakby nie otaczał ich tłum potencjalnie wrogo nastawionych kotów mogących ich zadusić samym swym ciężarem. Bridget pomyślała, że utonięcie w morzu ciepłych, miękkich, kudłatych stworzeń byłoby śmiercią nieco mniej makabryczną niż niektóre inne możliwości, jakie ostatnio brała pod uwagę, niemniej wolałaby go uniknąć. Rowl z reguły bardzo dobrze wiedział, co robi, ale gdy zawiodły go naturalne zdolności oraz pewność siebie, rezultaty zwykle były warte opisanie w dzienniczku. Żywiła gorączkową nadzieję, że to nie będzie jeden z takich przypadków.

Jej koci towarzysz podszedł prosto do najniższego stołka i wskoczył na niego ze spokojem, jakby to miejsce należało do niego. Siedzące mu na drodze koty musiały go przepuszczać, bo inaczej zrzuciłyby je na podłogę. Gdy dotarł do Neena, usiadł spokojnie obok swego odpowiednika i spojrzał z uwagą na Nauna.

Wódz klanu przyglądał się temu przedstawieniu, mrużąc powieki. Raz czy dwa poruszył koniuszkiem ogona. Wreszcie skierował spojrzenie na Neena.

Ten uniósł od niechcienia łapę i zaczął ją starannie wylizywać. Właściwie nie ignorował swego seniora, ale wyraźnie był bliski przekroczenia jakiejś granicy.

-Jesteś Rowl z Cichych Łapek — oznajmił Naun cichym warkliwym tonem.

- Wiem o tym - odparł Rowl. - Seniorze Dziewięciu Pazurów - dodał po chwili.

- Jesteś arogancki - warknął Naun dobiegającym z głębi piersi głosem. -Tak samo jak Inne Ciche Łapki, które odwiedziły moją domenę.

- O tym również wiem - przyznał Rowl. - A ty wiesz, w jakim celu przyprowadziłem do ciebie tych ludzi.

- Tak — potwierdził Naun. - Są przekonani, że jesteśmy im winni jakąś przysługę.

- Seniorze Dziewięciu Łapek - odezwała się Bridget i postąpiła niewielki krok naprzód.

To przyciągnęło spojrzenia wszystkich obecnych tu kotów. Dziewczyna nagle poczuła się głęboko zaniepokojona uwagą tak wielu biegłych drapieżników, nawet jeśli indywidualnie każdy z nich był raczej niewielki. Przełknęła ślinę.

- Lord Albion, kasztelan - podjęła spokojnym tonem - wysłał nas tu z prośbą o pomoc, której, jak sądzimy, może nam udzielić jedynie Dziewięć Pazurów.

Naun przyglądał się przez chwilę Bridget, przekrzywiając głowę raz w jedną, a raz w drugą stronę.

- Czy to jakaś sztuczka, kocię Maula? Jak te ohydne lalki wytwarzane przez ludzi, które udają, że mówią?

-To nie sztuczka, panie - zapewnił swobodnie Rowl. - To mój człowiek, Małamyszka.

- I mówi — zdziwił się Naun.

- Przecież ci o tym opowiadałem - przypomniał mu Neen.

Wódz Dziewięciu Pazurów zerknął na swe kocię, a potem przez chwilę przyglądał się własnym przednim łapom, jakby zastanawiał się nad tym, którą z nich udzielić odpowiedzi.

Rowl machnął łapą w stronę nosa Neena. Drugi młody kot wzdrygnął się trwożnie. Nagle wszyscy wojownicy w pomieszczeniu zerwali się na nogi. Bridget była pewna, że słyszy szelest futra jeżącego się na licznych grzbietach. W powietrzu poniósł się dźwięk setek cichych kocich ostrzeżeń.

Wstrzymała oddech.

Rowl zignorował chór gniewnych warknięć, wykazując się naprawdę wspaniałą obojętnością wobec rzeczywistości.

- Szanuj twego seniora - upomniał surowo Neena, spoglądając na niego z ostrą dezaprobatą. - Bo inaczej zmusisz go, by udzielił ci nauczki tu i teraz, podczas gdy stoją przed nim poważniejsze problemy.

Neen zamrugał kilka razy, spoglądając na Rowla. Potem rozejrzał się wkoło, zauważył, że wszystkie koty gapią się na niego i nagle utracił zainteresowanie. Wlepił wzrok w pustkę, przymykając powieki.

Zapadła długa cisza. Wreszcie Naun wydał z siebie cichy dźwięk rozbawienia, a jego uszy pochyliły się pod spokojniejszym, znamionującym uwagę kątem. Bridget poczuła, że wstrzymywane w płucach powietrze wypływa z niej powoli. Kilkadziesiąt obserwujących ich z uwagą kotów dołączyło do wesołości swego wodza.

- Jesteś odważny, Rowlu Cicha Łapko — zauważył Naun. - Albo szalony.

- O tym także wiem - przyznał Rowl. - Czy wysłuchasz prośby Małejmyszki?

- Małejmyszki - powtórzył Naun, omiatając spojrzeniem wysoką sylwetkę Bridget. - To imię nieźle do niej pasuje.

- Wyrosła bardziej, niż się tego spodziewałem — wyjaśnił Rowl. - To było nietaktowne z jej strony, ale czego można się spodziewać?

- Ludzie rzadko przejmują się uczuciami kotów — zgodził się Naun. -A tym, którzy się przejmują, rzadko można zaufać.

Rowl uniósł brodę.

- Małamyszka, kocię Wiernego Słowu, jest inna.

Naun przez pewien czas wlepił w Bridget spojrzenie bez mrugnięcia powieką.

- Rowlu, kocię Maula, jesteś mile widzianym gościem w mojej domenie - oznajmił Naun.

Rowl przechylił nagle głowę na bok.

- Co chcesz przez to powiedzieć, seniorze?

W nieprzeniknionych oczach Nauna na moment zapłonął gniew.

- Klan Dziewięciu Pazurów nie jest przyjacielem ludzi. Nieważne, do kogo należą. - Starszy kot odwrócił się i przeszył Bridget twardym spojrzeniem. - Małamyszko, kocię Wiernego Słowu, ty i twoja towarzyszka nie jesteście tu mile widziane. Macie odejść natychmiast. Nie wróćcie do tych tuneli ani nie będziecie próbowały nawiązać kontaktu z moim klanem. Jeśli złamiecie którykolwiek z tych rozkazów, zapłacicie za to życiem.

Zaskoczona Bridget otworzyła usta.

-Ale... seniorze, z pewnością gdybyś zechciał mnie wysłuchać...

-Wiem, po co tu przybyłyście — warknął Naun, wstając na cztery łapy. - Wiem, że chcecie wykorzystać nasze uszy i oczy w nadchodzącym konflikcie. Nie dostaniecie ich. To jest ludzka wojna, a nie kocia. Klan Dziewięciu Pazurów nie przejmie się, jeśli wasi wrogowie wymordują wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci. Dla nas to bez różnicy. Będziemy żyli jak poprzednio, z każdą grupą ludzi,

którzy zajmą tę kondygnację.

Dziewczyna przygryzła wargę. Tego nie można było zaakceptować. Nie może po prostu wrócić do mistrza Ferusa, poinformować go, że koty odmówiły, i zapytać, jak wygląda jego kolejny plan. Panna Lancaster po prostu nie zechce tego słuchać. Cóż jednak może poradzić Bridget? W tym miejscu słowo Nauna było prawem. A choć większość ludzi uważała, że koty to tylko małe wredne szkodniki, nadające się głównie do tępienia jeszcze wredniejszych małych szkodników, Bridget zdawała sobie sprawę, że są one w pełni zdolne zabijać ludzi, jeśli postanowią to zrobić. Naun z pewnością mógł spełnić swą groźbę. Jeśli wyda taki rozkaz, ona i jej towarzysze nie opuszczą żywi tej komory.

Niemniej musiała wykonać obowiązek. Nie zamierzała zawieść. Rozprostowała ramiona i zaczerpnęła tchu, gotowa spróbować jeszcze raz.

Folly nagle złapała ją za nadgarstek. Palce szczupłej dziewczyny były twarde i zimne jak brąz.

- Nie - wysyczała uczennica eteryka. - Czy ona tego nie widzi?

- Czego nie widzę? - zapytała szeptem Bridget.

Folly obróciła powoli głowę, omiatając spojrzeniem komorę, cienie oraz milczące, pełne napięcia sylwetki członków klanu Dziewięciu Pazurów.

- One się boją - wydyszała ledwie słyszalnym głosem. - Są obserwowane.

Bridget poczuła nagłą suchość w ustach i ucisk w gardle.

- Tutaj? Teraz?

Folly skinęła głową tak lekko i powoli, że wyższa dziewczyna mogłaby niemal pomyśleć, że się jej tylko przywidziało.

Naun odwrócił się nieśpiesznie. Jego futro lśniło w słabym blasku słoika Folly.

- Zostaniecie wyprowadzone z tego miejsca i wskaże się wam drogę wiodącą do ludzkiej części kondygnacji - oznajmił ciężkim, powolnym głosem. Przerwał, by zerknąć przez ramię na Neena. - Zaprowadź je do sznurów.

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska, tunele wentylacyjne

Rowl, Małamyszka i nieco dziwniejsza niż zwykła ludzka dziewczyna szli otoczeni kręgiem najgroźniejszych wojowników Nauna, sześciu wielkich, naznaczonych bliznami kocurów, w większości niemal dorównujących rozmiarami Rowlowi. Każdy wojownik nosił parę bojowych ostróg, zakrzywionych metalowych ostrzy wykonanych przez ludzi i przytwierdzonych do skórzanych mankietów na tylnych nogach kotów. Ostrogi były wystarczająco ostre, by stwarzać poważne niebezpieczeństwo, jeśli posługiwano się nimi biegle.

Rowl odnosił wrażenie, że eskorta ma w zasadzie symboliczny charakter. Żaden z tych kotów nie mógłby się z nim mierzyć, nawet z ostrogami na łapach, a Małamyszka oczywiście miała broń, a do tego była wyjątkowym człowiekiem, i jej siła zaimponowała nawet półduszowemu Benedictowi. Potrzeba by co najmniej tuzina doświadczonych wojowników, by powalić takiego przeciwnika jak ona.

Rowl warknął gardłowo. Pierwszy, który spróbuje, nie zdąży nawet jej dotknąć.

W tym właśnie rzecz. Naun zaoferował gościnność i ochronę Rowlowi, ale nie Małejmyszce i Folly. Najwyraźniej nie darzył miłością ludzi. Rowl właściwie nie mógł mieć o to do niego pretensji. W ciągu całych dziejów koty z reguły traciły na wszelkich związkach z nimi. Ludzie byli kapryśni, często zmieniali zdanie bez ostrzeżenia i bez powodu. Tylko na bardzo niewielu spośród nich można było polegać i dotyczyło to nawet półduszowych. Właśnie dlatego ludzie w rodzaju Małejmyszki i Wiernego Słowu byli tak bardzo cenni. Dlatego żaden zdrowy na umyśle kot nie pozwalał kociętom zbliżać się do ludzi, którzy najwyraźniej nie widzieli niczego złego w przyzwyczajaniu kociąt do przyjmowania jedzenia z ich rąk, zamiast uczenia ich polowania i polegania na sobie.

Ten, kto był zależny od kogoś innego, gdy chodziło o jedzenie, składał w jego ręce swe życie. Dawanie ludziom takiej władzy nad kotami było przekleństwem, nie była to jednak jedyna zniewaga ani niesprawiedliwość, jaką ludzie wyrządzili kotom w ciągu stuleci. Niekiedy urządzali na nie regularne polowania, oskarżali je o czyny, jakich żaden kot nigdy by nie popełnił z żadnego powodu, próbowali zatruwać ich żywność albo wodę. Koty i ludzie regularnie ścierali się ze sobą w miejscach, gdzie miejscowa ludzka populacja nie w pełni rozumiała koty, a brak zrozumienia podstawowych faktów nieuchronnie prowadził do obopólnych cierpień. Jeśli Naun - albo inne koty, które były mu bliskie - ucierpiał z powodu czegoś w tym rodzaju, z łatwością mogło go to doprowadzić do irracjonalnej nienawiści, nawet do wyjątkowych ludzi, takich jak Małamyszka.

Istniało tylko kilka powodów, dla których wódz klanu Dziewięciu Pazurów mógł kazać ich wyprowadzić ze swego terytorium drogą zupełnie inną od tej, którą tu przybyli. Żaden z tych powodów nie był przyjemny. Z pewnością, pomyślał Rowl, Naun pragnął, by coś się wydarzyło. Coś, o czym nie chciał - a być może nie mógł, jeśli Folly miała rację - mówić na głos. Instykt Rowla powtarzał mu ze spokojem, że Naun wysłał ich na spotkanie swoistego niebezpieczeństwa.

To było w porządku. Rowl poradzi sobie z każdym zagrożeniem na rozsądną skalę. Był przekonany, że gdy ma u swego boku Małamyszkę, tylko niewiele wyzwań powinno go niepokoić. Zasadnicze pytanie brzmiało, dlaczego Naun miałby zrobić coś takiego. To wydawało się dość nieuprzejme, zwłaszcza gdy chodziło o przybywającego z wizytą dziedzica wodza innego klanu, ale z drugiej strony Rowl nie wiedział wszystkiego o aktualnych wydarzeniach. Nie wątpił, że wie o nich prawie wszystko, ale mógł istnieć jakiś niuans dotyczący bieżącej sytuacji bądź też motywacji Nauna, i wódz miejscowego klanu

postanowił mu ów niuans zademonstrować. Albo chodziło o zwykłą zdradę.

Rowlowi w zasadzie było wszystko jedno. Tak czy inaczej, upora się z problemem, a potem udzieli Naunowi takiej odpowiedzi, jaka wyda mu się najodpowiedniejsza i najbardziej gustowna. Czyż kiedykolwiek postąpił inaczej?

Grupka dotarła do wylotu głównego tunelu i kocur dowodzący eskortą Dziewięciu Pazurów zatrzymał się nagle.

- Tutaj - poinformował ich. — Wzdłuż tego tunelu. Idźcie cały czas naprzód, a zaprowadzi was do ludzkiej części kondygnacji.

- Na pewno? - zapytał ze spokojem Rowl.

-Tak.

- Ale wy tam nie idziecie.

-Nie.

- Zatrzymujecie się tutaj.

-Tak.

- Dlatego, że się boicie.

Drugi kot obrzucił Rowla pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

Rowl okazał mu obojętność szerokim ziewnięciem.

- Jeśli nie chcesz stracić oczu, skieruj je gdzie indziej — rzekł ze spokojem.

- Rowl - wydyszała Małamyszka na znak sprzeciwu.

Była bardzo wrażliwa i delikatna. Zapewne groźba wydarcia komuś oczu przyprawiała ją o szok, bez względu na to, jak mogłaby być szczerą i zasłużoną. Zerknął na nią czule i ponownie skierował wzrok na ich eskortę.

Groźba wywołała reakcję pozostałych członków klanu Dziewięciu Pazurów. Wszyscy gapili się na Rowla.

Ten odwzajemnił kolejno ich spojrzenia, jedno po drugim. Wszystkie kocury odwróciły obojętnie wzrok, jakby konflikt nagle wydał się im straszliwie nudny.

Rowl machnął z satysfakcją ogonem.

- Ruszamy? - zapytał Małamyszkę.

- Oczywiście — zgodziła się. Czy chcesz, żebym cię poniosła?

Rowl poważnie zastanowił się nad tą propozycją.

- Nie - zdecydował po chwili. - Powinnaś być gotowa do zrobienia użytku z rękawicy.

Bridget uniosła brwi, ale zamiast się sprzeciwić podwinęła ze spokojem rękaw, odsłaniając broń.

O ile Rowl rozumiał, nie było to właściwie potrzebne, pod warunkiem, że nie będzie używała rękawicy zbyt często — miedziane klatki otaczające urządzenia robiły się po pewnym czasie bardzo gorące i ubranie mogło się od nich zapalić.

Tymczasem Folly wpatrywała się w ciemność nowego tunelu szeroko otwartymi ze strachu oczami. Rowlowi to się podobało. W sytuacjach takich jak ta strach był mądrością i kot cieszył się, że jest wystarczająco inteligentna, by to zrozumieć. Miał nadzieję, że Folly potrafi wykorzystać strach, by stać się bystrzejszą, zamiast pozwolić, by ją ogłupił, ale to chyba byłoby już za trudne dla człowieka, choćby nawet stosunkowo dziwnego.

-Zastanawiam się, czy nie powinniśmy pójść w przeciwną stronę? -zapytała słoika Folly. - Nie w tę, która prowadzi wzdłuż tunelu?

- Mało prawdopodobne - sprzeciwił się Rowl. — Naun chce, żebyśmy poszli w tę stronę.

Sprzeciwiając się mu, rzucilibyśmy wyzwanie jego władzy.

- Ojej - jęknęła Folly.

- Myślę, że powinnaś iść po mojej prawej stronie - powiedziała do niej Małamyszka głosem spokojnym i miarowym jak u kota, mimo że Rowl wyczuwał strach w przyśpieszonym biciu jej serca. Był

przekonany, że to przede wszystkim jemu przypada zasługa nauczania jej tego. — W ten sposób nie będziesz mi przeszkadzała unieść rękawicy.

- Och tak, ona ma rację - zgodziła się Folly, kiwając głową, po czym zajęła miejsce nieco za Małamyszką, po jej prawej stronie. - Ale ktoś powinien jej powiedzieć, że wolałabym inny tunel od tego. Każdy inny tunel na świecie.

- Czy mogłabyś unieść światło? - zapytała Małamyszka. — Im szybciej zobaczę potencjalną groźbę, tym szybciej będę mogła spróbować ją zlikwidować.

Folly z powagą uniosła słoik pod brodę.

- Dziękuję - rzekła Małamyszka.

-Ja pójdę pierwszy - oznajmił jej Rowl. - Proszę, nie nadeptuj mi na ogon. To dla mnie poniżające.

- Nie zrobiłam tego, odkąd miałam jedenaście lat — uspokoiła go z uśmiechem.

- Jak dotąd - odparł. Potem machnął ogonem na boki i ruszył naprzód. Po kilku krokach usłyszał szelest ludzkich ubrań. Jego towarzyski podążyły za nim.

Natychmiast zauważył, że w tunelu unosi się dziwna woń. Wiedział, że to zapach jakichś stworzeń, odór czegoś, co przybyło do kasztelu z powierzchni, ostry i nieprzyjemny dla jego nosa. Miał on w sobie jakąś odrażającą nutę, którą Rowl nauczył się kojarzyć z niejadalną, trującą zwierzyną, kiedy był jeszcze puszystym kocieciem. Ten tunel niedawno odwiedziło coś bardzo dziwnego i być może również wyjątkowo niebezpiecznego.

Nie był z tego zadowolony. Co prawda obrona terenu Dziewięciu Pazurów nie była jego obowiązkiem, ale wydawało się groteskowo nieodpowiednie, że coś zadało sobie mnóstwo trudu, by dotrzeć z powierzchni tak wysoko, a po upolowaniu okazało się całkowicie niejadalne. Było wielką nieuprzejmością zmuszać kota do wysiłku związanego z polowaniem i zabiciem ofiary, a po szczęśliwym zakończeniu łowów nie zapewnić mu triumfalnej uczy.

- Przed nami - wydyszała Folly. - Coś na suficie.

Musieli pokonać jeszcze czterdzieści kroków (ludzie zapewne mniej), nim jego oczy wypatrzyły coś w niemal całkowitym mroku tunelu. Sufit znajdował się dwa, może trzy skoki nad nimi. Zbudowano go z konwencjonalnego kamienia, nie kasztelowego. Ludzie z Kondygnacji Ładowiska zmniejszyli o połowę również wysokość tuneli. Rowl nie miał pojęcia, co mogło ich skłonić do równie głupiego postępowania. Zapewnie chcieli zwiększyć liczbę tuneli dostępnych dla górnej połowy kondygnacji.

Zauważył w suficie otwór dorównujący szerokością długości jego ciała razem z ogonem. Zwisало z niego kilkanaście sznurów przypominających długie liny ze sterowca Grimma, ale wykonanych z innego materiału. Gdy poruszały się lekko w delikatnym powiewie wypełniającym tunel, blask kryształków ze słoika Folly odbijał się w nich, tworząc setki różnobarwnych światełek.

Małamyszka i Folly zauważyły sznury dopiero po chwili. Zwolniły i zatrzymały się.

- Co to jest? - wydyszała Małamyszka. - Z czego są zrobione te liny?

- Z eterycznego jedwabiu - wyszeptała Folly.

- Sznur z eterycznego jedwabiu? - zapytała wysoka dziewczyna, rozdziawiając usta. Kto mógłby sobie pozwolić na coś takiego?

- To nie jest sznur - wyjaśniła słoikowi Folly. - Ale ona o tym nie wie. Zapewne nigdy nie widziała, jak on wygląda, zanim się go zbierze.

- Zbierze? - powtórzyła Małamyszka. Nagle głęboko odetchnęła. -Tkacze jedwabiu. To właśnie miałaś na myśli, prawda?

Folly cały czas gapiła się na otwór, jakby nie mogła oderwać od niego wzroku. Skinęła głową w milczeniu.

- Ale one żyją na powierzchni i we mgle — sprzeciwiła się Bridget. -Nie... żeby utkać taki sznur, musiałyby być olbrzymie. I, Boże w Niebiosach, tylko szalenię próbowałyby je oswoić. Różni głupcy próbowali to robić już od dwóch tysięcy lat, żeby pozyskiwać ich jedwab, ale żadnemu się nie powiodło.

Żaden nie przeżył.

- Moim zdaniem ludzie są wystarczająco głupi, by spróbować jeszcze raz - wtrącił Rowł.
- Au! - zawołała nagle Folly, cofając się o kilka kroków przed jakimś niewidocznym

niebezpieczeństwem.

Rowł gapił się ze zdziwieniem na dziwną ludzką kobietę. Przez krótką chwilę nic się nie działo.

Potem rozległ się chór niesamowitych wysokich dźwięków i dziesiątki tkaczy jedwabiu runęły na nich z góry.

* **

Rowł nigdy dotąd nie widział żadnego z nich, zapoznał się jednak z wiedzą zgromadzoną przez jego lud na temat tkaczy jedwabiu, a także całej koszarnej menażerii innych, podobnych stworzeń. Znał je. Wiedział, jak polują i w jaki sposób można je zabić.

W pierwszej fali atakowało sześć bestii, mniej więcej o połowę większych od Rowła. Miały po tuzin nóg, rozmieszczonych po obu stronach smukłego, pokrytego twardą łuską ciała, nadającego im wygląd nadmiernie rozentuzjasmowanych rybików cukrowych. Głowy jednak miały cebulaste, a całe wnętrza krótkich, trójdzielnych pysków były ząbkowane. Z tylnych części ich ciał wysuwały się wstęgi jedwabiu, zapewniające im coś w rodzaju liny ratunkowej powstrzymującej przed upadkiem.

Rowł przypomniał sobie, że świeży jedwab jest lepki i stwarza dodatkowe niebezpieczeństwo. Lepiej się nie śpieszyć. Starannie zaplanował następny krok. Tkacze jedwabiu zdążyły już opaść do połowy wysokości tunelu.

Rowł ruszył do ataku. Skoczył nie na położone najniżej z opadających na podłogę stworzeń, lecz na to, które było najwyżej. Uderzył w nie sztywno wyprostowanymi przednimi łapami, odpychając je do tyłu. Wykorzystując impet, odwrócił się w locie i wylądował na czterech łapach, unosząc już głowę, by sprawdzić rezultaty ataku.

Jego ofiara zatoczyła szeroki łuk. Jej sznur splątał się ze sznurami pozostałych stworzeń. Tkacze jedwabiu zagwizdały niespokojnie, gdy kleisty jedwab wypływający z ich odwłoków przykleił się do sznurów oraz ciał ich towarzyszy. Jeden z nich zaplątał się całkowicie, a dwóm następnym lepkie liny skrępowały nogi. Trzy pozostałe zdołały uniknąć zaplątania i opadły na podłogę.

Rowł skoczył na pierwsze ze stworzeń i uderzył łapami ze wszystkich sił, przewracając je na bok. Drugie potraktował w takim samym sposób. Trzecie skoczyło na niego.

Koci wojownik tylko czekał na to, by któryś z głupich stworów spróbował to zrobić. Skoczył w stronę przesywającego powietrze tkacza jedwabiu, obracając się w locie wężowym ruchem grzbietem w dół. Stworzenie spadło na podłogę, szukając jego ciała jadowitymi szczękami, ale on utrzymał je na dystans przednimi łapami, jednocześnie rozdzierając gwałtownie pazurami tylnych odsłonięty spód ciała przeciwnika.

Tkacz jedwabiu szarpnął konwulsyjnie nogami, gdy Rowł uderzył w jakiś ważny dla życia narząd. Kot pogardliwie odrzucił truchło na bok. Żaden z dwóch pozostałych nie zdążył się jeszcze podnieść na liczne nogi. Oba nadal miały się bezładnie po podłodze.

Rowł skoczył na bliższego, zacisnął mocno zęby na jego brzuchu, i — zanim stworzenie zdążyło się zwinąć i go ugryźć — potrząsnął nim gwałtownie, rozszarpując miękkie ciało. Podobnie jak to pierwsze wydało z siebie krzyk, szarpiąc rozpaczliwie nogami, i poleciało w bok, pozostawiając mu w ustach kawałki trzewi.

Kot wypluł obrzydliwie smakujące fragmenty i zwrócił się ku trzeciemu tkaczowi jedwabiu. W tej samej jednak chwili wielki i mocny but Małejmyszki opadł na stworzenie niczym kolumna żywego kamienia. Tkacz nie miał szans w konfrontacji z tak wielką siłą i masą. Nie tyle zginął, ile eksplodował na wszystkie strony. Rowł zwrócił się ku zaplątanym w nici napastnikom, skoczył na pierwszego w nich i zabił go zębami, unikając kontaktu z jedwabiem. Tymczasem Małamyszka rozdeptała dwa ostatnie stworzenia. Zostały z nich tylko mokre plamy na podłodze.

Kot pomyślał że ludzie czasem się przydają. Byli niezgrabni, powolni i często niezbyt bystrzy, ale również naprawdę bardzo silni dzięki swej wielkiej masie. Uświadomił sobie, że jego ojciec miał rację, nalegając, by zawsze mieli kilku w swych tunelach. Ludzie potrafili rozwiązywać irytujące problemy, które dla kotów mogły się okazać trudne i czasochłonne.

Rozejrzał się wkoło ze spokojem, wypatrując kolejnych wrogów, którzy dostarczyliby mu rozrywki. Nie zauważył jednak żadnego. Może to i lepiej. Ich smak był okropny, a minie tydzień, nim zdoła oczyścić futro ze śmierdzącej galarety.

- No cóż, uratowałem was obie — oznajmił swym towarzyszkom. - Choć muszę przyznać, Małamyszko, że nie byłaś dla mnie całkowicie bezużyteczna.

- Dziękuję - odparła z powagą Bridget. Potem przyjrzała się z drzeniem podeszwie swego buta. - A Fe. Ależ to obrzydliwe.

- Ależ to bezużyteczne — dodał z niesmakiem Rowl. - W sumie trudno to nazwać walką i nawet nie możemy ich zjeść.

- I całe szczęście - skwitowała Małamyszka. — Ich ukąszenia są jadowite, prawda?

- Ukąsiły którąś z was? - zapytał kot.

- Nie.

- W takim razie nie są - stwierdził, spoglądając znacząco na jej rękawicę. - Broń, której się nie używa, nie jest bronią.

- Nie miałam czasu wycelować, zanim zaczęły się sypać na podłogę - tłumaczyła się Małamyszka. - A porem znalazłeś się między nimi. Prosiłeś, żebym nie nadeptywała ci na ogon butami. Doszłam do wniosku, że rękawicą też nie powinnam go dotykać.

Po chwili zastanowienia Rowl skinął głową.

- Zapewne można to uznać za rozsądne. Zarozumiałe, ale nie głupie.

- Dziękuję — odpowiedziała mu tonem, który czasem kazał Rowlowi zadawać sobie pytanie, czy dziewczyna z niego kpi.

Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Jej uszy były okropnie małe, a ogona nie miała w ogóle. Jak, do licha, miał odgadnąć, co się kryje za tymi wielkimi krótkowzrocznymi oczami, jeśli nie otrzymywał żadnych wskazówek?

- Ojej — odezwała się nagle dziwna ludzka dziewczyna. — Zatem tak to wygląda. Tkacze. Tkacze. Uciekajcie!

- Folly, wszystko w porządku - zapewniła Małamyszka. - One nie żyją. Zabiliśmy je.

Uczennica eteryka potrząsnęła gwałtownie głową, wskazując palcem w górę.

— Bridget nie wie - wyjęczała. - Nie Bridget. Tam, tam, tam!

Z otworu w suficie wypłynął potop tkaczy jedwabiu. Wszystkie mniej więcej dorównywały rozmiarami stworzeniom z pierwszej grupy, ale było ich więcej. Nie kilkanaście. Nie kilkadziesiąt. Kilkaset. Całe setki tkaczy jedwabiu wypływały z otworu przy akompaniamencie chóralnych krzyków oraz stukoru ząbkowanych szczęk. Złaziły po jedwabnych linach niczym odwróceniu do góry nogami aeronauci. Całe floty aeronautów.

Niewykluczone, że było ich zbyt wiele, by Rowl zdołał sam eksterminować wszystkie.

- Uciekajcie! - zawołała Małamyszka.

Złapała Folly za rękę, a Rowl popędził obok nich. Uczennica eteryka oraz dwoje gwardzistów — ludzki i koci — popędzili sprintem przed siebie.

Za nimi sunęła fala zgrzytających szczękami tkaczy jedwabiu.

ROZDZIAŁ 35

Kasztel Albion, Kondygnacja Lądowiska, tunele wentylacyjne

Nim jeszcze pierwsza szóstka tkaczy jedwabiu rzuciła się na nich, Folly ujrzała cały przebieg wydarzeń.

Szczerze mówiąc, wyglądało to dość niepokojąco. Gapiała się na otwór w suficie i nagle poczuła niezachwianą, irracjonalną pewność, że wypada z niego sześć tkaczy jedwabiu. Nic nie widziała, ale była przekonana, że gdyby zechciała, mogłaby policzyć kolczaste włoski na ich licznych nogach. Oczy mówiły jej, że przestrzeń, na którą patrzy, jest pusta, lecz wszystkie prymitywne nerwy w jej ciele przeszywały potężne impulsy paniki. Folly mogła tylko wzdrygnąć się i krzyknąć rozpaczliwie.

Zaraz potem tkacze jedwabiu pojawiły się naprawdę i zdezorientowana dziewczyna mogła się jedynie przyglądać, jak Rowl i Bridget policzyli się z nimi. Oszołomienie sparaliżowało ją tylko na krótką chwilę. Kot rzucił się do ataku z całkowitym lekceważeniem przewagi liczebnej przeciwnika - a jeśli już o tym mowa, również dla grawitacji. Sześć tkaczy jedwabiu zginęło w ciągu kilku sekund.

Folly ujrzała w myślach zakończenie walki z kilkusekundowym wyprzedzeniem.

To musiało znaczyć, że... Udało się jej ujrzeć możliwą przyszłość.

- Ojej - usłyszała własny głos. - Zatem tak to wygląda.

Potem prześliznęło się ku niej poruszenie w eterze, podobne do poprzedniego, które ostrzegło ją przed obecnością nieprzyjaciela, ale nieporównanie silniejsze. Folly natychmiast przechyliła głowę w bok, starając się wytropić źródło tego wrażenia. Jej oczy wpatrzyły się w pustkę, ponieważ były bezużyteczne, całkowicie bezużyteczne. Uświadomiła sobie z drżeniem, że przed oczami jej umysłu kształtuje się kolejny obraz możliwej przyszłości.

Ta przyszłość zawierała więcej tkaczy jedwabiu. Całe setki.

-Tkacze - wydyszała. - Tkacze. Uciekajcie!

- Folly - odparła Bridget. - Wszystko w porządku. One nie żyją. Zabiliśmy je.

Pokręciła głową, gdy złowroga obecność w eterze spojrziała niespodziewanie na nią. To niematerialne wrażenie było równie szokujące, jak nagły krzyk tuż przy samym uchu. Obecność skupiła na niej uwagę i zaczęła się zbliżać.

Wtedy właśnie Folly po raz pierwszy uświadomiła sobie naturę Nieprzyjaciela, przed którym ostrzegał ją jej nauczyciel.

Rowl i Bridget nie zabili tkaczy jedwabiu, lecz marionetki.

- Bridget nie wie - powiedziała do pustego powietrza, rozpaczliwie próbując na nowo przywołać oczyszczony instynkt, który pozwolił jej ujrzeć przyszłość podczas pierwszego ataku. Jej umysł wypełniły tysiące niewidocznych, zamazanych obrazów, jakby stu ludzi śpiewało jednocześnie sto różnych piosenek. To było bolesne i odnosiła wrażenie, że dostrzega jedynie cień możliwości. Mogła uciec i Rowl również miał szansę, ale... - Nie Bridget - powiedziała na głos.

Rozglądała się szaleńczo, próbując odnaleźć więcej przyszłości, drogę, która pozwoli przeżyć im wszystkim, ale to było tak, jakby próbowała złapać pojedynczego komara w całej chmarze tych owadów,

światliste możliwości przelatywały zgrabnie obok, a Folly próbowała je zrozumieć, zanim znikną. Tam była jedna. Tam druga. A tam trzecia. Dziewczyna ledwie zdawała sobie sprawę, że jej usta się poruszają:

-Tam, tam, tam.

Kiedy mówiła, przyszłość zestaliła się w pewność i Folly miała tylko niespełna sekundę wyprzedzenia, nim tkacze jedwabiu rzeczywiście wysypały się ze swego schronienia na górze. Potrzebowała przyszłości, w której byłoby życie. Szukała jej rozpaczliwie, podczas gdy horda bolesnych, odrażających, coraz bardziej prawdopodobnych przyszłości atakowała jej myśli na podobieństwo gradu uderzającego w czaszkę. To było dla niej nowe doświadczenie, niezwykle i absolutnie przerażające, ponieważ jakaś część jej jaźni musiała naprawdę doświadczyć każdej przyszłości, którą zobaczyła.

Spróbowała uczeplić się wizji, ale nie zdołała jej utrzymać. Obraz zniknął.

- Uciekajcie! - zawołała Bridget.

Folly poczuła, że wyższa dziewczyna ciągnie ją naprzód. Potknęła się i pobiegła obok niej. Ściagała ich zgraja małych tkaczy jedwabiu.

Jeszcze przez kilka sekund próbowała odzyskać spokój i jasność myśli, by odnaleźć przyszłość zawierającą drogę ku ocaleniu, ale potem dała za wygraną. Tylko prawdziwi mistrzowie potrafili zagłębiać w przyszłość w każdej sytuacji, choćby najstraszniejszej. Wymagało to skupienia i panowania nad sobą w stopniu, którego najwyraźniej jeszcze nie osiągnęła.

Bridget odwróciła się, by skierować furię rękawicy na ścigający ich rój. Równie dobrze mogłaby ciskać kamieniami w płonący olej. Jednakże tkacze jedwabiu było tak wiele, że raczej nie mogła chybić. Zawsze to coś.

Niemniej pościg zbliżał się z każdą chwilą.

Folly nakazała sobie uporządkować myśli. Często ćwiczyła to z mistrzem. Łatwiej by jej było, gdyby mogła usiąść w wygodnej pozycji lotosu i przez chwilę pooddychać spokojnie, ale tkacze jedwabiu wyraźnie nie miały zamiaru jej na to pozwolić. Dlatego zadowolona się zsynchronizowaniem rytmu myśli z rytmem bijącego serca i poruszających się stóp. Eteryzny świat otworzył się przed nią.

I wszystko się zmieniło.

Świat zniknął, przeradzając się w nieprzeniknioną czarną pustkę, poprzesywaną niemi eterycznego blasku. Kryształki w jej słoiku mrugały jasno, a kryształ bojowy rękawicy Bridget gorzał niczym miniaturowe słońce. Rowl i Bridget wyglądali jak widma. W niektórych miejscach rozświetlała ich łuna przepływającej przez nich eterycznej energii, ale reszta ich ciał była jedynie cieniem.

Przez ściany i podłogę kasztelu płynęły pulsujące strumienie energii czerpanej z nieba przez kamień kasztelowy i spływającej przez niego do ziemi. Kasztel był jak piorunochron, w który nieustannie uderzały błyskawice. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że horda tkaczy jedwabiu lśni blaskiem szalejącego pożaru. Każde indywidualne stworzenie otaczały chmury światła. Posiłkując się fragmentem swego umysłu, Folly mogła przenikać wzrokiem przez lity z pozoru mur, jakby w ogóle go tu nie było. Wewnątrz kasztelu było to jednak dezorientujące, przyprawiające o zawrót głowy doświadczenie. W kasztelowym kamieniu dostrzegła niezliczone strumienie energii. Większość kierowała się w dół, ale niektóre przeskakiwały między poszczególnymi kanałami, umieszczonymi tam przez Budowniczych po to, by systemy kasztelu były w stanie podtrzymywać życie jego mieszkańców. To było tak, jakby miała przed sobą naprawdę skomplikowany zegar wykonany z półprzezroczystego szkła i próbowała zlokalizować w nim jakiś określony element.

Potrzebowali mniejszego tunelu, przez który oni przedostaną się bez trudu, ale masa ścigających ugrzęźnie w nim na jakiś czas. Folly znalazła nieopodal podobny korytarz. Jeśli uda się jej zlokalizować eteryczny węzeł, otworzy się przed nią wiele różnych możliwości.

- Tędy! - krzyknęła do słoika i nagle skręciła w znacznie węższy i zdecydowanie niższy tunel.

- Folly! - sprzeciwiła się krzykiem Bridget, ale tak czy inaczej, nie miała wyboru.

Tylko uczennica eteryka dysponowała źródłem światła. Pośliznęła się na usmarowanych śluzem tkaczy podszwach, odzyskała równowagę, pochyliła się i popędziła węższym tunelem za towarzyszką. Rowł podążył za nią, ostrzegając warkliwym sykiem najbliższe tkacze jedwabiu, i cała trójka popędziła znacznie ciasniejszym korytarzem.

Ich kroki niosły się tu głośnym echem, a oddech był wręcz ogłuszający. Bridget biegła nisko pochylona, ale chmura ścigających ich stworzeń musiała zwolnić przy wejściu, jak woda wylewająca się przez mały otwór z wielkiego naczynia. Liczebność ścigających nie spadła, lecz tylko ich garstka mogła się do nich zbliżyć jednorazowo. Na cele Folly to całkowicie wystarczało.

Gdy jednak się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że nigdy nie uważała się za jedną z kobiet, które mają cele. To mogło się okazać kłopotliwe - rzecz jasna nie aż tak bardzo, jak rozerwanie na strzępy przez tysiące tkaczy jedwabiu, ale sprawa była godna rozważenia — pod warunkiem, że przeżyje kilka najbliższych chwil, oczywiście.

Prowadząc dwoje towarzyszy ciasnym korytarzem, zwolniła nieco kroku, by zbadać otoczenie eterycznym wzrokiem w poszukiwaniu dalszych opcji. I nagle ujrzała coś, co mogło zmienić ich sytuację - węzeł.

Strumienie eterycznej energii napływały do niego z sześciu różnych kierunków, łącząc się w jeden spływający w dół nurt, a w miejscu zlania nadmiarowa energia wylewała się z kanału, wypełniając powietrze w tunelu delikatną jak pajęczyna aurą. Ta chmura eterycznej mocy wręcz śpiewał do Folly. Dziewczyna pomknęła ku niej desperackim sprintem, szukając po drodze swych kabur.

- Folly! - zawołała w ślad za nią Bridget. - Zaczekaj!

Nie miała czasu — nie, jeśli chciała zatrzymać falę tkaczy jedwabiu wystarczająco szybko, by uratować życie wysokiej dziewczynie. Wyrwała z kabur dwie siatki z uśpionymi kryształami luminowymi i potrząsnęła nimi, wysypując ich zawartość na podłogę tunelu. Potem, bez chwili wahania, rozbiła o kamienne podłoże również swój słoik.

Na moment w tunelu zapanowała nieprzenikniona ciemność. Folly rzecz jasna widziała wszystko w niesamowitym świetle swego eterycznego wzroku, nie wątpiła jednak, że Bridget, która krzyknęła rozpaczliwie, była przerażona.

Doszła jednak do wniosku, że to tylko dlatego, że nigdy nie widziała, czego eteryk - nawet nie w pełni wyszkolony, jak sama Folly - może dokonać, mając do dyspozycji źródło energii oraz zdolne ją pomieścić naczynie.

- A teraz wszystkie razem — rzekła kryształom, i poczuła ich kolektywną zgodę, pełną zaspanej dezorientacji. Następnie pochwyciła myślą swobodnie płynący strumień eterycznej energii i wypełniła nim okruchy.

Pod wpływem mocy znacznie większej niż ta, którą przedtem w nich przechowywano, ledwie widoczne kryształki przerodziły się w tysiąc punktów jasnego blasku, nagłą rzekę białej światłości.

Tkacze jedwabiu eksplodowały nagłymi krzykami zaskoczenia i strachu. Wąski korytarz nadał ich głosom siłę uderzenia młota. Folly ze wszystkich sił starała się zignorować ten hałas i tylko lekko zachwiała się na nogach. Potem wyciągnęła rękę w stronę tunelu, którym przed chwilą uciekali, i szybko trąciła swym umysłem strumienie energii. Połyskliwa chmura kryształków napłynęła spienioną falą do pełnego tkaczy jedwabiu korytarza i rozproszyła się losowo.

Następna część była trudna. Folly miała nadzieję, że kryształy luminowe pamiętają niezliczone ćwiczenia, które z nimi odbywała. Po naładowaniu eteryczną energią emitowały jednostajne światło, ale było ono tylko jedną z możliwych postaci energii. Kryształy bojowe działały na tej samej zasadzie, ale emitowały ciepło i moc. Kryształy wznoszące produkowały odwróconą grawitację. Natomiast kryształy rdzenia — najbardziej skomplikowane ze wszystkich - wydzielały nagromadzoną energię w jeszcze innej formie. Pod postacią elektryczności.

Między kryształami luminowymi a kryształami rdzenia w zasadzie nie było żadnej istotnej różnicy,

pomijając fakt, że te drugie wyposażano podczas hodowli w system ścieżek pozwalających gromadzić wciąż narastający zapas energii elektrycznej, przetworzonej w zabutelkowany piorun. Nie było żadnego powodu, by małe kryształki luminowe nie mogły dokonać tej samej sztuki, o ile ktoś dostarczy im mapę ścieżek o odpowiedniej strukturze.

Dlatego Folly — tak szybko i sprawnie, jak tylko potrafiła - wyobraziła sobie ścieżki potrzebne jej kryształkom. W zasadzie było to proste, ale zrobienie tego tysiąc razy jednocześnie wymagało znacznie więcej wysiłku. Nigdy nie ćwiczyła tego z tak wielką liczbą kryształów, ale ćwiczenia miały oczywiście na celu danie jej umiejętności potrzebnych w chwilach takich jak ta.

Ojej, gdyby tyle nie ćwiczyła, miałoby naprawdę poważne kłopoty.

Ponieważ było to słuszne i konieczne, po prostu wyobraziła sobie jednocześnie tysiąc różnych skomplikowanych sieci ścieżek dla swych maleńkich kryształów. Hmm, niepotrzebnie przesadzała. Nie chciała być chwalipiętą. Na podłodze leżało tylko dziewięćset osiemdziesiąt siedem kryształków. Wyobraziła sobie skromne dziewięćset osiemdziesiąt siedem różnych planów, po jednym dla każdego z nich, by im pokazać, jak mają wykorzystać energię, którą je karmiła.

Korytarz ciągnący się za nimi - i wszystkie znajdujące się tam tkacze jedwabiu - wypełniła nagle sieć oślepiającego białoniebieskiego blasku.

Towarzyszący temu huk był naprawdę zdumiewający. Seria indywidualnych trzasków brzmiała podobnie jak emisja energii przez kryształ bojowy, ale kryształków było dziewięćset osiemdziesiąt siedem i wszystkie uwolniły swe ładunki w ciągu sekundy czy może dwóch. Dźwięk był tak donośny, jakby mała armia wystrzeliła salwę w ciasnym korytarzu. Towarzyszył mu równie przerażający żar, który przyniósł ze sobą gwałtowny powiew. Folly pomyślała, że ten ostatni właściwie był zbędny. Nie uczynił uwolnionej energii bardziej straszliwą i nie osiągnął na dobrą sprawę nic poza obaleniem obu dziewczyn na podłogę i rozproszeniem jej kryształków na różne strony.

Nie wstawała przez chwilę z podłogi, ponieważ miała wrażenie, że tak właśnie należy postąpić. Zamrugowała kilka razy, spoglądając na sufit, i uświadomiła sobie, że bez eterycznego wzroku nie może być pewna, czy rzeczywiście ma go nad sobą. Gdy przyjmowało się założenia, często okazywały się one słuszne, ale naturalnie nie była to nienaruszalna reguła.

Z węzła nadal wypływała energia eteryczna. Dziewczyna pomachała niepewnie rękami, kierując ją ku swoim kryształom. Gdy już nie kierowały nimi myśli Folly, utraciły umiejętność przetwarzania tej energii w moc niosącą gwałtowną śmierć. Rozjarzyły się radosnym blaskiem, oświetlając całą długość tunelu.

Folly odwróciła głowę i zauważyła, że Bridget z całą pewnością wpatruje się w sufit. Wysoka dziewczyna miała na podbródku ślad po oparzeniu, a wzdłuż granicy włosów długie zadrapanie. Krew spływała z niego ku jej oczom, ale go nie zasłaniała. Bridget zamrugowała kilkakrotnie, a potem rozejrzała się wkoło z oszołomioną miną.

Folly zwróciła się w drugą stronę i zobaczyła stojącego obok Rowla. Futro jeżyło mu się na wszystkie strony, choć w miejscach, gdzie się przypaliło, pojawiły się w nim luki. Zauważyła, że jego mina jest bardzo kocia.

Rowl trącił ją lekko łapą w nos, nie wysuwając pazurów. Potem wstał z olbrzymią godnością, stanowczo odwrócił się do niej tyłem, podszedł do Bridget i otarł się o nią pyszczkiem, mrużąc zachęcająco.

Folly nadal leżała potulnie na podłodze. Doszła do wniosku, że kot zapewne ma trochę racji. Naprawdę nie spodziewała się czegoś aż tak ekscytującego. Co by o tym pomyślał mistrz? On zdecydowanie nie aprobował popisywania się. Poza tym czuła się dogłębnie wyczerpana i co najmniej tak samo senna jak jej rój kryształków.

Bridget usiadła powoli i popatrzyła w obie strony korytarza. W powietrzu unosiła się woń spalonych tkaczy jedwabiu, choć właściwie nie zostało z nich zbyt wiele - tu noga, ówdzie kawałek skorupy, a jeszcze gdzie indziej kieł. Podłogę i ściany pokrywała warstwa delikatnego czarnego popiołu.

Była kadziownicza powoli potrząsnęła głową.

- Folly, twoje kryształki to zrobiły? - zapytała z bojaźnią w głosie.

- Nie przechwalajcie się - ostrzegła je stanowczo eteryczka. - Nie potrafiłybyście tego zrobić, gdybym nie pokazała wam jak.

Bridget uniosła brwi.

- Ty to zrobiłaś.

Folly z westchnieniem zamknęła oczy. Naprawdę czuła się okropnie zmęczona.

- Na ćwiczeniach to było całkiem proste - pomyślała na głos. - Może nie łatwe, ale na pewno proste.

- Nie... - zaczęła Bridget. - Nie miałam pojęcia... To było...

Ćwiczenia przygotowały Folly również na to. Większość ludzi nie zdawała sobie sprawy, jak potężne mogą być moce eteryków, jeśli korzysta się z nich we właściwy sposób. Kiedy to sobie uświadamiali, ich reakcją z reguły był zrozumiały, choć irracjonalny strach. Tak ją przynajmniej zapewniono. Wielka szkoda, bo miała wrażenie, że Bridget może się dla niej stać naprawdę cudowną przyjaciółką, a Folly z pewnością nie miała ochoty się rozplakać.

- ...zdumiewające! — dokończyła wysoka dziewczyna. - Boże w Niebiosach, Folly, myślałam, że już po nas. Świetnie się spisałaś!

Uczennica eteryka otworzyła oczy i gapiła się przez chwilę na Bridget. Niespodziewanie poczuła, że się uśmiecha. Odwróciła pośpiesznie wzrok, gdy sylwetka wyższej dziewczyny nagle zrobiła się zamazana. O dziwo, w tej chwili wcale się nie krępowwała łez.

Wtem Rowl syknął przeszywająco.

Folly poczuła to dopiero w ostatniej chwili. Za późno. Straszliwą uwagę świadomości, którą postrzegła przedtem, gdy szukali Dziewięciu Pazurów. Była niemalże pewna, że to Nieprzyjaciel. Nie przychodziło jej do głowy żadne lepsze nazwanie dla złowrogiej obecności, która wprawiała w ruch tkacze jedwabiu niczym ogromną młockarnię mającą ich zamordować. To było tak, jakby duch samej nienawiści otrzymał w darze umysł oraz mroczną wolę i był gotowy wyrażać swą złość za pośrednictwem ohydnych stworzeń zamieszkujących powierzchnię.

Jakiego rodzaju istota mogła posiadać tak straszliwą wolę? Jak można było walczyć z czymś równie niedotykalnym? Folly nigdy dotąd nie słyszała o niczym podobnym. Przekonała się, że bardzo się tego boi.

Ta sama wroga wola wysłała teraz trzy małe stworzenia - przypalone i poranione, ale żywe i z całą pewnością niebezpieczne - w stronę znużonej, leżącej na podłodze dziewczyny.

Wszystko wydarzyło się naprawdę bardzo szybko. Rowl warknął przenikliwie i skoczył na najdalszego z tkaczy jedwabiu. Rozległo się wycie strzału z rękawicy i drugi stwór zniknął, spalony i rozerwany na strzępy przez impuls energii.

Trzeci skoczył prosto na twarz Folly...

...ale w ostatniej chwili zatrzymała go pięść Bridget. Wysoka dziewczyna po prostu opuściła gwałtownie rękę jak tłok maszyny parowej i rozgniotła stworzenie na podłodze z kamienia kasztelowego, brutalnie kładąc kres zamachowi na życie Folly.

- Och — wydyszała ciężko uczennica eteryka. Serce waliło jej boleśnie. - Ojej.

- Gotowe - oznajmiła Bridget, kiwając z satysfakcją głową. - Rowl?

Kot załatwił się już ze swym przeciwnikiem i podszedł bliżej, potrząsając z niesmakiem przednią łapą.

- Te były ostatnie - zameldował. - Czy mogę wykorzystać swoje metalowe krążki, żeby wynajść człowieka, który oczyści mi łapy? Czy jest jakiś człowiek, który potrafi to zrobić kompetentnie?

- Ja to zrobię - zapewniła Bridget, wstając. Skrzywiła się boleśnie i dotknęła lekko rany.

- Potrzebna mi kompetencja - sprzeciwił się kot. - Jesteś zbyt brutalna ze swymi wilgotnymi

szmatkami. Gdybyś posługiwała się tylko językiem, jak należy...

- Nie sądzę - przerwała mu stanowczo. - Wiem, czego dotykały twoje łapy. - Wyciągnęła rękę do drugiej dziewczyny. - Dasz radę wstać?

Folly ujęła dłoń przyjaciółki i wstała. Chwiała się przez chwilę na nogach, ale Bridget ją podtrzymała, dopóki korytarz nie przestał wirować złowrogo wokół niej.

- Rowl, czy to były dorosłe tkacze? - zapytała Bridget.

- Większe już nie urosną - zauważył z satysfakcją kot.

- Wiesz, co miałam na myśli.

- Nie sądzę, by były dojrzałe - przyznał. - Wiedza mojego ludu sugeruje, że dorosłe osobniki ważą tyle co dwa albo trzy koty. Czasami nawet więcej.

- Młode - stwierdziła Bridget, marszcząc brwi. - Czy takie małe tkacze mogłyby utkać liny, takie jak te, które zwisały z tamtego sufitu?

- Ojej - odezwała się Folly. - Ojej, Bridget jest bystra. Na bardzo przerażający sposób. Nie, takie małe stworzenia nie mogłyby tego dokonać.

- Dorosłe osobniki musiały znieść jaja i utkać te liny - skonkludowała była kadziowniczką. - Ale jeśli tylko młode tu zostały, by nas zaatakować...?

- W rzeczy samej - warknął Rowl. - Gdzie są dorosłe?

Serce Folly zabiło nagle, tym razem gnane prawdziwą paniką.

- Ojej - wydyszała. Wszystkie instynkty mówiły jej bardzo głośno, gdzie Nieprzyjaciół skieruje swą najgroźniejszą broń. - Mistrz.

ROZDZIAŁ 36

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska, gospoda „Pod Czarnym Koniem”

Było już dobrze po północy. Gwen czuła się ogłupiała ze zmęczenia, a mistrz eteryk opierał się o bar, śpiewając z entuzjazmem kolejną zwrotkę „Ogóra farmera Longa”. Tekst piosenki zawierał wiele szokujących pomysłów, z którymi do tej pory raczej się nie stykała. Wyglądało też na to, że składa się z nieskończonej liczby zwrotek.

- Doprawdy, Benedikcie - poskarżyła się. - Nie mam pojęcia, kto mógł cię zapoznać z takim wulgarnym szowinistycznym chłamem.

- ...i schowała go tam znów! — zaśpiewał z uśmiechem jej kuzyn, po czym spojrzał na nią. - Esterbrook, oczywiście.

- Cóż za cham. Czy przynajmniej zaczyna ci już brakować zwrotek?

Benedict pociągnął kolejny łyk z miną uczonego.

- Najwyraźniej żołnierze piechoty powietrznej służący na sterowcach mają w zwyczaju dopisywać wciąż nowe zwrotki do swych ulubionych piosenek, gdy tylko mają służbę. Tylko najlepsze z nich...

- Chciałeś powiedzieć najbardziej obsceniczne — przerwała mu Gwen.

Benedict pokiwał głową na znak zgody.

- Tylko najlepsze z nich się zachowały, ale po kilku stuleciach aeronautycznej tradycji...

- Chcesz mi powiedzieć, że będą śpiewali przez całą noc, tak? - zapytała Gwen, unosząc brwi.

- A nawet dłużej, jeśli się nie zmęczą — potwierdził genetyczny wojownik, przyglądając się rozweselonemu eterykowi. — Zastanawiam się jednak, gdzie się ich nauczył mistrz Ferus.

- Służyłem kiedyś w piechocie powietrznej, oczywiście! - ryknął eteryk. — *Semper fortitudo!* — krzyknął chórem razem z kilkoma innymi gośćmi.

Gwen westchnęła.

- *Fortitudo*, panno Lancaster - powtórzył mistrz Ferus i klapnął z powrotem na krzesło z gracją (a przynajmniej pijacką beztroską) znacznie młodszego mężczyzny. - To bardzo stare słowo, nawet jak dla mnie. Wiesz, co ono oznacza?

- Siłę - odparła natychmiast dziewczyna. - Zawsze silni.

- Ach, ale jakiego rodzaju siłę? - zapytał Ferus, przekrzykując ryk nowego śpiewaka, wykonującego kolejne zwrotki piosenki.

Kolejna z nich opowiadała o tym, jak ogór farmera Longa wpadł do błotnistej dziury. Gwen nie chciała mieć z tym nic wspólnego.

- Słucham?

- Istnieje bardzo wiele różnych rodzajów siły, ale słowo *fortitudo* odnosi się do czegoś bardzo szczególnego. — Dźgnął palcem biceps Benedicta, by to zademonstrować. - Nie chodzi bynajmniej o brutalną siłę fizyczną, lecz o coś więcej. O siłę wewnętrzną, determinację, moralną odwagę. Siłę potrzebną, by kontynuować walkę, nawet gdy klęska wydaje się nieunikniona. By dochować wiary, gdy wygląda na to, że nikt o niczym nie wie i nikogo to nie obchodzi. - Zakręcił kuflem i spojrzał na Gwen. - A także poświęcić życie dla dobra innych, gdy jest to konieczne, nawet jeśli można by podstawić w swoje miejsce kogoś innego. Zwłaszcza wtedy.

Gwen uśmiechnęła się krótko.

-To jest, hmm..

- Bezsensowne i banalne - zasugerował szybko Ferus.
- Chciałam powiedzieć „interesujące” — odparła spokojnie dziewczyna.
- Bardziej dyplomatyczna już być nie potrafi - dodał Benedict.

Gwen kopnęła go w kostkę pod stołem.

- Mistrzu Ferusie, robi się już późno.

- W rzeczy samej - przyznał eteryk i ziewnął, zasłaniając usta dłonią. -Być może powinniśmy rozważyć możliwość zawieszenia poszukiwań do chwili powrotu naszych agentów.

- Masz na myśli kota? - zapytała Gwen.

-Tak jest. - Mistrz Ferus spojrział raptem na Benedicta. - Hej, chłopcze, co cię tak nagle zainteresowało?

Genetyczny wojownik wlepił kocie oczy w przeciwległy koniec sali, gdzie właściciel lokalu rozmawiał cicho z jakimś nowym przybyszem. Na twarzy oberżysty malowało się skupienie. Gość był krępkim, szerokim w barach mężczyzną odzianym w zielony skórzany strój aeronauty, pod-szyty grubym ciemnobrązowym futrem jakiegoś stworzenia z powierzchni. W tym ubraniu jego i tak już imponujące bary wydawały się nienaturalnie potężne. Na rękawach miał po dwa szerokie pierścienie kapitana sterowca. Jego szeroka czerwona twarz z każdą chwilą nabierała coraz intensywniejszych kolorów. Nagle walnął potężną pięścią w bar tak mocno, że trzask przebił się przez chór śpiewaków.

-Co?

Potężna pięść sięgnęła na drugą stronę kontuaru i złapała oberżystę za marynarkę.

Przerażony mężczyzna zerknął w stronę ich stolika i powiedział coś muskularnemu aeronaucie cicho i pośpiesznie.

-Aha - odezwał się Benedict. - Chyba już rozumiem, dlaczego nasz gospodarz miał tak wielkie opory przed wynajęciem nam pokoju, kuzynko. Obiecał go już komuś innemu.

- To nie jest mundur Floty - zauważyła Gwen.

- Nie jest - zgodził się genetyczny wojownik. — Właściwie to w ogóle nie jest żaden mundur. To na pewno prywatny kapitan.

- Z Olimpi, sądząc po kolorze i podszyciu jego kurtki - wtrącił mistrz Ferus. - To Olimpijczyk i najwyraźniej opętała go furia. Bardzo zabawne, jeśli wie się co nieco o historii.

Aeronauta wypowiedział cicho kilka słów i puścił oberżystę. Następnie ruszył ze złowrogą miną ku ich stolikowi. Gwen uczyła się oceny potencjalnych przeciwników i przyjrzała mu się teraz z uwagą. Zaniepokoiło ją to, co zobaczyła. Poruszał się stanowczo zbyt lekko jak na kogoś o tak masywnej budowie. Świetnie też utrzymywał równowagę, czego należało się spodziewać po aeronaucie. Co gorsza po drodze omiatał całą salę czujnym, bystrym spojrzeniem kogoś, kto obawia się kłopotów.

Gwen zdobyła pewne umiejętności w sztukach walki uprawianych przez drogistów, nie miała jednak złudzeń, że poradziłaby sobie ze znacznie silniejszym albo lepiej wyszkolonym przeciwnikiem, nie mając po swej stronie elementu zaskoczenia.

- Benny? - odezwała się. - Jeśli nie uważasz, że powinniśmy go zastrzelić...

- To nie ja pozbawiłem go noclegu, kuzynko - przerwał jej Benedict. -Mam wrażenie, że powinno się załagodzić sytuację.

-Wolałabym, żeby nie zrobił ze mnie mielonki, kiedy będę próbowała.

Jej kuzyn oparł się wygodnie na krześle. W jego oczach pojawił błysk wesołości.

- Czy rozważyłaś możliwość porozmawiania z nim? - zapytał nieśmiało. - Po prostu dla odmiany?

- Nie sprawia wrażenia człowieka, który dobrze reaguje na groźby.

-To bardzo piękna kurtka - wtrącił mistrz Ferus. - Takich nie dają byle komu, prawda?

Benedict zerknął na niego, unosząc brwi.

- Mówiłem, że masz porozmawiać, a nie mu grozić - rzekł kuzynce. - Choć z łatwością potrafię sobie wyobrazić, że nie rozumiesz tej różnicy.

- Mówisz, jakbym była potworem - sprzeciwiła się Gwen.

- Ale elokwentnym, bogatym i bardzo szykownym, kuzynko. A do tego pięknym. Spróbuj tego. Po prostu dla zabawy. Jeśli się nie uda, zawsze będziemy mogli zmielić jego kości na mączkę.

- Albo on będzie mógł zmielić nasze - zauważył mistrz Ferus.

Olimpijski aeronauta dotarł do ich stolika i walnął pięścią w stół tak mocno, że wszystkie naczynia i sztucce podskoczyły w górę.

- Wynoście się z mojego pokoju - zażądał.

Gwen nie miała mu zbytnio za złe tej groźby. Bóg w Niebiosach wiedział, że sama w ostatnich dniach groziła wielu ludziom. Nie czuła się też zagrożona. W końcu miała rękawicę. Zauważyła jednak, że on też ją ma.

- Bardzo mi przykro, że naraziliśmy cię na niewygody, sir - odparła. - Ale ja i moi towarzysze potrzebowaliśmy pokoju. Lepiej poszukaj miejsca gdzie indziej.

Mężczyzna, który do tej pory gapił się na Benedicta, zerknął na nią przelotnie i ponownie przeniósł spojrzenie na genetycznego wojownika.

- Czy ona przemawia w twoim imieniu?

- Obawiam się że tak, przynajmniej na potrzeby tej dyskusji - przyznał kuzyn Gwen.

- Świetnie - ucieszył się Olimpijczyk i zwrócił się ku Gwen, spoglądając na nią z góry. - Zbierz swoje rzeczy i zabieraj się z mojego pokoju, dziewczyno. Natychmiast.

Gwen rozpoznała ton bezkompromisowego rozkazu w jego głosie i nie spodobało się jej to w nawet najmniejszym stopniu.

- Przedstaw się - zażądała.

To zaskoczyło Olimpijczyka.

- Słucham?

- Nie przedstawiłeś mi się, sir - odparła Gwen twardym tonem. - Chciałabym poznać twoje nazwisko, zanim zamienię z robą kolejne słowa. - Gwen skinęła głową. - Jestem Gwendolyn Lancaster z Domu Lancasterów. Zanim zapytasz, tak jest, tych Lancasterów, którzy produkują kryształy, z których zapewne korzystasz, by utrzymywać swój statek w powietrzu. I choć ci współczuję, obawiam się, że nadal potrzebuję tych pokojów.

- Żeby móc wygodnie pić z grupą znajomych? - warknął Pine. - Mam rannych ludzi, którzy potrzebują dobrych pokojów i opieki lekarskiej, a ta cholerna kondygnacja jest zapchana aż po sam sufit. Wynoście się z tych pokojów, albo na Boga w Niebiosach i na Długą Drogę też, zostawię was nieprzytomnych w zaułku, a potem i tak wprowadzę się tu ze swoimi ludźmi.

- Być może w Olimpii podobne bezprawie i brutalność są normą - odparła Gwen głosem ostrym jak bicz. - Ale w Albionie rządzi prawo, sir, i jestem gotowa stawić opór przemocy.

Pine przymrużył powieki.

- Jesteś pewien, że ona przemawia w twoim imieniu?

Benedict pochylił się z westchnieniem i uderzył lekko głową o blat. Kilka razy.

- Nie groziłam mu! - sprzeciwiła się Gwen.

Wtem rozległ się ostry trzask pękającego naczynia. Gwen odwróciła się i zobaczyła, że kufel wysunął się z nagle bezwładnych palców mistrza Ferusa. Eteryk westchnął cicho. Przez jego twarz przebiegło kilka tików. Potem zadrżał i zamknął oczy.

Gwen wymieniła spojrzenia z Benedictem, po czym uniosła rękę, powstrzymując komandora Pine'a.

- Mistrzu Ferusie? - zapytała po chwili. - Mistrzu Ferusie, dobrze się czujesz?

Eteryk otworzył oczy i wstał spokojnie.

- Sir Benedyku, czy byłbyś tak uprzejmy i zechciał wyciągnąć miecz? - zapytał ze spokojem. -

Panno Lancaster, przygotuj rękawicę do strzału, jeśli łaska. — Złapał za swoje krzesło i podsunął je Pine'owi. - To dla ciebie, komandorze. Myślę, że ci się przyda.

Pine zamrugał kilka razy.

- Słucham?

- Gwen — warknął Benedict. Następnie wstał i wyciągnął miecz, rozglądając się na wszystkie strony.

Przełknęła ślinę i odruchowo odwróciła się plecami do kuzyna, przygotowując rękawicę zgodnie z poleceniem mistrza Ferusa. Kryształ dotykający jej dłoni zapłonął życiem.

Drzwi gospody otworzyły się gwałtownie. W powietrzu poniosły się przenikliwe, nieziemskie wrzaski.

ROZDZIAŁ 37

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska, gospoda „Pod Czarnym Koniem”

Drzwi uderzyły o ściany, w które je wprawiono, i do środka wdarło się coś, co z pewnością było stworzeniem z powierzchniowego świata.

Bestia była ogromna, dwu- albo trzykrotnie przewyższała masą największego człowieka, jakiego Gwen kiedykolwiek widziała. Mimo to bestia zdołała jakoś przecisnąć się przez drzwi, nie zwalniając kroku. Jej segmentowane ciało przywodziło na myśl pająka, ale zamiast dwóch miała cztery groteskowo wydłużone segmenty, a jej grzbiet pokrywała skorupa złożona z giętkich, połączonych stawami płyt ciemnoszarej barwy. Miała za dużo nóg, by mogła być pająkiem - wysokie i grube u nasady, pokryte gąszczem kolców albo sztywnych włosów o ostrych zakończeniach.

Głowa stworzenia wyglądała odrażająco — na wpół schowana między wysuniętymi płytami zbroi, szeroka i płaska, mająca po obu stronach skupiska błyszczących paciorkowatych oczek - a potężnymi szczękami poruszały wyraźnie się uwydatniające mięśnie.

Bestia zatrzasnęła za sobą drzwi gospody, a potem - posługując się tylnymi nogami - oplotła je klejącą się, szarą substancją.

- Tkacz jedwabiu! - zwołał ktoś.

W sali wybuchła panika. Goście zrywali się z krzykiem na nogi. Niektórzy pobiegli ku schodom do prywatnych pokojów na górze, większość jednak skierowała się ku przeciwnym drzwiom albo do kuchni. Garstka wyciągnęła miecze albo uniosła rękawice.

Tkacz jedwabiu nie dał im czasu na atak. Skoczył na drugą stronę pomieszczenia, uderzając ciałem w jakiegoś pechowego mężczyznę w skórzanym kombinezonie aeronauty. Gdy nieszczęśnik uderzył o ścianę z kasztelowego kamienia, rozległ się trzask łamanych kości. Potem potwór zamknął drugie drzwi i je również zapieczętował jedwabiem. Cały czas rozglądał się po sali. Wypatruje celu, uświadomiła sobie Gwen. Nie przerywając obserwacji, bestia złapała kolejnego zataczającego się gościa w długie przednie kończyny i od niechcienia grzmotnęła nim o podłogę z zabójczą siłą.

- Dobry Boże w Niebiosach - wydyszała Gwen, czując chłód wypełniający jej brzuch. - Ten stwór jest inteligentny.

-To niemożliwe-warknął komandor Pine, zaciskając muskularne dłonie na poręczy krzesła. Odsunął się, podchodząc do Benedicta i Gwen. -Tkacze jedwabiu to zwykłe zwierzęta.

-To nie jest tkacz jedwabiu - wyjaśnił mistrz Ferus rzeczowym tonem. Eteryk pochylił się i podniósł z blatu kufel piwa. - To marionetka. A przynajmniej jakiś rodzaj lalki.

Pine łypnął spode łba na mistrza Ferusa, który pociągnął z kufła długi, pełen determinacji łyk.

-Jak bardzo pijany jest ten człowiek? - zapytał, przenosząc złowrogie spojrzenie na Gwen.

-To eteryk — wyjaśniła dziewczyna. - I tak, jest potężnie pijany.

-Tak? — Pine zamrugnął i znowu spojrział na Ferusa, tym razem z wyraźnym lękiem. - Aha.

- Musimy wydostać stąd Ferusa — odezwał się Benedict cichym, pełnym napięcia głosem. - Bestia przybyła po niego.

-W rzeczy samej! - wybełkotał eteryk, nie przerywając picia. Potem otarł z kasznięciem usta. - Masz

absolutną rację. Wysłano ją, by powstrzymała moją ingerencję.

- W co? — warknął Pine.

- Nie mam pojęcia - odparł radośnie Ferus. - Całą noc zmieniałem swój umysł. Zapewne właśnie dlatego nie może mnie znaleźć.

Gwen przyglądała się z przerażeniem tkaczowi jedwabiu, który zaczekał, aż kolejna grupa ludzi zacznie się tłoczyć w drzwiach do kuchni, a potem po prostu runął na nich fantastycznie potężnym skokiem. Bestia opadła na zbiegów z impetem naładowanego wozu, miażdżąc ciała przy akompaniamencie krzyków bólu. Jej liczne nogi uderzały niczym maczugi tych, którzy przeżyli pierwszy atak. Jakiś pijany mężczyzna wystrzelił do niej z rękawicy z odległości niespełna stopy, ale większa część energii odbiła się od skorupy, pozostawiając na niej tylko niewielki krater.

Broń przyciągnęła jednak uwagę tkacza. Stworzenie odwróciło się zdumiewająco szybko, jak na coś tak wielkiego, otworzyło trójdzielną paszczę i zacisnęło szczęki na przedramieniu, na którym mężczyzna nosił rękawicę, ucinając mu rękę z wprawą ogrodnika Lancasterów ścinającego róże.

Potem bestia znowu zaczęła tkać, zamykając wejście do kuchni stertą makabrycznie wyglądających trupów oraz jedwabną siecią. Nadal przebywający w sali ludzie rzucili się ku schodom, jedynej drodze ucieczki, która im pozostała.

- Schody - rzekł ochryplym głosem Benedict.

- Nie. Nie możemy uciekać. Musimy go zabić — sprzeciwiła się Gwen twardym, okrutnym głosem.

- Rękawice nie poradzą sobie z jego pancerzem. Jeśli damy się uwięzić w wąskich korytarzach i małych pokoikach, znajdziemy się w niekorzystnej sytuacji i pozwolimy, by wykończył nas jedno po drugim. Nadal jesteśmy gwardzistami, Benedikcie.

- I rozkazano nam ochraniać mistrza Ferusa.

- Ochronimy go, zabijając tego potwora, zanim załatwi więcej Albiończyków — warknęła Gwen. - I to tutaj, gdzie wolna przestrzeń pozwoli nam wykorzystać przewagę liczebną, dopóki ją mamy.

- Dziewczyna ma rację - mruknął komandor Pine. - Niech mnie szczury, ależ jest wielki. Ale można go pokonać. Jeśli uda się odwrócić go na grzbiet, będziemy mogli go zabić. Na brzuchu nie ma nic poza tłuszczem i naczyniami krwionośnymi. Strzał w głowę też mógłby być skuteczny, jeśli udałoby się ominąć pancerz.

Dziewczyna skinęła krótko głową. Tkacz jedwabiu pochylał przy pracy głowę ułożoną między sękatymi, opancerzonymi barkami. Trudno będzie go trafić w to miejsce, zwłaszcza że z pewnością nie będzie stał spokojnie, kiedy Gwen w niego wyceluje.

- Możesz coś zrobić? - zapytała, zwracając się w stronę eteryka.

- Obawiam się, że laskę zostawiłem w apartamencie - wyznał przeproszającym tonem Ferus. - Zdradzałaby moją tożsamość. A bez niej nie zrobię nic znaczącego.

- To idź po nią - wydusiła z siebie Gwen przez zaciśnięte zęby.

Ferus rozdziawił usta, popatrzył na nią bezradnie, a potem zamachał rękami.

- Ale... tam są klamki. A ja wysłałem Folly na rozmowy z kotami.

Przyjrzała mu się ze spokojem. Zapewne eteryk i tak nie zdążyłby wrócić z laską, zanim tkacz jedwabiu zaatakuje znowu. Potem zwróciła się ku pozostałym przebywającym w sali ludziom.

- Hej, wy! - zawołała do garstki starszych mężczyzn, którzy skupili się w obronną grupkę, tak samo jak ona i jej towarzysze. - Kiedy ruszy ku schodom, zaatakujemy go razem ze wszystkich stron!

- *Semper fortitudo!* - ryknął mistrz Ferus.

- *Semper fortitudo!* - odpowiedział tęgi posiwiasty mężczyzna w kurtce robotnika portowego. -

Jesteśmy z wami! Wszyscy razem!

- Oszalałaś? — wrzasnął inny, młodszy gość stojący w odrębnej grupce młodszych mężczyzn. - Ten stwór nas zabije!

- Och, Boże w Niebiosach, sprawdź, co masz w kroczu, i walcz! -warknęła Gwen.

Benedict zamrugał.

- Nawet jeśli zaatakujemy go wspólnie, nie zdołamy go zabić, jeśli nie przewrócimy go na grzbiet.

Po prostu skuli się pod skorupą - wtrącił komandor Pine.

Gwen rozejrzała się pośpiesznie po sali i znalazła możliwe rozwiązanie.

- Gdyby do tego doszło, postaram się, żeby nie mógł sobie pozwolić na siedzenie w miejscu. Benny, czy mógłbyś odwrócić jego uwagę na parę chwil?

- Jak sobie życzysz, kuzynko - zgodził się genetyczny wojownik, odsłaniając potężne kły w gwałtownym uśmiechu. - Zamierzasz zagrozić mu oskarżeniem o zdradę?

- Po prostu nie potrafisz o tym zapomnieć, tak?

- Zaraz znowu zaatakuje - oznajmił ze spokojem mistrz Ferus.

Tkacz jedwabiu upchnął pod drzwiami dwa ostatnie zmasakrowane ciała - Gwen miała wrażenie, że jedno z nich nadal się lekko porusza - a potem owinał je ciasno jedwabiem i wlaź na bar. Jego dziwnie segmentowane oczy rozglądały się po sali, a nogi tańczyły niespokojnie, spragnione kolejnego celu.

Benedict spełnił życzenie olbrzymiego tkacza jedwabiu. Wyszedł na otwartą przestrzeń, stanął z mieczem w ręku między potworem a schodami, a potem zwrócił się w jego stronę. Był sam, pozbawiony osłony innych niedobitków. Tkacz był drapieżnikiem, potrafił rozpoznawać izolowaną zdobycz i atakował ją. Natychmiast skoczył na młodzieńca, równie szybki i śmiertelny jak wtedy, gdy zabijał walające się na podłodze ofiary.

Ale żadna z tych ofiar nie była sir Benedictem Sorellinem, genetycznym wojownikiem z Albionu.

Gwen popędziła w stronę baru. Starła się obserwować ruchy kuzyna, ale to po prostu było niemożliwe. Nie dlatego, że go nie widziała, ale dlatego, że i on, i tkacz jedwabiu poruszali się za szybko, by była w stanie się zorientować, co robią.

Masywne cielsko tkacza jedwabiu przemieszczało się z szybkością błyskawicy niczym jakaś machina zagłady. Jego maczugowate kończyny tłukły w podłogę z kasztelowego kamienia z gwałtownością tłoków ciężkiej maszyny parowej. Jednakże bez względu na to, jak szybka była bestia, jej ciosy nigdy nie trafiały w cel. Benedict zawsze był ułamek cala za daleko, odsuwał się na bok, pochylał się pod uderzającymi kończynami, tańczył przed szarżującym tkaczem jedwabiu. Wydawało się, że jego stopy niemal nie dotykają podłogi. Gdy bestia kłapnęła szczekami tuż przed jego twarzą, odpowiedział jej szybkim i gwałtownym cieciami miecza.

Tkacz wrzasnął z bólu i rzucił się do wściekłej szarży Benedict wyprowadził przeciwnika na środek sali. Gwen uświadomiła sobie, że jej kuzyn zrobił to celowo, by narazić stworzenie na atak ze wszystkich stron.

- Teraz! - zawołała, docierając do baru. - Naprzód!

Komandor Pine ryknął przeraźliwie, uniósł krzesło i rzucił się na przeciwnika. Reszta ocalałych gości gospody podążyła za jego przykładem. Niektórzy z mężczyzn mieli miecze i Gwen zauważyła też co najmniej jedną rękawicę, ale większość była uzbrojona jedynie w krzesła i noże. Twarze im pobladyły, a głosy się załamywały, gdy krzyczeli raczej z przerażenia niż z agresji, wiedzieli jednak równie dobrze jak Gwen, że odkąd wielki drapieżnik z powierzchni zaczął przelewać ludzką krew, nie spocznie, dopóki nie zabije wszystkich ludzi pozostających w jego zasięgu. Coś w smaku tej ludzkiej krwi wprawiało tkacze w amok znacznie wykraczający poza zwykłą gwałtowność głodnego zwierzęcia, choć nikt dotąd nie potrafił wyjaśnić tego zjawiska.

Dwaj młodszy mężczyźni padli na podłogę, nim jeszcze zdążyli dotrzeć do tkacza jedwabiu ze swą prowizoryczną bronią, powaleni błyskawicznymi uderzeniami potężnych kończyn. Pozostali dopadli do flanki potwora i zaczęli dźgać go mieczami oraz nożami. Stworzenie czmychnęło w bok, nie przestając tłuc kończynami. Rozległy się kolejne krzyki. Nagle komandor Pine zaatakował z przeciwnej strony, uderzając masywnym krzesłem ze wszystkich sił, jakie zdołał wykrzesać ze swego muskularnego ciała.

Siedzenie krzesła było drewniane, ale resztę wykonano z powleczonego miedzią żelaza. Mebel ważył

jak nic ze czterdzieści funtów, a Pine uderzył nim z taką siłą, że metal aż się wygiął. Pancierz tkacza jedwabiu mógł osłonić jego wnętrzości przed skutkami potężnego ciosu, ale siła olimpijskiego aeronauty obaliła stworzenie na podłogę, sprawiając, że jego kończyny rozjechały się na wszystkie strony. Ogłuszyła je też na ułamek sekundy.

W tej właśnie chwili zaatakował Benedict.

Kuzyn Gwen rzucił się na bestię z tym samym charczącym rykiem, który słyszała w tunelach. Ciął mieczem raz, drugi i trzeci, zataczając szybkie, śmiertelne kręgi. Klinga jego broni była wyjątkowo masywna. Miecz wykonano z myślą o jego zwiększonych możliwościach. Gwen wiedziała też, że Benedict włożył w atak wszystkie swe siły. Trzy kończyny tkacza jedwabiu odpadły od ciała. Z ran trysnęła fioletowa ciecz. Stworzenie cofnęło się, ślizgając się po zbroczonej krwią podłodze.

Pine krzyknął głośno i raz jeszcze uderzył potwora powyginanym krzesłem. Tym razem atak okazał się mniej skuteczny. Uderzenie w pierś odrzuciło komandora do tyłu. Tkacz poruszył na boki tylną częścią ciała, jakby merdał ogonem, zwalając z nóg trzech kolejnych przeciwników, ale stary żołnierz piechoty powietrznej oraz kilku jego towarzyszy zdołało wbić miecze w brzuch i odsłonięty bok potwora.

Tkacz jedwabiu wrzasnął przeraźliwie. Znowu popłynęła fioletowa krew. Stworzenie rzuciło się na przeciwników z łatwością do zauważenia furii. Próbowali walczyć, ale po prostu nie mogli się mierzyć z podobną bestią. Ich noże i krótkie miecze nie były w stanie przebić skorupy stwora, gdy już zwrócił się przodem ku nim. Bestia ruszyła do szarży, łamiąc kości i rozszarpując ciała. Benedict ryknął raz jeszcze, ale nawet jego miecz nie mógł przebić pancerza tkacza. Uderzał tylko bezsilnie w skorupę, pozostawiając w niej rysy, ale nie przelewając krwi. Nawet gdy kuzyn Gwen wystrzelił z rękawicy prosto w pancerz, nie odwróciło to uwagi potwora. Ludzie padali z krzykiem na podłogę, aż wreszcie Benedict został sam.

Tkacz jedwabiu zwrócił się w jego stronę, wymachując kikutami kończyn. Twarz genetycznego wojownika zalały strumienie fioletowej posoki. Bestia ruszyła do ataku. Benedict zatoczył się do tyłu, gdy krew potwora zalała mu jedno oko. Potem znowu zaczął kluczyć i robić uniki, ale zbroczona czerwona i fioletowa krew podłoga zrobiła się śliska, a tkacz nie atakował na oślep. Zataczał kręgi, zmuszając Benedicta do cofania się po spirali. Dopiero po kilku sekundach Gwen uświadomiła sobie, że bestia zostawia za sobą na podłodze ślad z lepkiego jedwabiu eterycznego.

- Benny, uważaj! - zawołała.

Benedict musnął butem jedwabną nić i przykleił się do niej niemal natychmiast.

Padł na podłogę.

Tkacz jedwabiu rzucił się na ofiarę.

Rękawica młodzieńca wystrzeliła z głośnym wyciem. Jego zakrwawiona twarz wykrzywiła się we wściekłym grymasie.

Potwór szarpnął się gwałtownie i gruby pancerz osłonił przed uszkodzeniem jego stosunkowo niewielką głowę.

Wtem jeden z kryształów luminowych wyrwał się z lichtarza, przemknął przez salę niczym gorejąca gwiazda i wbił się prosto między oczy bestii.

- *Semper fortitudo!*- ryknął bełkotliwie mistrz Ferus. - Tutaj, ty wielka, durna ofermo! Zostaw chłopaka! To mnie szukasz!

Nawet gdyby Gwen wątpiła do tej pory w inteligencję tkacza, jego reakcja przekonałaby ją, że ma do czynienia ze świadomą, celowo działającą istotą. Usłyszawszy głos Ferusa, stwór odwrócił się ze zdumiewającą szybkością i przez ciągnącą się bez końca sekundę po prostu gapił się na starego eteryka, jakby poraził go szok rozpoznania. Potem wydał z siebie kolejny krzyk - zdecydowanie bardziej przeraźliwy od poprzednich.

Z lichtarza wyrwał się drugi kryształ i odbił się od głowy tkacza. Dziwaczne, segmentowane oczy stworzenia odwróciły się od chłodnego niebieskiego blasku.

- Ruszaj się! - warknął Ferus. - Na co czekasz? Na tabliczkę z wyrytym zaproszeniem?

Tkacz jedwabiu wrzasnął po raz kolejny i rzucił się do szarży.

Gwen przystąpiła do działania. Ujęła w prawą rękę butelkę z najmocniejszym trunkiem w obeerzy i cisnęła nią w miejsce położone między tkaczem i eterykiem. Gdy butelka wirowała w powietrzu, dziewczyna uniosła rękawicę. Nie było czasu na precyzyjne celowanie. Musiała liczyć na to, że wiele godzin poświęconych na ćwiczenia pozwoli jej trafić w lecącą flaszkę.

Uwolniła energię rękawicy. Strumień białego światła płynący z dotykającego jej dłoni kryształu uderzył w butelkę. Ta eksplodowała natychmiast i fontanna niebieskiego ognia spadła prosto na grzbiet oraz głowę tkacza jedwabiu. Płomienie szybko pokryły całe stworzenie, niszcząc mu skórę i przypalając pancerz. Potwór chwiał się, miotał i wierzgał z bólu.

- Mistrzu Ferusie! - zawołała Gwen i popędziła ku eterykowi.

Miała wrażenie, że trwa to bez końca, ale w rzeczywistości mogło minąć najwyżej kilka sekund. Dobiegła do Ferusa w tej samej chwili, gdy tkacz zadrżał i przestał się miotać. Nadal płonący potwór ponownie ruszył do ataku, wydając z siebie przerażający syk.

Gwen popchnęła eteryka za siebie i uniosła rękawicę. Trawiony ogniem potwór zbliżał się szybko. Jego ciałem nadal miotały dziwne konwulsje. Gwałtownie poruszał głową na boki. Będzie miała tylko jedną szansę, by go zabić, i nie waży się jej zmarnować.

Stała mocno na nogach, uniosła głowę, rozprostowała ramiona i zaczerpnęła tchu. Potem wycelowała starannie między palcami i czekała.

Syczący tkacz jedwabiu zjawił się błyskawicznie. Z jego płonącej skóry buchał dym. Paszczę i maczugowate kończyny zbrukała mu krew.

Gdy dzieliło go od niej już tylko pięć stóp, Gwen uwolniła impuls z rękawicy.

Nastąpił wstrząs tak potężny, że trudno było jej go uznać za cokolwiek innego niż złudzenie. Poczwała gwałtowne szarpnięcie, a pod jej czaszką rozkwitł ból.

Potem nie czuła już nic.

ROZDZIAŁ 38

Kasztel Albion, Kondygnacja Lądowiska, tunele wentylacyjne

Bridget gapiła się przez chwilę na szczątki tkaczy jedwabiu. Potem odwróciła się na pięcie i ruszyła zdecydowanie korytarzem w stronę ich gniazda.

- Ojej - wydyszała Folly.

Bridget pomogła jej zebrać wszystkie kryształki. Dziewczyna ponownie napełniła nimi siatki, które miała w kaburach, i właśnie zakręcała słoik.

- Co ta Bridget robi?

- Setki małych tkaczy nie pojawiły się znikąd - odparła stanowczo była kadziownicza. — One wykluwają się z jaj, tak? Ktoś musiał je złożyć.

- Oczywiście ma rację — wyszeptała do słoika Folly. — Ale wydaje mi się, że to znakomity powód, by nie iść w tamtą stronę. Zgadzacie się ze mną?

- Gdyby matka była obecna, to czy nie przyłączyłaby się do ataku na nas? - zapytała Bridget. - Rowl?

Kot towarzyszący wysokiej dziewczynie zatrzymał się z pełną irytacji miną i strząsnął popiół z jednej z łap.

- To brzmi rozsądnie, Małamyszko.

- Zatem matka nie jest obecna - skwitowała Bridget. - Musimy odnaleźć ich kryjówkę. Być może czegoś się dowiemy.

- Albo złapią nas w sieci. Albo zatrują jadem. Albo zjedzą - zaprotestowała cichym głosem uczennica eteryka. - Zjedzą w całości.

Bridget zatrzymała się i obejrzała na towarzyszkę.

- Folly - rzekła. - Rozumiem, że się boisz. Ja też się boję. Ale kazano nam zdobyć informacje. A co zdobyliśmy?

Folly nie patrzyła na przyjaciółkę. Gapiła się z zasepioną miną na słoik z lśnącymi bladym blaskiem kryształkami.

- Jeśli nie chcesz tam iść, możemy wrócić do oświetlonego korytarza, pójdę tam sama, jeśli pożyczysz mi słoik.

Uczennica eteryka przycisnęła naczynie do piersi i przygryzła dolną wargę.

- O nie. Nie, nie. Tego nie mogłabym zrobić. To byłoby złamanie zaufania.

- Mamy do wykonania misję - przypomniała jej Bridget. - Potrzebne nam światło.

- Nam? - zapytał Rowl z samozadowoleniem w głosie.

- Och. - Była kadziownicza przez chwilę łypała ze złością na kota. Potem znowu skierowała wzrok na drugą dziewczynę. - Proszę cię, Folly. Zrobimy tylko jeszcze to jedno, a potem wrócimy.

Uczennica eteryka głęboko odetchnęła, a potem skinęła głową bardzo szybko, jakby chciała już mieć ten ruch za sobą.

Wdrapywanie się na górę po linie było trudne. Zadania nie ułatwiał jej też fakt, że Rowl uparł się, żeby wzięła go na ramiona.

- Czemu tak dyszysz? — zapytał z zainteresowaniem kot. — Czy to ci w czymś pomaga?

Z ust Bridget wyrwało się nieartykułowane warknięcie. Wsparła mocno stopy na zbyt wąskim kawałku eterycznego jedwabiu ściśniętym między nimi i podciągnęła się w górę o kolejny odcinek.

- Ramiona ci drżą — zauważył Rowl. - To nie jest dla mnie zbyt wygodne. Jesteś pewna, że robisz to jak trzeba?

Dziewczyna zgrzytnęła zębami, nie przestając się wspinać.

- To bardzo proste - oznajmił zniecierpliwiony kot. - Popatrz.

Złapał mocno sznur w krótkie przednie łapy, wygiął grzbiet, uniósł tylne kończyny i wbił pazury w eteryczny jedwab. Następnie przesunął przednie łapy ku górze, ze swobodną gracją pokonał trzy ostatnie stopy liny i zniknął w otworze w murowanym suficie.

- Widzisz? - dobiegł z góry jego głos. - Tak właśnie powinnaś to robić. Pójdzie ci szybciej i nie będziesz musiała sapać jak maszyna parowa.

- ...zabiję tego kota... - zdołała tym razem warknąć Bridget, nadając tym słowom brzmienie tak groźne, jak tylko zdołała.

Potem pokonała z wysiłkiem kilka ostatnich stóp i wsunęła górną połowę ciała przez otwór, starając się powstrzymać panikę ogarniającą ją na myśli o tym, jak bardzo bezbronna się czuje, leżąc na brzuchu w miejscu będącym zapewne gniazdem tkaczy jedwabiu.

W powietrzu unosił się tu niezwykleyły odór, intensywny i gryzący. Bridget przebiegały od niego ciarki. W dodatku nic nie widziała w ciemności. Gdyby byli tu wrogowie, Rowl by ją ostrzegł. W końcu po to wszedł do gniazda pierwszy, niech Bóg w Niebiosach błogosławi jego kosmate, aroganckie serce. Niemniej nawet Rowl nie zawsze wyczuwał wszystko.

Bridget nie była pewna, czy ma ochotę zapuszczać się wyżej. Gdyby miał ją zaatakować tkacz jedwabiu, wolałaby się znajdować w miejscu, skąd będzie mogła natychmiast zeskoczyć na dół. Oczywiście, gdyby to zrobiła, wypuszczając z rąk linę, runęłaby z wysokości dwudziestu stóp na kamień kasztelowy. Słyszała, że statystyczna szansa przeżycia takiego upadku równała się rzutowi monetą. W przypadku ukąszenia przez tkacza jedwabiu szanse były jednak mniejsze.

A niech to, nie mała czasu na matematykę. Musi tylko się rozejrzeć, załatwić sprawę i opuścić to straszliwe miejsce.

Uruchomiła rękawicę. Kryształ na jej dłoni rozjarzył się i zaskwierczał od mocy Mrowienie ogarnęło rękę dziewczyny aż po łokieć. Kryształ bojowy nie nadawał się jednak na źródło światła. Jego blask rozpraszał się w mroku, nie dając żadnych praktycznych rezultatów. Nadal pozostawała ślepa, pomijając tylko obszar w promieniu kilku stóp. Za to łuna z pewnością czyniła z niej znacznie lepszy cel niż jeszcze przed chwilą.

- Folly - odezwała się, starając się nadać swemu głosowi spokojne brzmienie. - Przyślij mi światło.

Bridget spodziewała się, że uczennica eteryka przywiąże słoik do nici z eterycznego jedwabiu, dzięki czemu będzie mogła wciągnąć go na górę. Usłyszała jednak, że Folly otworzyła słoik. Była kadziowniczką chrząknęła i wgramoliła się w całości na górę, co pozwoliło jej obserwować przez otwór drugą dziewczynę.

Folly ujęła w dłoń końcówkę liny, zamknęła na moment oczy, a potem wsunęła ją do słoika z kryształkami. Powiedziała coś cicho - tonem, jakiego używa się w rozmowie z małymi dziećmi. Kryształki rozjarzyły się nagle i ich łagodny blask wypełnił jedwab, posuwając się w górę sznura jak woda płynąca przez rurę.

Bridget przyglądała się ze zdumieniem płynącemu ku niej światłu. Blask rozgałęział się, wypełniając wszystkie pasma eterycznego jedwabiu, do których docierał. Aż wreszcie sięgnął do krawędzi otworu i przez sznur, na którym siedziała Bridget, napłynął do wypełnionej jedwabiem komory. Wszystkie nici

zapulsowały słabym, akwamarynowym światłem.

Rowl wydał z siebie cichy odgłos wyrażający czyste emocje. Bridget słyszała coś takiego tylko kilka razy w życiu - gdy kot był pod wrażeniem, ale nie chciał się do tego przyznać.

Eteryiczny jedwab wypełniał całą salę. Pokrywał ściany, podłogę i strop na podobieństwo kokonu, wychodził z otworu u podstaw i sięgał aż do sklepienia z kasztelowego kamienia, tworząc jedwabne ściany. Oszołomiona Bridget pomyślała, że to fortuna warta więcej niż nisko urodzony człowiek mógłby zarobić przez całe życie. Można by za nią kupić tuzin kadziowni takich jak należąca do jej ojca.

Potrząsnęła lekko głową i nakazała sobie skupić uwagę na czymś innym niż bogactwo, jakie reprezentował sobą jedwab. Ponownie rozejrzała się po gnieździe, starając się zauważyć szczegóły. Na podłodze i dolnych częściach ścian pełno było małych bąbli jedwabiu, mniej więcej wielkości pięści nastolatka. Czy to były... kołyski dla małych tkaczy? Wszystkie były wyposażone w podobne leje, przez które stworzenia mogły się wciskać do środka.

Wysoko nad podłogą wisiała znacznie większa kołyska. Mogłyby się w niej zmieścić trzy, może nawet cztery osoby takie jak Bridget. Sypialnia matriarchini tkaczy jedwabiu?

Między ogromnym posłaniem a małymi kołyskami wisiało sporo lejów pośrednich rozmiarów.

O ile Bridget potrafiła to określić, żaden z nich nie był zajęty.

- Oto dlaczego cały klan Dziewięciu Pazurów skupił się w jednym pomieszczeniu - wydyszała.

- To chciał nam pokazać Naun - oznajmił Rowl tonem nauczyciela poprawiającego uczennicę.

- To też - przyznała cicho Bridget. Skinęła głową. - Wracajmy. Mistrz Ferus musi się natychmiast o tym dowiedzieć.

ROZDZIAŁ 39

Kasztel Albion, Statkownia Kondygnacji Lądowiska, SHA *Drapieżca*

Grimm poświęcił całe popołudnie na zastępowanie pokładowego kucharza, który dostał przepustkę razem z jedną czwartą załogi. Niestety Journeyman nie raczył poinformować kucharza ani jego pomocnika, że przyprowadził na pokład dwudziestu dodatkowych ludzi do pracy w maszynowni. Był prostodusznym człowiekiem i wszechświat poza maszynownią po prostu dla niego nie istniał. W związku z tym zapasy przewidziane na wieczorny posiłek były żałośnie nieadekwatne i ktoś musiał zabrać się do roboty.

Creedy omal nie dostał apopleksji, gdy Grimm spokojnie zdjął z ramion kapitańską kurtkę, zastępując ją fartuchem. We Flocie coś takiego nikomu nawet nie przyszłoby do głowy. Kapitan statku był panem i władcą, prawą ręką samego Boga w Niebiosach. Zajmował się sprawami o znaczeniu tak wielkim, że drobiazgi w rodzaju żywności dla śmiertelników, którymi dowodził, nawet w najmniejszym stopniu nie zasługiwały na jego uwagę.

- Zlecę to zadanie komuś innemu, kapitanie - oznajmił stanowczo Creedy.
- Wszyscy ludzie, którzy chwilowo nie mają nic do roboty, dostali przepustki, pierwszy - odparł Grimm. - Reszta jest zajęta naprawami oraz instalowaniem nowych systemów. Świetnie o tym wiesz.
- Ale co powiedzą ludzie? — sprzeciwił się Creedy.
- Byronie, żaden z nich nie powie „mój kapitan kazał mi pracować bez chwili wytchnienia, choć nie dostałem posiłku”.

Creedy wzruszył ramionami w powstrzymanym geście frustracji.

- Sir, to po prostu nienaturalne.
- Nonsens. W Olimpijskiej Marynarce Wojennej obowiązuje zasada, że kapitan powinien szczegółowo poznać obowiązki wszystkich członków załogi osobiście pomagając przy pracy wszystkim, od dziobu aż po rufę. Tylko w ten sposób można się upewnić, że będzie wiedział, czego potrzebuje od niego każdy członek załogi, by móc wykonywać swe obowiązki.

Przystojna twarz Creedy'ego wykrzywiła się w grymasie sprzeciwu.

- Nie jesteśmy Olimpijczykami, kapitanie.
- Z pewnością jako Albiończycy nie musimy uważać, że posiadliśmy już całą mądrość na świecie. Czyż nie jesteśmy na to za dobrzy, panie Creedy?

- Ale sir, nie możesz ode mnie wymagać, żebym przyjął od ciebie posiłek jak od kuchcika w kambuzie.

- W rzeczy samej — zgodził się z powagą Grimm i wyjął drugi fartuch. -Ponieważ nadal mogę się sprawnie posługiwać tylko jedną ręką, będzie mi potrzebna twoja pomoc. Zdejmij kurtkę i włóż porządny fartuch, panie Creedy. Trzeba obrać bulwy.

Po posiłku Kettle przepchnął się przez zatłoczoną mesę do kontuaru, trzymając w rękach pustą miskę z łyżką, i uśmiechnął się szeroko do Creedy'ego.

Porucznik łypnął na niego ze złością. Miał we włosach kawałki czegoś, być może obierki bulw. Dwa razy skaleczył się w rękę. Grimm starannie oczyścił i zabezpieczył obie rany, po czym odesłał młodego

oficera z powrotem do roboty. Creedy zaczął się wkurzać.

- Masz jakiś problem, panie Kettle?
- Nie, sir - wycedził aeronauta. - Chciałem tylko pochwalić kapitana za jego talenty dowódcze.
- Talenty dowódcze? - powtórzył Creedy.

Grimm powstrzymał uśmiech.

-Tak, sir. Wszyscy ludzie się zgadzają, że jest świetnym kapitanem.

- Rozumiem - odparł Creedy, spoglądając na Kettle'a bez śladu wesołości.

- Być może najlepszym na całym niebie.

- Rozumiem — powtórzył Creedy.

- Rzadko zdarzają się lepsi — kontynuował pilot.

- Wyraziłeś już swoją opinię, panie Kettle - warknął niemalże Creedy. - Jestem pewien, że kapitan

docenia twoje słowa.

Kettle skinął głową i postawił miskę na kontuarze.

Creedy zabrał ją natychmiast z grymasem niezadowolenia na twarzy.

- Kapitanie — ciągnął pilot całkowicie niewinnym tonem - powiedz mi, kiedy Waller wróci do

kambuza, żebyś mógł znowu zająć się dowodzeniem statkiem.

-Ależ panie Kettle - odparł Grimm. - Można by pomyśleć, że nie smakuje ci moja kuchnia.

- Nieprawda, kapitanie! - zaprotestował marynarz. - Nigdy nie usłyszysz ode mnie słowa skargi. Po

prostu twoje dowodzenie podoba mi się znacznie bardziej.

- Uważaj, co mówisz, Kettle - warknął Creedy. - Powinienem...

Grimm uspokoił go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Sądzę, że kucharz powinien wrócić o północy.

- Przekażę to ludziom.

Kettle skinął uprzejmie głową, a potem wrócił na swoje miejsce za stołem. Creedy przyglądał mu się przez chwilę z zaszępiłą miną, po czym zwrócił się w stronę Grimma.

-Sir... - zaczął ścisząc głos. - Nie powinno się pozwalać ludziom otwarcie krytykować kapitana.

- Nie słyszałem ani słowa krytyki, pierwszy—sprzeciwił się Grimm. Stęknął z wysiłku, nalewając

resztkę prostego gulaszu, który zrobił z niewystarczających zapasów pozostawionych przez Wallera, do

dużej miski, mogącej pomieścić dwie porcje... posiłku. - Kettle po prostu wyraził swoją opinię.

Perfekcyjnie opanował sztukę skarżenia się. - Zerknął na Creedy'ego. - Widziałem, że zjadłeś kilka łyżek,

kiedy miałeś okazję, Byronie. Powiedz, co sądzisz o moim gulaszu?

Porucznik miał wyraźnie zażenowaną minę.

- Był... bardzo pożywny, sir. Z solą właściwie dało się go przełknąć.

Grimm uśmiechnął się i zaczął wycierać naczynia.

Creedy zmarszczył brwi.

- Sir... czy chcesz powiedzieć, że zrobiłeś... to... celowo?

- Dowodzenie polega na czymś więcej niż znajomość regulaminu, Byronie. Kto był winny temu, że

przygotowano za mało jedzenia na kolację?

Ja, sir - odparł dzielnie Creedy. - Powinienem być mieć oko na Journeymana. Ma w swojej sekcji

mnóstwo roboty. Nie widzę wielu podstaw, by go ukarać.

- Zgodnie z regulaminem, być może. Ale obaj nadzorowaliśmy inne części statku, a on odpowiada

za maszynownię. Powinien myśleć nie tylko o swoich urządzeniach, lecz również o członkach załogi i

wynajętych ludziach.

- To... bardzo subtelne rozróżnienie, sir.

Grimm pokręcił głową.

- Ludzie dokładnie wiedzieli, co się wydarzy. Niektóre kary nie mają nic wspólnego z regulaminem.

— Postawił na kontuarze miskę z podwójną porcją. - Panie Kettle! — zawołał.

- Słucham, kapitanie? - odpowiedział pilot, unosząc głowę.

- Pierwszy mechanik Journeyman nie wyszedł za swej cennej maszynowni. Czy mógłbyś zebrać kilku ludzi i dopilnować, że usiądzie na chwilę, by się najeść?

Kettle przyjrzał się misce z podwójną porcją, a potem uśmiechnął się szeroko.

-Tak jest, kapitanie. Pracuje tak ciężko, że z pewnością na to zasłużył.

Pilot wziął miskę i wyszedł z mesy. Prawie wszyscy ludzie podążyli za nim.

- Co mu zrobią? - zapytał wyraźnie zafascynowany Creedy.

- Zapewne dopilnują, żeby zjadł wszystko bez soli, grożąc mu swym skrajnym niezadowoleniem - odpowiedział Grimm. - I przez cały czas będą mu czynić bardzo stanowcze wymówki za to, że zapomniał o swych obowiązkach i pozbawił ich porządnej kolacji.

Młody oficer zmarszczył brwi.

- Sir... nie powinno się karać naszych ludzi w ten sposób.

- Nonsens, pierwszy - odparł Grimm. - Gulasz jest pożywny i wszyscy zjedli swoje porcje. W ich oczach odpokutowaliśmy za to, że nie zapobiegliśmy tej sytuacji. - Mrugnął znacząco do Byrona i zaczął wkładać kurtkę. - W końcu nie możemy dopuścić do tego, żeby się domagali, by kapitan ugotował dla nich kolację, gdy ktoś znowu spieprzy sprawę, tak? Mam na głowie dowodzenie statkiem.

- Jesteś bardzo podstępny człowiekiem, sir — odparł Creedy po dłuższym zastanowieniu,

Grimm spojrzał na wysokiego pierwszego oficera.

- Strategia i taktyka, dyscyplina i regulaminy, wszystko to jest konieczne, ale to jedynie początek - podjął cichszym, poważniejszym głosem. - Musisz się nauczyć rozumieć ludzi, Byronie. W jaki sposób myślą, jakie mają motywacje. Obserwuj i ucz się.

Creedy wpatrywał się w kapitana przez dłuższą chwilę. Wreszcie skinął głową.

- Tale właśnie zrobię.

- Dobry z ciebie chłopak.

- Prawie w ogóle nie spałeś, sir - dodał porucznik. - Wezmę następną wachtę. Odpocznij trochę.

-Jestem ci wdzięczny - odrzekł Grimm. - Jeśli będę ci potrzebny, znajdziesz mnie w kabinie.

Kapitan skinął głową do Byrona, starając się ignorować uporczywy ból, który wypływał z jego rannej kończyny, rozprzestrzeniając się na całe ciało. Powiesił kurtkę na haku i zwałił się na koję, nie zdejmując reszty ubrania. Zasnął, zanim bładny cień perfum Calliope, utrzymujący się jeszcze na narzutach, zdążył przywołać wspomnienia, szczęśliwe albo nie.

Ostre pukanie do drzwi wyrwało nagle Grimma z pierwszego głębokiego snu od wielu dni, zaraz po tym, gdy zdążył w niego zapaść. Zdołał usiąść i zetrzeć z podbródka nieuchodzącą kapitanowi ślinę, nim drzwi się otworzyły i Creedy wsadził głowę do środka.

- Sir? — zapytał z zawstydzoną miną.

Grimm stłumił jęk. Kapitanowie nie znali typowych dla śmiertelników słabości, takich jak niewyspanie.

- Słucham, pierwszy?

- Kilku naszych ludzi wróciło wcześniej z przepustki. Mówią, że doszło do jakiegoś incydentu z udziałem twoich pasażerów, kapitanie. Poważnego. Są zabici i ranni.

Grimm zerwał się natychmiast z koi i usiadł, ignorując protesty zmęczonego ciała. Przynajmniej był już ubrany.

- Niech Kettle i czterech uzbrojonych ludzi przygotowują się do wyruszenia ze mną. Będą nam towarzyszyć ci, którzy wrócili z tym meldunkiem oraz doktor Bagen ze swoją torbą. Wyruszamy natychmiast. Relacji wysłuchamy po drodze na spotkanie z grupą mistrza Ferusa.

-Tak jest - potwierdził Creedy. Skinął krótko głową i opuściłabinę Grimma, wykrzykując rozkazy.

Kapitan wyjął na chwilę zranioną rękę z temblaka, by włożyć kurtkę. Potem zapiął pas z mieczem i

znowu włożył temblak. To cholerstwo okropnie mu przeszkadzało. Gdy tylko ręka przestanie go boleć, wyrzuci je z kasztelu na powierzchnię.

Zapewne wydarzyłoby się to szybciej, gdyby choć raz miał okazję pospać kilka godzin jednym ciągiem.

Upewnił się, że miecz łatwo wysuwa się z pochwy, wepchnął go mocno z powrotem, włożył kapelusz i wyruszył na spotkanie chwili.

Marynarz nazwiskiem Harrison zaprowadził ich do połączonej z pubem gospody o nazwie „Pod Czarnym Koniem”. Choć było już dobrze po północy, wokół lokalu nadal kłębił się niewielki tłum.

- Nie wiem, co dokładnie się wydarzyło, sir — mówił Harrison. — Ale ludzie w środku wrzeszczeli jak dusze potępione, i buchał stamtąd dym, jakby od pożaru.

Zauważył ich inny marynarz, Bennett. Natychmiast podbiegł do nich i zasalutował dziarsko Grimmowi.

- Kapitanie! Czekałem na was, odkąd Harry z chłopakami poszli na statek!

-I co?

- Nikt nie wszedł do środka ani nie wyszedł na zewnątrz. Drzwi nie chcą się otworzyć, sir. Ale twoi pasażerowie są w środku. Piłem tam przedtem i ten starszy gość śpiewał ze wszystkimi „Ogóra farmera Longa”. — Wskazał głową na dwóch umundurowanych gwardzistów stojących u drzwi. To byli młodzi mężczyźni w zaniedbanych mundurach. Być może zajmowali najniższą pozycję w swym garnizonie i dlatego przydzielono im nocną służbę.

Sprawiali wrażenie, że nie bardzo wiedzą, co robić. - Te chłopaki raczej sobie nie radzą, sir.

- Panie Kettle, topór abordażowy - odparł z westchnieniem Grimm.

Kettle odwrócił się do członków oddziału i złapał za masywny uchwyt narzędzia, które mu rzucono. Wyglądało jak skrzyżowanie topora z dwuręcznym młotem i służyło do rozbijania drzwi albo grodzi na nieprzyjacielskim statku, a nie do prawdziwej walki. Grimm nie wątpił, że łatwo będzie nim rozbić drzwi lokalu.

- Za mną - rzucił i ruszył ku gwardzistom. Kettle podążył tuż za nim.

Dwaj młodzi mężczyźni odwrócili się w jego stronę z mieszaniną niepewności i gniewu na twarzach.

- Hej - odezwał się jeden z nich. - Co to takiego?

Grimm przyjrzał się mu ze spokojem. W chwilach niepewności młodzi żołnierze często zwracali się ku pewnym sobie przywódcom, którzy wiedzieli, co robić.

Plecy gwardzisty zeszytniały nieco. Młodzieniec skinął głową.

- Kapitanie - rzekł, przynajmniej udając szacunek.

Grimm odpowiedział skinieniem głowy.

- Gwardzisto, w tym budynku są moi towarzysze. Widzę, że nikt nie otwierał drzwi.

- Są zamknięte na głucho - wyjaśnił drugi gwardzista. — Ze środka dobiegają jakieś krzyki, ale piekielnie trudno jest je zrozumieć.

- Mam topór - oznajmił Grimm. - Może zechcielibyście zrobić z niego użytek?

Mężczyźni popatrzyli na siebie nawzajem. Służba w Gwardii Kasztelana przez symboliczny rok albo dwa mogła być popularna wśród potomków Wielkich Domów, ale na długoterminową służbę zaciągali się głównie nisko urodzeni mężczyźni i kobiety, wywodzący się z najrozmaitszych środowisk i z reguły nie cechujący się zbyt wysoką pewnością siebie.

- Drewniane drzwi są cholernie drogie - mruknął drugi z nich. - Kosztują tyle co nasze miesięczne zarobki.

- Zapiszcie to na rachunek kapitana Grimma ze sterowca *Drapieżca* - odparł Grimm. - Kettle.

- Tak jest, kapitanie.

Pilot zasalutował dziarsko i ruszył pewnym krokiem ku drzwiom.

- Da radę to zrobić? - zapytał pierwszy gwardzista drugiego.

- Hmm - mruknął tamten.

- Panowie - rzekł im ze spokojem Grimm. - Być może powinniście obserwować otwieranie drzwi, by się upewnić, że nikomu nie stanie się krzywda, a także móc szybko ocenić sytuację i pośpieszyć nam z pomocą, gdyby okazało się to konieczne. Panowie Bennett i Harrison, chodźcie tutaj, proszę.

Obaj marynarze również zasalutowali i podeszli do drzwi.

- Razem z resztą ludzi będziecie towarzyszyć tym dwóm gwardzistom i służyć im pomocą na wszelkie możliwe sposoby. - Ponownie zwrócił się ku gwardzistom. - Przekonacie się, że moi ludzie są chętni do współdziałania. Pan Bagen jest moim pokładowym lekarzem i będzie mógł udzielić pomocy rannym.

- W porządku. - Pierwszy gwardzista skinął głową. - Dziękujemy za pomoc, kapitanie.

- Ale... - zaczął drugi.

- Zamknij się, Malkie. Tam są ludzie, którzy potrzebują pomocy. - Pierwszy gwardzista zwrócił się ku aeronautom z *Drapieżcy*. Jego postawa nagle nabrała pewności siebie i autorytetu. — Chodźcie z nami. Malkie, przegoń tych ludzi spod drzwi, dobra? Ostatnie, czego nam potrzeba, to żeby ktoś przypadkowo oberwał tym toporem.

Grimm przyglądał się wydarzeniom z lekką satysfakcją. Gdy już młodym gwardzistom wskazano kierunek, radzili sobie całkiem nieźle. Zapewne z czasem przyjdzie im do głowy, że wykonywali rozkazy cywila, który nie miał prawa im ich wydawać, na razie jednak byli w swoim żywiole.

Zastanawiał się, czy któryś z nich może być agentem Auroran. Raczej na to nie wyglądali, ale przecież dobrzy szpiedzy nigdy nie przyciągają uwagi.

Cofnął się o kilka kroków, podczas gdy drugi gwardzista odganiał ludzi od drzwi gospody, i wpadł na gapiącą się na wydarzenia kobietę, obalając ją na ziemię.

- Cham! - zawołała kobieta. Na jej twarzy zdumienie toczyło bój z gniewem. Miała na sobie drogi kostium metalicznej lawendowej barwy podkreślonej szarymi spódnicami, a także bołerko i kapelusz tego samego koloru. Była atrakcyjna na swój twardy sposób, być może kilka lat starsza od Grimma. Miała duże szare oczy, całkowicie pozbawione innych kolorów, oraz ciemne włosy. - To skandal!

- Madame, masz całkowitą rację - odparł Grimm. - Byłem nieuważny i błagam o wybaczenie. - Wyprostował się i uklonił kobiecie, a potem wyciągnął do niej zdrową rękę. - Zbyt pośpiesznie starałem się wykonać polecenia naszych dobrych gwardzistów i obawiam się, że nie sprawdziłem przestrzeni za sobą, zanim zacząłem się cofać. Wina leży całkowicie po mojej stronie.

Przyglądała mu się z uwagą przez kilka chwil. Kapitan odniósł nagle dwa różne wrażenia. Po pierwsze, że kobieta analizuje starannie jego słowa w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby wywołać jej niezadowolenie...

A po drugie, że kimkolwiek mogłaby być, jest niebezpieczna. Włoski na jego karku zjeżyły się raptownie.

Kobieta przymrużyła powieki i przez krótki moment szaleństwa Grimm zadawał sobie pytanie, czy mógł być aż tak nieostrożny, by wypowiedzieć te słowa na głos.

Chwila minęła. Kobieta rozciągnęła usta w powściągliwym uśmiechu.

- Oczywiście, kapitanie. Bo rozmawiam z kapitanem sterowca, prawda?

- W rzeczy samej, madame. Kapitan Francis Madison Grimm z *Drapieżcy*, do usług.

Kącik jej szerokich, wyrazistych ust poruszył się lekko.

- Och, doprawdy? Ja się nazywam Sycorax Cavendish. - Ujęła jego rękę i wstała. - Dziękuję.

- Nie ma za co, madame Cavendish - odparł Grimm.

Uśmiechnęła się, choć jej twarz pozostała pusta, całkowicie pozbawiona wszystkiego, co powinien wyrażać uśmiech.

- Ten sam Francis Madison Grimm, który przed laty przejął dowództwo nad *Niebezpiecznym*?

Grimm zeszytywniał. Czy ten cholerny okręt i decyzje, które wtedy podjął, nie przestaną go prześladować aż po kres jego dni?

Zapewne nie przestaną. To była część ceny, jaką musiał zapłacić za to, że spełnił swój obowiązek.

- Ten sam - potwierdził.

- Och, kapitanie - rzekła madame Cavendish. - Zaszę pragnęłam cię poznać.

- To czyni cię naprawdę wyjątkową osobą, madame. Hańba, jaką się wtedy okryłem, raczej nie przyciąga wielbicieli.

- Jestem taką osobą - przyznała - i w związku z tym zdaję sobie sprawę, że każda historia z reguły ma dwie strony. Nawet jeśli jedną z tych stron jest Admiralicja.

Odpowiedział jej drewnianym uśmiechem, którym w minionych latach obdarzał bardzo wiele osób.

- Mam nadzieję, że wybaczysz szczerą prostemu aeronaucie, madame, ale nie mam w tej sprawie nic więcej do powiedzenia.

- Nie mogłabym odmówić wybaczenia komuś, kto prosi o nie tak uprzejmie - odparła madame Cavendish. Gdy wypowiadała te słowa, w jej oczach pojawiło się coś bardzo twardego i najeżonego kolcami, jakby taka prosta uprzejmość z jakiegoś powodu budziła w niej niezadowolenie. Grimm musiał stłumić nagłe pragnienie oddalenia się od niej.

W tłumie za jej plecami doszło do nagłego poruszenia. Kilka osób rozstąpiło się na boki, ustępując drogi wysokiemu, szczupłemu mężczyźnie, który podszedł do nich. Był muskularnym genetycznym wojownikiem o jasnej cerze i głowie porośniętej krótkim meszkiem. Z pewnością nie był piękny, a jedno z jego oczu zezowało lekko w bok, co nadawało spojrzeniu niepokojący, trudny do określenia wyraz. Gdy ujrzał Grimma, z jego piersi popłynął cichy warkot. Podszedł bliżej krokiem wyrażającym agresję.

Grimm nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w bójkę z genetycznym wojownikiem. Takiej walki nie mógłby wygrać w godny dżentelmena sposób, a instynkt ostrzegał go, że inne zachowanie w obecności madame Cavendish byłoby błędem. Gdy spojrzął na mężczyznę, dostrzegł kąciakiem oka plamkę bieli.

- Dobry wieczór, sir.

Potęźnie zbudowany genetyczny wojownik skrzywił się z wyraźnym niezadowoleniem i rozejrzał się wkoło. Grimm miał wrażenie, że zerknął przelotnie na madame Cavendish, ale trudno było to ocenić z uwagi na asymetrię jego spojrzenia. Kapitanowi mężczyzna przywodził na myśl gigantycznego pająka, coś cierpliwego i śmiertelnie groźnego, co czekało, aż ofiara znajdzie się w zasięgu.

Gdy tylko genetyczny wojownik spojrzął w inną stronę, Grimm odwrócił się na pięcie, schylił i podniósł chusteczkę, którą madame Cavendish upuściła na podłogę obok swych stóp.

- Wybacz, madame - rzekł. - Chyba to zgubiłaś.

- W rzeczy samej - przyznała kobieca. W jej ciemnych oczach pojawił się błysk o niemal gorączkowej intensywności. - Masz znakomite maniery, kapitanie.

- Jestem pewien, że moi nauczyciele protokołu z Akademii Floty byliby zdumieni, gdyby to usłyszeli - odparł, wspierając swe słowa płytkim ukłonem. W tej samej chwili topór w rękach Kettle'a rozbił drzwi gospody i ludzie zaczęli wchodzić do środka. - Wybacz, madame Cavendish. Muszę się zająć bieżącymi wydarzeniami.

Podawała mu dłoń w rękawiczce.

- Oczywiście, kapitanie - odparła tonem sugerującym, że ledwie się powstrzymuje przed zaciśnięciem zębów. - Jak mogłabym postąpić inaczej?

Grimm pochylił się nad jej dłonią i uprzejmie musnął palcami rękawiczkę, choć przechodziły go przy tym ciarki tak silne, że bał się, że skóra zwinie mu się na plecach i wpełźnie na szczyt jego głowy.

- Bardzo się cieszę, że miałem okazję cię poznać, madame Cavendish. Jeśli tego pragniesz, z pewnością mógłbym przekonać jednego z gwardzistów, by odprowadził cię bezpiecznie do domu - dodał, ponownie kierując się instynktem.

Zerknęła na gwardzistów. Potem jej spojrzenie skierowało się z powrotem na Grimma - zbyt ostrożne, by mogło należeć do zwykłej kobiety z wyższych klas. Jej twarz zamarła w bezruchu, gdy madame Cavendish zorientowała się, że kapitan na nią patrzy. Na jej obliczu pojawił się bledziutki cień uśmiechu. Przechyliła głowę i popatrzyła z kolei na Grimma, jak szermierz przyznający, że przeciwnik zdobył punkt.

- To nie będzie konieczne. Jestem pewna, że pan Sark może mnie bezpiecznie odprowadzić.

Potęźnie zbudowany genetyczny wojownik ponownie warknął gardłowo.

- W takim razie życzę wam miłego wieczoru, madame Cavendish i panie Sark.

Uklonił się raz jeszcze, a potem odwrócił się i odszedł, nie pozwalając sobie na zbyt ni pośpiech.

Potrafił rozpoznać drapieżniki, gdy spojrzał im prosto w oczy. Okazywanie podobnym stworzeniom strachu zawsze było złym pomysłem.

Ominął Malkiego dzięki stanowczemu krokowi i krótkiemu skinieniu głowy. Młody gwardzista nie próbował kwestionować jego obecności i po chwili Grimm dołączył do Kettle'a przy wejściu.

Ze środka bił straszliwy fetor. Parter budynku wyglądał i cuchnął jak rzeźnia.

- Miłosierni Budowniczo — wydyszał Grimm. - Co tu się wydarzyło?

- Chyba zaatakował ich tkacz jedwabiu - odparł Kettle. — I to wielki, kapitanie. Zapieczętował drzwi pajęczyną i zabił mnóstwo ludzi.

-Tkacz jedwabiu? Tutaj? - zdumiał się Grimm. Przymrużył powieki i rozejrzał się po ulicy. Choć było tu mniej światła, niż można by się było spodziewać w Kondygnacji Poranka, to jednak można było wyraźnie zobaczyć przedmioty odległe o całe pięćdziesiąt stóp. - Znajdujemy się blisko centrum kondygnacji. Jak mógł się tu dostać niepostrzeżenie?

- I jak wpadł na to, żeby zamknąć drzwi pajęczyną i uwięzić wszystkich w środku? - dodał Kettle. - One nie są aż takie bystre, kapitanie.

Grimm chrząknął. Odwrócił się, by sprawdzić, czy madame Cavendish i jej towarzysz nadal są w pobliżu, oboje zniknęli jednak bez śladu.

- W dodatku zaatakował akurat tę gospodę. Ta cała sprawa śmierdzi. Mam rację, panie Kettle?

- Gorzej niż przygotowane przez ciebie posiłki, kapitanie — potwierdził pilot.

- Czy było aż tak źle? - zapytał Grimm, spoglądając na niego.

-Aż tak nie - przyznał Kettle, drapiąc się po krótkiej brodzie. - No wiesz, sto takich posiłków oznaczałoby bunt. Jeden to tylko zabawna opowieść.

Grimm uśmiechnął się przelotnie.

- Gdzie doktor Bagen?

- W środku, razem z resztą — odparł Kettle.

Po chwili pojawił się Harrison.

- Kapitanie - zaczął, salutując Grimmowi. - Doktor Bagen informuje, że Lancasterówna jest ranna i trzeba ją natychmiast przenieść do naszej izby chorych.

- A reszta grupy?

- Nic poważnego im się nie stało, sir, poza dwiema osobami, które wysłano z misją przed kilkoma godzinami i do tej pory nie wróciły.

Grimm skinął głową.

- Każ Bagenowi przygotować dziewczynę do transportu. Zabierzmy wszystkich na *Drapieżcę* tak szybko, jak tylko się da. Ty zaczekasz tu z panem Bennettem na pozostałych członków grupy.

- Tak jest - odpowiedział Harrison i wrócił pośpiesznie do środka. Grimm odprowadził go spojrzeniem. Potem rozejrzał się po tłumie.

Nigdzie nie zauważył madame Cavendish ani Sarka.

- Przybrałaś swoją zamyśloną minę, kapitanie - zauważył Kettle.

- Hmm - mruknął Grimm. — Przyszło mi na myśl, że kasztelan wysłał swą ekipę w odpowiednie

miejsce.

- Słucham? - zdziwił się pilot.

- Nieprzyjaciel tu jest, panie Kettle. I z pewnością wie o naszej obecności. Wycofajmy stąd mistrza Ferusa i resztę ludzi, zanim nastąpi kolejny atak.

ROZDZIAŁ 40

Kasztel Albion, Statkownia Kondygnacji Lądowiska, SHA *Drapieżca*

Grimm i jego oddział ruszyli z powrotem na statek. Kapitan miał jednak bardzo nieprzyjemne wrażenie, że ktoś go obserwuje. Szedł obok zdrowo ubzdryngolonego mistrza Ferusa, osłaniając go z jednej strony. Po drugiej osłaniał go sir Benedict. Staremu eterykowi bardzo trudno było iść prosto i cały czas nucił pod nosem fragmenty sprośnej piosenki.

- Kapitanie - odezwał się sir Benedict, który szedł obok Ferusa, pomagając mu dotrzymać kroku załodze *Drapieżcy*. Dwa wyładowane wózki starszka ciągnął za sobą. - Dwie pozostałe młode damy z naszej grupy wysłano, by...

- Zostawiłem „Pod Czarnym Koniem” dwóch naszych ludzi, żeby na nie zaczekali i przyprowadzili je na statek, kiedy wrócą - przerwał młodzieńcowi Grimm.

- A co, jeśli nie wrócą? - zapytał Sorellin nerwowym tonem. - Polecono im..

- W takim przypadku wyślę ekipę poszukiwawczą - odparł krótko Grimm, stanowczo przerywając mu po raz drugi. - Nie rozmawiajmy o takich sprawach tutaj, gdzie ktoś może nas podsłuchać, w porządku?

Młody mężczyzna łypnął na kapitana ze złością, ale potem zastanowił się nad jego słowami i wziął emocje w garść.

- Oczywiście, kapitanie. Masz rację.

Grimm skinął krótko głową. Poczł, że dręczące go napięcie słabnie nieco. Młody Sorellin był genetycznym wojownikiem i był też szlachetnie urodzony. Grimm spotkał w życiu najróżniejszych przedstawicieli wyższych klas i większość z nich na ogół nie zasługiwała na zaufanie. Ci, którzy byli zbyt dumni ze swej pozycji, potrafili być najbardziej niesympatycznymi typami na całym świecie. Na samym szczycie tej tabeli znajdował się Hamilton Rook, a Grimm z pewnością nie chciałby mieć z nim nic do czynienia, gdyby Rook był genetycznym wojownikiem. Młody Sorellin sprawiał jednak wrażenie całkiem porządnego.

Resztę drogi na statek pokonali w milczeniu. Doktor Bagen i ludzie niosący na noszach pannę Lancaster natychmiast skierowali się do izby chorych.

Mistrz Ferus wszedł chwiejnym krokiem na trap i zatoczył się nagle, zwracając się twarzą w stronę Benedicta.

- Czy mogę prosić o swoją laskę, panie Sorellin?

Benedict zdjął z ramienia skórzany pas skrzynki, do której przytroczono laskę z owiniętą skórą głową. Młody mężczyzna zdjął skórę i podał laskę staremu eterykowi.

- Zamienię tylko słówko z twoim statkiem, dobra? - wybełkotał mistrz Ferus.

- Jak sobie życzysz, mistrzu - odparł Grimm, unosząc brwi.

Starszerek odwrócił się z radosnym uśmiechem i ruszył ostrożnie wzdłuż pokładu. Laska pozwalała mu zataczać się trochę mniej.

- W porządku - rzekł Grimm, zwracając się ku Sorellinowi. - Co tam się wydarzyło?

Kapitan wysłuchał opowieści młodzieńca, który w zwięzłych zdaniach złożył mu relację z ataku tkacza jedwabiu.

- A gdy bestia zaatakowała mistrza Ferusa, Gwen stanęła przed eterykiem w pozycji strzeleckiej i rozwaliła na miazgę połowę małej główki tkacza. Impet pozwolił mu walnąć nią o ścianę, a w dodatku stwór ukąsił ją co najmniej raz, ale go zabiła.

- Nieźle - wyszeptał Grimm. - To wymagało sporej odwagi.

Sorellin uśmiechnął się przelotnie.

- Moją drogą kuzynkę łączą ze strachem bardzo dziwne stosunki. Z reguły jest zbyt zajęta, żeby zwracać sobie nim głowę.

- Cieszę się, że reszcie grupy nic się nie stało. Nieprzyjaciel popełnił pierwszy błąd.

- Słucham? - zdziwił się Sorellin.

- Rozsądniej byłoby nic nie robić - wyjaśnił Grimm. - W żaden sposób nie zdradzać swej obecności przed nami. Ale przeciwnik postanowił zaatakować mistrza Ferusa.

- Przy użyciu tkacza jedwabiu? - zapytał z niedowierzaniem Sorellin. - Ich nigdy nie udało się oswoić.

Grimm zerknął na niego z ukosa.

- Czy wydał ci się szczególnie oswojony?

Młodzieniec zmarszczył brwi.

- Powiedzieli nam, że Ferus jest dla nich zagrożeniem - ciągnął Grimm. - A to znaczy, że szukamy we właściwym miejscu.

- Zakładając, że to nie był po prostu przypadkowy atak stworzenia z powierzchni, kapitanie - sprzeciwił się Sorellin. - Może to zwykły zbieg okoliczności?

- Osobiście nie wierzę w takie rzeczy - odparł Grimm, machinalnie poruszając zranioną ręką. — Niemniej masz rację. Nie możemy wykluczyć takiej możliwości. Ale jak sądzisz, ile wielkich stworzeń zdołało ostatnio spowodować straty wśród ludzi w samym centrum Kondygnacji Lądowiska?

- Pewnie moglibyśmy zapytać o to tępicielei szkodników, kapitanie.

- Znakomity pomysł — odezwał się mistrz Ferus, zmierzając ku nim. — Jeśli dzieje się coś dziwnego, na przykład w kondygnacji ukrywa się nieprzyjacielski oddział, z pewnością można go znaleźć w tunelach wentylacyjnych albo w korytarzach technicznych. Tępicielei szkodników są drugą w kolejności grupą, która mogłaby coś zauważyć.

- A kto jest pierwszą, mistrzu Ferusie? — zapytał Grimm.

- Koty, oczywiście - wyjaśnił eteryk. - Twój statek jest okropnie niefrasobliwy.

- Naprawdę? - zapytał Grimm, marszcząc brwi.

- Niewiarygodnie - potwierdził z powagą mistrz Ferus. - Jestem jednak przekonany, że rozumie, jak ważna jest współpraca.

- Aha - mruknął kapitan.

- No cóż, muszę zobaczyć, co da się zrobić, by poświęcenie młodej i odważnej panny Lancaster nie poszło na marne - ciągnął eteryk. - Panie Sorellin, być może powinniśmy razem wypytać tępicielei.

- Sir - sprzeciwił się Sorellin. - Bridget i Folly nadal tam są.

- Folly potrafi obronić je obie, jeśli okaże się to konieczne - odparł mistrz Ferus. — A czas ma kluczowe znaczenie. Ale jeśli wolisz poszukać ich najpierw...

- Zabroniono mi oddalać się od ciebie, sir - przypomniał mu genetyczny wojownik.

Mistrz Ferus machnął niecierpliwie ręką.

- Czy kasztelan zlecił mi dowodzenie tą misją, czy nie?

- Być może słyszałeś, że mam trudności z posłuszeństwem zwierzchnikom - odezwał się Grimm. - Mistrz Ferusie, uważam, że w obecnej sytuacji byłoby zbyt ryzykowne, byś krążył sam po kondygnacji bez zachowania nadzwyczajnych środków ostrożności. Jestem też przekonany, że pan Sorellin ma rację, pragnąc pozostać u twego boku.

- Tak? - zapytał Ferus. - A to dlaczego?

- Kiedy wyważaliśmy drzwi gospody, kogoś przy niej spotkałem - wyjaśnił Grimm. - Damę, która wydała mi się bardzo dziwna i zapewne też niebezpieczna. Nie wyglądała jak kobiety, które zwykle chodzą po ulicach o tak późnej porze i nie zachowywała się też jak typowi przechodnie. Towarzyszył jej genetyczny wojownik. Oboje sprawiali wrażenie stanowczo za bardzo zainteresowanych zobaczeniem

tego, co wydarzyło się „Pod Czarnym Koniem”, a jednocześnie nie próbowali snuć żadnych spekulacji na ten temat. Podejrzewam, że mogą być aurorańskimi agentami albo ludźmi opłaconymi przez nich.

Ferus przyjrzał się powieki.

- Mówisz, że byli dziwni? Pod jakim względem?

-Jeśli ta kobieta rzeczywiście jest agentką Auroran i pracuje dla nich w Albionie, musiałaby mieć w żyłach lodowatą wodę i być też lekko szalona, by pokazywać się publicznie w miejscu ataku - odpowiedział Grimm. -Wydawała się co najmniej tak dziwna jak ty, mistrzu Ferusie - dodał łagodniejszym tonem. - Bez obrazy.

- Och, nie czuję się urażony - zapewnił go Ferus. Przyjrzał się z powagą kryształowi na końcu swojej laski. - Było nieuniknione, że co najmniej jeden z Auroran będzie posiadał talent. Miałem nadzieję, że tak nie będzie, ale... — Pokręcił głową. - Jesteś człowiekiem o wyjątkowo wyczulonych instynktach, kapitanie Grimm. Co jeszcze możesz mi powiedzieć o tej kobiecie?

Grimm wydał wargi.

- Przywiązywała nienaturalnie wielką wagę do manier, mistrzu. Wgruncie rzeczy odniosłem wrażenie, że gdybym popełnił choć najdrobniejszy błąd mogłaby użyć przemocy albo poprosić swego towarzysza, by zrobił to w jej imieniu.

-W to z pewnością nie wątpię - odparł eteryk z roztargnioną miną.

- Powiedziała, że nazywa się Cavendish.

- Zatem tego nazwiska obecnie używa - stwierdził Ferus, krzywiąc się wściekle.

- Znasz tę kobietę? - zapytał Grimm.

- Podejrzewam, że bardzo dobrze.

- W takim razie z pewnością rozumiesz, że rozsądniej będzie, byś został na pokładzie, gdzie możemy zapewnić ci bezpieczeństwo — stwierdził kapitan. - Jeśli już raz uczestniczyła w zamachu na twoje życie, czemu nie miałaby zrobić tego ponownie? Tym razem w bardziej bezpośredni sposób. Gdyby genetyczny wojownik zaatakował cię z zaskoczenia wewnątrz kondygnacji, nawet panu Sorellinowi trudno by było cię obronić.

- Masz trochę racji, kapitanie - przyznał eteryk.

- Co więcej - ciągnął Grimm — wydaje mi się interesujące, że zaledwie kilka godzin przed aurorańskim atakiem na Kasztel Albion napadły na mnie w korytarzach niezidentyfikowane stworzenia. Stworzenia, które zatrąły moją krew jadem, podobnie jak tkacze jedwabiu. Wtedy mi pomogłeś. Jeśli siły ci pozwolą, to czy mógłbyś pomóc również pannie Lancaster?

Ferus zmarszczył brwi. Jego spojrzenie zaczęło wędrować we wszystkie strony

-Tak... tak, powinniśmy zrobić, co tylko w naszej mocy, dla panny Lancaster. Niech i tak będzie. Ty pójdziesz z Sorellinem.

- Hmm, mistrzu Ferusie —sprzeciwił się genetyczny wojownik.-Nadal nie wolno mi oddalać się od ciebie.

- Ach, ale ja będę tutaj, na statku grymaśnego kapitana, otoczony jego załogą - odrzekł z uśmiechem Ferus, przechylając głowę na bok, by spojrzeć na Grimma. — Popraw mnie, jeśli się mylę, ale chyba pamiętam, że uratowałem ci życie kapitanie. Mam rację?

- Masz - przyznał z westchnieniem Grimm.

- A czy to nie oznacza, że masz wobec mnie pewne zobowiązania?

- Oznacza.

- Musisz mi zaufać w rej sprawie. Bardzo dobrze wiem, co robię. — Staruszek odwrócił się i ruszył pełnym determinacji krokiem do izby chorych doktora Bageny. Nagle zatrzymał się i obejrzał na Sorellina. - Mój drogi chłopcze, czy mógłbyś mi pomóc w sprawie kłamki? Nie mogę się nauczyć obchodzić z tymi cholerstwami.

Młodzieniec obrzucił eteryka całkowicie pozbawionym wyrazu spojrzeniem. Potem uśmiechnął się

miło, choć ze znużeniem, i podążył za Ferusem. Po chwili wrócił.

- Pójdziemy porozmawiać z tępicielami? — zapytał go Grimm.

- Słucham? W środku nocy?

- Przed chwilą matriarchini tkaczy jedwabiu zabiła ich sąsiadów Wieści z pewnością już się rozeszły. Wątpię, by w najbliższym czasie mogli zasnąć.

Sorellin chrząknął i skinął głową. Obaj ruszyli w dół trapu. W połowie drogi Grimm uniósł wzrok i zobaczył wracającego na pokład Sterna. Młody żyłasty mężczyzna miał na sobie haniebnie podarte łachy. Pokrywały go smar, olej oraz sadza. Gdy tylko zobaczył kapitana, odsunął się na bok, by go przepuścić.

- Panie Stern - odezwał się Grimm. — Czym się tak usmarowałaś? W pierwszej chwili wzięłam cię za mój własny cień.

- Sadzą i smarem silnikowym, kapitanie - odparł z uśmiechem Stern.

- Jak rozumiem, świetnie się dziś bawiłeś.

- W rzeczy samej, kapitanie. Wszystko poszło dobrze.

- Słyszę to z ulgą, ale nie chciałbym, żeby moi aeronauci wyglądali jak szczury tunelowe.

Doprowadź się do porządku.

Stern uśmiechnął się szeroko. Jego białe zęby ostro kontrastowały z sadzą.

- Już się robi, sir.

- Znakomicie - pochwalił go Grimm i ruszył ku bramie prowadzącej do Kondygnacji Lądowiska.

Sorellin obejrzał się przez ramię na wracającego na pokład niskiego aeronautę.

- O co tu chodziło, kapitanie?

- O spłatę zobowiązań - wyjaśnił Grimm. - Wiesz, gdzie znajduje się siedziba cechu?

- O ile jej nie przenieśli - potwierdził Sorellin.

- W takim razie prowadź.

Genetyczny wojownik ruszył przodem. Dopiero wtedy Grimm zauważył jego wygląd.

-Widzę, że ty również ucierpiałeś - rzekł. - Czy brałeś udział w walce?

- Można by tak powiedzieć - przyznał Sorellin. - Ale to Gwen zdecydowała o jej wyniku.

Grimm pokiwał głową.

- W jakim jest stanie?

- Ukąszenie nie było poważne, ale jadowite. Może mieć również złamany nadgarstek -

odpowiedział Sorellin spokojnym, pozbawionym wyrazu tonem. - Uderzyła się też mocno w tył głowy i

od tej chwili jest nieprzytomna. Ma tam obrzęk. Lekarz nie był pewien, czy czaszka jest złamana. -

Odsłonił zęby w nieprzyjemnym uśmiechu. - Pomyśleć, jak często nabijałem się z niej, mówiąc, że ma twardą głowę i sztywny kark. A teraz ledwie może oddychać.

- Nie trać ducha, panie Sorellin — pocieszył go Grimm. - Widziałem ludzi, którzy w dzień albo dwa wracali do siebie po poważnych wstrząśnieniach mózgu. Pan Bagen zna się na swojej robocie. Śmiem też twierdzić, że mistrz Ferus wie wiele rzeczy, o których nie mamy pojęcia. Nie brakuje powodów do nadziei.

Genetyczny wojownik zmarszczył brwi.

- Nie jestem pewien, czy to mnie pociesza, kapitanie. Mistrz Ferus jest... nie chcę okazywać mu braku szacunku, ale...

- Brakuje mu jednego uchwytu w sterze? — zasugerował Grimm. - Zboczył z kursu o dziesięć stopni? Steruje statkiem powietrznym bez gogli?

Wyraz twarzy Sorellina wahał się przez chwilę między zaskoczeniem a wesołością, nim znowu stał się neutralny.

-Jest trochę ekscentryczny, sir.

- Bynajmniej - zaprzeczył Grimm. - Jest obłąkany.

Benedict lekko zmarszczył brwi.

- Naprawdę?

- Każdy eteryk, którego w życiu spotkałem, był szaleńcem - wyjaśnił Grimm, gdy wchodzili na teren właściwego kasztelu, - To przez energię, z którą muszą pracować. O ile potrafię to ocenić, na każdego z nich działa ona inaczej.

-I dlatego ma taki dziwny stosunek do klamek?

-Tak sędzę. - Grimm wskazał głową na wyładowane rzeczami wózki. - Widziałem, jak domagał się od swojej uczennicy wielu osobliwych przedmiotów, których użyteczności nie byłem w stanie zrozumieć, a następnie dodawał je do swojej kolekcji. Może zauważyłeś też, że jego uczennica nie potrafi zwracać się bezpośrednio do nikogo poza samym mistrzem Ferusem.

- Ona też jest szalona?

- Wygląda na miłe dziecko, ale zapewne tak.

Sorellin zastanawiał się nad tymi słowami przez kilka kroków.

- Kapitanie... czy można bezpiecznie zadawać się z takimi ludźmi?

- Gdyby nie byli niebezpieczni, kasztelan raczej nie wysłałby ich na teren zagrożony przez nieprzyjaciela — zauważył Grimm. — Każdy z uczestników tej misji jest niebezpieczny na swój sposób. Ty również, panie Sorellin. Pewnie, że są niebezpieczni. Problem w tym, czy można im zaufać.

- A... ty im ufasz, kapitanie?

Grimm zastanawiał się nad tym pytaniem przez pół przecznicy.

- Kasztelan im zaufał, zatem ja jestem gotowy zrobić to samo - odparł wreszcie.

- Mimo że są szaleni?

- Istnieją różne rodzaje szaleństwa, panie Sorellin. Ferus i Folly są bardzo dziwni, ale ten fakt mnie pociesza.

- Słucham?

- Doświadczenie nauczyło mnie, że najgroźniejszymi szaleńcami są ci, którzy wcale nie wydają się dziwni - wyjaśnił Grimm. - Ci, którzy sprawiają wrażenie rozsądnych i spokojnych. Dopóki nie zaczną się krzyki. - Uniósł wzrok i zauważył, że Benedict gapi się na niego z zasepioną miną. - Ujmę to tak, panie Sorellin. Jeśli spotkasz kiedyś eteryka, który nie będzie się wydawał dziwny, będziesz miał poważne powody do niepokoju. Eteryk przemawiający do rzeczy, których nie ma, i niezdolny zapamiętać, który dziś dzień tygodnia, jest czymś zupełnie normalnym. Ale ten, który jest nieskazitelnie ubrany, mówi spokojnie i chce cię zaprosić na herbatę? To jest powód do strachu.

ROZDZIAŁ 41

Kasztel Albion, Kondygnacja Lądowiska, tunele wentylacyjne

- Pozwól, że naleję ci herbaty, sierżancie Ciriaco — zamruczała Sycorax Cavendish.

Major Espira poprawił swą Filiżankę na spodku.

- Madame, wybacz proszę, sierżantowi - odezwał się, uważając, by nie podnosić głosu. — Ma wiele obowiązków i musi się nimi zająć.

- Ach, oczywiście - stwierdziła kobieta. — Dla żołnierza obowiązki muszą być najważniejsze.

Eteryczka wróciła do kryjówki Auroran ze swym potworem, który ciągnął za sobą mały wózek.

Wydobył z niego składany stolik, krzesła oraz obrus, a także serwis do herbaty z dzbankiem wypełnionym wrzątkiem gotowym do zaparzania.

Sark stał teraz obok stolika, podczas gdy Espira siedział naprzeciwko madame Cavendish. Sierżant Ciriaco stał tuż za jego krzesłem, lekko z boku, obserwując z uwagą Sarka.

Major ignorował plamy krwi na podłodze i ścianach tunelu, w którym ustawiono stolik. Tu właśnie Sycorax Cavendish torturowała nieszczęsnego tępicielel szkodników. Sierżantowi jednak udoskonalone zmysły nie pozwalały nie zauważać smrodu krwi i przerażenia. Z pewnością on właśnie był w większej części odpowiedzialny za wyraźny niepokój Ciriaca.

- Proszę bardzo, sierżancie, zajmij się swoimi ludźmi - rzekł Espira.

Ciriaco był dobrym żołnierzem, ale w obecnym stanie umysłu mógłby się okazać zbyt szczerzy, by ocalić życie na herbatce u Sycorax Cavendish.

- Majorze... — zaczął podoficer, ale zawahał się nagle.

Espira obejrzał się i zobaczył, że Ciriaco przestępuje nerwowo z nogi na nogę, spoglądając nieufnie na Sarka.

Posiwiwały ordynans nie patrzył na nikogo. Stał spokojnie, jakby obecność uzbrojonego i niebezpiecznego genetycznego wojownika z aurorańskiej piechoty powietrznej miała dla niego równie niewielkie znaczenie jak kolor obrusu, który rozłożył przed chwilą na stole.

Dopóki Sycorax Cavendish mu towarzyszyła, rzeczywiście tak było.

Espira powstrzymał drzenie.

- To rozkaz, sierżancie — dodał ze spokojem. — Zajmij się ludźmi. Wystaw strażę przy wejściu do tunelu, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Możesz odejść.

Espira niemalże słyszał zgrzyt zębów sierżanta.

- Tak jest - odparł jednak Ciriaco. Potem zsalutował i opuścił tunel.

- Sprawiał wrażenie lekko nieuprzejmego, majorze - zauważyła nieśmiało Sycorax Cavendish.

- Obawiam się, że sierżant rzadko miał okazję obracać się w lepszym towarzystwie. Co więcej, został ranny podczas próby zniszczenia kadziowni Lancasterów - wyjaśnił Espira. - Podejrzewam, że cierpi większy ból niż jest skłonny przyznać.

- I jest dla ciebie cenny?

- Niezastąpiony - zapewnił major.

Pociągnęła łyk herbaty.

- Zapewne niektóre sprawy trzeba tolerować. W końcu to genetyczny wojownik, a od nich nie

możemy wymagać, by zawsze zachowywali się wytwornie. — Spojrzała na Sarka. — Prędzej czy później bestia się ujawnia-wyszeptała.

Przez krótką chwilę Espira dostrzegł żar tłący się w na ogół pozbawionych wyrazu oczach Sarka. Plamy krwi na ścianach zaśniły w blasku kryształów luminowych umieszczonych na stoliku.

- Jesteś bardzo przenikliwa - skomplementował ją Espira. - Herbata jest naprawdę znakomita.

- Dziękuję, majorze - odpowiedziała Sycorax Cavendish z uśmiechem, który u każdej innej osoby wyglądałby na szczery. - To moja osobista mieszanka. Sama ją zrobiłam.

Espira bardzo się starał, by jego uśmiech nie zaczął wyglądać na sztuczny. Silne przecucie mówiło mu, że nie chce wiedzieć, co szalona kobieta, taka jak Sycorax Cavendish, dodaje do swojej herbaty.

- Madame, jesteś nazbyt szczodra.

- To się dopiero okaże - odparła. - Majorze, nieprzyjaciel tu jest.

Espira uniósł brwi i wypił łyk herbaty.

- W końcu to ojczysty kasztel Albiończyków, madame - zasugerował nieśmiało.

Pomachała niecierpliwie palcami jednej ręki.

- Wszyscy prostacy z Albionu razem wzięci nie zdołaliby pokrzyżować moich planów - zapewniła.

- Ale teraz pojawiły się tu inne ręce, inne umysły naginające tę kondygnację do swojej woli. One mają moc przeszkodzenia nam, jeśli nie rozegramy tego właściwie.

- Madame, czy mogę przyjąć założenie, że to właśnie jest powodem twojej wizyty?

- Oczywiście. Pora przystąpić do realizacji planu awaryjnego.

Espira oparł się wygodnie na krześle, ściskając przez chwilę filiżankę w dwóch dłoniach.

- Madame - zaczął z namysłem. - Chwilę ataku trzeba wybrać precyzyjnie. W przeciwnym razie nie będziemy mieli wsparcia Armady ani żadnej drogi ucieczki. Wszelkie akcje, które podejmiemy przed wyznaczonym czasem, zagrażają całości planu.

Sycorax Cavendish popatrzyła na niego nad brzegiem filiżanki. Jej twarz absolutnie nic nie wyrażała.

- Majorze, zaczynam się czuć rozczarowana słabością twojej motywacji. Czy muszę znaleźć jakiś sposób na jej wzmocnienie?

- Madame, z całym szacunkiem przypominam ci, że dowodzę żołnierzami piechoty powietrznej, a nie szpiegami. Moi ludzie potrafią walczyć, ale brak im umiejętności i doświadczenia potrzebnych, by na dłuższy czas wtopić się w tłum mieszkańców albiońskiej kondygnacji. - Odchrząknął. - Mógłbym nawet zasugerować, że w tym przypadku lepiej byłoby wykorzystać twoje zasoby.

- Już to zrobiłam - odparła ze spokojem. - Dzięki temu udało mi się potwierdzić obecność nieprzyjaciela. Podejrzewam, że mnie również zidentyfikowano, więc w obecnej sytuacji nie śmiem załatwić tej sprawy osobiście. Twoi ludzie będą mieli przewagę zaskoczenia.

Nagle na schodach rozległy się kroki. Z cieni wyłonił się porucznik Ibarra, jeden z młodszych oficerów oddziału dowodzonego przez Espirę.

Ibarra zaginął, gdy wprowadzano oddział do kasztelu i uznano go za zabitego, ale teraz młody szlachcic o szerokiej piersi i wybuchowym temperamentem zbliżał się do nich zmęczonym, lecz szybkim krokiem.

- Majorze! - zawołał. - Porucznik Ibarra melduje się na służbie.

Niech to szlag! Dlaczego wartownicy go nie zatrzymali?

Dlatego że rozkazał im, by go przepuścili, rzecz jasna. Cholerny młody zapaleniec.

- Poruczniku, w tej chwili jestem zajęty.

Ibarra wyglądał na przemęczonego i twarz miał nieco pobladłą, ale uśmiechnął się lubieżnie do Sycorax Cavendish.

- Widzę, sir. Szarża ma swoje przywileje, tak? Czy mógłbym sobie na taką pozwolić z gaży młodszeo oficera?

- Poruczniku! - warknął Espira.

- To bardzo nieuprzejme — stwierdziła Sycorax Cavendish z uśmiechem pełnym niczym niezmaconego zachwyty.

Pstryknęła palcami. Tylko tyle.

Oczy Ibarry otworzyły się szeroko w wyrazie czystego przerażenia. Wkrótce potem porucznik zaczął krzyczeć i nie mógł przestać. Uniósł ręce do oczu, wciskając w czaszkę otwarte dłonie, a następnie zachwiał się i osunął na ziemię, zginając kolejno wszystkie stawy.

Sycorax Cavendish przyglądała się temu z całkowitą obojętnością.

- Nie znoszę gburów - skwitowała.

Ibarra nie przestawał wrzeszczeć. Espira odstawił herbatę i skoczył ku młodszemu mężczyźnie.

- Straż! - zawołał.

Major widział to już przedtem. Ciągnął z desperacją za nadgarstki Ibarry, ale pomimo swej znacznej siły, nie był w stanie oderwać dłoni młodzieńca od jego oczu.

Wartownicy zjawili się biegiem, ale Ibarra zdążył już wydlubać sobie oczy własnymi palcami, wyjąc z bezmyślnego przerażenia.

Na rozkaz Espiry i przy jego pomocy dwaj żołnierze zdołali oderwać ręce porucznika od jego twarzy i związać mu je za plecami, ale z rozszarpanych oczodołów chłopaka płynął już niepowstrzymany strumień krwi.

- Zabierzcie go do medyka. Szybko - warknął major.

Potem zerknął na Sycorax Cavendish.

Obłąkana eteryczka przyglądała mu się przez przymrużone powieki. Na jej ustach tańczył lekki uśmiezek. Espira uświadomił sobie, że kobieta świetnie się bawi i czeka na jego reakcję.

- Czy to było konieczne, madame? - warknął.

- To zależy wyłącznie od ciebie, majorze - wyszeptła Sycorax Cavendish. - I od tego, jak bardzo zmotywowany się czujesz. Ilu jeszcze twoich ludzi będą musiały dotknąć podobne okropności, zanim zgodzisz się na współpracę? Decyzja należy do ciebie.

Espira zazgrzytał zębami. Miał rękawicę. Czy miał szansę przygotować ją i wystrzelić, zanim Sycorax Cavendish zdąży...

...co zrobić? Pstryknąć palcami?

A nawet gdyby zdołał ją zabić, co by na to powiedziała Admiralicja Armady? Sycorax Cavendish była ich ulubienicą.

Poczuł, że ramiona mu opadają.

- Zgoda - rzekł. Jego głos zabrzmiał mu słabo we własnych uszach.

- Sześciu powinno wystarczyć.

Sześciu. Sześciu ludzi. Jeśli wyśle ich na łowy zarządzane przez Sycorax Cavendish, może się to równać podpisaniu na nich wyroku śmierci.

Ale z drugiej strony... jaki miał wybór?

Zazgrzytał zębami i skinął głową.

- Kogo mam im kazać zabić?

Uniosła filiżankę i wypila łyk herbaty, na moment zasłaniając naczyniem swój przywódzący na myśl szczerzącą zęby czaszkę uśmiech.

ROZDZIAŁ 42

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska, w pobliżu gospody „Pod Czarnym Koniem”

Bridget zauważyła szyld gospody „Pod Czarnym Koniem” i poczuła przypływ ulgi, która jednak ustąpiła miejsca lękowi, gdy tylko dziewczyna sobie uświadomiła, że coś tu jest naprawdę bardzo nie w porządku.

Wokół budynku zgromadził się tłum. Frontowe drzwi wyrwano z zawiasów. Leżały teraz w kawałkach nieopodal.

Była tu obecna grupa umundurowanych gwardzistów, a obok spoczywało kilkanaście nieruchomych ciał, nakrytych zakrwawionymi prześcieradłami.

Bridget natychmiast ujęła Folly za ramię i pociągnęła ją za najbliższy róg, w miejsce niewidoczne z gospody.

— Ojej — odezwała się zaskoczona uczennica eteryka. — Myślałam, że wracamy z Bridget do gospody, do mistrza. Ale teraz ukrywamy się w ciemnym zaułku. Zastanawiam się, dlaczego to robimy?

— Nie widziałas tego? - zdziwiła się była kadziownicza.

Folly zmarszczyła brwi, wpatrując się w słoik z kryształkami.

— Jeden z was powinien powiedzieć Bridget, że patrzyłam na was, żeby mieć pewność, że żaden nie wypadnie w drodze powrotnej.

— Ja je poobserwuję, Folly — zapewniła Bridget. — Powinnaś się temu przyjrzeć.

Uczennica eteryka uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością, po czym podkradła się do rogu i wyjrzała ostrożnie zza niego.

— Widzę, o czym mówiła — zameldowała po chwili niepewnie. — Ale nie rozumiem, co to oznacza.

- Coś się tam wydarzyło - wyjaśniła Bridget. - Nie wiemy co. Ale jakie jest prawdopodobieństwo, że do podobnych aktów przemocy dojdzie akurat w gospodzie, którą uczyniliśmy swoją bazą?

- Och, mam za mało danych, żeby to ocenić - odparła z powagą Folly. - Gdybym wiedziała, ile gospód jest w Kondygnacji Ładowiska i znała częstość występowania gwałtownych incydentów w ciągu statystycznie znaczącego okresu...

- Folly - przerwała jej cicho Bridget. - Tam leżą ciała zabitych. A my nie wiemy czyje.

Uczennica eteryka przyglądała się jej bez zrozumienia przez kilka sekund. Potem otworzyła szeroko oczy, a z jej twarzy odpłynęła krew.

- Podejrzewa, że jednym z tych ciał może być mój... jej towarzysz z Gwardii? - Przełknęła ślinę. — Ojej, ta myśl nie podoba mi się nawet w najmniejszym stopniu. Nie możemy wyciągać przedwczesnych wniosków. Czy mamy chociaż pewność, że oni nie żyją?

Bridget zerknęła na siedzącego na jej ramieniu kota.

- Rowl?

- Czuję zapach śmierci - poinformował ją.

Nakazała sobie oddychać powoli, choć serce zabiło jej gwałtownie na myśl, że wśród nakrytych

prześcieradłami ciała mogą być zwłoki jej przyjaciół. Spróbowała podejść do problemu racjonalnie i bezstronnie.

- Ktoś powinien się tam rozejrzeć - wyszeptała. - Może mistrz Ferus i cała reszta po prostu siedzą w środku. Musimy się dowiedzieć, co się stało.

- Oczywiście - zgodziła się Folly, kiwając głową do słoika. - Bridget jest bardzo rozsądna. Och, ale jeśli nieprzyjaciel jest w pobliżu, może obserwować gospodę. Nie powinniśmy się mu pokazywać.

- Ja pójdę — oznajmił ze spokojem kot.

Bridget ponownie wyjrzała zza rogu.

- To nie byłoby rozsądne, Rowl. Kręci się tam kilku tępicielei szkodników. Widzisz łuskowe bicze, skórzane płaszcze i buty? Mogą nie być zadowoleni z obecności kota w samym środku kondygnacji.

Rowl warknął gardłowo. Tępiciele szkodników i koty w dawnych czasach polowali na siebie nawzajem. Choć w Kondygnacji Poranka istniał między nimi funkcjonalny sojusz, obie grupy ograniczały wzajemne kontakty do niezbędnego minimum. Żadna z nich nie ufała drugiej. Bridget nie miała pojęcia, jak wyglądają ich stosunki w Kondygnacji Lądowiska.

- Żeby zrobić mi krzywdę, musieliby najpierw mnie zauważyć - odparł Rowl z niezachwianą pewnością siebie. Następnie zeskoczył lekko na podłogę i zniknął w cieniach w głębi zaułka.

- Mały arogancki potwór - wyszeptała Bridget.

- Nie bójcie się - uspokoiła swój słoik Folly. — Jestem pewna, że Rowl będzie ostrożny.

- Nie jest nawet w jednej dziesiątej taki sprytny, jak mu się zdaje - stwierdziła z westchnieniem była kadziownicza.

- Nie powinnyście potępiać Bridget za to, że mówi takie rzeczy - wyszeptała Folly. - Jest mocno zestresowana i raczej nie mogę mieć o to do niej pretensji. Ja też nie chcę, żeby ktoś, kto jest mi bliski, stracił życie. Na samą myśl o tym czuję się, jakby żołądek zwinął mi się w kulę i wytoczył na zewnątrz.

Bridget skrzywiła się z niezadowoleniem.

- To zupełnie bezproduktywne, tak się czaić w zaułku. Ci gwardziści noszą takie same mundury jak ja. A przynajmniej nosiłabym taki, gdybyśmy byli umundurowani. Powinnam po prostu do nich podejść i zapytać ich o wszystko.

- Być może Bridget nie pamięta, że kasztelan bał się, że któryś z gwardzistów może być agentem nieprzyjaciela.

- A może żaden nim nie jest — sprzeciwiła się wysoka dziewczyna. -Prawdziwego zagrożenia dla Kasztelu Albion nie stanowią zdrajcy. Nie są nawet w przybliżeniu tak groźni - ani tak toksyczni - jak strach.

Folly zmarszczyła brwi, wpatrując się bez słowa w podłogę.

- Ale jaki wybór ma Bridget? Jeśli ta sytuacja zaistniała w wyniku ataku nieprzyjaciela, a nieprzyjaciel ma agenta w Gwardii, to czyż nie jest logiczne, że ten zdrajca będzie tu obecny, by obserwować wydarzenia i zameldować o wszystkim swym aurorańskim zwierzchnikom?

- Zapewne to logiczne - przyznała z westchnieniem Bridget. - Ale z tego nie wynika, że musi mi się to podobać.

- Och - rzekła Folly radośniejszym tonem. — Cieszę się, że tak sądzi-Myślałam, że jestem w tym osamotniona.

Była kadziownicza odsunęła się od rogu budynku, obawiając się, że ktoś może ją zauważyć i zainteresować się, dlaczego młoda kobieta zachowuje się tak konspiracyjnie w obliczu równie dramatycznych wydarzeń. Usiadła i zaczęła czekać.

Rowl wrócił przed upływem dziesięciu minut. Wynurzył się niespiesznie z cieni, podszedł do Bridget i włożył jej na kolana.

- Wiem - rzekła mu wysoka dziewczyna. — Mówiłeś mi.

Kot z bardzo zadowoloną miną owinął sobie ogon wokół łap.

-I co zobaczyłeś?

- Nie mogłem się zbliżyć do ciała — przyznał Rowl. — Obserwowano je zbyt uważnie. W kamiennej skrzyni jest bardzo wielki tkacz jedwabiu. Całkowicie martwy. Odór śmierci tłumi wszystkie inne zapachy. Nie potrafiłem zidentyfikować ciała. Słyszałem jęki wielu rannych ludzi, dobiegające z kamiennej skrzyni, ale do środka prowadzą tylko jedne drzwi. Było tam zbyt tłoczno i za jasno, żeby ryzykować. Nawet ludzie mogliby mnie zobaczyć.

- Zgnilizna i rdza - warknęła sfrustrowana Bridget.

- Och! — wydyszała uczennica eteryka, próbując osłonić słoik obiema dłońmi, jakby zakrywała uszy małemu dziecku. - Cóż za język!

- Błagam o wybaczenie - rzekła Bridget. - Jestem... zmęczona i przeciążona, to wszystko.

Folly z powagą skinęła głową.

- Wszyscy błagają wszystkich o wybaczenie, ale ja nigdy go nie widziałam - poskarżyła się. — Czy ono leży blisko śledziony?

Bridget szeroko otworzyła oczy, a potem potrząsnęła lekko głową, by odrzucić wszelkie dziwne myśli.

- Folly, musimy zdecydować, co teraz zrobimy.

- W porządku - zgodziła się uczennica eteryka. - Co teraz zrobimy?

Rowl również wpatrywał się w Bridget i czekał.

Na wysoką dziewczynę patrzyły dwie pary oczu. Poczła nagły ucisk w klatce piersiowej. Niespodziewanie została przywódczynią ich trójki. Jak mogło do tego dojść, do licha?

- Wybierzemy ostrożne, rozsądne rozwiązanie — odparła. — Nie wiemy, gdzie podzieli się nasi towarzysze. Nie mamy pojęcia, czy są ranni albo czy grozi im jakieś niebezpieczeństwo. Dlatego wrócimy na *Drapieżcę*, by poprosić kapitana Grimma o pomoc w odnalezieniu mistrza Ferusa i pozostałych.

- To rozsądne - zgodził się Rowl. - Będę mógł wypatrywać niebezpieczeństw ze szczytu statkowego drzewa.

- Tak - poparła go Folly. - Uważam, że to bardzo dobry plan.

- W porządku. - Bridget pokiwała głową. - Tak jest, to wcale nie takie trudne, prawda? -

Przygryzała przez chwilę wargę. - Rowl, czy mógłbyś znaleźć nam jakąś drogę, która pozwoli nam niepostrzeżenie ominąć gospodę?

- Pewnie, że bym mógł - mruknął Rowl z wyraźnym zadowoleniem i wstał. - Zaczekajcie chwilę, aż zapewnię nam bezpieczeństwo i powodzenie,

Kot zniknął w cieniach. Po chwili wrócił, by zaprowadzić je w głąb zaułka, a potem niepokojąco wąskim przejściem na sąsiednią ulicę, daleko od gospody. Dziewczyny szły w milczeniu, a kot posuwał się spory kawałek przed nimi. Wąsy i uszy drżały mu, gdy próbował wykryć ewentualne zagrożenia.

Kiedy dotarli do bramy prowadzącej do drewnianej statkowni, Bridget zaczęła się już uspokajać. Była po prostu zbyt wyczerpana, by zachować stan pobudzenia. Gdy już wrócą na *Drapieżcę*, będzie mogła zameldować kapitanowi Grimmowi o wszystkim, czego się dowiedziała, a potem być może usiąść na chwilę, by pozwolić odpocząć obolałym nogom.

Dlatego była całkowicie nieprzygotowana, gdy wysoki szczupły mężczyzna wyłonił się z cieni zaledwie krok albo dwa od Folly i otoczył jej gardło obiema rękami. Dziewczyna otworzyła szeroko oczy, ale nie miała szansy choćby pisnąć. W jednej chwili szła sobie spokojnie, a w następnej oczy zapadły się jej w czaszkę, a kolana ugięły pod nią.

Bridget gapiła się na to przez chwilę, starając się skupić umysł, by móc stawić czoło zagrożeniu. Nagle przypomniała sobie, że ma rękawicę, i uniosła ją, próbując pobudzić kryształ myślni, ale nagle poczuła, że ktoś zacisnął na jej włosach twardą jak żelazo dłoń i przystawił jej do karku coś zimnego i straszliwie ostrego.

- Spokojnie, dziewczyno - warknął napastnik z płynnym aurorańskim akcentem. - Opuść rękę albo wepchnę ci to w mózg.

Bridget zazgrzytała zębami. Wahała się chwilę, aż wreszcie mężczyzna pociągnął jej głowę do tyłu. Umysł bylej kadziowniczki wypełniła nagle straszliwa wizja jej własnej głowy nadzianej na sztylet. Opuściła rękę z cichym jękiem paniki.

- Do zaułka - warknął mężczyzna. Nie mogła nic zrobić, gdy wepchnął ją do ciemnej uliczki, gdzie nie mogli jej zobaczyć wartownicy strzegący wejścia do statkowni.

Pierwszy napastnik zacisnął dłoń od tyłu na żakiecie Folly i pociągnął za sobą bezwładną dziewczynę. Jej słoik ze zużyтыми kryształami potoczył się po podłodze. Po chwili dołączył do niego dziwny pas z kaburami. W zaułku czekali następni mężczyźni. Jeden z nich podniósł ekwipunek Folly, jakby sprzątał bałagan, którego narobili. Bridget poczuła, że związano jej ręce za plecami i zakneblowano usta.

Serce waliło jej w gwałtownej panice. Zapomniała o zmęczeniu.

Ktoś powiedział coś basem po aurorańsku. Mężczyzna, który pojmał Bridget, odpowiedział mu z wyraźną irytacją. Pojawił się mały kryształ luminowy trzymany w palcach przez kogoś, kogo nie znała. Mężczyzna miał pewnie ze trzydzieści parę lat, piękne kasztanowe włosy i oliwkową cerę. Jego ciemne oczy miały bardzo twarde wyraz. Uniósł światło do twarzy Bridget, a potem mruknął coś pod nosem.

Odpowiedział mu pierwszy głos. Bridget poznała go w tej samej chwili, gdy blask luminowego kryształka padł na twarz mężczyzny. To był Ciriaco, genetyczny wojownik będący sierżantem aurorańskiej piechoty powietrznej, który pojmał ją w tunelach Kondygnacji Poranka.

Sierżant przymrużył oczy na jej widok.

- To znowu ty - warknął.

Niższy mężczyzna zmarszczył brwi, przenosząc spojrzenie między nimi dwojgiem.

- Znacie się? - zapytał, przechodząc na albioński.

- Była jedną z tych, którzy sprawili nam kłopoty.

- Wybacz mi te słowa, ale raczej nie przypomina laleczki.

- To była ta druga - odparł Ciriaco.

-Aha - mruknął niższy mężczyzna. Coś w nim mówiło Bridget „oficer”. Z pewnością był zwierzchnikiem genetycznego wojownika. - Skoro i tak już cię poznała, nie ma potrzeby zachowywać anonimowości.

Ciriaco chrząknął.

- Młoda damo - ciągnął oficer. - Mam nadzieję, że mi uwierzysz, kiedy ci powiem, że naprawdę żałuję, że jesteście zmuszeni was zatrzymać

Skinął głową do dwóch pozostałych mężczyzn przebywających w zaułku i obaj wybiegli z niego bezgłośnie. Najwyraźniej byli jego zwiadowcami, podobnie jak Rowl był zwiadowcą Bridget.

- Dokąd nas zabieracie? - zapytała, czy może spróbowała zapytać. Knebel nadawał jej głosowi stłumione brzmienie, jakby echa niosącego się z dalekiego tunelu.

Mina oficera zrobiła się nagle ponura. Najwyraźniej zrozumiał jej pytanie pomimo knebla. Być może miał w tym wprawę. Ta myśl zmroziła krew w jej żyłach.

- Do kogoś, kto pragnie z wami porozmawiać. Sierżancie, zabierz tę dziwną. Jeśli ta młoda dama spróbuje ucieczki albo zacznie wydawać jakieś dźwięki, poderżnij gardło jej przyjaciółce.

- Tak jest - odparł Ciriaco. Ponownie uniósł za tył żakietu związaną, bezwładną Folly, a w drugą rękę wziął nóż.

Bridget poczuła, że oczy wypełniają jej łzy zrodzone z czystej frustracji.

- Żałuję, że takie środki są konieczne, młoda damo - ciągnął oficer. - Błagam jednak, byś nie poddawała próbie mojej determinacji. To kosztowałoby twoją przyjaciółkę życie. Rozumiesz?

Bridget zamknęła oczy, wstydząc się, że pozwala, by Auroranin zobaczył jej łzy. Skinęła krótko

głową.

- Znakomicie - ucieszył się oficer. - Młoda damo, jestem major Renaldo Espira z Aurorańskiej Piechoty Powietrznej, a wy dwie powinnyście się uważać za moich jeńców.

ROZDZIAŁ 43

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska, Cech Tępicielei Szkodników

Siedziba Cechu Tępicielei Szkodników znajdowała się na wyższym poziomie Kondygnacji Ładowiska. Grimmowi chodzenie po podłodze kondygnacji zrobionej z czegoś innego niż kamień kasztelowy wydało się z jakiegoś powodu straszliwie niewygodne. Czarny kamień, z którego zbudowano kasztele, był w praktyce niezniszczalny i już od tysiącleci opierał się niszcycielskiemu działaniu czasu. Gdy jednak Budowniczkowie zniknęli ze świata, zabrali ze sobą tajemnicę jego produkcji. Współczesnym architektom nie brakowało umiejętności, ale jeśli cokolwiek w kondygnacji się zawałało, powodem zawsze był niedoskonały materiał budowlany.

Grimm zdawał sobie sprawę, że zachowuje się śmiesznie. Bóg w Niebiosach wiedział, że zdarzało mu się bez mrugnięcia okiem chodzić po znacznie bardziej niepewnych drewnianych pokładach — zarówno na *Drapieżcy*, jak i na platformach Ładowiska. Mimo to wydawało mu się, że murowana podłoga ugina się lekko pod jego stopami.

Dom cechowy znajdował się przy wąskim bocznym zaułku. Gdyby Benedict nie znał drogi, Grimm mógłby go w ogóle nie zauważyć. Na poobtłukiwanych drewnianych drzwiach można było zobaczyć zatarty przez upływ czasu wizerunek łuskowego bicia.

Na sznurku przytwierdzonym do framugi wisiał pojedynczy kryształ luminowy.

W jego świetle Grimm zauważył tabliczkę umieszczoną na murze przy drzwiach. Napis głosił po prostu: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Na drugiej, mniejszej tabliczce napisano: „Nie, nie jesteś upoważniony”.

- Przyjazne przyjęcie - zauważył kapitan.

Benedict rozciągnął w uśmiechu zaciśnięte usta.

- Tępiciele to szczególna rasa. I pragną taką pozostać. Dlatego nie jestem pewien, po co zawiesili ten kryształ.

- To światło dla cienia - wyjaśnił Grimm. - Niektórzy z moich ludzi zawieszają takie, gdy tylko stracimy członka załogi. Żeby wskazać jego cieniowi drogę do koi, by mógł odpocząć.

- To chyba trochę pogańskie - zauważył Benedict.

- To tradycja - odparł Grimm. - Gdyby tradycje były racjonalne, byłyby procedurami. - Dotknął delikatnie kryształu. - Wszyscy potrzebujemy jakiegoś znaku upamiętniającego nadejście śmierci. - Zmarszczył na moment brwi. - Czy podczas ataku tkacza jedwabiu w gospodzie byli jacyś tępiciele?

- Nie - odparł Benedict.

- Aha. A jak sądzisz, ilu ich może ginąć rocznie?

- Niewielu - zapewnił genetyczny wojownik. — To zawodowcy.

- Byłoby dziwnym zbiegiem okoliczności, gdyby ta śmierć nie miała związku z obecnym kryzysem.

- Zgadza się - stwierdził Benedict.

- Zatem najprawdopodobniej mamy do czynienia z tym, co zawodowi śledczy nazywają tropem.

- Pracowałem niekiedy dla kasztelana jako śledczy i jestem przekonany, że masz rację - zgodził się młodszy mężczyzna.

- Znakomicie.

Grimm skinął głową, a potem odwrócił się i zastukał mocno do drzwi.

Cechmistrz nosił nazwisko Felix. Był niski i posiwiały, tylko o cal wyższy od przyjaciela Grimma, Bayarda, choć na tym kończyło się podobieństwo. Felix był krępy i masywnie zbudowany, nos miał zaczerwieniony od popękanych żyłek, a zapadnięte oczy kryły się pod wyrazistymi łukami brwiowymi.

Miał na sobie grube skórzane spodnie oraz kurtkę, za pas zatknął rękawice z tego samego materiału, razem ze zwiniętym kręgiem łuskowego biczka, długiego łańcucha złożonego z metalowych ogniw, przez które przeciągnięto również metalowe łuski, tworząc długą giętką konstrukcję, wyglądającą jakby zrobiono ją z gadziej skóry. Grimm widział już takie bicze w akcji. We wprawnych rękach potrafiły rozdzierać skórę niczym jakaś straszliwa mechaniczna piła.

- Panowie - warknął cicho Felix. - Nie mam w tej chwili czasu na głupoty. - Wskazał głową w stronę bocznego pokoju odchodzącego od sali głównej. Na ustawionym tam stole spoczywał jakiś nakryty prześcieradłem kształt. - Straciliśmy dziś jednego z naszych ludzi i ucierpieli też inni mieszkańcy kondygnacji. Czego chcecie?

Grimm przyglądał mu się przez chwilę, po czym skinął głową do Benedicta.

- Sir, może o tym nie pamiętasz, ale poznaliśmy się przed dwoma laty - zaczął genetyczny wojownik. — Nosilem wówczas mundur gwardzisty. Wysłuchałem zeznań jednego z członków waszego cechu w sprawie kradzieży kryształów bojowych.

Felix przyglądał się przez chwilę Benedictowi, po czym mruknął z niechęcią na znak potwierdzenia.

- Sorello, tak? Ten, który wyważył drzwi.

- Sorellin - poprawił go Benedict. - Tak, to ja.

Cech mistrz skinął głową.

- Pamiętam cię.

- Jestem w trakcie dochodzenia - kontynuował Benedict. - Musimy was zapytać, czy wasi członkowie nie zauważyli jakichś przejawów niezwyklej aktywności podczas aurorańskiego ataku na kasztel.

Tępicielek zrobił kwaśną minę.

- Poza tym, że straciliśmy jednego z naszych członków, a zżarta zgnilizną matriarchini tkaczy jedwabiu zdewastowała pół kondygnacji?

Benedict uśmiechnął się cierpliwie.

- Ucierpiało kilkanaście osób, zabitych, rannych i takich, których los pozostaje niepewny. Jedną z ofiar jest moja szesnastoletnia kuzynka, Gwendolyn, którą kocham z całego serca. - Uśmiech zniknął nagle z jego twarzy, a jego kocie oczy utraciły wszelki wyraz i zamrugały w nich złote oraz bursztynowe iskierki. W głosie młodzieńca zabrzmiał lekki pomruk. - Wszyscy mamy za sobą trudny dzień, cechmistrzu.

Felix naprężył nagle mięśnie. Jedna z jego dłoni poruszyła się lekko, jakby chciał sięgnąć po uchwyt łuskowego biczka.

Benedict popatrzył na niego ze spokojem. Jego postawa nawet w najmniejszym stopniu nie wyrażała wrogości. Można ją było wyczytać jedynie w jego oczach. Tlił się w nich głęboko ukryty gniew i Grimm go zauważył Sorellin prezentował się jako spokojny, towarzyski młodzieniec z wyższych klas Kondygnacji Poranka, ale kapitan w swoim czasie znał sporo niebezpiecznych ludzi i był przekonany, że Benedict Sorellin, pomimo młodego wieku, jest jednym z nich.

Grimm skierował spojrzenie na Felka. Dalszy bieg wydarzeń zależał w znacznej mierze od tego, czy cechmistrz wykaże się wystarczającym rozsądkiem, by dostrzec w młodzieńcu to samo co kapitan.

Felix nie był głupcem. Chrząknął, odwrócił się i ze spokojem odsunął się nieco od genetycznego wojownika. Wziął w rękę kubek, przełknął trochę fusów, jakie zapewne w nim pozostały, a potem spojrzął na Grimma.

- Kim on jest?

- Moim współpracownikiem — odparł spokojnie Benedict.

Felix ponownie chrząknął, przenosząc spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego.

- Jest z Floty, tak? - Prychnął lekceważąco. — Tak, wiem, że nosi cywilne łachy. Ale na tych chłopakach widać mundur, nawet kiedy są nadzy. -Przyjrzał się Benedictowi. - Widzę, że ty też nie nosisz uniformu. Zgnilizna i rdza, co znowu kombinuje ten facet z Poranka?

- Naprawdę chcesz to wiedzieć? - zapytał Sorellin.

Felix zadrżał.

- I dać się w to wciągnąć jeszcze głębiej? Boże w Niebiosach, nie. I tak mam pod dostatkiem kłopotów.

- Mądra decyzja - pochwalił go Grimm.

- Chciałbym zbadać szczątki waszego człowieka, jeśli mi na to pozwolisz - poprosił Benedict.

Felix wzruszył ramionami i skinął głową.

- Jak sobie życzysz.

Benedict skłonił głowę na znak podziękowania, poszedł do bocznego pokoju i zdjął prześcieradło. Grimm nie widział zbyt dokładnie ukrytego pod spodem ciała i bardzo się z tego cieszył. To, co zobaczył, było straszliwie uszkodzone i poszarpane.

Felix nie patrzył w tamtą stronę. Nie odrywał spojrzenia od kubka, który obracał w stwardniałych, naznaczonych bliznami dłoniach.

-Jak się nazywał? - zapytał cicho Grimm.

- Moberly - odparł cechmistrz. - Harris Moberly.

_ Ile miał lat? - zapytał kapitan, kiwając głową.

- Dwadzieścia — odpowiedział Felix z grymasem na twarzy.

- Rodzina?

- Żona, brat i matka. Żona spodziewa się dziecka - dodał Felix.

Kapitan cicho westchnął i pokręcił głową.

Felix spojrzał na niego.

- Wiesz.

- Wolałbym nie wiedzieć.

Felix zachichotał ironicznie.

- Chcesz sobie łyknąć?

- Byłbym zobowiązany.

Tępicieł szkodników nalał trochę płynu z butelki do swojego kubka, a potem do drugiego, identycznego, który zdjął z półki. Uniósł swój kubek, a kapitan powtórzył jego gest. Obaj pociągnęli po łyku. Trunek nie był zbyt wysokiej jakości, ale z pewnością nie był też słaby. Ketde byłby nim zachwycony. Grimm ostrożnie przełknął płyn.

Felix zajrzał do pokoju, ale szybko odwrócił wzrok.

-Jak to się wydarzyło? - zapytał Grimm.

- Moberly sam wykonywał swój kontrakt - zaczął Felix. - To wbrew zasadom. Powinien mieć partnera. Ale miało mu się urodzić dziecko i chciał zarobić trochę grosza. Dorwały go tkacze jedwabiu.

- Tkacze? W liczbie mnogiej?

- Młode - mruknął Felix. - Matriarchini, taka jak ta w gospodzie, znosi pięćdziesiąt jaj dziennie.

Jedno młode nie byłoby problemem dla Moberly'ego. Sześć albo siedem mogłoby mu sprawić kłopoty. Ale kilkaset...

Grimm zadrżał.

- Paskudna śmierć. Jesteście pewni, że to były one?

- Ślady ich ugryzień łatwo rozpoznać. Nie jest też zbyt trudno je zmierzyć i dokonać obliczeń.

- Nie chciałem cię obrazić - rzekł Grimm.

Felix wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy.

- Co teraz zrobicie?

- Przeczeszemy tunele, gdy tylko zwołamy wystarczająco wielu chłopaków, i policzymy się z tymi młodymi, zanim zdążą dorosnąć. Nawiążemy współpracę z cechami na górze i na dole. Łądowisko zadba o to, by plaga się nie rozszerzyła.

- Czy to trudne zadanie?

- Dość trudne - odparł Felix. Jego oczy utraciły nagle wyraz, choć głos nadal brzmiał łagodnie. -

Ale poradzimy sobie.

Kapitan skinął głową.

Benedict zakrył ciało Moberly'ego prześcieradłem i wrócił do nich.

- Ukąszenia młodych tkaczy? - zapytał Felixa.

- Widzieliśmy je - potwierdził cechmistrz. - Przy takiej ilości jadu nie miał szans.

- Nie sądzę - sprzeciwił się młodzieniec. - Rany nie wyglądają jak trzeba.

Felix przyjrzał mu się z uwagą.

- Dlaczego tak uważasz?

- Krew w nich skrzepła - wyjaśnił Benedict.

- Krew zawsze to robi - zauważył cechmistrz.

- Do czego zmierzasz, Benedykcie? - zapytał Grimm.

- Nie sądzę, żeby Moberly żył, gdy tkacze dobrały się do niego. Za mało krwawił.

- Za mało krwawił? — zdziwił się Felix. - Jak to, za mało?

- Myślę, że jego serce już nie biło, gdy młode się do niego dobrały - wyjaśnił z powagą Benedict. -

Zwróciliście uwagę na jego szyję?

- Szyję? - powtórzył Felix.

- Musielibyśmy się skonsultować z lekarzem, żeby mieć pewność, ale podejrzewam, że ktoś złamał mu kark. Czysto.

Grimm wyduł wargi.

- A potem zostawił go tkaczom jedwabiu?

Genetyczny wojownik skinął głową.

- Po co? - zapytał cechmistrz. - Dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego?

- Co o tym sądzisz? - zapytał Benedict, spoglądając na Grimma.

Kapitan zakręcił trunkiem w kubku.

- Przypuszczam, że... musieli go zabić — stwierdził z namysłem.

- Musieli? - powtórzył Felix. - To znaczy kto?

Benedict otworzył szeroko oczy. Nagle wszystko zrozumiał.

- Moberly musiał zobaczyć Auroran.

Grimm skinął krótko głową i wstał.

- Nieprzyjaciel jest w Kondygnacji Łądowiska. - Spojrzał na Felka. Mówisz, że Moberly wykonywał kontrakt?

- Tak - potwierdził cechmistrz.

Grimm zacisnął szczęki i opuścił dłoń do rękojeści miecza.

- Gdzie?

ROZDZIAŁ 44

Kasztel Albion, Kondygnacja Lądowiska, tunele wentylacyjne

Rowl posuwał się przez cienie z bezbłędną kompetencją, śledząc grupę ludzi, którzy porwali Małamyszkę i jej dziwną przyjaciółkę. Rzecz jasna oznaczało to, że nie widział go nikt, komu nie chciał się pokazać.

Wszystko to było winą Małejmyszki. Wyraźnie prosiła go, żeby wypatrywał wszelkich niebezpieczeństw, które mogą się czaić przed nimi. Nic nie wspomniała o niebezpieczeństwach mogących podkraść się do nich od tyłu. Rowl był przekonany, że obie jego towarzyszki mają wystarczająco wiele rozumu, by nie dać się zaskoczyć i złapać jak para myszy w tunelu. Dlatego był przed nimi, wypatrywał przewidywalnych niebezpieczeństw, a Małamyszka była sama sobie winna, że nie podjęła adekwatnych środków ostrożności i nie oglądała się za siebie, podczas gdy Rowl był zajęty obserwacją całej reszty.

Kiedy usłyszał, że półduszowy ludzki wojownik i ten mniejszy, który był dowódcą, zbliżają się do Małejmyszki i jej przyjaciółki, było już za późno, żeby je ostrzec albo osiągnąć cokolwiek poza zdradzeniem własnej obecności. Ich nieprzyjaciele byli na tyle nieuprzejmi, że było ich zbyt wielu, by Rowl mógł sobie z nimi poradzić w pojedynkę tylko czterema łapami.

Dlatego śledził teraz ludzi, którzy porwali Małamyszkę, i spokojnie planował ich śmierć.

Pośpiesznie opuścili centrum przeznaczoną dla ludzi część kondygnacji, wchodząc do tuneli wentylacyjnych. Rowl cały czas podążał za nimi. Wyczuwalne tu zapachy oraz atmosfera miały w sobie coś znajomego. Kot szybko uświadomił sobie, że znajdują się niedaleko tunelu, w którym stoczył bój z tkaczami jedwabiu zagrażającymi Małejmyszce i zniszczył je.

Tak jest.

Czy co właśnie była wiadomość, którą próbował mu przekazać Naun z klanu Dziewięciu Pazurów? Że na jego terytorium przebywają stworzenia z powierzchni, a także ludzcy najeźdźcy z Kasztelu Aurora?

To by wiele tłumaczyło. Jeśli tkaczami jedwabiu rzeczywiście kierowali nieprzyjaciele ludu Małejmyszki, zagrożenie byłoby zbyt wielkie, by koty mogły stawić mu czoło. Gdy ludzie na nie polowali, koty po prostu rozpraszały się w biegnących bez końca tunelach. Poruszały się zbyt szybko i bezgłośnie, by jakkolwiek człowiek miał szansę im dorównać. Dlatego wymykały im się z łatwością.

Jednakże ludzie ze wsparciem tkaczy jedwabiu... to byłby zupełnie inny kłębek nici. Tkacze jedwabiu w wielkiej liczbie mogłyby zagrozić Dziewięciu Pazurów, ścigać koty w tunelach, do których bardziej niezgrabni ludzie nie mogliby bądź nie chcieliby wchodzić. Co gorsza potrafiły przemieszczać się pionowymi szybami z równą łatwością jak poziomymi tunelami, co zapewniało im wielką przewagę mobilności.

Co najważniejsze jednak, tkacze były zagrożeniem dla kociąt Dziewięciu Pazurów. Nawet jeden z nich, gdyby zaatakował ochronkę, mógłby wybić potomstwo całego pokolenia. Pracując w grupie, mogłyby zmusić koty do ucieczki do tuneli, gdzie ludzie wybili by je strzałami z rękawic i długich strzelb.

Rowl stłumił warknięcie. Nic dziwnego, że Dziewięć Pazurów trzymało wszystkie kocięta w jednym miejscu. I oczywiście Naun nie mógł po prostu poprosić Rowla o pomoc. Każdy kot by to zrozumiał. Małejmyszce zapewne byłby zmuszony wyjaśnić znaczenie dumy wodza klanu i jego absolutnej autonomii. Oczywiście, nie zrozumiałaby tego, ale czego w końcu mógł się spodziewać? Była tylko człowiekiem.

Wojownicy, którzy porwali Małamyszkę, kazali jej pójść za sobą do tuneli, do których Rowl obawiał się zapuszczać. Gdzieś tam kryli się obserwatorzy, ukryci wartownicy, czający się w ciemności, niewidoczni nawet dla jego oczu, przynajmniej na taką odległość. Instynkt ostrzegał go jednak, że z pewnością tam są.

Rowl podkraść się do szczególnie głębokiej plamy cienia i usiadł tam, by poobserwować tunel nieco uważniej, gdy nagle coś miękkiego musnęło jego wąsy. Odwrócił się błyskawicznie, obnażając kły i pazury, gotowy do walki.

Cienie się poruszyły i w odległości zaledwie kilku cali pojawiła się para zielonych oczu, spoglądając na niego niefrasobliwie. Rozległo się ciche chichotliwe mruczenie, i mała kotka zgrabnie wsunęła ogon między łapy.

- Mirl - mruknął Rowl głosem zbyt cichym, by ludzkie uszy były w stanie go usłyszeć. Poruszył sztywno ogonem w geście niezadowolenia. - Mogłem cię zabić.

- Musiałbyś mnie najpierw zauważyć — odparła Mirl głosem pełnym niezdolności samozadowolenia. - O, potężny Rowlu.

Przez chwilę przyglądał się jej butnie, po czym usiadł i przyglądał futro.

- Co tu robisz?

- Wykonuję obowiązki - wyjaśniła kotka. - Maul i Wybiegający Myślą wysłali mnie tropem, po którym dotarłam tutaj. Czyżbyś myślał, że chcę ci się rzucić do łap i błagać cię o względy?

Rowl trącił ją lekko barkiem, by złagodzić ostrze swych słów.

- Dzisiejszej nocy nie mam czasu na gierki.

- Widziałam - przyznała, siadając obok niego. - Zabrali twojego człowieka.

- Zabrali obie - dodał z niesmakiem Rowl. - I odpowiedzą za to.

- Z pewnością - zgodziła się Mirl. - Ale przyjrzałam się uważnie strażom Auroran i nie sądzę, by można się było podkraść do nich niepostrzeżenie, żeby ich obserwować.

- A to dlaczego? - zapytał Rowl.

- Najgłębsze cienie na dachu - wyjaśniła Mirl. - Trzydzieści skoków stąd.

Kocur wpatrywał się przez chwilę intensywnie we wskazany przez nią punkt. W końcu zdołał tam wypatrzeć niewyraźny kształt oraz słaby błysk oka.

- Tkacz jedwabiu - wyszeptał. — Dorosły.

- W innych korytarzach też takie są - stwierdziła Mirl. — Nie zdołamy podkraść się niepostrzeżenie do twoich ludzi.

Rowl machnął ogonem na boki. Miał pod dostatkiem czasu, by rozważyć sytuację. Nagle wstał.

- Mirl - powiedział.

- Słucham?

- Poproszę cię, żebyś coś dla mnie zrobiła.

- Tak?

- Tak - potwierdził. - To nie jest rozkaz. Nie musisz tego robić. Świetnie sobie poradzę bez ciebie.

Spojrzała na niego z wesołością w zielonych oczach, ale jej głos zabrzmiał poważnie.

- Z pewnością sobie poradzisz, o Rowlu.

- Musisz to zrozumieć.

- Rozumiem - zapewniła.

Rowl skinął krótko głową.

- Znakomicie. Problem ma jeden albo dwa aspekty, zajmowanie się którymi leży poniżej godności kotów. Ludziom trzeba powiedzieć, co się tu wydarzyło. Proszę cię, żebyś to zrobiła.

- Ludzie są za głupi, żeby zrozumieć prostą mowę - przypomniała mu kotka. - Czy mam odnaleźć kóregoś z nich i drapać go tak długo, aż pobiegnie we właściwym kierunku? A potem liczyć na to, że coś zauważy?

- Nie utrudniaj sprawy - skarcił ją Rowl. - Mówię o ludziach na drewnianym statku z wysokimi drzewami. Ponieważ jego jedynym celem jest dostarczenie mnie tutaj, ogłosiłem go za swój i jest na nim mój zapach. Skontaktuj się z człowiekiem, który ma dwa czerwone pasy na rękawach i dość duży kapelusz. Jest mniej tępy niż pozostali.

- To brzmi całkiem prosto — zauważyła kotka.

- Ale to ważne, Mirl - rzekł cicho Rowl. Spojrzał wprost na nią. - Bardzo ważne - dodał.

Przechyliła nagle głowę i znieruchomiła całkowicie.

- Wierzysz, że tego dokonam?

Kocur powęszył.

- To odpowiednie zadanie dla Wąsa. Ja jestem księciem i mam książęce zadanie do wykonania.

- Co to za zadanie? - zainteresowała się Mirl.

- Czyż to nie oczywiste? - Kocur wstał i ruszył cicho w stronę odpowiednich tuneli. — Podbiję

Dziewięć Pazurów.

ROZDZIAŁ 45

Kasztel Albion, Statkownia Kondygnacji Lądowiska, SHA *Drapieżca*

- Wszyscy muszą mieć broń i zbroje - oznajmił Creedyemu Grimm zaraz po wejściu na pokład. - Absolutnie wszyscy, panie Creedy, poza Journeymanem i jego wynajętymi pomocnikami. Oni mają nadal pracować przy remoncie statku.

- Mamy niewiele ponad połowę stanu, jaki mieliśmy podczas pierwszego ataku, kapitanie - poinformował Grimma porucznik, idąc u jego boku. - Jeśli wylądował tu cały batalion Aurorańskiej Piechoty Morskiej...

- W takim przypadku jest bezwzględnie konieczne, żebyśmy przechwycili nieprzyjaciół, zanim opuszczą tunele i będą mogli wykorzystać przeciwko nam swą przewagę liczebną.

Creedy pobił lekko, ale skinął głową.

- Tak jest. To zniweluje ich przewagę. W pewnym stopniu. Ale i tak...

- Spokojnie, Byronie. Nie mam zamiaru wdawać się z nimi w walkę na śmierć i życie. Mamy jedynie potwierdzić ich obecność. To zbrojny rekonesans. Ich strażę są wystarczająco dobre, by złapać nawet kogoś znającego miejscowe tunele, jak tępicieł szkodników, jeśli ten ktoś jest sam. Zamierzam ich odnaleźć i upewnić się, że nie wezmą mnie do niewoli jak tego nieszczęśnika.

- A jeśli ich znajdziemy, kapitanie?

- Będziemy walczyli na tyle długo, by móc ocenić ich liczebność, a potem się wycofamy, zostawiając obserwatorów we wszystkich tunelach, którymi mogliby uciekać, i poprosimy kasztelana o przysłanie posiłków. Podziel załogę na pięcioosobowe drużyny, każ im wybrać dowódców, a potem zapoznaj ich z planem. Bierz się do roboty.

Creedy zasalutował dziarsko.

- Tak jest, kapitanie.

Odwrócił się na pięcie i zszedł pod pokład, wykrzykując po drodze rozkazy. Większość ludzi spała albo zajmowała się pracami remontowymi.

Grimm wrócił do swojej kabiny, niecierpliwym ruchem zrzucił z ramion kurtkę i przyjrzał się swej zranionej kończynie. Doszedł do wniosku, że w ciągu kilku najbliższych godzin może potrzebować dwóch dłoni oraz rękawicy, a i tak miał już dość tego cholernego temblaka. Cisnął go w kąt i zgiął na próbę rękę.

Poczuł ból, ale nie aż tak silny, jak się spodziewał. Miał on też dość szczególny charakter, jakby wszystkie mięśnie w jego przedramieniu przez długi czas dręczyły nieznośne kurcze i dopiero teraz zaczęły się rozluźniać. Skrzywił się, poruszając nadgarstkiem, doszedł jednak do wniosku, że kończyna - choć nie do końca sprawna — nadaje się do użytku. Otworzył zamkniętą na klucz szafkę, podwinął rękaw i włożył rękawicę. Rany pod bandażami zabolowały go dotkliwie, ale tkanina nie zrobiła się nagle szkarłatna od świeżej krwi. Może być.

Grimm zarzucił kapitańską kurtkę, włożył kapelusz i wyszedł dziarsko z kabiny. Jego ludzie zbierali się już na pokładzie. Spojrzał w prawo i zauważył sir Benedicta, który chodził w tę i we w tę przed drzwiami izby chorych doktora Bageny. Kapitan podszedł do młodego gwardzisty i przywitał go skinieniem głowy.

- Czy Ferus jest w środku?

Benedict przytaknął.

- Już kończą.
- Jak się czuje panna Lancaster?
- Nie powiedzieli mi.

Grimm wydał wargi i ponownie skinął głową. Bagen zaliczał się do lekarzy, którzy niczego nie mówili, jeśli nie mieli całkowitej pewności. Wolał zachować milczenie, niż dać fałszywą nadzieję tym, którzy czekali na informacje o stanie pacjenta. Nie uchylał się przy tym jednak przed przekazywaniem złych wieści.

-W takim razie jest nadzieja, synu - pocieszył go Grimm. - Gdyby była umierająca, Bagen powiedziałby ci o tym.

Benedict rozciągnął usta w krótkim, wymuszonym uśmiešku i skinął głową na znak podziękowania. Z jego twarzy nie zniknął niepokój, ale młodzieniec spacerował teraz nieco wolniej.

Po chwili drzwi zagrzechotały niespokojne. Benedict niemalże podskoczył w górę, pragnąc je otworzyć.

- Dziękuję, chłopcze - odezwał się radośnie mistrz Ferus i wyszedł na pokład. Odwrócił się i zatrzasnął drzwi przed zapadniętą, pełną zaskoczenia twarzą doktora Bageny. - Przepraszam — dodał i przez długą chwilę wpatrywał się w drewno. - Ach — podjął po chwili z promiennym uśmiechem. — Z natury nie lubię się chwalić, kapitanie Grimm, ale muszę powiedzieć, że na swój skromny sposób świetnie sobie radzę.

Grimm odchrząknął.

- Co z tym dzieckiem? - zapytał.

Ferus uniósł srebrzyste brwi.

- Dzieckiem, kapitanie? — naskoczył na niego. — A czy ty zabiłeś kiedyś matriarchinię tkaczy jedwabiu?

- Masz rację, mistrzu Ferusie - przyznał Grimm z płytkim ukłonem. - Jak się czuje panna Lancaster?

- Och, wyjdzie z tego - zapewnił od niechcienia eteryk. - Zakładając, że odzyska przytomność, oczywiście.

- Słucham? - zdumiał się Benedict.

-Jest nieprzytomna - wyjaśnił Ferus poważniejszym tonem. - Obaj z doktorem Bagenem uważamy, że jej stan jest stabilny, ale uderzenie w głowę było silne i nie widać żadnych oznak poprawy. Możliwe, że ocknie się już za parę chwil, ale nie można też wykluczyć, że nigdy się to nie stanie. Po prostu nie potrafimy tego przewidzieć.

- Och - wyszeptał Benedict. - Och. Och, kuzynko. - Przełknął ślinę i zamrugał kilkakrotnie. - Czy mogę ją zobaczyć?

- Oczywiście - zgodził się mistrz Ferus. Sięgnął po kłamkę i szarpał nią nerwowo przez chwilę. - Kiedy byłem młody, działały - stwierdził wreszcie z westchnieniem. - Standardy chyba się obniżyły.

- Niewątpliwie - zgodził się Grimm i otworzył drzwi przed sir Benedictem, który wszedł do środka i zaczął cichą rozmowę z doktorem Bagenem. Grimm zamknął za nim drzwi i spojrzał na mistrza Ferusa. - Sir Benedict powiedział mi, że potrafisz zlokalizować nieprzyjaciela, jeśli zaprowadzę cię w odpowiednie miejsce.

Ferus przecesał kościstą dłonią rzadkie rozwichrzone włosy, a następnie skinął głową z roztargnioną miną.

- Tak, to bardzo prawdopodobne. - Uniósł brwi. - Chcesz powiedzieć, że znalazłeś to miejsce, kapitanie Grimm?

- Tak sędzę - odparł Grimm. - Zamierzam opuścić statek i znaleźć ich, gdy tylko moi ludzie wyposażą się w broń i pancerze. Chciałbym cię prosić, żebyś nam towarzyszył.

-Tak, tak, oczywiście - wymamrotał Ferus, machając ręką. Wlepił spojrzenie w jakiś z pozoru

przypadkowy punkt w pokładzie. - Choć obawiam się, że na razie nie możemy wyruszyć.

Grimm przechylił lekko głowę.

- Nie? A to dlaczego?

Ferus zeszywniał nagle. Po jego twarzy przemknął szybko szereg rozmaitych uczuć. Wzdłuż kręgosłupa poczuł wyraźne drżenie. Odwrócił się powoli, i wskazał sztywnym palcem na trap statku.

- Nie musimy szukać nieprzyjaciela - rzekł. - Nieprzyjaciel przyszedł do nas.

Grimm odwrócił się akurat na czas, by zobaczyć, jak madame Cavendish wchodzi spokojnie na pokład i zatrzymuje się, splatając ręce przed sobą. Miała na sobie stalowolawendową suknię oraz bolerko z akcentami szarości i harmonizującą z resztą stroju lawendową bluzkę. Kapelusze na jej głowie przechylał się zawadiacko, a pośrodku sztywnego welwetowego kołnierzyka, który okalał szczupłą szyję, lśnił kryształ wielkości kciuka potężnie zbudowanego mężczyzny.

Wlepiała spojrzenie w mistrza Ferusa już od chwili, gdy jej głowa osiągnęła poziom pokładu, jakby dokładnie wiedziała, w którym miejscu stanął, nim jeszcze zdążyła go zobaczyć.

Jej szare, pozbawione wyrazu oczy zatrzymały się na chwilę na eteryku. Potem Sycorax Cavendish się uśmiechnęła. Grimm pomyślał, że nigdy w życiu nie widział okrutniejszego wyrazu na żadnej ludzkiej twarzy.

Potem zwróciła się w stronę kapitana. Jej uśmiech przypominał mu naładowaną rękawicę, gotową do uwolnienia energii.

- Kapitanie Grimm - rzekła. - Jakże się cieszę, że znowu mogę cię ujrzeć. Masz naprawdę piękny statek. Proszę o pozwolenie wejścia na pokład, celem negocjacji.

Grimm zwrócił lekko głowę w stronę mistrza Ferusa, ale ani na chwilę nie odrywał wzroku od Sycorax Cavendish.

- Mistrzu, czy mamy ją załatwić?

- Nie możecie tego zrobić - odparł Ferus przepojonym emocjami głosem. - Brak wam odpowiednich narzędzi.

Kapitan zmarszczył brwi.

- Zatem uważasz, że powinniśmy z nią negocjować?

- Miłosierni Budowniczości i Boże w Niebiosach, nie - wyszeptał w odpowiedzi Ferus. - Nie wolno jej ufać. Zaproponuj jej herbatę.

- A w jakim celu?

- Ma nad nami przewagę, kapitanie. W przeciwnym razie by tu nie przyszła. Chce rozmawiać, bo inaczej po prostu by nas zaatakowała. Przekonajmy się, co ma do powiedzenia.

- Czy jest niebezpieczna dla moich ludzi? - zapytał kapitan.

Mistrz Ferus odsłonił na moment zęby.

- Dla wszystkich ludzi. Zaproś ją na herbatę, dopóki wiatr się nie zmieni. - Dotknął ramienia Grimma. — Kapitanie, musimy być uprzejmi - dodał cichszym głosem.

Grimm przyglądał się przez chwilę staremu eterykowi z zasepioną miną. Wreszcie skinął głową. Potem odwrócił się i ukłonił uprzejmie kobiecie.

- Udzielam ci pozwolenia, madame Cavendish. Witaj na pokładzie *Drapieżcy*. Czy mógłbym cię namówić na filiżankę herbaty?

Sycorax Cavendish weszła na pokład statku Grimma. Jej uśmiech nie tyle się poszerzył, co zaostriął.

- To bardzo uprzejma propozycja. Tak, kapitanie z wielką chęcią napiję się herbaty. Niezmiernie mnie ucieszyłeś.

Grimm stłumił dziwne, nagłe przerażenie i zaoferował kobiecie ramię. Przyjęła je. W chwili kontaktu odniósł wrażenie, że jego ciało kurczy się gwałtownie, by uniknąć dotyku jej palców.

Nie pozwolił jednak, by te odczucia przeniknęły do jego głosu.

- Tędy, madame, jeśli łaska. Jeśli wolno mi zapytać, wolisz herbatę z cukrem, czy z miodem?

ROZDZIAŁ 46

Kasztel Albion, Statkownia Kondygnacji Lądowiska, SHA *Drapieżca*

Grimm z zasady nie lubił ekstrawagancji. Mimo to miał całkiem ładny imbryk.

Urządzenie zbudowano specjalnie z myślą o wykorzystaniu na pokładzie sterowców. Podłączano je do elektrycznej sieci statku za pomocą dwóch smukłych miedzianych prętów. Prąd napływał do spirali, na której stał miedziany czajnik i w niespełna minutę nagrzewał wypełniającą go wodę do idealnej temperatury, po czym wyłączał się automatycznie. Ponieważ był to luksusowy model, wyposażono go w umieszczone z boku pokrętło, pozwalające nastawiać imbryk stosownie do wysokości, na której znajdował się sterowiec, by woda zawsze miała odpowiednią temperaturę.

Grimm zagrzał wodę, a potem dodał liści i pozwolił, by herbata naciągała przez pewien czas. Następnie przyniósł ją do ustawionego w kabinie stolika, za którym siedzieli mistrz Ferus i madame Cavendish.

- Och, czy to model Fedori z Kasztelu Jereezi? - zapytała madame Cavendish, przyglądając się z zainteresowaniem imbrykowi. - Zastanawiałam się, czy nie kupić sobie takiego do wykorzystania w podróży, ale w większości sterowców nie ma dopływu prądu w kabinach dla pasażerów.

- Obawiam się, że pobłążam sobie w tej sprawie - przyznał Grimm. - Nie mam nic przeciwko temu, że czasem ominie mnie posiłek, ale po prostu nie potrafię żyć bez filiżanki dobrej herbaty po południu.

- Przynajmniej w tej sprawie zgadzamy się ze sobą, kapitanie - oznajmiła stanowczo madame Cavendish.

- Zechciałbyś nalać, mistrzu Ferusie? - zapytał Grimm.

- Oczywiście — zgodził się eteryk i nalał wszystkim herbaty. Jego twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu.

- Obawiam się, że śmietanka nie jest zbyt świeża - przyznał kapitan - Ale chyba mówiłaś, że wolisz herbatę z miodem, madame.

- Poproszę - odparła kobieta, podsuwając filiżankę Grimmowi.

Kapitan wylał z ceramicznej miseczki niemal cały drogi miód, który mu pozostał, i przelał go do stojącej na spodku filiżanki.

- Mistrzu Ferusie? - zapytał.

- Z cukrem, jeśli łaska - odparł eteryk.

Grimm obsłużył oboje gości, dodał do swojej filiżanki po odrobinie cukru i miodu, a potem postawił ją na spodku, podobnie jak pozostali, by herbata trochę ostygła.

- Muszę zauważyć - odezwała się madame Cavendish - że biorąc pod uwagę, jak wielu innowacji dokonano w dziedzinie prostych, ułatwiających życie na sterowcach sprzętów, wydaje się, że napędzane elektrycznością urządzenia, takie jak twój piękny imbryk, kapitanie, mogłyby również znacznie udoskonalić styl życia mieszkańców kaszteli.

- Być może w bardziej pokojowym świecie byłoby to możliwe, madame.

-Tak?

- Kryształy mocy są cennymi zasobami - wyjaśnił Grimm. - By je wyprodukować, potrzeba bardzo

wiele czasu i w związku z tym wykorzystuje się je niemal wyłącznie na pokładach sterowców, a w dzisiejszym, pełnym niepokojów świecie rozbudowa floty musi być dla wszystkich kaszteli absolutnym priorytetem.

W oczach madame Cavendish pojawiły się błyski wesołości, raczej nie harmonizujące z tematem rozmowy.

- Śmiem twierdzić, że ku wielkiej szkodzi biednych obywateli. Tych, którym floty sterowców ponoć służą i których bronią.
- Konieczność i przetrwanie muszą mieć pierwszeństwo przed wygodą, madame Cavendish.
- Ale najwyraźniej nie dla kapitanów sterowców. Pomyśl o Kompanii Fedori. O tym, jak szybko mogłaby się rozwijać, gdyby miała dostęp do tak wielkiego rynku zbytu. Kto wie, jakie inne produkty mogłaby stworzyć? Udostępnienie ich mieszkańcom wszystkich kaszteli mogłoby zapoczątkować nową erę pokoju i dobrobytu.

- Nieźle to sformułowałaś, Coro - wyszeptał mistrz Ferus. - Mógłbym niemal pomyśleć, że w to wierzysz.

Madame Cavendish uniosła nos i powęszyła lekko.

- Zawsze miałeś o mnie jak najgorsze zdanie, Efferusie.
- I rzadko się zdarzało, żebym się mylił - odparł Ferus.
- Twoje pomysły brzmią bardzo dobrze - wtrącił gładko Grimm. -W teorii. Obawiam się jednak, że nie wytrzymałyby zderzenia z twardą rzeczywistością.
- Masz sporo racji, kapitanie - przyznała madame Cavendish, cały czas wlepiając twarde spojrzenie w mistrza Ferusa. - To samo dotyczy wielu teorii.

Stary eteryk zdołał się nie wzdygnąć na jej słowa, ale Grimm zauważył, że na jego twarzy powoli uwidacznia się zastarzały ból. Ferus spojrział na madame Cavendish.

- No wiesz, stosunki między nami nie muszą tak wyglądać. Przyszłość ma wiele odgałęzień.
- Nie, Efferusie — ucięła kobieta.

Grimma zdumiała ilość jadu, jaki zdołała zawrzeć w tych dwóch prostych słowach. Ociekały nim do takiego stopnia, że omal nie zajrzał pod krzesło, na którym siedziała, by sprawdzić, czy nie ma plam na pokładzie.

Mistrz Ferus skinął z westchnieniem głową.

- Zatem nigdy nie opanowałaś Wzroku.
- Może miałam kiepskiego nauczyciela? - odparła ze spokojem. - Niemniej z czasem nauczyłam się stwarzać przyszłość, jakiej pragnę.
- Och, Coro - mruknął Ferus. - Tak to nazywasz? Stwarzaniem?
- Budowa nowego świata nigdy nie jest łatwa, mój stary przyjacielu -ciągnęła. Kącików jej ust dotknął cień lekkiego uśmiechu. - W przeciwnym razie trudno by to było nazwać dobrą zabawą.

Jako lojalny syn Albionu Grimm wiedział prawie co do sekundy, w której chwili jego herbata ostygnie wystarczająco, by można było ją pić. Uniósł filizankę i dwoje gości zrobiło to jednocześnie z nim. Pociągnęli po łyku.

Madame Cavendish zamknęła oczy z przyjemności, ale po chwili je otworzyła.

- Czy przejdziemy do rzeczy? - zapytała.
- Oczywiście - zgodził się mistrz Ferus. — Od czego proponujesz rozpocząć negocjacje?

Sycorax Cavendish uniosła brwi.

- Och, Efferusie, obawiam się, że źle mnie zrozumiałeś. Nie przyszedłam tu po to, by negocjować.
- W takim razie, jeśli mogę być tak śmiały, po co właściwie przyszłaś?

Pociągnęła kolejny łyk.

-To Dubain, prawda?

— Masz bardzo czułe podniebienie — pochwalił ją Grimm. — Ale nie odpowiedziałaś na pytanie.

- Po kolekcję Efferusa.

Stary eteryk zeszywniał na krześle, zamaskował jednak swą reakcję kolejnym łykiem herbaty.

- A z jakiego powodu uważasz, że ci ją oddam?

- Dlatego, że jeśli tego nie zrobisz, dwie młode, piękne kobiety z waszej ekipy nie zjedzą już kolejnego posiłku — wyjaśniła z miłym uśmiechem madame Cavendish.

Ferus gapił się na nią przez krótką chwilę.

— Uwolnisz je, jeśli ci ją oddam?

— Wybacz — rzekła do Grimma madame Cavendish. — Obawiam się, że Efferusa dotknęły już pierwsze stadia sklerozy. Wyjaśniłam mu, że to nie są negocjacje. — Przeniosła spojrzenie na starego eteryka. — Mam je — oznajmiła spokojnym, powolnym głosem. — Mogę je zabić jedną myślą i zrobię to, jeśli nie oddasz mi swojej kolekcji, natychmiast i bez sprzeciwu.

— A jeśli to zrobię? — zapytał Ferus ostrzejszym tonem.

-Jeśli to zrobisz, jeśli cenisz ich życie, będę mogła dalej swobodnie robić, co tylko zechcę. Może je nawet oszczędzę, gdy już osiągnę swoje cele.

— Znam cię, Coro — stwierdził eteryk. — Oferujesz mi bardzo niewielkie szanse ich ocalenia.

Jej oczy przybrały nagle wyraz ostry jak kawałki szkła.

— Nie, Efferusie. Oferuję ci jedynie absolutną pewność ich śmierci, jeśli mi odmówisz.

Starzec pochylił głowę, nie odzywając się ani słowem.

Madame Cavendish oparła się wygodnie na krześle. Na jej twarzy malowało się zadowolenie.

- Rzecz jasna nie musisz tego robić. Żadna z tych dziewczyn nie jest na dłuższą metę ważna dla twojej kampanii. Wystarczy, że zadasz sobie jedno proste pytanie, Efferusie.

- Tak? - zapytał eteryk. - A jak ono brzmi?

- Czy potrafisz zdobyć się na to, by złożyć w ofierze dwie uczennice w ciągu jednego życia?

Tym razem starzec się wzdrygnął, jakby został spoliczkowany.

- Wybaczcie - wyszeptał Grimm.

Wstał, i unióś imbryk, by postawić go z powrotem na grzejniku. Wyjął z niego siatkę z liśćmi herbaty i polał ją wodą z dzbanka, by ją oczyścić. Następnie umył imbryk, odstawił go i oparł dłoń o szafkę, w miejscu niewidocznym dla tych, którzy siedzieli przy stoliku.

- Ach, żołnierskie myślenie - odezwała się madame Cavendish.

Grimm zerknął na nią. Ani na moment nie oderwała spojrzenia od mistrza Ferusa.

- Kapitanie - ciągnęła kobieta - możesz wyciągnąć ten pistolet, jeśli zechcesz, ale zapragniesz natychmiastowej śmierci, zanim zdążysz we mnie wycelować i nacisnąć spust.

- Jesteś wrogiem Kasztelu Albion, madame, i czynnym sprzymierzeńcem jego nieprzyjaciół. Oczywiście, zakładam, że to ty kierowałaś aurorańskimi niszczycielami podczas ataku na statkownię.

Madame Cavendish przechyliła głowę z miłą miną. Nadal ani na chwilę nie spuszczała wzroku z Ferusa.

- To robota tego pająka ze szczytu kasztelu, prawda? Zawsze miał smykałkę do wybierania zdolnych agentów. Dziwię się, że ośmielił się w to wmieszać.

- Jakże słabo znasz Addisona, Coro - odrzekł cicho mistrz Ferus.

Grimm czuł pod palcami chłodny dotyk rękojeści ukrytego pistoletu.

Schował go tam na wypadek, gdyby Calliope rzuciła się na niego - jeśli nawet nie niespodziewanie, to przynajmniej nagle. Tylko głupiec próbowałby strzelać do eteryka z rękawicy. Broń palna - prostsza, choć niekiedy zdradziecka w działaniu, znacznie lepiej nadawała się do tego zadania.

-Jestem pewien, że ktoś tak inteligentny jak ty, madame, rozumie dylemat, przed którym stanąłem.

- Tak - odparła z ironią. - Ale jesteś za mało przenikliwy, by zrozumieć sytuację. Czy naprawdę wierzysz, że wsiadłabym na pokład twojego statku, nie podjąwszy środków ostrożności?

- Czy zechciałabyś wyrażać się jaśniej?

- Jeśli nie opuszczę bezpiecznie tego sterowca przed upływem kwadransa, umieszczeni w pobliżu obserwatorzy zawiadomią moich sojuszników i te dwie dziewczyny zginą straszliwą śmiercią.

Grimm patrzył na nią ze spokojem, rozważając stojące przed nim opcje.

Z pewnością była zdolna i niebezpieczna. Mistrz Ferus najwyraźniej bardzo się jej obawiał. Grimm nie wątpił, że nakazałaby egzekucję panny Tagwynn i panny Folly z zaangażowaniem emocjonalnym nie większym, niż gdyby prosiła o filiżankę herbaty. Sprawiała też wrażenie inteligentnej. Nietrudno mu było uwierzyć, że podjęła środki ostrożności mające zabezpieczyć ją przed atakiem.

Ale z drugiej strony...

Miał bardzo niewiele wyrozumiałości dla tych, którzy byli gotowi odbierać innym życie dla zaspokojenia własnych ambicji. Siedziała niespełna siedem stóp od niego. Mógłby wyciągnąć pistolet i wystrzelić w jedno uderzenie serca, a następnie rozkazać swoim ludziom przeczesać port i złapać szpiegów madame Cavendish, zanim zdążyliby złożyć raport Auroranom. Następnie można by wyciągnąć informacje z obserwatorów i pośpieszyć na ratunek obu dziewczynom.

Taki bieg wydarzeń wydawał się mało prawdopodobny, biorąc pod uwagę możliwości ich wroga, reakcja Ferusa sugerowała jednak, że jeśli zostawi obie młode kobiety na łaskę i niełaskę madame Cavendish, ich szanse będą równie znikome.

Być może mówiła prawdę i była w stanie go powstrzymać. Eteryki byli w stanie dokonać rzeczy zdumiewających dla większości ludzi. Grimm nie miał jednak na to dowodu. Czyż nie miał obowiązku przynajmniej podjąć próby wyeliminowania wroga swego kasztelu?

Przymrużył powieki. A co najważniejsze, nikt nie będzie mu wydawał rozkazów na pokładzie jego statku.

Dotknął rękojeści pistoletu i zaczął się obracać, by wyciągnąć broń z ukrytej kabury.

- Stój, kapitanie - odezwał się mistrz Ferus nagle ostrzejszym tonem. - Nie strzelaj.

Ferus również nie patrzył na niego. Ten fakt poirytował nieco Grimma. Nawet jeśli oboje byli eterykami, powinni przynajmniej na niego zerknąć, by się zorientować, co robi, niech to szlag.

- Ona mówiła prawdę - ciągnął Ferus bardzo cichym głosem. - Nie zdołałbyś wystrzelić. A gdybyś spróbował, spotkałby cię los gorszy od śmierci.

Madame Cavendish rozchyliła nagle usta w szerokim uśmiechu.

Ferus pokręcił głową.

- Kapitanie, czy mógłbyś rozkazać wytoczyć na pokład dwa wózki, które mam w swojej kabinie?

- Słucham? - zdziwił się Grimm.

- Mam wrażenie, że kasztelan rozkazał ci wspierać moją misję - przypomniał mu eteryk. - Czyż nie tak?

Grimm wypuścił powoli powietrze z płuc. Następnie zdjął rękę z pistoletu i opuścił ją.

- W rzeczy samej.

- Rozwiążemy to jak cywilizowani ludzie - ucieszyła się madame Cavendish. Następnie odstawiła spodek z filiżanką i splotła dłonie przed sobą. - Kazałam tragarzom na nie czekać, Efferusie.

Mistrz Ferus wstał razem z nią i skinął krótko głową.

- Zróbmy to więc. - Zaczekał, aż kobieta zwróci się ku wyjściu, zanim zawołał ją cicho: - Sycorax.

Madame Cavendish zatrzymała się i odwróciła do niego.

- Jeśli tym dziewczynom stanie się coś złego, na całym świecie nie znajdziesz miejsca, w którym zdołasz się przede mną ukryć.

Uniosła ze spokojem podbródek.

-To nie ja żyłam w ukryciu, starcze.

Ferus zazgrzytał zębami. Potem zerknął na Grimma i skinął głową.

Kapitan wyprowadził madame Cavendish z kabiny. Wszystko załatwiono bardzo szybko. Małe wózki wypełnione wysokimi stertami przypadkowo z pozoru dobranych przedmiotów stoczyło po trapie dwóch

tragarzy z jednej z miejscowych kompanii.

Uśmiechnięta madame Cavendish odprowadzała ich wzrokiem. Po chwili poprawiła mankiety rękawów.

- Kapitanie Grimm - wyszeptała. - Bądź rozsądny. Pożyj jeszcze chwilę dłużej. Nie opuszczaj statku. Nie próbuj mnie śledzić.

- Zrobię, co będzie konieczne, madame - odparł Grimm i ukłonił się uprzejmie.

Odpowiedziała mu płytkim, zamyślonym skinieniem głowy i opuściła statek po trapie.

Gdy tylko zniknęła mu z oczu, Grimm odwrócił się na pięcie i pomaszerował z powrotem do kabiny.

- Mistrzu Fergusie, wysłemy oddział na brzeg, gdy tylko...

Przerwał nagle. Stary eteryk leżał na pokładzie, zwinięty w pozycji embrionalnej, i trzymał się za brzuch. Kołysał się, jakby cierpiał straszliwy ból, i płakał bezgłośnie.

- Nie mogę - mówił. - Nie mogę. To nie jest, grymaśny kapitanie. Po prostu nie dam rady.

Grimm podszedł do starca i uklęknął przy nim.

- Mistrzu Fergusie. Czy mnie słyszysz?

- Słyszę i nieważne - odparł eteryk głosem zniekształconym, jakby przygniatał go jakiś straszliwy ciężar. - Nie będę, nie za, och, potrzebuję trzynastu igieł i kuli z wosku. Szpilek do kapeluszy, kawałka zielonej kredy i dwóch lewych pantofelków.

Grimm zamrugał jeszcze kilka razy. Kolekcja staruszka. Czy to o niej mamrotał? Dlaczego?

To oczywiste, że z tego samego powodu, dla którego madame Cavendish zażądała, by ją jej oddał, pomyślał kapitan. Z pewnością był to dla niego jakiś totem albo fetysz. Potrzebował tych rzeczy, tak samo jak Folly potrzebowała swoich kryształków, by móc się porozumiewać z innymi, a madame Cavendish miała obsesję na punkcie uprzejmości. Obłąd towarzyszył wszystkim eterykom, których w życiu spotkał. Najwyraźniej płacili wysoką cenę za swoją moc.

- Folly zawsze mi je przynosiła. Wybierała je bezbłędnie. A teraz otoczyła ją ciemność i to moja wina, bo ja ją tam wysłałem. - Stary eteryk umilkł na moment, spoglądając na Grimma. - Musisz ją odnaleźć. Musisz zapewnić jej bezpieczeństwo.

- Zrobię to - zapewnił kapitan. - Z całą pewnością.

Ferus pochwycił go kurczowo. W jednej chwili postarzał się o dwadzieścia lat.

- Obiecuj, kapitanie.

Grimm mocno ucisnął dłonie starca.

- Zrobię wszystko, co tylko w mojej mocy. Przysięgam.

Eteryk skinął krótko głową. Potem znowu skrzywił się z bólu i zacisnął mocno powieki, mamrocząc coś gorączkowo pod nosem.

Kapitan pokręcił głową, wsunął zdrową rękę pod leżącego staruszka i podźwignął go na koję. Następnie wyprostował się powoli.

Nie złamie danego Fergusowi słowa, ale wszystko, co w jego mocy, to niewiele, jeśli nie wiedział, dokąd się skierować. Jego plan zakładał, że eteryk pomoże mu zlokalizować nieprzyjaciela. Jak miał teraz odnaleźć miejsce, w którym przetrzymywano dziewczyny, i uwolnić je, unikając jednocześnie wykrycia przez przeciwnika?

Zmniejszył jasność kryształów luminowych w kabinie i wyszedł z niej cicho, pozostawiając Fergusowi jego gorączkowemu mamrotaniu. Nieprzyjaciel przebywał w tej kondygnacji, ale on nie znał dokładnego miejsca jego pobytu. Wrogowie coś kombinowali, lecz on nie znał ich planów i nie wiedział, w którym punkcie mogą uderzyć. Gdy staruszek został wyłączony z gry, Grimma przygniatał ciężar niewiedzy, a jeśli będzie działał na oślep, obie dziewczyny mogą zapłacić za to życiem.

Panna Tagwynn była żołnierką służącą kasztelanowi. Złożenie jej w ofierze dla dobra kasztelu mogło być nieprzyjemną, ale nieuniknioną koniecznością. Uczennica eteryka była cywilem, lecz ona również głęboko zaangażowała się w tę sprawę i pozostawała na służbie kasztelana. Nie poświęci jednak ich

życia, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne.

Zacisnął bezsilnie pięści.

Co miał robić?

Kettle podszedł do niego i zasalutował dziarsko.

- Kapitanie — zameldował. - Mamy tu kota. Cholerne stworzenie przed chwilą wbiegło na pokład.

Grimm skierował spojrzenie na pilota.

- Pokaż mi go.

ROZDZIAŁ 47

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska, tunele wentylacyjne

Związana i uwięziona Bridget siedziała bez słowa. Wypełniała ją złość. To było jeszcze bardziej irytujące niż za pierwszym razem i niemal równie irytujące.

Poruszała nadgarstkami, próbując poluzować krępujące je rzemienie, ale nie osiągnęła niczego poza jeszcze gorszymi otarciami skóry i bólem barków spowodowanym wysiłkiem.

Wysunęła dolną wargę i zdmuchnęła sobie z twarzy kilka opadających kosmyków. Wysuwające się z warkocza włosy doprowadzały ją powoli do szału, ale ręce miała związane za plecami i połączone rzemieniami z pasem oraz z więzami krępującymi jej kostki, nie mogła więc nic na to poradzić.

Nie miała szans ucieczki.

Poczuła gwałtowny przypływ frustracji, który wypełnił jej brzuch, zmierzając ku gardłu. Wiedziała, że niesie ją fala przerażenia. Serce zabiło jej szybciej, a oczy wypełniły się łzami. Starła się je powstrzymać, lecz nadaremnie.

Chciała tylko wrócić do domu. Do ojca i miejsc, które знаła. Najprawdopodobniej jednak zginie tutaj.

I nie było z nią Rowla.

Na tę myśl z jej ust wyrwał się cichy jęk. Nie zdołała go stłumić, choć bardzo się starała. Potrząsnęła gwałtownie głową. Rozpaczenie z tego powodu było głupotą. Gdyby Rowla również pojmano, z pewnością nie byłby w stanie jej pomóc. Był jednak na wolności i na pewno sprowadzi odsiecz. Być może to właśnie on jest jej najlepszą szansą.

O ile rzeczywiście był wolny.

O ile nieprzyjaciel go nie zabił.

Gwałtownym ruchem głowy przegnała ze swych myśli ogłupiające przerażenie, skupiając się na tym, co zapamiętała z lekcji przetrwania. Najpierw musi się zorientować, czym dysponuje.

Choć ją związano, nie odniosła poważnych obrażeń. Nie postrzelono jej ani nie dźgnięto. Zważywszy wszystko razem, to był całkiem niezły początek. Była uwięziona w ciemnym tunelu wentylacyjnym, który nieopodal zabarykadowano potężną stertą gruzu. Zabrano jej rękawicę, a także mieszek i sakiewkę, ale nieprzyjacielscy żołnierze nie znęcali się nad nią ani nie rozebrali jej do naga. Dobre i to. Wysoki genetyczny wojownik zraniony przez Gwen w Kondygnacji Poranka - ten, który zapewniał, że jest mordercą, ale nie gwałticielem - był jednym z ludzi, którzy skrupowali ją po zaprowadzeniu do tunelu.

Od strony wejścia - zasłoniętego brezentem rozpiętym na jakiejś lekkiej konstrukcji - napływała odrobina światła. Przesączaający się przez zasłonę blask był tak słaby, że ledwie widziała zarysy własnego ciała. Jej towarzyszka była tylko nieruchomą plamą, spoczywającą na podłodze obok.

- Folly - odezwała się cicho, ponawiając próbę. - Jesteś przytomna?

Leżąca na podłodze postać nie poruszyła się. Bridget usłyszała cichy, ledwie ludzki jęk, jakby uczennica eteryka cierpiała straszliwy ból. Widziała, jak żołnierze zabrali nieprzytomnej Folly wszystkie rzeczy. Gdy po jakiejś godzinie dziewczyna się ocknęła, miotła się przez chwilę, wydając z siebie

gorączkowe, zwierzęce dźwięki. Potem z jej ust popłynęło ciche zawrodozenie czystej rozpaczy.

Na koniec po prostu znieruchomiła.

Bridget czuła się obrzydliwie zmęczona. Pragnęła jedynie położyć się na boku i zasnąć. Choć jednak była dopiero początkującą agentką kasztelana, była przekonana, że rozumie swe obowiązki w wystarczającym stopniu, by wiedzieć, że spanie w chwili, gdy jej samej i całemu kasztelowi grozi straszliwe niebezpieczeństwo, byłoby nieprofesjonalne.

Zamknęła na chwilę oczy, choć to właściwie nic nie zmieniło, a potem zmusiła mózg do pracy. Czy miała do dyspozycji coś jeszcze?

Po chwili rozchyliła powieki. Tak jest, miała, choć nie była pewna, czy to się jej na cokolwiek zda. W kieszeni jej bolerka znajdował się mały kryształ luminowy. Co prawda nawet gdyby zdołała go stamtąd wyjąć, jego blask nie pokazałby jej nic, czego nie widziała już przedtem, ale zawsze to coś.

Być może to właśnie światła w ciemności potrzebowała najbardziej

Spróbowała się położyć i zwinąć na boku. Następnie przetoczyła się na plecy, choć ramiona ją od tego bolały, i zaczęła poruszać łokciami, starając się wytrząsnąć kryształ z kieszeni.

Gdyby ktoś ją w tym momencie zobaczył, z pewnością parsknąłby śmiechem.

Po paru chwilach trudnych i niewygodnych ruchów poczuła się tak, jakby nadgarstki związano jej nie rzemieniami, lecz rozżarzonym miedzianym drutem. Wreszcie jednak usłyszała stukot kryształka padającego na podłogę z kasztelowego kamienia.

Następny etap był trudniejszy. Musiała odnaleźć kryształek, poszukując go na oślep palcami związanych za jej plecami dłoni, szurając jednocześnie pośladkami po podłodze. Hipotetyczny obserwator tarzałby się ze śmiechu.

W dodatku włosy wciąż opadały dziewczynie na oczy. To doprowadzało ją do szału. Wreszcie jednak wymacała okruszek koniuszkami palców i wysiłkiem woli pobudziła go do życia.

Korytarz wypełniło blade światło. Z ust dziewczyny wyrwało się ciche westchnienie. Na moment poczuła dreszcz triumfu, który jednak szybko ustąpił miejsca fali osłabienia. Mało brakowało, by jednak zasnęła.

Zdołała się jednak odwrócić i przyjrzeć uważnie Folly.

Uczennica eteryka leżała na podłodze, zwinęta w pozycji embrionalnej. Jej oczy, choć otwarte, wpatrywały się w pustkę. Skórę miała bladą, niemalże szarą. Przez krótką przerażającą chwilę Bridget myślała, że jej towarzyszka nie żyje, potem jednak zauważyła, że klatka piersiowa dziewczyny porusza się w płytkim powolnym oddechu. Omal nie popłakała się z ulgi.

- Folly - odezwała się. - Folly.

Uczennica eteryka zatrzepotała powiekami. Jej oczy przez kilka sekund poruszały się bezładnie, jakby nadal otaczała ją ciemność. To była jej cała reakcja.

Bridget przygryzła wargę, a po chwili pokręciła głową.

- Och, oczywiście. Zabrali ci kryształy. Nie masz z kim rozmawiać.

Oczy Folly wypełniły łzy. Dziewczyna powoli pokręciła głową, tylko jeden raz.

Bridget pogrzyżała się w zamyśleniu.

- Folly - odezwała się po chwili. - Słyszysz mnie, prawda?

Uczennica eteryka spoglądała na nią przez kilka sekund. Potem zamrugała.

Bridget próbowała uśmiechnąć się do niej ciepło.

- Mam tu kryształ, ale za chwilę go wyrzucę - oznajmiła. - Słyszysz? Wyrzucam go. Już nie jest mój.

Folly otworzyła szeroko oczy.

Bridget przesuwiała się przez chwilę, aż wreszcie mogła ująć pewnie kryształ w palce i rzucić go przyjaciółce.

- Och! - zawołała Folly, gdy kryształ luminowy wylądował przed nią. - Och, spójrz tylko, jaki jesteś samotny. I pokrywa cię krew. Jestem pewna, że to dla ciebie szkodliwe, a przynajmniej przedwcześnie.

Przesuwała się z wysiłkiem ku kryształkowi, aż wreszcie jej skulone ciało otoczyło go ochronnym półokręgiem. Bridget powoli odetchnęła. Ogarnęła ją ulga. Nagle szeroko otworzyła oczy. Krew? Przyjrzała się kryształkowi i zobaczyła na nim świeże szkarłatne plamy.

Jej krew. Z pewnością więzy poraniły jej nadgarstki, gdy usiłowała się od nich uwolnić.

- Folly, czy widzisz moje ręce? - zapytała.

Uczennica eteryka spojrzała na towarzyszkę. A potem westchnęła.

-Ach, biedna Bridget. Na pewno bardzo ją bolało.

- Czy mocno krwawię?

Dziwna dziewczyna pokręciła głową.

- Nie sądzę, by to zagrażało jej życiu.

-W porządku, Folly. Muszę się dowiedzieć, co się dzieje. Dlaczego ze mną nie rozmawiasz?

-Już to wiedziała - stwierdziła Folly, spoglądając z zasepioną miną na kryształek. - Sama to

powiedziała.

- Wiem, dlatego, że nie masz tu kryształów - przyznała Bridget. - Ale muszę się dowiedzieć, dlaczego ich potrzebujesz, żeby rozmawiać. Muszę zrozumieć.

Folly zmarszczyła brwi. Milczała tak długo, że Bridget pomyślała, że mogła nie usłyszeć pytania.

Wreszcie otworzyła usta i zaczęła mówić - bardzo powoli, jakby dobierała słowa z nadzwyczajną starannością.

- Bridget nie rozumie, jak wielkie zniszczenia powoduje w umyśle eteryczna energia. Nie zdaje sobie sprawy, że za moc trzeba płacić. Zawsze, zawsze płacić. Że ona jest bardzo ciężka i wciąż robi dziury dziury i dziury w całym wnętrzu głowy. — Folly zadrzała. — I nie ma pojęcia, że trzeba je czymś zatkać, bo inaczej się w nie wpadnie i będzie się spadać, spadać i spadać bez końca.

- Nie chodzi tylko o mowę — zorientowała się Bridget. — Nie byłeś w stanie nic zrobić.

Folly ponownie zadrzała.

- Spadałam i spadałam - wyszeptała do kryształka. - Leżałam tutaj, ale ciągle spadałam.

Bridget powoli nabrała powietrza do płuc.

- Och - wyszeptała. - Nie wiedziałam.

- Nie rozmawiamy o takich sprawach zbyt często — odparła poważnie Folly. - To niestosowne.

Zwłaszcza przy kimś, kto praktykował dłużej od ciebie.

- Jak mistrz Ferus? - zapytała Bridget.

- Tak. Jak mój biedny mistrz. On już w większości składa się z dziur. A mimo to trzyma się w całości, czystą siłą woli. — Folly przygryzła wargę. -No wiesz, większość eteryków w końcu spada. Tak właśnie umierają. Spadają, leżąc w łóżku. Kiedy się spada, nie można jeść. Kiedyś mnie również to spotka i nie będę mogła wrócić. - Zamknęła na moment oczy. - Pamiętaj podziękować Bridget w moim imieniu - wyszeptała do kryształka. - Jest bardzo dobra.

- Jesteśmy przyjaciółkami - odparła była kadziowniczka. — Nie musisz mi dziękować.

Folly uśmiechnęła się lekko. Następnie poruszyła głową i dotknęła policzkiem kryształka. W korytarzu znowu zapadła ciemność.

Po chwili od strony zasłon dobiegł nagły dźwięk. Genetyczny wojownik o nazwisku Ciriaco wsadził głowę do korytarza. W ręce trzymał własny kryształ luminowy. Przez chwilę łypał podejrzliwie na obie dziewczyny, ale nie podszedł bliżej.

- Siedźcie cicho - warknął tylko i oddalił się, zasuwając za sobą brezent.

Po chwili Folly uniosła głowę.

- Nie martw się - rzekła cicho. - Nie pozwolę złym ludziom cię skrzywdzić.

No cóż, pomyślała była kadziowniczka, udało mi się poprawić sytuację.

Miała teraz zdolną do działania sojuszniczkę, choćby nawet związaną równie mocno, jak ona sama.

Gdyby nie więzy, ich położenie nie byłoby aż tak beznadziejne. W porządku. W jaki sposób mogłaby się

od nich uwolnić? Co w podobnych przypadkach robiły bohaterki książek i dramatów?

No cóż, najczęściej posługiwały się swym kobiecym urokiem, obiecując mężczyznom, którzy je uwięzili, miłosne nagrody, by zwrócić się przeciwko nim w odpowiedniej chwili (rzecz jasna zanim będą zmuszone poświęcić własną cnotę dla sprawy).

Bridget dopiero niedawno została agentką kasztelana, wiedziała jednak wystarczająco wiele, by zdawać sobie sprawę, że podobny plan ma niewielkie szanse powodzenia. Nawet gdyby Ciriaco był podatny na jej wdzięki, nie musiałby zdejmować jej więzów, prawda? Poza tym, jaki profesjonalny strażnik dałby się nabrać na podobną sztuczkę?

Co więcej, Bridget nie była bynajmniej pewna, czy w ogóle ma kobiece wdzięki. A nawet gdyby je miała, w realnym życiu z pewnością nie okazałyby się równie skuteczne jak w opowieściach i sztukach teatralnych.

Rzemienie. Powinna wiedzieć, co w tej sprawie zrobić. Jednym z elementów procesu hodowli wielkich płatów mięsa w kadziowni było zbieranie skóry porastającej je, kiedy dojrzewały. Jej ojciec oddzielał skórę od mięsa kilkoma długimi, wprawnymi cięciami oraz szybkimi, bezbłędnymi pociągnięciami. Rzecz jasna, nie garbowali jej na miejscu, by uczynić ją zdatną do użytku, lecz oddawali garbarzowi, z którym mieli umowę, ale...

No oczywiście. Skórę trzeba było przechowywać w balii wypełnionej bardzo rozcieńczonym roztworem, żeby nie wyschła. Wyschnięta kurczyła się mocno, a zwilżona się rozciągała.

Bridget znowu zaczęła poruszać nadgarstkami, tym razem ze wszystkich sił. Czuła ból, ale nie dbała o to.

- Ojej - odezwała się Folly. - Ona pogarsza sprawę. Powinna przestać.
- Nie - sprzeciwiła się Bridget. Czuła strumyki krwi spływające bezgłośnie po wewnętrznych powierzchniach jej dłoni i wiedziała, że z pewnością płyn wsiąka w skórę rzemieni.
- Folly, musisz mi powiedzieć, kiedy więzy zrobią się zupełnie mokre.

Uczennica eteryka skierowała na przyjaciółkę swe dziwne różnobarwne oczy.

- Ojej. Hmm. Lewe potrzebują trochę więcej, nie sądzisz?
- Świetnie - odparła Bridget i skupiła się na szarpaniu i kręceniu przede wszystkim lewym nadgarstkiem. Wydawało się jej, że męki, które sama sobie zadawała, ciągną się bez końca, w końcu jednak Folly powiedziała:

- Powinna spróbować teraz.

Była kadziowniczka podziękowała jej skinieniem głowy. Zamknęła oczy i pochyliła się, a następnie, bardzo powoli, zaczęła rozciągać więzy.

Ból był straszliwy, i to nie tylko w nadgarstkach. Mięśnie ramion i barków płonęły od wysiłku. Bridget była silną dziewczyną, wystarczająco silną, by zarzucić na plecy sto pięćdziesiąt funtów mięsa i zanieść je z kadzi na stół do krojenia, bez potrzeby odpoczynku. Nigdy też nie uważała, by było w tym coś nadzwyczajnego. Jej ojciec, Franklin, potrafił zarzucić sobie takie płaty na oba barki i zanieść je na miejsce, cały czas rytmicznie śpiewając pieśń pracy. Choć jej siła była znacznie mniejsza, rzuciła ją przeciw aurorańskim więzom, wkładając w to całą swą wytrzymałość, determinację i nieustępliwość.

Choć mięśnie ramion dziewczyny płonęły, więzy zaczęły się rozciągać.

Potrzebowała kilku prób, kilku długich chwil bolesnego wysiłku, ale wreszcie mogła odpocząć, czując, że wilgotne rzemienie zrobiły się zupełnie luźne. Pociągnęła je raz jeszcze i zdołała wysunąć dłonie z więzów.

- Ojej! - zawołała Folly, cicho, lecz radośnie. — Zdumiewające! Powinni opisać to w jakiejś sztuce!

Bridget skrzywiła się, spoglądając na swe zakrwawione nadgarstki i przedramiona.

- No cóż, to przynajmniej dobry początek - stwierdziła, a potem pochyliła się i zaczęła szarpać z determinacją za supły rzemieni krępujących jej kostki.

- Zaczekaj chwilkę, Folly. Potem zajmę się tobą.
- Jak myślisz, czy to coś zmieni? — zapytała uczennica eteryka.
- Przekonamy się, kiedy zwyciężymy.
- Albo przegramy.

- Kiedy zwyciężymy - powtórzyła stanowczo Bridget. W końcu przed zaledwie paroma chwilami była związana, bezradna i sama w ciemności, a teraz widziała, mogła się poruszać i miała przyjaciółkę do pomocy.

Co spowodowało tę zmianę?

Sama to zrobiła. Własnymi siłami. Gdy wewnątrz murów kryli się wrogowie Albionu, praprawnuczka admirała Tagwynna nie chciała po prostu zasnąć. Odpowiedź była prosta, lecz zarazem głęboka.

Bridget spojrzała na uczennicę eteryka i odsłoniła zęby w drapieżnym uśmiechu, mającym przypominać uśmiech Rowła.

-Nie potrafimy przewidzieć, co się wydarzy, Folly. Ale to cholernie pewne, że będziemy wtedy stały na własnych nogach.

ROZDZIAŁ 48

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska, terytorium Dziewięciu Pazurów

Rowl pędził tunelami wentylacyjnymi prowadzącymi ku centrum domeny Dziewięciu Pazurów. Nie dbał o zachowanie ciszy. Najważniejsza była szybkość.

Małymyszcze groziło niebezpieczeństwo. Z pewnością wzięto ją do niewoli, a nie można było liczyć na to, że ludzie zorganizują odpowiednio gwałtowną odsiecz. Mogą zapragnąć darować komuś życie, a Rowl nie był skłonny tolerować niekompetencji, gdy chodziło o jego osobistego człowieka. Dopiero co zdołał ją odpowiednio wyszkolić.

Pierwsi wartownicy Dziewięciu Pazurów usłyszeli go i wynurzyli się z cieni, by go zatrzymać. Jednakże Rowl, kocię Maula, walczył o swoją pozycję, odkąd nauczył się chodzić. Był duży i silny, młody i szybki, a do tego nie miał w tej chwili nastroju na takie drobiazgi, jak przestrzeganie protokołu.

Wydał z siebie okrzyk bojowy. Pierwszemu wartownikowi zostawił oboje oczu, połowę wąsów oraz jedno nieuszkodzone ucho, pozwalając mu uciec. Potem pognął dalej. Zapach krwi na jego futrze skłonił dwóch następnych wartowników do ostrożności. Usłyszawszy syk Rowla, odskoczyli na boki. Potem zaczęli go ścigać, ale ostrożnie trzymali się na dystans.

Książę Cichych Łapek przeganiał strażników, zbierając za sobą korowód ścigających. Płynęły od nich wonie ostrożności, irytacji i rzecz jasna również ciekawości.

Gdy ktoś chciał przyciągnąć uwagę kotów, odwołanie się do ich ciekawości było najskuteczniejszą bronią.

Okrażył całą centralną komorę Dziewięciu Pazurów, wabiąc do siebie wszystkie koty w promieniu tuzinów skoków. Gdy zatrzymał się przed wejściem do komnaty Nauna, miał za sobą setkę wojowników i łowców.

Cała grupa również przystanęła nagle. Dziewięć Pazurów zebrało się, by zobaczyć intruza na własne oczy. Rowl z satysfakcją zauważył, że jest wśród nich nawet pechowy wartownik, który pierwszy stanął mu na drodze.

Dwaj wojownicy, zaliczający się do największych, zablokowali mu drogę. Rowl skończył już z dyplomacją. Ruszył ku nim niespiesznie, jeżąc sierść i poruszając ogonem na boki. Prychnął głośno, by wyrazić swe niezadowolenie.

Jeden z wojowników się wzdrygnął i Rowl natychmiast o nim zapomniał. Ruszył ku drugiemu, wyginając grzbiet. Na jego pazurach lśniła krew.

- Porozmawiam teraz z Naunem - warknął. - Zaprowadzisz mnie do niego.

- Naun nic nie wspo... — zaczął wojownik.

Rowl rzucił się do ataku.

Wojownik wydał z siebie przeszywający pisk bólu. Zatoczył się do tyłu i zaczął kręcić wkoło, rozpaczliwie dotykając rany, którą napastnik zadał mu w oko.

Rowl zwrócił się ku drugiemu strażnikowi, który cofnął się o pół skoku i przyjął pozycję bojową, również wyginając grzbiet.

- Porozmawiam teraz z Naunem — oznajmił mu dokładnie tym samym tonem co przed chwilą. - Zaprowadzisz mnie do niego.

Wyraźnie niezadowolony wojownik przesuwiał spojrzenie między Rowlem a rannym towarzyszem.

Jego futro nagle oklapnęło. Odwrócił wzrok, poruszając ogonem na lewo i prawo.

- Tędy - oznajmił. - Idź za mną, nieznajomy.

Rowl natychmiast skoczył mu na grzbiet i zacisnął mu zęby na karku. Mógł zadać mu śmierć, gdy tylko zechce. Wojownik pisnął jak małe kociąt-ko i rozpląszczył się na podłodze.

- Jestem Rowl, kocię Maula z Cichych Łapek z Kondygnacji Poranka i nie mam ochoty tolerować bezczelności. Rozumiesz?

- Rozumiem, Rowlu - wysyczał wojownik.

- Pobiegnij do swojego wodza i zawiadom go o moim przybyciu - warknął Rowl. Ugryzł wojownika w kark i trzepnął go łapą po uszach na pożegnanie.

Kocur popędził przed siebie, a księżę Cichych Łapek podążył spokojnie za nim, jakby nigdzie się nie śpieszył.

Podobnie jak poprzednim razem, ze wszystkich stron otaczały go koty w tym również tuziny małych kociąt. Czuł na sobie ich spojrzenia. Całe szczęście, że z większą dawką przemocy uporał się jeszcze przed wejściem do komory. Kocięta były głupiutkie i z pewnością zaczęłyby go naśladować, gdyby wdał się na ich oczach w walkę z kolejnymi wojownikami.

Wszystkie kocięta musiały się zetknąć z przelewem krwi między kotami, zrozumieć, co on oznacza i dlaczego jest konieczny - ale komnata pełna wystraszonych członków plemienia nie była odpowiednim miejscem, by rozpocząć tę edukację. Skoro już o tym mowa, cieszył się, że Małamyszka nie jest świadkiem tych wydarzeń. Miała bardzo wysoką opinię o kotach i ich zdolnościach rozwiązywania konfliktów bez użycia przemocy. Jej łagodny umysł nie był w stanie pojąć, że jest czas na miękką łapę i czas na krwawe pazury. Wódz - a także kocię wodza — musiał umieć odróżnić jeden czas od drugiego.

Rowl wszedł do środka. Jedna trzecia wojowników klanu podążyła za nim, podczas gdy reszta otoczyła pierścieniem miejsce spotkań Nauna. Księżę Cichych Łapek dotarł nieśpiesznie do środka komnaty i zauważył, że Naun siedzi na stole, kierując na niego nieprzeniknione spojrzenie. Wojownik, którego skarcił Rowl, przycupnął przed Neenem, kocięciem Nauna. Mówił cicho, a futro miał zupełnie gładkie. Natomiast Neen sprawiał wrażenie rozjuszonego.

Pojawiły się zranione przez Rowla koty. Pierwszy z nich był zdrowo potargany, ale w sumie nie ucierpiał poważnie. Drugi mógł stracić zranione przez Rowla oko. Miały pecha. Okrążyły gościa bardzo ostrożnie i dołączyły do swego towarzysza siedzącego obok Neena.

Wódz klanu Naun uważnie przyjrzał się rannym wojownikom. Następnie się wyprostował i owinał ogon wokół łap, chowając pazury. Taka poza z reguły wyrażała pragnienie pokoju albo zamaskowaną furję. Naun świetnie panował nad sobą i Rowl nie był pewien, o który z tych dwóch przekazów chodzi.

- Wodzu Naunie - odezwał się, nie czekając aż tamten przemówi pierwszy. - Na twoje terytorium sprowadzają mnie ważne sprawy.

- Wojownicy - warknął Neen, zwracając się do wypełniających komorę kotów. - To stworzenie przelało krew naszych kuzynów. Rozszarpacie je na strzępy.

W całej komnacie rozległo się ciche warczenie. Rowl poczuł coś przypominającego niepokój. Może mu się nie udać pokonać wszystkich członków kasty wojowników Dziewięciu Pazurów tylko własnymi zębami i pazurami, choć nie mógł być tego pewien. Rzecz jasna nie okazał po sobie ani śladu zaniepokojenia. Takich rzeczy się nie robiło. Spojrzał na Nauna i zatrzymał się, owijając ogon wokół łap w zwierciadlanym odbiciu jego pozy

Naun poruszył wąsami z czymś, co mogło być rozbawieniem. Potem z głębi jego piersi dobyło się warknięcie. Wszystkie koty w sali umilkły i znieruchomiały.

- Wysłucham obcego z Cichych Łapek — warknął wódz klanu.

- Ojczy! — sprzeciwił się Neen.

Naun skierował na swoje kocię spokojne nieruchome spojrzenie.

Neen warknął cicho.

Wódz przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, po czym zwrócił się w stronę Rowla.

-Twoje słowa nie będą znaczyły dla mnie zbyt wiele, jeśli nie przekonasz mnie, że dokładnie rozumiesz kłopoty, które spadły na moje królestwo, młody Rowlu.

Książę Cichych Łapek ziewnął.

- Na twoich poddanych polowano jak na zwierzynę, o Naunie - odparł.

W całej komorze znowu rozległy się warknięcia urażonej dumy.

- Polowano! — powtórzył, po czym wstał i zwrócił się ku najbliższemu z otaczających go kotów. Słowa Rowla mogły być zniewagą, ale pokonał on dwóch wojowników Dziewięciu Łapek, w tym jednego członka osobistej straży wodza, i żaden z nich nie zdołał go choćby drasnąć. Wszystkie koty cofały się przed nim trwożnie. - Polowano! - powtórzył raz jeszcze Rowl, tym razem zwracając się w stronę Nauna. - W przeciwnym razie dlaczego mielibyście zgromadzić wszystkie swoje kocięta w tej komorze, niczym pomiot myszy tunelowych? Chcecie im w ten sposób zapewnić bezpieczeństwo.

Oczy Nauna zmieniły się w wąskie szparki. Po chwili koniuszek jego ogona poruszył się jeden raz na znak potwierdzenia.

-I?

-Twój lud boi się tkaczy jedwabiu oraz ich pomiotu - ciągnął Rowl. -To nie są dzikie stworzenia z powierzchni, lecz broń, pozostająca pod kontrolą człowieka. Człowieka, który zagroził wam śmiercią waszych ko ciąt, jeśli nie zgodzicie się z nim współpracować.

- On nic nie wie o naszych zwyczajach! - warknął Neen, po czym wstał i ruszył w stronę Rowla. - Nie ma pojęcia, co możemy zyskać!

Rowl poruszył wąsami z pełną samozadowolenia miną.

- Zatem zaferowano wam nie tylko pazur, lecz również śmietankę. Co miało być łapówką, która zapewni, że nie będziecie się mieszać w ludzkie wojny?

- Nowe terytoria! — warknął Neen. - Tunele i korytarze, w których nasze plemię będzie mogło polować i krążyć swobodnie. Obszary wolne od ludzkiej plagi!

Rowl spojrzał na niego z niczym niezmaconą pogardą.

- Tak ci powiedział człowiek? Zatem to musi być prawda. - Machnął ogonem w jego stronę, jakby Neen był irytującym kocięciem. - Nie jesteś wojownikiem. Nie jesteś łowcą. Jesteś idiotą.

- Ojczy! - zawołał Neen, zwracając się ku Naunowi. Sierść księcia Dziewięciu Pazurów najeżyła się, dając wyraz jego oburzeniu. - Czy pozwolisz, by mówił takie rzeczy o naszym klanie?

Z gardła wodza wydobył się niski dźwięk. Naun spojrzał na Rowla.

- Kocięta są naszą przyszłością. Co twym zdaniem powinienem uczynić?

- Być dla nich przykładem - odwarknął Rowl tak donośnie, że jego głos poniósł się po całej sali. - Czy pokłonisz się przed wolą ludzi? Czy zaczniesz uczyć kocięta, jak miauczeć i mruścić, by wkupić się w ludzkie łaski? Łapać myszy i zostawiać je jako dary dla ludzi? Odurzać się ludzkimi roślinami i napojami? - Machnął ogonem i wskoczył na meble Nauna, lądując tylko jeden poziom poniżej samego wodza. - Naunie, wodzu Dziewięciu Pazurów, chciałbym, byś im pokazał, co znaczy wolność. Co znaczy być kotem.

Zwrócił się w stronę sali, zanim zdążyły się rozlegnąć syki oburzenia.

- Wspiąłem się po sznurach aż do legowiska tkaczy jedwabiu. - Uniósł przednią łapę, wysuwając pazury - Zabiłem tuziny ich młodych, a moi ludzie zabili setki. One nie żyją. Ich matriarchini gnije martwa w ludzkiej gospodzie. Dojrzali łowcy czają się wokół ludzkiej siedziby. W waszych własnych tunelach. Na terytorium, które ci intruzi wam odebrali! - Zwrócił się błyskawicznie w stronę Nauna. - Teraz kolej na was, Dziewięć Pazurów.

Tkacze nie mają już sił, by zagrozić waszym kociętom. Macie szansę je zniszczyć. Zębami i pazurami policzyć się z każdym, kto chce skrzywdzić wasze potomstwo!

Rozległ się chór podekscytowanych miauknięć i cichych okrzyków bojowych, wystarczająco głośny,

by Naun oderwał spojrzenie od Rowla i rozejrzał się po sali.

Potem wódz znowu spojrzał na niego.

- Czy to prawda? - zapytał, ścisząc głos tak bardzo, że tylko Rowl go usłyszał.

- Na moje łapy i uszy, na wąsy i ogon, wszystko to prawda, o Naunie!

- On kłamie! — wrzasnął Neen. - Chce nas wykorzystać! Przelać naszą krew, by pomóc swoim

ludziom w ich wojnie! Zostawić nasze kocięta bezbronne i pozbawione opieki.

Rowl zwrócił ku niemu głowę. Gniew wyostrzył nagle jego wzrok, a usta wypełniła ślina zrodzona z żądz krwi.

- Mam już dość twojego miauczenia - rzekł.

- Oznajmiam, że to stworzenie jest głupcem! - wrzasnął Neen. - Oznajmiam, że jego usta są pełne kłamstw! Oznajmiam, że nie umie widzieć, słyszeć ani polować! To bezużyteczne stworzenie nic nie wie!

Jego słowa poniosły się echem w ciszy, która nagle zapadła, gdy Neen wygłosił najstraszliwszą obelgę, jaką jeden kot mógł znieważać drugiego.

- To ty jesteś bezużyteczny — mruknął bardzo cicho Rowl.

Zapadła pełna napięcia cisza. Wszyscy czekali.

- Dałeś mi słowo - warknął po chwili Naun, niemal całkowicie zamykając oczy. - Ale jesteś tu obcy. A moje kocię mówi mi, że jesteś pełen kłamstw. Skąd mam wiedzieć, który z was mówi prawdę?

- Jeśli pozwolisz, wodzu klanu — odparł Rowl gardłowym, wibrującym głosem - pokażę ci.

Neen syknął. Włosy na karku mu się zjeżyły, a pazury wysunęły. Był duży. Większy od Rowla. Futro świeciło mu zdrowiem, a pazury były długie i ostre. Znajdował się na swoim terytorium, otoczony wiernymi mu kotami, a do tego nie musiał w ostatnich godzinach stoczyć wielu walk. Był wypoczęty.

Rowl nie miałby szans przeżyć starcia z księciem Dziewięciu Pazurów, ponieważ ze wszystkich stron otaczali go wojownicy i łowcy gotowi wesprzeć jego przeciwnika. Jeśli jednak wódz klanu wyrazi zgodę, będzie miał szansę zwycięstwa w pojedynku, gdy jego rywalem będzie tylko sam Neen.

Naun przyglądał się gościowi przez długą chwilę, jakby czekał na jego choć najdrobniejszy ruch.

Rowl odwzajemniał to spojrzenie z całkowitym spokojem, okazując wodzowi każdą uncję szacunku, na jaką mógł się zdobyć.

- Pozwalam - odezwał się wreszcie Naun.

Rowl, książę Cichych Łapek z Kondygnacji Poranka wydał z siebie śpiewny, gardłowy okrzyk wojenny, a potem skoczył na Neena, wysuwając pazury. Stawką był los Małejmyszki.

ROZDZIAŁ 49

Kasztel Albion, Statkownia Kondygnacji Lądowiska, SHA *Drapieżca*

Gwendolyn otworzyła oczy i niemal natychmiast tego pożałowała.

Nigdy dotąd nie nadużywała wina ani innych trunków, widywała jednak tego skutki u zbrojnych Domu Lancasterów po najrozmaitszych świętach. Zawsze bawiły ją ich skrzywione miny i zielona cera.

W przyszłości zapewne okaże im więcej współczucia.

Światło nie tylko zadawało ból jej oczom, lecz wbijało się w nie niczym stare zardzewiałe miecze. Każde uderzenie serca przeszywało jej czaszkę bólem, który spływał do szyi jak po przewodach. Tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymywała się przed odwróceniem na bok i zwróceniem zawartości żołądka.

Chwileczkę? Czy rzeczywiście się upiła? Ostatnie, co pamiętała, to stary eteryk śpiewający sadystycznie niestosowne zwrotki naprawdę odrażającej aeronautycznej piosenki. Potem...

Potem... pojawiło się olbrzymie stworzenie z powierzchni? To z pewnością musiał być element gorączkowych koszmarów, dręczących ją nie wiadomo od jak dawna. Może jednak był to zwykły kac. Jeśli tak, będzie musiała napisać listy z przeprosinami do Esterbrooka i jego ludzi.

Jęknęła głośno. To również ją zabolalo, jakby na domiar złego w jej żebra i plecy wbiły się płomienne palce. Dotknęła dłonią bolącego miejsca i poczuła coś szorstkiego oraz mocno zawiązanego. Musiała otworzyć oczy, by to zobaczyć. Bandaże. Pod cienką koszulą jej ciało spowijały bandaże, owinięte niemal boleśnie ciasno.

Zatem została ranna. Po pijanemu? Boże w Niebiosach, tylko nie to. Benedict nigdy nie pozwoliłby jej o tym zapomnieć.

Uniosła rękę do głowy i tam również wymacała bandaże. A niech to Wciąż czuła pod czaszką pulsujący ból. Rana głowy? W takim razie może jednak nie okryła się hańbą. Może utraciła pamięć z powodu obrażeń.

Ustaliwszy ten fakt, rozejrzała się po pokoju, w którym się znajdowała. Drewno. Wszystko tu było z drewna - ściany, podłoga i sufit. Jedna ze ścian była lekko zakrzywiona, co świadczyło, że jest grodzią, podłoga pokładem, a sufit... nie była pewna, jak nazywa się sufit na sterowcach. Pewnie „sufit”.

Był tu też drugi lokator, mężczyzna, którego nie znała, sądząc po ubraniu aeronauta z *Drapieżcy*. Był uzbrojony w miecz i rękawicę, ale w tej chwili siedział sobie na krześle i chrapał głośno. Pod oczami miał worki. Biedak był doszczętnie wyczerpany. Jedną z jego nóg również spowijał bandaż. Z pewnością kazano mu pilnować, by nie wstała z łóżka bez konsultacji z lekarzem. Ale tu i tak nie było żadnego lekarza, więc chyba nie miało sensu go budzić. Poza tym miała na sobie bardzo skąpe ubranie.

Usiadła powoli. Na moment dopadły ją szaleńcze zawroty głowy, ale nie trwało to długo. Na pobliskim stoliku stały dzbanek z kubkiem. Okazało się, że w dzbanku jest woda. Wypiła trzy kubki, niemal bez przerwy na oddech, i po paru chwilach poczuła się niemal jak człowiek.

Zauważyła swoje ubranie, leżące w stercie nieopodal. Było na nim pełno plam z... ojej, co mogło mieć taki okropny fioletowy kolor? Do tego śmierdziały obrzydliwie. Skrzywiła się z niesmakiem i odłożyła wszystkie, zabierając tylko rękawicę. Potem przeszukała cicho pomieszczenie i znalazła w

kufrze niezłe męskie ubrania. Włożyła koszulę i spodnie, przekonała się, że wiszą na niej jak małe namioty, w związku z czym poświęciła parę chwil na podwijanie rękawów oraz nogawek. Następnie włożyła rękawicę i poczuła się trochę lepiej, gdy chłodny kryształ dotknął wewnętrznej powierzchni jej dłoni.

Kiedy skończyła, przyjrzała się sobie z uwagą. Matka z pewnością byłaby śmiertelnie oburzona, gdyby ujrzała ją w podobnym stroju. Nie był taki zły.

Gwen opuściła cicho kabinę, by poszukać kuzyna. Benedict z pewnością również będzie kpił z jej stroju, ale on przynajmniej zrozumie, dlaczego go włożyła. Za drzwiami była mgła, rozświetlona blaskiem popołudniowego słońca. Popołudniowego? Jak długo spała? Jej pamięć urywała się około ósmej wieczorem poprzedniego dnia. Niepokoiły ją te białe plamy.

A w jeszcze większym stopniu całkowita pustka, którą zastała na pokładzie *Drapieżcy*.

- Halo? - zawołała.

Nikt jej nie odpowiedział.

Zmarszczyła brwi i zaczęła spacerować po pokładzie. Na masztach nie było nikogo. W mesie i w kambuzie również. Podobnie jak w kabinach dla pasażerów. Drzwi do kabiny kapitana były zamknięte.

Potarła znużone powieki i w tej samej chwili usłyszała stłumiony przez deski pokładu męski głos, powtarzający stłumione przekleństwa. Podeszła do klapy prowadzącej pod pokład. Bluzgi stały się głośniejsze i bardziej wyraźne. Podążyła ku ich źródłu i po chwili znalazła się w maszynowni, bijącym sercu *Drapieżcy*, gdzie powietrze wypełniała nieustanna wibracja aktywnego kryształu rdzenia mocy.

Przez chwilę wydawało się jej, że podłoga jest usłana trupami, ale potem zorientowała się, że to po prostu zmęczeni mężczyźni, którzy położyli się i zasnęli. Kilku z nich chrapało, choć ten dźwięk zagłuszały inwektywy jedyne tu człowieka, który jeszcze trzymał się na nogach.

Był krępy, miał łysą głowę i wielkie, nastroszone wąsy. Kombinezon miał brudny od potu i smaru, a choć nie był szczególnie wysoki, jego dłonie wyglądały na wystarczająco potężne, by mógł kruszyć kryształy palcami. Mężczyzna przykucnął przed półkulą o regulowanych rozmiarach, znaną jako klatka Hasletta, i szarpał się zawzięcie z niewygodnie umieszczoną śrubą utrzymującą na miejscu jeden z prętów. Niełatwo jej było dosięgnąć kluczem, a krótkie i grube ręce nieznanego tylko z oporem przeciskały się między kratami, co dodatkowo utrudniało mu zadanie.

Gwen zbliżyła się do niego, przechodząc nad jednym ze śpiących.

- Przepraszam?

- Co jest? - warknął łysy mężczyzna, nie odrywając spojrzenia od pracy.

- Szukam sir Benedicta Sorellina. Może gdzieś go widziałeś?

- Jest tutaj? - mruknął mężczyzna.

Gwen przyjrzała się leżącemu.

- Nie. Z pewnością nie.

- Zatem moja odpowiedź brzmi tak samo — warknął nieznanemu. Klucz ześliznął się ze śruby, gdy zaczął na niego naciskać. - Ty kurwo! - wrzasnął. - Przekłeta dziwko! Wpędzisz mnie do grobu!

Gwen uniosła brwi ze zdziwienia.

- Przepraszam, sir? Co pan do mnie powiedział?

- Nie mówiłem do ciebie! — ryknął mężczyzna. Cała łysina mu poczerwieniała. - Mówiłem do cholernego statku! - Obejrzał się przez ramię i zamarł w bezruchu, rozdziawiając na chwilę usta. Potem skrzywił się, zwrócił z powrotem do klatki Hasletta i zaczął przeciskać rękę między kratami, próbując dosięgnąć klucza, który przed chwilą wypuścił z ręki. - Rewelacja. Jakbym miał za mało roboty. Muszę się jeszcze użerać z arystokratycznymi bachorami. Kapitan mnie nienawidzi. Na tym polega problem. „Nie możesz iść z nami, Journeyman. Musisz zostać na statku i naprawić go, żebym znowu miał co psuć, Journeyman”. Boże w Niebiosach, ten człowiek mnie nienawidzi.

Ach, więc to był pierwszy mechanik eteryczny *Drapieżcy*, Journeyman. Słyszała, jak wymieniano

jego nazwisko, gdy statek cumował. No cóż, mógł sobie być pierwszym mechanikiem, ale Gwen uważała, że powinna go zdrowo ochrzanić. Jednakże głowa okropnie ją bolała i nie miała ochoty walić nią o żadne metaforyczne mury. Ani o dosłowne, jeśli już o tym mowa.

- Nie chcę przeszkadzać ci w pracy sir. Jeśli powiesz mi, gdzie znaleźć kapitana, natychmiast przestanę ci zawracać...

- Co przestanieś mi zawracać? - zapytał Journeyman, mrużąc podejrzliwie oczy.

- Głowę — dokończyła pośpiesznie Gwen. — Przystanę zawracać ci głowę.

Mechanik ponownie się skrzywił i wrócił do prób wyciągnięcia klucza.

- Kapitan sobie poszedł. Doktor sobie poszedł. Wszyscy aeronauci, którzy trzymali się jeszcze na nogach, sobie poszli. Zostali tylko moi ludzie, ci wynajęci lenie i Tarky, ale on ledwie kuśtyka. To pewnie znaczy, że twój Benedict też sobie poszedł.

- A dokąd?

- Skurwysyński pomiot rekina mgieł i szczura tunelowego! - warknął Journeyman, cofając rękę.

- Och, na Boga.

Gwen westchnęła, podeszła do kratki i — nim mechanik zdążył się sprzeciwić - wsunęła szczupłą rękę między kraty i bez trudu wyciągnęła klucz. Uniosła go w dłoni i podała mechanikowi, rękojeścią do przodu.

Journeyman popatrzył na dziewczynę, strosząc wąsy, i wyrwał jej klucz.

- Nie powinnaś się bawić systemami statku - ostrzegł ją. - Gdybyś musnęła niewłaściwy łuk, spotkałby cię największy wstrząs w życiu.

- Dlatego właśnie nie dotknęłam żadnego z aktywnych łuków - odparła ze spokojem Gwen. - W tej chwili tylko najwyżej położone pręty są pod prądem, tak?

Journeyman opuścił brwi, a potem wstał.

- Hmm. Wydaje ci się, że znasz się na sterowcach, tak?

- O sterowcach wiem bardzo niewiele - odparła dziewczyna. - Ale mam jakie takie pojęcie o ich układach mocy.

- No jasne - skwitował mechanik.

Gwen uniosła brwi.

- Na przykład, wiem, że najwyższy pręt po lewej stronie jest przesunięty o co najmniej dwa stopnie. To prowadzi do utraty wydajności. Pewnie właśnie dlatego jest tu tak gorąco.

Mężczyzna przymrużył powieki.

- A skąd o tym wiesz?

- Ton mi to mówi - wyjaśniła Gwen. — Po tamtej stronie słychać lekki terkot.

- Hmm - mruknął Journeyman. Wydał wargi i popatrzył na nią z namysłem. Potem wstał, złapał za umieszczone na wysokości ośmiu stóp rusztowanie i zasunął je nad rdzeniem mocy. Następnie wspiął się na górę i walił przez chwilę w klatkę Hasletta. Wreszcie zszedł na dół. - Tak będzie lepiej.

Gwen przechyliła głowę i wsłuchiwała się w brzęczenie kryształu mocy.

- Nie - stwierdziła po chwili. - Nie naprawiłeś go. Przesunąłeś go w niewłaściwą stronę co najmniej o dwa dodatkowe stopnie.

Journeyman mógł się przelotnie uśmiechnąć pod zasłaniającymi mu usta wąsami. Odwrócił klucz w dłoni i podsunął dziewczynie rękojeść.

Wzięła w rękę narzędzie.

- Co mam z nim zrobić? - zapytała, unosząc brwi.

- Widziałaś, z którą śrubą się szarpałem?

-Tak.

- W takim razie poluzuj ją — odparł. - Jeśli potrafisz.

Podrzuciła lekko klucz w dłoni. Jeśli kapitan Grimm i Benedict poszli razem ze wszystkimi, znaczyło

to, że wybierają się na bitwę. Nie wiedziała jednak, dokąd się udali i wątpiła też, czy w swym obecnym stanie zdołałyby ich dogonić. Oszałałyby, gdyby musiała siedzieć beczynnym i czekać na ich powrót.

Skinęła głową, zwróciła się w stronę klatki Hasletta i po kilku sekundach poluzowała śrubę. Nie chodziło o to, że świetnie się na tym zna. Po prostu miała znacznie szczuplejsze ramiona i drobniejsze dłonie, dzięki czemu w ciasnej przestrzeni radziła sobie znacznie lepiej od mechanika.

- W porządku - rzekł Journeyman. - A teraz się odsuń.

Cofnęła rękę i mechanik przywrócił moc w dolnym obwodzie. Dolne połowy prętów klatki zaczęły się odchyłać od kryształu znajdującego się wewnątrz aparatu niczym płatki otwierającego się kwiatu z błyszczącej miedzi. Pomieszczenie wypełniła bladozielona poświata płynąca z głębi rdzenia mocy *Drapieżcy*.

Gwen wbiła na krótką chwilę spojrzenie w jaskrawozielony kryształ. W przeciwieństwie do większości z nich nie wyglądał jak fasetowany klejnot. Nadano mu znacznie naturalniejszy kształt walca ze lśniącego kryształu szmaragdowej barwy. Otworzyła szeroko oczy, uświadomiwszy sobie, co ma przed oczami.

- Boże w Niebiosach - szepnęła.

- Ehe - zgodził się Journeyman z wyraźną nutą satysfakcji.

- To jest rdzeń mocy pierwszej generacji — wydyszała dziewczyna. -Z czasów zanim jeszcze zaczęli stosować fasetki. Ile ma lat?

- Co najmniej kilka tysięcy - odparł Journeyman.

- Jeśli jest aż tak stary... - Pokręciła głową.

W przeciwieństwie do kryształów luminowych, bojowych, artyleryjskich czy wznoszących, kryształy mocy z upływem czasu coraz wydajniej przekazywały energię eteryczną. Właściwie nie uważano ich za w pełni sprawne, dopóki nie dotarły się przez co najmniej stulecie użytkowania. Jeśli kryształ rzeczywiście był aż tak stary, jak twierdził Journeyman, powinien przetwarzać energię eteryczną na elektryczną z wydajnością większą niż niemal wszystkie kryształy, o których słyszała Gwen. Oznaczało to, że *Drapieżca* mógł dotrzeć do miejsc położonych dalej od głównych prądów eterycznych niż punkty dostępne dla zwykłych statków, a do tego był od nich szybszy.

- To nieprawdopodobnie wydajny rdzeń - skwitowała. — Powinien być zamontowany w okręcie Floty.

- Ale nie jest - odparł Journeyman. - I nie będzie. Ten kryształ należy do *Drapka* i na tym koniec.

- Niewiarygodne — stwierdziła Gwen, kręcąc głową.

Journeyman nadął dumnie pierś.

- A pewnie. — Przyjrzał się jej z uwagą. - Od kogo takie dziewczątko jak ty nauczyło się obchodzić z systemami pokładowymi?

- Od matki.

- A jak się nazywa twoja matka?

- Helen Lancaster.

Journeyman zaszepczał na chwilę. Nagle szeroko otworzył oczy.

- Lancaster? Lancaster-Lancaster? Kadziownia?

- Zapoznawałam się z naszymi produktami, odkąd nauczyłam się mówić. Wliczając testy systemowe wszystkich kryształów, które wysyłamy do nabywców. Dlatego wiem, jak działają systemy.

- Z tych Lancasterów — mruknął. — A niech to. - Najwyraźniej podjął decyzję. Skinął głową jeden raz. — Za chwile zacznę budzić tych delikacików. Chcesz się tymczasem do czegoś przydać? Kapitan załatwił nam niezły kryształ wznoszący na miejsce starego. Kryształy stabilizujące są już zainstalowane, ale nadal muszę się jeszcze uporać z głównym. Przydałby mi się ktoś, kto ma dobre ucho.

- Który to kryształ? — zapytała Gwen.

- Jeden z tych waszych nowych. Typ IV-D.

Gwen zmarszczyła czoło.

- Błędnie mnie zrozumiałeś, mechaniku. Pytałam, który to konkretnie kryształ?

Tym razem usta Journeymana rozciągnęły się w łatwiejszym do rozpoznania uśmiechu. Mechanik wskazał głową na koniec sali, gdzie znajdował się układ amortyzacji.

- Ty mi powiedz.

Gwen podeszła do układu wznoszącego, by przyjrzeć się kryształowi. Zagwizdała.

-To ten z kadzi w drugim szeregu trzeciej sekcji. Jeden z najlepszych z całej partii. Boże w Niebiosach, jeśli nie będziecie ostrożni, ten kryształ może rozerwać cały statek na strzępy.

- Powiedz mi coś, o czym nie wiem - powiedział.

-Jakiej konfiguracji klatki zamierzasz użyć?

- Standardowe rozproszenie z maksymalną odległością- wyjaśnił Journeyman.

- Słucham? - zdziwiła się Gwen. - Co pragniesz w ten sposób uzyskać?

- A jak inaczej miałbym to zrobić? - warknął mechanik.

- Nie czytałeś podręcznika użytkownika?

- Podręcznika? Posłuchaj, panienko. Byłem już mechanikiem eterycznym, gdy ciebie jeszcze nie było na świecie. Wiem, jak się obchodzić z kryształem wznoszącym.

- Jeśli nie umiesz czytać, z pewnością obchodzenie się z kryształami jest dla ciebie zbyt skomplikowane. No wiesz, nie dołączamy tych podręczników, specyfikacji i procedur ot, tak sobie, bez żadnego powodu.

Journeyman skrzywił się wściekle.

- Jeśli robi się wszystko według podręcznika, tak jak wszyscy, uzyskuje się takie same rezultaty jak wszyscy.

- O to właśnie chodzi - odparła z ironią Gwen.

Mechanik najwyraźniej nie zauważył jej tonu.

- Na każdym innym statku to mogłoby wystarczyć, młoda damo -oznajmił. - Ale *Drapek* potrzebuje czegoś więcej. Ten sposób pozwala mi zwiększyć wydajność systemów o dziesięć do piętnastu procent.

- Słucham? - zdumiała się Gwen. — To niemożliwe.

- Może w waszym warsztacie - odparł stanowczo Journeyman - Ale statek na otwartym niebie to zupełnie inna sprawa. Trzeba go traktować tak, jak lubi.

- Uwierz mi, ten kryształ nie polubi standardowego rozproszenia - zapewniła Gwen. - Dolna półkula Typu IV-D cechuje się zmienną wrażliwością. Im bliżej dodatniego bieguna, tym potężniejsze stają się ścieżki mocy kryształu. Musisz nadać prętom asymetryczną konfigurację, żeby zmaksymalizować wrażliwość. Przy standardowej półkuli zbyt łatwo byłoby uzyskać zbyt wiele mocy. Nim zdążyłbyś się zorientować, twój kryształ uleciałby pod księżyc, a statek runąłby na powierzchnię. Wiedziałbyś o tym, gdybyś przeczytał podręcznik.

Journeyman zazgrzytał zębami.

- Ciągłe ulepszają to, co nie potrzebuje ulepszenia - mruknął. - No dobra. Asymetryczna konfiguracja. Pokaż mi.

ROZDZIAŁ 50

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska, tunele wentylacyjne

Ktoś obudził potrząsaniem majora Espirę. Otworzył oczy i zobaczył, że stoi nad nim Ciriaco. Ogorzała twarz sierżanta zastygła w nerwowym grymasie.

- Majorze. Przyszła ta kobieta.

Espira dźwignął się ze stęknięciem z pośłania. Nie był pewien, jak długo spał. Z pewnością niezbyt długo. Cały zeszywniał od zimnej podłogi z kamienia kasztelowego.

- Lepiej przygotuj ludzi - polecił sierżantowi.

- Tak jest - odparł Ciriaco i poszedł wykonać rozkaz.

Ręka genetycznego wojownika, choć nadal poparzona, nie zginała się już pod nienaturalnym kątem, a idąc, poruszał nią swobodnie. Espira przez chwilę żałował, że jego rodzina nie ma domieszki krwi genetycznych wojowników. Gdyby był taki jak Ciriaco, plecy nie bolałyby go teraz aż tak bardzo.

Oczywiście gdyby był taki jak Ciriaco, nie mógłby zostać majorem w Aurorańskiej Piechocie Powietrznej.

Wciągnął kurtkę, wyprostował się i wyszedł z małego bocznego korytarza, który jako głównodowodzący zajął dla siebie. Gdy się pojawił, jego ludzie wstawali już, zbierając broń i ekwipunek.

Madame Cavendish i jej oswojony potwór czekali nieopodal. Oczy kobiety miały ostry, nerwowy wyraz. Sark wyglądał tak samo jak zawsze, ale Espira od dawna służył razem z genetycznymi wojownikami i zauważył zwężone nieco źrenice, świadczące o niepokoju i gotowości do walki.

Miał nadzieję, że madame Cavendish będzie beztroska i pełna aroganckiej pewności siebie. Najwyraźniej jednak jej spotkanie z Albiończykami nie poszło zgodnie z planem. Zakładniczki nie okazały się aż tak użyteczne, jak na to liczyła. Espira zgrzytał przez chwilę zębami, ale potem uspokoił się wysiłkiem woli. Życie obu młodych kobiet było warte nieco mniej niż zero, jeśli madame Cavendish dojdzie do wniosku, że nie są jej już do niczego potrzebne. Choć osobiście nie miał nic przeciwko nim i wolałby zostawić je związaną ne w korytarzach, żeby później je znaleziono, to prędzej sam poderżnie im gardła, niż pozwoli, by wpadły w ręce Sycorax Cavendish albo Sarka.

- Madame Cavendish - przywitał ją z uprzejmym ukłonem.

- Witaj, majorze - odpowiedziała eteryczka. - Jestem przekonana, że nadeszła dla nas pora działania.

- Uważasz, że powinniśmy zacząć wcześniej? — zapytał Espira, unosząc brwi.

- Przekażę sygnał Armadzie, majorze - zapewniła madame Cavendish lodowatym tonem.

Espirze przemknęła przez głowę myśl, że taka natychmiastowa komunikacja to wspinała rzecz, ale nie sprawi, by sterówce dotarły szybciej na miejsce.

- Czy mogę zapytać, dlaczego uważasz taki pośpiech za konieczny, madame?

- Błędnie oceniłam pewnego człowieka - odparła kobieta. - Tego samego dowódcę, który pokonał twoich ludzi pod Kadziownią Lancasterów.

- On tu jest? - zapytał Espira. - I nie uznałaś za stosowne poinformować mnie o tym?

-To oficer wyrzucony z Floty. Dowodzi załogą złożoną z korsarzy -wyjaśniła madame Cavendish. —

Nie są zawodowymi żołnierzami, a ich liczebność ostatnio znacznie spadła. Mimo to mogliby narobić mnóstwo hałasu, zanim twoi ludzie ich wykończą, a także zadać ci pewne straty.

- Gdzie oni są?

- Sądząc po tym, jak pewny siebie był kapitan Grimm, już tu idą. Zaatakuj główny i drugorzędny cel, a potem skieruj się do punktu ewakuacyjnego. Chcę, żeby twoi ludzie stąd zniknęli przed przybyciem kapitana Grimma.

- Mam zostawić za sobą duży, mobilny oddział? — sprzeciwił się major.

- Zajmę się nimi - zapewniła madame Cavendish. - Nie będą w stanie was ścigać. Gdzie są pojmane kobiety?

Espira się zawahał.

- Majorze - warknęła madame Cavendish przez zaciśnięte zęby.

- W zabarykadowanym przez nas korytarzu - odpowiedział po chwili aurorański oficer, wskazując głową na właściwy tunel. - Co zamierzasz z nimi zrobić?

-To samo co z resztą wesołej kompanii kasztelana - odpowiedziała madame Cavendish, odwracając wzrok. W jej oczach zalśniło jakieś dziwne uczucie, którego Espira nie potrafił zidentyfikować. -

Zabieraj swoich ludzi i znikaj, majorze. Jeśli cenisz ich życie, za pięć minut nie powinno już tu być żadnego z nich.

Espira popatrzył na nią z zaszępioną miną, ale eteryczka nie odwzajemniła jego spojrzenia. Skinął głową, ukłonił się i oddalił.

Ciriaco podązał za nim. Posiwiwały sierżant przez chwilę łypał przez zranione ramię na Sarka, ale potem zwrócił się ku majorowi.

- Wyruszamy wcześniej.

- Tak. Natychmiast rozmieść żołnierzy zgodnie z planem. Tym razem nie sprzyja nam zamieszanie wywołane atakiem na cały kasztel. Będziemy musieli działać szybko. Każ im zostawić tu cały obozowy ekwipunek i zapasy. Mają zabrać tylko broń i manierki.

Ciriaco zmarszczył brwi, wskazując głową w stronę tego korytarza.

- Co z tymi dwiema dziewczynami?

Renaldo Espira w ciągu swej kariery musiał się dopuścić wielu odrażających, lecz koniecznych czynów. Rozkazy, które wydawali mu zwierzchnicy, miały z reguły w taki czy inny sposób przynieść korzyści tymże zwierzchnikom. Nie miał w tej sprawie nawet najmniejszych złudzeń. Niemniej gdzieś w nim przechowała się jakaś część sumienia, sprawiająca, że wstydził się tej kwestii.

Tak, jak wstydził się słów, które powiedział w następnej chwili sierżantowi.

-Już w praktyce nie żyją. Nie musimy się więcej nimi przejmować, sierżancie - odparł cicho.

Ciriaco zerknął na wyjście do korytarza, w którym trzymano dziewczyny. Zaciśnął potężne dłonie w pięści z głośnym traskiem kości. Wypuścił z płuc przeciągły wydech.

- Tak jest - rzekł. - Świat mógłby stać się lepszym miejscem, gdyby nie było na nim Sarka i tej kobiety.

- Czynienie świata lepszym nie wchodzi w zakres naszych obowiązków, sierżancie — odparł obojętnie Espira. — Od tej chwili obchodzi nas wyłącznie osiągnięcie celów i postaranie się, by jak najwięcej żołnierzy uszło z życiem z tego szaleństwa i wróciło do domu. Jasne?

Z piersi sierżanta wyrwało się basowe warknięcie, rozluźnił jednak pięści i skinął krótko głową.

- Jasne, majorze. - Spojrzał na Espirę. - Myślisz, że mamy szansę?

- Oczywiście - potwierdził major z nie do końca szczerym przekonaniem. - Pod warunkiem, że wszyscy będą pamiętali o swych obowiązkach i o szkoleniu.

- Zamiast stać bez ruchu i zastanawiać się, po co właściwie to robimy.

- Wątpić nie nasza rzecz, sierżancie - przypomniał mu Espira. - Powiedz dowódcom oddziałów, że mają ruszać w drogę. Chcę, by wszyscy nasi ludzie za trzy minuty opuścili tunele.

ROZDZIAŁ 51

Kasztel Albion, Kondygnacja Lądowiska, tunele wentylacyjne

-To po prostu nienaturalne — warknął Felix do Grimma. — To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

Kapitan zerknął z ukosa na idącego u jego lewego boku tępicielea.

- Ty potrafiłeś tylko w przybliżeniu wskazać, którą sekcję tuneli badał wasz człowiek. - Wskazał na małą, czarną kotkę, idącą spokojnie kilka kroków przed nim. - Nasza przyjaciółka najwyraźniej wie znacznie więcej.

- Bardzo możliwe, że to zwierzę prowadzi nas prosto w pułapkę — zaniepokoił się Felix.

- Z pewnością mam taką nadzieję. Nie chciałbym, żeby się okazało, że na próżno targamy całą tę broń.

Załoga Grimma podążała za nim w ciasnej, pełnej determinacji grupie. Towarzyszyli jej członkowie Cechu Tępicielei Szkodników z Kondygnacji Lądowiska. Tępiciele sprawiali wrażenie żyłastych twardzieli. Tylko bardzo nieliczni osiągali choć średni wzrost, ale wszyscy - czy to mężczyźni, czy kobiety - składali się z samych mięśni oraz ścięgien i pokrywały ich blizny - nieme świadectwo niebezpieczeństw, którym skutecznie stawia czoło w przeszłości.

- Mówisz, że ta kotka należy do gwardzistki - ciągnął Felix.

- Nie ona, ale śmiem twierdzić, że nasza przewodniczka świetnie zna Rowla.

Usłyszawszy to imię, kotka obejrzała się na nich, nie zwalniając kroku, i skupiła na Grimmie spojrzenie świetlistych, zielonych oczu. Kapitan uniósł rękę, nakazując ludziom się zatrzymać.

- W tym miejscu możemy poszukać nowych informacji równie dobrze jak gdzie indziej - wyjaśnił. - Mam rację... hmm... panno Kotko?

Kotka zatrzymała się i obejrzała na niego. Przez chwilę przyglądała się z zainteresowaniem Felixowi, po czym znowu przeniosła wzrok na Grimma. Poruszyła głową w górę i w dół, przytakując powoli i z namysłem.

-To on kazał ci nas przyprowadzić? - zapytał kapitan.

Kotka ponownie skinęła głową.

-Świetnie - ucieszył się Grimm. - A czy wiesz, gdzie dokładnie są przetrzymywane dziewczyny?

Skinęła głową po raz trzeci, ale po chwili pokręciła nią w lewo i w prawo.

- Masz ci los - zmartwił się Felix. - A co to miało znaczyć?

Grimm obrzucił go spokojnym spojrzeniem.

- Najwyraźniej to, że muszę się nauczyć mówić po kociemu. - Zmarszczył brwi. - Benedykcie! - zawołał. - Czy rozumiesz je choć trochę?

Wysoki genetyczny wojownik pokręcił przecząco głową.

-Właściwie tylko przywitanie i kilka uprzejmych frazesów. To skomplikowany język. Potrzeba lat, żeby go opanować.

Te słowa wyraźnie ucieszyły kotkę.

-A niech to - mruknął Grimm. - Jeśli wpadniemy na oślep na nieprzyjaciela, strzelając na lewo i

prawo, możemy zastrzelić nie tylko wrogów, lecz również obie dziewczyny. Potrzebuję dokładniejszych informacji. Kotka z pewnością je zna, a przynajmniej wie na cen temat więcej od nas.

Felix sapnął w zamyśleniu, sięgnął pod płaszcz i wydobył spod niego gruby, złożony plik papieru, który następnie rozłożył na podłodze. Felix przyjrzał się mu. To był plan Kondygnacji Ładowiska. Tunele wentylacyjne oraz korytarze techniczne zaznaczono na nim kilkoma różnymi kolorami, najwyraźniej symbolizującymi wysokość, na jakiej są ulokowane.

- Hej, zwierzaczkę - odezwał się tępicieł. - Przyjrzyj się temu. - Dotknął planu grubym palcem wskazującym. - Wiem, że Moberly pracował gdzieś w tej części tuneli. W którym z nich siedzą Auroranie?

Kotka podeszła do planu i przyjrzała się mu. Przechylała głowę to w tę, to w tamtą stronę, powąchała papier, przeszła po nim, a potem usiadła na podłodze, wbijając spojrzenie w Felixa.

- A co to miało znaczyć, do cholery? - zapytał Grimm tępicieł.

- To dla niej zbyt abstrakcyjne - wyjaśnił Benedict. - Plany to symboliczne wyobrażenia. Brak jej doświadczenia, by je zrozumieć.

- Mógłbyś to ująć jaśniej? - zapytał Grimm.

Genetyczny wojownik skinął lekko dłonią w geście frustracji.

- Ona nie doświadcza tuneli w taki sposób jak wy. Nie postrzega ich wyłącznie wzrokiem. Wędrując przez nie, kieruje się również słuchem i węchem. Jeśli pokażecie jej wyłącznie wizualny obraz, przyprawicie ją tylko o dezorientację.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał Felix, kręcąc głową.

- Stąd, że w dzieciństwie mnie również trudno było się nauczyć czytać plany - wyjaśnił Benedict. - Zajęło mi to mnóstwo czasu.

- Co może być trudnego w odczytaniu cholernego planu? — warknął Felix.

Grimm wyduł wargi i przyjrzał się z namysłem kotce.

- Być może wcale nie musi czytać planu - zastanowił się. - Może wystarczy, że go nam narysuje.

- Słucham? — zdziwił się Felix.

- Potrzebuję kawałka kredy - ciągnął Grimm. - Kto ma kredę? - zawołał podniesionym głosem.

- Kapitanie — odezwał się Stern. Niski mężczyzna zarzucił na plecy długą strzelbę, pogrzebał w kieszeni, wyciągnął z niej kawałek kredy i rzucił go Grimmowi.

Kapitan złapał kredę w locie.

- Panno kotko - zaczął, spoglądając na nich. - Jeśli zechcesz nam pomóc, być może uda się nam wspólnie ustalić, dokąd właściwie zmierzamy, co umożliwi nam podjęcie najodpowiedniejszych kroków pozwalających uporać się z sytuacją.

Kotka przyjrzała mu się z uwagą, a potem skinęła krótko głową.

- Dziękuję - rzekł kapitan. - Proponuję, byś wskazała nam krokami długość wszystkich tuneli, o które chodzi. Rzecz jasna, nie musisz pokonywać jej całej. Być może wystarczy jeden twój krok na trzydzieści tych, które byłyby konieczne, gdybyś rzeczywiście nimi szła. Będę szedł za tobą z kredą i zaznaczał na podłodze tunele, które mi pokażesz.

Felix odchrząknął.

- A potem porównamy ten szkic z planem.

- W rzeczy samej — zgodził się Grimm.

Kotka zastanawiała się przez chwilę nad tym pomysłem. Potem wstała, i odwróciła się od kapitana z cichym, niecierpliwym *mrrau*.

Ruszyła przed siebie, przechylając lekko głowę. Grimm podążył za nią, rysując kredą kreskę na kasztelowym kamieniu podłogi. Trwało to parę chwil. Kapitan miał nadzieję, że nie wygląda aż tak nedorzecznie, jak mu się zdawało. Szedł za zwierzęciem na rękach i kolanach, aż wreszcie odwróciło się ku niemu i usiadło.

Wstał, z bólem w zranionej ręce, i popatrzył na nakreślone kredą linie.

-I jak, Felix?

Tępicieł uniósł plan i popatrzył na niego, a potem na rysunek na podłodze.

- Nie sądzę... nie, zaczekaj chwilę. Ta sekcja tutaj. Na Boga w Niebiosach, spójrz, pasuje całkiem nieźle! Na pewno okrążyła ją ze wszystkich stron. Ale oni są w środku.

Grimm przyjrzał się z uwagą wskazanemu fragmentowi planu.

- Cztery drogi wejścia. Cztery drogi wyjścia.

- Mrrau - odezwała się czarna kotka, kręcąc głową.

Grimm popatrzył na nią, unosząc brwi.

- Mniej?

Skinęła głową.

- Zablokowali tunele?

Ponownie przytaknęła.

- Proszę, pokaż które.

Podeszła do jednego ze skrzyżowań nakreślonych kredą linii i podrapała podłogę. Potem zrobiła to samo w drugim miejscu.

- Ten i ten - stwierdził Grimm, dotykając palcem planu. - Zamknęli te tunele i pozostawili sobie tylko dwie drogi wyjścia.

- Wasi ludzie pójdą pierwszą, a my drugą? - zasugerował Felix.

Grimm uniósł wzrok, marszcząc brwi.

-Tunelami, do których obrony są przygotowani? Zapłacilibyśmy za to wysoką cenę i nie mielibyśmy szans dotrzeć do pojmanych dziewczyn, zanim je zabiją.

- Co zatem zrobimy? - zapytał tępicieł.

- Jedyna szansa dla nas to uderzyć szybko i z całą mocą, znaleźć dziewczyny i wycofać się, zanim nieprzyjaciel zdąży zareagować. Musimy zaatakować z niespodziewanego kierunku. - Wydał wargi. - Być może najlepiej będzie rzucić monetą. - Wydał wargi. — Panie Stern?

- Słucham, kapitanie?

Młody, szczupły oficer podszedł do Grimma.

- Mam nadzieję, że przyniosłeś ładunki wybuchowe, które zdobyliśmy na Auroranach w Kondygnacji Poranka?

Stern odpowiedział mu szerokim drapieźnym uśmiechem.

ROZDZIAŁ 53

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska, tunele wentylacyjne

Ładunki wybuchowe zrobiły wielki wyłom w stosie gruzu, którym zabarykadowano tunel. Huk wybuchu był niewidzialną ścianą, która przemknęła przez korytarz, wysysając powietrze z płuc Grimma, mimo że kapitan skrył się za rogiem.

Wszedł chwiejnie do tunelu, nim jeszcze zdążył zaczerpnąć tchu, i pobiegł w stronę wyłomu w barykadzie, choć odłamki nadal sypały się z grzechotem na podłogę. W jednej ręce trzymał miecz, a na drugiej miał gotową do strzału rękawicę. Słyszał za sobą tupot. Kettle i reszta ludzi pędzili za nim.

W powietrzu wisiało mnóstwo pyłu i cuchnącego siarką dymu. Kamienne elementy różnych rozmiarów kołysały się pod stopami Grimma, zagrażając jego równowadze. Wyobrażenia wciąż podsuwała mu myśl, że przy tak kiepskiej widoczności może wpaść na ścianę i nadzieć się na własny miecz.

Bóg w Niebiosach wiedział, że jeśli wybrał niewłaściwy tunel, ten, w którym madame Cavendish więziła obie dziewczyny, zasłużył na ten los.

Te myśli odwróciły jego uwagę iomal nie przewrócił się o fragment muru wielki jak płat mięsa z kadziowni. Na jego ramieniu zacisnęła się czyjaś dłoń, twarda jak powleczone miedzią stal. Sir Benedict pomógł mu zachować równowagę i bieć dalej przed siebie. Młodego genetycznego wojownika przepełniało napięcie. Jego kocie oczy jasno lśniły. Grimm wiedział, że mają szczęście, że towarzyszy im taki sojusznik.

Wypadł z ciemności i dymu w przestrzeń oświetloną rozproszonymi kryształami luminowymi. Wiszący w powietrzu pył nadawał widokowi przedziwny płaski wymiar, jakby wycucie głębi nagle zostało zaburzone. Znajdujący się w komorze ludzie nadal chwiali się na nogach, oszołomieni eksplozją i przeszywającymi powietrze odłamkami, co dało Grimmowi niemal wieczność na zorientowanie się w sytuacji.

Panna Tagwynn leżała na podłodze, jakby ogłuszył ją raptowny cios. Jej szeroko otwarte oczy wpatrywały się w pustkę. Niespełna pięć stóp od niej spoczywał Sark, genetyczny wojownik towarzyszący madame Cavendish. Potężnie zbudowany mężczyzna podnosił się już na nogi. W jego dłoni błysnęła powleczone miedzią stal. Kilka jardów dalej klęczała madame Cavendish, wsparta na jednym kolanie. Jej drogą suknię i bolerko pokrywała gruba warstwa pyłu. Zaciskała zęby i potrzasała głową. Grimm rozładował rękawicę i wziął w lewą rękę pistolet.

Gdy kapitan szedł naprzód, unosząc broń, jego umysł nie przestawał rejestrować wszelkich szczegółów. Tylko niewielu ludzi mogło sobie pozwolić na wydatki niezbędne do opanowania sztuki strzelania z pistoletu i osiągnąć w niej biegłość - a znaczny ich procent tracił palce, oczy, a nawet życie, gdy broń eksplodowała im w dłoniach, zamiast wyrzucić pociski w stronę celu. Pistolet mógł wystrzelić jakieś pięćdziesiąt, maksymalnie sześćdziesiąt pocisków, zanim niszczycielski proch ognisty zaczynał trawić miedzianą powłokę chroniącą stal. Wtedy wdawała się zgnilizna żelaza, która osłabiała konstrukcję broni, aż wreszcie następował nieunikniony wybuch.

Grimm zużył sześć luf, nim wreszcie nauczył się strzelać z pistoletu z dość zadowalającą biegłością, z pewnością jednak nie był mistrzem tej sztuki. Dlatego zbliżał się do eteryczki tak szybko, jak zdołał, by wystrzelić z odległości, z której nie będzie mógł chybić pomimo wątpliwych kompetencji. Gdy już

wyeliminuje madame Cavendish, odrzuci pistolet i skieruje rękawicę przeciwko gromadzącym się za nią tkaczom jedwabiu...

Tkaczom jedwabiu? Boże w Niebiosach, z jednego z tuneli wyłaniały się dziesiątki dorosłych, śmiertelnie groźnych stworzeń powierzchni pędzących ku jego ludziom.

Pojawienie się tej nagłej grozy położyło kres chwili obojętnej obserwacji.

- Bridget! — zawołał Benedict.

Sark zerwał się na nogi i zamierzył się mieczem na leżącą na podłodze dziewczynę, ale Benedict ryknął z czystej furii niczym lew - tak głośno, że wstrząsnęło to zmysłami Grimma - a potem skoczył na towarzysza madame Cavendish. Obaj genetyczni wojownicy zwalili się na podłogę, zasypując się gwałtownymi ciosami.

Ryk wyrwał z transu madame Cavendish. Kobieta zamruła, uniosła głowę i otworzyła szeroko oczy na widok Grimma. Zaczęła się podnosić

Kapitan wolałby być bliżej eteryczki, ale ta odległość - jakiś siedem albo osiem jardów - będzie mu musiała wystarczyć. Madame Cavendish unosiła już ku niemu rękę. Została mu tylko krótka chwila. Przesunął nieco pistolet i nacisnął spust.

Rozbłysła iskra. Potem rozległ się huk wystrzału i pogrążoną w półmroku salę wypełnił nagły blask.

Madame Cavendish wydała z siebie zdyszany okrzyk, zakręciła się wkoło i padła na podłogę, jak uderzona pałką.

Pierwszy z tkaczy jedwabiu skoczył na Grimma z przenikliwym wrzaskiem. Kapitana ponownie załapała fala przerażenia. Słyszał już podobny głos-zaledwie kilka dni temu w mrocznych tunelach wentylacyjnych Kondygnacji Poranka, gdy u jego boku walczył Alex Bayard.

Nie było czasu na naładowanie rękawicy. Złapał pistolet za lufę i ze wszystkich sił walnął rękojeścią ciężkiej prymitywnej broni w głowę stworzenia.

Rękę przeszył mu gwałtowny ból. Mięśnie i ścięgna protestowały przeciwko takiemu traktowaniu, ale spełniły swoje zadanie. Cios obalił tkacza jedwabiu na podłogę. Grimm, nie tracąc czasu, wbił w napastnika krótki aeronautyczny miecz, w miejsce, gdzie głowa stykała się z tułowiem. Ledwie zdążył wyszarpnąć klingę, gdy ciało bestii ogarnęły gwałtowne spazmy.

Jej nogi poruszały się bez ładu i składu, a trójdzielne szczęki kłapały gwałtownie, ociekając jadowitą pianą.

- Albion! - zakrzyknęli aeronauci z *Drapieżcy* i rzucili się do ataku.

Rozgorzała bitwa. Nie było czasu na zastanawianie się ani wydawanie rozkazów. Z rękawic tryskały impulsy. Tkacze jedwabiu wrzeszczały. Grimm ledwie zdołał się uchylić przed skokiem kolejnego stworzenia. Zauważył leżącą na podłodze madame Cavendish. Twarz miała śmiertelnie bladą. Uniosła palec i wycelowała go w kapitana, wyjąc ze zwierzęcej furii.

Sześć potworów pomknęło ku niemu na jej rozkaz.

Grimm zginąłby, gdyby nie Ketde, Creedy, Stern i pół tuzina innych aeronautów, którzy znaleźli się w porę u jego boku. Ich rękawice zawyły. Dwa tkacze jedwabiu rozpadły się na kawały krwawiącego, cuchnącego mięsa, ale trzeci zdążył się pochylić. Bestia złapała żyłastego Sterna za nogę, i obaliła go gwałtownie, wbijając mu w ciało kły ociekające spienionym jadem.

Aeronauta wrzasnął z bólu.

Grimm starał się do niego dotrzeć, ale ledwie zdołał powstrzymać atak kolejnego potwora i uniknąć losu Sterna. Ciął dwukrotnie mieczem, ale skóra tkacza jedwabiu była twarda i przelał tylko niewiele krwi.

Noga Sterna złamała się z głośnym trzaskiem. Z rany trysnęła krew.

Jej woń podziałała na tkacze jedwabiu jak nagły powiew pierwotnej, szalonej przemocy. Ponownie rozległy się ogłuszające wrzaski. Grimm poczuł, że kolana się pod nim uginają. Ruchy stworzeń stały się szybsze i bardziej chaotyczne. Z ich pysków płynęła jadowita piana, skapująca na podłogę z

kasztelowego kamienia.

Krew wprawiła je w amok i bitwa mogła się teraz skończyć tylko na dwa sposoby. Albo Grimm i załoga *Drapieżcy* zabiją wszystkie stworzenia z powierzchni, albo padną ofiarą ich szczęk oraz jadu.

Stern krzyknął raz jeszcze, wyciągnął nóż zza pasa i dźgnął tkacza jedwabiu trzymającego go za nogę, ale bestia potrząsała nim w lewo i w prawo jak kot myszą tunelową, zbyt mocno jak na swe rozmiary. Nóż wypadł z ręki młodzieńca.

Po drugiej stronie Grimma Creedy wbił obcas w paszczę tkacza jedwabiu, lecz bestia zacisnęła mocno szczęki na jego stopie. Jej zęby przebiły się przez skórę buta. Pierwszy oficer zakrzyknął z gniewu i bólu. Kettle uderzył tkacza toporem abordażowym, przecinając go wpół w połowie długości ciała, lecz konająca przednia część nie przestała szarpać nogi Creedy'ego.

Coraz więcej cholernych stworów zbiegało ku nim po ścianach oraz suficie. Dzięki swej większej mobilności otaczały aeronautów. Grimm miał niewielkie doświadczenie w naziemnej walce, ale nietrudno było odgadnąć, że zostało im zaledwie parę chwili życia.

I wtedy zjawił się Felix ze swymi tępicielami szkodników.

Nie wydawali żadnych okrzyków, lecz bezgłośnie wypadli z obu otwartych tuneli prowadzących do niedawnego obozowiska Auroran. Gdy tylko zbliżyli się do tkaczy jedwabiu, wprawili w ruch swe łuskowe bicz, przeszywające powietrze z cichym, syczącym świstem.

Łuskowy bicz był śmiertcionośnym narzędziem, złożonym z małych metalowych pierścieni połączonych w zwężającą się rurkę zakończoną również metalową łuską o ostrych krawędziach. Dorównywały ciężarom toporom i uderzały z niemal równie wielką siłą, a gdy wyszarpywano je z ciała ofiary, łuski wyrzywały wielkie kawały mięsa. Łuskowy bicz mógł przebić nawet najtwardszą skórę, zadając głębokie, bolesne i straszliwie krwawiące rany.

Nie sposób było opisać obrażeń, jakie te narzędzia zadawały miękkim ciałom ludzi.

Kilkanaście biczów uderzyło unisono w tylny szereg tkaczy jedwabiu w skoordynowanej przemocy.

Tępiciele widywało się w mrocznych korytarzach wszystkich kondygnacji kasztelu. Codziennie groziło im spotkanie z koszmarnymi stworzeniami z powierzchni świata. Gdyby nie oni, potwory mogłyby swobodnie wychodzić z tuneli wentylacyjnych oraz korytarzy technicznych, by polować na obywateli, a ich pierwszymi ofiarami zawsze były dzieci.

Mężczyźni i kobiety podejmujący się tej pracy, z definicji byli pewni siebie, sprawni, nieustraszeni i nie do końca przy zdrowych zmysłach. A ta grupa szaleńców była spragniona zemsty.

Łuskowe bicz uderzały w ciała i rozszarpały je. Tkacze wrzeszczały. Niektórzy ludzie Felixa zamienili bicz na krótkie masywne włócznie. Gdy tylko biczownik zranił tkacza, włócznie dobijał go ze względnie bezpiecznego dystansu, jaki zapewniała mu dłuższa broń.

Sam Felix trzymał bicz w obu dłoniach i kręcił nimi zawzięcie, rozbijając pancerze, rozszarpując ciała i ucinając nogi z przerażającym spokojem płynącym z rutyny. Szybkim ruchem zadał atakującemu Grimma tkaczowi potężny cios, obalając stworzenie na podłogę. Następnie upuścił jeden bicz, owinął drugi wokół karku tkacza gryzącego nogę Grimma i szarpnął wprawnie metalową bronią, oplatając ją wokół głowy bestii.

Tkacz zaczął się szarpać szaleńczo, ale Felix po prostu wzmocnił ucisk, wkładając w to cały ciężar swego ciała, aż wreszcie twór rozchylił trójdzielne szczęki, wrzeszcząc z bólu.

Grimm dobił tkacza ogłuszonego przez Felixa, a potem okrążył tępiciełą.

- Zrób mi miejsce - wyszeptał, uniósł miecz i wbił go w punkt położony u podstawy czaszki bestii.

Tkacz miotał się szaleńczo przez kilka sekund, a potem po prostu oklapł jak pęcherz, z którego wyciekł płyn.

Felix odwinął bicz z ciała martwego tkacza.

- Wasze chłopaki są całkiem niezłe, jak na gapiów - oznajmił Grimmowi.

- Dziękuję - odparł z wahaniem kapitan. - Panie Creedy?

- Kapitanie?

- Idź ze Sternem do doktora Bageny. — Grimm spojrział na Felixa. -A kto to są gapie?

Tępicieł uśmiechnął się do niego.

-Jak tylko uporamy się z tą robotą, odpowiem...

Odwrócił się nagle, otwierając szeroko oczy. Grimm prześledził wzrokiem jego spojrzenie i zauważył, że z jednego z tuneli wyłazi druga grupa tkaczy jedwabiu, równie liczna jak pierwsza.

Patrzył na to z poczuciem bezradności. Z jego ust wyrwał się krzyk ostrzeżenia, który jednak pozostał nieusłyszany. Sześciu tępicielei szkodników zalała nagle fala straszliwych szczęk i jadowitych kłów. Ich krzyki strachu szybko przeszły w zdławione jęki rozpacz, a potem umilkły. Następnie na trasie drugiej grupy monstrów znaleźli się dwaj wciąż walczący ze sobą genetyczni wojownicy. Benedict zdobył przewagę nad Sarkiem i znajdował się na wierzchu. Ich kończyny poruszały się tak szybko, że Grimm ledwie je widział. Sark odbijał każdy atak młodszego przeciwnika. Gdy ruszyła ku nim nowa fala tkaczy jedwabiu, obaj przeciwnicy zwrócili ku niej wzrok.

Benedict wytrzeszczył oczy i zaczął się odsuwać od Sarka, ale złowieszczy genetyczny wojownik owinął jego nogi własną i zacisnął dłonie na jego kurtce. Uśmiechnął się groźnie i potoczył młodzieńca ku nadciągającym tkaczom.

Benedict niemal natychmiast rzucił się w drugą stronę. Zamiast próbować uciekać przed Sarkiem pociągnął go ku sobie, wykręcając ciało w tym samym kierunku. Padł na plecy, wtoczył Sarka na siebie i cisnął cięższym przeciwnikiem parę stóp w bok, prosto w falę nadciągających tkaczy. Stworzenia pokryły Sarka jak jakiś przerażający żywy koc. Mężczyzna zniknął pod nimi.

Benedict ledwie zdążył wstać, nim dotarło do niego pół tuzina pierwszych tkaczy Grimm był pewien, że gdyby to on znalazł się na miejscu młodzieńca, z pewnością by zginął. On jednak nie był genetycznym wojownikiem.

Benedict ryknął jak lew, uchylił się przed pierwszym tkaczem, wyszarpnął miecz z pochwy i przeszył na pół drugą skaczącą na niego bestię. Trzecia trafiła go w rękę i zacisnęła trójdzielne szczęki na jego bicepsie. Młodzieniec zachwiał się, przetworzył impet atakującego stworzenia w ruch wirowy i walnął nim w dwa następne, odtrącając je na boki — jakby tkacz był tarczą przytwierdzoną do jego ramienia.

Szósty tkacz uderzył Benedicta w kolana i zatopił zęby w jego udzie, obalając go gwałtownie na podłogę.

- Plecami do siebie! - ryknął Grimm do swoich ludzi. — Zbijcie się w grupę! Kettle, do mnie!

Ruszył w stronę Benedicta, ładując po drodze rękawicę. Po chwili zaczął wypuszczać jeden impuls po drugim w kłębiącą się masę tkaczy. Rozbił dwa stworzenia na krwawą miazgę, dając Benedictowi kilka bezcennych sekund.

Genetyczny wojownik zdołał odkopnąć na bok tkacza uczeplonego jego nogi. Krzycząc z bólu i furii, uniósł rękę i zaczął tłuc nią z całej siły, wbijając niezwalniającą uścisku bestię w kasztelowy kamień, aż popłynęła z niej fioletowa posoka. Stworzenie rozluźniło szczęki i zwinęło się, poruszając spazmatycznie nogami.

Tymczasem Grimm i Kettle dotarli do Benedicta. Pilot zaczął uderzać toporem, nie pozwalając tkaczom jedwabiu się zbliżyć. Grimm podniósł młodzieńca, odganiając mieczem kolejnego stwora.

- Bridget i Folly! - zawołał Benedict. Krwawił obficie z ręki i z nogi, ale nie miał czasu na opatrzenie ran. Nieprzyjaciel w każdej chwili mógł ich zalać.

-Trzymajmy się razem! - zawołał Grimm. — Za mną!

Uniósł rękawicę i zaczął strzelać w podłogę w kierunku, w którym ostatnio widział leżącą Bridget. W nic nie trafił, ale grupka tkaczy próbujących się zbliżyć z tamtej strony, cofnęła się o kilka stóp. Kapitan wszedł na oczyszczony w ten sposób obszar i ponownie strzelił w podłogę, usuwając ze swej drogi kolejne tkacze jedwabiu. Usłyszał, że idący za nim Kettle robi to samo, odpędzając strzałami z rękawicy główną grupę napastników. Kapitan przestraszył się nagle, gdy kolejna bestia opadła z sufitu na jego

głowę, ale Benedict zgrabnie odepchnął go na bok i nadział tkacza na trzymany w drugiej ręce miecz. Przez chwilę unosił nad podłogą miotające się stworzenie, a potem zrzucił je z klingi gwałtownym ruchem. Z rany trysnęła cuchnąca krew i stwór potoczył się na bok.

Grimm nadal posuwał się naprzód i dopiero w ostatniej chwili powstrzymał się przed wypuszczeniem z rozgrzewającej się szybko rękawicy impulsu, który trafiłby w leżącą na podłodze Bridget Tagwynn.

- Otoczcie ją kręgiem! - warknął.

Gdy ludzie zgromadzili się wokół niego, schował miecz i pochylił się, żeby ją podnieść. Była wysoką dziewczyną i ważyła więcej, niżby się zdawało. Kapitan wsunął bark pod jej pachę i z wysiłkiem podźwignął ją na nogi. Bridget zamrugła kilka razy, nie mogąc skupić spojrzenia, ale choć nogi się pod nią uginały, była w stanie podtrzymać większą część swego ciężaru.

- Panno Tagwynn! — zawołał Grimm, przekrzykując hałas strażaków z rękawic. - Gdzie jest panna Folly?

Spojrzała na niego i znowu zamrugła kilka razy.

- W tunelu - odpowiedziała po chwili. - W tunelu. Leży na podłodze.

Grimm poczuł w żołądku ucisk porażającego strachu.

- W którym?

Bridget rozglądała się przez chwilę wkoło, nim wreszcie wskazała głową na tunel, którego Grimm nie kazał wysadzić w cholerę.

- Kapitanie! - ostrzegł go krzykiem Kettle.

Grimm obejrzał się gwałtownie. Ucisk w jego brzuchu wzmocnił się jeszcze, gdy mężczyzna zorientował się w jak rozpaczliwym położeniu się znaleźli.

Atakujących z zaskoczenia tępicielei szkodników zaskoczyła z kolei druga fala tkaczy jedwabiu. Mężczyźni i kobiety leżeli na podłodze, martwi albo umierający, a na oczach Grimma ginęli wciąż nowi. W powietrzu unosiła się intensywna woń krwi i trzewi, mieszająca się z odrażającym odorem posoki tkaczy. Kilku członków załogi *Drapieżcy* już padło, a pozostali wycofywali się tą samą drogą, którą tu przyszlizli, cały czas walcząc rozpaczliwie. Grimm zauważył, co odwróciło losy bitwy.

Był tam Sark.

Potężny genetyczny wojownik poruszał się przerażająco szybko, uderzając to tu, to tam. Jego ruchów nie sposób było przewidzieć. Krążył pośród tkaczy jedwabiu, jakby był jednym z nich. Na oczach Grimma zmiażdżył gardło jednej tępicielce, zaciskając od niechcienia dłoń, innemu zaś przeciął ścięgna kolan, obalając go na podłogę, gdzie tkacze mogły go z łatwością dobić. Nagle rzucił nożem, który wbił się w nogę Hendersona, młodego pilota uczącego się tego zajęcia od Kettle'a. Chłopak wrzasnął z bólu i padł na podłogę, trzymając się za udo.

Grimm spróbował ostrzec go krzykiem, by nie wyciągał noża z rany, ale młodzieniec już to zrobił. Popłynął strumyk krwi i wszystkie tkacze jedwabiu w promieniu trzydziestu stóp zwróciły się nagle ku Hendersonowi. Pokryły go falą i rozszarpały na strzępy. W powietrze trysnęły kolejne strumienie krwi.

Michaels, majtek armatni służący przy dziale numer pięć, uniósł rękawicę i wystrzelił w Sarka dwa ładunki. Pierwszy strzał chybił.

Drugi impuls okrążył genetycznego wojownika, a potem powrócił do głowy Michaelsa, powodując gwałtowną eksplozję. Niemal pozbawiony twarzy trup padł na podłogę.

Grimm zerknął nagle w bok. Stała tam madame Cavendish. Jedną rękę przyciskała do boku, gdzie suknię naznaczyła jej plama świeżej krwi, drugą zaś wyciągała w stronę Sarka. Oczy jej błyszczały.

Tkacze spychały ludzi z załogi *Drapieżcy* ku wyłomowi w barykadzie, natomiast ich druga grupa, która dobiła już wszystkich rannych tępicielei, skupiła się i pomknęła ku Grimmowi oraz garstce jego ludzi. Ich szybkie ruchy świadczyły o podnieceniu.

Odwrót był odcięty.

- Cofamy się! - zawołał Grimm. - Z powrotem do tunelu! Powstrzymujcie je strzałami z rękawic, dopóki nie zdołamy zająć pozycji obronnej!

Cofali się krok po kroku. Z rozżarzonych miedzianych klatek ich rękawic buchały kłęby dymu. Creedy zaciskał zęby, by powstrzymać narastający krzyk, lecz nie przestawał miarowo wypuszczać kolejnych impulsów.

Wreszcie dotarli do tunelu. Bridget zsunęła się z ramienia Grimma i na wpół upadła obok panny Folly, która leżała na podłodze, zwinięta w pozycję embrionalną. Uczennica eteryka drżała, jakby jej mięśnie próbowały się zacisnąć jeszcze bardziej. Kapitan rozejrzył się wkoło. Ten tunel również zablokowano gruzem. Nie było z niego drogi wyjścia i nie mieli czasu, by zbudować z gruzu choćby skromną osłonę.

Z zewnątrz dobiegł ich nagle głos madame Cavendish.

- Już trzeci raz wtrąciłeś się w moje prawy, kapitanie - oznajmiła twardym, zimnym głosem. - A ponieważ przelałeś moją krew, ten raz będzie ostatni.

- Madame, odwołaj swoje stworzenia! - odpowiedział natychmiast Grimm. - Poddam się, jeśli zagwarantujesz, że pozwolisz bezpiecznie odejść tym, którzy mi towarzyszą! Potem będziesz mogła mnie zabić w dowolny sposób.

- Dziękuję bardzo. Mogę to zrobić bez twojej współpracy - odparła kobieta z rozbawieniem w głosie. - Żegnaj, kapitanie.

Horda tkaczy jedwabiu wtargnęła do tunelu. Było ich stanowczo zbyt wiele. Biegły po ścianach i po suficie, tak liczne i szybkie, że Grimm i jego ludzie nie mieli szans ich powstrzymać.

Za chwilę ich zaleją, a oni nie mogą nic na to poradzić.

ROZDZIAŁ 52

Kasztel Albion, Kondygnacja Lądowiska, tunele wentylacyjne

Bridget usłyszała jakieś dziwne stuki. Uniosła głowę i otworzyła oczy.

Obie z Folly postanowiły wrócić do pierwotnie zajmowanej pozycji, na wypadek, gdyby strażnicy przyszli im się przyjrzeć. Rzemienie zwisały luźno wokół nadgarstków dziewczyn, ale Bridget nie udało się owinąć ich kostek w sposób, który pozwoliłby natychmiast zrzucić więzy. Dlatego były zmuszone zadowolić się ukryciem stóp pod spódnicami.

Czas mijał powoli. Z każdym oddechem, każdym uderzeniem serca, Bridget wyobrażała sobie, że niewidoczni dla nich Auroranie właśnie w tej chwili dochodzą do wniosku, że pora je zamordować.

Dźwięk rozległ się ponownie. Szybkie nieregularne stukanie dochodzące od strony obozu nieprzyjaciela wydawało się jej skądś znajome.

- Zastanawiam się, co to jest - wyszeptała Folly.
- Coś się dzieje - odpowiedziała również szeptem Bridget.

Wstała i podkraśla się jak najszybciej mogła do płachty zasłaniającej widok na tunel. Odsunęła ją nieco i wyjrzała pośpiesznie na korytarz.

Jedno zerknięcie wystarczyło, by sparaliżowała ją groza.

Tkacze jedwabiu.

Dziesiątki dorosłych osobników o opancerzonych ciałach i tułowiach, nieustępujących rozmiarami torsowi Bridget. Bestie z pewnością co najmniej dorównywały jej wagą, a mimo to poruszały się z tą samą straszliwą, obcą gracją co młode. Napływały do obozu Auroran, poruszając się po podłodze, ścianach i po suficie tuneli wentylacyjnych, widoczne w blasku kilku małych kryształów luminowych, najwyraźniej pozostawionych tu przez żołnierzy.

Bridget rozejrzała się uważniej po korytarzu. Wszędzie walały się puste posłania, porzucone plecaki oraz śmieci różnego rodzaju. Nie widziała ani jednego Auroranina. Wszyscy porzucili obóz.

A teraz ich miejsce zajmowały tkacze jedwabiu.

Nagle zapragnęła odwrócić się i uciec, ale nakazała sobie pozostać na miejscu i przyjrzeć się wszystkiemu. Nie widziała całego korytarza i nie była w stanie ocenić, ilu Auroran się tu zatrzymało. Tkacze jedwabiu cały czas kręciły się nerwowo i ich liczebności również nie potrafiła określić dokładnie. Może czterdzieści albo pięćdziesiąt?

Tam, obok równo złożonego, zwiniętego i owiązanego sznurkiem posłania, zobaczyła swoją rękawicę oraz nóż, a także dwie małe torby i słoik ze zużyтыми kryształami luminowymi, należące do Folly.

Cofnęła się powoli, poruszając się tak cicho, jak tylko zdołała.

Odwróciła się i zobaczyła, że uczennica eteryka gapi się na nią. Dziewczyna bardzo szeroko otwierała różnobarwne oczy. Jej twarz pobladła.

Bridget przykucnęła obok przyjaciółki.

- Dorosłe tkacze jedwabiu - wyszeptała jej do ucha. - Całe dziesiątki.
- Folly zadrżała, ale skinęła głową.
- Nie bój się - wyszeptała do kryształka. - Obronię cię.

- Znalazłam twoje kryształki - wyszeptała była kadziownicza.

Folly uniosła nagle głowę, wlepiając spojrzenie w przyjaciółkę. Przycisnęła kryształek do ust.

- Och - wyszeptała. - Mam nadzieję, że wszystko z nimi w porządku.

- Są tylko dziesięć stóp stąd — wyjaśniła Bridget. - Moja rękawica też tam leży. Chyba dam radę do nich dotrzeć. Jeśli przyniosę ci kryształki...

-Tak - przerwała jej Folly, kiwając głową z zamkniętymi oczami. -Tak, właśnie tak.

- Jeśli mi się uda, to czy będziesz mogła jakoś nas stąd wydostać? - zapytała Bridget.

Uczennica eteryka oblizwała wargi. Potem wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze z płuc. Wzięła drugi oddech. A później trzeci. Wreszcie rozchyliła powieki. Oczy miała szkliste, a źrenice nienaturalnie szerokie. Przesunęła powoli spojrzeniem z lewej na prawą stronę, po czym zadrżała i pochyliła głowę.

-Tu nie ma prądów - wyszeptała do kryształka. - Ale po lewej jest zablokowany korytarz. Tam jest strumień, który mogłabym wykorzystać

- Jak daleko stąd?

- Chyba z pięćdziesiąt stóp, chociaż to głupi sposób mierzenia odległości. Lepsze byłyby kroki. Tak jest, długie kroki.

Bridget przygryzła wargę. Czterdzieści albo pięćdziesiąt tkaczy jedwabiu. Dziesięć stóp do sprzętu. Pięćdziesiąt do drugiego korytarza.

Nie miały szans dotrzeć tam niepostrzeżenie.

Była pewna, że w sztuce teatralnej bohaterka natychmiast stworzyłaby plan, nakazujący jej odważnie poświęcić życie dla towarzyszki. Wpadłaby do korytarza, rzuciłaby Folly kryształki, a następnie pobiegła z wrzaskiem w przeciwną stronę, by wszystkie tkacze jedwabiu podążyły za nią. Walczyłaby zawzięcie, ale w końcu zginęła chwalebnie. Następnie Folly dokonałaby straszliwej zemsty na stworzeniach z powierzchni i zrealizowała misję, by później opłakiwać poległą przyjaciółkę.

Bohaterkom sztuk teatralnych z pewnością przydałoby się więcej rozsądku.

Tkacze jedwabiu jeszcze ich nie zauważyły, a nawet jeśli spostrzegły ich obecność, nie ruszyły do ataku. Sugerowało to, że mogą tego nie zrobić jeszcze przez pewien czas. Auroran z pewnością nigdzie nie widziała. Być może najrozsądniej byłoby po prostu spokojnie poczekać, aż Rowl sprowadzi pomoc. Powinny być gotowe pomóc swym wybawcom, gdy już się zjawią.

A jeśli tkacze jedwabiu jednak postanowią je zjeść, Bridget zawsze będzie miała szansę poświęcić życie w rozpaczliwej próbie ratowania Folly. Dopóki jednak pozostaną inne możliwości, będzie starała się tego uniknąć.

Doszła do wniosku, że byłaby bardzo kiepską bohaterką sztuki teatralnej .

Nagle usłyszała ludzkie głosy, przebijające się przez stukot odnóży tkaczy jedwabiu oraz chrzęst chityny.

Po jej plecach ponownie przebiegł dreszcz przerażenia.

Ludzie? Wśród tkaczy jedwabiu?

Nasuwała się jej tylko jedna możliwość. To oni kierują tymi straszliwymi stworami. O tym kasztelan z całą pewnością musi się dowiedzieć. Nie ulegało wątpliwości, jak powinna się zachować jako gwardzistka. Musi zdobyć jak najwięcej informacji o tych ludziach.

Ojej.

Przełknęła ślinę i ponownie podkradła się do zasłony. Wyrzała na zewnątrz, poruszając się jak najostrożniej.

Mężczyzna i kobieta powoli zmierzali ku niej pośród tłumu tkaczy jedwabiu, jakby stworzenia były uczniami bawiącymi się na szkolnym korytarzu podczas przerwy. Kobieta miała na sobie nieskazitelną strój - suknię i żakiet z szarolawendowej tkaniny, kapelusz tego samego koloru oraz białe rękawiczki. Pięknie uczesane włosy opadały jej na kark. Osiągnęła już dojrzały wiek i cechowała się ostrą, surową

urodą. Jej szare oczy były pozbawione wszelkiego wyrazu. Na jej szyi lśnił szkarłatny klejnot, noszony na czarnym aksamitnym kołnierzyku.

Towarzyszący jej mężczyzna był genetycznym wojownikiem, tak jak Benedict. Był jednak od niego wyższy i silniej umięśniony. Krótkie ciem-nokasztanowe włosy upstrzone siwizną porastały mu głowę i twarz, a także kark i ramiona, nadając mu wygląd drapieżnego zwierzęcia. Jedno z jego kocich oczu lekko zezowało, a w jego ruchach było coś osobliwego. Benedict nie tyle chodził, ile płynął, a wszystkie jego ruchy i gesty były pełne niewymuszonej gracji. Natomiast mężczyzna...

Minęła chwila, nim Bridget uświadomiła sobie, w czym rzecz. Ten człowiek poruszał się jak tkacz jedwabiu.

- Nie rozumiem, po co to całe zamieszanie - mówił. - Wystarczyłby pożar. Jeden człowiek mógłby się zakraść do środka, a potem wymknąć niepostrzeżenie.

- Nie doceniasz drogistów - odparła kobieta. - Wśród nich również są genetyczni wojownicy. - W jej ciemnych oczach pojawił się błysk. - Poza tym pożar nie wystarczy. Trzeba im przekazać jasną wiadomość.

Mężczyzna chrząknął.

- To głupota.

- Nie zdołamy ich zniszczyć, dopóki pozostają w Niebie. Musimy ich stamtąd wywabić.

Bridget zmarszczyła czoło, usłyszawszy te słowa.

- Przynęta na rekina mgieł - mruknął mężczyzna. - To nie zawsze idzie zgodnie z planem.

- Podczas wojny konieczne jest ryzyko - odparła ze spokojem kobieta. - W gruncie rzeczy...

Jej głos umilkł nagle, a oczy utraciły skupienie. Niesamowicie przypominało to wyraz, jaki przed chwilą przybrały oczy Folly. Klejnot u szyi kobiety zamigotał ciemnoszkarłatnym blaskiem.

- Ach - rzekła z zadowoleniem w głosie. - Moi wartownicy. Nieprzyjaciel już przybył. Tak też sądziłam.

Mężczyzna wciągnął powietrze w płuca i rozprostował ramiona. Wyciągnął krótki, szeroki miecz, a rękawica na jego drugiej dłoni obudziła się do życia.

- Gdzie? - zapytał.

- Grupy zbliżają się do nas oboma tunelami - odpowiedziała kobieta. - Nie więcej niż po dwudziestu ludzi w każdej.

Skinęła władczo ręką i w klejnocie na jej szyi ponownie zapłonął posepny ogień. Tkacze jedwabiu zareagowały natychmiast. Podzieliły się na dwie grupy i ustawiły w zwartym szyku. Pierwsza grupa ruszyła w stronę wylotu tunelu, druga zaś zniknęła Bridget z oczu, zapewne zmierzając do drugiego wyjścia.

- Chcesz pojmać paru żywcem? - zapytał mężczyzna.

- To nie będzie konieczne - odparła. - Sark, zabij dziewczyny. Bardzo bym nie chciała, żeby kapitan pomyślał, że nie dotrzymuję słowa.

Mężczyzna, Sark, odwrócił się na pięcie i pomaszerował ku zasłonie.

Bridget zareagowała kompletnie bez zastanowienia. Gdyby pomyślała o tym co zrobiła, wydałoby się to jej absurdalnie przerażające. Wbiegła bez szmeru w korytarz, narażona na spojrzenie genetycznego wojownika z gotową do strzału rękawicą.

Wszystko uległo spowolnieniu. Przez głowę Bridget zdążyła przemknąć myśl, że Rowł zapewne po raz kolejny uratował jej życie. Podczas gdy inne dzieci bawiły się w chowanego z rówieśnikami, ona oddawała się tej zabawie z kotem. Nie potrafiła się poruszać tak cicho jak on, ale nie знаła żadnego człowieka, który lepiej od niej opanowałby tę sztukę.

Gdyby wydała z siebie choć najśłabszy dźwięk, gdyby rozległ się choć najcichszy chrzęst buta na kamieniu albo szelest tkaniny wywołany nieostrożnym ruchem, wyostrzone zmysły genetycznego wojownika pozwoliłyby mu dokładnie ją zlokalizować. Mógłby tego dokonać nawet przez zawieszoną w

wyjściu płachtę.

Ale ona nie popełniła żadnego błędu. Rowł powiedziała, że okazała zadowalającą kompetencję. Sark dał się całkowicie zaskoczyć.

Szok zyskał jej tylko czas na jedno uderzenie serca, najwyżej dwa - ale to wystarczyło, by zdołała dotrzeć do leżącego na podłodze sprzętu. Potem włączyły się odruchy mężczyzny. Genetyczny wojownik uniósł rękawicę i wycelował w Bridget między rozsuniętymi na kształt litery V palcami.

Dziewczyna miała wystarczająco wiele czasu, by złapać słoik z kryształami i rzucić go Folly.

Potem rzuciła się błyskawicznie w bok i padła na ziemię, ale zauważyła, że Sark spokojnie śledzi jej ruchy, zamiast wystrzelić przedwcześnie. Wycelował spokojnie — ani za szybko, ani zbyt wolno - i w kryształ dotykającym wewnętrznej powierzchni jego dłoni pojawiło się światło.

Bridget nie stawiała odważnie czoła śmierci. Wrzasnęła z czystego strachu, unosząc dłoń.

Rękawica rozbłysła.

Drogę eterycznemu impulsowi zagroziła maleńka gwiazda. Strzał odbił się od niej i z daleka ominął Bridget.

Dziewczyna gapiła się na to, zdumiona, jak wolno wszystko się dzieje. Impuls energii uderzył w podłogę za zasłoną, prosto w rozsypane odłamki szkła i kryształy luminowe, leżące w miejscu, gdzie rzucony przez Bridget słoik rozbił się, nie docierając do Folly.

Kryształy nie pękły od siły impulsu, choć zdrowy rozsądek mówił Bridget, że powinny. Rozsypały się tylko na wszystkie strony, tworząc coś w rodzaju fali. W miarę jej rozprzestrzeniania się, wszystkie rozbłysły gorącym, gniewnym blaskiem.

I nagle zerwały się jednocześnie do lotu chmurą świetlistych okruchów.

Wśród nich pojawiła się Folly. Szła szybkim krokiem naprzód. Między jej włosami w karmazynowo-białe paski tańczyły iskierki światła, a różnobarwne oczy gorzały jasnym blaskiem.

Sark wystrzelił jeszcze kilka razy, ale wszystkie impulsy odbiły się od kryształków, które rozjarzyły się jeszcze jaśniej.

- Nie lubimy, gdy ktoś próbuje skrzywdzić naszych przyjaciół — zabrzmiał zimny i twardy głos Folly.

Cała chmura kryształów pomknęła w stronę Sarka niczym pociski wystrzelone z pistoletu.

Genetyczny wojownik opadł na jedno kolano, osłaniając głowę obiema rękami. Kryształki wbijały się w jego ciało z ostrym, przyprawiającym o mdłości dźwiękiem. Z niezliczonych ran tryskała krew, tworząc unoszącą się w powietrzu mgiełkę. Jarzące się jasno kryształy wbiły się w niego na podobieństwo setek maleńkich strzałek.

Z ust genetycznego wojownika wyrwało się drżące westchnienie.

Podniósł się ciężko na nogi, opuszczając ręce. Blask kryształów sterczących z jego ramion, brzucha, jednej łydki i jednego uda nabrał szkarłatnej barwy, gdy pokryły je kropelki krwi. Krwawił i płonął blaskiem mocy, której użyła przeciwko niemu uczennica eteryka.

Ale na jego brzydkiej twarzy nie widać było ani śladu bólu czy strachu. Poruszył ręką i światło jego rękawicy zgasło.

- Doprawdy? - odezwała się kobieta. W jej tonie pobrzmiwało coś w rodzaju rozbawienia.

Bridget uniosła głowę i zobaczyła, że nieznajoma spogląda na Folly z wyraźną wesołością.

- Ile lat byłaś jego uczennicą? I nauczył cię tylko przenoszenia oraz kinetyki? - Zerknęła na Sarka, a potem znowu przeniosła spojrzenie na Folly. — Powiedz mi, że to nie wszystko, co potrafisz.

Dziewczyna spojrzała na nią. Otworzyła usta, a potem je zamknęła. Krew całkowicie odpłynęła z jej twarzy.

Kobieta pochyliła się i uniosła torebki z kryształami luminowymi, których Bridget nie zdążyła rzucić przyjaciółce. Cisnęła je Folly. Torebki wylądowały u stóp dziewczyny i rozerwały się. Kryształki potoczyły się na wszystkie strony.

-To nieuprzejme, by równi sobie mordowali się nawzajem, nie przedstawivszy się sobie uprzednio -

ciągnęła kobieta. - A choć nie jesteś mi równa, masz talent. - Pochyliła głowę. - Nazywam się Sycorax Cavendish. Podobnie jak ty byłam kiedyś uczennicą eteryka Efferusa Effrenusa Ferusa. Ale potem mnie zdradził. - Uśmiechnęła się. - A kim ty jesteś?

Folly przełknęła ślinę i spojrzała na kryształki, poruszając palcami, jakby potrzebowała całej siły woli, by powstrzymać się przed ich pozbieraniem. Następnie dygnęła pośpiesznie, nie odrywając spojrzenia od kryształków.

- Nazywam się Folly, madame Cavendish - odpowiedziała.

Sycorax Cavendish wybuchła głośnym śmiechem.

- Folly, tak? Czy to on nadał ci to mię?

- Dał mi też znacznie więcej - odpowiedziała dziewczyna. Wtem otworzyła szeroko oczy i uniosła wzrok. - Och. To ty. To ty jesteś komarem, którego złapałam.

Te słowa wyraźnie zaskoczyły madame Cavendish. Kobieta uniosła brwi.

- Słucham?

- Bzyczałaś i bzyczałaś, więc stworzyłam sieć, żeby cię w nią złapać. Nie była zbyt ładna, ale spełniła swoje zadanie. - Folly przechyliła głowę na bok. - Odbierałaś rozkazy. — Przygryzała przez chwilę wargę. — Masz teraz nowego pana, prawda?

Madame Cavendish przymrużyła powieki.

- Jak widzę, z twoim umysłem wszystko jest w porządku, panno Folly. - Odsłoniła zęby. - Jak dotąd. Czy mam ci pokazać, jak wygląda prawdziwa moc?

- Nie rozmawiam z marionetkami — stwierdziła Folly. — One nie potrafią odpowiedzieć. Nie naprawdę. Tylko tańczą na swoich sznurkach.

W oczach madame Cavendish pojawił się błysk.

- Sark, zabij tę drugą - rozkazała.

Mężczyzna zwrócił się w stronę Bridget i ruszył naprzód z mieczem w dłoni.

Madame Cavendish poruszyła palcem, wskazując na Folly.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy. Z jej ust wyrwał się krzyk czystego bólu, brzmiący tak, jakby wydobywał się z trzewi i rozszarpał po drodze gardło.

Bridget zerwała się na równe nogi, jakby miało jej to w jakikolwiek sposób pomóc w walce z genetycznym wojownikiem.

Nagle coś uderzyło ją mocno w bok. Jej świat przechylił się pośród ogłuszającego ryku i oparów dymu.

ROZDZIAŁ 54

W Innym Miejscu

Folly zdążyła jeszcze zobaczyć, że madame Marionetka wycelowała w nią palec. Poczowała, że w jej ciało uderza gejzer eterycznej energii. Potem spadł na nią cały kasztel pełen bólu.

Z pewnością musiała krzyczeć. Nie pozostało jej nic poza straszliwym cierpieniem. Wszelkie inne wrażenia pogarszały tylko sprawę. Czuła, że spada, zwinięta w pozycji płodu, zaciskała powieki tak mocno, że wszystkie mięśnie jej ciała ogarnęły kurcze. Nie słyszała niczego poza nieharmonijnym wyciem wypełniającym jej głowę. Gardło jej nie bolało - nie według tej nowej definicji bólu — ale czuła w nim łaskotanie. Rozsądnie było założyć, że krzyczała.

Ta myśl prowadziła do następnej - to bardzo dziwne, że w ogóle była w stanie myśleć, podczas gdy ból całkowicie wypełniał jej system nerwowy. Potem nadeszła trzecia myśl — to naprawdę niezwykle, że zachowała świadomość w stopniu pozwalającym jej postrzegać własne procesy myślowe.

Nadal była świadoma bólu, tak potężnego, że z radością przywitałaby wątpliwą ulgę, jaką przyniosłoby jej zwymiotowanie na podłogę, choćby tylko dla odmiany. Jednocześnie czuła też, że jej myśli wypływają poza granice ciała niczym kawałek eterycznego jedwabiu, który oderwał się od sieci sterowca i unosi się swobodnie na prądach eteru.

Jej ciało i zmysły zostały na podłodze zabarykadowanego tunelu, ale myśli im nie towarzyszyły. Jej umysł przebywał gdzie indziej.

W Innym Miejscu.

Przez chwilę unosiła się w pustce. Potem poczuła pod stopami twardy grunt. Zaciekawiona opuściła wzrok i to, co zobaczyła, wydało się jej dziwne. To nie był kamień kasztelowy, lecz luźna gleba, jasna i ziarnista.

Wzięła jej odrobinę w palce i przyjrzała się uważnie. Ziemia miała sporą domieszkę piasku.

Ziemia.

Piasek.

Czyżby znajdowała się na powierzchni?

Dreszcz przerażenia, który nagle poczuła, był całkowicie zbędny, nieusprawiedliwiony i nieuprzejmy. W końcu wiedziała, że jej pozostawionym w Kasztelu Albion ciałem targają spazmy bólu. Przez całe życie towarzyszyła jej jednak ciekawość otaczającej kasztele powierzchni świata, połączona z panicznym strachem przed jej prawdziwą naturą krainy wcielonych koszmarów. W całych znanych dziejach powierzchniowy świat był piekłem, odwiedzanym wyłącznie przez szaleńców, desperatów oraz tych, którymi kierowała szalona, desperacka chciwość. Choć jej umysł starał się powstrzymać strach, ciało najwyraźniej było innego zdania. Serce dziewczyny waliło jak opętane.

Wstała i powoli zatoczyła krąg. Mgła nie była tu gęsta i Folly sięgała wzrokiem na odległość co najmniej stu stóp. Nie wypatrzyła jednak niczego poza płaską suchą powierzchnią, tu i ówdzie usianą kamieniami.

Nagle grunt zatrzęsł się pod jej stopami. Ziemia zakołysała się z głuchym łaskotem. Folly wyczuwała jej drżenie przez podeszwy stóp. Dźwięk zabrzmiał po raz drugi, a potem trzeci, za każdym razem coraz donośniejszy.

Kroki. To były kroki olbrzymia.

Coraz bliższe.

Mgła się poruszyła. Coś ogromnego, powolnego i kipiącego nienawiścią zatrzymało się tuż za jej granicą. Folly widziała tylko wielką, ciemną plamę. Zamarła w bezruchu, zakrywając usta dłońmi, by ukryć dźwięk własnego oddechu.

W powietrzu poniosł się potężny Głos, dźwięczny i melodyjny. Brzmiał jak głos wyjątkowo elokwentnego mężczyzny, dojrzałego i pewnego siebie. Zawodowego mówcy.

- ZŁÓŻ MELDUNEK.

Folly się zawahała. Cokolwiek się z nią działo, najprawdopodobniej nie miała tu korzystnej pozycji przetargowej. Ale z drugiej strony jej ciało i tak zaraz umrze. Czuła, że serce bije jej tak szybko, że nie była w stanie policzyć poszczególnych uderzeń. Roztropność na nic się jej nie zda.

Co więcej, dręczyła ją ciekawość. Folly pragnęła zadać wiele pytań. A znajdowanie odpowiedzi niemal zawsze było ważniejsze niż ostrożność. Samo zadanie pytania powie jej więcej, niż wiedziała teraz, o ile rzeczywiście zdoła je zadać. Warto spróbować.

Opuściła ręce.

- Przepraszam, ale nie rozumiem, o co ci chodzi.

Poczuła, że ukryte we mgle stworzenie skupiło nagle na niej całą swą straszliwą uwagę.

- *złóż meldunek* - powtórzył Głos.

- Za pierwszym razem nie zrozumiałam cię zbyt dobrze, a zapewniam, że w ciągu pięciu minionych sekund nie przeżyłam żadnej epifanii.

Gdzieś we mgle, wysoko nad głową Folly, rozbłysło czerwone światło, płynące z trzech oddzielnych źródeł.

Oczy?

- NIE JESTEŚ MADAME CAVENDISH - oznajmił głos.

- Madame Marionetką? — zapytała Folly. — W rzeczy samej, nie jestem. Dziękuję za komplement.

- PRZEDSTAW SIĘ.

Dziewczyna dygnęła pośpiesznie przed monstrualną postacią.

- Jestem Folly. A ty?

Głos nie odpowiedział. Rozległ się ogłuszający basowy dźwięk, brzmiący jak parowy gwizdek jakiegoś monstrualnie wielkiego sterowca, odzywający się pośród nocy. Przez chwilę trwała cisza, następnie z oddali odpowiedziały mu podobne sygnały.

- JESTEŚ POTENCJALNIE UŻYTECZNA.

- Dla ciebie? - zapytała Folly. - Nie sądzę. Nie jestem marionetką. Sam tak powiedziałeś.

- PODDAJ SIĘ.

Trzy czerwone światła rozbłysły jaśniej i Folly nagle poczuła straszliwy, odrażający nacisk. Brakowało jej słów, by go opisać. Moc była tak potężna, że omal nie odebrała jej tchu. Czuła, jak drapie jej myśli, szarpie je pazurami, szukając czegoś, czego mogłaby się ucześcić.

Próbowała nad nią zapanować, jak ona mogłaby zapanować nad...

- Rozumiem - wyszeptała Folly - To ty trzymasz w rękach sznurki marionetki, prawda? Trzymasz sznurki wszystkich marionetek.

- PODDAJ SIĘ - zagrzmiął Głos.

Nacisk nasilił się jeszcze, ale Folly czuła, że moc spływa z niej po obu stronach. Nie uczyniła jej nic poza tym, że przez kilka sekund miała trudności z oddychaniem. Dziewczyna wyprostowała się i wpatrzyła w światła z zamyśloną miną.

- Długo zamierzasz to robić? - zapytała. - Jeśli tak, obawiam się, że muszę odmówić dalszego uczestnictwa. Czeka mnie pewne wydarzenie, przy którym muszę być obecna.

W końcu każdy powinien być obecny przy własnej śmierci, zamiast oddalać się, jak niegrzeczne dziecko uchylające się od obowiązków domowych.

Na moment znowu zapadła cisza.

- JESTEŚ CAŁOŚCIĄ - stwierdził wreszcie Głos.

- Chyba nie mógłbyś powiedzieć nic bardziej oczywistego - odpowiedziała Folly. Przymrużyła powieki, starając się przebić wzrokiem mgłę. — Próbowałeś... zapanować nade mną, tak samo jak panujesz nad madame Marionetką i nad tkaczami jedwabiu.

- SKĄD O TYM WIESZ?

- Przyglądam się różnym rzeczom i zastanawiam się nad nimi - wyjaśniła Folly. - Oczywiście pomagam też sobie intuicją, dedukcją i indukcją, a także wszelkimi historycznymi albo teoretycznymi modelami, które wydają się odpowiednie. Co więcej, od pewnego czasu dręczyły mnie straszliwe koszmary, najwyraźniej przeznaczone dla madame Marionetki. Nasunęło mi się przypuszczenie, że to jakieś instrukcje. Dlatego złapałam jeden z nich w sieć. Mistrz powiedział mi, że wysłał go Nieprzyjaciel i że mamy Nieprzyjaciela. To, czego dowiedział się z tego snu, zaprowadziło nas do Kondygnacji Lądowiska... - Folly poczuła, że na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - Ach, teraz rozumiem. To ty jesteś Nieprzyjacielem.

- JEŚLI NIE MOŻNA Cią ZMUSIĆ DO SŁUŻBY, ZOSTANIESZ ZNISZCZONA -oznajmił Nieprzyjaciel.

Piaszczysta gleba nagle zaczęła się zapadać pod stopami Folly.

Dziewczyna poczuła gwałtowne poruszenie w brzuchu. Zaczęła się cofać. Nic to jednak nie dawało. Bez względu na to, jak szybko się poruszała, ogromny krąg piasku wokół niej nie przestawał się zapadać ku środkowi. Spróbowała biec, ale jej stopy grzęzły w osypujących się ziarenkach. Choć starała się uciekać najszybciej jak mogła, piasek wciąż wciągał ją ku środkowi i w dół.

Piasek to przerażająca substancja, pomyślała Folly. Czują, jak się unosi, pokrywając jej kostki. Wyobraźnia podpowiedziała dziewczynie, że wkrótce piasek zasypie jej usta i nos. To byłaby okropna śmierć, uduszenie maleńkimi kawałkami szkła. Nic dziwnego, że Budowniczości otoczyli ludzkość kamieniem kasztelowym. To był naprawdę cudowny materiał -solidny, trwały i godny zaufania. Zawsze wiedziało się, czego się po nim spodziewać.

Gdy tylko Folly dokończyła tę myśl, poczuła pod stopą coś twardego i płaskiego. Zamrugła i spojrzała w dół. Zobaczyła tam blok ciemnej skały, ukryty pod strumieniem coraz szybciej osypującego się piasku. Jej noga znalazła punkt oparcia.

- Ach, oczywiście - powiedziała na głos dziewczyna. — Moje ciało przebywa gdzie indziej. To miejsce jest wytworem umysłu. Tylko myśli są tu realne.

Skupiła się na idei kamienia kasztelowego i postąpiła kolejny krok naprzód. Ku swej znacznej satysfakcji przekonała się, że jej stopa spoczęła na kolejnym bloku czarnego, nieruchomego kamienia.

Nieprzyjaciel wydał z siebie ogłuszający ryk, jakby sto basowych, niezharmonizowanych ze sobą gwizdków parowych odezwało się jednocześnie. Serce dziewczyny zabiło szybciej z nagłego przerażenia. Zerwała się do szybkiego biegu. Bloki kamienia kasztelowego przerodziły się w schody wznoszące się nad zapadającym się piaskiem. Wskakiwała na stopnie lekko jak kot, pędząc pod prąd spływającego piasku, próbującego zepchnąć ją w dół.

Po chwili wróciła na powierzchnię pustyni, ale nie przestawała biec. Jej myśli budowały przed nią wciąż nowe stopnie. Za jej plecami rozległ się kolejny gniewny, przerażający ryk. Schody pod jej stopami zatrzęsły się, jakby coś ogromnego stawiało na nich kolejne kroki, zbliżając się z każdą chwilą.

Folly nie odważyła się oglądać za siebie w obawie, że jeśli ujrzy coś straszliwego, może to zachwiać jej koncentracją. Musiała uciekać. Pędziła w górę po schodach, starając się odgadnąć, jak opuścić to miejsce. To niesprawiedliwe, że trafiła tu bez żadnego wysiłku ze swej strony, a teraz nie była w stanie odnaleźć drogi wyjścia.

Wróciła do poprzedniego toku rozumowania. Myśli były tu jedyną rzeczywistością. Jeśli ktoś chciał stąd wyjść, potrzebował drzewi.

Skupiła się na idei drzwi i nagle ujrzała je przed sobą na szczycie schodów, wprawione w ścianę pustego powietrza. Przebiegła kilka ostatnich kroków w tej samej chwili, gdy na jej ramiona padł jaskrawoczerwony blask, nadając jej bladej skórze szkarłatną barwę. Miała nadzieję, że stworzona przez nią teoria okaże się prawdziwa. W przeciwnym razie za drzwiami czeka na nią upadek w ogromną jamę wypełnioną zapadającym się szybko piaskiem.

Otworzyła drzwi i zobaczyła, że w ciemności przed nią unosi się chmura czegoś, co wyglądało jak czerwone, gorejące iskry.

Nieprzyjaciel ryknął raz jeszcze. Na Folly padł straszliwy cień, mrok i chłód nieprzypominające niczego, czego do tej pory doświadczyła.

- POŻRYJCIE JĄ! - ryknął Nieprzyjaciel. - ZNISZCZCIE JĄ!

Dziewczyna krzyknęła mimowolnie z gwałtownego strachu i skoczyła w pustkę przez otwarte drzwi, zatraskując je za sobą.

Folly usiadła raptownie, ściskając w jednej dłoni garstkę luminowych kryształków, i zamrugała kilka razy. Ktoś obejmował jej ramiona. Okazało się, że to Bridget. Wokół niej było też kilku członków załogi *Drapieżcy*, w tym również Benedict Sorellin i grymaśny kapitan. Wszyscy sprawiali wrażenie wyczerpanych i wystraszonych, a w obu rękach ściskali broń. Wyglądało to złowrogo.

Z drugiej strony Folly nie czuła w sobie nic, co sugerowałoby, że zbliża się śmierć. Zważywszy wszystko razem, była to miła niespodzianka. Zawsze powinno się zwracać uwagę również na dobre rzeczy, a nie tylko na złe.

- Ojej - rzekła do kryształków. - Udało się! Uciekłyśmy!

Bridget poderwała się nagle i spojrzała na nią.

- Folly! Dobrze się czujesz?

W jej umyśle poniosły się echem słowa Nieprzyjaciela.

POŻRYJCIE JĄ ZNISZCZCIE JĄ.

Nieprzyjaciel mówił do iskieł z obozowych ognisk, widocznych za drzwiami, przez które wróciła tu z Innego Miejsca. Iskieł, które miały taki sam rubinowy kolor jak jego światła.

Uniosła wzrok i zobaczyła, że do tunelu wbiegają dziesiątki tkaczy jedwabiu, sunących po podłodze, po ścianach i po suficie. Skupiska ich oczu były punkcikami szkarłatnego blasku.

A wszystkie skupiały się na Folly.

Tkacze jedwabiu wydały z siebie niesamowity, chóralny wrzask i zaczęły biec jeszcze szybciej.

ROZDZIAŁ 55

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska, tunele wentylacyjne

Bridget zamruwała, gdy Folly otworzyła nagle oczy, usiadła i zawołała radośnie:

- Ojej! Udało się! Uciekłyśmy!

Była kadziowniczką oderwała znużone spojrzenie od chaosu pozostałego po aurorańskim obozowisku i przeniosła je na rumowisko, zamykające im drogę ucieczki przez tunel, w którym jeszcze niedawno przetrzymywano ją razem z Folly.

Niewielka armia stworzeń z powierzchni była gotowa ich pożreć, a nieliczni mężczyźni towarzyszący kapitanowi Grimmowi byli ranni i zmęczeni.

Nie mieli szans wymknąć się wrogowi.

Zadała sobie pytanie, w jakim wszechświecie ich obecną sytuację można było uznać za udaną ucieczkę.

Wyrwała się z zamyślenia i zauważyła, że uczennica eteryka wpatruje się bez wyrazu w pustkę.

- Folly? — zapytała Bridget. - Folly! Czy wszystko w porządku?

- Panno Folly — odezwał się Benedict, kiwając głową do obu dziewczyn. Przykucnął przy uczennicy eteryka i na chwilę dotknął dłonią jej szyi. - Oddycha i serce bije jej mocno. Nie sprawia wrażenia rannej. Może oberwała w głowę?

- Zważywszy na wszystko razem, zaczynam uważać, że bardzo wiele by wyjaśniło, gdyby się okazało, że wszyscy oberwaliśmy w głowę - skwitowała Bridget. - Co teraz zrobimy?

- Będziemy walczyć - stwierdził Benedict, odpowiadając na jej żarcik posepnym uśmiechem. Wyciągnął zza pasa ciężki nóż, odwrócił go tak, by trzymać go za ostrze i podsunął rękę Bridget. - Proszę.

Dziewczyna przełknęła ślinę i przyjęła nóż. Gdy poczuła w dłoni jego ciężar, uspokoiła się nieco, wiedziała jednak, że jeśli będzie zmuszona go użyć, tkaczy jedwabiu znajdą się tak blisko, że niewiele jej to pomoże. Co gorsza widziała, że dłoń i palce Benedicta pokrywa jego własna krew, która splamiła również klingę noża. Był ranny, być może poważnie. Na jego lewym przedramieniu, pełnym draśnięć i skaleczeń, pojawiły się plamy nieprzyjemnego koloru. Z pewnością od jadu.

Jad tkaczy jedwabiu mógł być śmiertelnie groźny nawet dla genetycznych wojowników. Bridget zasmuciła się jeszcze bardziej. Zrobiło się jej niedobrze z niepokoju.

Zwalczyła jednak to wrażenie, wstała i stanęła u boku Benedicta.

- Dziękuję - rzekła mu.

— Zauważyłem to, kiedy tu przyszliśmy — rzekł młodzieniec i uniósł rękę. Trzymał w niej rękawicę Bridget. - Pomyślałem sobie, że skoro i tak przechodzę obok, równie dobrze mogę ci ją przynieść.

Z ust Bridget wyrwało się prychnięcie, które nie do końca było śmiechem.

-To bardzo uprzejme z twojej strony - rzekła i zaczęła przytracać rękawicę do przedramienia. Jej palce nie poruszały się tak szybko i precyzyjnie, jak u prawdziwego eksperta, ale wykonywały swe zadanie spokojnie i bez wahania. - Sir Sorellin?

— Słucham, panno Tagwynn?

- Zapewne tu zginiemy? - zapytała Bridget. — Na Boga w Niebiosach, proszę, bądź szczery. Benedict wpatrywał się w nią przez chwilę. Nie odezwał się ani słowem. Nie musiał tego robić.

Wyczytała odpowiedź w jego oczach.

Nadal przypinała sobie rękawicę, zdumiewając się własnym spokojem. Nie chodziło o to, że perspektywa gwałtownej śmierci jej nie przeraża. Była przerażona, lecz zarazem..

Przyszła tu z własnej woli. Stała wrogom na drodze, ponieważ postanowiła narazić się na niebezpieczeństwo, żeby bronić innych. Cokolwiek się dziś wydarzy, wiedziała, że odciągnęła od niewinnych ofiar znaczną część uwagi tych okropnych ludzi oraz potworów, które im służyły. Była tarczą i mieczem Albiończyków.

Z pewnością nie chciała, by jej życie się dziś skończyło, ale ten dzień musi kiedyś nadejść, a jeśli ma się to wydarzyć dzisiaj, wolałby, żeby jej śmierć miała sens. Jeśli zginie w walce z tak odrażającymi wrogami, z pewnością będzie to dobitnym podsumowaniem jej życia i wyrazem decyzji, które podjęła.

Tupot i jazgot dobiegający z korytarza stawały się coraz głośniejsze.

- Nadchodzą - powiedział jeden z astronautów przepojonym strachem głosem.

- Przygotować się - rozkazał kapitan Grimm tonem tak obojętnym, jakby mówił o pogodzie.

Bridget zerknęła na niego. Trzymał w ręce zakrwawiony miecz, a w miejscach, gdzie miedziana klatka jego nadal rozgrzanej rękawicy dotykała grubego skórzanego mankietu, pojawiały się smużki dymu. Twarz miał pobladłą, ale spokojną. Wzrok wlepiął w sufit tunelu.

Przeniosła spojrzenie z powrotem na Benedicta. Wysoki mężczyzna stał prosto, ale oddychał z nieco większym wysiłkiem niż jeszcze przed chwilą. To z pewnością skutek działania jadu. On również wpatrywał się w ciemność z pobladłą, ale spokojną twarzą. Podrzucił kilka razy miecz w ręce, traktując ciężką stalową broń jakby ważyła nie więcej niż płócienna serwetka.

Jeśli natura jej wrogów doda chwały śmierci Bridget, natura sojuszników dziewczyny będzie jeszcze jaśniejszym i głośniejszym świadectwem wartości jej życia.

Zapięła ostatnią sprzączkę rękawicy, naładowała ją, zacisnęła prawą dłoń na rękojeści masywnego noża i stanęła obok Benedicta, stawiając czoło wrogowi.

Folly wciągnęła raptownie powietrze w płuca i otworzyła szeroko oczy. Przez krótką chwilę wpatrywała się w wejście do tunelu, a potem uniosła ręce i z jej ust popłynęło ciche skomlenie. Następnie odsunęła się od wejścia i wcisnęła plecy w barykadę z gruzu.

Bridget gapiła się na nią przez mgnienie oka. Nagle przypomniała sobie, jak zareagowała uczennica eteryka na chwilę przed tym, nim horda młodych tkaczy jedwabiu spadła na nich z góry. Skierowała spojrzenie w kierunku w którym gapiła się Folly, i zwróciła się błyskawicznie w stronę Grimma.

- Kapitanie, sufit! Ognia!

Grimm wpatrywał się w nią przez jakieś pół sekundy, ale Bridget nie traciła czasu na czekanie na jego decyzję. Uniosła rękę i wystrzeliła w sufit przy wejściu impuls wyjącej energii. W tej samej chwili do korytarza wpadły pierwsze biegnące po suficie tkacze jedwabiu. Bridget chybiła, ale Grimm, który wystrzelił pół sekundy później, przebił pierwszego stwora wiązką gorejącego blasku i strącił go na podłogę. Nadciągały wciąż nowe tkacze jedwabiu, straszliwe i przerażająco szybkie. Były jak żywy dywan sunący ku nim po suficie tunelu. Ich oczy lśniły, a trójdzielne paszcze otwierały się szeroko. Wydobywał się z nich chór syczących, świszczących wrzasków.

- Sufit! - zawołał Grimm, strzelając raz po raz. - Ognia, ognia, ognia!

Aeronauci i Benedict wykonali jego polecenie i przez chwilę rozszarpane kolejnymi impulsami tkacze jedwabiu spadały z sufitu niemal równie szybko, jak pojawiały się nowe. Bridget nie miała pojęcia, czy któregoś trafiła, choć trzeba było przyznać, że trudno byłoby sobie wyobrazić, by chybiła za każdym razem. Przypominało to raczej gaszenie pożaru wodą niż jakąkolwiek bitwę, o której słyszała.

Niestety, ciśnienie w pompach było niskie. Rękawice astronautów zaczęły się przegrzewać jedna po

drugiej, przypalając skórzane mankiety i ukryte pod nimi ciało. Grimm przestał strzelać jako ostatni z nich i tylko Bridget kontynuowała ogień. Jej rękawica była świeższa i gromadziło się w niej mniej ciepła nadmiarowego niż w innych broniach, niedawno używanych podczas długiej bitwy.

- Miecze! - zawołał Grimm, gdy fala coraz bardziej pewnych siebie i agresywnych tkaczy jedwabiu była już blisko.

Pochwy zagrzechotały, gdy aeronauci ze świstem wyciągnęli z nich broń. Pierwszy tkacz jedwabiu skoczył na nich, ale nadziano go na kilka kling jednocześnie. Bridget dostrzegała jednak, co z czasem musi się wydarzyć. Oczy zaszczyły jej łzami frustracji, gdy patrzyła na nadciągające tkacze jedwabiu. Było ich znacznie mniej niż jeszcze przed chwilą - być może tylko tuzin - ale miały nad Albiończykami dwukrotną przewagę liczebną, a człowiek jest znacznie bardziej kruchym stworzeniem od tkacza. Zwycięstwo było rozpaczliwie blisko, ale teraz zostało im tylko czekanie na śmierć.

Kolejne tkacze jedwabiu zaczęły skakać na obłązoną grupkę.

I wtedy rozległa się najpiękniejsza muzyka, jaką Bridget słyszała w życiu.

Gdy jeden kot wydaje z siebie okrzyk bojowy, brzmi to niepokojąco. Kiedy dwa koty wrzeszczą jednocześnie na siebie w ten sposób, można się tego przestraszyć.

Ale gdy setki kotów odzywają się unisono, sam odgłos wystarczy, by ludzie poczuli się, jakby oddzierano im skórę od mięśni i kości. Budzą się w nich koszmary zrodzone ze wspomnień dawno umarłych i zapomnianych przodków, czyste przerażenie w obliczu śmiertelnie groźnego drapieżnika. Nawet obce, nieubłagane tkacze jedwabiu nie były w stanie zignorować tego zewu. Stworzenia z powierzchni zaczęły poruszać się nerwowo w przód i w tył.

Rowl przyprowadził Dziewięć Pazurów na wojnę.

Koty wypełniły tunel wrzeszczącą falą. Na czele biegł Rowl, syn Maula z Cichych Łapek, w towarzystwie Nauna, wodza Dziewięciu Pazurów. Z obu stron otaczała ich kadra największych wojowników Dziewięciu Pazurów, a każdy z nich wdział bojowe ostrogi.

Gęste kłębowisko kotów eksplodowało nagle na wszystkie strony. Ci, którzy nigdy nie widzieli, jak kocie plemię wyrusza na wojnę albo przynajmniej oddaje się grom wojennym, dostrzegłby w tym, co wydarzyło się potem tylko czysty chaos. Koty biegały to w tę, to w tamtą, z pozoru zupełnie bezładnie, drapały, skakały i gryzły, ale nic z tego nie wynikało.

Jednakże Bridget wiedziała swoje. Koty zdawały sobie sprawę, że w pojedynkę nie mają szans ze znacznie większymi i silniejszymi tkaczami jedwabiu. Zamiast poświęcać wojowników, rzucając się tłumnie do ataku w desperackiej walce na wyniszczenie, wybrały inną taktykę. Zmuszały tkacze jedwabiu do reagowania na ich poczynania, nieustannego kręcenia się w kółko i prób kontrataków, a potem uciekały, nim wrogowie zdążyli je osiągnąć. Stworzenia z powierzchni, rozwścieczone i podekscytowane, mogły tylko kłapać bezużytecznie szczękami i próbować śledzić wszystkie poruszenia nieuchwytnych napastników.

Wreszcie, gdy zmęczenie spowolniło ruchy tkaczy jedwabiu, a zamieszanie zredukowało niewiarygodną szybkość ich odruchów, Rowl i Naun uderzyli.

Bridget przyglądała się z uwagą, jak jej przyjaciel nagle popędził prosto ku otwartej paszczy tkacza jedwabiu. Już chciała ostrzec go krzykiem, ale Rowl skręcił nagle w lewo, później w prawo, a potem obrócił się na grzbiet, nie zwalniając ani na chwilę. Wsunął się pod brzuch tkacza i natychmiast zaczął rozszarpać go ostrogami.

Wydał z siebie kolejny okrzyk bojowy. Jego tylne nogi przerodziły się w zamazaną plamę, gdy rozdzierał na strzępy podbrzusze przeciwnika. Przetoczył się na cztery łapy i wybiegł spod tkacza, nim z ciała stworzenia buchnął strumień śmierdzącej fioletowawej krwi zmieszanej ze śluzem. Stworzenie miało się jeszcze szaleńczo przez kilka sekund, a potem zważyło na bok. Jego liczne nogi poruszały się bezsilnie przez pewien czas, nim wreszcie nieruchomiały.

- Rowl! - zawołała zachwycona Bridget.

- Małamyszko! - odparł radośnie kot. - Nie zabijaj mojej zwierzyny! Założyłem się z Naunem!

Uskoczył nagle przed atakiem kolejnego tkacza jedwabiu — Bridget przysięgłaby, że Rowl go nie zauważył - i umknął, tylko po to, by wśliznąć się pod brzuch kolejnego nękanego przez kocich wojowników tkacza na drugim końcu tunelu. Raz jeszcze rozszarpał wściekłymi uderzeniami jego brzuch i umknął, nim zdążyły go zalać cuchnące trzewia wroga.

Kapitan Grimm ruszył naprzód, unosząc miecz.

- Pomóżcie kotom! - ryknął. - Prowokujcie tkacze! Zmęczcie je!

Benedict również rzucił się do ataku i ciął mieczem tkacza, który zdołał złapać za ogon jednego z kotów, zmuszając stworzenie do wypuszczenia łupu. Następnie odkopnął drugiego tkacza od rannego kota i zagroził stworzeniu z powierzchni drogę do leżącego na podłodze wojownika, wyszczerzając zęby w szerokim uśmiechu.

Bridget trzymała się z tyłu. Nie strzelała z rękawicy zbyt celnie i byłoby głupotą, gdyby zaczęła wypuszczać impulsy energii w szalejący chaos. Natomiast jej nóż był bardzo krótki i gdyby spróbowała zrobić z niego użytek, z pewnością naraziłaby się na jadowite ukąszenia tkaczy. Co więcej, ktoś musiał pilnować, by któreś z mściwych stworzeń nie spróbowało zaatakować bezradnej, leżącej na podłodze Folly.

Bitwa nie trwała długo. Gdy tkacze miały przewagę liczebną nad Albiończykami, jej wynik wydawał się oczywisty, ale teraz liczniejsze były koty. Naun, Rowl i osobista straż wodza Dziewięciu Pazurów eliminowały kolejne stworzenia, gdy tylko wystawiły się na cel, aż wreszcie pozostał tylko jeden tkacz.

Wtedy Naun wydal z siebie gwałtowny, okrutny wrzask i dwieście kotów z Klanu Dziewięciu Pazurów rzuciło się na bestię, rozszarpując ją w gniewnym szale. Nie tyle zabiły tkacza jedwabiu, ile rozsmarowały go równo na kilkunastu jardach kwadratowych podłogi.

Bridget niemal było go żal.

Niezupełnie, ale prawie.

- O w dupę - wygarnął krzepki aeronauta. Nazywał się Kettle, Keppel, czy jakoś tak, Bridget nie pamiętała dokładnie. - Te małe pieprzone futrzaki się nie patyczkują, co?

- Język, Kettle — skarcił go kapitan Grimm. — Zważywszy na to wszystko, myślę, że lepiej byłoby, gdybyśmy ich niechcący nie obrazili, jasne?

- Tak jest, kapitanie - odparł Kettle, spoglądając na powiększającą się plamę, która jeszcze przed chwilą była tkaczem jedwabiu. - Z pewnością tak sugeruje zdrowy rozsądek. Nie chciałem was obrazić, kotki.

Rowl podszedł nieśpiesznie do Małejmyszki. Wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego.

- Pięć - oznajmił z dumą. - Pięć dorosłych tkaczy jedwabiu w pięć minut. Maul nigdy nie dokonał czegoś takiego.

Bridget spróbowała coś powiedzieć, ale przekonała się, że nie jest w stanie. Upuściła nóż, wydała z siebie cichy, zdławiony dźwięk i wzięła kota w ramiona, tuląc do siebie jego ciepłe futrzaste ciało.

- Uratowałeś nas.

- Oczywiście - zgodził się Rowl. - Jestem wolny od wad.

Dziewczyna przełknęła z wysiłkiem ślinę, a potem się rozplakała.

- Tak bardzo się bałam - wyznała. - Myślałam już, że zginę daleko od domu.

W piersi Rowla zrodził się głęboki pomruk zadowolenia.

-Jak mogłoby się to stać, kiedy ja się tobą opiekuję?

- Jesteś niemożliwy - stwierdziła, tłumiąc śmiech.

-Jestem kotem - odparł z dumą Rowl. - To nie twoja wina, Małamyszko. To naturalne, że wydaję się niemożliwy istocie o tak ograniczonych możliwościach jak człowiek. Gnieciesz mi futro - poskarżył się.

Bridget pocałowała go w czubek głowy, a potem postawiła na podłodze. O dziwo, nie sprawiał wrażenia, by zbyttno się przejmował futrem.

- Muszę porozmawiać z Kapitanem Statkowe Drzewa - oznajmił.

- Nadałeś mu imię? - zapytała Bridget.

Zatrzepał uszami, jakby jej nie dosłyszał, i ziewnął.

— Czy przemówisz do niego po albiońsku w moim imieniu? — zapytał

— Przemówię — zapewniła. — Benedykcje, popilnuj Folly.

— Oczywiście — zgodził się genetyczny wojownik i pokłonił się Rowlowi, pochylając nisko głowę. - Świetnie walczyłeś.

- On o tym wie — rzekła Bridget, zanim kot zdążył odpowiedzieć.

Rowl zastanawiał się przez chwilę nad tymi słowami, a potem się odwrócił, machając ogonem w geście będącym odpowiednikiem ludzkiego wzruszenia ramionami.

-Tak - potwierdził. - Wiem. Chodź, Małamyszko.

Bridget poszła z Rowlem do kapitana Grimma.

-Panie Rowlu - przywitał kota z powagą kapitan. Wyprostował się, włożył kapelusz pod pachę i pokłonił się kotu bardzo nisko. — Uratowałeś życie mnie i moim ludziom. Jestem twoim dłużnikiem.

-Wiem o tym - odparł Rowl (za pośrednictwem Bridget). - Mam misję do wykonania jako jeden z wojowników kasztelana. Na terytorium Dziewięciu Pazurów nadal przebywają aurozańscy wojownicy. Razem z klanem Dziewięciu Pazurów uratowałem wam życie. A teraz wy musicie pomóc im bronić ich terytorium.

— To prawda - zgodził się Grimm, kiwając głową. Wtem zerknął w bok i szeroko otworzył oczy.

Bridget uniosła wzrok i zobaczyła pozostałych członków załogi *Drapieżcy*, wychodzących z jednego z bocznych korytarzy. Na podłodze za nimi leżało kilka nieruchomych tkaczy jedwabiu, a także ludzkie ciała. Najwyraźniej liczny oddział ludzi został zamknięty w tunelu przez stosunkowo niewielką grupę tkaczy. Wszyscy wychodzili teraz na zewnątrz z gotowymi do strzału rękawicami i mieczami w rękach. Łypali nieufnie na koty.

- Nie strzelać! - zwołał do nich Grimm. - Stój! Już po wszystkim! Koty są po naszej stronie!

Ludzie wykonali rozkaz kapitana. Grimm ponownie spojrzął na Bridget i Rowla.

- Aurorańscy wyruszyli wykonać rozkazy, które im wydano. Musimy ich powstrzymać. Czy Dziewięć Pazurów nam w tym pomoże?

Rowl poruszył ogonem w lewo i w prawo.

- Klan Dziewięciu Pazurów nie dba o to, kto włada ludzką częścią jego kondygnacji. Toczył wojnę wyłącznie z tkaczami jedwabiu. Walka z ludźmi uzbrojonymi w rękawice to coś całkiem innego niż bój ze stworzeniami z powierzchni.

Grimm chrząknął.

-A co z informacjami? Czy możecie nam powiedzieć, gdzie są Aurorańscy?

Zamiast odpowiedzieć, Rowl usiadł na podłodze. Po chwili potrzebnej na jedno uderzenie serca, od ściany oddzielił się skrawek cienia i usiadł obok niego. Kotka była znacznie mniejsza od ważącego trzydzieści funtów kocura, ale zachowywała się z równie wielką godnością.

- Cześć, Mirl - przywitała ją Bridget. - Kapitanie Grimm, to jest Mirl.

- Miło mi, że poznałem jej imię - rzekł Grimm. - Dziękuję ci za pomoc. Mirl. Wiesz dokąd poszli Aurorańscy?

- Oczywiście - odparła kotka, zerkając z ukosa na Rowla. - Podczas gdy ty i inne rozpieszczone dzieciaki zabawialiście się zabijaniem zwierzyny, która nawet nie nadaje się do jedzenia, ja zajmowałam się ważnymi zadaniami.

- A co to za zadania, jeśli można zapytać? - zainteresował się Grimm.

- Siedzenie Aurorańskich, oczywiście - odpowiedziała Mirl. - Jeśli już o tym mowa, nikt, kto na mnie polegał, nie wpadł w ręce nieprzyjaciela.

Kocur przymrużył nieco powieki.

- Mów dalej — warknął. — Gdzie oni są?

Zamiast mu odpowiedzieć. Mirl zaczęła wylizywać starannie łapę. Robiła to wystarczająco długo, by stało się oczywiste, że Rowl nie zmusza jej do niczego, czego nie chciałaby zrobić.

Bridget westchnęła. Koty. Gdy kapitan Grimm zaczął zadawać pytanie, powstrzymała go, unosząc rękę. Zmarszczył brwi, ale umilkł.

- Są w kamiennym domu z murami, ziemią i rosnącą zielenią - odpowiedziała po chwili Mirl.

Benedict zeszywniał.

- W świątyni. Co tam robią?

- Zabijają — poinformowała go Mirl. — Pałą.

- Po co mieliby robić coś takiego? — zapytała Bridget, spoglądając na Grimma.

- No właśnie - odparł kapitan z zamyśloną miną. - Po co?

- Musimy pomóc mnichom, kapitanie - wtrącił z pasją Benedict. Grimm przez chwilę przyglądał się młodzieńcowi z uwagą. Wreszcie skinął głową.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Creedy, wiem, że wszyscy są wykończeni, ale musimy ruszać w drogę.

ROZDZIAŁ 56

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska, Świątynia Drogi

Pokonawszy całą armię tkaczy jedwabiu niemalże w pojedynkę. Rowl usiadł spokojnie i przyglądał się niemogącym dojść do siebie po bitwie ludziom.

Małamyszka, która była zdecydowanie najważniejsza z obecnych tu ludzi, pomagała wstać człowiekowi Folly. Potem powiedziała jej coś cichym, niespokojnym tonem. To było śmieszne, rzecz jasna. Dziwna dziewczyna była w stanie stać o własnych siłach i najwyraźniej czuła się dobrze. Przez chwilę sprawiała wrażenie bardzo pobudzonej, ale Małamyszka włożyła jej w dłonie kilka luminowych kryształków. Uczennica eteryka ścisnęła je, jakby były cenniejsze od kociąt.

Kapitan Statkowe Drzewa poszedł obejrzeć poległych i rannych towarzyszy. Rowl to pochwalał. Naun również poszedł się przyjrzeć zabitym i ranionym wojownikom ze swego klanu. Uporawszy się z tym zadaniem, podszedł do Rowla. Jego zakrwawione ostrogi stukały o podłogę.

- Rowl.
- Słucham, Naun.
- Zabiłeś tyle samo tkaczy, co ja - zauważył wódz Dziewięciu Pazurów.
- Naprawdę? - odparł wyniośle Rowl. - Nie liczyłem.

Naun poruszył z wesołością ogonem.

- Groźba dla mojego klanu zniknęła. To twoja zasługa.
- Nie ma sprawy — mruknął Rowl.

Naun przez chwilę przypatrywał mu się bez słowa.

- Darowałeś życie mojemu kocięciu, choć miałeś wszelkie powody, by je zabić.
- To prawda.
- Dlaczego?

- Z szacunku - wyjaśnił Rowl. Uniósł prawą tylną łapę i przyjrzał się zakrwawionej ostrodze, którą miał na niej. - Te ostrogi są świetne.

- Prawie nieużywane — warknął Naun. - Zatrzymaj je sobie.
- Neen nie będzie zadowolony — zauważył Rowl.
- Neen zasłuży na nowe. Może tym razem czegoś się nauczy.
- Życzę ci szczęścia — odparł Rowl. — Wybacz. Ostrogi mnie uwierają.

Naun poruszył uchem na znak pożegnania.

- Przekaż swemu ojcu wyrazy szacunku. Jego wysłannik jest mile widziany na terytorium Dziewięciu Pazurów.

- Zrobię to - zapewnił Rowl.

Naun wstał, nie mówiąc już nic więcej, i oddalił się.

Rowl odwrócił się w stronę Kapitana Statkowe Drzewa i zauważył, że ten rozkazuje właśnie kilku swym zdrowym wojownikom, by pomogli ludzkiemu uzdrowicielowi przenieść rannych w jakieś bardziej bezpieczne miejsce.

Gdyby czuł odległą woń dymu, jak Rowl, śpieszyłby się bardziej. Ale tacy już byli ludzie. Ich zmysły były stępione, podobnie jak ich rozum, a na domiar złego bardzo często je ignorowali bądź nawet

znieczulali dodatkowo swymi trunkami, swą tak zwaną muzyką, a także swym mydłem. Dlatego bez względu na fakt, że znajdowali się w jedynej w całym Kasztelu Albion kondygnacji, gdzie były palne budynki, i całe miejsce mogło się lada moment zamienić w gigantyczny piec, w którym wszyscy się upieką, najpierw trzeba było załatwić ludzkie sprawy.

Całe lata życia w pobliżu ludzi nauczyły Rowła, że nie ma sensu ich poganiać. Stał się dzięki temu jeszcze bardziej cierpliwy, niż potężny. Będą gotowi, kiedy będą gotowi. Tymczasem podszedł do Małajmyszki, usiadł wygodnie i zajął się sznurówkami swych nowych ostróg. Węzły były niecywilizowanym wynalazkiem. Jego polidaktyliczne łapy po prostu nie były przystosowane do rozwiązywania rzemieni przytracających ostrogi do nóg. Dlatego z reguły potrzeba było dwóch giermków, którzy je przywiązywali.

- Rowł - odezwała się Małajmyszka po kociemu. - Czy pozwolisz, bym ci pomogła?
- Tak - odparł natychmiast i ułożył się wygodnie.

Małajmyszka zabrała się za rozwiązywanie węzłów swymi nieprzyzwoicie długimi i zręcznymi palcami. Każde stworzenie ma coś, w czym jest szczególnie dobre, pomyślał Rowł. W przypadku ludzi jest to rozwiązywanie supłów, a w przypadku kotów cała reszta.

Małajmyszka uporowała się z węzłami, a potem ostrożnie zdjęła mu z nóg szerokie skórzane mankiety, które uciskały go tak nieprzyjemnie. Rowł nie zniżył się do czegoś tak pozbawionego godności jak westchnienie ulgi, choć mniej warty kot mógłby to zrobić. Czuł się brudny. Głupie tkacze jedwabiu nie zdołały zmoczyć go swymi płynami życiowymi, co przydarzyło się niektórym powolniejszym wojownikom Nauna, ale miał na futrze kapki śmierdzącej cieczy.

Rowł ziewnął, wstał i trącił głową kolano Małajmyszki.

Dziewczyna pochyliła się i podrapała go za uszami. Musiał przyznać, że to mogła być kolejna dziedzina, w której palce w ludzkim stylu miały przewagę.

- Byłeś taki odważny, Rowł - mówiła bardzo cichym i ciepłym głosem. - Uratowałeś nas wszystkich.

Godność nie pozwalała mu podskoczyć z radości na te słowa, Rowł ograniczył się więc do wstania na cztery łapy, wygięcia grzbietu w łuk i przesunięcia go pod jej dłoń. Być może nawet usunęło to część paskudztwa z jego futra.

- Wiem - odrzekł.
- Jak udało ci się przekonać Dziewięć Pazurów, żeby nam pomogły? — zapytała Małajmyszka.
- Uratowałem kocię wodza klanu.
- Przed czym?
- Przed moim gniewem - odparł Rowł. Przeciągnął się i otrzepał kolejno obie tylne nogi, by choć trochę wygładzić sierść. - Zwaliłbym dla ciebie cały kasztel, Małajmyszko.

Dziewczyna pisnęła radośnie, podniosła go w niezgrabnych ludzkich dłoniach i uściskała mocno.

Rowł musnął policzkiem jej policzek i zamruczał. W końcu nie można go było oskarżyć o brak godności, jeśli to człowiek - nawet tak wyjątkowy jak Małajmyszka - dał się porwać chwilowym emocjom.

Poza tym wytrze sobie futro o jej rękawy.

Chwila trwała, aż wreszcie przerwał ją wysoki młody wojownik stojący obok Kapitana Statkowe Drzewa.

- Wszyscy ustawić się za mną! Ruszamy!

Wreszcie, najwyżej jedną albo dwie drzemki po skończeniu poprzedniej walki, wyruszyli w drogę.

Woń dymu stawała się coraz silniejsza. Ludzie sapali z wysiłku, posuwając się naprzód zatłoczonymi ulicami Kondygnacji Ładowiska. Rozbawiony tym Rowł pędził obok nich. Z całej grupy tylko jego Małajmyszka trzymała równy rytm biegu. Miała na nogach te same buty, które nosiła w gwardii.

Najwyraźniej całe to bezsensowne bieganie pomogło jej przygotować się na ten wieczór. Poruszała się bardzo dobrze w porównaniu z resztą grupki. Rzecz jasna nie tak dobrze jak kot - to byłoby po prostu niemożliwe - ale lepiej niż pozostali ludzie, nawet półduszczy.

Rowl przyjrzał się z uwagą człowiekowi Benedictowi. Zawsze sprawiał on wrażenie mniej niezgrabnego od pobratymców, ale teraz owa zdolność opuściła go niemal całkowicie. Jego nogi poruszały się nierytmicznie i dyszał równie ciężko jak pozostali. Na pewno był zmęczony, choć zachował wystarczającą przytomność umysłu, by unosić nos i węszyć. Dzięki temu wreszcie poczuł zapach dymu, który dla Rowla był oczywisty, nim jeszcze zaczęli bieg.

Kot usłyszał coś nagle i skupił uwagę na tym dźwięku.

- Małamyszko - zawołał. - Przed nami strzały z rękawic.

Dziewczyna przekazała wiadomość dalej, a przynajmniej spróbowała to zrobić. Pierwszy człowiek, któremu ją powtórzyła, by przekazał ją dalej, aż dotrze do kapitana, dyszał tak ciężko, że innym ludziom trudno było go zrozumieć. Małamyszka pokręciła głową i przyspieszyła kroku, by dogonić Kapitana Statkowe Drzewa.

Zbliżający się do świątyni ludzie rozciągnęli się w wachlarz i zwolnili kroku, posuwając się naprzód ostrożniej, choć właściwie trudno byłoby to nazwać skradaniem się. Dla Rowla brzmiała jak łoskot i sapanie maszyny parowej - choć trzeba przyznać, że Małamyszka była tylko tak głośna jak wyjątkowo niezgrabne, kulawe kocię.

Rowl nie miał takich problemów. Zobaczą go dopiero wtedy, gdy on tego zapragnie. Popędził naprzód.

Ze Świątyni Drogi buchały potężne kłęby dymu - zapewne wiążące się z płomieniami, które widział wewnątrz. Grupa ludzi próbowała ustawić się w szereg. Najwyraźniej zamierzali przekazywać wzdłuż niego wiadra, by najgłupszy z nich, stojący najbliżej ognia, mógł wylewać wodę na płomień. Wszędzie walało się mnóstwo metalowych wiader, a gdzieś tam również trupy ludzi, którzy próbowali zrobić z nich użytek.

Nagle jeden z ludzi wychylił się zza osłony muru okalającego świątynię, stanął w bramie i wystrzelił z rękawicy Impuls przeszył całość dymu, zostawiając za sobą ślad z maleńkich węgielków. Człowiek schował się szybko w tej samej chwili, gdy kilka impulsów uderzyło w kamienny mur obok niego. W powietrze posypały się odłamki. Najwyraźniej ludzie z Lądowiska nie zamierzali tolerować zabijania swych pobratymców.

Rowl zerwał się do sprintu, pokonując otwartą przestrzeń dzielącą tereny świątyni od reszty kondygnacji najszybciej, jak mógł. Następnie znalazł dogodnie sterczący z muru kamień, na który wskoczył, żeby się rozejrzeć. Za murem świątyni znajdowało się pół tuzina ludzi. Wszyscy byli uzbrojeni i gotowi wypaść z ukrycia, by wystrzelić z rękawic do zbliżających się przeciwników.

Rowl zapamiętał ich pozycje, zeskoczył lekko z muru i popędził z powrotem do Małejmyszki. Następnie opowiedział jej pośpiesznie, co zobaczył, a ona przekazała jego słowa Kapitanowi Statkowe Drzewa. Grupa była już blisko świątyni.

Statkowe Drzewa skinął krótko głową. Jego twarz miała ostry wyraz.

- Po co palą Świątynię Drogi? — zapytał człowiek Creedy. - Nie rozumiem tego.

- A po co palą bibliotekę? — zastanawiała się Małamyszka. — Musiało w niej być coś wartościowego. Auroranie nie bez powodu czekają w zasadzce na ludzi gaszących pożar. Chcą się upewnić, że wszystko spłonie.

- Jeśli nikogo nie wpuszczają, to znaczy, że również nikogo nie wypuszczają - zauważył człowiek Benedict.

-To im nie ujdzie na sucho — zapewnił bardzo cicho Statkowe Drzewa. - Długie strzelby, panie Creedy Mamy jedną wolną po stracie pana Sterna. Potrafisz się posługiwać tą bronią?

- Nie najgorzej, kapitanie - zapewnił człowiek Creedy

- W takim razie osłaniajcie nas ogniem razem z innymi. Ja poprowadzę szarżę. - Statkowe Drzewa rozejrzał się wkoło. - Sir Benedykcie? Przydałaby się nam twoja pomoc podczas tego ataku.
- Oczywiście, kapitanie Grimm - zgodził się człowiek Benedict.
- Panie Kettle, ty pójdziesz ze mną - ciągnął Statkowe Drzewa. Następnie spojrzął na Małamyszkę.
- Panno Tagwynn, jeśli zechcesz, możesz towarzyszyć sir Benedictowi.

Małamyszka przełknęła ślinę, ale skinęła głową.

- Zrobię to.

Kapitan spojrzął na resztę swoich wojowników.

- Pozostali ruszą za nami w dwóch kolumnach — oznajmił. - Przejdźcie przez bramę i rozwalcie wszystkich przeciwników, jakich zauważycie. Jeśli ten, kto idzie przed wami, padnie, nie zatrzymujcie się, lecz wykończcie nieprzyjaciela, zanim jego rękawica zdąży się znowu naładować. Panie Rowlu - ciągnął Statkowe Drzewa, zwracając się do kota. — Nie oczekuję od ciebie, byś narażał się na zbędne ryzyko podczas strzelaniny, ale twoje zmysły są znacznie ostrzejsze od naszych. Uznałbym to za przysługę, gdybyś zgodził się nam towarzyszyć, by widzieć i słyszeć wszystko, co może umknąć naszej uwadze. Czy zechcesz to zrobić?

Rowl popatrzył na niego z rozbawieniem. Mógł wejść do świątyni - albo do niej nie wejść - w dowolnym wybranym czasie i miejscu. W przeciwnym razie, jaki byłby pożytek z bycia kotem? Ale Małamyszka tam szła, a to znaczyło, że on również tam pójdzie, by zapewnić jej ochronę i przewodnictwo. To było oczywiste. Niemniej nawet gdyby Małamyszka tam nie szła, Statkowe Drzewa zawsze traktował go z uprzejmością oraz szacunkiem znacznie większym niż było to typowe dla ludzi. Już sam fakt, że zadał to pytanie, był oznaką uznania, a Rowl i tak mógłby mu pomóc. Dlatego skinął powoli głową.

- Dziękuję - rzekł Statkowe Drzewa. - Reszta ustawić się w dwie kolumny w dwóch rzędach. Zbijcie się ciasno. Dajcie długim strzelbom potrzebną przestrzeń.

Bez dodatkowych ceregieli wyciągnął miecz i popędził w stronę świątyni, zostawiając za sobą czterech wojowników trzymających w rękach ludzką broń o dziwnym wyglądzie.

Rowl popędził naprzód, by dogonić Małamyszkę, która biegła dziwnym, szarpanym krokiem, jakby jej ciało pragnęło pognać szaleńczo ku niebezpieczeństwu. Albo uciec przed nim. Gdyby jednak biegła tak szybko, jak było ją na to stać, zostawiłaby z tyłu znużonych aeronautów. Dlatego posuwała się naprzód powoli i ostrożnie. Buty uderzały rytmicznie o kamień, a ładujące się rękawice gorzały słabym blaskiem.

Wtem człowiek w bramie ponownie wystawił głowę zza rogu. Długie strzelby zawyły. Smugi skwierczącego światła oraz gorąca przemknęły na odległość wyciągniętego ramienia od kolumny i uderzyły w kamień bramy, za którym krył się nieprzyjacielski żołnierz. To jednak nie były zwykłe impulsy z rękawic. Długie strzelby były o cały rząd wielkości potężniejsze i zamiast małych odprysków wyrzywały ze ścian wielkie kamienie, sypiąc nimi na wszystkie strony. Trzy kolejne wiązki uderzyły zaledwie pół sekundy po pierwszej. Pełen jard sześcienny muru - a wraz z nim przycupnięty z tyłu żołnierz - zniknął w głośniejszej kaskadzie kamieni i strumieniu rozżarzonej energii. Długie strzelby zaczęły wycić raz po raz, wybijając w murze dziury w miejscach wskazanych kapitanowi przez Rowla.

Ach, więc to właśnie było osłanianie ogniem! Jego ludzie strzelali do drugich ludzi, zmuszając ich do krycia się, podczas gdy prawdziwe zagrożenie w postaci wszystkich ludzi Rowla i jego półduszonego zbliżało się do bramy wejściowej.

Gdy byli już blisko, Rowl postanowił, że ułatwi zadanie biednym stworzeniom, które musiał ratować przez cały dzisiejszy dzień. Kierował się teorią, że uncja prewencji jest warta tyle, ile funt lekarstwa. Wyprzedził Kapitana Statkowe Drzewa i przemknął przez bramę, biegnąc tak szybko i pochylając się tak nisko, jak to tylko możliwe dla kota. Gdy znalazł się na dziedzińcu, wydał z siebie wyzywający okrzyk bojowy.

Ludzie zakrzyknęli z zaskoczenia. Wystrzelony na oślep impuls z rękawicy rozwalił ceglaną donicę ogrodową kilka jardów za nim, drugi zaś uderzył bez szkody w podłogę z kamienia kasztelowego nieopodal.

Kapitan Statkowe Drzewa i półduszowy Benedict wpadli do środka przez bramę niemal w tej samej chwili. Ich rękawice były gotowe do strzału. Obaj mężczyźni wystrzelili jednocześnie do nieprzyjaciół, ani na moment nie zwalniając kroku. Statkowe Drzewa załatwił jednego z Auroran strzałem w mostek, który obalił go na ziemię i zdruzgotał żebra ze słyszalnym traskiem. Małamyszka i człowiek Kettle wpadli na dziedziniec zaraz za pierwszą dwójką i również wystrzelili.

Impuls Małejmyszki nikomu nie wyrządził szkody, ale nim zdążono wypuścić następne, nieprzyjacielscy wojownicy unieśli ręce nad głowy i padli na kolana. To bardzo ułatwiłoby ich zabicie, ale z jakiegoś powodu Statkowe Drzewa i inni ludzie zaprzestali walki.

Rowl zastanawiał się przez chwilę nad tą zagadką, podczas gdy pozostali wojownicy Kapitana Statkowe Drzewa napływali przez bramę na dziedziniec. Człowiek Kettle zajął się nieprzyjacielskimi wojownikami, zabrał im rękawice i miecze, a następnie związał im ręce. Kotu wydało się to przesadną ostrożnością przed poderżnięciem im gardeł. W ciągu kilku następnych oddechów nasunęła mu się jednak myśl, że ludzie nie zamierzają nikomu poderznąć gardła. Jaki był sens walki na rękawice, jeśli zaprzestawało się jej w chwili, gdy pozbawieni szans na zwycięstwo głupcy dochodzili do wniosku, że nie warto jej kontynuować?

Rowl poruszył ogonem z irytacją. Ludzie.

Tak blisko pożaru gorąco było wyraźnie wyczuwalne. Intensywny odór dymu przyprawiał go niemal o mdłości. Z wnętrza świątyni dobiegał niemilknący ryk ognia. Kot wreszcie miał czas rozejrzeć się wkoło i zauważył kilka nieruchomych postaci w szafranowych szatach, spoczywających tu i ówdzie w ogrodzie niczym szczególnie makabryczne grządki.

- Wytuczający Droge - wydyszał człowiek Benedict, spoglądając na trupy. Oczy lśniły mu od nieprzelanych łez. - O wielki Stwórco, wskaż mi Droge, albowiem zabłądziłem i nie potrafię jej odnaleźć.

Rowl podszedł do Małejmyszki i skoczył jej w ramiona, żeby lepiej widzieć wszystko nad tłumem ludzi.

- Kapitanie - odezwał się Kettle, kiwając głową do Statkowych Drzew. - Czterech jeńców, żaden z nich nie jest poważnie ranny. Mówią, że reszta Au-roran już odeszła. Zgłosili się na ochotnika, by osłaniać ich odwrót, ale nie chcą nic powiedzieć o swojej misji ani o tym, dokąd poszli ich oficerowie.

Kapitan Statkowe Drzewa chrząknął i pokręcił głową, spoglądając na płonąca świątynię.

- Spalić bibliotekę. Cóż za cholerne marnotrawstwo. — Odwrócił się do jednego ze swoich wojowników. - Zawiadom pana Creedy'ego o tym, co się wydarzyło, i każ mu natychmiast sprowadzić tu brygadę przeciwpożarową.

- Tak jest, kapitanie - odpowiedział mężczyzna i oddalił się pośpiesznie.

- Ci czterej goście mogliby zaoszczędzić nam mnóstwo strat, gdyby zaczęli gadać. Czy mam ich do tego przekonać? - zapytał człowiek Kettle i walnął się sękatą pięścią w otwartą dłoń.

- Nie mamy czasu - sprzeciwił się Statkowe Drzewa. - Auroranie już wyruszyli w drogę. Po co spalili bibliotekę?

- Dla odwrócenia uwagi? - zasugerował Kettle. - Może chcieli nas odciągnąć od swego prawdziwego celu?

- To na pewno przyciągnie mnóstwo uwagi - przyznał Statkowe Drzewa. - Ale... - Przymrużył powieki. - Co, jeśli to właśnie był prawdziwy cel? Przeciwno cholernej Kadziowni Lancasterów wysłali tylko trzydziestu ludzi, a tu uderzyli wszystkimi siłami. Dlaczego?

- Cała ta infiltracja i atak? - zapytał człowiek Benedict głosem słabym i gorzkim od bólu. - Tylko po to, żeby spalić książki?

- Książki to wiedza, a wiedza to siła — stwierdził Statkowe Drzewa.
- Większa siła niż kryształowa kadziownia? - zapytał z powątpiewaniem człowiek Ketde.
- Ktoś najwyraźniej tak uważa - odparł Statkowe Drzewa zamyślonym tonem.

Rowl nagle usłyszał cichy dźwięk. Pokręcił szybko głową, by ustalić, w którą stronę powinien skierować uwagę. Po chwili usłyszał to znowu. To był ludzki głos, słaby i stłumiony od dymu.

Spojrzał na Małamyszkę.

- Nie wiem, czy to ważne, ale jest tam jeszcze ktoś żywy. Słyszę głosy.

Małamyszka zamrugła na swój czarująco głupawy sposób, a potem przetłumaczyła jego słowa człowiekowi Benedictowi.

- Gdzie? - zapytał natychmiast ten, spoglądając na Rowla.
- Czy jestem wyrocznią? - rzekł kot, wskazując głową w stronę świątyni. - Nie jestem. Gdzieś w środku.

Człowiek Benedict stanął obok niego i przechylił głowę, zamykając jednocześnie oczy. Po chwili je otworzył.

- On ma rację. Musimy coś zrobić.
- Dym z łatwością może cię zabić - ostrzegł go Statkowe Drzewa. - Nie wspominając już o ogniu.

Człowiek Benedict zacisnął szczęki, odwrócił się i wbiegł do płonącej świątyni.

- Benedikcie! - zawołała Małamyszka.

Upuściła Rowla, jakby był workiem starych bulw, i popędziła za młodym wojownikiem. W tej samej chwili jedna czwarta część dachu z tyłu świątyni zwała się łoskotem sypiących się kamieni. W powietrze wzbijała się chmura iskier tańczących szaleńczo w gwałtownym podmuchu.

Serce Rowla popadło w całkowity amok. Tłukło tak gwałtownie, jakby miało zaraz wyleźć mu przez gardło. Ten budynek płonął. Co przyszło do głowy Małej myszce? To było śmiertelnie groźne. Czy w ogóle nie dbała o Rowla? Kto będzie go głaskał po uszach, jeśli Małamyszka zmieni się w węgiel i popiół? Sama ta myśl wystarczyła, by zapragnął przycupnąć na podłodze i zwinąć się w ciasny kłębek.

To był naprawdę szokujący brak uprzejmości. Pozwoliłby jej spłonąć za to, że potraktowała go tak lekceważąco, ale na samą myśl, że Małamyszkę mógłby pochłonąć ogień, futro plątało mu się w węzły.

Kot warknął i bez dalszego wahania pomknął do płonącego budynku.

ROZDZIAŁ 57

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska, dzielnica tartaków

Major Espira wycierał klingę miecza białą chusteczką, gdy jego ludzie przygotowywali się do puszczenia z dymem całej zawartości tego wypchanego po brzegi legowiska szczurów.

Wszędzie wokół powietrze przeszywały impulsy z rękawic, nadbiegające z niemal wszystkich kierunków. Jego ludzie bronili się przed atakami obywateli Albionu oraz nielicznych gwardzistów, którzy zorientowali się, że trwa bitwa. W tym szczurzym labiryncie mieszkały tysiące Albiończyków, a walka w bibliotece, choć krótka, była gwałtowna. Jego siły zostały zredukowane do niespełna trzystu pięćdziesięciu ludzi.

Będzie ich jeszcze mniej, gdy wreszcie przebiją się przez dzielnicę tartaków, ale im szybciej będą się posuwać naprzód, tym mniejsze będą straty. Choć miejscowi mieli ogromną przewagę liczebną, to jego piechota powietrzna była dobrze zorganizowana i przemieszczała się w grupie, zamiast zachowywać się jak zdezorientowane stado. Najtrudniejszą i najbardziej niebezpieczną część misji - oczekiwanie - mieli już za sobą. Teraz czekała ich tylko prosta jątka, a nikt nie potrafił walczyć lepiej od jego żołnierzy.

Przystanął pośrodku pełnej sklepów ulicy, starając się ignorować obecność straszliwej madame Cavendish i jej oswojonego potwora. Sark cały czas trzymał się blisko niej. Jego obecność była nieustanną, niewypowiedzianą groźbą. Genetyczny wojownik był ranny i krwawił obficie, ale poruszał się tak, jakby nawet nie zauważył, że jego przedramiona i brzuch przypominają siekane mięso skryte pod podartym ubraniem. Kobieta trzymała w rękach książkę, jedyną, jaką zabrali z Wielkiej Biblioteki. Otworzyła ją na jednej z pierwszych stron i czytała z uwagą, przebiegając palcem wzdłuż

linii - zupełnie jakby znajdowała się w czytelnicy, a nie na polu bitwy, gdzie ze wszystkich stron dobiegały krzyki rannych i konających.

- Sierzancie - zawołał Espira. - Jak długo jeszcze?

-Już przygotowujemy lonty, majorze - odpowiedział Ciriaco.

Espira skinął głową i ponownie zajął się wycieraniem klingi, choć rozsądek mówił mu, że metal już od dawna jest czysty. Dzięki temu miał coś do roboty poza czekaniem na chwilę, gdy będzie mógł wydać następny rozkaz.

A poza tym wolał mieć broń w ręku, gdy madame Cavendish i Sark byli tak blisko.

W jednym z pobliskich sklepów leżał trup chłopaka, który wpadł zniemacka na Espirę, zaskakując go. Zapewne był uczniem ciesielskim i miał najwyżej ze czternaście lat, może nawet mniej. Czysty przypadek sprawił, że zerwał się z siennika za ladą w tej samej chwili, gdy major przeszedł w półmroku obok niego. Potem były tylko odruchy i bulgoczący krzyk. Espira wiedział, że nigdy go nie zapomni. Teraz ciało chłopaka, przysypane trocinami, czekało na pożar, który wypruje flaki najsilniejszej gospodarce w Kasztelu Albion.

Ładunki rozmieszczono w małych beczułkach wypełnionych trocinami z tartaków i warsztatów ciesielskich oraz snycerskich, działających w tej dzielnicy Kondygnacji Ładowiska. To nie były zwykłe ładunki burzące, lecz zapalające - piekielna mieszanina palnego oleju, prochu oraz lepkiej galarety, która

po eksplozji przylepiała się do wszystkiego, czego dotknęła, płonąc gwałtownie. Takich ładunków najczęściej używano do podpalania sterowców w bliskich starciach i Espira na własne oczy widział ich zabójczą skuteczność.

- Jak uważasz, sierżancie? - zapytał. - Czy saperzy zrobili wszystko jak trzeba?

- Wkrótce wzejdzie słońce - odparł Ciriaco, kiwając głową. - Ogrzeje wschodnią stronę kasztelu,

co przyciągnie powietrze w tamtą stronę. Ogień podąży za nim, jak w kominie, tyle że w bok. Kiedy strawi te podpory, drugie piętro kondygnacji runie na pierwsze. Albiończycy będą zbyt zajęci, by zwracać na nas uwagę.

Kapral piechoty powietrznej podbiegł do Ciriaca i cicho coś mu powiedział.

- Majorze. Ładunki podłożone. Lonty będą gotowe za sześćdziesiąt sekund - zameldował sierżant.

Espira starał się nie myśleć o mężczyznach, kobietach i dzieciach, których wkrótce skaże na śmierć od płomieni i braku powietrza. Ten obszar był sercem gospodarki Ładowiska, uzasadnionym celem ataku, a jeśli Albiończycy zignorowali mądrość Wielkich Budowniczych, ostrzegających przed wznoszeniem palnych budynków w kondygnacjach, trudno było o to winić Kasztel Aurora.

Rozejrzał się wkoło, spoglądając na drewniane budynki, drewniane mostki, belki i podpory.

Wszystkie te elementy były warte więcej niż cały majątek tuzina kondygnacji w jego ojczystym kasztelu. Chciwość i próżność były słabościami Albiończyków i staną się przyczyną ich zguby. On tylko zapali zapałkę.

- Rozkaż ludziom ustawić się w szyk i wycofać się stąd - polecił sierżantowi. - Straż przednia ma strzelać bez ostrzeżenia, by utorować nam drogę. Standardowa rotacja prowadzenia ognia.

Ciriaco wiedział, jakie rozkazy będą następne. Skinął głową i zaczął powtarzać je krzykiem jeden po drugim. Potem oddalił się, by kierować wycofywaniem się oddziałów. Rozległy się wybuchy, niewielkie i rozproszone. Piechota powietrzna ciskała ceramicznymi granatami wypełnionymi prochem i siarką. Miały one osłaniać ich odwrót dzięki zabójczym szrapnelom oraz obłokom gęstego, dławiącego dymu.

- Madame Cavendish - odezwał się Espira, starając się przemawiać spokojnym, uprzejmym tonem.

- Wybacz mi, proszę.

Oderwała na chwilę wzrok od książki i spojrzała na niego z zimną furią. Jedna z powiek drżała jej w rytmicznym tiku. Stała sztywno, wyraźnie cierpiąc ból. Rozdarty gorsecik sukni i niewielka plama krwi sugerowały, że odniosła ranę, gdy została z Sarkiem z tyłu, by policzyć się z grupą Albiończyków, która ich zaatakowała.

Espira przełknął ślinę. Jego twarz miała uprzejmy, neutralny wyraz.

-Wybacz, że ci przeszkadzam - powtórzył - ale jesteśmy już gotowi wycofać się na statek. Tu wkrótce wybuchnie pożar. Tym razem muszę cię prosić, byś nam towarzyszyła. Chodzi o twoje bezpieczeństwo.

Madame Cavendish zamknęła oczy na krótką chwilę. Kiedy je otworzyła, jej twarz przybrała bezbarwny, w miarę miły wyraz.

- Oczywiście, pułkowniku.

-Wybacz, madame, ale jestem majorem - zwrócił jej uwagę Espira. Uśmiechnęła się, odsłaniając zęby, zamknęła ostrożnie książkę i zabezpieczyła ją haczykiem.

- Nie po tym, co dziś się wydarzyło, Renaldo Espira - mruknęła. - Nie po tym, co dziś się wydarzyło. Sark.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła spokojnie wzdłuż ulicy, jakby wykonywała jakieś codzienne czynności. Sark podążał za nią, zachowując ściśle określoną odległość. Trzymał się nieco z boku, nieustannie omiatając otoczenie zezowatym spojrzeniem.

Espira westchnął cicho z ulgi, kiedy się oddalili. Nie mógł się doczekać dnia, gdy nie będzie już musiał mieć z nimi do czynienia - jeszcze bardziej niż widoku złotych epoletów pułkownika, które czekały go po powrocie do Kasztelu Aurora.

Zakładając, że wróci żywy. Zostało mu jeszcze sporo czasu, by dać się zabić.

Schował miecz, krzywiąc się z niesmakiem, choć racjonalnie rzecz biorąc, wiedział, że klinga jest zupełnie czysta. Potem wsadził chusteczkę do kieszeni, otworzył pudełko zapalek i czekał, aż ostatni z jego żołnierzy oddalą się bezpiecznie. Ciriaco zamykał kolumnę, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, i osłaniał Espirę uniesioną rękawicą. Aurorański dowódca uklęknął przy loncie.

I zapalił zapalną.

ROZDZIAŁ 58

Kasztel Albion, Statkownia Kondygnacji Lądowiska, SHA *Drapieżca*

Gwendolyn skrzywiła się, spoglądając na pożyczony strój. Plamy ze smaru nigdy z niego nie zejda. Nie wydawało się to zbyt uprzejme w stosunku do właściciela, kimkolwiek mógł być. Być może powinna uznać to ubranie za swój strój do pracy w maszynowni i zapłacić za nie pechowemu aeronaucie. W końcu przy nastawianiu klatki Hasletta ubranie musiało się upaprać.

Nawet w najkorzystniejszej sytuacji było to frustrujące zadanie, a pan Journeyman dodatkowo utrudniał jej robotę, upierając się przy jakiejś zwariowanej procedurze swego pomysłu, zamiast trzymać się doktryny jasno wykładanej w ilustrowanych podręcznikach dodawanych do klatek Hasletta przez wszystkich szanujących się producentów. Trzeba jednak przyznać, że pierwszy mechanik *Drapieżcy* osiągał dobre wyniki. To było bardzo irytujące.

- Gotowe. Spróbuj teraz - powiedziała, wysuwając się spod klatki.

Journeyman chrząknął i dotknął tablicy kontrolnej, nadając klatce kształt gładkiego jaja, zamiast zwykle używanej sfery. Rdzeń mocy uaktywnił klatkę. Z kryształu rdzenia wytrysnęła koronkowa sieć błyskawic, rozgałęziająca się na wszystkie strony. Pomieszczenie wypełniło słodkie, melodyjne buczenie, brzmiające, jakby dobiegało z głębi czyjegoś gardła. Jego tonacja sprawiła, że podłoga pod stopami Gwen zawibrowała z grzechotem. Zaspani mechanicy i robotnicy kontraktowi trudzący się w maszynowni znieruchomieli nagle, czekając na wynik testu.

Journeyman, nieruchomy jak skała, wpatrywał się w kilka wskaźników na tablicy kontrolnej.

- No proszę - odezwał się po chwili. — Kto by pomyślał? To wcale nie wygląda tak strasznie.

Gwen podeszła do niego i również przyjrzała się instrumentom.

- Wygląda idealnie. Wszystkie wyniki w granicach tolerancji.

- Tolerancji - powtórzył Journeyman z grymasem niezadowolenia na twarzy. - To dobre dla prostaków latających statkami handlowymi albo trampami, ale mój *Drapek* potrzebuje czegoś więcej.

Gwen prychnęła kpiąco i zaczęła mu odpowiadać, lecz nagle się powstrzymała. Co to był za dźwięk?

Wyciągnęła rękę i zmniejszyła obroty, ponownie rozszerzając maksymalnie klatkę. Journeyman sapnął na znak sprzeciwu i odtrącił jej rękę od instrumentów. Gwen uniosła palec do ust.

- Psst! Cisza!

Wszyscy umilkli z zaskoczenia i w tej krótkiej chwili usłyszeli to samo, co przed chwilą Gwen.

Wycie strzałów z rękawic.

Dziewczyna i Journeyman wymienili spojrzenia, po czym wybiegli na schody prowadzące z maszynowni na pokład *Drapieżcy*. Gwen dopadła do relingu i wyjrzała na statkownię. Poranna mgła była gęsta, ale rozświetlał ją złoty blask wschodzącego słońca. Za drewnianymi konstrukcjami widziała wejście do Kondygnacji Lądowiska.

Dwaj strzegący statkowni gwardziści leżeli na deskach, straszliwie nieruchomi. Gwendolyn zauważyła też trzeciego, który przykucnął przy wejściu, strzelając na oślep z rękawicy, lecz po chwili impuls promienistej energii oderwał mu głowę niczym uderzenie rozżarzonego do czerwoności młota. Mężczyzna padł na deski obok towarzyszy.

Niemal natychmiast po tym do statkowni wdarła się grupa mężczyzn w szarych mundurach. W

prawych rękach trzymali miecze, a na lewych mieli świecące jasnym blaskiem rękawice. Napastnicy natychmiast otworzyli ogień do kilku robotników portowych, zajętych rozładunkiem frachtowca na najbliższej pochylni. Robotnicy szybko uciekli, szukając schronienia.

- Cholera jasna - odezwał się Journeyman. - To Aurorańska Piechota Powietrzna.

Przez wejście wpadały truchtem tuziny kolejnych napastników. Gdy ze statków i magazynów zaczęli wyglądać ludzie, rękawice znowu zawyły, zabijając lub raniąc kilku gapiów, a resztę zmuszając do ucieczki.

- Idą w naszą stronę - zauważyła Gwendolyn. Usłyszała krzyki i zerknęła na sąsiedni statek, różnobarwny jak strój błazna sterowiec o nazwie *Rekin Mgieł*. Załoga biegnąca po jego pokładzie wyraźnie wiedziała, co robi. - Co tu jest grane?

- Przygotowują się do odbicia od brzegu - mruknął Journeyman.

Gwendolyn zmarszczyła brwi, widząc, że z *Rekina Mgieł* zrzucono dwa dodatkowe trapy. Nagle wciągnęła powietrze przez zęby.

-To transportowiec Auroran.

-To prawda - zgodził się Journeyman. - Lepiej schowajmy głowy, dziewczyno. Za chwilę znajdą się w zasięgu strzału.

Gwendolyn cmoknęła niecierpliwie, i wspięła się na reling, by widzieć choć trochę lepiej.

- A co robią ci ludzie przy bramie?

Journeyman spojrzał w tamtą stronę.

- Podkładają ładunki — wyjaśnił.

Auroranie uciekli szybko od beczulek, które ustawili przy wejściu. Rozległ się głośnie huk i beczułki zmieniły się w kule jaskrawego blasku, sypiące na wszystkie strony kroplami ognia. Wszędzie, gdzie te krople spadły, w pokłady wżerały się jaskrawe płomienie.

- Miłosierny Boże w Niebiosach - wydyszała Gwendolyn. - Jak długo wytrzyma pomost?

- Niedługo - odparł posępnym tonem Journeyman. - A potem...

Dziewczynę ogarnęła rozpacz, gdy wyobraziła sobie, jak pomost, *Drapieżca*, przebywająca na pokładzie załoga i ona sama spadają z kasztelu, by rozbić się na położonej daleko w dole ziemi.

- Musimy natychmiast podłączyć krysztal wznoszący - stwierdziła Gwen.

- Musimy zrobić coś więcej - dodał Journeyman, wskazując na *Rekina Mgieł*.

Gwen nie знаła się zbyt dobrze na sterowcach, pomijając techniczne szczegóły ich napędów, ale nawet ona wyraźnie zauważyła, co się dzieje. Wnętrznosci wypełnił jej lód.

Statek mający zabrać stąd wrogów Kasztelu Albion wysuwał działa.

-Jeśli nie zdążymy podnieść tarczy, będzie po nas — skwitował Journeyman.

Oboje pognali ku maszynowni.

ROZDZIAŁ 59

Kasztel Albion, Kondygnacja Ładowiska, Świątynia Drogi

To nie ogień i dym, perspektywa spalenia albo uduszenia, najbardziej niepokoiły Bridget, gdy popędziła do wnętrza trawionego pożarem budynku w ślad za Benedictem. Żałowała, że nie związała włosów, które powiewały za nią niczym chorągiew. W każdej chwili mogły się zająć od przypadkowej iskry, a jeśli spłoną, będzie łysa.

I Benedict to zobaczy.

Zdawała sobie sprawę, że to bardzo głupi powód do obaw, nie mogła jednak zaprzeczyć jego realności. Inne niebezpieczeństwa znacznie przerastały groźbę dla jej próżności. Być może jednak ten drobny lęk był jedynym, na jaki mogła sobie pozwolić. Zaledwie przed kilkoma tygodniami bała się opuścić kadziownię ojca. Gdyby pozwoliła swemu umysłowi na ogarnięcie tego, co robiła, z pewnością rozplakałaby się, a potem uciekła z krzykiem.

Dlatego uczepiła się nieistotnej obawy o włosy. To pozwalało jej nie popaść w obłęd w obliczu znacznie straszliwszych niebezpieczeństw.

Przy wejściu do świątyni jedynym zagrożeniem były gęste tumany dymu, które jednak ograniczały zasięg ich wzroku do jakichś dziesięciu, najwyżej piętnastu stóp. W miarę jak posuwali się naprzód, dym rozjaśniał złowrogi migotliwy blask ognia rozprzestrzeniającego się z biblioteki na inne części budynku. Ograniczona widoczność utrudniała orientację i po paru chwilach Bridget nie wiedziała już, gdzie się znajduje. Co, jeśli po prostu zabłądzą w dymie? Jeśli będą biegali od sali do sali w poszukiwaniu wyjścia, podczas gdy powietrze będzie się stawało coraz gorętsze i pozbawione tlenu, aż wreszcie...?

-Benedikcie! - zawołała, głosem słabym i ochrypłym od dymu. -Gdzie jesteśmy?

-Trzymaj się ścieżki! - wychrypiał w odpowiedzi.

Ach, oczywiście. Opuściła wzrok. Podążyła blisko za genetycznym wojownikiem i do tej chwili nie zauważyła, że jego stopy ściśle trzymają się krętego zagłębienia w posadzce, wskazującego im drogę naprzód. Zakryła usta i nos rękawem, po czym ruszyła dalej.

Z każdą chwilą robiło się goręcej, a łuna była coraz jaśniejsza. Wreszcie wyłonili się z oparów dymu i ujrzeni przed sobą gorejące piekło. Zatrzymali się raptownie. Włosy Bridget uniosły się na gorącym podmuchu bijącym jak z ogromnego pieca.

Wielką Bibliotekę trawił pożar.

Wszędzie ku górze wznosiły się ściany ognia. Żar był tak potężny, że po sali krążyły miniaturowe cyklony płomieni, rodzące się i umierające w ciągu kilku sekund.

Jedna z ciężkich szaf z książkami stojących przy wejściu runęła na podłogę. Mężczyzna w szafranowej szacie leżał przygnieciony meblem oraz stosem woluminów, powoli zajmującym się płomieniami. Palce miał zakrwawione, jakby próbował wyczołgać się spod sterty, ale nie zdołał tego dokonać. Skóra robiła mu się czerwona od gorąca i pojawiały się na niej pęcherze.

Mnich uniósł głowę. Jedno z jego oczu zniknęło pod ogromnym, przybierającym już fioletowy kolor obrzękiem, zniekształcającym jego twarz w groteskowy sposób. Z pewnością musnęła je wiązka z rękawicy. Skierował na nich drugie oko. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie bólu.

- Vincent! - zawołał zrozpaczony Benedict i skoczył w płomień, unosząc ręce, by osłonić twarz. Z

jego rękawów niemal natychmiast buchnął dym.

- Zostaw mnie! - wydyszał mnich i sięgnął niepewnie pod szatę. - Weź to!

- Nikt tu nikogo nie zostawi - zapewnił Benedict. Uklęknął, wsparł się pewnie na jednej stopie i wyciągnął rękę.

Bridget gapiła się na to z fascynacją pomieszaną z przerażeniem. Sama metalowa szafa ważyła co najmniej tonę, nie wspominając już o książkach nadal stojących na górnych półkach. A w tej sali metal z pewnością rozgrzał się już piekielnie.

Benedict wsunął dłonie pod krawędź mebla, tuż obok brata Vincenta. Następnie zacisnął zęby i podźwignął szafkę.

Rozległ się dźwięk przypominający skwierczenie mięsa na patelni.

Genetyczny wojownik ryknął jak lew. Ten dźwięk tylko w niewielkim stopniu przypominał krzyk bólu.

Szczupłe ciało Benedicta pochyliło się. Przez sekundę nic się nie działo, ale potem jego nogi zadrżały i potężna masa uniosła się, choć zaledwie o kilka cali.

Bridget skoczyła do wnętrza rozżarzonego pieca. Bolesne gorąco okryło ją niczym koc. Z każdą sekundą stawało się coraz bardziej dokuczliwe. Złapała brata Vincenta za nadgarstek i przedramię, a potem wyciągnęła poparzonego mnicha spod szafy.

- Mam go! - zawołała, wlokąc Vincenta do korytarza.

Benedict puścił szafę, która runęła na podłogę, syjąc iskrami. Wypadli razem na zewnątrz. Gdy tylko wydostali się z piekącego żaru,

Bridget zadrżała, jakby znalazła się w chłodni.

Dopiero gdy odwróciła się, by delikatnie położyć rannego na podłodze, zauważyła, że jego barki i plecy są straszliwie zniekształcone. Vincent drżał z bólu, a ręce mu dygotały.

Ale nie nogi.

Poniżej pasa był niesamowicie nieruchomy.

Uniosła wzrok i zobaczyła, że Benedict gapi się na rannego z przerażoną miną.

- Och, Wytyczający Drogę - wydyszał genetyczny wojownik. Osunął się na kolana obok mnicha, jakby nagle utracił władzę w nogach. - Och, Vincent.

- Nie ma czasu, chłopcze - wychrypiał ranny. Kaszlnął ostro dwa razy i na jego wargach pojawiły się kropelki krwi. Uśmiechnął się. - Ja nie mam go w dosłownym sensie.

- Niech szlag trafi tych aurorańskich sukinsynów - warknął Benedict. — Zamorduję wszystkich.

Na twarzy rannego pojawił się wyraz irytacji. Brat Vincent dał genetycznemu wojownikowi klapsa w udo.

- Benedykcie, nie ma teraz czasu na takie rozrywki. — Ponownie sięgnął pod szatę i z grymasem bólu wyciągnął spod niej książkę w brązowej, pozbawionej ozdób okładce. — Weź to.

Benedict przyjął książkę z widocznym zdziwieniem na twarzy.

- Słucham?

- Weź to - powtórzył Vincent. Krew popłynęła mu z ust gęstym strumieniem. - I daj kasztelanowi. To ostatni egzemplarz. Wszystkie pozostałe spaliła.

- Co to jest? - zapytał genetyczny wojownik.

Vincent ponownie kaszlnął i skrzywił się z bólu. Krew płynąca z ust nadała jego zębom jaskrawoczerwoną barwę.

- Po to tu przyszli - wyjaśnił. - To *Indeks*.

- Zabieram cię stąd - oznajmił Benedict. - Będiesz mógł sam oddać mi książkę.

W zdrowym kąciku ust Vincenta pojawił się cień uśmiechu.

- Och, Ben, śmierć to tylko kolejna Droga. Ty również na nią wkroczysz w swoim czasie.

Uniół niepewnie rękę i genetyczny wojownik uścisnął ją mocno.

- Nie pozwól, by ból wybierał Droge za ciebie — rzekł cicho brat Vincent. - Jesteś zbyt wiele wart...

Mnich skonał. Bridget dostrzegła moment śmierci. W połowie słowa światło życia w jego oczach zgasło nagle jak zdmuchnięta świeca. To, co przed chwilą było bratem Vincentem, przerodziło się w... nieożywiony przedmiot.

- Vincent? — zapytał cicho Benedict. — Vincent? - Jego głos przeszedł w ochryple łkanie. - Vincent!

Bridget podeszła bliżej i położyła dłoń na barku młodzieńca.

- Benedykcie - rzekła cicho, lecz z niecierpliwością w głosie. - Musimy stąd zniknąć.

Skinął głową, i ułożył delikatnie dłoń mnicha na piersi. Jego poparzone palce poruszały się sztywno i niezgrabnie. Potem zaczął się podnosić, ale nagle upadł do przodu. Jego bezwładna ręka spoczęła na trupie.

- Benedykcie! — zawołał Bridget.

Złapała go i przetoczyła na plecy. Ciałem mężczyzny targwały rytmiczne drgawki, a w kącikach ust gromadziła się spieniona ślina. Oczy zapadły się w głąb czaszki.

Boże w Niebiosach. Jad tkaczy jedwabiu.

Potrząsała nim, policzkowała go i krzyczała na niego, ale nie poruszył się ani nie zareagował w żaden sposób. Co miała zrobić?

Drzwi Wielkiej Biblioteki z głośnym hukem stanęły w płomieniach.

Dziewczyna zgrzytnęła zębami. Nie była pewna, czy potrafi znaleźć drogę wyjścia, ale jeśli zaraz czegoś nie zrobi, oboje wkrótce zginą. Wstała i podniosła z podłogi genetycznego wojownika. Trudno jej było udźwignąć jego bezwładny ciężar, ale płomienie nasilały się z każdą chwilą, a tumany dymu stawały się coraz gęstsze. Nie przychodziło jej do głowy żadne alternatywne rozwiązanie. Krzyczała, szarpała się i wyteżała mięśnie, ale w końcu zdołała zarzucić go sobie na ramię.

Ruszyła ciężko ku wyjściu, ale nagle uświadomiła sobie, że zapomniała zabrać książkę, dla której uratowania brat Vincent poświęcił życie. Schylenie się po nią sprawiło jej trudności, ale znacznie trudniej było wyprostować się z ciężarem Benedicta na ramieniu.

Ruszyła w stronę wyjścia, trzymając się zagłębienia w posadzce. Nie mogła iść zbyt szybko. Brzemie było bardzo ciężkie, a nie była w stanie odważyć się na pozostawienie Benedicta tutaj, by pójść po pomoc. Mógłby się udusić od dymu, zanim by wróciła. Dlatego posuwała się nieustępliwie naprzód, krok za krokiem.

Nie zauważyła Auroranina, dopóki nie wyszedł z przecinającego jej trasę korytarza i nie zderzył się z nią. Zwaliła się z krzykiem na podłogę, starając się uchronić Benedicta przed uderzeniem w głowę. Upadek był bolesny. Auroranin przewrócił się obok niej. Coś metalowego uderzyło z brzękiem o posadzkę.

Zdumiona Bridget gapiła się przez chwilę na mężczyznę. Był ranny. Miał krew na bluzie i jednej nogawce, a także guz wielkości pięści dziecka na głowie. Oczy miał zaszkłone, a źrenice szerokie. Czyżby stracił przytomność po uderzeniu w głowę i zniknął towarzyszą z oczu? Z pewnością Auroranie chcieli jak najszybciej stąd uciec. Spojrzał na nią mętnie.

Bridget zerknęła na źródło brzęku. Powleczony miedzią miecz Auroranina leżał na posadzce między nimi.

Uniosła wzrok i spojrzała nieprzyjacielowi w oczy. Nagle opanowały ją przerażenie i niepewność, płynące ze świadomości, że ich spotkanie przerodziło się nagle w walkę na śmierć i życie. Te same uczucia odbijały się w oczach mężczyzny.

Miłosierni Budowniczości, pomyślała. A jednak nie uniknęłam pojedynku.

Tym razem jednak nie będzie zasad, sędziego, wspierających ją przyjaciół ani tłumu widzów.

A jeśli Bridget przegra tę walkę, nikt nigdy się o tym nie dowie.

Auroranin krzyknął coś bełkotliwie i rzucił się w stronę miecza.

Ale Bridget pierwsza dosięgła broni nogą i wykopnęła ją z jego zasięgu. Mężczyzna skoczył na nią, unosząc dłonie. Uchyliła się, stosując obronny manewr, którego nauczył ją Benedict i złapała go za ramię. Szarpnęła gwałtownie ręką i zdziwił się wyraźnie, gdy nie zdołał się wyrwać z jej uścisku.

Bridget obróciła się razem z przeciwnikiem, wykorzystując jego siłę, i cisnęła nim o pobliską ścianę. Kolana ugięły się pod nim od wstrząsu i osunął się na podłogę. Bridget nadal nie puszczała jego ramienia. Uderzył ją drugą ręką i choć zdołała obrócić się w tę samą stronę, by zmniejszyć siłę ciosu, i tak zobaczyła gwiazdy przed oczyma. Przez głowę przemknęła jej myśl, że podczas naziemnej walki nie ma czasu na astronomię. Parsknęła histerycznym śmiechem, który nagle przerodził się w krzyk strachu.

Auroranin wsparł się na niej częścią swego ciężaru. Wyciągał ręce, próbując złapać ją za gardło. Wiedziała, że gdyby mu się to udało, w praktyce będzie po niej. Silny uścisk pozbawi ją przytomności w kilka sekund, a w ferworze walki zaskakująco łatwo było odnaleźć siłę potrzebną, by zmiażdżyć ludzką tchawicę. Uświadomiła też sobie, że żołnierz jest szybszy i silniejszy od niej, a do tego ma więcej doświadczenia. Żyła i mogła kontynuować walkę wyłącznie dzięki temu, że był ranny, zdezorientowany i ledwie trzymał się na nogach.

Wsparła przedramiona na jego piersi, powstrzymując jedną z rąk przeciwnika i odpychając od siebie jego ciężar. Drugą ręką zdołał ją złapać za szyję, ale naprężyła mocno mięśnie i przesunęła się tak, że ścisnął ją z boku, gdzie trudniej mu było zrobić jej krzywdę. Jego drugą rękę powstrzymywała obiema swoimi. Wkładała w to wszystkie siły, wiedząc, że im dłużej będzie musiała walczyć nie tylko z mięśniami Auroranina, lecz równi z ciężarem jego ciała, tym szybciej się zmęczy. Wyginała ciało, próbując stoczyć go z siebie, ale był po prostu za duży i zbyt silny, by mogła ruszyć go z miejsca. Zdawało się jej, że trwa to wieczność, choć wiedziała, że mogło minąć najwyżej pół minuty. Czuła, że jej mięśnie słabną. Palce jego drugiej dłoni musnęły jej szyję.

Dlatego podjęła straszliwe ryzyko. Zamiast znowu próbować odepchnąć przeciwnika, rozluźniła nagle mięśnie rąk i walnęła go głową w twarz, gdy pochylał się ku niej. Rozległ się głośny chrzęst.

Auroranin odskoczył do tyłu. Z jego nosa popłynął strumień krwi. Zsunął się z Bridget, uderzając mocno głową w posadzkę. Dziewczyna nie dała mu czasu na odzyskanie sił. Wtoczyła się na niego i ze zwierzęcą brutalnością zaczęła okładać mu głowę pięściami.

Mężczyzna rozpaczliwie próbował odpychać jej ręce, ale wytrzymał tylko kilka sekund. Gdy opuścił ręce, Bridget złapała go za włosy i zaczęła walić jego głową raz po raz o posadzkę. Ledwo zdawała sobie sprawę, że wrzeszczy z przerażenia ile sił w płucach.

Dym zgęstniał jeszcze bardziej. Zaczęła się nim dławić, oddychając z coraz większym wysiłkiem. Oddaliła się od bezwładnego ciała Auroranina i wróciła do Benedicta. Była straszliwie zmęczona. Walka trwała zaledwie krótką chwilę, ale czuła się tak jakby biegła przez dwadzieścia cztery godziny bez przerwy.

Po raz kolejny udało się przełożyć sobie przez ramię genetycznego wojownika, choć tylko z najwyższym wysiłkiem. Tym razem przynajmniej miała na tyle przytomności umysłu, by najpierw zabrać książkę. Nie mogąc powstrzymać kaszlu, wróciła na ścieżkę i z nagłym przerażeniem uświadomiła sobie, że zgubiła drogę.

Znajdowała się na skrzyżowaniu korytarzy. Ścieżka biegła we wszystkie cztery strony, a upadek i walka, która nastąpiła po nim, całkowicie zdezorientowały dziewczynę. Nie potrafiła określić, które odgałęzienie prowadzi do wyjścia. Zakręciło się jej w głowie. Zaczęła się chwiać na nogach. Nie miała czasu na błędny wybór. Jeśli szybko nie wydostanie się z dymu, upadnie. Mogła jedynie mieć nadzieję, że żadne z nich nie odzyska świadomości, zanim pochłoną ich płomienie.

Obróciła się powoli wkoło, wypatrując jakichś wskazówek, ale dym ograniczał jej widoczność do kilku stóp. W dodatku rozświetlał go blask płomieni. Już przedtem podrażnione oczy Bridget wypełniły się łzami. Z jej ust wyrwał się krzyk gniewu, strachu i frustracji.

- Małamyszko! - usłyszała nagle głos Rowla.

Serce Bridget zabiło szybciej w nagłym przypływie nadziei i energii.

- Row! Tu jestem!

Kot wyłonił się z kłębow dymu, poruszając nerwowo ogonem.

- Jesteś nieuprzejma. Cały ten dym wypełnił mi nos i nie mogłem wywęszyć tropu, i to również twoja wina. I musimy stąd iść.

Zdołała jakoś się nie zakrztusić w nagłym ataku podszytego przerażeniem śmiechu. Spróbowała mu odpowiedzieć po kociemu, ale gardło bolało ją od dymu i tylko się rozkasłała. Skinęła głową i poprosiła gestem Rowla, by ruszył przodem.

Zdołali pokonać zaledwie dwadzieścia stóp, nim belki zaczęły się załamywać z przeszywającym uszy trzaskiem i kamienie stropu posypały się na posadzkę wokół nich.

ROZDZIAŁ 60

Kasztel Albion, Kondygnacja Lądowiska, Świątynia Drogi

- To mi się nie podoba, kapitanie - stwierdził Kettle cichym głosem przeznaczonym wyłącznie dla uszu kapitana. - Żeby dziewczyna tak wbiegła prosto w płomienie...!

-To nie jest jakaś bezbronna uczennica, panie Kettle — odpowiedział Grimm. - Jest gwardzistką kasztelana.

Posiwały aeronauta prychnął lekceważąco. Ze wszystkich walk, które stoczyli w ciągu ostatnich dni, wyszedł niemalże bez draśnięcia. To było więcej, niż mógł o sobie powiedzieć jego kapitan. Kettle miał dar pozwalający mu podczas bitwy znaleźć się we właściwym miejscu o właściwym czasie.

— A dbanie o bezpieczeństwo gwardzistów nie należy do naszych obowiązków, nieprawdaż, kapitanie?

— Zgadza się, panie Kettle.

— Ale tobie to również się nie podoba, tak?

— Nie podoba się, panie Kettle.

— Zatem chodźmy po nich.

— Nie gadaj głupstw. Nie rozkażę ludziom wbiec do płonącego budynku.

Pilot zabębnił grubymi palcami o rękojeść miecza.

— W takim razie zrobmy to tylko we dwóch, kapitanie.

Grimm zazgrzytał zębami. On również niepokoił się o sir Benedicta i pannę Tagwynn. Instykt podpowiadał mu, że powinien pośpieszyć im na ratunek, ale nie znał tego budynku, a jeśli wejdzie do trawionej pożarem świątyni, niektórzy z jego ludzi najprawdopodobniej podążą za nim w swej głupocie. Jego załoga poniosła już dziś wystarczająco duże straty. Gdyby poprowadził swych ludzi na oślep w kłęby dymu, to byłoby tak, jakby własnoręcznie związał ich wszystkich i wrzucił do środka.

- Nie, panie Kettle - sprzeciwił się. — Zaczekamy.

Pilot chrząknął.

- Ile czasu możemy im dać?

- Niewiele — przyznał szczerze Grimm. — Jeśli nie wrócą za kilka minut, to znaczy, że już nie wrócą.

W tej samej chwili rozległa się seria głuchych, świszczących huków. Grimm odwrócił się błyskawicznie i wpatrzył w bramę, za którą zaczynała się właściwa kondygnacja.

- Boże w Niebiosach - mruknął Kettle. — Kapitanie, czy to były...?

- Ładunki zapalające — potwierdził ponurym tonem Grimm. - Może ze ćwierć mili od nas.

- W kondygnacji? — zawołał pilot. — Boże w Niebiosach, zmiłuj się nad nami. Wszystkie te drewniane budynki...

- Tak - potwierdził Grimm. W tej samej chwili usłyszał gorączkowy dźwięk dzwonu alarmowego.

— Przez pewien czas nikt nie będzie mógł myśleć o niczym poza walką z pożarem. To bardzo skutecznie ułatwi Auroranom ucieczkę do statkowni, pod warunkiem, że będą się śpieszyli.

Pilot warknął pod nosem.

- To znaczy, że już tam idą.

- Spokojnie, panie Kettle - rzekł Grimm. - Jeszcze będziemy mieli okazję wymierzyć im sprawiedliwość.

- Jak? - zapytał Kettle.

- Zaufaj mi. - Grimm wziął krótki, gwałtowny oddech. - Niestety, to oznacza, że musimy natychmiast opuścić to miejsce, zanim pożar uwięzi nas w tej części kondygnacji.

- Ale, kapitanie... - zaczął się sprzeciwiać Kettle.

- Jesteśmy w stanie wojny z Kasztelem Aurora. Wszyscy mamy swoje obowiązki, panie Kettle.

Gwardziści będą zmuszeni radzić sobie sami...

Przerwał mu ryk, który rozległ się nagle za jego plecami. Górna część budynku, ogromna komnata Wielkiej Biblioteki, zapadła się gwałtownie w sobie, zasypując też inne części gmachu. W górę buchnęła ogromna chmura dymu i pyłu. Pożar - przynajmniej na tym obszarze, na którym nie zgasiły go sypiące się z góry gruzy - rozgorzał jeszcze gwałtowniej pod wpływem świeżego powietrza.

- Boże w Niebiosach! - wydyszał jeden z aeronautów, gdy dym i pył przesłoniły całą okolicę.

- Do mnie! - zawołał Grimm głosem ochrypłym od kurzu. - Zbiórka! Do mnie!

Nie przestawał krzyczeć, aż jego ludzie wyłonili się z tumanów pyłu, mrużąc powieki i osłaniając usta dłońmi. Warstewka kurzu i gleby pokrywająca ich ciała nadawała im wygląd widm ledwie widocznych w szarym obłoku.

Grimm policzył ich szybko i zaczął wydawać rozkazy wymarszu, lecz nagle przerwał, ujrawszy, że z kłębow pyłu wychodzi jeszcze jedno widmo. Przez chwilę nie był pewien, co właściwie widzi, ale widmo podeszło bliżej i wtedy je rozpoznał.

Z chmury wyłoniła się Bridget Tagwynn. Pył pokrywał ją tak grubą warstwą, że wyglądała jak ożywiony posąg. Szła powoli, wykrzywiając twarz w grymasie determinacji. Przez ramię przerzuciła sobie bezwładnego sir Benedicta. Jego zwisające luźno ręce kołysały się za jej plecami. Jedną ręką obejmowała od tyłu jego uda, by nie zsunął się jej z pleców. W dłoni ścisnęła zakurzoną księgę.

W drugiej ręce niosła równie zakurzonego i bezwładnego kota. Zapewne był to pan Rowł. Jeden z jej butów zostawił częściowo zakrwawione ślady na cienkiej warstewce pyłu pokrywającej grunt, ale ona nie pozwoliła, by rana ją zatrzymała. Po prostu szła przed siebie, stawiając drobne, staranne i zrównoważone kroki.

Grimm poczuł, że brwi unoszą mu się wysoko. Na moment zabrakło mu słów. Ludzie z załogi *Drapieżcy* umilkli na ten widok. Miarowe kroki Bridget nagle poniosły się bardzo głośno w tumanach rozświetlonego pożarem kurzu.

- Kettle - odezwał się cicho Grimm i obaj podeszli do dziewczyny.

Bridget zamrugała, gdy kapitan stanął przed nią. Zatrzymała się niepewnie. Potrzebowała chwili, by skupić spojrzenie na jego twarzy. Skinęła głową.

- Kapitanie Grimm - rzekła. - Tych dwoje muszę zanieść do lekarza. - Dłonią, w której trzymała książkę, targnęło kolejno kilka tików. - A to jest dla kasztelana.

Zachwiała się na nogach, jedno z kolan ugięło się pod nią. Kettle przejął na swe krzepkie ramiona ciężar sir Benedicta, a Grimm podtrzymał dziewczynę, żeby się nie przewróciła ani nie wypuściła Rowła. Kot uniósł nieco głowę i rozejrzał się mętnie wokół. Potem znowu opuścił ją ze zmęczenia. Na czasce miał linię, na której pył i krew utworzyły strup grubości małego palca kapitana. Grimm złapał pana Rowła, nim Bridget zdążyła go opuścić, ułożył jego bezwładne ciało na swym przedramieniu, a drugą ręką ze sztywnych palców dziewczyny wydobył wolumin niewielkich rozmiarów. Kettle z kilkoma innymi aeronautami klecili już prowizoryczne nosze, na których zabiorą stąd sir Benedicta.

- W porządku, panno Tagwynn — rzekł, chowając książkę do kieszeni. - Dasz radę iść?

- Och, z pewnością — zapewniła. — Ćwiczyłam to codziennie już od dosyć dawna.

Kapitan popatrzył na nią z powątpiewaniem, ale nim zdążył zawołać któregoś ze swoich ludzi, z

tumanów pyłu wyłoniła się drobna uczennica eteryka, Folly, i spokojnie wsunęła się pod jedno z ramion wyższej przyjaciółki.

- Grymaśny kapitan z pewnością jest wystarczająco spostrzegawczy, by zauważyć, że Bridget ma wielkiego siniaka na policzku. Na pewno jest oszołomiona i cierpi ból. Prawdopodobnie zauważył również, że Bridget ma przyjaciół.

Grimm przyglądał się przez chwilę pannie Folly, po czym pokłonił się obu dziewczynom tak nisko, jak tylko był w stanie. Potem sprawdził stan sir Benedicta. Gwardzistę owinięto w kurtkę ofiarowaną przez jednego z aeronautów. Trzech ludzi podzielił się dźwiganiem ciężaru nieprzytomnego młodzieńca.

- Kettle? - zapytał.

- To jad tkaczy, kapitanie, sądząc po obrzękniętym ramieniu - odparł pilot z przygnębieniem. - Mamy też sześciu innych ludzi ukąszonych w tunelach. Może jeśli zaniesiemy go do eteryka...? Bagen mówi, że nic na to nie poradzi.

- Mistrz Ferus, niestety, jest wyłączony z akcji - poinformował go Grimm. - Ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

- Co on powiedział? — zapytała Folly z niedowierzaniem w głosie. - Mistrz jest... czy coś się stało?

- Odwiedziła nas madame Cavendish - wyjaśnił krótko kapitan. Zaproponowała, że zamieni życie was dwóch na kolekcję mistrza Ferusa. Mistrz się zgodził.

Folly szeroko otworzyła oczy.

- Och - wydyszała do kryształowi, który zawiesiła sobie na szyi. - Och, to naprawdę niedobra wiadomość. Kolekcja zamykała dość dużą dziurę. - Jej oczy utraciły nagle wyraz, wpatrując się w pustkę. — Zastanawiam się, gdzie są teraz te wózki?

- Zabrała je madame Cavendish - odpowiedział Grimm. - Postawiłbym sporą sumę na to, że zaraz potem wyrzuciła je na powierzchnię z pomostu statkowni.

Folly zamrugała. Jej oczy znowu stały się czujne i skupione.

- Jest bardzo dobrym kapitanem, ale najwyraźniej kiepskim hazardzistą - oznajmiła swemu kryształowi. - Wózki jadą ulicą w stronę statkowni. Madame Marionetka zapewne ma nadzieję, że wyczyta z nich jakiś wzorzec, który zapewni jej przewagę w przyszłych starciach.

Grimm uniósł brwi.

- Młoda damo, czy chcesz mi powiedzieć, że potrafisz po prostu zlokalizować kolekcję mistrza Ferusa?

- To chyba dość oczywiste — wyznała kryształowi Folly. — A przynajmniej pewne przedmioty wchodzące w jej skład. Raczej nie będzie arogancją, jeśli powiem, że nie bez powodu zostałam jej opiekunką.

- Madame Cavendish zatrzymała kolekcję dla siebie - stwierdził z zamyśleniem w głosie Grimm.

- Chyba to zrozumiał - ucieszyła się Folly. — Najwyraźniej mistrz chciał dać grymaśnemu kapitanowi czas potrzebny, by mnie uratować, żebym mogła z kolei odzyskać kolekcję.

- A być może chodziło mu o coś więcej, panno Folly - zauważył Grimm. - Musimy jak najszybciej wrócić na *Drapieżcę*.

Droga powrotna przez ulice była szybka, co zaskoczyło kapitana, który spodziewał się totalnego pandemonium.

Znaczącą część północno-wschodniego kwadrantu kondygnacji ogarnął pożar. W powietrzu unosił się coraz gęstszy dym, lecz liczne szyby wentylacyjne rozmieszczone tu przez Miłosiernych Budowniczych dostarczały wystarczająco wiele świeżego powietrza, by cała dzielnica nie przerodziła się natychmiast w śmiertelną pułapkę. Brygady obywateli walczyły z ogniem na rozmaite sposoby. Przez węże pompowano wodę pochodzącą z licznych w tej kondygnacji zbiorników, ustawieni w szeregi ludzie przekazywali sobie wiadra z rąk do rąk, a ekipy robotników pośpiesznie burzyły kosztowne budynki i odciągały

drewno na bok, by stworzyć pasy ochronne, powstrzymujące pożar.

Grimm doszedł do wniosku, że cały ten chaos wydaje się stanowczo za dobrze zorganizowany. Jako doświadczony oficer wiedział, jak wielkie znaczenie ma sprawne dowodzenie w kryzysowej sytuacji. Żeby użyć szczególnie odpowiedniej w tej sytuacji metafory, z reguły sprowadzało się ono do biegania z miejsca na miejsce i gaszenia kolejnych pożarów. Często trzeba też było mnóstwo krzyczeć, a niekiedy również dać komuś z umiarkowaniem po łbie, w mniej lub bardziej dosłownym sensie. Wiedział, jak wygląda chaos.

A tu ktoś podjął niezbędne kroki, by mu zapobiec.

Walczącymi z pożarem brygadami dowodzili tu z reguły ludzie, których ktoś niezyczliwy mógłby nazwać zbirami. Choć nie nosili mundurów i nie mieli ujednoliconego ekwipunku, wszyscy zachowali się w pewien szczególny sposób i inni obywatele Ładowiska okazywali im posłuch. Urządzono nawet ewakuację. Kobiety i dzieci prowadzono w spokojnych grupach ku najbliższej rampie transportowej, by zejść na niższą kondygnację i uciec od pożaru. Dorośli mężczyźni i część kobiet, uwolnieni od strachu o dzieci oraz potrzeby zadbania o ich bezpieczeństwo, mogli zająć się walką o ocalenie swych domów oraz swej kondygnacji.

Cechy, uświadomił obie Grimm. Przestępcze cechy Ładowiska zorganizowały odpowiedź na kryzysową sytuację. To miało sens. Gdyby Ładowisko spłonęło, przywódcy cechów straciliby środki do życia. Ale z drugiej strony kryzys zaczął się najwyżej przed godziną. W całej kondygnacji powinny panować panika i przemoc.

Ktoś ostrzegł cechy, polecił im, żeby przygotowały się na kłopoty.

Niewielki oddział Grimma posuwał się miarowo naprzód i szybko przyciągnął uwagę ludzi z cechów. Za aeronautami podążało kilka ogonów, ale nikt nie próbował ich zatrzymać.

Gdy dotarli na ulice położone najbliżej statkowni, zaczęli znajdować ciała. Najczęściej byli to obywatele Kondygnacji Ładowiska, z reguły uzbrojeni. Gdzieś tam widziało się też żołnierzy w mundurach Aurorańskiej Piechoty Powietrznej, ale było ich bardzo niewielu. Auroranie dobrze znali się na swojej robocie, poruszali się szybko i byli zdyscyplinowani. Sprawnie i bezlitośnie policzyli się z garstką obywateli, którzy próbowali stawiać im opór.

Przy wyjściu ze statkowni leżały ciała kilkunastu gwardzistów kasztelana. Zginęli, broniąc bramy, a ich zwłoki odrzucono na bok niczym drewno, żeby nie blokowały wejścia.

Ani na moment nie zwalniając kroku, Grimm wyprowadził swą niewielką kolumnę na pomost statkowni. Jego buty zastukały głośno o masywne belki.

Pożar trawił dwa pobliskie magazyny, a także kilka stanowisk lekkich dział broniących statkowni. Co najmniej trzy cumujące tu sterowce też płonęły, a na pomoście również spoczywało kilka nieruchomych postaci. Serce Grimma zabiło szaleńczo, ale po chwili zauważył *Drapieżcę*, nadal spoczywającego bezpiecznie na pochylni.

Wtem zawyło działo eteryczne i jedno z nieuszkodzonych stanowisk dział eksplodowało z oślepiającym rozbłyskiem. Na wszystkie strony posypały się płonące odłamki.

Grimm przeniósł spojrzenie na *Rekina Mgieł*, który unosił się we mgle jakieś sto jardów od statkowni. Jego działa nie milkły nawet na chwilę, wybijając ogromnie dziury w drewnianym pomoście, przesywając nieosłonięte kadłuby bezbronych statków, a nawet podpalając sam pomost w dodatkowych miejscach. Wycie kolejnych wystrzałów łączyło się w ogłuszającą kakofonię.

Jeden z impulsów przeszył drewniany kadłub sterowca cumującego na samym końcu pomostu i czystym przypadkiem trafił w rdzeń mocy.

Rozbłysło światło tak jasne, że oślepiło na moment Grimma. Towarzyszył mu żar tak gorący, że osmalił mu policzki. Kapitan runął na plecy. Deski pod jego stopami zatrzęszczały przeraźliwie, a wiele ton odłamków drewna posypało się na wszystkie strony, uszkodzając statki sąsiadujące z pechowym transportowcem.

Po chwili, z ogłuszającym trzaskiem drewna, połowa pomostu odpadła od ściany kasztelu i runęła w dół. Zaczumowane przy niej, nieprzygotowane do lotu sterowce przechyliły się na lewą burłę i spadły w ślad za nią niczym kamienie. Grimm słyszał krzyki ich bezsilnych załóg. Robotnicy portowi sypali się w mglistą otchłań razem z pomostem. Ich krzyki dołączyły do ogólnego hałasu, gdy prosta i bezlitosna grawitacja pochłaniała deski, maszty i ludzi, bez żadnej różnicy.

Działa *Rekina Mgieł* nadal nie milkły, niszcząc kolejne fragmenty pomostu niczym rozwścieczony człowiek rozbijający młotkiem piękne talerze. Rozwalały też kolejne sterowce z metodyczną precyzją, kierując pełną moc uzbrojonego statku powietrznego przeciw bezbronnej statkowni.

— Odwrót! — wrzasnął Grimm. — Do kasztelu! Opuścić pomost!

Aeronauci umknęli, szukając bezpiecznego schronienia w kasztelu, gdy impulsy z dział uderzały coraz bliżej nich. Grimm zszedł z pomostu jako ostatni. Nieprzyjacielski ogień był już wtedy tak blisko, że czuł jego moc przez podeszwy butów.

Kapitan zdążył jeszcze się odwrócić, nim cała konstrukcja statkowni przechyliła się z ogłuszającym trzaskiem i zaczął się niepowstrzymany proces upadku na powierzchnię z połowy wysokości Kasztelu Albion. *Drapieżca* zakołysał się bezradnie na swej pochylni.

A potem jego również dosięgnął ogień dział *Rekina Mgieł*. Statek Grimma, jego dom, pochłonęła z głośnym hukiem chmura ognia oraz oślepiającego blasku.

Kasztel Albion, statkownia Kondygnacji Lądowiska, SHA *Drapieżca*

Gwen gorączkowo podłączała jeden po drugim przewody prowadzące do głównego pulpitu sterowniczego. Pracowała tak szybko, jak tylko mogła. Leżała na plecach pod pulpitem, wyciągając daleko ręce. W całej sali panowała hałaśliwa, gorączkowa aktywność.

- Przekleństwo na twoje nędzne flaki, podłącz wreszcie ten przerywacz! — ryknął Journeyman. — Hej, ty, jeśli nie uporzysz się z tym opornikiem, dam ci takiego kopa, że zlecisz na powierzchnię!

- Główny kanał mocy podłączony! - zawołał ktoś.
 - Moc do kryształu wznoszącego podłączona! — dodał drugi głos.
 - Niech was zdmuchnie na powierzchnię! — wrzeszczał Journeyman. - Odsuńcie się od rdzenia! Za dziesięć sekund włączę klatkę!

- Nie wszystkie przewody są podłączone — warknęła do niego pod nosem Gwen.
 - Lepiej, żeby były - burknął mechanik. — Dziewięć! Osiem! Siedem!

Gwen nakazała swym palcom śmigać jeszcze prędeej.

- Szybciej już nie dam rady.
 - Lepiej, żebyś dała - skwitował Journeyman. - Pięć! Cztery! Trzy! Dwa!

Dziewczyna wsunęła na miejsce dwa ostatnie kable i zabezpieczyła je zaciskiem.

- Jeden! Włączam dopływ mocy do rdzenia!

Journeyman poruszył przełącznikiem na pulpicie i dwie połowy klatki Hasletta uniosły się na podobieństwo płatków kwiatu, otaczając rdzeń w sferycznej konfiguracji. Kryształ rdzenia *Drapieżcy* obudził się do życia z niskim, melodyjnym buczeniem. Wewnątrz klatki Hasletta zamigotały zielonkawe łuki energii. Temperatura w sali niemal natychmiast wzrosła o kilka stopni.

- Udało się? - zapytała Gwen.
 - Rdzeń mocy jest podłączony — warknął Journeyman. — Kiedy się rozgrzeje i będzie gotowy do działania, przekonamy się, czy te nowe kryształy mają jakieś wady.

Gwen powęszyła, unosząc podbródek.

-W Kadziowni Lancasterów dokładnie sprawdza się wszystkie nowe kryształy. Są w porządku.

Nagle rozległ się przeraźliwy dźwięk wystrzału z działa eterycznego. Niemał natychmiast po nim usłyszeli ogłuszający huk.

- Boże w Niebiosach, już zaczęli - wydyszał Journeyman. - Wszyscy na stanowiska! Przypnijcie się, chłopaki! Przypnijcie się!

Mężczyźni zaczęli miotać się po pomieszczeniu, gorączkowo podając sobie skomplikowane sploty skórzanych pasów wyciągane z szafek wiszących na ścianie. Któryś z nich rzucił jeden splot Journeymanowi, a drugi Gwen.

- Co to jest, do licha? — zapytała dziewczyna.
 - Uprząż bojowa - wyjaśnił Journeyman. - Załóż ją.

Gwen przyjrzała się z powątpiewaniem kłębowisku pasów.

- Słucham?

Ręce Journeymana poruszały się z szybkością zrodzoną z wieloletniej praktyki i jego kłęb tajemniczych rzemieni zmienił się w zestaw skórzanych taśm, które krzyżowały się na jego torsie i

otaczały go w pasie. Na każdym odcinku widziało się mnóstwo stalowych pierścieni powleczonech miedzią. Mechanik wyciągnął pas z zaciskami na obu końcach i przypiął jeden z nich do pierścienia, który miał na brzuchu. Drugi ulokował po przeciwnej stronie ciała, a trzeci pomiędzy nimi.

Ponownie rozległo się wycie działa. Tym razem hałas był tak ogłuszający, że Gwen po prostu nie potrafiła w to uwierzyć. Pokład zatrząsał się pod jej stopami, aż zachwiała się na nogach. Wstrząs uderzył w nią niczym podmuch wichru. Potem usłyszała donośny zgrzyt, który nie milkł przez prawie pół minuty.

- Co to było, do licha? - zapytała, dysząc ciężko.

Journeyman skrzywił się. On również wyglądał na wstrząśniętego. Zaczął układać uprząż na ciele dziewczyny.

- Najwyraźniej jeden ze strzałów trafił w rdzeń mocy któregoś ze stojących dalej statków. Zapewne tego małego pikańskiego sterowca na samym końcu.

- Skąd wiesz?

- Stąd, że nadal tu jesteśmy - wyjaśnił mechanik. - Gdyby trafili w któryś z większych statków, eksplozja rozsmarowałaby nas wszystkich na ścianie kasztelu. - Poklepał Gwen po ramieniu, nakazując jej się odwrócić, a następnie chrząknął, poprawił pas i zaczął przypinać liny do jej talii. - Trzy liny - tłumaczył. - Muszą przez cały czas być przypięte do pierścieni zabezpieczających. Nie chciałabyś stać tutaj bez żadnego zabezpieczenia, gdy niespodziewanie runiemy kilkaset stóp w dół. Walnęłabyś tą ładną główką w sufit i złamałabyś sobie chudą szyjkę.

Gwen rozejrzała się wkoło i zobaczyła, że wszyscy mechanicy są już na stanowiskach i przypięli liny do licznie rozmieszczonych na ścianach pierścieni. Zauważyła, że Journeyman podszedł do pulpitu i podążyła za jego przykładem.

Mechanik spojrzał na nią.

- Tylko mi nie przeszkadzaj - mruknął.

- Nawet by mi się nie śniło - zapewniła.

- W porządku, chłopaki! - zawołał.

Działo eteryczne zawyło ponownie.

Pierwszy mechanik zacisnęła zęby.

- Na mój znak uruchomcie krysztaly wznoszące i stabilizujące.

- Gotowy! — zawołało jeden po drugim kilku mechaników przy swoich stanowiskach.

- Zaczekaj! - zawołała Gwen. - Nie. Wstrzymaj akcję! - Przerwała na moment, spoglądając z zamyśleniem na Journeymana. - Tak się mówi, prawda? „Wstrzymaj”?

Pierwszy mechanik łypnęła na nią ze złością.

- Właśnie mi przeszkodziłaś.

Gwen niecierpliwie pokręciła głową.

- Co twoim zdaniem się wydarzy, jeśli *Drapieżca* nagle wzniesie się z pochylni, tuż obok nieprzyjacielskiego statku? Jak zareaguje przeciwnik?

Journeyman wpatrywał się w nią przez krótką chwilę, a potem skrzywił się wściekle.

- Niech to szlag. Niech to szlag. *Rekin Mgieł* nie ma pancerza. Rozwali nas na kawałki, żebyśmy nie zrobili tego z nim, gdy tylko będziemy mogli wystrzelić z naszych dział.

- Tak - zgodziła się Gwen. — Na razie nie możemy wystartować. Musimy siedzieć spokojnie, żeby nie uznali nas za zagrożenie.

Działa nie przestawały wyc. Rozległ się kolejny ogłuszający huk oraz wnikający aż do kości zgrzyt. Pomost przechylił się nagle o kilka stopni.

Wszyscy w maszynowni rozglądali się wkoło, wybałuszając oczy z przerażenia.

- Boże w Niebiosach - wydyszał jeden z nich. - Rozwalają pomost pod nami!

Journeyman skrzywił się jeszcze bardziej.

- Nie mamy na pokładzie pilota ani załogi, która rozwinęłaby się. Nie będziemy mogli

manewrować!

- A czy możemy walczyć?

- Nie mamy artylerzystów! Wszyscy poszli z kapitanem. I brakuje nam czasu!

Pomost zatrzęsł się raz jeszcze przy akompaniamencie donośnych zgrzytów. Pokład *Drapieżcy* zawibrował. Cały statek zakołysał się w przód i w tył, omal nie zbijając Gwen z nóg.

- Au! A co możemy zrobić?

- Polecieć w górę albo w dół - warknął Journeyman. - To drugie byłoby bardzo łatwe.

Znowu zawyło działo. Wstrząs był jeszcze bliższy niż poprzednim razem. Gwen uświadomiła sobie, że nieprzyjaciel stopniowo kieruje ostrzał w stronę *Drapieżcy*.

- Rdzeń jest gorący, szefie! - zawołał jeden z mechaników.

Journeyman chrząknął i zaczął obracać pokrętła sterujące klatką Hasletta.

- Skonfiguruję naszą tarczę tak, by gęściej otoczyła górną połowę kadłuba. To może nam pomóc. - Odwrócił głowę. - Załogi kryształów wznoszących i stabilizujących przygotować się! Zaczniemy od małego nurkowania.

Wszyscy obecni zwrócili głowy ku pierwszemu mechanikowi.

- Protokół nurkowania, zżarci zgnilizną skurwiele! - ryknął Journeyman.

- Jak rozumiem, nurkowanie jest niebezpieczne? - zapytała spokojnie Gwen.

- Bez pilota wręcz bliskie samobójstwu - odparł z nonszalancją pierwszy mechanik. - Jeśli nikt nie będzie sterował, zapewne walniemy w ścianę kasztelu.

- I co się wtedy stanie?

- Wpadniemy w ruch wirowy i runiemy na powierzchnię. Kryształy wznoszące w niczym nam nie pomogą. Jeśli się nam poszczęści, statek się rozpadnie i zginiemy na miejscu.

- Poszczęści?

- Lepsze to, niż znaleźć się żywym na powierzchni, pośród szczątków statku.

Gwen zadrżała.

- Rozumiem, co chcesz...

Ponownie zawyło działo eteryczne.

Kryształ rdzenia *Drapieżcy* rozjarzył się oślepiającym blaskiem. Statek szarpnął gwałtownie, jakby uderzony gigantycznym młotem. Gwen raczej poczuła, niż usłyszała kolejny huk. Omal się nie przewróciła, mimo że miała zapięte pasy. Nastąpiła przerażająca chwila całkowitej nieruchomości...

...a potem dno świata wypadło spod nich. Nogi dziewczyny uniosły się nad pokład. Kilku mężczyzn krzyknęło głośno.

- Cicho, idioci! - ryknął Journeyman.

Odchyłał się do tyłu, wsparty mocno stopami na pokładzie. Napięte liny bezpiecznie podtrzymywały jego ciężar. Gwen zauważyła jednak, że minę ma równie niezadowoloną jak w chwili, gdy nie spadał bezradnie na spotkanie śmierci jak teraz.

- Wznoszenie, daj nam dwa procent więcej! — zawołał pierwszy mechanik. - Musimy spadać wolniej niż szczątki pomostu, żeby zostać za nimi, zanim ustabilizujemy pozycję.

- Dwa procent, tak jest! - odkrzyknął jeden z jego ludzi.

Gwen poczuła, że jej podeszwy znowu dotykają podłogi. Złapała jedną ręką za pierścień na pulpicie, zaciskając dłoń tak mocno, że aż kłykcie jej zbieleły.

- Przygotować się! - wrzasnął Journeyman, uderzając mocno stopą o pokład w miarowym rytmie.

Odlicza sekundy, uświadomiła sobie Gwen.

Pokręciła głową, widząc podobny przykład opanowania i skupienia na zadaniu pośród całego tego szaleństwa. W tej samej chwili zauważyła, że z pulpitu wysunął się luźny przewód.

Nie miała czasu na zastanowienie. Te przewody przekazywały prąd z klatki Hasletta do systemów sterowca. Jeśli przewód prowadził do kryształu wznoszącego albo jednego z kryształów stabilizujących,

skutki nagłej utraty mocy mogły być katastrofalne.

Odpięła jedną z lin zabezpieczających i skoczyła do pulpitu, niemalże przewracając się na plecy.

- Trzy! — krzyczał Journeyman.

Gwen złapała za drut.

- Dwa!

Zauważyła otwarte gniazdko i pośpiesznie wsunęła do niego przewód -kryształ stabilizujące na prawej burcie. Jeśli nie zdąży ich podłączyć na czas, to gdy mechanik wznoszenia prześle moc do kryształów, sterowiec zawiruje gwałtownie wzdłuż długiej osi i wyrwie się spod kontroli. Skutki będą katastrofalne, najprawdopodobniej śmiertelne.

Szarpała się z przewodem w rozpaczliwym pośpiechu, wiedziała jednak, że jest już za późno.

-Jeden! - zawołał pierwszy mechanik i błyskawicznym ruchem dotknął kolejnych przełączników, otwierając dopływ mocy z rdzenia - Uruchomić układ wznoszący!

ROZDZIAŁ 62

Kasztel Albion, Kondygnacja Lądowiska, była statkownia

Oślepiający błysk wybuchu, który pochłonął *Drapieżcę*, pozostawił po sobie świetliste powidoki, przesłaniające pole widzenia Grimma. Kapitan osłonił oczy dłonią i zamrugał kilkakrotnie, wypatrując swego statku. To, co zobaczył, było niemal niewyobrażalne.

Rekin Mgieł, wykonawszy zadanie, rozwinął sieć po lewej stronie i przechylał się miarowo. Za chwile rozciągnie szeroko całą sieć, pochwyci w nią prądy eteryczne i zacznie nabierać prędkości, zmierzając w kierunku zachód, południowy zachód - prosto ku Kasztelowi Aurora.

Grimm pokręcił głową, spoglądając pod nogi.

Masywne belki pomostu statkowni sterczały z kamienia kasztelowego na długość pięciu, może sześciu stóp, a potem kończyły się raptownie linią poszarpaną jak połamane zęby. Dalej nie było nic poza wiatrem, mgłą i pustką w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą panował intensywny ruch.

Statkownia Lądowiska przestała istnieć.

I *Drapieżca* razem z nią.

Zniszczono go.

Spróbował wstać, ale zdołał jedynie dźwignąć się na kolana. Poczuł, że ramiona mu opadają, a szyja nie jest już w stanie unieść ciężaru głowy. Wszystko spadało w dół po spirali. Dotknął jedną dłonią ściany z kamienia kasztelowego, by nie runąć razem z całym światem.

Nie ma już *Drapieżcy*. Nie ma już domu.

Na pokładzie przebywał Journeyman ze swymi mechanikami i kontraktowymi robotnikami. A także mistrz Ferus. I panna Gwendolyn.

Wszyscy oni byli na *Drapieżcy*.

Przemawiały doń jakieś głosy, ale znaczyły dla niego bardzo niewiele. Czyjeś ręce pomogły mu się podnieść. Pozwolił im na to, choć właściwie nie widział już powodu. Przed oczyma nadal miał jaskrawofioletową plamę, ślad po rozbłysku, który pochłonął jego statek, jego ludzi i jego przyszłość.

- ...z dała od wejścia, kapitanie — mówi Kettle ochryłym głosem. - *Rekin Mgieł* nadal może do nas wystrzelić.

- Nie robi tego. — Grimm usłyszał własny, bezbarwny głos. - Statkownia, stanowiska dział i statki handlowe zaopatrujące Kasztel Albion są uzasadnionymi celami ataku. Calliope zrealizowała już wszystkie swoje cele. Zostaje jej tylko uciec bezpiecznie. To właśnie robi.

Kettle nadal trzymał mocno kapitana za ramię.

- W takim razie odsuń się od wejścia, kapitanie, bo możesz się pośliznąć i spaść.

Grimm usłyszał w starannie dobranych słowach pilota coś przypominającego gniew. Był on odległy i głęboko skrywany, ale kapitan wyczuwał go, jak gorąco posuwające się w górę wzdłuż kręgosłupa. Miał w sobie wystarczająco wiele mocy, by Grimm uniósł głowę i wlepił spojrzenie w rozmówcę.

- Co dokładnie sugerujesz, panie Kettle?

W szarych, spokojnych oczach aeronauty pojawiły się błyski niepokoju, które jednak zaraz ustąpiły miejsca głębokiej uldze.

- Och, kapitanie. Nic, sir. Absolutnie nic.

Grimm przyjrzał się minie pilota i nagle poczuł, że wszystko znowu pojawia mu się przed oczyma — cały wybuch puszczony od tyłu. To przywróciło jego umysłowi i woli zdolność działania, przynajmniej w pewnym stopniu. Rzecz jasna ból nadal go dręczył. Koszmarny straszliwy ból, żaloba, z powodu której z pewnością wkrótce zmieni się w bełkoczący wrak człowieka.

Ale na razie jego ludzie go potrzebowali. Mógł już nie mieć statku, ale nadal miał załogę. Wszyscy liczyli na niego w tej chwili rozpacz i zwątpienia. Poprawił płaszcz, odwrócił się plecami do straszliwie pustego nieba i spojrzał na swoich ludzi.

- No cóż, panie Kettle. Wygląda na to, że narobiliśmy tyle szkód, na ile było nas stać. Nie jestem pewien, jak będzie wyglądał stan mojego konta, gdy już wypłacę pośmiertną odprawę rodzinom wszystkich zabitych, ale możesz być pewien, że wynagrodzę cię najlepiej, jak tylko będę mógł, a także szepnę o tobie parę dobrych słów tym kilku ludziom z Floty, którzy mogli nadal pozostać moimi przyjaciółmi. W najbliższych tygodniach doświadczeni aeronauci z pewnością będą potrzebni. Myślę, że żaden z was nie będzie miał trudności za znalezieniem pracy.

- Kapitanie? - zapytał niepewnie Kettle.

- Oczywiście najpierw musimy odnaleźć doktora Bagena, pana Creedy'ego i naszych rannych, a także zadbać o to, by otrzymali najlepszą możliwą opiekę. Jestem przekonany, że to właśnie oni zbliżają się teraz aleją. Rzecz jasna pomożemy też w gaszeniu pożarów w Kondygnacji Lądowiska.

- Och - odezwała się uczennica eteryka. - Ojej.

- Panie Kettle - ciągnął Grimm - wyznacz proszę czterech ludzi, którzy pomogą naszemu dobremu doktorowi umieścić rannych w jakiejś lecznicy. Reszta pójdzie pomóc w wysiłkach...

Bridget przymrużyła krótkowzrocznie oczy, wpatrując się w jakiś punkt położony za jego plecami.

- Kapitanie Grimm - odezwała się zdziwionym, zaciekawionym tonem. - Brak mi doświadczenia w tego typu sprawach, ale... czy jesteś pewien, że nie powinniśmy wrócić na twój statek?

Grimm przeszył ją twardym spojrzeniem. Potem przeniósł wzrok na Kettle'a i zauważył jego minę. A następnie minę uczennicy eteryka, panny Folly, a także reszty załogi.

Usztywnił kręgosłup, poprawił kapelusz i odwrócił się bardzo spokojnie.

Z oparów mgły, nie dalej niż sto stóp od otworu w ścianie Kondygnacji Lądowiska, wyłonił się nieskazitelnie piękny, zupełnie nieuszkodzony, nietknięty i absolutnie realny *Drapieżca*.

Grimm gapił się na sterowiec, który unosił się, powoli i majestatycznie, aż wreszcie zatrzymał się na dokładnie tym samym poziomie, na którym znajdowało się wejście. Sylwetka statku zamazała się na moment, ale kapitan odchrząknął, zamrugał i wrażenie znikło. Sterowiec nie ucierpiał. Jego tarcze wytrzymały.

- Boże w Niebiosach - wyszeptał Grimm. - Dzięki ci za tę łaskę.

Na statku coś się poruszyło. Spod pokładu wyłonił się pan Journeyman. Pierwszy mechanik rozejrzał się wkoło i zagwizdał na widok resztek pomostu nadal trzymających się tu i ówdzie muru kasztelu.

- Panie Journeyman! - ryknął Grimm.

Mechanik wyprostował się nagle, jak dziecko przyłapano na jakiejś psocie, i zasalutował pośpiesznie.

- Kapitanie! Tu jesteś!

- Ty, ty, ty... — zaczął Grimm. Zazgrzytał zębami. — Co zrobiłeś z moim statkiem?!

Mechanik zasalutował raz jeszcze.

- Wybacz, sir, ale wszystko już podłączyliśmy i wybraliśmy się na próbny lot nurkujący. — Kaszlnął. — Wydawało się, że to dobry pomysł.

- Rozumiem. Nurkowanie na samych kryształach wznoszących i stabilizujących, w dodatku bez pilota - odparł Grimm i zaczerpnął głęboko tchu. - I jak poszło? — zapytał od niechcenia.

Journeyman pomachał palcami.

- Przydałoby się jeszcze dopracować parę rzeczy — przyznał.

- Bardzo dobrze — odparł Grimm, kiwając głową i splatając dłonie za plecami. - Panie

Journeyman, jeśli jeszcze raz zrobisz z moim statkiem coś równie zwariowanego, gorzko tego pożałujesz. Jasne?

Twarz pierwszego mechanika pobladła nieco. Journeyman stanął na baczność i zasalutował dziarsko.

-Tak jest!

- *Drapieżca* nie jest twoją prywatną zabawką. Bóg w Niebiosach nie dał ci go dla rozrywki.

- Tak jest!

- Słyszałeś mnie, Journeyman?

-Tak jest!

-To świetnie. A teraz zbliż trochę statek i rzuć nam parę lin, żebyśmy mogli was zacumować. I opuść trochę pokład. Ruszaj się, Journeyman!

-Tak jest! — powtórzył pierwszy mechanik po raz kolejny, zasalutował na pożegnanie i popędził pod pokład, wykrzykując rozkazy.

Grimm odwrócił się i zauważył, że wszyscy członkowie załogi stojący za jego plecami uśmiechają się szeroko.

- Panno Folly - odezwał się, ignorując ich na razie. - Czy możesz ustalić lokalizację kolekcji mistrza Ferusa?

Oczy dziwnie ubranej dziewczyny utraciły na moment wyraz. Potem zmarszczyła brwi z oburzeniem.

- Oddała się dość szybko od kasztelu - wymamrotała do swego kryształ. - Ta okropna kobieta marionetka zabrała ją ze sobą na pokład.

- A czy potrafisz ją wytropić?

Folly zmarszczyła brwi.

- Jeśli kolekcja mistrza nie oddali się od nas zbyt daleko, jestem przekonana, że będę mogła śledzić jej ruchy.

Grimm skinął krótką głową i zwrócił się ku swojej załodze.

- Na co się gapicie, dumne małpy?! — ryknął autorytatywnym tonem. -Niektórzy z naszych ludzi ucierpieli od jadu tkaczy jedwabiu. Doktor Bagen nie zdoła im pomóc, ale eteryk to potrafi. Potrzebuje jednak do tego swego sprzętu, który w tej chwili oddała się od nas na *Rekinie Mgieł*, razem z oddziałem Aurorańskiej Piechoty Powietrznej, który wyrządził tak wiele szkód naszym rodakom.

Ludzie warknęli chóralnie. Na pierwszy plan wysuwał się basowy ton Kettle'a.

- Zamierzam ruszyć z *Drapieżcą* w pościg za *Rekinem Mgieł*, dogonić go, ostrzeliwać tak długo, aż się podda i odzyskać sprzęt mistrza Ferusa, żeby móc uratować naszych towarzyszy. Ponieśliśmy duże straty i brakuje nam ludzi, ale nie łudźcie się, nasze działa przemówią. Jeśli ktoś chce zostać w kasztelu, nie spotka go żadna kara.

Kettle przyjrzał się ludziom, oceniając ich miny i postawę. Skinął krótko głową.

- Wszyscy polecimy, kapitanie.

- W takim razie przygotujcie się do przycumowania statku i opuszczenia rampy załadowniczej, gdy tylko Journeyman przesunie go bliżej.

- Tak jest, kapitanie! - zawołał pierwszy mechanik. - Wy dwaj, chodźcie ze mną. Reszta niech złapie za dwie liny po obu stronach wejścia.

Grimm pozwolił pilotowi przejąć kierownictwo i zwrócił się ku pannie Folly oraz jej towarzysze.

- Panno Tagwynn? Jak się czujesz?

Wysoka dziewczyna zamknęła oczy, a potem je otworzyła. Zdołała skinąć lekko głową. Nadal wspierała się lekko na uczennicy eteryka, ale trzymała już pana Rowla w obu rękach. Kot był przytomny, choć nadal oszołomiony. Ciało miał bezwładne, a jego oczy wpatrywały się w pustkę.

-Już lepiej, kapitanie.

- Zrobiłaś już wystarczająco wiele. Najciężej rannych ludzi wysyłam do lecznicy. Pójdiesz z nimi. Panna Tagwynn rozważała przez chwilę jego słowa.

- Dziękuję, kapitanie, ale nie skorzystam - odparła wreszcie, kręcąc głową. - Zostanę z sir

Benedictem.

-Ja jestem kapitanem tego sterowca - oznajmił delikatnym tonem. -Decyzja nie należy do ciebie.

Młoda kobieta skinęła głową.

- Nie wątpię, że mógłbyś kazać mnie zbić tak mocno, że nie byłabym w stanie wejść na pokład, kapitanie. - Uniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy. Jej spojrzenie miało spokojny i przenikliwy, dziwnie koci wyraz. -Czy tak właśnie zamierzasz postąpić?

Grimm poczuł, że kącik jego ust się unosi.

- Nie, panno Tagwynn. Z pewnością nie mam takiego zamiaru. Ale jeśli upierasz się, by nam towarzyszyć, musisz dać mi słowo, że wykonasz każdy mój rozkaz, jakby wydał go sam Bóg w Niebiosach.

- Zgoda - odrzekła.

Grimm skinął do niej głową.

- To, co uczyniłaś w świątyni, zasługuje na najwyższy podziw. — Poczł, że w jego oczach pojawił się błysk wesołości. - Sir Benedict ma wielkie szczęście.

- On zrobiłby dla mnie to samo - zapewniła panna Tagwynn.

- W to z pewnością nie wątpię.

Za jego plecami Journeyman zbliżył już *Drapieżcę* do otworu w murze wystarczająco blisko, by rzucić parę lin Kettle'owi i ludziom z załogi. Ae-ronauci złapali je i zaczęli ostrożnie przyciągać sterowiec ku otworowi. Po kilku chwilach udało się opuścić rampę.

Pan Creedy podszedł do niego i zsalutował ze znużeniem. Przyniósł tu jednego z rannych i na jego twarzy malowały się wyraźne ślady zmęczenia.

- Co mnie ominęło, kapitanie? - wydyszał.

- Przy następnej wypłacie pamiętaj o premii w wysokości miesięcznej pensji dla pana Journeymana i jego ludzi - odparł Grimm.

Creedy szeroko otworzył oczy. Następnie spojrzał na cień *Drapieżcy* unoszący się tam, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się Statkownia Kondygnacji Lądowiska. Opadła mu szczęka.

- Boże w Niebiosach - wydyszał.

-To był *Rekin Mgieł* - wyjaśnił krótko Grimm. - Auroranie i ta Cavendish są na jego pokładzie.

Dogonimy go i zdobędziemy.

- Mamy braki w załodze - zauważył Creedy. - Nie zdołamy obsadzić wszystkich dział.

- To prawda - przyznał Grimm.

- *Rekin Mgieł* jest większy i lepiej uzbrojony od *Drapieżcy*.

- To również prawda.

- W porządku, kapitanie — zgodził się Creedy. — Jak brzmią rozkazy?

- Przenieś rannych na pokład i zabezpiecz ich, a potem zamelduj się na mostku.

Pierwszy oficer skinął krótko głową i odwrócił się. Nagle się zatrzymał.

- Kapitanie... jeśli *Rekin Mgieł* już się oddalił, jak zdołamy go dogonić? To najszybszy statek na niebie.

Grimm poczuł, że jego usta rozciągają się w złowrogim uśmiechu.

ROZDZIAŁ 63

SHA Drapieżca

Stojąca na pokładzie *Drapieżcy Folly* czuła, jak statek budzi się do życia.

Doszła do wniosku, że to naprawdę niepokojące wrażenie. Drewniany pokład wydawał się solidny i w ogóle się nie poruszał, ale czuła, że drży i wygina się pod jej stopami jak jakaś ogromna bestia budząca się ze snu i przeciągająca powoli kończyny. Aeronauci zaczęli się wspinać na maszty, ciągnąc za liny i powoli rozwijając ogromne zwoje drżącego eterycznego jedwabiu, dla Folly gorejącego jasnym blaskiem niczym zwinięte sznury żywego światła.

Gdzieś pod pokładem coś zadrżało głęboko, jakby nagle zabiło ogromne żywe serce. Statek zadrżał i zaskrzypiał, a potem zaczął się wznosić. Uczennica eteryka odniosła wrażenie skupionej uwagi, jakby jakieś gigantyczne oczy zaczęły się rozglądać wkoło. Poczwała, że ich spojrzenie przesunęło się po niej, jakby była myszką zauważoną przez obserwującego ją z daleka kota. Serce omal się jej nie zatrzymało z wrażenia.

Powietrze wypełniła wibracja łagodnej wesołości. Potem dziewczyna wyraźnie usłyszała głos.

Spokojnie, dziecko. Nie mam dziś powodu spierać się z tobą. Przede mną znacznie bardziej interesująca zwierzyna.

- Och - wyszeptała Folly. - Ojej. Proszę, nie pozwól, bym ci przeszkadzała.

Przechodzący obok aeronauta obrzucił ją pełnym niedowierzania spojrzeniem.

Nie przeszkadzasz mi, zapewnił potężny głos. Idź w tamtą stronę, dziecko. Wybacz mi, proszę. Mam robotę do wykonania.

W tej samej chwili grymaśny kapitan zakrzyknął głośno i skinął stanowczo dłonią. *Drapieżca* wzbił się nagle ku niebu.

Folly znieruchomiła, zafascynowana nagłą falą radości, z którą statek przesywał mgłę, muskany coraz silniejszym wiatrem. Nogi prowadziły ją naprzód, wraz z prądem uwagi i skupienia, ku wieży wznoszącej się na samym przodzie statku. Wdrapała się na nią, powoli i ostrożnie, aż wreszcie przystanęła kilka stóp za grymaśnym kapitanem, młodym kapitanem oraz pilotem stojącym za sterem.

- Dobry Boże w Niebiosach, kapitanie — zawołał pilot, przekrzykując wiatr. — Czujesz jego moc?
- Czuję — odkrzyknął grymaśny kapitan. — Nieźle leci, co?
- Nieźle? - ryknął ze śmiechem pilot. Poruszył lekko sterem i statek przechylił się w lewo, a potem w prawo, swobodnie i z gracją. — Boże w Niebiosach, zaczekaj na bitwę!

Wypełniająca Folly radość mieszała się z równie potężną dumą, a także nagłym przypiływem miłości, tak intensywnej, że oczy zaszyły jej łzami.

- Trzymaj kurs, panie Kettle - rozkazał z powagą grymaśny kapitan. Niemniej jego oczy również błyszczały wesołością. Folly nigdy dotąd nie widziała w nich tyle radości i życia.

- Och - wydyszała. - To tak, jakby ptak nagle uwolnił się z klatki i zerwał do lotu. Nigdy jeszcze tego nie widziałam.

Kapitan spojrział na nią.

- O co chodzi, panno Folly?

- To bardzo wiele tłumaczy - rzekła swemu kryształowi uczennica eteryka, dotykając go.

Grymaśny kapitan uniósł brwi.

- Dobrze, że tu jesteś. Właśnie miałem po ciebie posłać. — Zwrócił się ku młodemu kaptanowi. -

Panie Creedy, przynieś proszę uprząż dla tej młodej damy i pomóż jej ją założyć. Wątpię, by miała jej potrzebować już wkrótce, ale lepiej, żeby była przygotowana.

-Tak jest - odparł młody kapitan. Skinął uprzejmie głową i zjechał na dół, opierając ręce i nogi na stromych poręczach i zsuwając się po nich gładko.

- Panno Folly - zawołał grymaśny kapitan i wyciągnął rękę, przywołując ją do siebie.

Stała w miejscu między kapitanem a przednim relingiem statku i omal nie straciła tchu w piersiach. Widziała stąd ogromne płachty eterycznego jedwabiu, rozpościerające się na podobieństwo skrzydeł na przestrzeni setek stóp wokół statku, popychane naprzód prądami energii eterycznej, która wypełniała je i budziła w nich blask, rozświetlała mgłę niczym ogromna pajęczyna żywych błyskawic. Sfera słabego migotliwego blasku otaczała sterowiec w promieniu trzydziestu, może czterdziestu stóp. Blask tej ściany energii odbijał się w każdej kropelce mgły, przez którą mknął *Drapieżca*.

Pole widzenia Folly wypełniły powietrze i blask. Cała prosta materia statku zniknęła. Znajdowali się na samym dziobie i wokół nich rozpościerał się przestwór nieba z jego prądami energii, ukrytymi skromnie za zasłoną mgły.

- Ładny widok — stwierdził grymaśny kapitan tonem sugerującym Folly, że ma do czynienia z kimś, kto wzniosł sztukę niedopowiedzenia na nowe wyżyny — Nigdy mi się nie nudzi. A tobie, Kettle?

Pilot, który stał na małym podwyższeniu tuż za grymaśnym kapitanem ryknął w odpowiedzi głośnym śmiechem.

Grymaśny kapitan uśmiechnął się. W jego oczach pojawił się wyraz będący dokładnym odbiciem radosnej, gwałtownej, a zarazem pełnej spokoju świadomości celu wypełniającej statek, na którym się znajdowała. Położył dłonie na relingu i pochylił się naprzód, pod wiatr, mrużąc powieki z przyjemności.

- Och — wydyszała Folly. - Teraz to widzę. *Drapieżca* jest tobą, a ty jesteś nim.

Uniósł brwi i spojrział na nią za zaciekawieniem.

- Mówiłaś do mnie, panno Folly?

- Tak - potwierdziła. - Tutaj mogę to robić. Jesteś... - Machnęła ręką. -Odpowiedni.

W rzeczy samej, dziecko, rzekł potężny głos statku. *Ja również tak uważam.*

- Hmm... rozumiem — rzekł grymaśny kapitan. - W takim razie liczę na to, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, że poproszę cię o wskazówki. Jeśli mam dogonić *Rekina Mgieł*, muszę wiedzieć, gdzie on się znajduje.

- Ojej, tego nie potrafię ci powiedzieć - odparła Folly, przestępując niepewnie z nogi na nogę. - Wiem tylko, gdzie jest kolekcja mistrza.

Grymaśny kapitan rozciągnął usta w drapieżnym, a zarazem uprzejmym uśmiechu.

-To wystarczy, panno Folly - zapewnił. - To całkowicie wystarczy.

Folly skinęła głową i skierowała swą uwagę do wewnątrz. Zobaczy, gdzie się znajduje kolekcja mistrza, jeśli tylko się skoncentruje. Skupiła swe myśli na kolekcji, na energii kryształów, które w niej umieściła, zaznaczając je odpowiednimi wzorcami. Ujrzała ją. Lśniła nad horyzontem niczym gwiazda. Wyraźnie widziała tę gwiazdę pomimo mgły. Zobaczyłaby ją, nawet gdyby widok zasłaniała jej drewniana ściana albo dwadzieścia jardów kamienia kasztelowego. Gdy skoncentrowała się na niej całkowicie, mogła nawet zobaczyć otaczającą przestrzeń. Zamknięte drewniane pomieszczenie, kabinę na drugim sterowcu. On również miał potężne bijące serce, podobnie jak *Drapieżca*, ale to serce pulsowało z wyraźnym wysiłkiem.

- Tam - powiedziała, wskazując palcem w lewo i nieco ku górze.

- Ucieka ku błękitnemu niebu - stwierdził grymaśny kapitan z lekką nutą satysfakcji. - Zapewne spróbuje się ukrywać na granicy mgieł, aż do chwili, gdy zdoła się wydostać z albiońskiego kręgu obronnego. Dwa rumby w lewo i wzniesmy się na wysokość przeciwnika, panie Kettle.

- Dwa rumby w lewo i wzniesmy się na wysokość przeciwnika, tak jest-powtórzył pilot, zaciskając dłonie na sterze. - To bardzo precyzyjne polecenie, sir.

- Wiem, kto nim dowodzi - zauważył ze spokojem grymaśny kapitan.

- W takim razie na pewno zdajesz sobie sprawę, że ma w zanadru jakieś sztuczki — warknął pilot.

- Tym razem to ja uderzyłem pierwszy, panie Kettle.

-Sir?

- Jakiś czas temu kazałem panu Sternowi zakraść się na pokład *Rekina Mgieł* - odparł grymaśny kapitan z nutą wyraźnie zwiększonej satysfakcji. - Wysmarował wnętrze ich klatki Hasletta resztkami tego gulaszu, który prawie udało mi się przedtem ugotować.

Pilot parsknął nagle, jakby się krztusił. Potem z jego brzucha znowu wyrwał się donośny śmiech. Grymaśny kapitan nie posunął się do tego, by roześmiać się w głos, ale jego twarz rozjaśnił błogi uśmiech.

- Przepraszam kapitanie, ale nie rozumiem — odezwała się dziewczyna.

- Chodzi o tłuszcz i inne substancje organiczne, panno Folly - wyjaśnił. - Klatka Hasletta przekazuje moc z rdzenia statku pod postacią prądu elektrycznego. Im ciaśniej się ją zamknie, tym więcej prądu do niej napływa i tym mocniej się nagrzewa.

Folly zmarszczyła brwi.

-Ale... przepraszam, czy to... nie spali zupy?

- Zwęgli ją całkowicie - zapewnił pilot z nieskrywaną radością. - Zostanie tylko pieczona galareta i sadza.

- To... nie byłoby zbytnio korzystne dla klatki Hasletta, jak sądzę? - zapytała uczennica eteryka.

- W rzeczy samej - zgodził się grymaśny kapitan.

- Ich dystrybucję mocy szlag trafi - dodał pilot. — To bardzo przeciąży cały system i zredukuje moc przekazywaną do siebie *Rekina Mgieł* o jakieś dziesięć procent. To ta sama sztuczka, którą...

Grymaśny kapitan przeszył pilota ostrym spojrzeniem. Potem znowu zwrócił się ku Folly. Pilot kaszlnął.

- ...ta banda oszustów wykorzystała przeciwko nam podczas Powietrznego Wyścigu Olimpijskiego przed kilku laty — dokończył. - Tylko dzięki temu udało się im nas pokonać.

Grymaśny kapitan milczał, nie przestając się uśmiechać, ale w jego oczach pojawił się błysk gwałtowności. Folly wyczuła, że rytm serca statku przyśpieszył nagle.

-Trzeba będzie chwilę poczekać — ciągnął pilot. - Ale jak już się zacznie, szybko dogonimy *Rekina Mgieł* i w dodatku będziemy mieli kontrolę nad przebiegiem starcia.

- Ale do tego momentu będziesz nam tu potrzebna, panno Folly - dodał grymaśny kapitan. - Pomożesz nam śledzić nieprzyjaciela we mgle.

- Zrobię to - zgodziła się z namysłem. - Chociaż powinnam być z mistrzem...

Zmarszczyła brwi i zamknęła na moment oczy. Uporządkowała myśli i zapytała niepewnie: *Czy teraz mnie słyszysz?*

Oczywiście, odpowiedział głos statku.

Folly znalazła wzorzec kryształów z kolekcji mistrza, świecącą czerwonym blaskiem gwiazdę oddalającą się energii.

Widzisz to?

Widzę. Po co mi to pokazujesz, dziecko?

To się znajduje na pokładzie statku, który ścigamy, wyjaśniła Folly. Czy potrafisz pokazać to pozostałym?

A czy oni nie widzą tego tak jak ty?

Chyba nie, przyznała Folly.

Biedaczyska, zmartwił się statek głosem przepojonym sympatią. Mają dobre intencje.

Dziewczyna otworzyła oczy i zobaczyła, że świecący czerwonym blaskiem punkt otoczyła nagle luna blasku odbijającego się od obronnej sfery energii, która spowiła statek.

— Boże w Niebiosach - wydyszał pilot. Statek zadrżał w odpowiedzi na nagły ruch jego dłoni na sterach, ale szybko wyrównał lot. — Kapitanie?

Grymaśny kapitan spojrzał na upiorną szkarłatną gwiazdę, unoszącą się we mgle.

— Panno Folly, czy to twoja robota?

— Och, tak... to znaczy niezupełnie — odparła. — Poprosiłam *Drapieżcę*, żeby pokazał wam, gdzie jest kolekcja mistrza.

Na mostku zapadła długa cisza.

— Słucham? - przerwał ją wreszcie pilot głuchym tonem.

Musisz im wybaczyć, rzekł głos statku do Folly. Biedactwa są ślepe i prawie głuche. Poza moim kapitanem, oczywiście. On słyszy mnie lepiej niż prawie wszyscy, podobnie jak ty.

— Jestem pewna, że bardzo się starają - odpowiedziała na głos Folly, po czym dygnęła przed grymaśnym kapitanem. — *Drapieżca* wie już, czego ma szukać, i potrafi wskazać wam drogę, kapitanie. Czy mogę teraz iść do mistrza?

Schody i poręcz zagrzechotały, gdy młody kapitan zaczął się wspinać na górę.

Grymaśny kapitan popatrzył na nią i pochylił nisko głowę.

— Tak, panno Folly. Gdy tylko pan Creedy zapozna cię z uprzężą i pokaże ci, jak się nią posługiwać, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Wkrótce zaczniemy manewrować, a nie chciałbym, żeby coś ci się stało.

— Oczywiście, kapitanie - zgodziła się Folly.

Grymaśny kapitan uśmiechnął się nagle i ponownie skierował spojrzenie w przód, przesuwając z namysłem dłoń wzdłuż relingu.

— Panie Kettle.

— Słucham, kapitanie?

— Za tą gwiazdą.

ROZDZIAŁ 64

SHA Drapieżca

Bridget uświadomiła sobie nagle, że siedzi na stołku w zatłoczonym pomieszczeniu o niskim suficie. W dłoniach ścisnęła prosty cynowy kubek w połowie wypełniony wodą, a na ramionach miała gruby koc. Zadrżała. Dokuczało jej pragnienie. Bolała ją głowa. Bolała ją noga. Ręce bolały ją okropnie. Uniosła kubek i wpatrywała się przez chwilę w obrzęki i siniaki na swoich dłoniach, w rozdartą skórę na palcach i knykciach. Potem zadrżała znowu, dopiła wodę i rozejrzała się ostrożnie po otoczeniu.

Ściany, podłoga i meble były zrobione z drewna, z pewnością więc znajdowała się na sterowcu. Było tu wielu rannych mężczyzn, leżących na siennikach. Twarze kilku z nich zapamiętała z rozpaczliwej bitwy w tunelach wentylacyjnych, nasuwał się więc wniosek, że trafiła na pokład *Drapieżcy*.

Zmarszczyła brwi, próbując przywołać wspomnienia tego, co wydarzyło się po bitwie. Pamiętała ogień, straszliwy ciężar na ramionach i bolesne uderzenie, gdy spadł jej na głowę kamień.

A także mężczyznę. Mężczyznę w aurorariskim mundurze. Zabiła go gołymi, poranionymi teraz rękami.

To pamiętała doskonale.

Przez chwilę kontemplowała w milczeniu ten fakt. Doszła do wniosku, że nie jest dumna ze swego czynu, ale również go nie żałuje. Był okropny, ale gdyby tego nie zrobiła, ani ona, ani Benedict nie...

Zerwała się nagle na nogi. Benedict! Gdzie on się podział?

Drewniane pomieszczenie zakołysało się nagle. Bridget osunęła się z powrotem na stołek, zanim zdążyła upaść. Musiała mocno się złapać mebla, żeby z niego nie spaść.

- Spokojnie, spokojnie - usłyszała tuż obok głos młodej kobiety. Barku Bridget dotknęła czyjaś dłoń, pomagając jej zachować równowagę. - Wyglądasz na kogoś, kto powinien na razie mieć dosyć przygód.

Była kadziowniczką spojrzała w tamtą stronę i mrugnęła dwa razy.

- Gwen?

Gwendolyn Lancaster wyglądała wyjątkowo dziwnie. Po pierwsze, miała na sobie męski strój, zdecydowanie na nią za duży. Ubranie pokrywała warstwa smaru i sadzy, podobnie jak jakieś dwie trzecie twarzy dziewczyny Prawą dłoń oplatały bandaże tak liczne, że wyglądała jak kikut, a włosy, również owinięte zabrudzonym bandażem, przypominały rozpostarte skrzydła wykonanej z jedwabiu eterycznego sieci sterowca. Sterczały na wszystkie strony, tworząc niewielką chmurę.

- Wyglądasz okropnie - stwierdziła Bridget.

- I kto to mówi - odrzekła Gwen. Wsparła się z plecami o ścianę, osunęła powoli w dół i usiadła obok byłej kadziowniczki.

- Co się stało?

Gwen machnęła zabandażowaną dłoń.

- Dowiedziałam się, że trzeba zachowywać maksymalną ostrożność przy podłączaniu przewodów

pod prądem w stanie nieważkości.

- Dobrze się czujesz?

Gwen skrzywiła się, rozglądając się po sali.

- Najwyraźniej lepiej niż niektórzy. - Jej spojrzenie wróciło do Bridget. - A ty?

- Cała jestem chora. I noga mnie boli.

Gwen wskazała głową w stronę środka pomieszczenia, gdzie dwóch aeronautów przenosiło ostrożnie jakiegoś mężczyznę ze stołu diagnostycznego na siennik. Doktor Bagen — zmęczony, wyczerpany i zakrwawiony - skinął głową do dwóch innych członków załogi, którzy podnieśli na stół młodego, żyłastego mężczyznę nazwiskiem Stern.

- Doktor Bagen nie sądzi, by twoje obrażenia były groźne dla życia. Obawiam się, że jesteś ostatnia w kolejce do przebadania.

- W tej chwili nie mam nic przeciwko temu, żeby sobie trochę posiedzieć w spokoju - odparła Bridget. - Gdzie jest Benedict?

Twarz Gwen zachmurzyła się nagle.

- Leży na sienniku po drugiej stronie stołu. Jest nieprzytomny.

Nieprzytomny? To znaczyło że żyje. Benedict żyje. Bridget rozluźniła powoli dłonie.

- W jakim jest stanie?

Niższa dziewczyna zacisnęła mocno usta. Jej twarz zmieniła się w maskę ostrożności.

- W nie najlepszym. Podobnie jak kilku członków załogi, ucierpiał od jadu tkaczy jedwabiu.

- To znaczy, że... — Bridget nie mogła się zdobyć na to, by powiedzieć „umiera” - kiepsko z nim?

- Jest umierający — przyznała Gwen.

Bridget poczuła nagły ucisk w żołądku.

- Podobnie jak. oni wszyscy — ciągnęła ze spokojem niższa dziewczyna - Najwyraźniej mistrz Ferus mógłby im pomóc, gdyby odzyskał swój sprzęt, który jest na pokładzie *Rekina Mgieł*.

Bridget przytaknęła.

- A Rowl? Pamiętam, że został ranny w głowę.

Gwen zerknęła na szafki wiszące na jednej ze ścian i wskazała ku nim zabandażowaną dłonią. Bridget spojrzała w tamtym kierunku i zobaczyła rudego kota śpiącego na jednej z nich. Głowę spowijał mu czysty biały bandaż.

— Jest w tej chwili prawdziwym bohaterem. Ludzie mówią, że uratował im życie.

- To prawda - przyznała Bridget. - Chociaż chyba bym wołała, żeby nie mówili tego na głos. I tak już jest nieznośny.

W tej samej chwili świat przechylił się gwałtownie w bok. Bridget omal nie spadła ze stołka. Przez krótką chwilę myślała, że straciła równowagę z powodu urazu głowy, potem jednak zauważyła że kilka sienników leżących na podłodze izby chorych przesunęło się o pół stopy, nim powstrzymały je sznury, którymi przywiązano je do dziwnych pierścieni na ścianach.

- Co to było? — zapytała.

— Boczny wiatr. Ruszyliśmy w pościg za *Rekinem Mgieł* — wyjaśniła Gwen. - Lecimy już od prawie dwóch godzin.

Lecimy? Sterowcem? To znaczy, że ze wszystkich stron otaczała ich pustka. Całkowita pustka. Nie było ścian, kasztelu ani podłogi. Tylko puste bezkresne niebo. Serce Bridget zabiło szybciej. Ból w głowie i w nodze nasilił się jeszcze. Rowl był ranny, a Benedict bliski śmierci. Ścisnęło ją w brzuchu ze straszliwego irracjonalnego strachu. Miała krew na rękach.

To wystarczy jak na jeden dzień, pomyślała.

Pochyliła głowę. Jej ciałem wstrząsnął bezgłówny szloch.

- Och - odezwała się Gwen.

Bridget zauważyła, że niższa dziewczyna kilkakrotnie powstrzymywała się przed poklepaniem jej po

ramieniu, nim wreszcie zdecydowała się to zrobić.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła. — Kapitan Grimm jest pewien, że zdołamy doścignąć *Rekina Mgieł* i zmusić go do walki.

- Tak, oczywiście. - Bridget skinęła głową. — Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym sobie trochę popłakać.

Gwen milczała przez pewien czas. Potem rozległ się dźwięk rozdieranej tkaniny i dziewczyna wcisnęła w dłoń Bridget kawałek swego brudnego ubrania.

Ten drobny gest dobroci sprawił, że coś w Bridget pękło. Przytuliła się do Gwen, łkając jeszcze mocniej.

Drobniejsza dziewczyna stęknęła z wysiłku, ale oparła się mocniej i podtrzymała ciężar przyjaciółki. Wsparta o nią Bridget płakała tak gwałtownie, że widziała gwiazdy pod powiekami, ale nie wydawała z siebie żadnego dźwięku. Po prostu nie mogła.

Nie dała sobie zbyt wiele czasu. Minęło może z pięć minut, zanim nakazała sobie znowu oddychać miarowo. Usiadła powoli, wytarła twarz chustką, a potem wyczyściła nos i skinęła głową do Gwen.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. - Dziedziczka najpotężniejszej rodziny w Kasztelu Albion przyjrzała się Bridget z powagą. - Nie jestem zbyt dobrą przyjaciółką - wyznała. - Jestem samowolna, pyskata i arogancka, a w dodatku nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w przyjaźni. Szczerze mówiąc... zawsze było mi trudno znieść towarzystwo innych dzieciaków z Wielkich Domów.

Bridget parsknęła krótkim stłumionym śmiechem.

- Mnie też.

- Widzisz? Coś jednak nas łączy - skwitowała Gwen.

W tej samej chwili gdzieś za izbą chorych zaczęto bić w dzwon.

Bridget skierowała na przyjaciółkę pytające spojrzenie, ale Gwen pokręciła głową. Ona też nie wiedziała, co oznacza ten dźwięk.

- Na stanowiska, chłopaki! - zawołał doktor Bagen.

W sali eksplodowała nagła aktywność. Pomagający Bagenowi mężczyźni bezzwłocznie przywiązali rannego do stołu pasami, zapewne umieszczonymi tam w tym właśnie celu. Potem szybko i metodycznie zrobili to samo z ludźmi leżącymi na siennikach, podczas gdy sam doktor zaczął przypinać rzemienie połączone z szerokim skórzanym pasem do pierścieni zamontowanych w stole. Dwóch kolejnych astronautów ustawiało słoiki, butelki i inne pojemniki w specjalnych zagłębieniach szafek. Najwyraźniej nic w całej sali nie mogło leżeć luzem.

- Tu jest - odezwała się Gwen. Wyciągnęła rękę, wyciągnęła drugi szeroki skórzany pas i otoczyła nim talię Bridget. - Jeśli się nie przypniesz, a statek będzie zmuszony szybko manewrować, ciśnie tobą o ścianę albo o sufit z taką siłą, że możesz tego nie przeżyć.

Bridget pozwoliła, by przyjaciółka otoczyła ją szerokim pasem. Potem Gwen pokazała jej, jak przypiąć rzemienie do pierścieni wprawionych w ścianę. Była kadziowniczką poczuła się trochę jak jarzyna susząca się na sznurku, ale rozumiała, dlaczego to jest potrzebne.

Nagle nasunęła się jej straszliwa myśl.

- Gwen — odezwała się. — A co z Rowlem?

Jej przyjaciółka zamrugała i spojrzała na doktora Bagena, który ponownie zajął się panem Sternem.

- Doktorze, co z kotem? Czy mamy dla niego pas?

- Nie — odparł Bagen, nie unosząc wzroku. - Nie mamy nic tak małego. - Zawiązał węzeł na końcu szwu i uniósł wzrok z zamyśloną miną. - Ale nie możemy pozwolić, żeby mały skurczybyk obijał się o ściany izby chorych, prawda?

Rytm uderzeń dzwonu zmienił się nagle. Bagen zaklął.

- Manewry! Łapcie go, szybko!

- Row! - zawołała Bridget, rozpościerając ramiona.

Kot wstał, poruszając się wolniej i mniej płynnie niż zwykle, i skoczył ku niej.

Drapieżca zakołysał się i ciężar równy ciężarowi pełnego zbiornika z kadziowni jej ojca bezlitośnie wcisnął dziewczynę w pokład.

ROZDZIAŁ 65

SHD Rekin Mgieł

Major Espira rozejrzał się po ładowni *Rekina Mgieł*. Jego żołnierze wykazali się znakomitą dyscypliną. Straty, jakie ponieśli, były poważne, ale nie przerażające, a choć nie udało im się osiągnąć wszystkich celów akcji, zrealizowali najważniejsze z nich. Jego oddział wzbudził paraliżujący strach w obywatelach Kasztelu Albion. Statkownię Ładowiska zniszczono i miną miesiące, a może nawet lata, nim uda się ją odbudować podczas ekonomicznego chaosu, jaki z pewnością zapanuje w całym kasztelu. Madame Cavendish odzyskała swoją książkę, choć nie raczyła wyjaśnić majorowi, dlaczego jest ona taka ważna, a wszystkie pozostałe egzemplarze zniszczono razem z klasztorem.

Poprowadził swoich ludzi na skrajnie ambitną i niebezpieczną misję. A co ważniejsze, dzięki Bogu w Niebiosach wróci do domu z większością z nich. Straty okazały się mniejsze, niż ważył się mieć nadzieję.

Rzecz jasna zapłacił za to wysoką cenę. Poprowadził atak na Świątynię Drogi i żyjących w niej mnichów. Wywołał pożar w kondygnacji pełnej cywili - co prawda nieprzyjaciół, ale zawsze cywili. Gdyby tego nie zrobił, straty wśród jego ludzi byłyby znacznie wyższe. Poświęcił życie ludzi, których nie znał, by uratować tych, których znał. To pewnie leżało w ludzkiej naturze.

Był dumny ze swoich ludzi. Dumny z tego, co zdołali osiągnąć, z tego, jak ciężko ćwiczyli i jak opłacalne okazały się te ćwiczenia. Był dumny z ciosu, jaki zadali albiońskiemu nieprzyjacielowi. A także z tego, że to on podjął się dowodzenia misją, wiedząc, że zapewne przyprowadzi do domu więcej żywych żołnierzy niż którykolwiek z innych kandydatów.

Nie był jednak dumny z czynów, których się dopuścił, by osiągnąć ten cel.

Nie zapominał też, że jeszcze nie wrócili.

Jego zmęczeni podkomendni tłoczyli się w ładowni. Większość z nich zdążyła już zasnąć, jak przystało dobrym żołnierzom, niektórzy jednak wciąż byli zbyt podekscytowani po akcji i rozmawiali za sobą cicho. Część rannych cierpiała w milczeniu, czekając, aż zajmie się nimi lekarz *Rekina Mgieł*. Czterech weteranów po prostu wyjęło karty i zaczęło grać, nie przejmując się panującym w ładowni półmrokiem.

Nastrój nie był jednak tak wesoły, jak mógłby być. Wielu żołnierzy zostało rannych. Inni zginęli. Radość wywołaną świadomością, że ocalili życie, tłumiała świadomość, że inni nie mieli takiego szczęścia. Nie byli szczęśliwi, ale z pewnością czuli ulgę. Ulgę, bo było już po wszystkim. Bo śmierć ich dziś nie zabrała. Bo wracali do domu.

Przypomniał sobie jednak po raz kolejny, że jeszcze się tam nie znaleźli. Niemniej zyskali na starcie sporą przewagę nad nieprzyjacielem.

Z półmroku wyłonił się Ciriaco. Wysoki sierżant pochylił się pod belkami podtrzymującymi pokład znajdujący się powyżej, skinął głową do Espiry i zasalutował.

- Prosiła, żebyś przyszedł do jej kabiny, majorze — poinformował Espirę.

- No jasne - mruknął Espira i z westchnieniem wstał z wygodnego stosu worków. — Wyście się po śmierci.

Ciriaco wykrzywił twarz w grymasie odgrywającym rolę zbolątego uśmiechu.

- Mam pójść z tobą?

- Nie, sierzancie. Myślę, że gdyby nerwy miały jej puścić, to już by się to stało. Nic mi nie grozi.

Ciriaco zasepił się wyraźnie, ale skinął głową.

- Przypilnuję za ciebie chłopaków, majorze.

- Pamiętaj, żeby wszyscy się porządnie przypięli. A potem prześpij się trochę. Jestem pewien, że to nie potrwa długo - zakończył i wszedł na strome schody prowadzące na pokład. Miał nadzieję, że wie, co mówi.

Rekin Mgieł nie był okrętem Armady. Pociągnięte smołą deski kadłuba sprawiały wrażenie brudnych, Espira był jednak przekonany, że zapewniają znakomitą ochronę przed żywiołami. Rzecz jasna czyniły też sterowiec znacznie mniej widocznym przy słabym oświetleniu, co z pewnością przydawało się kapitanowi zajmującemu się podejrzaną działalnością.

Kobieta dowodząca tym statkiem nie ustępowała jednak profesjonalizmem kapitanom Armady, nawet jeśli jej załoga wyglądała jak banda zbirów i łotrów. Artylerzyści *Rekina Mgieł* z całą pewnością byli znakomici, świetnie sobie poradzili ze zniszczeniem pomostu Statkowni Ładowiska. Co prawda cel, który nie mógł odpowiadać ogniem, raczej nie był zbyt trudnym wyzwaniem, zwłaszcza gdy był odległy o zaledwie sto jardów, ale żaden strzał nie poszedł na marne. *Rekin Mgieł* zdołał zniszczyć nieprzyjacielskie statki handlowe w sumie przewyższające go tonażem trzydzieści razy, a do tego albiońską infrastrukturę wartą miliony koron.

Otoczający Espirę ludzie byli zgrają bezlitosnych małp o złowrogich spojrzeniach, ale dobrze przysłużyli się Kasztelowi Aurora. Nie musiał ich lubić, by czuć szacunek dla ich umiejętności.

Auroranin dotarł do drzwi kabiny Madame Cavendish i uniósł rękę, by zapukać.

-Wejdz, majorze - zawołała eteryczka, nim jeszcze jego knykcie dotknęły drewna.

Espira stłumił drżenie i wszedł do środka.

Madame Cavendish siedziała za małym stolikiem, sztywno i spokojnie. Rozpięty gorsecik sukni opadał jej do talii. Pod spodem miała tylko cienką koszulkę. Lekarz *Rekina Mgieł*, żyłasty Pikanin pokryty egzotycznymi tatuażami owiżywał bandażem jej klatkę piersiową. Eteryczka odsłaniała nieprzyzwoicie wiele gołej skóry i Espira wysiłkiem woli powstrzymał się przed spoglądaniem na jej silne, gładkie ramiona oraz wdzięcznie zarysowaną szyję.

Nie mógł sobie pozwolić na to, by zobaczyć w madame Cavendish kobietę. Była potworem.

Nadal trzymała w ręce cienki tom i czytała go z niepokojąco niewzruszonym skupieniem, nie zwracając uwagi na poczynania lekarza.

W kabinie mieściła się piętrowa koja. Dolną pryczę najwyraźniej zajmowała madame Cavendish, na górnej spoczywały jednak torby pełne rozmaitych przedmiotów. Uparła się, że musi je zabrać ze sobą. Espira dopiero po chwili zauważył, że w kabinie jest również Sark. Ranny, owinięty bandażami genetyczny wojownik nie leżał na jednej z prycz, lecz na podłodze, pod łóżkiem madame Cavendish, niczym jakiś odrażający pajak czający się pod odstającą od ściany dekoracyjną listwą. Espira ujrzał przez moment złotozielony błysk odbijający się w oczach genetycznego wojownika, ale światło zaraz zgasło.

- Majorze - odezwała się madame Cavendish z bladym uśmiechem. -Nasz dobry doktor prawie już skończył mnie opatrywać. Usiądź, proszę.

Espira zdjął kapelusz i ukłonił się uprzejmie. Następnie usiadł na jedynym wolnym krześle w kabinie, ustawionym po drugiej stronie stolika, naprzeciwko madame Cavendish.

- Czym mogę ci służyć, madame?

- Potrzebna mi twoja profesjonalna opinia - odpowiedziała. - Jak szybko twoi ludzie mogliby zapanować nad tym statkiem?

Dłonie lekarza znieruchomiały na krótką chwilę.

Espira zmarszczył brwi. Spojrzał na eteryczkę, próbując wyczytać z jej twarzy, jakiego rodzaju odpowiedź pragnie od niego usłyszeć.

Sądząc po jej minie, ona również zauważyła reakcję lekarza. Lekko uniosła jeden kącik ust.

- Mówiąc teoretycznie, rzecz jasna.

Ach. Zatem chciała, by lekarz usłyszał jego słowa.

- Mamy przewagę liczebną nad załogą i jesteśmy lepiej uzbrojeni. - zaczął powoli Espira. - A moi ludzie są najlepsi. Ale z drugiej strony nie wiemy, jakie środki bezpieczeństwa podjęła załoga z myślą o takim zagrożeniu. Mogę jednak z przekonaniem stwierdzić, że moi ludzie zdobyliby statek w ośmiu albo dziewięciu przypadkach na dziesięć.

- To świetna wiadomość - ucieszyła się madame Cavendish. - Doktorze, czy już skończyłeś?

- Tak - wymamrotał w odpowiedzi lekarz, który ani na moment nawet nie zerknął na twarz eteryczki.

- Rana powinna się dobrze zagoić. Nie zauważyłem, by kula oderwała jakiś fragment żeber, więc nie będzie problemu z odłamkami kostnymi. Czyść ją dwa razy dziennie, za każdym razem zmieniając bandaż. I unikaj nagłych ruchów.

- Ty się tym zajmiesz, doktorze — oznajmiła madame Cavendish. - Będziemy się spotykali po śniadaniu i po kolacji. Uwzględnij to w swoich planach.

Mężczyzna był wyraźnie niezadowolony z tego rozkazu, ale uniósł tylko palce do róna kapelusza, którego nie miał na głowie, i pospiesznie opuścił kabinę.

Espira zaczekał, aż wyjdzie, nim zwrócił się w stronę madame Cavendish i zapytał:

- Dlaczego?

- Lecimy za wolno - wyjaśniła kobieta, ostrożnie wsuwając się z powrotem w suknię. - Jeśli to się nie zmieni, możemy nie dotrzeć do naszej eskorty, zanim doścignie nas Flota Albionu. Kilkakrotnie informowałam o tym fakcie kapitan Ransom, ale nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Nie lubię, gdy mnie ignorują. Herbaty?

- Tak, poproszę - odparł Espira.

Madame Cavendish wstała płynnie, odwróciła się plecami do majora

I znieruchomiała. Dopiero po chwili Espira uświadomił sobie, że czeka na niego. Wstał natychmiast.

- Słucham, madame?

- Czy mógłbyś mnie zapiąć, majorze?

- Z przyjemnością — odparł Espira, podchodząc bliżej.

- Lepiej bez niej - ostrzegła go jadownicie słodkim głosem.

Kręgosłup Auroranina zeszywniał nagle. Zmusił się do zaczerpnięcia głębokiego oddechu, a następnie wypuścił powietrze z płuc. Dopiero potem zapiął dwadzieścia guzików na plecach madame Cavendish szybkimi i sprawnymi ruchami palców.

Po paru chwilach oboje siedzieli przy stoliku, popijając herbatę przygotowaną przez eteryczkę. Kiedy ją nalewała, posępne bezbarwne światło napływające przez okno pojaśniało wyraźnie. Szarość mezosfery ustąpiła miejsca błękitowi aerosfery. Statek wynurzył się pod otwarte niebo.

Po chwili drzwi otworzyły się nagle i do kabiny weszła Calliope Ransom.

Szczupła kapitan *Rekina Mgieł* miała w sobie coś z wilka. Zielone oczy kobiety gorzały gwałtownym gniewem. Jej ciemny skórzany kombinezon, choć znoszony, był wysokiej jakości, podobnie jak miecz przypięty do pasa, trzy zatknięte za niego pistolety oraz rękawica na lewym przedramieniu.

- Dzień dobry, pani kapitan - przywitała ją miłym tonem madame Cavendish. - Napijesz się z nami herbaty?

- Nie, dziękuję. - Calliope Ransom przez chwilę gapiła się na Espirę z błyskiem kalkulacji w

oczach. Skinęła kilka razy głową. - To jest mój statek - oznajmiła wreszcie. - A choć jesteście cenionymi klientami, na moim statku pozostajecie gośćmi i, na Boga w Niebiosach, będziecie się zachowywać stosownie do tego.

- Albo co się stanie? - zapytała łagodnie madame Cavendish.
- Opuśćcie statek - odpowiedziała spokojnie Calliope Ransom.
- Zamierzasz wyrzucić mnie za reling, pani kapitan?

-To nie będzie konieczne - odparła druga kobieta. - Santos otworzył już wszystkie drzwi ładowni znajdującej się pod tą kabiną, w tym również te, które ulokowano w brzusznej części zewnętrznego kadłuba. - Postukała czubkiem stopy w deski pokładu. — Poniżej nie ma nic oprócz nieba oraz ładunków wybuchowych. Kiedy rozwalę tę podłogę, wszystko, co znajduje się wewnątrz, spadnie w mgłę, razem z tobą, twoim odrażającym adiutantem oraz tym żalonym skurczybykiem z Aurory.

Madame Cavendish uniosła nagle głowę.

- Słucham?

- Jeśli nie wyjdę z tej kabiny przed upływem dziesięciu minut, Santos odpali ładunki. Jeśli wyjdę, ale będę się zachowywała dziwnie, Santos odpali ładunki. Jeśli będzie choćby podejrzewał, że coś kombinujecie, ma rozkaz odpalić ładunki i zabić was wszystkich.

W kabinie zapadła cisza. Espira odchrząknął.

-Jestem przekonany, że to blef, kapitan Ransom.

- Czyżby? - zapytała kobieta z uśmiechem jeszcze groźniejszym niż przedtem.

- Zastanawiam się - zaczęła madame Cavendish - czy jesteś osobą, która podłożyłaby ładunki wybuchowe w kabinie gości, żeby móc ich zamordować, gdyby okazali się niedogodni.

Kapitan Ransom uniosła brwi.

- A ja się zastanawiam, czy jesteś osobą, która wygłaszałaby skrajnie głupie groźby tylko po to, by przyciągnąć uwagę swej bardzo zajętej gospodyni.

- Celna uwaga - wyszeptała Sycorax Cavendish. - Czy jednak nie mogłaś poświęcić chwili na rozmowę ze mną? To wydawałoby się uprzejme.

- Uprzejmość jest dobra przy picciu herbaty - odparła kapitan Ransom. - Ma jednak ograniczoną wartość, gdy ktoś próbuje prześcignąć najszybszą i najlepiej wyszkoloną flotę powietrzną w dziejach świata. - Popatrzyła na jedno, a potem na drugie z nich. - Powinniście wziąć ten fakt pod uwagę, zastanawiając się, czy podjąć próbę opanowania mojego statku. Może wam się udać, ale nie będzie potem nietknięty, a za kilka godzin będzie nas ścigał cały Albion. O ile już nas nie ściga.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Espira.

-To, że twoja piechota powietrzna to nie aeronauci. Nie potrafią latać jak aeronauci, nie myślą jak oni i nie będą kierować statkiem równie skutecznie. W jeszcze większym stopniu dotyczy to tego, komu każesz nimi dowodzić. Jeśli zabijecie mnie i zdobędziecie mój statek, nie wrócicie żywi do Kasztelu Aurora, Albionczycy dościgną was i zabiją. To proste.

Madame Cavendish rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu, który dziwnie nie pasował do rysów jej twarzy.

- Chyba mogę cię szanować, pani kapitan — oznajmiła. Wlepiała spojrzenie w Calliope Ransom, nie przestając się uśmiechać, a potem pociągnęła łyk herbaty. - Statek zwolnił - zauważyła.

Na czole kapitan Ransom pojawił się mars. Panowała nad sobą, ale Espira dostrzegął, że madame Cavendish przeraża ją w niemal takim samym stopniu jak jego.

- Skąd o tym wiesz?

- Czy mam rację?

- Masz - przyznała kapitan Ransom.

- Dlaczego?

- Mój mechanik mówi, że to korozja klatki Hasletta. - Calliope Ransom zerknęła z irytacją w stronę

rufy. - To powoduje nieregularności w przepływie mocy. Musieliśmy zmniejszyć dopływ energii, żeby nie zniszczyć przewodów i przekaźników.

- Czy można to naprawić? - zapytała madame Cavendish.

- Trzeba by wyłączyć rdzeń i oczyścić klatkę Hasletta - odpowiedziała Calliope Ransom. -

Musielibyśmy polegać na wiatrowych żaglach, zanim będzie można podłączyć oczyszczoną klatkę. Możemy lecieć na osiemdziesięciu pięciu procentach mocy albo w ogóle zrezygnować z sieci i liczyć tylko na wiatr.

- A czemu nie mielibyśmy tego zrobić?

Espira zdołał powstrzymać bolesne skrzywienie twarzy. Eterycka mogła być piekielnie sprytna i niebezpieczna, ale to pytanie świadczyło, że nie ma zielonego pojęcia o aeronautyce.

Calliope Ransom zdołała sformułować odpowiedź tak, by nie sprawić wrażenia, że rozmawia z ciekawskim dzieckiem.

- Wiatrowe żagle są wydajne, ponieważ nie czerpią energii z rdzenia mocy, ale nie zapewniają manewrowości, jaką daje sieć eteryczna - wyjaśniła. - Statek lecący pod takimi żaglami może rozwijać maksymalną prędkość tylko w wąskim wycinku możliwych kierunków, i sterowiec napędzany rdzeniem mocy z łatwością może go wymanewrować. A jeśli nie ma silnego wiatru, statek wyposażony w sieć zawsze prześcignie ten, który leci pod żaglami.

- Chcesz powiedzieć, że korzystanie z żagli wprowadza zbyt wiele zmiennych - stwierdziła z namysłem madame Cavendish.

- Chcę powiedzieć, że pozbawia nas zbyt wielu opcji — odparła Calliope Ransom. - Jeśli rozmontujemy klatkę Hasletta, zostaną nam tylko żagle. Nie będziemy mieli sieci, tarczy ani broni. Jeśli Flota nas zauważy, pozostanie nam tylko ucieczka, a jeśli wiatr nie będzie nam sprzyjał, szybko zostaniemy zniszczeni. Gdy już dotrzemy do punktu spotkania, będziemy mogli naprawić klatkę.

- Dlaczego dopiero wtedy?

- Dlatego, że będziemy mieli eskortę, która zapewni nam bezpieczeństwo, gdyby odnalazł nas okręt Floty. Będziemy mogli lecieć pośrodku grupy i pozwolić eskorcie walczyć z nieprzyjacielem. - Uniosła brwi. - Za tę małą lekcję aeronautyki statek zapłacił sporą stratą wydajności, ponieważ odpowiadałam na twoje pytania, zamiast robić co tylko w mojej mocy, by ocalić nam życie. Pij spokojnie swoją herbatę, madame. Jeśli nikt nie będzie już mi przeszkadzał, wkrótce powinniśmy być bezpieczni.

Madame Cavendish ostrożnie odstawiła filiżankę i spodek.

- Nie jestem pewna, czy podoba mi się twój ton, pani kapitan.

Calliope Ransom wsparła prawą pięść na biodrze.

-To jest mój statek, madame. W związku z tym ja podejmuję tu decyzje w kwestii tonu. Zrób nam wszystkich przysługę. Dopij herbatę jak dobra prostaczka i przestań przeszkadzać profesjonalistom.

W oczach madame Cavendish pojawił się gorący błysk. Jednocześnie w szkarłatnym kryształ, który nosiła na szyi, pojawiło się coś, co wyglądało jak maleńka gwiazdka.

Espira skrzywił się boleśnie. Odstawił filiżankę i przesunął się nieco, by móc w jednej chwili paść na podłogę, gdyby doszło do nagłego wybuchu przemocy.

-Jesteś źle wychowana, pani kapitan - oznajmiła madame Cavendish.

Calliope Ransom uśmiechnęła się drwiąco.

- W każdej chwili możesz opuścić mój statek, ty arogancka su...

W tej samej chwili dzwon zahuczał w szaleńczym tempie.

-Wszyscy na stanowiska! - zabrzmiał donośny głos pierwszego oficera.

Kapitan Ransom zakłęta szpetnie i rzuciła się ku drzwiom kabiny. Gdy tylko je otworzyła, rozległo się ogłuszające wycie salwy z dział eterycznych. Rozbłysło oślepiające światło, któremu towarzyszył taki trzask, jakby jednocześnie pękały tysiące suchych kości.

- Przypnij się! - zawołał Espira do madame Cavendish. Następnie zerwał się na nogi i popędził za

kapitan Ransom.

Wypadł na pokład akurat na czas, żeby zobaczyć, że cała sieć eteryczna po prawej burcie *Rekina Mgieł* odpadła od statku. Trawiły ją płomienie, gdy opadała z leniwą gracją ku mgłom mezosfery. Statek zakołysał się, tracąc nagle równowagę ciągu. Jego rufa przechyliła się na lewą burłę, a dziób zaczął się odwracać w stronę brakującej sieci.

Rozległ się głośny szum i w odległości zaledwie pięciuset jardów pojawił się smukły sterowiec, latający pod szkarłatno-lazurowo-białymi barwami Albionu. Statek zbliżał się do *Rekina Mgieł* od dołu z pełną swobody szybkością i gracją. Na jego dziobie widniał napis SHA *Drapieżca*.

Espira zacisnęła zęby. Kapitanowie z aurorańskiej Armady i floty handlowej opowiadali o tym korsarskim statku cichym, gniewnym tonem. *Drapieżca* był odpowiedzialny za blisko jedną czwartą strat poniesionych przez flotę handlową Kasztelu Aurora w ciągu dwóch ostatnich lat.

Nim major zdążył dokończyć tę myśl, działa *Drapieżcy* zawyły ponownie. Tym razem ogień był skierowany w górę i zerwał grzbietową sieć *Rekina Mgieł* z dokładnością krawcowej posługującej się nożycami. Płonąca sieć opadła na statek. Gdy tylko dotknęła jakiegoś materiału niebędącego drewnem, iskry sypały się na wszystkie strony na podobieństwo miniaturowych błyskawic.

Takim materiałem były też ciała członków załogi *Rekina Mgieł*.

Espira uniósł wzrok i zobaczył, że płonąca sieć spada prosto na niego. Złapał kapitan Ransom za pas i pociągnął ją z powrotem do kabiny na chwilę przed tym, nim sieć zdążyła jej dotknąć. Uderzyła tylko z jasnym rozbłyskiem o klamkę, wypalając ślad na metalu. Gdy sieć opadła, *Rekin Mgieł* stracił równowagę w jeszcze większym stopniu, unosząc dziób ku górze. Espira odruchowo przypiął dwie liny bezpieczeństwa do pobliskich haków, by kołysanie się statku nie strąciło go z pokładu.

- Jak to zrobił, do cholery?! - warknęła kapitan Ransom gdy na jej statek opadła sieć długa na kilkaset jardów i niemal równie szeroka. Pokład szybko upodabniał się do wnętrza gniazda tkaczy jedwabiu.

Szybkim ruchem opuściła gogle na oczy

- Santos! - ryknęła. - Rakiety sygnalizacyjne! Natychmiast! Nie przestawaj ich wypuszczać!

- Tak jest! — odkrzyknął pierwszy oficer.

Po chwili rozległ się głośny szum i ku niebu wzbijała się kometa ciągnąca za sobą płomienny ogon.

- Ekipa strażacka na pokład! - zawołała Calliope Ransom.

- Tak jest, kapitanie!

- Działa, strzelać bez rozkazu!

Po kilku sekundach dziesięć eterycznych dział zaczęło ostrzeliwać *Drapieżcę* - ale smukły statek zmienił już kierunek i raptownie obniżył lot, uchylając się przed salwą i niknąć we mgle na dole. Nim to zrobił, rozległ się głośny szum. Z pokładu *Drapieżcy* wystrzelono rakiety, które eksplodowały tysiąc stóp wyżej, tworząc gęstą chmurę żółtego dymu.

Kapitan Ransom śledziła wzrokiem znikający sterowiec, mrużąc powieki w zamyśleniu. Nagle skinęła głową.

- Pilot, zmiana kursu o dwadzieścia stopni na zachód.

- Dwadzieścia stopni na zachód, tak jest!

- Cała naprzód! Na ile tylko nas stać!

Pod błękitne niebo pomknęły dwie kolejne rakiety sygnalizacyjne *Rekina Mgieł*.

- Tak jest, kapitanie!

Statek przechylił się i przyśpieszył z głośnym trzaskiem, chwiejąc się niczym pijak. Drewniana beczułka, której nie zabezpieczono należycie, potoczyła się po stromo pochylonym pokładzie i runęła w otchłań.

- Czy to rozsądne, pani kapitan? - zapytał cicho Espira.

- Nie - odpowiedziała bez ogródek Calliope Ransom. - Gogle!

Espira skinął głową i założył osłonę na oczy. Kobieta wyciągnęła miecz i zaczęła rąbać sieć

blokującą jej wejście na pokład.

- Nie możemy go zmusić do walki, kiedy odstrzelił nam połowę sieci - wyjaśniła. - Nie jesteśmy w stanie rozwinąć odpowiedniej prędkości. Gdybyśmy spróbowali, wymanewruje nas i w parę minut pozbawi nas reszty sieci albo zajmie pozycję w jednej z luk w naszym polu ostrzału i przebije się przez naszą tarczę. Jego statek jest lżejszy i szybszy, a uszkodzenia uniemożliwiają nam ucieczkę przez nurkowanie albo skrycie się we mgle. Nasza jedyna szansa to dotrzeć do eskorty, zanim kapitan Grimm zrobi z nas barękę.

Espira wydobyl miecz i zaczął rąbać eteryczny jedwab, gdy tylko kapitan Ransom przesunęła się nieco i zrobiła mu miejsce. Zerknęła na niego i skinęła głową w geście niemej aprobaty.

- Kapitan Grimm - odezwał się major. - W Aurorze jest mnóstwo ludzi, którzy szczerze go nie znoszą.

Calliope Ransom odsłoniła zęby. W oczach kobiety pojawił się błysk, gdy z rufy jej statku wystrzelono dwie kolejne rakiety.

- I pomyśleć, że nawet nie brali z nim ślubu.

ROZDZIAŁ 66

SHA *Drapieżca*

- Brawa za celność, panie Creedy! — zawołał Grimm do załóg dział po lewej burcie.

Trafić w *Rekina Mgieł* nie było trudno, jako że zaskoczenie było całkowite, niemniej zdołali odstrzelić całą połowę sieci Calliope i w tej chwili zwycięstwo było jedynie kwestią zastosowania odpowiedniej doktryny oraz sprytnego manewrowania.

- Panie Kettle, proszę wyrównać lot.

Pilot skinął głową. Zdążył już ustabilizować pozycję sterowca, przechodząc w poziomy lot po nagłym nurkowaniu we mgłę, celem umknięcia przed pośpieszną odpowiedzią dział *Rekina Mgieł*.

- Chyba już zrobione, kapitanie.

Grimm skinął głową i zwrócił się ku załogom dział.

- Pierwszy — krzyknął — przenieś wszystkich do baterii po prawej burcie!

- Słyszeliście, chłopaki — zawołał porucznik. - Zabezpieczcie działa, odepnijcie się i przejdźcie na drugą stronę!

Aeronauci posłuchali go bezzwłocznie. Wciągnęli działa po lewej stronie i przemieścili się na prawą burtę. Grimm zacisnął zęby. Jego załoga poniosła poważne straty. Był w stanie obsadzić tylko jeden szereg dział, ale lepiej, żeby Calliope o tym nie wiedziała. Gdyby się domyśliła, że Grimm jest w stanie prowadzić ostrzał tylko z jednej burty jednocześnie, to bardzo utrudniłoby mu zadanie.

- Kapitanie! - zawołał jakiś aeronauta znajdujący się gdzieś z tyłu.

Grimm odwrócił się i zobaczył, że pan Eubanks, tęgi rumiany weteran o szczeciniastej brodzie czeka, by złożyć mu meldunek.

- Słucham?

- Wystrzeliliśmy ostatnie rakiety sygnalizacyjne, kapitanie.

- Znakomicie. Przygotujcie się na kontrolę obrażeń.

- Kontrola obrażeń, tak jest - odpowiedział Eubanks i oddalił się pośpiesznie.

- Przeciwnik zakręca, kapitanie - zauważył Kettle, spoglądając na czerwoną gwiazdę nadal widoczną w sieciach tarczy *Drapieżcy*.

Światelko zaczęło się przesuwac na zachód. Calliope pragnęła oddalić się od *Drapieżcy*, dopóki mgła oślepiła Grimma.

- Zmienić kurs, panie Kettle - rozkazał kapitan.

Pilot chrząknął i wykonał polecenie. *Drapieżca* zaczął się wznosić, by wyłonić się z mgły poniżej *Rekina Mgieł*— tym razem po jego drugiej stronie - i pozbawić go reszty tarczy. Calliope nie mogła wiedzieć, że ścigający ją widzą.

- Coś nie w porządku, kapitanie?

Grimm krótko pokręcił głową.

- Nie. Ale to wydaje się niezbyt uczciwe, mam rację?

- Z pewnością, kapitanie. — Twarz Kettle'a rozciągnęła się w złowrogim uśmiechu. - Czy to nie świetne? Może powinniśmy też wynająć jakiegoś eteryka?

- Najpierw przeżyjmy dzień dzisiejszy - odparł Grimm. - Potem pomyślimy o takich sprawach. Gdy

już zajmiemy pozycję, powtórzmy poprzedni manewr, ale po oddaniu salwy zaczniemy się wznosić szybciej, by znaleźć się ponad zasięgiem ich dział, zamiast nurkować do mgły.

- Właściwie trudno to nazwać nurkowaniem — zauważył Kettle.

- Nie odważymy się zaryzykować nic śmielszego - stwierdził Grimm -Journeyman mówi, że obwody mocy i tak ledwie się trzymają. Gdybyśmy przeciążyli je pełnym nurkowaniem, moglibyśmy stracić je całkowicie.

To byłoby naprawdę nieprzyjemne doświadczenie, gdyby w samym środku nurkowania nagle się przekonali, że nie są w stanie z niego wyjść.

- Atak i odwrót w górę na twój rozkaz, tak jest - potwierdził Kettle.

Rozległ się ostry gwizd. Pilot spojrział na prawy pokład działowy i skinął głową.

- Pierwszy melduje, że działa są gotowe, kapitanie.

- Świetnie - ucieszył się Grimm. - Przygotuj się.

- Myślisz, że *Rekin Mgieł* się podda, kiedy go okaleczymy? - zapytał Kettle. - Ma na pokładzie mnóstwo uzbrojonych ludzi.

Piers Grimma wypełnił żarliwy gniew.

- Musi się poddać, panie Kettle - zapewnił. - Bo w przeciwnym razie Bóg w Niebiosach mi świadkiem, że rozproszę szczątki tego statku po wszystkich kontynentach.

Kettle zerknął na niego z ukosa. Grimm zauważył, że pilot przestępuje nerwowo z nogi na nogę.

- Nie zrozum mnie źle, kapitanie - odezwał się krępy aeronauta cichym głosem przepojonym troską i niepokojem. - Po tym, co zrobili naszej statkowni, sam chętnie straciłbym ich z aerosfery. Ale czy naprawdę potraktowałbyś tak... „Calliope?” - mówił jego ton, choć Kettle nie dokończył zdania na głos. Grimm poczuł, że coś nagle w nim szarpnęło. Z jego ust próbował się wyrwać histeryczny śmiech, ale on stłumił go bezlitośnie.

- Tylko, jeśli nie da mi wyboru. - Obrzucił Kettle'a spojrzeniem, które miało go uspokoić. - Biorąc pod uwagę, kim jest, czy naprawdę wierzysz, że została lojalną bojowniczką za sprawę Kasztelu Aurora?

Pilot prychnął pogardliwie.

- Masz rację. Podda się. Chyba że Auroranie jej na to nie pozwolą.

- Jesteśmy na wojnie - odrzekł cicho Grimm. — Zrobię to, co będę musiał.

Kapitan zamknął na chwilę oczy i powoli odetchnął, starając się wyczuć cały statek. Oceniał szybkość wiatru, zarejestrował lekkie przechylenie pokładu, wywołane ciężarem połowy załogi zgromadzonej na prawej burcie. Dotarło do niego drżenie kryształu mocy, ledwie przenikające przez podeszwy butów. Rzecz jasna tylko przypływ romantycznej wyobraźni mówił mu, że czuje ten sam rytm mocy w kondensatorach dział na prawej burcie. Po prostu jego instynkt potwierdzał to, o czym intelekt już wiedział.

Drapieżca był gotowy.

- Sygnał do manewrów! — zawołał Grimm. Aeronauta stojący przy dzwonie zaczął w niego uderzać w rytmie ostrzegającym członków załogi, by się przypięli. — Artylerzyści, przygotować się!

- Artylerzyści gotowi, kapitanie! - odpowiedział Creedy.

Grimm sprawdził raz jeszcze swoje liny bezpieczeństwa i zaciągnął je mocniej.

- Panie Kettle, rozpoczynamy atak.

Drapieżca wzbił się nagle w górę, przesywając mglistą mezosferę ze swobodną gracją delfina chmur i szybkością rakiety sygnalizacyjnej. Napędzany potężną mocą nowego kryształu wznoszącego statek mknął ku niebu z przyśpieszeniem co najmniej takim, jak podczas nurkowania. Grimm musiał się mocno złapać relingu mostka, żeby nie opaść na kolana. Statek drżał i grzechotał, a potem zaczął śpiewać.

Kapitan wiedział, że powinien demonstrować stoicyzm, być pewnym i niewzruszonym przykładem dla swoich ludzi, posągiem niezachwianej dyscypliny i determinacji, ale po prostu nie potrafił zachować

spokoju. Czuł grację *Drapieżcy*, jego lekkość i swobodę, z jaką przesywał powietrze, gwałtowną radość i dumę przepelniające zmierzający na bitwę sterowiec.

Z racjonalnego punktu widzenia wszystko to był nonsens. Tak mówiła Grimmowi głowa.

Ale jego serce było mądrzejsze.

Pieśń wojenna *Drapieżcy* stawała się coraz głośniejsza i przybierała coraz wyższą tonację. Nagle któryś z aeronautów dołączył do niej własnym, zawodzącym okrzykiem. Grimm uświadomił sobie ze zdumieniem, że ten dźwięk płynie z jego gardła.

Momentalnie cała załoga wsparła go własnym rykiem. Kapitan nigdy dotąd nie słyszał tak głośnego krzyku. Creedy wrzeszczał razem ze wszystkimi.

Szara mgła pojaśniała nagle, zmieniając kolor na popielaty, potem na perłowy, a wreszcie na biały. Jeden oddech później *Drapieżca* wypadł z mezosfery pod otwarte błękitne niebo.

Pan Kettle bezbłędnie wyliczył czas. Wynurzyli się z chmur niemalże pionowo pod *Rekinem Mgieł*, zaledwie kilkaset jardów od niego, i lecieli z niemal identyczną prędkością. Podczas pierwszego ataku czynnik zaskoczenia był po stronie *Drapieżcy*, ale tym razem wszystko zależało od szybkości.

- Strzelać bez rozkazu! - zawołał Grimm.

- Ognia, ognia, ognia! - krzyczał Creedy, przekazując to polecenie artylerzystom.

Siedem dział *Drapieżcy* wystrzeliło niemal jednocześnie. Choć ludziom rozkazano strzelać tylko do nieprzyjacielskiej sieci, przy ogniu prowadzonym z pozycji, w której się znajdowali, nie sposób było zagwarantować, że żaden ze strzałów nie trafi w sam statek. Jednakże artylerzyści spisali się dobrze. Sieć brzuszna stanęła w płomieniach i zaczęła się rozpadać, gdy tylko trafiły w nią liczne impulsy. Tylko dwa strzały chybiły celu i uderzyły w aktywną tarczę *Rekina Mgieł*, która pochłonęła je bez szkody. Sterowiec nagle otoczyła sfera zielonkawego blasku.

Grimm niemalże poczuł szok i przerażenie nieprzyjacielskich aeronautów. Trudno byłoby mieć do nich pretensję. Prawdopodobieństwo zlokalizowania uciekającego przeciwnika w mgłach mezosfery z tak perfekcyjną dokładnością było tak niskie, że graniczyło z niemożliwością.

Co jednak ważniejsze, kapitan wiedział, że artylerzyści *Rekina Mgieł* będą teraz desperacko opuszczać wyloty dział, by wystrzelić do *Drapieżcy*, gdy tylko ich pilot przechyli statek.

Grimm zaczął, aż nieprzyjacielski sterowiec zacznie się obracać, by skierować działa ku *Drapieżcy*, po czym zawołał:

- Wznoszenie!

Pan Kettle poprowadził statek w górę pod jego nowym maksymalnym kątem. Grimm zachwiał się i omal nie upadł, choć mocno trzymał się re-lingu. *Drapieżca* wzbijał się w górę szybko i gładko jak sprawiedliwa dusza zmierzająca po wiekiustą nagrodę. Osiem impulsów z nieprzyjacielskich dział z pełną furią przesyłało powietrze w miejscu przed chwilą opuszczonym przez *Drapieżcę*, a jeden, który trafił w cel, nie osiągnął niczego poza rozbłyskiem zielonej poświaty w tarczy *Drapieżcy*.

Grimm dobrze wyliczył czas manewru. Artylerzyści *Rekina Mgieł* próbowali prześledzić uciekającego w górę *Drapieżcę*, ale ich działa osiągnęły maksymalny kąt wzniesienia, nim zdążyły dogonić szybszy i lżejszy sterowiec. Żeby dalej ścigać przeciwnika, pilot *Rekina Mgieł* musiałby przechylić statek w drugą stronę, walcząc jednocześnie z niesymetrycznym ciągiem ocalałej jednej czwartej sieci. Walka z bezwładnością i pędem tak wielkiej masy wymagałaby dodatkowych sekund, których Grimm nie miał zamiaru mu dać.

- Ognia! - zawołał.

Artylerzyści raz jeszcze wykonali swe zadanie. Jeden niecelny impuls rozświetlił nieprzyjacielską tarczę, ale sześć pozostałych przesyłało ostatni fragment sieci *Rekina Mgieł*, podpalając go i odrywając od kadłuba.

Przyśpieszenie nieprzyjacielskiego sterowca natychmiast spadło do zera. *Rekin Mgieł* chwiał się jak pijak, posuwając się naprzód wyłącznie dzięki gasnącemu impetowi. Zdesperowana załoga ponownie

wystrzeliła rakiety sygnalizacyjne. Grimm widział, że nieprzyjacielski statek próbuje wyrównać lot wyłącznie dzięki kryształom stabilizującym, co nie było łatwe, jeśli nie mieli prędkości potrzebnej, by wprowadzić do akcji łatwiejsze do sterowania płyty manewrowe. Dopóki to się nie uda, *Rekin Mgieł* pozostanie w praktyce bezbronny wobec mobilności *Drapieżcy*. Jak długo Kettle mógł pozostawać poza zasięgiem dział przeciwnika, ich statek był w stanie ostrzeliwać *Rekina Mgieł*, nie obawiając się rewanzu - a jako pilot pan Kettle nie miał sobie równych.

Poprowadził *Drapieżcę* po długim łuku, ustawiając statek prawą burtą w stronę nieprzyjaciela, a potem zwolnił na tyle, by załogi dział miały czas dobrze wycelować.

Grimm poczuł nagły ucisk w żołądku. Spróbował przełknąć ślinę, ale w gardle miał zupełnie sucho. Za chwilę się przekona, czy obowiązek nakaze mu zabić Calliope i jej załogę.

Przestawił gogle na daleki zasięg i skupił uwagę na *Rekinie Mgieł*.

- Według numerów! — zawołał. - Ognia!

- Działo numer dwa! - ryknął Creedy. - Ognia!

Wysunięte najdalej do przodu działo po prawej burcie statku zawyło. Jego impuls uderzył w przeciążoną tarczę *Rekina Mgieł*.

- Działo numer cztery! - zawołał Creedy - Ognia!

Drugie działo z prawej strony statku uwolniło swą furję i uderzyło w nieprzyjacielską tarczę, pragnąc dobrać się do bezbronnego, nieopancerzonego sterowca kryjącego się pod nią.

- Działo numer sześć! Ognia!

Świetlista tarcza *Rekina Mgieł* stała się ciemniejsza i bardziej przejrzysta.

- Działo numer osiem! Ognia!

Impuls osmalił najwyższy maszt nieprzyjacielskiego statku i Grimm zobaczył to, czego wypatrywał: wysoką szczupłą sylwetkę - zapewne była to sama Calliope - która wbiegła na tylny maszt grzbietowy i uderzyła toporem abordażowym w jedną z zawieszonych na nim lin. Lina pękła i dalijska bandera - biała gwiazda na dwudzielnym, czerwono-niebieskim polu spłynęła na pokład. To był znany wszystkim aeronautom symbol poddania się.

- Przerwać ogień! - ryknął Grimm. - Przerwać ogień!

- Przerwać ogień! - powtórzył Creedy załogom dział.

Ogłuszające, niosące się echem wycie działa numer osiem wybrzmiało, niknąc w otwartym błękitnie. *Rekin Mgieł* unosił się bezwładnie w powietrzu, gdy Kettle podprowadzał *Drapieżcę* bliżej, pod osłoną dział z prawej burty. Grimm pozwolił pilotowi i pierwszemu oficerowi zająć się manewrowaniem. Sam z uwagą obserwował artylerzystów nieprzyjaciela. Wszyscy zgodnie z zasadami wycofali działa na bezpieczne pozycje, uniemożliwiające otwarcie ognia.

Kapitulacja wyglądała na autentyczną, ale nie mógł zapominać, że ma do czynienia z Calliope. Będzie ściśle trzymał się zasad, ani na moment nie zapominając o ostrożności. Poczuł, że jego usta rozciągają się w triumfalnym uśmiechu.

- Panie Creedy — zawołał. — Przygotuj szalupę i przekaz kapitan Ransom wyrazy mojego uznania: „Poddaj się i przygotuj do abordażu”.

Aeronauci zakrzyknęli tak głośno, że pokład pod stopami Grimma zawibrował. Kapitan wyobraził sobie, że *Drapieżca* również świętuje triumf za pośrednictwem ludzi ze swej załogi.

Po kwadransie Calliope przyleciała na *Drapieżcę* swoją szalupą. Napędzany parą stateczek miarowym tempem pokonał przestrzeń dzielącą oba statki. Kapitan Ransom zabrała ze sobą dwóch ludzi kierujących szalupą, a także wózki odebrane mistrzowi Fergusowi oraz cienką książkę ukradzioną z Wielkiej Biblioteki, identyczną jak ta, którą Grimm miał w kieszeni płaszcza.

Fakt, że Calliope przed chwilą sromotnie przegrała walkę z mniejszym i słabej uzbrojonym statkiem, nawet w najmniejszym stopniu nie pozbawił jej pewności siebie. Jeśli zaś czuła się onieśmielona

widokiem kilkunastu wycelowanych w nią rękawic, tego również nikt by nie zauważył.

Gdy tylko szalupa przybiła do *Drapieżcy*, Calliope przeszła na jej dziób z typowym dla siebie drwiącym uśmiechem na twarzy.

- Pozwolenie wejścia na pokład, Francis?

Grimm pomyślał, że zwróciła się do niego tym imieniem wyłącznie dlatego, że wiedziała, że to go irytuje, i że nie powinien pozwalać, by nim manipulowała.

- Przyznane - oznajmił ze spokojem.

Calliope przeskoczyła na pokład *Drapieżcy* i ruszyła na mostek, rozglądając się ciekawie wkoło.

- Proszę, proszę - odezwała się. — To była niespodzianka. Czym go karmiłeś?

- Wrogami.

Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się głośno.

- Proszę, daj mi książkę - rzekł Grimm.

Rzuciła mu beztrzesko wolumin, a on złapał go w locie.

- Nawet nie masz pojęcia, jak groźnie na mnie patrzyli, kiedy po nią przyszedłem.

- Czy Auroranie robili ci jakieś trudności w sprawie ściągnięcia bandery?

- Nic, z czym nie mogłabym sobie poradzić - odparła niefrasobliwie. - Francis, muszę przyznać, że wykonałeś naprawdę piękną robotę, choć nigdy nie pokonałbyś mnie w uczciwej walce.

- Unikam uczciwych walk - przyznał Grimm. - Podobnie jak ty.

Uśmiechnęła się, odsłaniając bardzo białe zęby.

- To prawda.

Grimm skinął głową do Creedy'ego, który nakazał kilku ludziom przenieść wózki z kajuty na pokład *Drapieżcy*. Potem bezzwłocznie pojechali z nimi do kabiny eteryka.

Calliope odprowadzała ich wzrokiem.

- To pewnie znaczy, że wstępną część mamy już za sobą - stwierdziła. - Co zamierzasz zrobić z moją załogą?

- Dostarczyć wszystkich, łącznie z tobą, do Kasztelu Albion, gdzie czeka ich aresztowanie i proces — odparł Grimm. — Auroranie są jeńcami wojennymi i będą traktowani stosownie do tego.

Pokręciła głową.

- Chcesz, żeby moich ludzi osądzono jako cywilów, którzy dopuścili się aktu wojny? Nigdy się na to nie zgodzą. Żaden albioński sąd nie potraktuje ich sprawiedliwie i świetnie o tym wiedzą. Zostaną uznani za piratów i powieszani.

- Być może - przyznał Grimm. - Ale z drugiej strony, jeśli się nie poddadzą, zgodnie z prawem wojennym mogę strącić wasz statek na powierzchnię. Jak sądzisz, która alternatywa wyda się im atrakcyjniejsza?

Twarz Calliope pociemniała. Kobieta kilkakrotnie zacisnęła szczęki, zanim udzieliła mu odpowiedzi.

- Moi ludzie są żołnierzami i walczą jak żołnierze. Zostaną osądzeni jak żołnierze w czasie wojny.

- Albo? - zapytał łagodnym tonem Grimm.

Calliope wbiła w niego wzrok. Poruszała ustami, ale nie sformułowała żadnych słów. W jej oczach gorzał gniew. Potem zacisnęła powieki i wymamrotała pod nosem szpetne przekleństwo.

- Albo? - powtórzył Grimm dokładnie takim samym tonem.

- Jasno wyraziłeś swe zdanie - odpowiedziała z goryczą. - Jasno wyraziłeś swe zdanie, sukinsynu.

Nie mogę ci stawiać żadnych żądań.

- To prawda, kapitan Ransom - zgodził się Grimm. — Z pewnością nie możesz.

Calliope skrzywiła się, jakby przełknęła kawałek zgniłego mięsa z kadziowni.

- Kapitanie Grimm... domagam się, by moi ludzie zostali uznani za jeńców wojennych. Proszę.

Grimm kilkakrotnie powoli kiwnął głową.

- Chciałbym, żebyś się o czymś dowiedziała.

Zmarszczyła brwi, nie odrywając od niego spojrzenia.

- Wiem, że w Statkowni Ładowiska nie musiałaś się decydować na taką kolejność ostrzału. Mogłaś zaatakować *Drapieżcę* najpierw, a nie na końcu.

- Tak — odparła po prostu.

- Powinnaś się też dowiedzieć, że wiem, dlaczego zaproponowałaś mi ten kontrakt, kiedy poprzednio byłaś na pokładzie *Drapieżcy*. Nie chciałaś, żebym był obecny przy tym, co się wydarzy. Pragnęłaś, żebym odleciał w bezpieczne miejsce.

Przytaknęła ledwie dostrzegalnym ruchem głowy.

- Dlaczego? - zapytał Grimm.

Odwróciła wzrok. Pytanie zawisło w głuchej ciszy.

- Kiedyś to był również mój dom - odpowiedziała wreszcie.

Grimm poczuł w brzuchu lekkie echo bólu, o którym niemalże już zapomniał.

- Pamiętam - przyznał cicho. - Kapitan Ransom, niniejszym ogłaszam cię, twoją załogę i pasażerów za jeńców wojennych zgodnie z zasadami prawa wojennego. Panie Creedy, zapisz to w dzienniku pokładowym.

- Tak jest, kapitanie ~ odparł stanowczo pierwszy oficer.

Calliope zamknęła na chwilę oczy, a potem skinęła krótko głową. Jej usta kilkakrotnie próbowały ukształtować słowa, ale nie potrafiła się zdobyć na to, by naprawdę je wypowiedzieć.

Grimm zwyciężył. Nie musiał upokarzać jej dodatkowo.

- Nie potrzebuję twoich podziękowań, kapitan Ransom. Wyślę z tobą mechaników, którzy zdemontują działa *Rekina Mgieł*. Wróćcie razem z *Drapieżcą* do Kasztelu Albion, cały czas pozostając w zasięgu moich dział. Jeśli nie podporządkujecie się moim rozkazom w jakiegokolwiek sprawie, choćby najdrobniejszej, otworzę ogień. Zrozumiano?

- Nie jestem idiotką, Francis.

Grimm starał się stłumić irytację, lecz pomimo wszelkich wysiłków poczuł drżenie w kąciu ust. Calliope również to zauważyła i na jej twarz powrócił szyderczy uśmiezek.

-Też tak sędzę-zgodził się Grimm. - Niemniej, Calliope, ostatnie dni były dla mnie bardzo trudne. Nie narażaj mnie...

- Kontakt! - zawołał jeden z obserwatorów siedzących na grzbietowym maszcie *Drapieżcy*. - Kapitanie, kontakt!

Grimm skierował nagle głowę na obserwatora.

- Gdzie?

- Statek wysoko nad nami, w kierunku zachód, południowy zachód. Zbliża się szybko!

Sterowiec nadlatujący z zachodu? Wszystkie okręty Floty znajdowały się na wschód od ich obecnej pozycji...

Poczuł ucisk w żołądku. Kolana ugięły się pod nim lekko.

Ponownie wsunął na gogle szkła teleskopowe i natychmiast zauważył sterowiec zbliżający się do nich z maksymalną prędkością. Przyjrzał mu się uważnie, starając się ignorować fakt, że ręce mu drżą, a serce bije coraz szybciej.

- Calliope - odezwał się cicho. - Nie musisz tu być. Wsiadaj do szalupy i odlatuj. Natychmiast. Usłyszał, że ona również nagle zaczerpnęła tchu na widok nadlatującego sterowca.

- Zapewne nie zdołam cię przekonać, żebyś się poddał.

Obejrzał się tylko na nią przez ramię.

Jej uśmiezek nabrał nagle gorzkiego wyrazu.

- Ach, pewnie, że nie. Obowiązek.

Pokręciła głową, opuściła mostek kilkoma swobodnymi krokami i ruszyła z powrotem do szalupy.

- Daj sygnał „wszyscy na stanowiska”, panie Creedy. Zawróć statek. Otoczmy się siecią ze

wszystkich stron i ruszymy w drogę.

Pierwszy oficer powtórzył krzykiem rozkazy. Ponownie uderzono w pokładowy dzwon. Ludzie biegli na stanowiska i pośpiesznie zapinali uprząże. Aeronauci wspinali się na maszty, rozciągając sieć, by *Drapieżca* mógł ruszyć w drogę.

Grimm stał nieruchomo na mostku, obserwując, jak złowroga sylwetka OAA *Itasca* rośnie z niepokojącą szybkością. Zastanawiał się, czy nie jest już za późno na ucieczkę.

ROZDZIAŁ 67

SHA *Drapieżca*

Gwen czuła się raczej głupio, przechodząc z izby chorych na mostek. Regulamin wymagał, by na statku, który toczy walkę, każdy członek załogi przez cały czas był przypięty co najmniej jedną liną, a najlepiej dwiema. Łączenie ciężkich metalowych zapinek z pierścieniami bezpieczeństwa wcale nie było takie łatwe, jakby sugerowała obserwacja aeronautów z załogi *Drapieżcy*. Na szczęście wzdłuż pokładu biegły poręcze, a gdzieś tam można było znaleźć wewnętrzne przejścia, czyniące to zadanie łatwiejszym, choć nie do końca łatwym. Mimo to potrzebowała dobre kilka minut, by pokonać dystans nie większy niż osiemdziesiąt stóp.

Gdy wreszcie dotarła do mostka, kapitan Creedy zaczął wykrzykiwać rozkazy dla załogi. Pokład przechylił się lekko pod stopami Gwen, gdy *Drapieżca* rozpoczął obrót.

Miała się już wdrapać na strome schody, gdy kapitan unieruchomionego *Rekina Mgieł* złapała za poręczę i po prostu zjechała na dół. Wylądowała swobodnie na pokładzie, omal nie przewracając przy okazji Gwen.

Wysoka kobieta obrzuciła ją zniecierpliwionym spojrzeniem i zauważyła brud oraz smar na jej ubraniu.

- Dobry Boże w Niebiosach, czy Journeyman wpuszcza teraz kobiety do swojej maszynowni? Do czego to doszło?

- Przepraszam - rzekła Gwen.

- Na to wygląda - odparła kobieta i popędziła do przycumowanej do burty *Drapieżcy* szalupy, nie zważając na nagły przechył i drżenie pokładu.

Przeskoczyła reling, skinęła głową do dwóch groźnie wyglądających mężczyzn stanowiących załogę stateczku i zaczęła odwiązywać cumy.

Gwen na ten widok szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Czy ta kobieta nie była jeńcem? Czyżby uciekała? Czemu do licha nikt nie próbował jej zatrzymać?

- Stój! - zawołała.

Miała nadzieję, że zabrzmiało to stanowczo. Zaczęła unosić rękawicę, by wycelować w uciekinierkę, ale przypomniała sobie, że nie ma rękawicy, bo większą część dnia poświęciła na pracę z elementami napędu statku. Zamiast jednak powstrzymać ten gest, co sugerowałoby słabość i niezdecydowanie, wyciągnęła palec przed siebie i zawołała:

- Hej, ty! Stój!

Kobieta spojrzała na nią i ryknęła serdecznym śmiechem. Następnie pociągnęła za dźwignię i odbiła od burty *Drapieżcy*. Jej szalupa szybko została z tyłu, jako że nie napędzał jej żaden eteryczny żagiel.

- Masz teraz na głowie większe problemy, dziewczyno! - zawołała nieprzyjacielska kapitan, zanim zniknęła jej z oczu.

Gwen przez krótką chwilę przygryzała wargę. Następnie odwróciła się i zaczęła wdrapywać na mostek.

Gdy tam dotarła, *Drapieżca* mknął już ku porannemu słońcu. Musiała przymrużyć powieki, by osłonić

oczy przed blaskiem, gdy zapinała liny bezpieczeństwa obok kapitana Grimma, stojącego przy stanowisku pilota.

- Dzień dobry, panno Lancaster - przywitał ją kapitan. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Ta kobieta, kapitan nieprzyjacielskiego statku. Czy puściłeś ją wolno? - zapytała Gwen.

- Tak - potwierdził Grimm z nerwowym tikiem w kąciку ust.

- Dlaczego, do licha?

- Nie widziałem powodu, by miała zgi... - Przerwał na chwilę, starannie poprawiając spiczasty

kapelus. — Nie widziałem powodu, by dać jej szansę przeszkadzania nam podczas walki.

Gwen otworzyła szeroko oczy.

- Ojej. To znaczy, że będziemy walczyć?

- To wydaje się bardzo prawdopodobne — odparł Grimm. — Włóż gogle, panno Lancaster.

Gwen zdziwiła się, ale potem przypomniała sobie, w czym rzecz, i przeklęła samą siebie za to, że wyszła na idiotkę, która nigdy przedtem nie latała sterowcem. Chodzenie z nieosłoniętymi oczami na tej wysokości mogło prowadzić do najrozmaitszych zaburzeń umysłowych na tle eterycznym, a z czasem również do ślepoty. Natychmiast włożyła gogle z przyciemnionymi szklami.

- Obawiam się, że nadal nie rozumiem. Dlaczego nie mielibyśmy jej zatrzymać?

- Gdybyśmy to zrobili, załoga jej statku, zobaczywszy, że nadciąga pomoc, natychmiast wytoczyłaby swoje działa i zaczęła nas ostrzeliwać. Zapewne zdołalibyśmy ich zniszczyć, ale kosztowałoby to nas cenny czas, a w dodatku nasza tarcza najprawdopodobniej by ucierpiała. - Kapitan zerknął w stronę rufy.

- Jeśli mamy mieć szansę ocalenia, potrzebujemy całej dostępnej mocy, by rozwinąć pełną prędkość i napędzać tarczę. Uwolnienie kapitan Ransom było nieformalnym aktem rozejmu i w związku z tym najmniejszym złem, jakie mogłem wybrać.

- Aha - odparła Gwen. - A czy przeszkadzam w kierowaniu statkiem, stojąc tu teraz?

Raz jeszcze zaczął jej pośpiesznie odpowiadać, ale zreflektował się i odczekał kilka sekund.

- Nie w tej chwili - zapewnił. — Na razie lecimy. Okaze się, czy zdołamy uciec przed *Itascą*.

- Aha - powtórzyła Gwen. - Kapitanie, pomyślałam sobie, że powinieneś się dowiedzieć, że mistrz Ferus odzyskał swój ekwipunek. Oboje z panną Folly przebywają obecnie w izbie chorych.

Grimm uniósł brwi i zwrócił się twarzą ku dziewczynie po raz pierwszy od chwili, gdy pojawiła się na mostku.

- Czy będzie w stanie pomóc moim ludziom?

- Obiecał, że spróbuje - wyjaśniła Gwen, kręcąc lekko głową. - Biedny staruszek wyglądał okropnie.

- Ostatnie godziny było dla niego bardzo trudne - przyznał Grimm. Opuścił na gogle teleskopowe szkła i przez kilka sekund wpatrywał się w jakiś punkt położony za plecami Gwen. - Wyciągają działa pościgowe - stwierdził wreszcie z grymasem na twarzy.

Kettle odwrócił się i przyjrzał widocznemu daleko za rufą sterowcowi. To pewnie *Itasca*, pomyślała Gwen.

- Przy takiej odległości? - zdziwił się pilot z irytacją w głosie. - Na pewno mają te nowomodne działa dziobowe.

- Szlag trafił naszą przewagę - zauważył Grimm.

- Czy to znaczy, że nie zdołamy uniknąć walki, kapitanie? - spytała Gwen.

- Nie przez dłuższy czas - odparł złowrogo stojący na swym stanowisku Kettle.

- *Itasca* to krążownik liniowy, panno Lancaster - wyjaśnił Grimm. - Jest znacznie większa i lepiej uzbrojona niż *Drapieżca*. Ma też potężniejszy pancierz. Patrząc realistycznie, nie mamy szans przetrwania bezpośredniego starcia z nią.

- Czy to znaczy, że uciekamy? - zapytała Gwen.

- Próbujemy — odpowiedział Kettle.

- Kapitanie, nic nie wiem o walce powietrznej, ale czy nie byłoby rozsądniej... ukryć się we mgle i w ten sposób uniknąć starcia?

- W większości przypadków tak właśnie bym postąpił, panno Gwen -odpowiedział Grimm.

Dziewczyna zerknęła za burtę statku.

- Ale wygląda na to, że się wznosimy - zauważyła.

Kapitan skinął głową.

- *Itasca* rozwinęła już pełną prędkość w chwili, gdy ją zauważyliśmy. Natomiast *Drapieżca* był nieruchomy. Musimy jak najszybciej oddalić się od niej na maksymalną możliwą odległość. A jesteśmy od niej lżejsi. Cały ten pancierz bardzo ją obciąża. Dlatego możemy się wznosić stosunkowo szybciej od niej, a jeśli chce dotrzymać nam kroku, musi poświęcić jak najwięcej energii na wznoszenie, kosztem innych systemów.

- Jeśli *Drapieżca* ucieka w górę, a nie tylko przed siebie, jego szanse rosną? - zapytała dziewczyna. Grimm skinął z aprobatą głową.

- W rzeczy samej. Dzięki temu *Itasca* nie zdołała doścignąć nas i zniszczyć natychmiast.

-A gdy już się upewnisz, że jesteśmy poza zasięgiem jej dział, obniżysz lot?

- W normalnej sytuacji tak właśnie bym zrobił - odparł Grimm z grymasem niezadowolenia na twarzy. — Ale Journeyman nie uporał się jeszcze z wszystkimi pracami. *Drapieżca* nie leci tak szybko, jakby mógł, i na razie nie poradzi sobie z bojowym nurkowaniem. Moglibyśmy obniżyć lot powoli, ale jeśli to zrobimy, umożliwimy w ten sposób *Itasce* wykorzystanie przewagi masy i impetu. Wtedy szybko nadrobi dystans i znajdziemy się w zasięgu jej dział.

- Zatem co nam pozostaje? - zapytała Gwen.

- Zwiewać tak szybko, jak tylko się da, i się modlić - skwitował Kettle.

Grimm zeszywniał nagle.

- Strzelają z dział pościgowych. Unik na prawą burtę.

Gwen odwróciła się i spojrzała do tyłu. Zauważyła na ścigającym ich okręcie szkarłatno-biały rozbłysk. Jasny punkcik przypominający małą gwiazdę zbliżał się do nich, rosnąc niepokojąco szybko. Statek przechylił się, gdy Kettle wykonał gwałtowny skręt w prawo, niemal natychmiast wracając na poprzedni kurs. Żołądek podszedł dziewczynie do gardła. Choć była przypięta, omal nie padła na pokład.

Nie mogła jednak oderwać spojrzenia od zbliżającego się ognia, który pokonał przestrzeń między dwoma statkami w ciągu niespełna jednego oddechu, rosnąc z każdą chwilą. Kula energii eksplodowała jakieś pięćdziesiąt jardów przed dziobem *Drapieżcy*, daleko po jego lewej burcie, przeradzając się w chmurę czystego skłębionego ognia o średnicy kilkudziesięciu jardów. Wybuch był tak donośny, że deski pokładu zadrżały. Gwen wzdrygnęła się przed dźwiękiem i oślepiającym blaskiem.

- Boże w Niebiosach - wyszeptała. - Co się stanie, jeśli coś takiego w nas trafi?

- Jesteśmy na samej granicy ich zasięgu - wyjaśnił Grimm. - Jeśli energia impulsu rozproszy się w takim stopniu, nasza tarcza jest w stanie ją wchłonąć. Z tej odległości *Drapieżca* może wytrzymać wiele bezpośrednich trafień.

- Ale nasza sieć nie ma tyle szczęścia — dodał Kettle.

- Nie rozumiem - odrzekła Gwen.

- Nadchodzi - odezwał się Grimm — Unik na lewą burtę.

Żołądek raz jeszcze podszedł dziewczynie do gardła, gdy Kettle skrzył w przeciwną stronę na kilka zapierających dech w piersiach sekund, a potem znowu wyrównał lot. Nieopodal statku eksplodowała kolejna chmura ognia, tym razem jednak na skraju półprzezroczystej sieci eterycznej po prawej burcie *Drapieżcy* pojawiły się drobne rozbłyski.

-Jak widzisz nasza sieć eteryczna rozciąga się daleko poza osłonę zapewnianą przez tarczę energetyczną *Drapieżcy*. Dlatego jest narażona na ostrzał - wyjaśnił kapitan.

- A czy nie moglibyśmy jej skrócić, żeby ją schować pod tarczą? - zapytała Gwen.

-W ten sposób zmniejszylibyśmy naszą prędkość — odpowiedział Grimm. - I to znacznie. Nadchodzi. Unik wzlotem.

Gwen omal nie padła na pokład, gdy *Drapieżca* wzniósł się nagle wyżej. Zanim Kettle znowu wyrównał lot, miała dojmujące wrażenie, że żołądek koniecznie chce się zmieścić w jej głowie razem z mózgiem. Rozpaczliwie zaciskała dłonie na relingu, próbując utrzymać się na nogach. Tym razem wybuch nastąpił nieco przed statkiem, aczkolwiek dość daleko w dole. To znaczyło, że *Itasca* znajduje się bliżej *Drapieżcy* niż w chwili, gdy oddawała poprzedni strzał. A to z kolei znaczyło...

- Zatem dlatego *Itasca* do nas strzela - odezwała się. - Próbuje wypalić naszą sieć, żeby nas spowolnić, a potem wykończyć.

-Nazywamy to szarpaniem sieci, panno Gwen - wyjaśnił uprzejmie Grimm. - I tak, to właśnie próbuje zrobić. Możemy zachować dystans, nie przestając się wznosić. Przez pewien czas będzie miała pod górkę.

- Dlaczego tylko przez pewien czas? - zdziwiła się dziewczyna. - Co stanie się potem?

- Osiągniemy maksymalną wysokość - wyjaśnił Kettle. - Wyżej powietrze jest zbyt rzadkie, by można było oddychać.

Gwen już teraz miała z tym lekkie trudności.

- Zatem jaką mamy nadzieję?

- *Itasca* zużywa zbyt wiele mocy, nawet jak na tak wielki okręt - odpowiedział Grimm. - Wyciska maksimum z trzech kryształów mocy, by dotrzymać nam kroku, a w dodatku uruchomiła też turbiny parowe. Jej systemy są bardziej skomplikowane i w związku z tym mniej odporne na przegrzanie, awarie części składowych oraz inne problemy techniczne.

- Stać ją na sprint równie szybki jak nasz - uściślił Kettle - ale my możemy utrzymywać takie tempo całymi dniami, jeśli będziemy musieli.

Grimm skinął głową.

- Im dłużej będziemy przeciągać ten wyścig, tym większe szanse, że coś na *Itasce* się zepsuje.

Nadchodzi, unik na prawą burzę.

Kettle skręcił w prawo. Tym razem dziobowe działo *Itaski* odstrzeliło kawałek sieci *Drapieżcy* po lewej stronie.

- Czy nie możemy uchylać się dalej? - zapytała Gwen.

- Im bardziej będziemy kluczyć, tym szybciej zbliży się do nas *Itasca*, która leci po linii prostej - wyjaśnił Grimm. — Pan Kettle zna się na swojej robocie.

- Niestety — odparł kwaśno pilot. — Jeśli szczęście się do nas nie uśmiechnie, jeszcze przed obiadem zabierzemy się do wymiany ognia, kapitanie.

- Przyjmę każdy uśmiech fortuny, który spotka nas po drodze - przyznał Grimm. - Nie trać nadziei, panie Kettle. Sieć *Itaski* również nie jest niezniszczalna. W dodatku tak wielki sterowiec nie może się uchylać i wkrótce powinien się znaleźć w zasięgu. - Sięgnął po tubę głosową. - Działo rufowe, przygotować się.

- Działo rufowe, tak jest - dobiegł ich głos Creedy'ego przemawiającego przez tubę głosową, blaszany i odległy.

- Rozszarpć jej sieć, pierwszy - zawołał Grimm. - Strzelać bez rozkazu.

- Strzelać bez rozkazu, tak jest - odpowiedział Creedy.

Po krótkiej chwili rozległo się wycie działa i ku aurorańskiemu okrętowi pomknęła niebieskobiała kula ognia. Wybuch z oddali wydawał się maleńki, nastąpiła też dziwnie długa przerwa, nim do *Drapieżcy* dotarło kasznięcie dalekiej eksplozji. Gwen zauważyła w powietrzu lekki blask i uświadomiła sobie, że patrzy na płonący fragment sieci eterycznej.

- Znakomity strzał, Creedy - zawołał Grimm przez tubę w tej samej chwili, gdy Kettle znowu uniósł raptownie statek, by uniknąć strzału nieprzyjaciela. - Tak trzymać.

-Tak jest, sir! - odkrzyknął Creedy. - Dziękuję, sir!

- Jeśli utrzymamy taką celność, wkrótce uda się nam ich zgubić! - zawołała dziewczyna.

- Ale oni mają znacznie więcej sieci niż my, panno Gwen - poinformował ją Kettle. - A do tego trzy razy więcej dział pościgowych.

- To niesprawiedliwe - poskarżyła się Gwen, lekko obrażona tymi faktami.

Kapitan Grimm zachichotał pod nosem.

- *Itaskę* zbudowano z myślą o dokładnie takich zadaniach - wyjaśnił.

- W takim razie jak chcesz ją pokonać? - zapytała Gwen.

Grimm złapał się mocno relingu, gdy Kettle wykonywał kolejny manewr unikowy. Obaj aeronauci pozostali niewzruszeni, najwyraźniej trzymając się na nogach czystą siłą woli. Gwen czuła się, jakby żołądek postanowił opuścić jej ciało i odlecieć do ciepłych krajów. Rozpaczliwie starała się nie zwymiotować na oczach kapitana i pana Kettle'a.

- Nie zdołam tego zrobić, nie mogąc nurkować - odparł Grimm. - Będę szarpał jej sieć, ale z czasem, zapewne nie później niż za pół godziny, *Itasca* zniszczy naszą w wystarczającym stopniu, by nas doścignąć i rozwalić w drobny mak.

- Hmm... rozumiem - odpowiedziała Gwen. Przełknęła ślinę. - Jej kapitan zapewne nie da za wygraną?

- Czemu miałyby to zrobić? — zapytał Grimm, odsłaniając zęby w nagłym, drapieżnym uśmiechu. — Rozumie to równie dobrze jak ja. Jeśli fortuna nie uśmiechnie się do nas niespodziewanie, rezultat pościgu jest przesądzony.

- Och - wyszeptała Gwen. — To znaczy, że masz jakiś plan.

- Coś w tym rodzaju - przyznał Grimm.

Zacisnęła dłoń na relingu, gdy statek znowu skręcił gwałtownie i żar wybuchu pochłoniął kolejny fragment sieci. Z oddali dobiegł huk detonacji wystrzału z jedyne działka rufowego *Drapieżcy*.

Gwen zmarszczyła brwi, zastanawiając się przez chwilę nad tymi słowami.

- Kapitanie Grimm, od początku wiedziałeś, że w praktyce nie mamy szans uciec — stwierdziła.

-Tak.

- W takim razie, jeśli twoim celem była wyłącznie ucieczka, a pozostanie w zasięgu wzroku *Itaski* oznaczało niechybną śmierć, najrozsądniejszym wyjściem byłoby zaryzykowanie nurkowania. Co prawda, statek mógłby tego nie wytrzymać, lecz nawet tak niebezpieczny manewr dawałby nam więcej szans niż ten pościg.

- Masz absolutną rację - zgodził się Grimm, ponownie kiwając głową.

- Zatem to podstęp? - zapytała Gwen z zamyśloną miną.

- Już od chwili opuszczenia Kasztelu Albion znaczyliśmy swój ślad rakietami sygnalizacyjnymi.

Obecnie wracamy do domu dokładnie tą samą trasą. Jeśli nasze sygnały zauważono i jeśli jakieś okręty Floty postanowiły podążyć za nami, możemy otrzymać wsparcie. W takim przypadku będziemy mieli szansę pokonać *Itascę*.

- W tym zdaniu bardzo często powtarza się słowo „jeśli”, kapitanie -zauważyła Gwen.

-Tak.

- Narazasz życie nas wszystkich, by zdobyć jeden nieprzyjacielski okręt?

Kapitan uniósł brwi.

- To nie jest zwyczajny okręt - wyjaśnił z nagłą pasją w głosie. - To legendarny nieprzyjacielski okręt, panno Lancaster. Jesteśmy w stanie wojny z Kasztem Aurora, bez względu na to, czy wypowiedziano ją oficjalnie, i nieprzyjaciel wygrywa tę wojnę, ponieważ zniszczenie Statkowni Lądowiska zapewniło mu zdecydowaną przewagę.

- I uważasz, że utrata jednego okrętu może zrównoważyć tę stratę?

- Obiektywnie rzecz biorąc, nie - przyznał Grimm. — Ale o wyniku wojen nie rozstrzygają

wyłącznie obiektywne liczby. Liczą się również wola i wiara, panno Lancaster. Ciosu, jaki Auroranie zadali naszej gospodarce, z pewnością nie zrównoważy zdobycie jednego okrętu, ale jeśli tym okrętem będzie *Itasca*, możemy nadrobić wszelkie straty zadane duchowi bojowemu Albionu. To kluczowe znaczenie, byśmy nie sprawiali wrażenia całkowicie bezradnych w pierwszych chwilach wojny. Gdy naród przestaje wierzyć w możliwość zwycięstwa, wojna jest przegrana.

Gwen zmarszczyła brwi.

- I... w imię tej perspektywy jesteś gotowy zaryzykować życie swojej załogi?

- I twoje również, panno Lancaster - odpowiedział cicho.

- Licząc na to, że któryś z naszych okrętów może zauważyć twoje sygnały.

- To nie tyle plan, ile rzut kości — przyznał Grimm. Następnie odwrócił się i wbił wzrok przed siebie, kołysząc się swobodnie, gdy Kettle wykonywał kolejny manewr unikowy. - Ale to są moje kości.

- A co, jeśli *Itasca* zaprzestanie pościgu? Jej kapitan z pewnością wie, że zmierza w kierunku Albionu i naszej Floty.

Grimm przechylił głowę, jakby ta możliwość nigdy dotąd mu się nie nasunęła.

- Hmm. W talom przypadku wrócimy do domu z drobnymi uszkodzeniami, które łatwo będzie naprawić. Ale on tak nie robi.

- Dlaczego?

- W zeszłym miesiącu kapitanowi *Itaski* rozkazano strącić *Drapieżcę*. To miało być ostrzeżenie.

Nie udało mu się. Człowiek, któremu powierzono dowodzenie takim okrętem, z pewnością jest profesjonalistą, zdolnym, ambitnym i żądnym sukcesu, panno Lancaster. Nie zmarnuje szansy na triumf, jakim byłoby zniszczenie *Drapieżcy*.

Z dołu dobiegł ostry gwizd. Po chwili w tubie głosowej rozległ się blaszany głos:

- Mostek, brzuszny obserwator!

Kapitan Grimm zwrócił się tu tubie.

- Tu mostek, słucham?

- Kontakt, kapitanie! - zawołał podekscytowany aeronauta. — Pięć mil na wprost przed nami, na dole, na linii chmur. Sir, myślę, że to *Chwalebny*! Leci we mgle i w każdej chwili jest gotowy wynurzyć się z niej.

- Ha! — zawołał triumfalnie Grimm. — Masz dobry wzrok, panie MacCauley. Panie Kettle, kiedy?

Pilot popatrzył przed siebie, a potem odwrócił się ku *Itasce*, prowadząc jednocześnie *Drapieżcę* poziomym slalomem.

- Zaczynamy powoli schodzić w dół, kapitanie — odpowiedział wreszcie. - Zwiększą jeszcze prędkość, żeby nas dorwać, i zmniejszą odległość, ale będą patrzyli tylko na nas. To utrudni im wycofanie się, kiedy w końcu zauważą *Chwalebnego*.

Grimm skinął krótko głową i splótł za plecami dłonie w rękawicach.

- Zgadza się. Zaczynamy,

Kettle skinął głową, a po następnym manewrze unikowym poprowadził statek ostro w dół. Gwen poczuła zaburzenia w żołądku, gdy nagle otworzyła się przed nią szeroka panorama nieba.

- *Chwalebny* - odezwała się, tłumiąc mdłości. - To okręt komandora Rooka, prawda?

- Tak - potwierdził Grimm uprzejmym, ściśle neutralnym tonem. - Tak sądzę.

- Nie potrafię uwierzyć, że wycieramy jabłko, które on ma zerwać - poskarżył się pilot.

- Spokojnie, panie Kettle — skarcił go Grimm. — Za nami jest wielka i rozjuszona *Itasca*. W tej sytuacji z radością przywitam pomoc każdego okrętu we Flocie.

Kettle wymamrotał coś złowrogo pod nosem. Gwen spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Kapitanie, czy mamy jakieś powody do niepokoju?

Fakt, że Grimm musiał się chwilę zastanowić, zanim jej odpowiedział, pozostawał w ostrym kontraście z jego słowami.

- Raczej nie. *Chwalebny* również jest krążownikiem liniowym i nie ustępuje uzbrojeniem *Itasce*, a jego załoga składa się z kompetentnych, godnych zaufania aeronautów.

- Nie umknęło mojej uwagi, że nie powiedziałaś, że komandor Rook jest kompetentny i godny zaufania, kapitanie — rzekła Gwen.

- Nie do mnie należy go osądzać - odparł ze spokojem Grimm. - Z pewnością szybko awansował w szeregach Floty.

Kettle prychnął pogardliwie, kreśląc *Drapieżcą* kolejny łuk, by ominąć szybko rosnącą kulę kolejnego wybuchu.

- To nadęty lubieżny osioł — zauważyła spokojnie Gwen. — Nie ma nawet tyle rozumu, ile Bóg w Niebiosach dał półgłówkom, ale trzeba przyznać, że cechuje się swego rodzaju szczerzą chytrą chytrością. I do twarzy mu w mundurze.

Grimm spojrzał szybko w jej stronę, ale zaraz się odwrócił. Choć Gwen stała za nim i widziała go tylko z profilu, zauważyła, że rozciągnął policzek w uśmiechu.

- Nie śmiałybym polemizować z twoją opinią, panno Lancaster - odrzekł.

- To dlatego, że nasz kapitan nigdy nie toczy bitew, których nie może wygrać, panno Gwen - wyjaśnił Kettle.

Regularny huk eksplozji nieprzyjacielskich pocisków stopniowo stawał się coraz głośniejszy.

- Kapitanie - rzeki Kettle z ostrzeżeniem w głosie. - Jeśli *Itasca* zbliży się jeszcze bardziej, nie będziemy mieli czasu na uniki. Będę zmuszony do kluczenia, a wtedy możemy nie dotrzeć do *Chwalebnego*.

Grimm zwrócił się ku tubie głosowej.

- Maszynownia, mostek.

- Tak, kapitanie? - dobiegł z tuby głos Journeymana.

- Panie Journeyman, jeśli zostały nam jeszcze jakieś rezerwy, potrzebujemy ich teraz.

- Jestem zdumiony, że *Drapek* się jeszcze nie rozleciał - odparł Journeyman. - Niektóre przewody są powiązane cholernym sznurkiem. Ale zrobię, co będę mógł. Maszynownia, bez odbioru.

Następne chwile wydały się Gwen wyjątkowo przerażające. W pobliżu nie działo się nic szczególnie gwałtownego, a nieprzyjacielski sterowiec unosił się w powietrzu daleko za nimi, małe jak zabawka dla chłopców. Nie mogła zrobić nic, by przygotować się do walki. Był tylko huk regularnych wybuchów, przeszywający powietrze ogień i gorące podmuchy przynoszące na pokład *Drapieżcy* woń ozonu, zapowiedź nagłej, gwałtownej śmierci. Sterowiec kołysał się podczas coraz bardziej rozpaczliwych manewrów unikowych. Każdy z nich był konieczny, by uratować statek, ale jednocześnie pozwalał nieprzyjacielowi zbliżyć się jeszcze bardziej.

Dziewczyna miała wrażenie, że zaraz postrada zmysły od niepokojąco kontrastowych wrażeń - jasny blask słońca, silny, zimny wiatr i potężny łoskot bitwy powietrznej. Czuła się całkowicie bezradna.

Uświadomiła sobie, że to trafne wrażenie. Nie mogła zrobić absolutnie nic, by uratować się przed losem czekającym *Drapieżcę*, chyba żeby natychmiast wyskoczyła przez reling. Brakowało jej wyszkolenia, odruchów oraz wiedzy, które mogłyby pomóc jej przetrwać w tej sytuacji. Jej los całkowicie pozostawał w rękach innych.

Kapitan Grimm stał spokojnie na mostku, splatając dłonie za plecami. Jego liny bezpieczeństwa napinały się mocno. Był żywym obrazem tego, jak powinien wyglądać kapitan sterowca, trzymający w rękach życie ich wszystkich i nie uginający się pod tym brzemieniem ani nie uskarżający się na nie.

Takiej postaci odwagi Gwen nigdy dotąd sobie nie wyobrażała.

Bez względu na to, co zapisano w aktach, nie istniała nawet najmniejsza możliwość, by ten człowiek był tchórzem zasługującym na wyrzucenie z Floty.

Oddech nagle uwiązał jej w gardle. W ostatnich minutach *Drapieżca* opadł niemal do mglistej mezosfery. *Itasca* zbliżała się do niego z każdą chwilą. Przed nimi, we mgle, Gwen dostrzegła

niewyraźny zarys *Chwalebnego*, gotowego wypuścić salwę prosto w nieprzyjaciela.

- Nie utrudniajmy zadania komandorowi Rookowi. Przygotuj się do unikania wzlotem, panie Kettle - odezwał się Grimm z całkowitym spoko-jem. - Tak trzymać, tak...

Minęła ciągnąca się bez końca sekunda.

I szczęście w końcu opuściło *Drapieżcę*.

Płonąca kula z dziobowego działa *Itaski* eksplodowała dokładnie pośrodku lewej sieci mniejszej jednostki. Cała wielka płachta jedwabiu eterycznego nagle zamieniła się w ścianę płomieni.

Statek zareagował natychmiast. Zwolnił tak raptownie, że Gwen poleciała do przodu. Liny bezpieczeństwa napięły się, zatrzymując dziewczynę, a gruby skórzany pas wpił się boleśnie w jej talię. *Drapieżca* przechylił się mocno na prawą burzę, ciągnięty w tę stronę przez działającą połowę sieci. Deski kadłuba zatrzeszczały od nagłego przesunięcia się.

Gwen zauważyła, że z jednego z przewodów biegnących do kryształów stabilizujących po lewej burcie trysnęły nagle iskry. Połączenie przepaliło się w końcu, przeciążone nadmiarem przepływającej przez nie energii przy braku wsparcia sprawnie funkcjonujących systemów. Lewa burta *Drapieżcy* opadła nagle o dobre dwie stopy. Potężny wstrząs obalił Gwen na jedno kolano. Nogę dziewczyny przeszył ból.

Grimm również padł na kolana, ale nawet na moment nie utracił skupienia.

- Unikanie wzlotem, panie Kettle! Zrefuj się po prawej burcie! Kettle, obróć statek, żeby działa z prawej burty mogły wesprzeć ogniem *Chwalebnego*!

Kettle podtrzymywany brasami stanowiska pilota zacisnął zęby i skierował *Drapieżcę* w górę, próbując umknąć *Itasce*, która była coraz bliżej, gotowa zadać śmiertelny cios...

...i W tej samej chwili *Chwalebny* wypadł z mezosfery, po czym wystrzelił z pełnej burty do aurorańskiego okrętu. Trzydzieści dział zawyło, strzelając w trzech grupach po dziesięć, szybko, jedna za drugą.

Hałas był zbyt wielki, a światło za jasne, by można było w to uwierzyć. Gwen uniosła ręce, zasłaniając uszy, oczy twarz, gdy wokół szalały gromy i błyskawice. *Drapieżca* obrócił się wokół pionowej osi z gracją pijaka, zwracając swe lżejsze, lecz także śmiercionośne działa w stronę nieprzyjaciela. One również zawyły w ogłuszającej salwie.

Itasca zniknęła za zasłoną z płomieni i skłębionego dymu, którym towarzyszył ogłuszający huk. Gwen nie potrafiła uwierzyć, by jakikolwiek sterowiec mógł się oprzeć tak gigantycznej mocy.

Ale *Itasca* się jej oparła.

Przemknęła swobodnie przez ogień i pioruny. Jej sieć zapłonęła, otaczając ją ze wszystkich stron niczym ogromne halo, a tarcza energetyczna świeciła jaśniej niż tysiąc kryształów luminowych. Niektóre impulsy zdołały się przedostać i trafiony dziób okrętu odkształcił się, jakby jakiś tytan uderzył w niego gigantycznym młotem. Dwa albo trzy działa na pokładzie działowym zmieniły się w tłące się szczątki. Okręt jednak ocalał i jego rufa obracała się już z gracją stanowczo zbyt wielką jak na tak masywny sterowiec. *Itasca* wznosiła się coraz wyżej.

Salwa *Chwalebnego* uderzyła o jej tarczę, ale aurorański okręt obrócił się i skierował ku nieprzyjacielowi nowe, nieuszkodzone fragmenty ochronnej sfery, przyjmując kolejne ciosy niczym doświadczony zabijaka. Po kilku chwilach zwrócił się ku przeciwnikowi lewą burcią i wystrzelił ze wszystkich dział, uderzając tytaniczną salwą w albioński sterowiec.

Pole trafienia było niewielkie i przeciążona tarcza *Chwalebnego* chroniła go słabiej niż tarcza *Itaski*. Pancierz dźwięczał i pękał z trzaskiem, gdy salwa nieprzyjaciela niszczyła sześć dział i rozbiła jeden z trzech masztów na lewej burcie. Następnie seria wtórnych wybuchów, zapewne na którymś ze stanowisk działowych, wybiła od środka dziurę w brzuchu sterowca. Odłamki desek z pokładu i kadłuba posypały się na wszystkie strony, dewastując sąsiednie pomieszczenia.

Ale *Itasca* jeszcze nie skończyła. Zamiast zwolnić, pędziła wciąż naprzód, aż ostry kąt wzlotu zaprowadził ją w punkt położony tuż nad szczytem jarzącej się tarczy *Chwalebnego*. Aurorański okręt

zdołał obrócić się jak znacznie lżejsza jednostka i uderzył w przeciwnika salwą z prawej burty z bezpośredniej odległości. Tarcza i pancerz nie mogły zdziałać zbyt wiele przeciwko tej tytanicznej furii, nadchodzącej z tak bliska i pod stosunkowo niekorzystnym kątem.

Kadłub *Chwalebnego* po prostu zniknął na długości trzydziestu stóp, zamieniając się w obłoki sadzy. Grzbietowy grotmaszt, przecięty w pół, zwałił się na pokład. Huk towarzyszący zniszczeniom zagłuszał ludzkie krzyki, ale wyobraźnia Gwen pomagała jej je usłyszeć, gdy dziewczyna patrzyła na maleńkie sylwetki pochłaniane burzą, która nawet najpotężniejsze ludzkie ciała zmieniała w szklane figurki.

Chwalebny przechylił się na bok, jęcząc i krzycząc z bólu, lecz o dziwo zdołał wytrzymać straszliwe zniszczenia spowodowane przez nieprzyjaciela. Okręt był ranny, ale nie zniszczony. Ciężki pancerz pozwolił mu przetrwać.

Tymczasem *Itasca* wyrównała lot. Jej turbiny parowe pracowały z głośnym rykiem, zwiększając manewrowość okrętu, a aeronauci pracowicie rozwieszali na masztach coraz więcej jedwabiu eterycznego, który zapewni ich sterowcowi dodatkową moc i grację. Choć nie była nietknięta, ucierpiała znacznie mniej niż przeciwnik, który, jak się wydawało, na początku miał nad nią przewagę pod każdym względem. Była gotowa do kontynuowania walki.

- Boże w Niebiosach! - zawołał Kettle bez śladu ironii w głosie. — Tak właśnie powinno się pilotować sterowiec!

- Rób swoje - warknął Grimm. - Zakręć w stronę *Chwalebnego* i schowaj się w jego cieniu. - Głos kapitana przeszedł nagle w ryk: - Działa! Cały czas szarpać sieć *Itaski*! Musimy ją okaleczyć, żeby nie mogła strzelać w dziury, które zrobiła w pancerzu *Chwalebnego*!

- Szarpać jej sieć, tak jest! - powtórzył porucznik Creedy.

Działa *Drapieżcy* wypaliły głośno, i fragmenty sieci *Itaski* stanęły w płomieniach. Jednakże z ogromnych szpul okrętu rozwijano wciąż nowe płachty. Aurorański sterowiec wytracił impet i przez chwilę unosił się bezwładnie w powietrzu. W tej właśnie chwili potężne działa *Chwalebnego* mogły udzielić należytej odpowiedzi salwie, którą przed chwilą przywitania go *Itasca*.

- Ha! - zawołał Grimm, zaciskając pięść. — Jeszcze możemy ją załatwić.

- Flaki i zgnilizna! - warknął z nagłą furią Kettle. - Kapitanie, spójrz na *Chwalebnego*!

Grimm odwrócił nagle głowę i spojrzał na krążownik liniowy Floty. Z tak wielkiej odległości ogłuszone uszy Gwen ledwie słyszały donośne, gorączkowe bicie w dzwon. Minęła sekunda czy dwie, dziewczyna rozpoznała tę samą kadencję, która na *Drapieżcy* zapowiadała nagłe manewry.

Po paru dalszych sekundach *Chwalebny* runął nagle we mgłę, uciekając panicznie w dół.

Oszołomiona Gwen śledziła wzrokiem rannego lewiatana. Po chwili po *Chwalebnym* pozostał jedynie powolny wir skłębionej mgły.

- Tchórz! — zawył Kettle. — Niech cię szlag, Rook, ty tchórzku o zżartym zgnilizną kroczu! Myślałeś, że możesz pokonać takiego przeciwnika jak *Itasca*, nie odnosząc przy tym kilku ran?

Gwen ze zdumieniem pokręciła głową. Jej spojrzenie powędrowało ku kapitanowi Grimmowi.

Ten nadal gapił się w punkt, w którym zniknął *Chwalebny*, podobnie jak Gwen przed chwilą.

Dziewczyna wyczytała prawdę w jego wypełnionych przerażeniem oczach.

Chwalebny celowo skazał *Drapieżcę* na śmierć.

Gwen z oddali słyszała triumfalne, radosne krzyki aeronautów z *Itaski*. Trudno było się im dziwić. Przed chwilą pokonali atakującego z zaskoczenia nieprzyjaciela, zmuszając go do ucieczki spod błękitnego nieba i skrycia się we mgłę.

Itasca zaczęła się obracać, kierując swe działa ku kruchemu, okaleczonemu *Drapieżcy*.

ROZDZIAŁ 68

SHA *Drapieżca*

Grimm przyglądał się *Itasce* zwracającej się ku nim z głośnym dźwiękiem turbin parowych, przygotowując się do salwy, która rozbije na drobne kawałeczki *Drapieżcę* z całą jego załogą.

Podobnie jak wszystko, co robiła *Itasca*, manewr wykonano bezbłędnie. Grimm widział w oddali sylwetki oficerów stojących na mostku nieprzyjacielskiego okrętu, w tym również kapitana w wysokim kapeluszu na głowie. Na jego ciemnoczerwonym mundurze widniała biała plama - być może ręka na temblaku? Część otwierającej walkę salwy *Chwalebneho* musiała się przedrzeć przez tarczę *Itaski* i gorąco albo odłamek zraniło go w rękę. Nadal jednak stał tam, gdzie powinien stać kapitan, i wykonywał swe obowiązki. Grimm musiał poczuć do niego szacunek.

Jeśli mają go strącić z nieba, przynajmniej nie zrobi tego tchórzliwy, zawdzięczający swą pozycję wyłącznie nepotyzmowi półgłówek, taki jak Rook, albo obdarty, nieudolny i zdesperowany pirat. Ta myśl pocieszyła go nieco.

Rzecz jasna było też oczywiste, że on i jego okręt nie zginą bez walki.

Nie był już w stanie umknąć nieprzyjacielowi. *Itasca* odstrzeliła połowę sieci *Drapieżcy*, poważnie ograniczając jego prędkość, podczas gdy większy okręt miał na szpulach mnóstwo zapasów jedwabiu eterycznego. Grimm mógł rozkazać swym ludziom rozwinąć żagle, ale wiatr nie był przychylny i napędzana turbinami *Itasca* rozprawi się z nimi, nim ożaglowanie w czymkolwiek im pomoże.

Nie był w stanie uciec w tradycyjny sposób. Znajdowali się zbyt wysoko nad poziomem mgły, by próbować czegokolwiek poza nurkowaniem, które prawdopodobnie okazałoby się samobójstwem, zwłaszcza że jeden z ich kryształów stabilizujących odmówił posłuszeństwa. Jeśli już o tym mowa, szybki wzlot mógłby się okazać równie niebezpieczny.

Wdanie się w wymianę ognia z *Itascą* byłoby całkowicie czczym gestem. Jakiś fartowny strzał mógłby się przedostać przez słabszy punkt w tarczy aurorańskiego okrętu - który przed chwilą toczył zawziętą walkę na bliski dystans z *Chwalebny* - ale było mało prawdopodobne, by impuls kierowany wyłącznie szczęściem zesłanym przez Miłosiernych Budowniczych, Archaniołów i samego Boga w Niebiosach zdołał spowodować poważne uszkodzenia. Równie wielkiego szczęścia potrzebowaliby, żeby uniknąć zniszczenia przez jedną salwę burtową *Itaski*.

Grimm odwrócił głowę i spojrzał na banderę Albionu, powiewającą na zimnym wietrze na grzbietowym grotmaszcie. Mógłby ściągnąć ją z masztu. Profesjonalista klasy kapitana *Itaski* niemal na pewno uhonorowałyby uniwersalny gest poddania się, stosowany we wszystkich bitwach powietrznych. Rzecz jasna oznaczałoby to utratę *Drapieżcy*. Auroranie uczyniliby go swoim przem albo stracili na powierzchnię, co byłoby usprawiedliwionym aktem wojny. Dusza Grimma rozpaczliwie sprzeciwiała się tej myśli.

Cóż jednak mu pozostało?

- Kapitanie Grimm? - zapytała nagle panna Lancaster. - Co to za dźwięk?

Grimm zmarszczył na moment brwi, a potem przechylił głowę, nasłuchując z uwagą. Uszy nadal wypełniał mu zgiełk niedawnej bitwy, ale... tak jest, z góry dobiegał jakiś dźwięk.

Brzmiał jak odległe trąby.

I zbliżał się prosto od strony oślepiającego, przedpołudniowego słońca.

Grimm odwrócił się błyskawicznie i spojrzał na *Itaskę*. Aurorański okręt poruszał się z donośnym łoskotem maszyn parowych oraz rykiem turbin i kapitan *Drapieżcy* uświadomił sobie, że nieprzyjaciela ogłuszył jego własny napęd. Czy miał jeszcze czas?

Tak jest, mógł go mieć.

Grimm poczuł, że usta rozciągają mu się w uśmiechu, odsłaniając zęby.

- Zwrot na lewą burzę, panie Kettle - ryknął. - Cała naprzód! Musimy wyprzedzić jej obrót! Działa!

Ogień sekwencyjny na mostek *Itaski*!

— Sir? — odkrzyknął Creedy.

Grimm słyszał niedowierzanie w głosie młodego oficera.

Nie tylko rozkazano mu celować prosto w mostek nieprzyjaciela, co było niehonorowe i z reguły mało skuteczne, ale ogień sekwencyjny — kolejne strzały z jednego działa po drugim - nic na tę odległość nie zdziała przeciwko potężnej tarczy *Itaski*. W gruncie rzeczy będzie się to równało pokazowi ogni sztucznych.

-To rozkaz, panie Creedy! - ryknął Grimm. - Ognia!

Pierwszy oficer powtórzył rozkaz i po chwili działa *Drapieżcy* rzuciły wyzwanie *Itasce*. Na tarczy przy jej dziobie wykwitły płomienne eksplozje, zasłaniając widok z mostka.

- Kapitanie! — Z tuby głosowej dobiegł wrzask bliskiego furii Journeymana. - Zestaw kryształów stabilizujących lewej burty za chwilę padnie! Musimy uciec w jakieś spokojne miejsce, wyrównać lot i odciąć dopływ mocy!

- Zrozumiałem! - odkrzyknął Grimm. — Przygotuj się do odcięcia dopływu mocy do zestawu kryształów lewej burty.

- Co? - warknął Journeyman.

Kapitan zwrócił się ku pannie Lancaster i zacisnął mocniej jej pasy bezpieczeństwa, sprawdzając każdy po kolei.

- Przepraszam, panno Gwen...

Spojrzała na niego, otwierając szeroko oczy.

- Kapitanie?

- Proszę, trzymaj się mocno tych pasów obiema rękami i nie próbuj ich poprawiać.

Itasca kontynuowała obrót, starając się skierować ku nim niszczyielskie działa, choć Kettle cały czas ją wyprzedzał, zataczając krąg wokół nieprzyjacielskiego okrętu. Na dłuższą metę jednak nic to nie mogło dać. Aurorański okręt zredukował już nieco prędkość, by skierować większą część mocy do bocznych dysz turbin. To pozwoli mu obracać się szybciej i osiągnąć *Drapieżcy* salwą z lewej burty.

Pierwsze trzy działa miały już go w zasięgu i wystrzeliły kule gniewnego ognia. Uzbrojenie *Itaski* było znacznie potężniejsze niż lekkie działa *Drapieżcy* i gdy nieprzyjacielski ogień rozprysnął się po tarczy albiońskiego statku, cała sfera rozjarzyła się jaskrawozielonym blaskiem. Ryk wystrzałów wstrząsnął Grimmem aż do kości. Kapitan niemalże czuł nieustępliwą determinację swego statku, jego uporczywą walkę o przetrwanie. Wyczuwał też jednak żar nieprzyjacielskich pocisków, który przenikał przez tarczę. Wiatr przynosił ze sobą intensywną woń ozonu.

Drapieżca nie przestawał ostrzeliwać okolicy mostka *Itaski*. Grimm wiedział, że to zachowanie sugeruje, że próbuje ocalić swój statek, desperackim ciosem ucinając głowę nieprzyjacielowi. Taką taktykę często spotykało się w opowieściach i sztukach teatralnych, ale w prozaicznej rzeczywistości pola bitwy trudno było wycelować z taką precyzją, tarcze nie ustępowały tak łatwo pod ciosami, a zdeterminowanemu przeciwnikowi łatwiej było się przebić przez osłony na śródkręciu, niż próbować bezpośredniego trafienia w mostek.

Celem Grimma nie było jednak spowodowanie zniszczeń na *Itasce*. Planował coś bardziej

niebezpiecznego. W końcu nieprzyjaciel już był głuchy.

A on pragnął w dodatku go oślepić.

Itasca wytraciła jeszcze więcej prędkości, by dodatkowo przyspieszyć obrót. Jej opancerzone burty lśniły w blasku słońca. Próbowwała wycelować swe działa w mniejszy i zwinniejszy statek niczym kot kręcący się wkoło, by dopaść umykającą na wszystkie strony mysz. Serce Grimma biło gorączkowo z czystego przerażenia. Czuł, że wzajemne położenie obu jednostek się zmienia i coraz więcej nieprzyjacielskich dział jest w stanie osiągnąć *Drapieżcy*. Zdawał sobie sprawę, że jego statkowi zostały tylko sekundy życia. Kapitan *Itaski* był zdeterminowany dokończyć to, co zaczął przed kilkoma tygodniami. Nie obchodziło go nic poza zniszczeniem przeciwnika.

Dlatego właśnie nie zauważył zagrożenia, nim przenikliwy dźwięk trąb przebił się w końcu nawet przez łoskot napędu *Itaski* i zawodzenie dział *Drapieżcy*.

Okręt komandora Alexandra Bayarda, ciężki krążownik OFA *Waleczny*, opadł od strony słońca pod kątem dorównującym ostrością niemal nurkowaniu bojowemu znacznie lżejszej jednostki. Jej okrzyk bojowy był czystym hejnałem trąbki. Po jego bokach leciały dwa pozostałe okręty z eskadry -OFA *Grzmiący*, którego głos był rykiem burzy, oraz OFA *Zwycięski*, którego drzewca drżały w miarowym rytmie potężnego bębna bojowego.

Załoga *Drapieżcy* przywitała ten widok rykiem czystej furii. Trzy albiońskie ciężkie krążowniki wykonały zwrot z koordynacją godną trupy tancerzy, kierując burty w stronę *Itaski*. Czterdzieści pięć dział wystrzeliło niemal jednocześnie z nagłym błyskiem i hałasem.

Odległość była bardzo niewielka. Bayard wprowadził swoje okręty między statek Grimma a *Itaskę*.

Albiońskie salwy uderzyły w osłabioną już tarczę aurorańskiego sterowca, przebiły się przez nią, rozbijając się na kadłubie. Masywny pancierz *Itaski* był w stanie wytrzymać strzały z broni, której teraz przeciwko niej użyto, choćby i z tak niewielkiej odległości, ale nawet *Itasca* nie mogła zignorować powitalnej salwy Bayarda. Jego działa wybiły wielkie dziury w jej zewnętrznym kadłubie. Wszystko, co znajdowało się po drugiej stronie, stanęło w płomieniach. Prawie połowa lewej burty po prostu zniknęła, zmieniając się w chmurę popiołu, ognia, węgielków i rozżarzonych odprysków pancerza.

Załoga aurorańskiego okrętu była jednak zbyt zdyscyplinowana, by się okazać bezsilną, nawet w obliczu błyskawicznego i niemal bezbłędnego klasycznego ataku przeprowadzonego przez Bayarda. W tej samej chwili, gdy eskadra krążowników otworzyła ogień, działa *Itaski* odpowiedziały z głośnym wyciem. Cały ciężar salwy spadł na *Grzmiącego*.

Ciężkie działa krążownika liniowego z łatwością uporały się z tarczą lżejszej jednostki. Większa gęstość ognia *Itaski* oznaczała też, że albioński okręt nie miał szans. Choć jego zewnętrzny kadłub wzmocniono powleczoną miedzią stalą, z tak niewielkiej odległości i przy tak potężnych działach równie dobrze mogłoby to być szkło. Wybuchy wybiły w pancierzu ciężkiego krążownika dziurę tak wielką, że mógłby przez nią przelecieć jacht, i wypadły po drugiej stronie, ciągnąc za sobą fontannę odłamków pancerza, ognia oraz płonącego drewna. Jedna salwa wystarczyła, by zniszczyć cały sterowiec.

Grimm zauważył, że zestaw kryształów stabilizujących po prawej burcie *Grzmiącego* eksplodował w serii małych rozbłysków. Również rufowy kryształ wznoszący krążownika przestał działać i okręt opadł nagle na rufę i prawą burtę. Pokład przechylił się niebezpiecznie i *Grzmiący* zaczął szybko opadać. Drewniany kadłub nie był w stanie wytrzymać takiego obciążenia i jego grzbiet się złamał z trzaskiem głośnym jak huk wystrzału z działa. Tylna połowa okrętu po prostu runęła w dół i zaplątała się w długą sieć z jedwabiu eterycznego, ciągnąc przednią część płonącego, skazanego na zagładę sterowca coraz dalej ku ziemi. Krążownik zniknął we mgle, ale jakiś cechujący się szybkim refleksem aeronauta zdążył wyrzucić boję alarmową - składającą się wyłącznie z kolorowego proporca przytwierdzonego do małego kryształu wznoszącego.

- Przenieść ogień na sieć! - ryknął Grimm. - Musimy dać komandorowi szansę zgniecenia przeciwnika!

- Ogień na nieprzyjacielską sieć, tak jest! - powtórzyl Creedy i działa *Drapieżcy* zaczęło szarpać sieci *Itaski*, nie pozwalając jej rozwinąć prędkości większej niż ta, którą zapewniały turbiny.

Aurorański sterowiec nie przestawał się obracać, próbując osłonić uszkodzoną burtę przed nieprzyjacielem, ale *Waleczny* i *Zwycięski* rozdzieliły się niczym dwa wilki krążące wokół drzewozwała. Ałbiońskie okręty nie były w stanie powstrzymać opadania na tak krótkim odcinku, zeszyli więc poniżej *Itaski* po obu jej stronach, obracając się jednocześnie wokół osi, by działa któregoś z nich zawsze były zwrócone ku nieprzyjacielowi. W odpowiedzi *Itasca* skierowała nieuszkodzoną prawą burtę ku *Zwycięskiemu* odsłaniając brzuch przed *Walecznym*.

Działa po drugiej burcie *Itaski* wystrzeliły pierwsze, celując w *Zwycięskiego*. Artylerzyści najlepszego krążownika liniowego Kasztelu Aurora znali się na swojej robocie, ale otworzyli ogień pod niekorzystnym kątem i ich strzały były rozproszone. Tarcza *Zwycięskiego* rozjarzyła się jaskrawoszmaragdowym blaskiem, zatrzymując większą część nieprzyjacielskiego ognia, ale to, co się przedostało, wystarczyło, by rozbić w drzazgi maszty na grzbiecie i prawej burcie, a także wybić wielkie dziury w prawym pokładzie działowym, spowodować straszliwe straty wśród artylerzystów i podpalić większą część prawej burty okrętu.

Zwycięski i *Waleczny* wystrzeliły raz jeszcze, ale salwa tego pierwszego była połowę słabsza niż zwykle. Tarcza i potężny pancierz *Itaski* pozwoliły jej wytrzymać atak, choć kadłub aurorańskiego okrętu zadźwięczał niczym potężny gong, gdy uderzyła weń furia *Zwycięskiego*.

Tymczasem *Waleczny* przetoczył się do niemal poziomej pozycji, przelatując poniżej *Itaski* i skierował ostrzał sekwencyjny na jej odsłonięty brzuch.

Tarcza *Itaski* wytrzymała sześć pierwszych trafień, ale potem artylerzyści Bayarda zaczęli wybijać wielkie dziury w jej pancerzu. Zniszczyli też jej przednie brzuszne maszty. Ich strzały wnikały coraz głębiej, niczym nóż wbity pod żebra i zmiierzający ku sercu.

Itasca drżała coraz silniej, ale przyjmowała tylko kolejne ciosy, nadal kierując działa prawej burty ku *Zwycięskiemu*. Po chwili wszystkie zostały naładowane i zawyły znowu.

Druga salwa nie była zbyt celna, ponieważ regularne wstrząsy powodowane przez ostrzał Bayarda przeszkadzały artylerzystom, ale wystarczyła, by dobić ранego *Zwycięskiego*. Choć krążownik próbował odwrócić zmasakrowaną burtę, zdołał jedynie skierować ją w dół, odsłaniając przed nieprzyjacielskim ogniem jedyny słabo opancerzony pokład. Tarcza pękła, syjąc monstrualną fontanną iskier, i ciężkie działa aurorańskiej jednostki rozerwały wielkie fragmenty pokładu wywołując dziesiątki pożarów w pozbawionym osłony wnętrzu.

Zwycięski osunął się nagle w dół, jak człowiek uderzony ciężkim młotem. W jego prawy zestaw kryształów stabilizujących z pewnością uderzyła fala mocy, bo krążownik obrócił się gwałtownie i zaczął koziółkować. Opadał coraz niżej, płacząc się beznadziejnie we własną sieć.

Itasca ponownie zadrżała. Nie przestawała się obracać, opadając z gracją stanowczo za dużą jak na tak wielki okręt. Jej parowe silniki nie przestawały działać, kierując działa nietkniętej prawej burty ku *Walecznemu* niczym ociężały, niepowstrzymany lewiatan, przygotowujący się do pożarcia ostatniego z mniejszych przeciwników.

Zgodnie z zasadami Bayard powinien zwiększyć prędkość, by wyprzedzić obrót *Itaski*, jak przed chwilą robił to Grimm. Jednakże komandor skierował swój okręt w przeciwną stronę, jakby pragnął uciec.

Na pierwszy rzut oka można było pomyśleć, że to głupi manewr, jakiego można by się spodziewać po spanikowanym dowódcy statku handlowego albo kapitanie żółtodziobie, który pierwszy raz bierze udział w bitwie. W ten sposób *Waleczny* szybciej znajdzie się na celownikach *Itaski* i nie zdoła oddalić się w wystarczającym stopniu, by utrudnić jej artylerzystom celowanie. Co gorsza, odsłoni większą część rufy, na której pancierz był cieńszy, a nadbudówka bardziej narażona na atak. Grimm niemalże widział ekscytację kapitana *Itaski*, dostrzegającego szansę skierowania dział na ostatniego z poważnych

przeciwników i zniszczenia go.

Ale w ten sposób odsłoni przed *Drapieżcą* dziurę w swym brzuszny pancerzu.

- Kettle! - zawołał Grimm.

- Tak jest! - odkrzyknął pilot. On również dostrzegł tę szansę.

Zwrotny *Drapieżca* obniżył lot, wsuwając się w martwą przestrzeń w cieniu *Itaski*, dokąd nic mogły sięgnąć działa krążownika liniowego. Jeśli jednak aurorański okręt się obróci, *Drapieżcę* pochłonie oślepiające uderzenie gromu.

- Creedy! - zawołał Grimm. - Przygotuj się do salwy!

- Salwa, tak jest! - krzyknął pierwszy oficer,

- Panie Journeyman! - ryknął kapitan do tuby głosowej. - Odetnij lewy zestaw kryształów stabilizujących!

Grimm poczuł, że kryształy stabilizujące po lewej burcie nagle przestały działać. Pokład *Drapieżcy* w jednej chwili uniósł się do pionu. Ten ruch był szokiem dla upręży i wstrząsem dla jego żeber. Z ust panny Lancaster wyrwał się ostry krzyk zaskoczenia. Szybko jednak stłumiła podszyty strachem głos.

Działa prawej burty *Drapieżcy* zwróciły się ku oddalonemu o pięćdziesiąt jardów brzuchowi *Itaski*.

- Ognia! - ryknął Grimm.

Wszystkie działa zawyły niczym jedno.

Nie było tu tarczy, która mogłaby powstrzymać lżejsze ładunki, jakie były w stanie miotać działa *Drapieżcy*, a cięższa broń *Walecznego* zadała już straszliwe uszkodzenia zarówno opancerzonemu kadłubowi *Itaski*, jak i jej wewnętrznemu pancerzowi. Pod otwartym niebem działa *Drapieżcy* zapewne pozostawiłyby tylko rozżarzone do czerwoności zagłębienia w zewnętrznym pancerzu nieprzyjaciela, ale w ciasnych pomieszczeniach wnętrza sterowca salwa lżejszej jednostki eksplodowała ze straszliwą furją. Ze stosunkowo niewielkiego otworu w kadłubie wytrysnęła struga ognia.

Itasca zakołysała się gwałtownie. Salwa wystrzelona w kierunku okrętu Bayarda rozproszyła się bezładnie na wszystkie strony. Ryk dysz aurorańskiego okrętu ucichł nagle. Przez kilka sekund pod niebem było słycać jedynie skrzypienie drewna, buzowanie ognia oraz odległe sapanie parowych silników *Walecznego*.

Nagle kocioł *Itaski* eksplodował z hukiem przypominającym potężne uderzenie gromu.

Fala uderzeniowa runęła na *Drapieżcę* niczym ogromna muskularna dłoń, wybijając powietrze z płuc Grimma. Kapitan spróbował wydać rozkaz Kettle'owi, ale z jego ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Jednakże pilot obniżał już lot, wysuwając się jednocześnie spod *Itaski*.

Eksplozja całkowicie zdeformowała ogromny opancerzony okręt. Podmuch zniekształcił i powyginał metalowe płyty kadłuba, rozdzierając je w dziesiątkach miejsc. Maszty aurorańskiego sterowca rozpadły się na kawałki, a liczne kryształy stabilizujące przestały działać. *Itasca* przechylała się mocno na bok i dryfowała, obracając się powoli wokół osi. Bezradni aeronauci zwisali na linach bezpieczeństwa. Cały lewy pokład działowy pochłonął ogień. Członkowie załogi uciekali z wrzaskiem przed płomieniami. Wielu ginęło, unieruchomionych przez mające zapewnić im bezpieczeństwo upręże.

Gwizdek parowy *Walecznego* zadzwieczał triumfalnie. Albioński okręt zawrócił, zbliżając się do nieprzyjaciela kursem, który nie narazi go na salwę z ocalałego pokładu działowego. Jedno z dział pościgowych Bayarda oddało strzał ostrzegawczy nad dziobem *Itaski*.

— Wstrzymać ogień! - zawołał Grimm.

- Wstrzymać ogień, tak jest! — potwierdził Creedy przy działach.

Przez długą chwilę *Itasca* unosiła się w powietrzu niczym ogromna ogłuszona bestia, zbyt oszołomiona, by zrozumieć sytuację, w której się znalazła. Grimm słyszał rozkazy wykrzykiwane gorączkowo na pokładzie nieprzyjacielskiego sterowca.

Potem bandery zsunęły się z kilku ocalałych masztów aurorańskiego okrętu i umknęły z wiatrem.

Drapieżca znalazł się przed *Itaską* i Grimm widział jej kapitana na przechylającym się mostku. Trzy

mocno napięte liny bezpieczeństwa nie pozwalały Auroraninowi spaść. Był wysokim, szczupłym mężczyzną, mniej więcej w tym samym wieku co Grimm, o ogorzałej twarzy i srebrnej smudze w czarnych poza tym jak węgiel włosach. Spojrzał na Grimma, a potem skinął głową, odpiął schowany w pochwie miecz i wysunął go ku *Drapieżcy*, rękojeścią do przodu.

Grimm wyprostował się, na ile było to możliwe w niemal pionowej pozycji, w jakiej zwisał na linach bezpieczeństwa, zdjął kapelusz i skinął krótko głową w odpowiedzi.

Itasca się poddała.

Bitwa była skończona.

ROZDZIAŁ 69

SHA Drapieżca

Gdy Benedict poruszył się na posłaniu, Bridget obudziła się niemal natychmiast.

Wyprostowała się na krześle i jak zwykle uniosła rękę, by otrzeć usta dłonią. Miała okropną tendencję do ślinienia się, kiedy głęboko spała. Zapomniała jednak, że jest ranna, i omal nie wybiła sobie zębów, gdy uderzyła się w usta gipsem, który miała na przedramieniu i nadgarstku.

Wysyczała przekleństwo, uniosła zdrową rękę i potarła bolące miejsce. Tego tylko brakowało, by Benedict po przebudzeniu zobaczył ją z rozciętą i opuchniętą wargą.

Młody genetyczny wojownik poruszył się raz jeszcze i wydał z siebie cichy jęk. Zadrżał i poruszył rękami, ale powstrzymały go pasy siennika, na którym leżał. Otworzył oczy i rozejrzał się wkoło mętym wzrokiem.

W izbie chorych było tłoczno. Przypięci do sienników ludzie zajmowali niemal całą podłogę. Doktor Bagen, który po bitwie pracował niemal przez całą dobę bez chwili przerwy, leżał w hamaku zawieszonym w kącie pomieszczenia i chrapał z głośnością nadciągającej burzy. W drugim hamaku, zawieszonym w przeciwległym kącie, spał mistrz Ferus. Dłonie skrzyżował na brzuchu, a na ustach miał lekki, zadowolony uśmiešek. Folly zwinęła się w kłębek na wolnym miejscu pod hamakiem swego mentora, między jego dwoma wózkami, i spała z rozchylonymi ustami.

- Nie próbuj jeszcze siadać - ostrzegła Bridget Benedicta. - Zaczekaj. Daj, ja to rozepnę.

Pochyliła się i rozpięła pasy przytwierdzające młodzieńca płasko do siennika. Benedict zaczerpnął głęboko tchu i uniół ręce, by otrzeć sobie twarz. Potem je opuścił, i jego oczy odzyskały ostrość. Na moment pojawiło się w nich coś dzikiego i niebezpiecznego. Gdy zatrzymały się na Bridget, dziewczyna odniosła wrażenie, że ledwie go poznaje.

Na szczęście Bagen przygotował ją z góry na to, jak może zareagować genetyczny wojownik po tym, jak po bitwie przez dwa dni był nieprzytomny. Przyspieszony metabolizm Benedicta pracował na pełnych obrotach przez cały ten czas. Młodzieniec sprawiał teraz wrażenie bardziej wygłodzonego i niebezpiecznego niż kiedykolwiek dotąd.

Bez słowa podała mu wielki kufel, który stał obok. Niemalże wyrwał jej naczynie z rąk, ściskając je niezgrabnie w poparzonych, obandażowanych dłoniach. Wypił wodę z pragnieniem tak gwałtownym, że część wylała mu się z kącików ust. Kiedy opuścił kufel, Bridget odsłoniła miskę z gęstym gulaszem oraz mały bochenek chleba, które czekały na niego razem z wodą. Usiadł i wyrwał jej posiłek, odstaniając zęby z głośnym warknięciem, a potem zaczął pożerać gulasz prosto z miski, jakby musiał jak najszybciej wprowadzić go do ust. Popychał łyki gulaszu potężnymi kęsami chleba, niemalże nie żując ich przed przełknięciem.

Zgodnie z radą doktora Bagena siedziała zupełnie nieruchomo, kiedy Benedict jadł. Nie odzywała się ani słowem i w ogóle nic nie robiła. Nawet nie zaproponowała, że odstawi miskę, kiedy najwyraźniej skończył posiłek.

Dopiero gdy pochłonął gulasz i chleb, dzikość zgasła w jego oczach. Zamrugał kilka razy, a potem znowu skierował spojrzenie na Bridget. Dolną połowę twarzy pokrywały mu ślady jedzenia. Uniół rękę ku ustom w krótkim, przerwany geście i w jego oczach pojawiło się coś przypominającego wstyd.

- Ach - rzekł cichym ochryplym głosem. - Przepraszam, panno Tagwynn. Nie byłem sobą.

- Wszystko w porządku - zapewniła. — Jak się czujesz?

- Okropnie. - W głębi jego oczu znowu pojawiło się coś mrocznego, ale po chwili zniknęło. - Gdzie jesteście? — zapytał.

- Na pokładzie *Drapieżcy*, w izbie chorych.

Rozejrzał się wkoło.

- Ach. A jak się tu znalazłem? Ostatnie, co pamiętam, to jak byliśmy w świątyni.

- Zemdlałeś od jadu tkaczy jedwabiu - odparła cicho Bridget. - Wiedzieliśmy, że mistrz Ferus może ci pomóc i innym ukąszonym również.

Dlatego kapitan zebrał wszystkich na pokładzie i wyruszył, by odzyskać sprzęt eteryka.

- Najwyraźniej mu się udało - zauważył Benedict. - Co się wydarzyło? - Otworzył szerzej oczy i nagle usiadł zupełnie prosto. - Bridget, co się stało z twoją twarzą? I z ręką?

Unióśł dłoń i dotknął siniaka na jej policzku.

Jego dotyk był lekki, a koniuszki palców gorące i trochę szorstkie. Serce omal się jej nie zatrzymało.

W tej samej chwili Benedict zeszywniał nagle. Młodzieniec opuścił rękę i odchrząknął.

- Hmm. To znaczy, jeśli chcesz mi o tym opowiedzieć.

- Dostałam w twarz, kiedy świątynia waliła się nam na głowy - odpowiedziała Bridget. Formalnie rzecz biorąc, była to prawda. Uniosła rękę w gipsie. - A to stało się już podczas bitwy.

- Jakiej bitwy?

- Och, doścignęliśmy *Rekina Mgieł*, zwycięzcę Wyścigu Olimpijskiego i stoczyliśmy z nim walkę. Potem biliśmy się z czymś, co się nazywa *Itasca*, w towarzystwie kilku okrętów Floty. Udało się nam zdobyć tę *Itascę*, co najwyraźniej jest wielkim osiągnięciem, i teraz wracamy wszyscy do domu.

Odnosiła wrażenie, że brzmi jak okropnie nerwowe dziecko, po raz pierwszy recytujące wiersze przy kolegach z klasy. Wiedziała, że mówi za szybko, ale nie była w stanie się powstrzymać.

Benedict zmarszczył brwi i pokręcił głową.

-Jak... jak to się stało, że zraniłaś się w nadgarstek?

- Statek manewrował, a ja starałam się utrzymać w rękach Rowla. Nie miałam pojęcia, że ruchy mogą być aż tak gwałtowne. - Pokręciła głową, czując, że się rumieni. — To nic, naprawdę.

- A gdzie się podział Rowl?

- Na razie ze mną nie rozmawia. Obawiam się, że jego duma doznała uszczerbku. Ale przejdzie mu. Z czasem.

Benedict uśmiechnął się blado.

- A Gwen?

- W porządku — odparła Bridget. — Ona jest naprawdę dobra.

Młody genetyczny wojownik uniósł brwi, słysząc jej zamyślony ton.

- To prawda - przyznał cicho. - Jest arogancka i uparta, niekiedy bywa nieostrożna i nie chce przyjąć do wiadomości, że może się mylić, ale pod tymi wszystkimi irytującymi cechami kryje się dobre serce. Choć niekiedy dość głęboko.

Bridget parsknęła cichym śmiechem i pokiwała głową.

- Zawsze się z niej nabijasz.

- Ktoś musi to robić. Inaczej do końca przewróci się jej w tej lancasterskiej łepetynie.

Przez chwilę wpatrywał się w Bridget z uśmiechem. Potem, poruszając się bardzo ostrożnie, Benedict Sorellin ujął ją za rękę i położył jej dłoń wewnętrzną stroną na swych gorących palcach.

Następnie przykrył ją drugą dłonią i ścisnął mocno. Serce Bridget zabiło gwałtownie. Poczowała, że znowu się rumieni, i z uśmiechem wpatrywała się w podłogę.

Zamknęła jednak palce wokół jego palców. Jego silny, lecz ostrożny uścisk wzmocnił się w odpowiedzi.

To zdumiewające, pomyślała. Nie czuła potrzeby, by cokolwiek powiedzieć. Benedict najwyraźniej również nie. Jej dłoń spoczywała w jego dłoni i to mówiło wystarczająco wiele. Była wyczerpana i miała za sobą kilka okropnych dni, ale teraz siedziała cicho obok Benedicta i trzymała go za rękę. Od wielu miesięcy nie czuła się równie szczęśliwa.

Gwen stała bardzo cicho na wietrznym pokładzie. Miała na oczach gogle i wpatrywała się w wielką platformę towarową *Itaski*, wypełnioną ofiarami pierwszych dni wojny.

Nie było miejsca, by porządnie ułożyć ciała wszystkich poległych obok siebie. Owinięto je w płachty i zwalono na stos niczym szczapy drewna. Albionczycy i Auroranie spoczywali razem. Platforma unosiła się w odległości stu jardów od *Drapieżcy*, przywiązana do niego liną.

Na pokładzie *Drapieżcy* panował tłok. Oficerowie z *Itaski* stali w szeregu. Nie mieli broni. Wszyscy byli odziani w mundury galowe, podobnie jak oficerowie z *Walecznego* i *Zwycięskiego* oraz jedyny ocalały oficer z *Grzmiącego*.

- Bóg w Niebiosach raczył zabrać dusze tych ludzi z naszego świata - zaczął kapitan Grimm spokojnym głosem, trzymając w dłoniach kapelusz - ich ciała zaś oddajemy teraz wiatrom, ziemi oraz prochowi, z którego powstały i w który się obróca, czekając z nadzieją na ów błogosławiony dzień, gdy sam Bóg w Niebiosach zstąpi głośno na ziemię przy akompaniamencie trąb i głosów Archaniołów, i gdy to, co jest, przestanie być na wieki. Wtedy ci, którzy nadal tu żyją, ujrzą nowy świat zrodzony z tego padołu łez i połączą się z nimi w pokoju. Amen.

- Amen - powtórzył chórem tłum zgromadzonych tu oficerów, a także aeronautów *Drapieżcy*.
- Pododdział pogrzebowy! - zawołał stojący u prawego boku Grimma Creedy.

Do tego zadania wyznaczono jedno z dział *Drapieżcy*. Tym razem z jego lufy wystrzeliła nie płomienna kometa, lecz małe, gorejące słońce, które opadło z gracją ku platformie, powiększając się szybko. Kiedy w nią uderzyło, rozbłysło światło i rozległo się ogłuszające kasznięcie. W górę wzbiła się chmura złożona z czystego ognia, tak jasna, że Gwen musiała zasłonić oczy dłonią, choć nosiła gogle.

Gdy oczyściła wzrok mruganiem, platforma i ciała zniknęły, zastąpione przez chmurę popiołu i sadzy, rozpraszającą się już szybko na silnym wietrze.

Nastała długa chwila ciszy, podczas której nikt się nie poruszał. Nagle, jak na niewypowiedziany znak, dziesiątki mężczyzn włożyły kapelusze i spokój ceremonii pogrzebowej się skończył. Przez moment wszyscy zachowywali się jak na spotkaniu towarzyskim, pojmani aurorańscy oficerowie rozmawiali spokojnie ze swymi albionskimi odpowiednikami, od których różnili się jedynie mundurami oraz faktem, że żaden z nich nie miał rękawicy ani miecza.

Potem zaczęli wsiadać na szalupy, by wrócić na swoje okręty - na *Walecznego* i *Zwycięskiego*, które holowały uszkodzoną, sparaliżowaną *Itaskę*. Trzy sterowce ruszyły w stronę Kasztelu Albion z drobnym ułamkiem prędkości, z jaką tu przybyły.

Gwen odczekała kilka minut, aż wreszcie zauważyła, że kapitan Grimm wraca do swej kabiny. Poszła za nim i zapukała do drzwi.

- Proszę - rzekł.

Zdjęła gogle i weszła do środka. Grimm siedział za swym stolikiem. Przed sobą miał świeżą stertę czystych kartek oraz kałamarz i pióro. Odsunął je na bok i wstał uprzejmie, żeby przywitać dziewczynę.

- Dobry wieczór, kapitanie.
- W czym mogę ci pomóc, panno Lancaster?

Gwen poczuła, że zaciska ręce na obrąbku żakietu. Nakazała sobie przestać.

- Muszę... z kimś porozmawiać. Ale nie znam tutaj nikogo, kto byłby odpowiedni. Gdybym była w domu, zwróciłabym się do Esterbrooka, ale...

Kapitan przechylił lekko głowę na bok. Potem wskazał jej drugie krzesło i przyciągnął je do stolika. Gwen spoczęła na nim z wdzięcznością.

- Herbaty? - zapytał.

- Nie... nie jestem pewna, czy to jest rozmowa na herbatę - odparła dziewczyna.

Grimm zmarszczył brwi.

- Panno Lancaster, powiedz, proszę, co cię trapi.

-W tym właśnie problem. Nie... nie jestem pewna, co to jest. Dręczy mnie straszliwe uczucie.

Kapitan wciągnął powietrze przez nos.

- Aha. W jakim sensie straszliwe?

Pokręciła głową.

- Kika dni temu zabiłam człowieka. Aurorańskiego oficera. Zrobiłam to celowo. Nie miał szans.

Grimm skinął z namysłem głową.

- I widziałam tę matriarchinię tkaczy. Widziałam... co robiła.

- Mów dalej - poprosił cicho kapitan. Odwrócił się ku szafce, otworzył ją i wyjął z niej butelkę oraz dwie szklaneczki.

- I... i byłam też świadkiem bitwy... - Poczula ucisk w gardle, ale nakazała sobie mówić wyraźniej.

- To było straszne. Kiedy zamykam oczy... Nie jestem pewna, czy muszę zasnąć, żeby mieć koszmary, kapitanie.

- Rozumiem - stwierdził Grimm.

Wrócił do stolika, nalał do obu szklaneczek trochę trunku i podał jedną z nich Gwen.

Dziewczyna gapiła się na szklaneczkę, właściwie jej nie widząc.

- Po prostu... byłam przy tym. Widziałam te rzeczy. A teraz...

- A teraz wracasz do ludzi, którzy ich nie widzieli — zakończył cicho Kapitan.

Zamrugła, a potem spojrzała na niego, otwierając oczy nieco szerzej.

-Tak. Właśnie w tym rzecz. Nie... nie miałam pojęcia, że świat może taki być, zanim tego nie zobaczyłam. I nie poczułam.

Pokręciła głową, nie mogąc mówić dalej.

- I nie wiesz, jak rozmawiać z kimś, kto nie ma o tym pojęcia? - zapytał Grimm, kiwając głową. - Jak wyjaśnić coś, na co nie umiesz znaleźć słów? Jak wytłumaczyć to tym, którzy nie mają punktu odniesienia?

-Tak - potwierdziła Gwen, ponownie czując ucisk w gardle. - Dokładnie tak.

-To niemożliwe - odparł po prostu Grimm. - Ty widziałaś paszczę mgieł, a oni nie.

Gwen zrobiła zdziwioną minę.

- Wi... Aha, zatem to właśnie znaczy ta fraza. Bo w dosłownym sensie wcale jej nie widziałam.

- Tak, to właśnie znaczy - potwierdził Grimm z bladym uśmiechem. -Możesz opisywać swoje przeżycia tak dokładnie, jak tylko zechcesz. Możesz napisać całe książki o tym, czego doświadczyłaś i co wtedy czułaś. Możesz tworzyć wiersze i pieśni na ten temat. Ale ci, którzy nie widzieli tego na własne oczy, nigdy do końca nie rozumieją, o czym mówisz. Niektórzy zauważą wpływ, jaki to na ciebie wywarło, ale nie będą wiedzieli.

- Nie jestem pewna, czy chciałabym, żeby się dowiedzieli - zauważyła z drżeniem.

- Z pewnością nie - zgodził się Grimm. - Nikt nie powinien oglądać takich rzeczy. Po co walczyć, jeśli nie po to, by bronić innych?

Skinęła głową.

- Bałam się, że tracę zmysły.

-To możliwe - przyznał kapitan. - Ale jeśli tak się stanie, nie będziesz sama.

Pozwoliła sobie na błądny uśmiechek.

- Ale co mam zrobić?

W odpowiedzi uniósł szklaneczkę w toaście. Gwen wzięła w rękę swoją i stuknęła się z nim. Oboje wypili. Trunek był złocisty, słodki i mocny. Palił jej przełyk, kiedy go wypiała.

- Jeśli chcesz, możesz porozmawiać o tym ze mną — zaproponował Grimm. — Albo z Benedictem. Albo z panną Tagwynn. Albo z panem Kettle'em, jeśli nie przeszkadzają ci przekleństwa. Wszyscy oni widzieli paszczę mgieł.

-I potrafią z tym żyć? - zapytała Gwen.

- Nie jestem pewien, czy ktokolwiek to potrafi. Ale rozumieją cię. Wiem, że to pomaga. Z czasem robi się łatwiej.

- Wszystko, co zrobiliśmy - rzekła. - Cała ta przemoc i śmierć...

Pokręciła głową, nie potrafiąc wyrazić swych uczuć.

-Wiem - odparł bardzo cicho Grimm. - Musisz sobie zadać pewne pytanie.

- Naprawdę?

Skinął głową.

- Gdybyś wróciła do tych chwil, wiedząc dokładnie to, co wtedy wiedziałaś, to czy postąpiłabyś inaczej?

- Czy nie chciałaś powiedzieć „gdybym wiedziała to, co teraz”?

- Nie - zaprzeczył stanowczo. - Chciałem powiedzieć coś dokładnie przeciwnego. Nie znasz przyszłości, panno Lancaster. Nie możesz zawsze wiedzieć wszystkiego. Decyzje, które podejmujesz podczas walki, można oceniać tylko na podstawie tego, co wiedziałaś wtedy. Oczekiwać od żołnierza czegoś więcej znaczyłoby żądać, by posiadał nadludzkie możliwości, a to nie wydaje mi się rozsądne.

Gwen zamyśliła się, obracając w palcach pustą szklaneczkę.

- Gdybym... gdybym postąpiła inaczej, zapewne już bym nie żyła.

- Sama widzisz — odparł po prostu Grimm.

- Ale czuję się z tym okropnie.

- To dobrze. Tak właśnie powinnaś się czuć. Wszyscy powinni tak się czuć.

- Żołnierze chyba nie powinni.

Pokręcił głową.

- Ten, kto zobaczy paszczę mgieł i nie poczuje się okropnie, przestaje być żołnierzem, panno Lancaster. Staje się... być może czymś w rodzaju potwora.

- Wydaje się, że ty jesteś w porządku - zauważyła.

- Wydaje się. Tak jest. - Uśmiechnął się z lekką nutą goryczy i nalał sobie drugą kolejkę. Podsunął butelkę dziewczynie, ale ona pokręciła głową. Schował butelkę i wypił trunek jednym haustem. - Ale to mylne wrażenie. Po prostu nie mogę na razie sobie pozwolić na luksus załamania nerwowego.

Zapewniam, że z czasem stanę się gadającym od rzeczy wrakiem, ale na razie mam robotę do wykonania. Wiem, co czujesz.

Skinęła głową. Przeszył ją dreszcz, po którym jej ciało zrobiło się nieco mniej napięte i obolałe.

Miał rację. To jej pomogło.

- To dziwne - zauważyła.

- Słucham?

- Nagle poczułam, że bardzo chcę wrócić do domu. Ale... kiedy wrócę, nic już nie będzie takie samo, prawda?

- Wszystko będzie takie samo - zapewnił Grimm. - To ty się zmieniłaś.

- Tak — przyznała cicho.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Potem Gwen wstała i odstawiła szklaneczkę na stół. Kapitan podniósł się razem z nią.

- Dziękuję, kapitanie Grimm - rzekła.

- Nie ma za co — odparł, pochylając głowę w ukłonie.

Rowl przycupnął w swym nowo zdobytym legowisku, zastanawiając się nad tym, co byłoby

większym złem - wrócić do domu w obecnym stanie, czy rzucić się ze statku na ziemię. Fakt, że miał trudności ze znalezieniem odpowiedzi na to pytanie, mówił bardzo wiele o jego sytuacji.

Być może lepiej byłoby skończyć ze wszystkim. Nie mógł wrócić do klanu w takim stanie. Głupi ludzie zbudowali swój statek powietrzny w taki sposób, że okaleczył kota, który chciał tylko ich bronić i służyć im radą. To cud, że nie zniszczyli się sami już przed stuleciami.

Poruszył się i przewrócił na drugi bok. To było dość bolesne. Wnętrze skrzyni cuchnęło czymś przypominającym trociny, ale jej otwarty wylot kierował się ku jednej ze ścian sterowca i przechodzący obok ludzie nie widzieli jego ohydneho kalectwa.

Usłyszał Małamyszkę, po raz czwarty zbliżającą się do skrzyni.

- Rowl — odezwała się. — To śmieszne. Musisz stąd wyjść.
- Zostaw mnie, Małamyszko - odparł. - Rozważam możliwość samobójstwa.
- Chyba żartujesz - obruszyła się.
- Mówię absolutnie poważnie - zapewnił. - Nie mogę wrócić do domu w takim stanie.
- A niech cię licha - mruknęła z westchnieniem Bridget.

Tupot jej ciężkich buciorów oddalił się od skrzyni i Rowl ponownie pograżył się w ponurych rozmyślaniach.

Był już bliski stworzenia perfekcyjnego planu, gdy kroki rozległy się znowu. Ktoś uniósł skrzynię i obrócił ją o dziewięćdziesiąt stopni. Małamyszka pochyliła się i zajrzała do środka z zaszępią miną.

- Rowl, siedzisz tu już od dwóch dni, a tymczasem wylądowaliśmy w Kasztelu Albion. Czy jesteś wreszcie gotowy wyjść z tej skrzyni?

- Nigdy z niej nie wyjdę - odparł przygnębiony kot. — Jestem pokraką.
- Miłosierni Budowniczo! - Małamyszka westchnęła. - Czy wyjdiesz stąd wreszcie i

porozmawiasz ze mą?

Rowl zadrżał. Małamyszka była jego przyjaciółką, ale nie był jej winien wszystkiego. Nie będzie obnosił się ze swym kalectwem dla jej rozrywki.

- Proszę - ciągnęła. - Rowl, zaczynam się o ciebie bać.

Kot przewrócił oczami. To był podstęp. I to marny. Próbowwała zyskać jego współczucie, wykrzywiając swą dziwną, ludzką twarz w grymasie troski i niepokoju. Ale... to był podstęp Małejmyszki.

Wstał, sztywno i niepewnie, a potem zaczął utykać, asymetrycznie i obrzydliwie, by wygramolić się ze skrzyni. Ta okropna rzecz, którą miał na prawej przedniej kończynie i łapie, stukała o drewniany pokład przy każdym wstrętym, krótkim i pozbawionym równowagi kroku.

- Zabijesz mnie, jeśli o to poproszę? — zapytał.
- Nie.

- Jesteś beznadziejną przyjaciółką — skwitował Rowl. Spróbował poruszyć nogą, która okropnie go swędziała, ale deformacja nie pozwalała mu się podrapać. Próbował już przedtem.

- Do licha, Rowl, to tylko gips - stwierdziła Małamyszka. - Kość się zrośnie. Dlaczego tak to przeżywasz?

- Tylko na to spójrz — odparł ze złością kot. — Ohyda. To najohydniejsza rzecz na świecie.

W odpowiedzi Małamyszka bez słowa uniosła własną złamaną rękę, na której miała podobny opatrunek.

Rowl opuścił nieco uszy.

- To nie ma znaczenia. Ludzie zawsze wyglądają głupio i niezgrabnie. Ale ja jestem kotem.

Księciem Cichych Łapek. Nie można tego ze sobą porównywać. I moja głowa. - Potrząsnąłby nią dla emfazy, ale tkanina, którą przytwierdził tam ludzki rzeźnik, nie odpadłaby od tego, a w dodatku, kiedy próbował to zrobić, dziwnie chwiało się na nogach. — Spójrz na moją głowę. Całe futro pod spodem jest wygolone. Wyglądam, jakbym miał parchy.

- Nie masz... ech, Rowl - odparła Małamyszka. - Nie potrzebujesz pomocy w popełnieniu samobójstwa. Potrzebujesz dobrego jedzenia i odpoczynku.

- Nie muszę już interesować się jedzeniem - oznajmił kot.

Przywołał tak wiele swej zrujnowanej godności, ile tylko mógł, i ruszył nieśpiesznie w kierunku wysuniętej w pustkę rufy sterowca.

- Nie — sprzeciwiła się stanowczo Małamyszka.

Dogoniła go w dwóch szybkich krokach i wyciągnęła rękę. Spróbował się uchylić, ale monsturalny gips na przedniej nodze spowolnił jego ruchy. Małamyszka złapała go, zrobiła ze swych rąk kołyskę i przytuliła go delikatnie. Na krótki moment Rowla zalał zachwyt. To było oszukiwanie.

- Małamyszko, gniesz mi futro - odezwał się po chwili.

Przytuliła go trochę mocniej.

-Tak. Jesteś moim najstarszym przyjacielem. Bez ciebie byłabym zagubiona.

O tym Rowl dotąd nie pomyślał.

- Oczywiście - przyznał.

- Jeśli chcesz, możesz ze mną zostać, dopóki doktor Bagen nie powie, że można zdjąć gips. Nikt z twojego plemienia nie musi cię widzieć.

- Próbujesz przekupstwem odwieść mnie od honorowej śmierci — oskarżył ją surowym tonem Rowl.

- Przed chwilą wysłałam gońca po twoje ulubione knedle.

Na samą wzmiankę o jedzeniu Rowlowi zaburczało nagle w brzuchu. To również było oszukiwanie.

Westchnął bardzo przeciągle.

- W porządku - rzekł. - Ale, Małamyszko, pamiętaj, że nie zgodziłbym się na takie poniżenie dla nikogo innego.

Potarła twarzą futro na jego grzbiecie i Rowl poczuł, że mruży. To jednak byłoby oszukiwanie tylko wtedy, gdyby nadal chciał się zabić, a tak przecież nie było. Podjął już decyzję.

Dlatego przetoczył się w ramionach Małejmyszki, by móc choć przez chwilę odwzajemnić pieśczęć, głaszcząc twarz dziewczyny zdrową przednią łapą.

- Gdzie? - zapytał potem.

- Co gdzie? - zdziwiła się Małamyszka.

- Gdzie są moje knedle?

Grimm siedział bez słowa naprzeciwko Addisona Orsona Magnusa Jeremiaha Albiona, kasztelana Albionu, czekając, aż ten skończy czytać jego raport. Grimm zauważył, że kasztelan czyta bardzo szybko.

- Widzę, że nie ma wzmianki o założeniu łańcuchów wziętej do niewoli załodze *Itaski* — odezwał się po chwili Albion.

- Bo ich nie założono - wyjaśnił Grimm.

Kasztelan uniósł brwi, spoglądając na niego nad okularami.

- Kapitan Castillo dał nam parol w imieniu własnym i swojej załogi.

Brwi kasztelana uniosły się jeszcze wyżej.

- Tak po prostu?

- Poniekąd — odparł Grimm. - Mogliśmy ich zestrzelić, ale tego nie zrobiliśmy.

Albion wydał z namysłem wargi, po czym uśmiechnął się blado i wrócił do lektury raportu.

- Powiedz mi, jakie straty ponieśliśmy.

- *Grzmiącego* zestrzelono. Jego straty były poważne. Stu pięćdziesięciu trzech zabitych, w tym cała kadra oficerska poza jednym młodszym oficerem, i czterdziestu rannych. Okręt zdołał się utrzymać w powietrzu na samych kryształach stabilizujących do chwili, gdy szalupy ratunkowe odnalazły go we mgle.

- Tu jest napisane, że specjalna pochwała należy się kapitanowi Castillo oraz jego żołnierzom

piechoty powietrznej, którzy pomogli w organizowaniu akcji ratunkowej.

— *Itasca* miała więcej zdolnych do akcji szalup niż wszystkie nasze jednostki razem wzięte — wyjaśnił Grimm. — Żaden aeronauta ani żołnierz piechoty powietrznej nikomu nie życzy upadku na powierzchnię.

— A to dlaczego?

— Dlatego że wszystkich nas dręczą koszmary na jej temat - odpowiedział Grimm. — Bitwa była skończona, więc zgodzili się nam pomóc.

— I żaden nie próbował ucieczki? - zdziwił się Albion.

Grimm stanowczo pokręcił głową.

— Dali parol.

— Rozumiem — wyszeptał kasztelan. - Czy twoim zdaniem *Grzmiącego* da się odzyskać?

Próby odzyskania sterowców, które spadły na powierzchnię, zawsze były ryzykowne. Nie sposób było przewidzieć, jakim okropnościami trzeba będzie stawić czoło w prostej misji wydobycia z wraku cennych kryształów wznoszących i kryształów rdzenia. W końcu trzeba było narazić się na utratę jednego statku, by odzyskać kryształy z drugiego, a procent sukcesów wahał się na granicy opłacalności.

— Nie jestem specjalistą od takich operacji, panie - odparł Grimm. - Ale toczymy wojnę z Aurorą i nie możemy sobie pozwolić na zbyt ostrożność.

Albion postukał w blat paznokciem kciuka, zastanawiając się nad tymi słowami.

— Panie?

— Słucham, kapitanie?

— Co się stanie z Auroranami?

— Są jeńcami wojennymi — odparł kasztelan. — Zapewne skieruje się ich do pracy u podstawy kasztelu.

Grimm zacisnął zęby.

— Nie, panie.

-Nie?

— Nie — powtórzył kapitan. - Widziałem to miejsce. Jeśli chcesz ich skazać na powolną śmierć, równie dobrze możesz założyć im pętle na szyje i ustawić ich na blokach lodu. To byłby lepszy los.

— Nie bardzo rozumiem, dlaczego cię to obchodzi, kapitanie.

— Dlatego, że to mnie się poddali — odparł Grimm. — Dali mi swój parol. Mogli walczyć do końca, nie mając szans na zwycięstwo. To doprowadziłoby do dalszego rozlewu krwi. Ich kapitulacja ocaliła życie wielu ludziom. Zarówno Albiończykom, jak i Auroranom. Nie chcę, by kapitana Castillo spotkało w nagrodę tak brutalne traktowanie.

- Mmmm - mruknął Albion, wskazując głową na raport. - Mów dalej.

- Straty w załodze *Zwycięskiego* były umiarkowane. Jedenastu zabitych i czterdziestu jeden rannych. Uszkodzenia kadłuba i masztów były poważne, ale wszystko da się naprawić w ciągu dziesięciu dni.

Waleczny doznał tylko lekkich uszkodzeń. Nikt z jego załogi nie zginął, a sześciu ludzi zostało rannych. Komandor Bayard przywrócił już swojemu okrętowi gotowość bojową.

- *A Drapieżca?*

- W sumie dwudziestu dwóch zabitych — odpowiedział Grimm, starając się myśleć wyłącznie o liczbach. — Trzydziestu trzech rannych.

- Straciliśmy jeden ciężki krążownik, ale zdobyliśmy *Itaskę* - zastanawiał się Albion.

- Ale nie zostało z niej zbyt wiele — zauważył Grimm.

- Bayard pisze w swym raporcie, że udało się nam ją zdobyć wyłącznie dzięki temu, że sprowokowałeś jej kapitana do pościgu za *Drapieżcą*.

- Tak właśnie należało postąpić — odparł Grimm.

- To prawda - przyznał Albion - i wielu ludzi zgodziłoby się z tobą. Ale tylko nieliczni byłiby

skłonni narazić się na podobne ryzyko.

Grimm poczuł w piersi nagły pożar gniewu.

- Rook - warknął.

- W swym raporcie oskarżasz go o tchórzostwo w obliczu wroga - zauważył Albion.

- Bo to prawda - stwierdził Grimm. - Przestraszył się i zwiął. Gdyby *Chwalebny* nie opuścił pola walki, nie stracilibyśmy *Grzmiącego*, a *Itasca* mogłaby się poddać w prawie nienaruszonym stanie.

-Tak jest napisane w twoim raporcie - przyznał kasztelan. - Ale Rook w swym raporcie dla Admiralicji opisuje to inaczej. Twierdzi, że wstrząs spowodowany wybuchem doprowadził do zwania w przewodach dostarczających moc do kryształu wznoszącego i przez pewien czas nie był w stanie utrzymać wysokości.

-To cholerny kłamca - warknął Grimm. - Zapytaj Bayarda.

-Już to zrobiłem — zapewnił Albion. — Komandor Bayard melduje, że znajdował się zbyt daleko od pola walki, a w dodatku niekorzystny kąt utrudniał mu obserwację. Dlatego sumienie nie pozwala mu potwierdzić prawdziwości któregoś z waszych raportów. Obawiam się, że bez jego zeznań mamy tylko słowo przeciw słowu.

Grimm zazgrzytał zębami. Wyrzucono go z Floty, a Rook był faworytem jednej z wielu frakcji w hierarchii dowodzenia.

- Czy mam poprosić kapitana Castillo, by zechciał napisać własny raport?

Kasztelan odrzucił głowę do tyłu i parsknął krótkim śmiechem.

-Wierzę ci. Nie wątpię też, że dobry kapitan Castillo potwierdziłby twój raport, ale obawiam się, że jego słowo również nie będzie miało zbyt wielkiej wartości dla Admiralicji Floty.

Grimm wyprostował się sztywno, jakby jego kręgosłup zrobiono z powleczonego miedzią żelaza.

- Zatem ujdzie mu to na sucho, panie?

- Ujdzie — potwierdził Albion. — Na razie.

Kapitan usłyszał trzask własnych kości, gdy zacisnął mocno pięść z frustracji.

- Tak jest, panie.

Albion przez chwilę przypatrywał mu się spokojnie. Potem odłożył raport i złożył palce w piramidkę.

- Mówiąc prywatnie, jak twoim zdaniem sprawił się Kasztel Albion podczas tego kryzysu?

- Zawiedliśmy, panie - ocenił Grimm.

- Pod jakim względem?

- Nie zdołaliśmy powstrzymać ataku na Lądowisko. Nieprzyjaciel uciekł, spaliwszy bezcenne zasoby wiedzy. Zginęli niewinni ludzie. Statkownia Lądowiska została zniszczona. We wszystkim tym widzę tylko jeden plus.

- A mianowicie?

Grimm wyjął z kieszeni płaszczka dwie identyczne książki i położył je na biurku kasztelana.

-Tego właśnie szukała madame Cavendish przy pomocy Auroran. Zabrała jeden egzemplarz i spróbowała spalić wszystkie pozostałe. Jeden z mnichów uratował książkę z pożaru, a tę drugą odebrałem jej przed przybyciem *Itaski*.

Albion bardzo powoli dotknął książek końcami palców. Przyciągnął ku sobie oba egzemplarze i położył je na blacie jeden obok drugiego.

- Nie napisałeś o nich w swoim raporcie.

-To prawda, panie. Auroranie zadali sobie mnóstwo trudu, żeby zdobyć tę książkę. Uznałem, że lepiej o niej nie wspominać na piśmie.

Kasztelan skinął z namysłem głową.

- W rzeczy samej, kapitanie. Tak właśnie należało postąpić. - Schował obie książki do szuflady. -

Cały ten incydent był wyjątkowo niefortunny.

- Mogło być gorzej, panie - zauważył Grimm.

-Tak?

- Chodzi mi o przestępcze cechy z Ładowiska. Gdyby nie ich interwencja, która umożliwiła koordynację walki z pożarami oraz ewakuację mieszkańców, ofiar byłoby znacznie więcej. Moglibyśmy stracić całą kondygnację.

- Tak - zgodził się Albion. - Mieliśmy szczęście, że cechy zareagowały tak szybko.

- To prawda. Można by niemal pomyśleć, że ktoś ostrzegł je przed tym, co ma się wydarzyć, panie. Kasztelan mrugnął powoli tylko jeden raz i popatrzył bez wyrazu na Grimma.

- Co sugerujesz, kapitanie?

- Nie mogłeś zaufać własnej Gwardii — ciągnął Grimm. — Ale potrzebowałeś kogoś, kto miałby ludzi, siły i organizację potrzebne, by wykonać to zadanie. Motywacja cechów może budzić nasz niesmak, ale pozostaje niezmienna. Chodzi im o pieniądze.

-To bardzo interesująca teoria, kapitanie Grimm, ale obawiam się, że niezbyt wiarygodna — stwierdził Albion. — Jestem niewiele więcej niż figurantem. Wszyscy o tym wiedzą.

- Och - odparł Grimm. - W takim razie przepraszam.

Żaden z mężczyzn się nie uśmiechnął, ale kasztelan pochylił leciutko głowę, jak szermierz uznający trafienie przeciwnika.

- Po co, panie? — zapytał kapitan. — Po co im ta książka?

- Nie jestem pewien — przyznał Albion. — Pewnie moglibyśmy o to zapytać.

- Oficerowie i załoga *Itaski* na pewno nie wiedzą nic poza harmonogramem lotu zawartym w ich rozkazach - stwierdził Grimm. - Tego wymagają zasady bezpieczeństwa.

- W takim razie powinniśmy zapytać tę madame Cavendish. - Kasztelan uniósł wzrok. - Czy możemy dogonić *Rekina Mgieł*?

- Gdy tylko kapitan Ransom wróciła na pokład, z pewnością skryła się we mgle i rozwinęła żagle - odpowiedział Grimm. - To zawodowa przemytniczka. Mógłbyś wysłać w pogoń za nią połowę Floty, a i tak nie znaleźliby nawet jej cienia.

- Czy to twoja profesjonalna opinia? - zapytał Albion, mrużąc lekko oczy.

- Nie, panie. To fakt.

- Mmm — mruknął kasztelan. — No cóż, przynajmniej mamy książkę.

Wokół *Rekina Mgieł* szalała burza. Nieprzewidywalne wichry ciskały gwałtownie sterowcem na wszystkie strony - czasami w przód i w tył, ale częściej w górę i w dół. Espira przez cały czas sztormu siedział na podłodze, wspierając się plecami o ścianę. Uprząż miał mocno zapiętą. Jego ludzie służyli w Aurorańskiej Piechocie Powietrznej i byli przyzwyczajeni do znoszenia złej pogody na pokładzie sterowców, ale po trzech dniach lotu pod żaglami wielu z nich było zmuszonych złapać za wiadro i opróżnić zawartość żołądków.

Espira zamknął oczy i zapadł w drzemkę. Po pewnym czasie Ciriaco obudził go szturchnięciem w bark.

- Znowu — rzekł sierżant.

Major wstał z westchnieniem, odpiął uprząż i wyruszył w żmudną podróż do kabiny madame Cavendish.

Czuł się zmęczony. Nie miał ochoty pukać, ale gdyby po prostu wpadł do środka, można by to uznać za nieuprzejme, a on chciał jeszcze zobaczyć Kasztel Aurora. Zapukał. Po chwili Sark otworzył mu drzwi. Wysoki genetyczny wojownik zrobił się chudy jak wygłodzony kot, ale wrócił już do zdrowia po straszliwych obrażeniach. Chrząknął, schodząc majorowi z drogi.

Madame Cavendish wyglądała okropnie. Włosy miała rozczochrane, rękawy podwinięte, a palce brudne od atramentu, który zostawił też przypadkowo rozsiane plamki na jej szczupłych przedramionach. Ścisnęła pióro tak zawzięcie, jakby przeciążone mięśnie jej dłoni zamarły w skurczu, i z pasją pisała coś

na kartce papieru.

Na stoliku obok niej leżał stos kilkuset podobnych kartek, ułożony równo z maniakalną precyzją. Wszystkie pokrywały słowa napisane jej zamaszystym, kanciastym charakterem.

Skończyła stronę - ostatnią - dmuchnęła na nią lekko, by wysuszyć atrament, i położyła ją ostrożnie na szczycie sterty. Następnie odsunęła się powoli od stolika z blaskiem w oczach. Dopiero po chwili raczyła zauważyć Espirę.

- Majorze - odezwała się.
- Witaj, madame.
- Potrzebuję kilku twoich ludzi. Trzeba sporządzić kopie tych stron.

Espira zmarszczył brwi. Czyżby...

-Madame? - zapytał. - Czy spisałaś to wszystko... z pamięci?

- A jak ci się zdaje, po co siedziałam tu całe trzy dni? — warknęła z irytacją madame Cavendish. - I dlaczego zgodziłam się oddać książkę kapitan Ransom, kiedy Albiończycy nas dogonili?

- Rozumiem - odparł Espira. - Madame, dowiem się, którzy z moich ludzi umieją czytać i pisać, ale muszę cię ostrzec, że żołnierzy Aurorańskiej Piechoty Powietrznej nie werbuje się ze względu na charakter pisma.

- Rozumiem - przyznała madame Cavendish. - Niemniej trzeba to zrobić.
- Madame, czy mogę być tak śmiały i zapytać, co takiego ważnego jest w tej książce?
- Imiona, majorze - wyjaśniła eteryczka. W jej oczach pojawiły się szalone, chciwe błyski. -

Imiona.

Folly usiadła z krzykiem i nie umilkła, dopóki nie uświadomiła sobie, że wywołuje to nieprzyjemne wrażenie. Jej krzyki przeszły w ciche jęki, a potem ucichły całkowicie. Zadrżała, czując łyzy spływające jej po policzkach.

Mistrz Ferus wdrapał się po drabinie na jej stryszek. Twarz miał zatroskaną, a jego białe rozczochrane włosy kołysały się szaleńczo.

- Folly?
- Spróbowała mu odpowiedzieć, ale jej głos był bardzo cichy.
- Znowu, mistrzu. Znowu ten sen.
- Opowiedz mi.

Dziewczyna znowu zadrżała.

- Śnił mi się kasztel. Otaczała go ciemność, a przez ściany do środka napływała śmierć. Śniły mi się tysiące podobnych kryształom statków startujących z powierzchni, a dokądkolwiek dotarły, ludzie umierali. - Nie przestawała drzeć. Zaczepnęła tchu, nim dokończyła szeptem: - Widziałam, jak kasztel upada. Rozsypuje się, jakby zbudowano go z piasku. I śniło mi się, że *Drapieżca* płonie, rozpada się na kawałki, a ludzie wysypują się z niego jak małe zabawki....

Wspomnienie ich pełnych paniki krzyków ponownie przywołało łyzy do oczu dziewczyny. Gdy już usunęła je mruganiem, zauważyła, że Ferus patrzy na nią współczująco.

- Mistrzu — rzekła cicho. - To nie są sny, prawda?
- Nie są - przyznał ochrypłym głosem.
- To przeszłość.

-Tak.

Folly zadrżała po raz kolejny.

Stary eteryk położył dłoń na barku dziewczyny i dotknął czołem jej czoła. Oczy miał zamknięte. Oparła się o niego, wdzięczna za tę prostą bliskość.

- Dlaczego mam te sny?
- Dlatego, że to początek.

- Początek czego?
- Końca - wyjaśnił Ferus ciężkim, zmęczonym głosem.
- Mistrzu.
- Słucham, Folly?
- Boję się.
- Ja też, dziecko - przyznał stary eteryk. - Ja też.